

Śmieszne to życie!
Ale go żal...
Dzienniki
Kazimierza Filara

CZĘŚĆ I



WIELKA WOJNA – CODZIENNOŚĆ NIECODZIENNOŚCI

Śmieszne to życie! Ale go żal...

Rada Naukowa

- *Jerzy Kochanowski*
- *Grzegorz Leszczyński*
- *Grzegorz Mędykowski*

WIELKA WOJNA – CODZIENNOŚĆ NIECODZIENNOŚCI

BIBLIOTEKA PAMIĘTNIKÓW Z I WOJNY ŚWIATOWEJ
Z ZASOBÓW POLSKICH ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH

Tom piąty, część 1

{ *Śmieszne to życie!*
Ale go żal...
Dzienniki
Kazimierza Filara

Część 1

opracowanie
Piotr Szlanta
współpraca
Leszek Boryczko



NACZELNA DYREKCJA
ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH

Warszawa 2018

CIP – Biblioteka Narodowa

Filar, Kazimierz

Śmieszne to życie! Ale go żal... : dzienniki

Kazimierza Filara. Cz. 1 / opracowanie Piotr

Szlanta ; współpraca Leszek Boryczko. – Warszawa

: Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, 2018.

- (Wielka Wojna – Codzienność Niecodzienności

: biblioteka pamiątek z I wojny światowej

z zasobów polskich archiwów państwowych ; t. 5)

© Copyright by Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych,
Warszawa 2018

ISBN 978-83-65681-49-2

Opracowanie graficzne serii *Anna Betlejewska*

Projekt typograficzny, skład i łamanie, opracowanie

graficzne tomu *Małgorzata Chyc* | www.bymouse.pl

Redaktor prowadzący *Tomasz Mrozek*

Redakcja i korekta *Izabella Rdzanek*

Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych

Departament Archiwistyki

ul. Rakowiecka 2D, 02-517 Warszawa

tel. (+48 22) 565 46 00, fax. (+48 22) 565 46 14

e-mail: ndap@archiwa.gov.pl

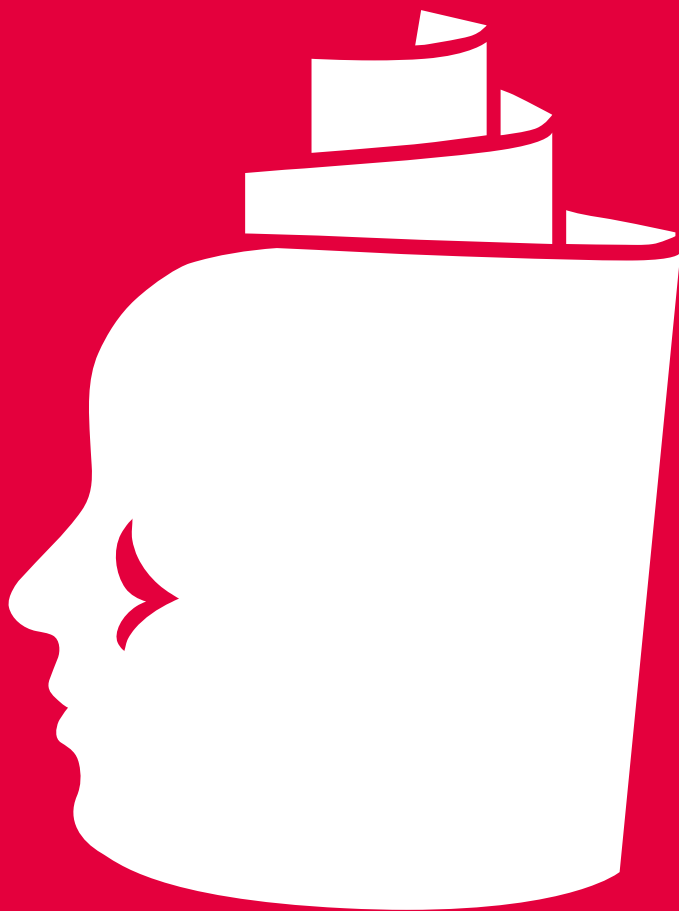
www.archiwa.gov.pl



NACZELNA DYREKCJA
ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH

I. Wstęp

- *Leszek Boryczko*
- *Piotr Szlanta*



Kazimierz Filar – Polak w c.k. armii

Autor *Dzienników* urodził się 29 października 1889 roku, w Drogini koło Myślenic. Jego rodzicami byli: Józef Filar oraz Józefa, z domu Zapalska. Państwo Filarowie pobraли się w 1883 roku i mieli już jedną córkę, Zofię, urodzoną w 1888 r. Józef Filar był poczmistrzem, pochodził z Bóbrki pod Krosnem, ale w latach 1882–1898 pracował w Drogini. Józefa Zapalska pochodziła z Wieliczki, z rodziny o kilkupokoleniowych górniczych tradycjach.

Wszystko wskazuje na to, że Kazimierz pierwsze dziecięć—dziesięć lat swojego życia spędził wraz z rodzicami i siostrą w Drogini. Sądząc z późniejszej korespondencji, mogło to być szczęśliwe dzieciństwo w niezamożnej, ale pełnej rodzinie. Rok 1899 przyniósł gwałtowne zmiany i okazał się końcem spokojnego rodzinnego życia dla jedenastoletniej Zofii i dziesięcioletniego Kazimierza. Ich ojciec został przeniesiony do urzędu w Izdebkach (krośnieńskie), natomiast matka została damą do towarzystwa w majątku hrabiów Potockich w Krzeszowicach. Od tej pory Józefa większość czasu spędzała na zagranicznych podróżach, utrzymując z dziećmi głównie korespondencyjny kontakt i prawdopodobnie finansując ich wykształcenie. Trwało to zresztą niedługo, bo w 1905 roku Józefa zmarła w czasie pobytu w San Remo i tam została pochowana.

Jedenastoletnia Zofia wysłana została na pensję do klasztoru Klarysek w Starym Sączu, natomiast dziesięcioletni Kazimierz prawdopodobnie uczęszczał do szkoły w Tarnowie. W roku szkolnym 1903/1904 był tam uczniem IV klasy c.k. Wyższej Szkoły Realnej. Jak się w tym czasie sprawował, można się tylko domyślać z zachowanego listu jego ojca do Zofii: „Ależ to Kazek idzie dobrze w naukach – dostałem teraz dwa razy powiadomienia z Tarnowa, obydwie razy wykazany był z 5 przedmiotów. Dzisiaj odebrałem do tego, że w szkole nie zachowuje się wzorowo, będzie zaś miał tróje... mówiłem dobrze, że trzeba go dać do hycła...”. Kazimierz, wychowując się bez rodziców, maturę najwyraźniej zdał i „wyszedł na ludzi”. Nie ma wiadomości, co się z nim działo przez kilka lat po ukończeniu szkoły. Dopiero szematyzmy z lat 1911 i 1912 wykazują go jako praktykanta w urzędzie podatkowym w Bieczu, natomiast w 1913 roku najwyraźniej zajmował takie samo stanowisko w Żywcu.

Nieco wcześniej, bo w styczniu 1911 roku, był obecny w Sławęcynie na ślubie siostry z Władysławem Bernardem (Bernhardtem). Jak podaje rodzinna tradycja, udał się tam pociągiem z Tarnowa, by wysiąść na stacji w Skołyszynie, leżącym na trasie Galicyjskiej Kolei Transwersalnej. Bolały go zęby, a że nie miał środków przeciwbólowych, starał się załagodzić cierpienie paląc papierosy, jeden za drugim. Traf chciał, że w przedziale siedział z Kazimierzem na oko trzydziestoletni, elegancko ubrany mężczyzna, którego dym tytoniowy mocno irytował. Doszło do wymiany zdań, nie wiadomo, czym się spór skończył, a dwaj panowie – przekonani o swojej racji – spędzili resztę podróży w milczeniu. Na stacji w Skołyszynie, ku wzajemnemu niezadowoleniu, obaj panowie wysiedli, a co gorsza, okazało się, że czeka na

nich jedna podwoda, przysłana po gości weselnych przez proboszcza ze Sławęcina. Nie było wyjścia, trzeba było się pogodzić. Okazało się bowiem, że obaj panowie byli braćmi państwa młodych. Leon Bernard był starszym o 6 lat bratem pana młodego, a Kazimierz, jak wiemy, jechał na ślub siostry, Zofii Filarówny. Leon i Władysław byli jedynymi synami Franciszka Bernarda, powstańca styczniowego, który po czteroletnim zesłaniu na Sybir powrócił do Krośna. Trzy razy żonaty, potomków dochował się ze związku z poślubioną w 1873 roku Anną Łukaczyńską. Zmarł w roku 1907 i pochowany został na starym cmentarzu tuż przy obelisku powstańców styczniowych, Okazały pomnik nagrobny ufundowała ostatnia z żon, trzydzieści lat młodsza od męża, Anna Kłosowska.

Ślub Zofii i Władysława odbywał się w Sławęcinie, w zabytkowym, drewnianym kościele św. Katarzyny, gdyż proboszczem w miejscowej parafii był Wojciech Filar, rodzony stryj panny młodej i Kazimierza.

Pierwszego października 1913 roku Kazimierz rozpoczął służbę wojskową jako tzw. jednoroczny ochotnik. Taki tryb rekrutacji przysługiwał wykształconym rekrutom (z maturą) i pozwalał na wybór broni, miejsca i czasu odbywania służby. Filar wybrał artylerię, i to zapewne pozwoliło mu przetrwać kilkuletnie zmagania wojenne. W piechocie szanse na przeżycie były z pewnością znacznie mniejsze.

Wybuch Wielkiej Wojny zastał Kazimierza w stopniu ogniomistrza (*feuerwerker*). Przekonany o potędze c.k. armii i o słuszności sprawy, czekał z niecierpliwością na pierwsze spotkanie z wrogiem. Wtedy też rozpoczął prowadzenie swoich dzienników i z nielicznymi przerwami prowadził je bardzo systematycznie, aż do końca swojej służby wojskowej,

który nastąpił w lutym 1918 roku. Ciężko chory, zapewne na gruźlicę, Kazimierz został zwolniony z wojska i skierowany na leczenie do Meranu w południowym Tyrolu, obecnie Merano (Włochy). Tamże zmarł 26 maja 1918 roku. Został pochowany na miejscowym cmentarzu, w kwaterze wojskowej, w dobrym stanie utrzymanej do dzisiejszego dnia.

Pozostało po nim kilka zdjęć, wspomnienia przekazywane następnym pokoleniom przez siostrę (Zofia Bernhardt zmarła w 1973 roku), ale przede wszystkim siedem zeszytów drobno zapisanych, starannym pismem i ulubionym ołówkiem firmy Koh-i-noor. Dzień po dniu przedstawia Kazimierz Filar swoje wojenne przeżycia, patrząc na siebie z dużym dystansem i z poczuciem humoru, nie epatując opisem dramatycznych przeżyć, grozą wojny czy niewyobrażalnie ciężkimi warunkami bytowymi. W czasie nielicznych urlopów *Dzienniki* nie były prowadzone. Bardzo niewiele pisał o swoim życiu prywatnym, pozawojskowym.

Wiemy, że nie mając domu rodzinnego zawsze pierwsze kroki kierował do siostry mieszkającej wraz z mężem, Władysławem Bernhardtem, w Trzebini. Pisząc „jadę do domu” zawsze miał na myśli właśnie to miejsce. Jego ojciec, Józef Filar, mieszkał w czasie wojny w okolicach Lwowa, ale w *Dziennikach* chyba tylko raz pojawia się wzmianka o nim. Natomiast autor często wspomina siostrę, szwagra i siostrzenicę Marysię, z którymi czuje się związany, jako z najbliższą rodziną.

Głębszych studiów wymaga określenie patriotyzmu autora. Czując się Polakiem, był zarazem lojalnym obywatelem monarchii. Nie postrzegał wojny jako okazji do odzyskania przez Polskę niepodległości. Walczył z pełnym zaangażowaniem przeciwko Moskalom i traktował to jako

naturalny, obywatelski obowiązek. Czy był więc typowym galicyjskim inteligentem tego czasu?

Po śmierci autora *Dzienniki wojenne* trafiły do jego siostry, Zofii. Prawdopodobnie pozostawił je Kazimierz w jej domu w Trzebini, jadąc do Merano. Raczej nie zabrał ich ze sobą do sanatorium, bo pewnie korciłoby go, by dopisać kolejne strony.

Dwa lata po śmierci Kazimierza Bernhardtowie przeprowadzili się do Wadowic i tam kupili okazały dom parterowy z dużym ogrodem. Władysław był inspektorem szkolnym, a w latach 1934–1939 burmistrzem Wadowic. Zofia, nauczycielka w szkole męskiej, w klasach III i IV uczyła młodego Karola Wojtyłę, późniejszego papieża.

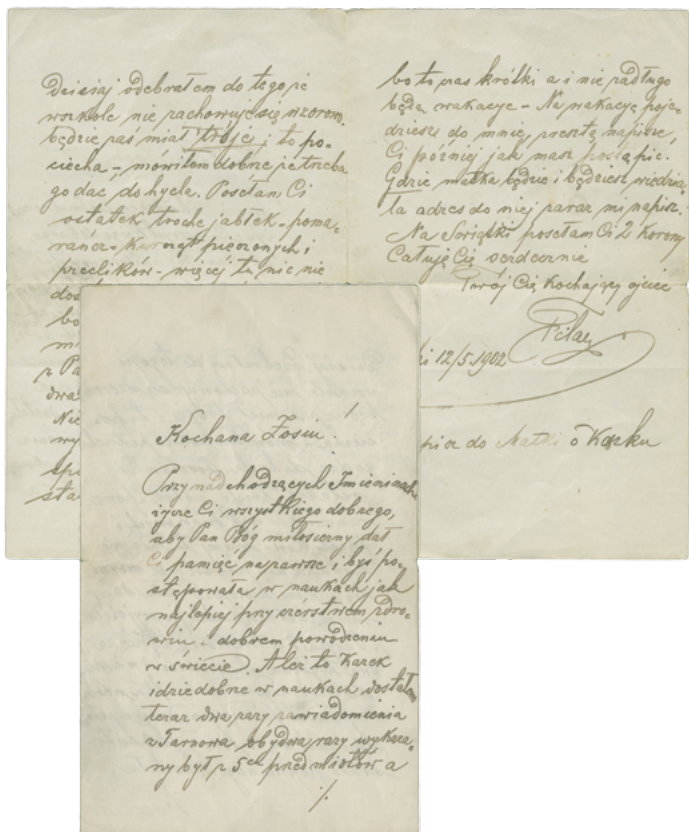
Na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku dom Bernhardtów został zburzony, aby poszerzyć i wyprostować ulicę Juliusza Słowackiego. Wtedy to *Dzienniki* trafiły do Krakowa, do mieszkania Ireny Boryczko, z domu Bernhardt. Po kolejnych 40. latach syn Ireny, a cioteczny wnuk Kazimierza, przygotował rękopisy w postaci cyfrowej. Dzięki Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych z tym nietuzinkowym dziełem może się teraz zapoznać szersze grono czytelników.



Józefa Filar, matka Kazimierza. Zbiory rodziny Boryczków (dalej: Zb. B.)



Kazimierz Filar w wieku szkolnym. 1903 r. Zb. B.



List Józefa Filara do córki Zofii, przebywającej w szkole przyklasztornej
 Kларыsek w Starym Sączu, 1902 r. Zb. B.



Zdjęcie grupowe plutonu, wykonane na wiosnę 1914 r. w Jarosławiu,
K. Filar w górnym rzędzie, czwarty od prawej. Zb. B.



Kazimierz z siostrzenicą Marysią. Zb. B.



Kazimierz Filar w 1913 r. (w rogu fotografii dedykacja dla siostrzenicy Marysi Bernhardtówny). Zb. B.



Kazimierz Filar z siostrą Zofią (z prawej). Zb. B.

Zezwolenie

Mocą, którego zawarłam swej córce, małoletniej
 Zofii Filarówny urodzonej 14 stycznia 1888 roku, na-
 ucyckiej, w Janowie, powiatu Chorzowskiego
 na zawarcie ślubu z P. Władysławem Bernard
 nauczycielem w Torcku powiatu Chorzowskiego,
 w dowód czego własnoręcznym podpisem i obec-
 nością podpisałem. -
 Łódź, dnia 29 grudnia 1910. -

Prziedkowie:Łódź, Filar

Wiktor Bożkowskiemerytowany prezydent gminy Zofii.

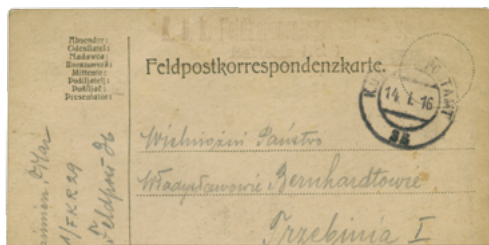
Jan Zakrzewski

Łódź, dnia 29 grudnia 1910

W. Łódź, Muszyński
 probosc



Zezwolenie dla „małoletniej” (niespełna 23-letniej)
 Zofii Filarówny na zawarcie małżeństwa. Zb. B.



Feldpostkorrespondenzkarte.

Prebina I

Kochani! Przyosta barozaj i terecia pa-
ka takaj; jak iz skanije, to praveda ie do-
odvornij i iat, nalinj, jnie upewni-
my ^{tozajem} szes do boru dwu poprednich, wy-
staliscie terecia. In. pacisto iz dopiero u-
zywani to iz margra; to tez nieoprosi-
cie tyle porumionych, jednorodnych, ie as-
sery bialaty patrice, a serce posro. - Jak co-
bie to tłumaczyz? Wladim ie jone 1/2
butelki tego przyjetanego kmiaku, ni za-
stato: ja to r tym sposob, ie to jakis przy-
jetany prerezut, ktory i prerezutowatej, jnie
wartymie, nie iwiadou pawartoin; ale
nie to: ra to poprednie primioranka i wpa-
nienie jej, prukanaie, jest w sercach, jak
i nicodiatowanaj paunizj. - Serdecnie dzi-
ki za paunizj! - Troche kwekane przy obec-
nej pogodnie, ale pravedopodobnie i tych
dziusaj jone jnie jnnij. Dziakuj, za wpi-
nie, karthie i opapsumiasteu prudeu, ucy-
nie. Serdecnie nioteki, i aciatowanaj dla
wonyi Kich i Maryn's K.

Kartka pocztowa od Kazimierza do siostry Zofii
i szwagra Władysława Bernhardta. Zb. B.

Adpis

Poswiadczenie

Pracownicy gminna, nie podpisana, posiadająca i w Józef Filas
re, re. kat. lat 40. rodu a. Dobro pomiat Krosno, przynależny do
gminy Lacoora, pomiat Krosno, emerytowany posadznictwa, lubiany
przez siebie, przez swoich, oraz, trafiając mu posiadać, również, ra-
chemo ani, nieruchomego majątku, do tego, również, zaborzony,
dom, w którym, mieszkał, spulony, do tego, w dniu 2. maja 1917, został
jako, sędzia, austro- niemiecki, przez, żołdaków, rosyjskich, awan-
rany, wywieziony, katorżany, i. t. d. nie, mając, również, pomocy, a. be-
da, zupełnie, zblakłym, p. pomiat, którego, dowodzenia, proru-
strata, w roku, nie, jest, w stanie, zamykać, 2. kół, się, składa, dając,
w, terenie, innym, czasie, wygrywać, śmierci, głodowa, w, katorżym, pra-
cie, nastąpić, może. Celem, niniejszego, prosby, do, Wł. ch. Samiost-
nictwa, o, poratowanie, so, pieniądze, posiadanie, jako, p. prar-
da, zgodne, przez, się, ominąć, i, podpisem, własnym, stwierdza, się.

2. kół, 3. marca 1918

Urad, parafialny, re. kat
w, kół, 3. marca 1918, pomyślnie
poswiadczenie

Wł. ch. Samiost-
nictwa

ks. J. Marzant, m. pr.
administrator

Michał Lemis, re. g.
m. pr.

W, kół, 3. marca 1918, pomyślnie
poswiadczenie
ks. J. Marzant, m. pr.
administrator

Trzebinia



re. zgodne, adpis, p. oryginalny
dnia 2. maja 1917

Pracownik gminny

Konrad Karc

Poswiadczenie trudnej sytuacji Józefa Filasa
w celu uzyskania zapomogi. Zb. B.



Kazimierz Filar (z lewej) ze szwagrem
Władysławem Bernhardtem, zapewne 1915 r. Zb. B.

1915

Styczeń

1. Jakoś się przyaciecnie próbilo i odmienienie z'ak
 w roku starym, choiby przer to samo je troch z-
 marito, nicma tego do rozpaczy doprowadzającego
 błota i moina się przyci parz kroków nie zawałano,
 się po mory. Dla poducierzenia nastroju przyacieczonego
 mienkany nanej kwatery poddają się rysy mtej
 operacji gólenia, której dokonuje nadworny fryzjer
 Wassermann, ~~pete~~ Grünbaum. Liane dostają herbaty
 z murem i 5^{to} duimny piód radarnu, zimno w nogi
 niebardzo, wykony z mlekiem na piadaaniu, jednie
 stowem pristo na całej linii. - Do tego wszystkiego
 wstrząsamy atak wstrzymano, o nieprzyjacieli przy-
 chylnie wieści, wójko mniej więcej odpozywa, mory
 rok paurya się jak z ptatka. Wprawdzie konie na-
 jodtane kwoce stoja w gotowości, ale pomimo tego
 wyspy są przekraczani się zostajemy na minijem,
 szczególnie je nam kwatery weale do smaku przy-
 padły. Gromadnie zabieramy się do wyustawia por-
 ty, nowożmiej, boiem przegrupowano je już odesła. -
 Ja wypinuję 5 kartek na wszystkie strony świata,
 prognozyjk, że w tym roku będz dwoje korespondentów.
 Do Tnie prusz, rano jak sobie tego pycer ta do Ady. - Wchodź
 kiedy to prusz rozgrywa się przed oknem scena idelety-
 na z pogrzebem, tylko tym parom reprezentuje nie-
 bosenska krova; pozatem akcesorya te same co na

pożeracie, tj. ptasina podana, obcierające skóry kucwo-
ki, wianowie, tłuś, etc. - Równocześnie skosztowa-
tem w pokoju anormalną ilość masy, ale ponieważ
obserwowanie tych zwierząt nie potrafiłmnie w zupeł-
ności paabsorbować, więc przegryzłem z tego i idę na obiad.
Tak sobie przy stole przerymam nowego roku, jakbyśmy się
z 10 lat nie widzieli. Ale mnie jakoś nie śni - ani nie
przypominam, ani głupio jak zawsze robić mi się nie chce,
jednem słowem nie poważa się. Po potudum gramy w Kar-
ty aż do kolacyi, po kolacyi aż do 1^{ej} i noc. Jedynę ko-
chaną rajcę, na którem potworsko prasa bearnyślnie
schodzi. O 2^{ej} obudono mnie do parku, rante, uwey
zenta spokoju. -

2. Zostaliśmy w miejscu i to w takim sposobie, jakbyśmy mi-
li zamiar na statę się tu przenieść; karystam p tego o pie-
niżnictwie w ten sposób, że się do 8^{ej} i do tego namyślano
się przy stać; w końcu jednak, wobec ogólnego ruchu w wa-
skiej wieś, zastępowy srojem temistrem, pacygnam się
ubierać. Pogoda prośna, ale jak na to, niema prawnu
nie do roboty; pobis więc tylko między koniom, oraz mały
spacerok po parku, w którym mi nieanane. Naturalnie
że parę potem pacygnam się takok, to bearnobie jest o-
gólne i wielkimi panowie się udra; i prawnu pra-
wie potę, arieni schodzi na kartach - chyba, że potworsko
póćnie przypicie! Dopiero pod wieczór pacygnam się krę-
tanina i gorąca robota, bowiem na jutro jest planowany
atak, mający na celu przegryzienie nieprzyjaciela p par-
nej porzycy, wsi faiel. Z tej tej rany mam przerwany

Pamiętnik wojenny Kazimierza Filara

Wojna! Wynalazek najdoskonalszego tworu Bożego – człowieka! – zanotował z sarkazmem w marcu 1915 roku autor tego tomu z serii „Wielka Wojna – codzienność niecodzienności” austro-węgierski podoficer sierżant-ogniomistrz Kazimierz Filar. Każda wojna destabilizuje życie społeczeństw i jednostek, wprowadzając w ich życie niepewność, lęk i chaos. Ludzie radzą sobie z wywołanym przez nią stresem, m.in. poprzez zapisywanie swych obserwacji, ocen i uczuć we wspomnieniach, dziennikach czy listach kierowanych do najbliższych. Chcą w ten sposób dać również świadectwo o tych niezwykłych, niosących ze sobą niepewność i grozę czasach. Niektórzy sięgają po pióro właśnie w momencie przełomu czyli wybuchu konfliktu¹. Spisywanie swego dziennika Filar rozpoczął właśnie wraz z mobilizacją, pisząc go – jak wielokrotnie podkreślał – dla siebie samego, bez zamiaru późniejszej publikacji.

Wojna ma jednak niejedno oblicze. Inne doświadczenia wynoszą z niej żołnierze frontowi, inne oficerowie sztabowi z kwater oddalonych o dziesiątki kilometrów od pierwszej linii. Odmienny ogląd sytuacji ma obsługa ciężkich moździerzy i karabinów maszynowych, inny znów żołnierze

1 K. Sierakowska, *Śmierć – Wygnanie – Głód w dokumentach osobistych. Ziemie polskie w latach Wielkiej Wojny 1914–1918*, Warszawa 2015, s. 47.

kompanii szturmowych czy saperzy. W przypadku naszego bohatera mamy do czynienia z podoficerem sztabowym w jednostce artylerii.

Kim był autor tych dzienników? Bystrym galicyjskim inteligentem, który w październiku 1913 roku, zdecydował zgłosić się na ochotnika do wojska jako tzw. jednoroczniak. Czyniło tak wielu synów z warstwy średniej. Służba wojskowa stanowiła swoisty ceremoniał przejścia z wieku młodzięnczego do dorosłości. Zakończenie takiej służby w stopniu oficera rezerwy zwiększało ich prestiż społeczny². O liberalnych poglądach Filara świadczy chociażby czytanie przez niego regularnie ukazującej się w Krakowie i reprezentującej poglądy tego środowiska gazety „Nowa Reforma”. Filar znalazł się wśród setek tysięcy Polaków, jacy przewinęli się w latach 1914–1918 przez szeregi armii habsburskiej³. Według szacunków komisji, powołanej w II Rze-

2 M. Moll, *Mentale Kriegsvorbereitung*, [w:] *Die Habsburger Monarchie 1848–1918*, t. 11, *Die Habsburgermonarchie und der Erste Weltkrieg*, cz. 1/1: *Von Balkankonflikt zum Weltkrieg*, wyd. Helmut Rumpler, Wien 2016, s. 178–182. Patrz także G. Kronenbitter, *Krieg im Frieden. Die Führung der k.u. k. Armee und die Großmachstellung Österreichs-Ungarns 1906–1914*, München 2003, s. 17 i nast.

3 Szerzej patrz: M. Zgórniak, *Polacy w armii monarchii austro-węgierskiej w czasie I wojny światowej*, [w:] *Studia i Materiały do Historii Wojskowości*, t. 30, Warszawa 1988; J. Rydel, *W służbie cesarza i króla. Generałowie i admirałowie narodowości polskiej w siłach zbrojnych Austro-Węgier w latach 1868–1918*, Kraków 2001; M. Baczkowski, *Żołnierze polscy w armii austro-węgierskiej w przededniu odzyskania przez Polskę niepodległości*, [w:] *Studia Historyczne*, 2009, nr 52, s. 19–32; P. Szlanta, „Pod gasnącą gwiazdą Habsburgów”. Doświadczenie frontu wschodniego polskich żołnierzy c.k. armii, [w:] *Front wschodni I wojny światowej. Studia z dziejów militarnych i polityczno-społecznych*, red. M. Baczkowski, K. Ruszała, Kraków 2013, s. 83–98; M. Baczkowski, *Ilu Polaków walczyło w armii*

czypospolitej do oszacowania polskich strat w pierwszej wojnie światowej, do c.k. armii miało zostać wcielonych 1,4 mln Polaków, z czego śmierć poniosło 220 tys., zaś rany otrzymało 311 tys⁴.

Jednostka naszego bohatera, a mianowicie 29. Pułk Armat Polowych wchodził w skład II Brygady Artylerii X Korpusu. W ramach I. c.k. Armii wzięła ona udział w ofensywie na Królestwo Polskie w kierunku na Lublin, do jakiej doszło w pasie między Bugiem a Wisłą. Mimo pierwszych sukcesów, impet natarcia osłabł. Armia carska tymczasem uderzyła od wschodu i już 3 września zajęła stołeczny Lwów. Pobite i częściowo zdeorganizowane jednostki c.k. armii musiały pośpiesznie wycofywać się na zachód, nie mogąc się utrzymać nawet linii Sanu. Jak wspominał odwrót ówczesny oficer 58. Pułku Piechoty Stanisław Sosabowski: „Przejmujący chłód jesienny. Deszcz ze śniegiem. Rozmokłe drogi, rozdeptane tysiącami stóp maszerujących żołnierzy, rozbite kołami wozów i zaprzęgami artylerii. Marsz w pełnym obciążeniu. Szerząca się czerwotka. Noclegi w otwartym polu lub szopach, w których hulał wiatr. Śmiertelne zmęczenie – odpoczniki w mokrych rowach przydrożnych, gdzie z miejsca się zasypiało. Posiłek w nocy, gdy kuchnia polowa dołączała do kompanii. I wreszcie najcięższa plaga żoł-

austro-węgierskiej podczas I wojny światowej?, [w]: *Mało znana Wielka Wojna. Studia i szkice z dziejów I wojny światowej*, red. A. Smoliński, Oświęcim 2014, s. 65–84.

4 S. Czerep, *Straty polskie podczas I wojny światowej*, [w]: *Lata Wielkiej Wojny. Dojrzewanie do niepodległości 1914–1918*, red. D. Grinberg, J. Snopko, G. Zackiewicz, Białystok 2007, s. 180–197. Natomiast M. Baczkowski liczbę polskich żołnierzy poległych w mundurach c.k. armii Polaków szacuje na około 80 tys.

nierzy – wszy, wszy i jeszcze raz wszy... Nie było ani miejsca, ani czasu na ich tępienie”⁵. Podczas odwrotu jesienią 1914 roku z dzienników Filara przebija także zniechęcenie, przygnębienie i brak wiary w końcowy sukces.

Po zatrzymaniu Rosjan pod Krakowem w grudniu 1914 roku Filar trafił na front karpacki pod Medzilaborce. Żadna z walczących armii nie była przygotowana na walkę w tak ekstremalnych warunkach, przy temperaturach spadających w nocy do -30° i pokrywie śnieżnej grubej nieraz na trzy metry. Podejmowanie działań ofensywnych było utrudnione z uwagi na górzysty, zalesiony teren, niewielką sieć dróg i jeszcze rzadszą kolei. Walki toczono głównie w dolinach i na przełęczach, a w wyższych partiach gór ścierały się jedynie patrole. Żołnierzom brakowało odpowiedniego wyposażenia, zwłaszcza ciepłych mundurów. Armia austriacka, wspierana przez niemieckich sojuszników, z jednej strony usiłowała nie dopuścić do przedarcia się Rosjan na Węgry, z drugiej zaś strony podejmowała desperackie próby przebicia się do obleganego przez wojska carskie Przemyśla. Każda zdobycz terytorialna wydłużała linie zaopatrzeniowe i powodowała trudne do przezwyciężenia problemy logistyczne. Wysłane oddziały przez kilka dni były pozbawione zaopatrzenia, ciepłych posiłków czy kwater. Nocować trzeba było niekiedy na śniegu. Aby nie ujawniać nieprzyjacielowi swych pozycji, zabraniano palenia ognisk. Wskutek tego tysiące żołnierzy zamarzało na śmierć, musiało mieć amputowane kończyny lub zapadało na zapalenie oskrzeli czy płuc⁶.

5 S. Sosabowski, *Droga wiodła ugięciem. Wspomnienia*, Kraków 2011, s. 26.

6 *Pierwsza wojna światowa w Karpatach*, red. T. A. Olszański, Warszawa

Choć Przemyśla nie udało się uratować i twierdza skapitulowała w marcu 1915 roku, Filar wziął udział w przełamaniu frontu pod Gorlicami w maju roku 1915 i zwycięskiej ofensywie, która doprowadziła do wyzwolenia Przemyśla, Lwowa, jak i większości okupowanej dotąd przez Rosjan Galicji Wschodniej⁷. Nie dość na tym, zwycięskie wojska państw centralnych opanowały zachodnie gubernie Rosji. Korpus Filara latem 1915 roku wkroczył na Lubelszczyznę, a potem na Wołyń, gdzie jesienią 1915 roku walki znów przeszły w fazę wojny pozycyjnej. Tam autor dzienników miał spędzić resztę swej służby, w tym przeżyć groźbę załamania się całego frontu podczas ofensywy Brusilowa w czerwcu 1916 roku, czy o rok późniejszą ofensywę Kiereńskiego. Na Wołyniu obserwował załamanie się armii rosyjskiej, zawieranie ze zdemoralizowanymi żołnierzami rosyjskimi lokalnych rozejmów, jak też falę austro-węgierskich jeńców wojennych powracających na przełomie lat 1917 i 1918 z ogarniętej wojną domową Rosji.

Wojna z perspektywy Filara jawi się jako nieprzenikniony, trudny do zrozumienia chaos, pasmo udręk, nierzadko nudy, którą zabijano piciem alkoholu, paleniem tytoniu, grą w karty, szukaniem przygodnych kontaktów z kobietami lub czytaniem książek i gazet. To było także wyczekiwanie (już od początku września 1914 roku!) końca konfliktu i tęsknota za najbliższymi. Ta wyrażała się w pisaniu listów i oczekiwaniu nadejścia poczty, zwłaszcza od narzeczonej

1985; M. Rauchensteiner, *Der Erste Weltkrieg und das Ende der Habsburger Monarchie 1914–1918*, Wien 2013, s. 306–321.

7 Szerzej patrz np. *Bitwa pod Gorlicami. Studia z perspektywy stulecia*, red. J. Centek, S. Kułacz, K. Ruszała, Gorlice 2015.

Ireny, którą Kazimierz pieszczotliwie określał w dzienniku na przemian mianem Rychny, Córeczki, Żabusy, Dziewczynki czy Odrobinki.

Na kartach tych dzienników nie znajdziemy opisów heroizmu i wielkich czynów wojennych. Filar, choć odporny i wytrwały, nie tęsknił za bohaterstwem. Niewiele też pisał o strachu przed śmiercią czy kalectwem, ironią i śmiechem starał się rozbroić lęk oraz złe przeczucia. Żołnierze spisujący swe wojenne doświadczenia często stosowali tę metodę. W przypadku Filara pomijanie wątku śmierci wynikało być może z celowej autocenzury i wypierania myśli o niej ze swojej świadomości, może zaś ze specyfiki służby. Do jego obowiązków należało m.in. dbanie o zaopatrzenie koni, zdobycie kwater, pełnienie służby łącznika i obserwatora, dokonywanie zwiadu, pełnienie dyżuru przy telefonie oraz sporządzanie map i planów stanowisk. Ze śmiercią obcował dość rzadko, i to np. widząc niepochowane trupy na pobojowiskach. Z czasem przywykł do tego widoku. Nie można było zachować się inaczej⁸.

W fazie wojny manewrowej śmiertelnie znużeni prze-marszami w lejącym deszczu, niedożywieni, obłoceni, zziębnięci i niewyspani żołnierze nie przypominali ludzkich istot. Z kolei w okresach, gdy walki przybierały charakter pozy-cyjny pojawiała się konieczność zabicia czymś nudy i po-czucia pustki pomiędzy okresami intensywnej służby. Do pewnego stopnia służyło temu i pisanie dziennika. Co wielokrotnie autor przyznawał, dużo pił i palił, zabijając tym swą młodość i czas wolny. Jak sam sarkastycznie zazna-

8 Patrz np. K. Sierakowska, *Śmierć...*, s. 73–135.

czył, mógł się pogodzić z bezmięsnymi dniami (będącymi skutkami problemów z aprowizacją), ale nie z „bezwinnymi”, zaś żytniówka jawiła mu się jako lekarstwo na reumatyzm i przygnębiecie. Nie był natomiast nazbyt religijny, choć – w miarę możliwości – starał się uczestniczyć w niedzielnych mszach. Lubił za to czytać, ciesząc się, gdy było mu dane znaleźć na kolejnych kwaterach jakieś polskie książki. Z nudów po raz setny sięgnął po *Lalkę* Bolesława Prusa. W 1917 roku sporo czasu spędzał na szkoleniach czy w przyfrontowych kabaretach i teatrach. W obliczu spadku intensywności walk na froncie rosyjskim, co wynikało z pogrążania się Rosji w chaosie, nie spieszyło mu się na front zachodni czy włoski.

Nie wszyscy wytrzymywali obciążenia psychiczne, jakie niosła ze sobą wojna. W otoczeniu Filara częstokroć dochodziło do dezercji, samookaleczeń, prób zabójstw przełożonych czy zapaдания na neurozy⁹. Kilkakrotnie pisał o rozstrzeliwaniu deztererów oraz wieszaniu osób uznanych za szpiegów, a pod koniec swej służby musiał niekiedy uczestniczyć w procesach przed sądami wojskowymi¹⁰.

Zmaganie się z błotem należało do jednych z największych bolączek żołnierzy frontowych podczas pierwszej wojny. Filar narzekał na błoto wielokrotnie. Jak z kolei w listo-

9 M. Górny, „Neurotycy ze znakiem zapytania”. Choroby psychiczne w armii austro-węgierskiej, [w]: *Doświadczenia żołnierskie Wielkiej Wojny. Studia i szkice z dziejów frontu wschodniego I wojny światowej*, red. M. Baczkowski, K. Ruszała, Kraków 2016, s. 249–265.

10 O morale armii austro-węgierskiej: P. Szlachta, C.K. *Deztererzy? Rzecz o morale armii monarchii naddunajskiej podczas pierwszej wojny światowej*, [w]: *Psychologia boju na przestrzeni dziejów. Człowiek w doświadczeniu granicznym*, red. M. Stachura, Kraków 2017, s. 67–87.

padzie 1914 roku odnotowywał walczący na froncie serbskim praski dziennikarz Egon Erwin Kisch: „Ale głód, mróz, deszcz, mgła, niemożność palenia, obladowanie i przemoknięcie nie były wcale najgorszym tego trzynastego listopada. Najgorszym złem było błoto. Okrywało całą okolicę, tak że pola drogi i rowy przydrożne były nie do rozróżnienia; dopiero gdy człowiek zapadał się nagle po samą ładownicę, dostrzegał, że trafił do zamaskowanego przez błoto rowu. Ślizgaliśmy się nieustannie – jakkolwiek ostrożnie używaliśmy karabinów jako balansjerów – i padaliśmy jak dłudzy. Do butów lgnęły pecyny błota, obciążając niczym ołowiane kule u nóg katorżników [...]. W te przekleństwa wmieszał się rozpaczliwy krzyk; byli to kanonierzy, którzy na próżno chcieli ostrogami, szarpaniem i krzykami zmusić stojące dęba konie do wręcz niemożliwej roboty: by po tej gliniastej pustyni ciągnęły działa naprzód i pod górę. Co chwila któraś z armat utykała tak głęboko w błocie, że koła znikwały całkiem, doprzęgano sześć wołów i trzy pary koni, piechurzy z osłony pchali od tyłu, i wysiłki trwały często ponad godzinę, aż uwieńczył je pomyślny skutek”¹¹.

Autor nie pozostawał obojętny na sprawy narodowe, choć nie stanowiły one głównej treści jego życia. Cieszył się, że skierowano go do baterii złożonej niemal wyłącznie z Polaków. Przełamanie frontu pod Gorlicami, do którego doszło w pierwszych dniach maja 1915 roku, skomentował w ten sposób, że nie można sobie było wymarzyć lepszego upamiętnienia kolejnej rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja. Wyraził radość z wzięcia Warszawy przez Niemców w sierp-

11 E. E. Kisch, *Zapisz to Kisch!*, Warszawa 1957, s. 211–212.

niu tego roku. Ucieszyło go frontowe sąsiedztwo z Legionami Polskimi. Wielokrotnie wyrażał dumę z powodu bitności 40. Pułku Piechoty z Rzeszowszczyzny (2. DP, X Korpus), złożonego niemal wyłącznie z Polaków. Podczas wojny Filar zetknął się kilka razy także z Polakami służącymi w armii rosyjskiej. Dla Polaków bowiem Wielka Wojna nosiła charakter wojny bratobójczej. Potwierdza to wiele relacji. Dla przykładu, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Roman Dyboski tak wspominał walki na Kielecczyźnie pod koniec 1914 roku: „Dnia 21 grudnia, o świcie, na czele kompanii 16-go (krakowskiego) pułku piechoty obrony krajowej austriackiej, szedłem do szturmów od błotnistych brzegów rzeki Nidy na wzgórze na południe od miasteczka Pińczowa, zajęte przez Moskali. Gdyśmy się wdarli wreszcie do okopów [...] zastałem tam oficera rosyjskiego, leżącego obok karabinu maszynowego, z którego całe rano pluł na nas kulami. Już się do oficera dobierali nasi sanitariusze, zaczynając, jak zwykle, od zegarka, nie od rany. Ranny słyszy wokół siebie różne «Rany Boskie!» i «Psia mać!» naszych wiarusów, widzi u mnie oficerskie odznaki i woła: «Niech mnie pan poratuje! Jestem Polak!»”¹². Filar uradował się z powodu ogłoszenia w Akcie 5 Listopada 1916 roku odrodzenia Polski, spekulując z innymi Polakami na temat konsekwencji tej deklaracji ze strony cesarzy Franciszka Józefa I i Wilhelma II. Nieco ponad rok później pałał oburzeniem na wieść

12 R. Dyboski, *Siedem lat na Syberii (1915–1921). Przygody i wrażenia*, Warszawa 2007, s. 39. Na temat bratobójczego charakteru pierwszej wojny światowej dla Polaków patrz np. P. Szlanta, *Wielka Wojna polsko-polska. Polacy w szeregach armii państw zaborczych. Zarys problematyki*, [w]: *Dziś i jutro*, s. 51–77.

o niekorzystnych dla Polaków warunkach podpisania pokoju brzeskiego, zawartego z Ukraińską Republiką Ludową w lutym 1918 roku, w którym Państwa Centralne przekazywały jej Chełmszczynę.

W tekście znajduje się wiele germanizmów, co ze względu na fakt, że językiem komendy w armii habsburskiej był właśnie język niemiecki, jest w pełni zrozumiałe¹³. W oddziałach ponad 20% stanowili żołnierze jednej narodowości; ich język był zatem dopuszczony do użytku służbowego, ale Filar ze swymi towarzyszami broni mógł porozumiewać się w języku ojczystym. Wraz z przedłużaniem się wojny dochodziło do etniczacji wojny, czyli do pogłębiania się podziałów narodowościowych w c.k. armii¹⁴. Autor dzienników wyraźnie nie przepadał za jednostkami bośniackimi, wielokrotnie zarzucając im tchórzostwo. Wbrew mitowi o przyjaźni polsko-węgierskiej, krytycznie odnosił się także do Madziarów, uznając ich za skłonnych do rabunku i okrucieństw na wzór Tatarów sprzed wieków. Nie on jeden z Galicjan miał o nich taką właśnie opinię. Jak narzekał jeden z chłopów: „źli są Moskale, źli są Niemcy, ale najgorsze bestie to są honwedy [żołnierze węgierskiej obrony terytorialnej – P.Sz.]”¹⁵. Według rzeszowskiego prawnika Wincen- tego Dańca: „W Galicji nie ma dworu i gospodarstwa, gdzie szli honwedzi, aby nie zostawili śladów dzikości i rabunków [...]. Kamienie i drzewa płaczą w Galicji tam, któreży szli

13 Szerzej na temat germanizmów używanych przez polskich żołnierzy c.k. armii patrz np. S. Kułacz, *Germanizmy w języku polskich żołnierzy armii austro-węgierskiej*, [w]: *Front wschodni...*, s. 119–136.

14 A. Watson, *Ring of Steel. Germany and Austria-Hungary in World War I. The People's War*, New York 2014: Basic Books, s. 450 i nast.

15 W. Sobieski, *Dzieje Polski*, t. 3, Warszawa 1938, s. 148.

Węgrzy. W Galicji były wsie, gdzie wszystkie kobiety gwałcili, następnie wieś otaczali, podpalali, a kto się, życie ratując, wychylił, strzelali – dziecko czy starzec, kobieta czy mężczyzna. Hunowie w czystej postaci”¹⁶.

Filar nie był wolny od antysemitycznych uprzedzeń, zarzucając Żydom brud i spekulację. Wojna przyczyniła się jednak do zaostrzenia się animozji narodowościowych w Europie Środkowo-Wschodniej. Jak tłumaczyli przyczyny antyżydowskich ekscesów w Limanowej, w listopadzie 1918 roku, miejscowi polscy aktywiści: „Co do motywów zaburzeń, w których ludność miejscowa brała udział, to jest rzeczą notoryczną, że w ciągu całego przeszło cztery lata trwającego okresu wojny nabierało się aż za nadto materiału palnego przeciw Żydom zwróconego, tak że raczej dziwić się należy, że owe zaburzenia nie wybuchły na większą skalę, zwłaszcza wobec katastrofalnego dla państwa austriackiego zakończenia wojny i dzikiej demobilizacji. Wszak często w ciągu wojny słyszało się odgrążania przebywających chwilowo na urlopiach żołnierzy, że gdy powrócą do domu porachują się z Żydami za to, że podczas wojny zdzierali za towary ich rodziny, że nie szli do wojska, a jeżeli wyjątkowo przy wojsku służyli, to objali się po magazynach, szpitalach i kancelariach wojskowych”¹⁷. Te oceny potwierdza w swych pamiętnikach Wincenty Witos, pisząc: „Jeżeli jeszcze przed wojną miała ludność wiele powodów do niechęci do Żydów, to w czasie wojny nagromadziło się tych

16 W. Daniec, *Pamiętnik z przeżyć wielkiej wojny*, cz. 1, Rzeszów 1926, s. 140.

17 *Narodziny niepodległości w Galicji 1918–1919. Wybór tekstów z archiwów lwowskich*, oprac. M. Przeniosło, Kielce 2007, s. 210.

powodów więcej. Nastrój niechętny dla Żydów potęgował się jeszcze w miarę przeciągającej się wojny światowej, dochodząc do punktu kulminacyjnego w ciągu ostatnich miesięcy. Przyznać trzeba, że Żydzi sami dostarczyli do tego wiele i istotnych powodów. Na nich zrzucała ludność odpowiedzialność za nędzę i cierpienia przebyte, oni ją bowiem szpiegowali i donosili, prowadząc nieraz na szubienicę. Stąd utarło się przekonanie, że Żydzi pozostają w ścisłym porozumieniu z władzami niemieckimi i austriackimi, występując razem wrogo przeciw Polakom. Widziano też, że ciesząc się specjalnymi względami tych władz, zarabiała grube pieniądze na dostawach wojskowych. Zarzucano im stale, że się uchylają od służby wojskowej, co się odbija na ludności polskiej, że w bezpiecznych miejscach zajmują liczne stanowiska, tak w wojsku, jak i w urzędach, działając nieraz na szkodę ludności. Jeżeli już w wojsku się znaleźli, to się lokowali na tyłach i etapach, prowadząc przeważnie różne interesy”¹⁸.

Filar o swym stanie zdrowia wzmiankował bardzo zdawkowo, choć wspominał o nasilającym się kaszlu, który budził coraz większe zaniepokojenie jego przełożonych. Dziennik urywa się nagle na wpisie z dnia 19 lutego 1918 roku. Po tej dacie powaliła go choroba, z której nie udało mu się już uratować. Umarł w sanatorium w Merano 26 maja 1918 r., nie doczekawszy końca wojny, na który z dziesiątkami milionów innych żołnierzy oraz cywili wyczekiwał. Stał się

18 W Witos, *Moje wspomnienia*, t. 2, Paryż 1964, s. 184–185. Szerzej parz np. P. Szlanta, *Doświadczenie wojenne Żydów galicyjskich 1914–1918. Zarys problematyki*, [w]: *Żydzi i Polacy w okresie walk o niepodległość 1914–1920*, red. H. Węgrzynek, Warszawa 2015, s. 65–76.

jednym z około miliona habsburskich żołnierzy, którzy utracili życie w ostatniej wojnie monarchii naddunajskiej¹⁹.

Na koniec warto podkreślić, że dzienniki Kazimierza Filara nie są jedynie źródłem historycznym, w którym z kronikarską skrupulatnością odnotowywane są kolejne wydarzenia, ale także dziełem o istotnych walorach literackich. Proza Filara – żywa i bezpośrednia – świadczy o jego niewątpliwym literackim talencie oraz nieprzeciętnej osobowości. W notatkach autor udatnie łączy obrazy codziennego życia na froncie i wojny światowej, z celnymi, pełnymi ironii i humoru obserwacjami dotyczącymi otaczającej go rzeczywistości oraz pojawiających się w jego otoczeniu osób: przyjaciół, żołnierzy, dowódców, cywili. Jednak nawet najbardziej złośliwe uwagi niepozbawione są swoistego ciepła i życzliwości. „Robię uwagę do Zygmunta” – pisze Filar – „że w polu obchodziłem urodziny i imieniny, należałoby obchodzić dla kompletu zaślubiny, chrzciny itp. poro roku, wykluczając jednak, o ile możnaść, również ważną w życiu [...] człowieka chwilę, pogrzeb”.

Dzienniki są zapisem przeżyć młodego, pełnego animuszu i młodzieńczej fantazji człowieka, postawionego w obliczu grozy wojennej, który na swój sposób stara się tę grozę owoić.

19 A. Watson, *Ring of Steel...*, s. 564.



Kazimierz Filar – fotografia portretowa
w mundurze podporucznika (Leutnant). Zb. B.



Kazimierz Filar w c.k. armii. Zb. B.



Autor *Dzienników* pozuje do fotografii w umundurowaniu. Zb. B.

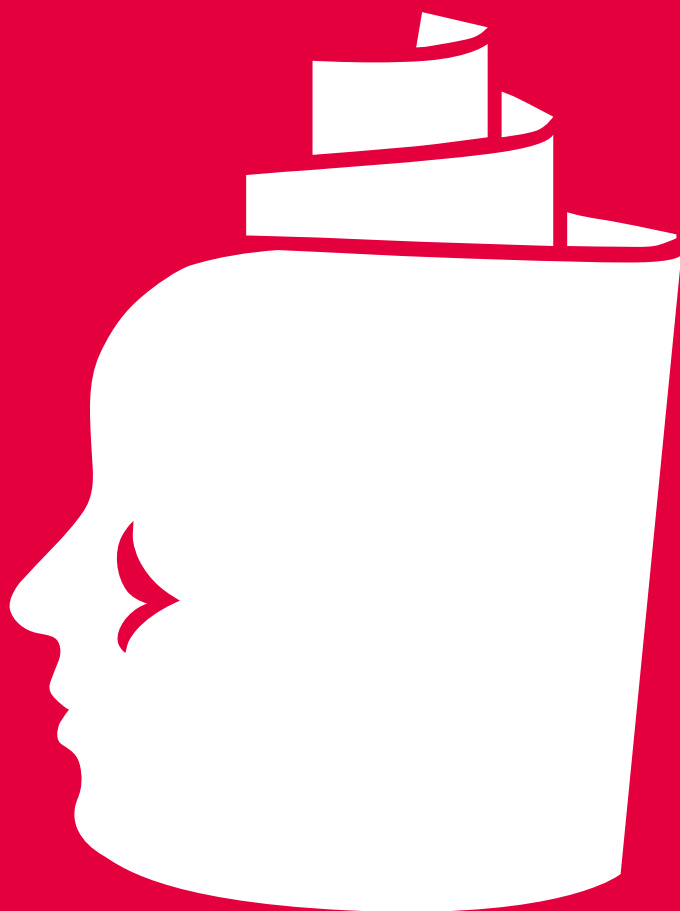


Żołnierski odpoczynek w warunkach polowych. Zb. B.



Kazimierz Filar (1889–1918). Zb. B.

11. *Śmieszne to życie! Ale go żal...*
Dzienniki Kazimierza Filara
Zeszyty I–IV





Autor Dzienników. Fot. Zb. B.

Zeszyt I

Sierpień [1914]

9 sierpnia 1914 Wyjazd z Jarosławia do Sieniawy.

10 Przysięga żołnierska, zresztą w Sieniawie nudy, choroba, tęsknota za odjazdem, do jasnej cholery.

20 Wyjazd z Sieniawy. Kwatera w Tarnogrodzie, pogoda, 9 godzina 10 minut granica, Żyd zastrzelony.

21 Z Tarnogrodu do wsi Ruda Solska – zaćmienie słońca – na jutro zapowiedziana pierwsza potyczka, żadnej wiadomości ze świata. Zdrowie i pogoda dopisują, droga od granicy ciągle piaszczysta.

22 Strasznie zimne noce – z rana przyszła 1. Dywizja FK 29¹. Zeppelin wariata robi w 5–6 kilometrach, 2. Dywizja, cała noc czekania na rozkaz.

23 Niedziela, odjazd o 4.30 rano². Przewidywane pierwsze spotkanie w okolicy Biłgoraj – Frampol, gorąco jak 100 diabłów – odpoczynek w Adamówce, dłuższy we wsi, nie wiem jak się nazywa, ale dali mleka i siana – droga piaszczysta, od godziny 4.30 do 2.30 jeszcze na koniu; siedzę już po dam-

^a Aero-
plany –
samoloty.

sku, nie chcąc się narazić na nagniotki, po drodze „arejoplany”^a. Cały dzień na koniu, bo wracałem na powrót z meldunkiem i dopiero o godzinie 7.00 przyjechałem do Krzemienia, gdzie jest kwatera i komenda. Kobyła była bardzo grzeczna, za co też udała się na spoczynek, natomiast ja musiałem czekać na dyspozycje do 12.45 godziny w nocy, i to do tego głodny jak cztery psy, bo nic jeść nie dali przez cały dzień. Jutro za to sobie odpoczniemy.

24 Zbudzili nas alarmem, i w 10 minut byliśmy w polu. Jeszcze się człowiek dobrze nie rozespał, a tu naokoło strzelanina, że się świat kończy – jeździmy z brygadierem³ po całym terenie – raz wraz jestem posłany to tu, to ówdzie z rozkazem. Ciągłe sobie uzmysławiam, że to prawdziwa wojna, ale się dotychczas jakoś nie boję. Około południa zaczynają się włączyć ranni, koło których przejeżdżam prawie bez wrażenia – pić mi się chce jak diabli, a tu nic. O godzinie 2.00 na prawym skrzydle ogień słabnie: 24. Dywizja żąda pomocy. Około 4.00 okazuje się, że nieprzyjaciół odparty – maruder się odgraża, że jak wyzdrowieje za jaki tydzień, to Moskałom odpłaci. Około 6.00 jedziemy ze sztabem do Branewki, gdzie widzę pierwszy szpital, mnóstwo rannych z obu stron, księdza ze stułą i 167 jeńców z oficerem. Dusza rośnie na widok zabranych do niewoli i na skutek talerza zupy, który wydebiłem w jakiejś kuchni polowej. Jedziemy jeszcze rekognoskować^b stanowisko dla haubic na jutro, po czym wracamy do kwatery w Krzemieniu, pieszo, bo konie okrutnie zmęczone; na kwaterze wywalczyłem kawałek mięsa i dwa ziemniaki, dostałem porcję sucharów, po czym spać! Ach, spać! Bo to najlepszy wynalazek na świecie, chociaż w nocy zimno.

^b Rekogno-
skować:
rozpo-
znawać.



Żołnierze c.k. armii w drodze na front. Sierpień 1914 r.



Bateria ciężkiej artylerii austro-węgierskiej na drodze w Galicji

25 Z rana trochę piechota strzelała, potem umilkła na cały dzień. Siedzimy z brygadierem w polu, wyjeżdżwszy się poprzednio po lesie, chodziło o stanowiska haubic i kanonów^a. Telefonujemy i siedzimy pod młynem: major zgłasza, że mu brakuje 265 ludzi i 8 oficerów z 4. J Baonu^b, rannych przewożą na chłopskich wozach gdzieś za Krzemień. Dowiadujemy się, że jeńców jest przeszło 2800, razem z rannymi; po południu jedziemy na wczorajsze pobojuwisko, gdzie rosyjska bateria rozbita, tak że tylko z dwoma działami uciekli, 6 zostawiając. Spustoszenie, kopią doły dla ludzi i koni, oficera pochowali osobno. Bierzymy sobie różne trofea – ja biorę ruską patrontaszkę^c, bo nie mam w czym papierosów nosić, i baszłyk^d, bo mi w nocy zimno w uszy. Zresztą cały dzień spokój, tylko że nie ma co jeść, i tylko tyle, co się człowiek gruszkami pożywi.

26 Maszerujemy z Krzemienia znowu przez pobojuwisko, gdzie leżą piechurzy pozabijani – uciążliwy marsz, dla mnie bez spoczynku, bo mnie ciągle gdzieś posyłają. Przyjeżdżamy do jakiejś wsi^e szukamy całe pół dnia brygadiera, wreszcie po 9.00 kładziemy się spać na polu, znowu nic nie jedząc.

27 O 3.00 wstaliśmy, i ledwie świt, już strzelają; teraz jesteśmy na stanowisku, gdzie w pobliżu pękają szrapnele – dowiedziałem się, że Malinowski zabity – nie wiem, jak się ten dzień dla mnie skończy, bo wrona nade mną zakrakała, jakkolwiek ją mam w pięcie. Konie i ludzie, tak jesteśmy przemęczeni, że ja przynajmniej zupełnie nie mam strachu, jest mi wszystko jedno i myślę, że jak trafi, to się człowiek już nie będzie objął. Co tam robią teraz w domu? Pośleli mnie do ciężkich haubic (nie do ciężkiej cholery) z rozka-

^a *Die Kanone* (niem.) działo.

^b Batalion strzelców (niem.) *Jäger-Bataillon*.

^c *Патрон-таш, патронная сумка* (ros.) ładownica.

^d Z tu-reckiego *basz*: głowa, kaptur z długimi końcami do wiązania.

^e W oryginalnym dopisek autora z braku tekstu: Huta Tu-robińska.

zem. Ledwie je znalazłem i takeśmy się obydwój z kobyłą zgonili, że ona aż zaczęła kwiczeć, a ja drzemać na siodle, zwłaszcza że to po prawie nieprzespanej nocy, bo ona przez noc zamiast spać żarła siano, a mnie było zimno. Wracając narwałem sobie jabłek i przypadkowo spotkałem brygadę, a później i generała, który niedługo zarządził odpoczynek, z którego bardzo skwapliwie skorzystałem, tym bardziej, że rano dano mi konserwę pasztetu wątrobkowego, który zjadłem z chlebem od pułkownika i popiłem jego winem; ba, nawet chwilę spałem, i nie przesadzam, wśród huku armat, bo kule nad nami przelatywały. Teraz 4.00 godzina, siedzę i czekam, co się z nami stanie, bo żadnego rozkazu nie ma. Siedzi obok kapral od bośniackiego pułku, bardzo inteligentny chłopak, z którym sobie rozmawiam o rozmaitych ogólnoludzkich sprawach. FK^a strzela tuż obok nas – wieś Olszanka.

^a *Feldkanone*
(niem.)
armata
polowa.

28 Spaliśmy w cegielni, przy piecu do wypalania cegieł – o godzinie 1.30 auf^b, i jeszcze ciemno było, jazda na północną stronę Turobina, tutaj parę strzałów, a później marsz aż do Żółkiewki, gdzie pod wieczór byliśmy alarmowani. Na drugi dzień był zapowiedziany odpoczynek, atoli zaledwie się zdążyłem ogolić i umyć.

^b W znaczeniu:
wymarsz,
pobudka.

29 Zarządzono odmarsz i po południu wyszliśmy. Koło wsi Dąbie już miało przyjść do starcia, ale wieczór zapadł i poszliśmy na spoczynek. Plagą dzisiejszego dnia były tumany kurzu, które oddychać nie pozwalały, nie mówiąc o tym, że poza końskimi uszami nic nie widać – kobyła mi już ledwie chodzi, bo i do czegoż podobne, żeby od świtu do nocy nie mieć wypoczynku. Wieczorem zwierzył mi się Stefan, że

ma wiśniówkę, którą popiliśmy ten obiad, którego nie było, po czym nam się w sercach bardzo wesoło uczyniło.

Przyszło mi na myśl, żeby napisać kartkę do domu, po paczkę z niepsującymi się prowiantami – ryzyk fizyk – może kartka dojdzie i może paczka dojdzie; ale ponieważ rano pisałem do domu, więc chyba napiszę dopiero jutro albo zgoła we wrześniu. Moskale stale uciekają, pewno się koło Lublina zgrupują, aby stawić opór i doprowadzić do rozstrzygającej bitwy. W każdym razie, niech ich morowe powietrze wytłucze, czego im z głębi serca życzę. Amen! Dobranoc!

30 Wypałem się setnie, ale niech diabli porwą wszystkie rozkazy, meldunki itp. wynalazki, bo przez nie musiałem się tylko na kuchnię popatrzeć bolesnym wzrokiem, tęsknym westchnieniem pożegnać kawę, która się tam gotowała, i bez śniadania pojechać. Po drodze tak sobie wymyśliłem, że nie ma głupszego przyzwyczajenia jak jedzenie. W drodze powrotnej urwałem cztery jabłka, które teraz zjadam, i popiłem jakąś wodą ze stawu; jeśli mnie potem szlag nie trafi albo nie dostanę dysenterii^a, to znaczy, że mnie można będzie chować na utuczenie, jeśli wrócę z wojny.

^a Dezyn-
terii.

Po wszystkich tarapatach, zaczęli na nas strzelać, tak że od 10.00 jesteśmy w ogniu, a teraz już po 5.00 posadzili mnie koło stodoły dla telefonowania i jeszcze mnie żaden szrapnel nie trafił, bo nie dość, że jestem schowany, to Mochy^b strzelają za dalekim dystansem i nic jeszcze nie trafił. Strasznie bym sobie coś zjadł, np. wiedeńskiego sznycła albo choćby kawałek chleba, ale widocznie musi to być zakazane, bo sobie nie zjem.

^b Pogardliwie
o Rosjanach (Moskalach).

31 Od wczoraj, od 11.00 rano, do dziś, 2.00 po południu, siedziałem bez przerwy przy telefonie – niech diabli wezmą. Maszerujemy do Izdebną, gdzie przychodzimy o 9.00 wieczorem; ciągle nie ma co jeść, marchew i jabłka.

Wrzesień [1914]

1 Porażka koło Zyguntowa.

2 Klęska – dalej na północny zachód – Majewski niebezpiecznie ranny. Cofamy się do Izdebną – nocleg na polu – połączyliśmy się z Dywizją nr 24. i 45., nieprzyjaciół 5 razy silniejszy. Spod dymu świata nie widać – widać się palą nokoło – z 90. pp⁴ ogromnie dużo poległo, tak samo z 40., Bratapiw ma rękę poszarpaną.

3 Wypytyuję o szczegóły dotyczące Janka, dostał postrzał w brzuch, nie wiedzą, czy go znaleziono, czy został w polu; byłem na stacji, gdzie są ranni, ale go nie znalazłem. Po południu silny ogień nie ustaje, aż do wieczora sytuacja się zaczyna na ogół zmieniać. Cofamy się do Olchowca, gdzie nocleg na polu. Kobyła już od przeszło 48 godzin nie rosiodłana, pod wieczór deszcz pada.

4 Deszcz i niebo zachmurzone – stoimy na wczorajszym punkcie pod stogami pszenicy – jeden kapral mówi, że Janek umarł, Genek Wrażej zaś, że mu lepiej – nie wiem, co o tym myśleć i ciągle jestem o niego niespokojny. Deszcz ciągle pada. Od 10.00 rano kanonada, jakiej świat nie widział! Na ogół kiepsko – przemoczony jestem cały, zwłaszcza w nogi, choć nie wiem jakim prawem, bo podeszwy do-

piero w Sieniawie dawane – głodny bardzo nie jestem, bo o 3.00 dostaliśmy obiad, zaś Buffi dał mi [ćwiartkę] chleba. Ten Buffi to może zbawienie żywnościowe, bo mi zawsze coś do zjedzenia podsunie. Rany Boskie, żeby tylko Janek wyzdrowiał, to by już było całkiem dobrze! Około 6.30 wieczór zostawiamy artylerię na stanowiskach, zaś sztab odjeżdża w kierunku do Dąbia.

5 Od 6.30 wieczorem wczoraj do 2.00 rano dzisiaj byliśmy w drodze, nieprędko zapomnę tę noc. Cofamy się tak, że to aż na ucieczkę wygląda, z racji czego przygnębienie moralne u wszystkich. Do tego deszcz pada ciągle, ciemno i wiatr, konie ledwo idą, bo cały dzień były pod siodłem, a biednych piechociarzy to aż podziwiam, że jeszcze mogą nogami ruszać, bo błoto po kolana. O 5.00 rano pojechaliśmy dalej. Ja ciągle w przemoczonych butach, bo jakkolwiek je przy ogniu suszyłem, to jednak udało mi się tylko wypalić dziurę w skarpetce, buty zaś dalej pozostały mokre. Jedziemy w kierunku Turobina, wobec czego rozmarzam się na myśl o chlebie i tytoniu, który obiecuję sobie kupić. Jednak mijamy Turobin nie przejeżdżając przez niego, i w ten sposób rozwiewają się moje marzenia. Przyjeżdżamy do jakiejś wsi na spoczynek, gdzie kupiłem parę niezłych jabłek, zaś chłop ugotował nam ziemniaków. Po spoczynku przyjeżdżamy do Dalechowic, obok Huty Turobińskiej, gdzie nieźła kwatera, dali mleka i chleba tanio i wyspał się człowiek też nieźle.

6 Zostaliśmy^a w Dalechowicach – i mam wrażenie, że tu postanowiono znowu rozegrać bitwę – pomimo że mówiono, że się wracamy aż do Sieniawy, a nawet Jarosławia. Na razie

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

wyszukujemy stanowiska dla baterii. Jak się dowiedziałem, w naszym korpusie są ogromne straty, sam widziałem kompanie piechoty, które się składały z 20–30 ludzi; zaś w pole wyszło 250. Co do Majewskiego, utarło się przekonanie, że umarł, bo szukano go we wszystkich szpitalach bez skutku. Moja cała nadzieja w tym, że go zabrali Moskale do swego szpitala, i że rana może nie jest taka niebezpieczna, żeby się wyleczyć nie mógł. Trzeba mieć rzeczywiście pecha, bo z całego pułku on jeden zginął. W nocy z 5.00 na 6.00 zdarzył się wypadek w 1. Baterii z eksplozją naboju, która zabiła 6 koni, zaś 3 ludzi tak poraniła, że choćby wyzdrowieli, to kaleki na zawsze, bo np. jeden ma obydwie nogi urwane. Całe pół dnia przesiedziałem, aż do wieczora. Konie dostały dużo owsa, ludzie też nie bardzo głodni, więc idziemy spać.

7 Jeszcze dobrze nie usnąłem, a już brygadier narobił rejdachy, żeby konie siodłać. Myślałem, że co najmniej napaść, a tu tymczasem chodziło o to, aby stać w gotowości. O 4.00 rano znowu narobił krzyku, a teraz 8.00 i jeszcze stoimy – jestem niezdrów – mam uczucie, jak gdyby mi się kości rozlażyły. Obecnie siedzę pod płotem i sobie piszę. Nie wiem, o ile się sytuacja zmieniła, bo nie słyszałem żadnej innej wiadomości, jak tę, że podobno niemiecki korpus przychodzi nam z pomocą. Jakkolwiek w nocy budziły mnie parę razy strzały armatnie i karabinowe, to jednak nie widzę gorączki, jaka zwykle towarzyszy starciom, z czego sądzę, że Moskale blisko nie ma. Wysłano mnie z rozkazem do kanonów i haubic, a po drodze przekonałem się, że jestem tak słaby jak nigdy. Zaraz też po powrocie zgłosiłem brygadierowi, że jestem słaby i nie mogę jeździć. Kazał mi się położyć i spałem też pół dnia, co mnie nieco pokrzepi-



Kolumna piechoty austro-węgierskiej
w marszu przez galicyjską wieś

ło. Jeść dziś nie gotowali, bo nie było co. Co za szczęście, że dziś nie ma potyczki ani marszu, bo już nie wiem, co by ze mną było. Wściekł się porucznik Świąchowski, czy co? Powiada, że koniec wojny będzie dopiero gdzieś w czerwcu lub lipcu! Dziś skończyły mi się bibułki, bo tytoń już dawno. Kraję cygara, które mi daje brygadier i taki tytoń pałę. Moskali nie widać.

8 Spaliśmy całą noc spokojnie, dopiero około 7.00 zaczęła się strzelanina, która trwa – żadnych dotychczas nowości. 6.00 wieczór: przez cały dzień nie zaszło nic nadzwyczajnego. Czekamy na wyjaśnienie się sytuacji – szopa z tytoniem, którą urządza Rudolf – dowiaduję się, że ma być zarządzony całonocny marsz do Goraja, a więc z powrotem ku Galicji; nie wiem, jak się nasza wyprawa skończy ani jak jest z innymi korpusami. Kosturkiewicz przynosi wiadomość, że Janka wiozą rannego, ale tak, że już nie ma niebezpieczeństwa utraty życia, niestety, radość krótka, bo wiadomość okazuje się nieprawdziwa. Co w domu robicie kochani? Dziś widzieliśmy pierwszy raz pruskich piechurów. Widocznie ów obiecany korpus jest już w pobliżu i dlatego mi dziwno, czemu się jeszcze cofamy. Aeroplany pruskie i austriackie latają nad nami prawie bez przerwy. Czekam co wieczór, a względnie noc przyniesie. Zjadłem dziś ostatnią konserwę mięsną. Wyjechaliśmy dopiero o 12.00 w nocy, chłodno jest, ale w 1. Baterii ugoszczono mnie herbatą z rumem, której wypilem multum. Po przyjeździe do Chrzanowa zatrzymano całą dywizję depeszą, której treści nie znam, ale po której wysłano mnie po komendantów artylerii, a następnie zarządzono powrót w odwrotnym kierunku.

9 6.00 rano, [a] noc naturalnie dla całej dywizji [była] bezsenna. Zauważyłem u ludzi, zwłaszcza piechurów, zmęczenie i zniechęcenie (które zresztą panuje ogólnie) do całej wojny; ledwie się rozwinęliśmy, już słysząc nieprzyjacielską artylerię. O świcie byłem w strasznie wesołym usposobieniu, sam nie wiem dlaczego. Śmialiśmy się też ze Stefanem jak rozbawione dzieci, ja z tego wróżę, że mnie dziś coś nie miłego spotka. Stefan jednak twierdzi, że to raczej w dniu, na który kilka miesięcy temu przepowiedziałem wojnę, tj. 12 [września] o 4.00 po południu. Zwierzchnicy są dziś, w przeciwieństwie do mnie, w piekielnych humorach i co chwilę też dostaje się komuś porcja. Może się udobruchają, jak zjedzą śniadanie, które im właśnie niosą. Rzeczywiście, pomogło, bo nic długi czas słysząc nie było. Pogoda przepiękna, upał taki jak to wtedy w Afryce; zmuszony jestem siedzieć na słońcu przy telefonie, aż do utraty cierpliwości.

Około południa zaczynamy się wracać znowu do wsi Tokary. Piechota ledwie nogami włości^a, a to samo i konie; przybyliśmy na miejsce, ale rozkazano niestety znowu być w gotowości, i nawet koni nie rozsiodłać; zdążyłem się jednak umyć aż do pasa, co mi się ostatni raz zdarzyło 28 [zeszłego miesiąca]. Chciałem się na chwilę położyć, bośmy przecież ani chwili nie tylko nie spali, ale nawet nie spoczywali, gdy dają mi awizo^b do odmarszu, który jest oznaczony na godzinę 9.00 wieczorem, i gdzie, znowu na powrót do Chrzanowa⁵. Mam wrażenie że nie ma w obozie człowieka, który nie twierdziłby, że nasza dywizja nie zwariowała, bo się rzeczywiście kręcimy tam i powrotem, jak z piórkiem. O 9.00 odmarsz, noc pogodna, księżycowa, chociaż zimno. Rzecz niebywała! Kolacja gorąca podczas spoczynku, miałowicie w Chrzanowie, następnie marsz, marsz, aż do wsi

^a W oryginalu: włości.

^b Tu w znaczeniu: rozkaz.



Austro-węgierskie działo polowe
na stanowisku bojowym w Galicji

Branew, gdzie przybywamy o 2.00 w nocy. Nocleg w szkole dobry, choć zimny.

10 Budzą^a mnie o 3.30 gotować się do odmarszu – jedziemy z wszystkimi artyleryjskimi sztabami rozpoznawać stano-wiska. Pod folwarkiem siedzę i częścią śpię przy telefonie, zmęczony jak 100 diabłów. Około godziny 5.00 po południu wypędzają nas z całym sztabem nieprzyjacielskie szrapne-le. Niech tego Rogowskiego Pan Bóg kocha, bo spotkałem rano swoją baterię i dał mi kieszeń sucharów – nic z mąki nie widziałem już parę dni. Dowiedziałem się przy tym, że bateria zniszczyła 8 dział nieprzyjacielskich, i że mój były ordynans Rusinko lekko ranny w kolano. Obecnie siedzimy pod stogiem słomy i czekamy na rozkaz z korpusu, który nakaże zapewne dalszy powrót. Ach! Żeby to nareszcie do Galicji! Wszyscy do niej wzdychamy.

^a *Dopisek
autora: MH
Choiny.*

Ruszyliśmy po 8.00 wieczorem i przyszedliśmy do Krze-mienia zmarznięci i głodni; zaraz też kazałem rozniecić ognisko, przy którym grzaliśmy się do świtu i piekliśmy ziemniaki. Mój Jasiek dostał dla nas chleba, dali przy tym tej „kawy” i stało się dosyć wesoło. Nie śpimy już drugą noc, pomęczeni wszyscy, a przynajmniej ja – okrutnie.

11 O świcie ruszyliśmy dalej z Krzemienia przez Flisy, do wsi, która się nazywa pięknie: Golce. Po drodze myślałem, że spadnę z konia, tak mnie wszystkie kości bołą i oczy się zamykają, a tu na dobitek posyłają mnie do haubic z roz-kazem – kobyła ledwie nogami włóczy, już przeszło 48 go-dzin nie rozsiodłana. Upał nie do wytrzymania. Jadę ra-zem z porucznikiem od ułanów, Świejkowskim⁶, który jest siwy i przy tym niespokojny o swoje sześcioro dzieci i żo-

nę, którą zostawił w domu. Rozmawiamy sobie bardzo miło o sytuacji i braku tytoniu, czego skutkiem jest, że dostałem papierosa i cygaro; błogosławionym niech będzie ten uczynek jego!

Przyjechaliśmy nareszcie do tych Golców i zaraz [następuje] szukanie kwater; przed kwaterami znalazłem jednak śliwki i garnuszek. Kolację dostałem przy 5. Baterii bardzo wyśmienitą, z piwem, pożywiwszy przedtem ludzi i konie. W ogóle Golce nie są takie gołe, jak się nazywają, bo nieźle mi się tu wiedzie; tu dostałem też kartkę z domu i od R. Spanie królewskie na sianie, przed snem gawędka z Tadzkiem S., który jak my wszyscy ma już dosyć wojny. Ominęło mnie nieszczęście, bo miałem jechać po rozkaz, ale pojechał kadet.

12 Nowina! Radosna nowina zaraz z rana! Majewski żyje i jest mu lepiej. Jest w Nisku, w szpitalu, a draba kawałek! No, mam przynajmniej humor na cały tydzień. Teraz siedzę, czekamy na rozkaz, który jeszcze nie przyszedł, choć już 5.30 rano. Patrzę jak sobie kogutek wesoło spaceruje i piszę – mamy być dziś w Ulanowie – może tam coś nareszcie będzie można kupić, a przy tym są tam przecież znajomi, państwo Sokola-Sok[u]lscy! Jedziemy, piasek wszędzie i wiatr robi tumany kurzu, po drodze wieś Kurzyna, gdzie kupiłem kromkę chleba i trochę mleka. Obecnie czekam na chleb, który baba wsadziła o 10.00 do pieca, a teraz dopiero 11.00 i nie chce go wysadzać, aż za godzinę, strapienie więc, czy do tego czasu nie odjedziemy. Nie tylko żeśmy nie odjechali, aleśmy nawet zostali całkiem i porobili kwatery. Mnie się dostał pokój razem z adiutantem, i w ten sposób spędzę pierwszą noc w pokoju od czasu wyjazdu z Jarosła-



Grupa austriackich ułanów na biwaku

wia, tj. miesiąc i 3 dni. Powodzi się nam tu jak w niebie, bo jest masło, ser, jaja, mleko, w ogóle wszystkie możliwe owoce południowe, które też konsumuję z takim zajęciem, jakbym nigdy nic innego w życiu nie robił. Nade wszystko gospodyni jest taka usłużna i tak szczerze posiadająca serce, że samo jej usposobienie już by mnie nasyciło.

Okolo południa deszcz padał i dotychczas [niebo] jest zachmurzone. Podobno mamy o 3.00 rano dalej maszerować, należałoby iść już spać, bo 9.00. Po południu przechodził przez tę wieś Kurzynkę (Rauchensdorf) niemiecki korpus, który był po drodze napadany przez kozaków w Golcach, a więc we wsi, z której rano wyszliśmy. Zdziwiająca [jest] bezczelność kozacka, bo przecież musieli dać pole, co się też stało. Cały dzień myślę o Janku i ucieście mojej nie ma końca. Znalazłem tu „Głos Narodu” z 3 b.m., na który się rzuciłem jak lew na jagnię, i schowałem do torby, trochę tylko przeczytawszy. A to się papieżowi⁷ zmarło! No! I nic by człowiek nie wiedział, gdyby się nie dowiedział. Po gazetach piszą takie rzeczy, jakby się rzeczywiście znali, co się na prawdziwej wojnie działo; no, ale jeśli Lwów zajęty⁸, to serwus lody! Ale idę w końcu spać!

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

13 Zbudzili^a nas o 2.30, i marsz po nocy, i deszcz, który obficie pada; droga piaszczysta i zabita kompletnie ludźmi, bo i niemiecki korpus spotykamy po drodze. Myślałem, że będziemy jakiś czas w Ulanowie i poszukam państwa Sokulskich, ale niestety przejechaliśmy przez to „miasto” nie zatrzymując się wcale. Za Ulanowem przeprawa przez Tanew⁹, a później przez San. Po przeprawie spotykamy pionierów, którzy przygotowują miny ekrazytowe¹⁰ do wysadzania mostów. Idziemy, idziemy, aż nas po drodze zatrzy-

mali i dali nam kawy (ja dostałem też i herbaty), i do tego sucharów; uczujemy ze Stefanem, aż się uszy trzęsą.

W dalszej drodze zatrzymujemy się dla rekognoskowania stanowisk, ja mam chwilę czasu, więc czytam „Głos Narodu”, który wziąłem z Kurzynki. Zdążyłem też dać [...] W. 2 jaja, które też stamtąd zabrałem, w ilości dość obfitej, razem z kawałkiem chleba etc., etc. W końcu wysłano mnie do Rudnika naprzód, celem przygotowania kwater, bo tu się zatrzymać mamy. Ja znowu znalazłem wspaniałą kwaterę, bo konie mają siano i owies pod nosem, a gosposia troszczy się jak o rodzzonego męża albo zgoła narzeczonego, mam więc mleko, ziemniaki z kielbasą (za słone), śliwki, jabłka itp. medykamentu. Dostałem dziś pensję za 20 dni; nakupiłem też różnych rzeczy, jak świece, piernik, a po wielkich trudnościach i tytoniu. W ogóle czuję się jak w niebie, tym bardziej, że zapowiadają ośmiodniowy spoczynek. Przyszedł tren^a, dostałem konserwy, a może John przyniesie także i chleba, bo wyszukał gdzieś jakąś piekarnię i wybiera się na całą noc czekać, aż się chleb upiecze. Daj mu Panie Boże zdrowie, bo dobry chłop, i do tego głupi! Poszedłem spać o 7.00.

^a Tu w znaczeniu: tabor.

14 Wyspałem się pod pierzyną do 4.00, bo dłużej już spać nie mogłem, chociaż leżałem do 5.30. Dostałem pyszne śniadanie, składające się z litra mleka z miłym cukrem i chleba wczorajszego, po czym poszedłem na miasto, gdzie o dziwo spotkałem państwa Sokulskich. Spłakała się kobiecina, niby z uciechy, że mnie widzi, i uśmieła się ze strapienia, że im kazali wyjechać z Ulanowa, który ma być dziś przez „bomby” bombardowany. Naopowiadałem też o wojnie, co się tylko wlażyło. Później posłali mnie z rozkazem do Stró-

ży, a później piłem czysty spirytus i poszedłem do fryzjera ostrzyć wąsy i trochę głowę. Moja gospodyni zabiła dziś wieprza, więc też ciągle mnie nagabuje, czy bym też czego nie zjadł; ja zaś nie jestem bardzo od tego (no i nie chcę jej serca odmową zakrwawiać). Więc też „młóć” co się zmieści, nie bacząc, że mleko i podgardle, tudzież połędwica i śliwki z jabłkami, nie bardzo się w poglądach na siebie godzą. Nie obawiam się jednak żadnych komplikacji, bo mam w kieszeni przepisy o zdrowotności, których jeżeli nie przestrzegam, to je w każdym razie noszę.

Około 1.00 po południu zaczęły się silne strzały armatnie, przypuszczam więc, że nas Moskal usiłuje gonić. My wprawdzie odpowiadamy z trzech baterii, ale prawdopodobnie uciekniemy dalej; czyli że role się zmieniły, bo tak wroga wabimy za sobą, jak on to robił [z nami] na początku wojny. Ten deszcz mnie już do rozpacz doprowadza, bo człowiek ciągle mokry i zabłocony, jak i jego koń (nieprzymierzając), a to przecież dobrze na podnoszenie ducha ani nóg w błocie nie wpływa. Stoimy teraz, oczekując dobrych wypadków i ewentualnego rozkazu do odjazdu. Nic szczególnego do wieczora nie zaszło. W nocy nie dano mi spokoju, bo musiałem do 2.00 godziny czekać na rozkaz i chodzić potem z nim po panach starszych; deszcz ciągle pada.

15 Wstaliśmy o [godzinie] 4.00 i znowu posłano mnie do 1. Dywizji, której znaleźć nie mogłem. Zły jestem jak pieprz i bez humoru, bo stary jest nudziarz i piła, tak że mam już dość jego towarzystwa. Spotkałem inżyniera Kosydarskiego jako zwykłego pioniera. Jakkolwiek deszcz nie pada, ale jest pochmurno, i błoto, które zachlapuje każdy krok, mojego konia i Żydów, których wymijam. Jeszcze raz jestem z roz-

kazem posłany, aż w końcu odmarsz i idziemy przez Groble do Łowiska. Tutaj znalazłem szopę, w której się zmieściłem z końmi Wróbla. Szopa z wójtem, którego przywiązali do drzewa, za to, że uciekł nie wykonawszy rozkazu pozamiatania szkoły. Ekselencja¹¹ chodzi po wsi i własnoręcznie patykiem bić raczy żołnierzy, którzy chodzą samopas za chlebem i mlekiem. Kobyła ma [miejsca] strasznie odparzone od siodła i popręgów, nie wiem, czy ją będę mógł dosiadać. Wróbel przyniósł mleka, którym zapiłem całe nieszczęście i poszedłem spać.

16 Spałem^a jak borsuk przez 11 godzin, bo od 7.00–6.00 rano. Z przerażeniem przekonuję się, że kobyłę tak te rany narzmiły, że jej stanowczo siodłać nie można. Powiedziałem to zaraz brygadierowi, a on kazał mi chodzić piechotą (niech sobie sam chodzi), a siodło dać na wóz; później się jednak namyślił i wysłał mnie do baterii, zażądawszy innego podoficera na moje miejsce. Zamieniłem role ze Stefanem i jestem na jego miejscu wywiadowcą, on zaś poszedł na moje miejsce. W ten sposób jestem przy baterii, z czego się bardzo cieszę, tym bardziej, że się tu wzajemnie lubimy. Maszerujemy przez Górno¹²–Mazury-Zielonkę, aż do Raniżowa Staniszewskiego, gdzie zostajemy na noc. Wcale mi się dobrze powodzi, bo zaraz na wstępie dali nam jajecznicę z 60 jaj i chleb z masłem, do tego chłop przyniósł mleka i stało się wesoło. Wesoło gwarzyliśmy do wieczora, aż nagle, przed kolacją, burza zmusiła nas do szukania schroniska w stodole, do której w ciemności z trudem trafiliśmy. Dopiero do stodoły przyniesiono nam kolację (kuchęta z ryżem, herbata), po której zaraz spać – deszcz leje ciągle – jestem przemoczony, bo nie mam żadnej „gumy”.

^a *Dopisek
autora: Sta-
niszewskie.*

17 [O godzinie] 3.30 wstawać – śniadanie – i jesteśmy w polu z pułkownikiem, bo zamierzamy tu stawić opór, jeśli nas dalej ścigano. Deszcz nie pada, ale zimno i pochmurno. Jestem na razie razem z patrolą wywiadowczą przy pułkowniku, który mnie wysłał do komendanta dywizji z rozkazem. Po drodze spotykam brygadiera, który łaskawie zapytuje o zdrowie... mojego konia. Po powrocie zjeżdżamy się razem ze Stefanem, który jest chory, czego dowody mam jeżeli nie namacalne, to w każdym razie widzialne. Zawiadamiam też zaraz o jego chorobie brygadiera, który mu kazał iść chorować, a mnie na jego miejsce znowu do brygady wrócić. W ten sposób tylko jeden dzień byłem przy baterii, bo co dobre, to nie może trwać przecież długo. Wyjeżdżaliśmy się dosyć po polach, w końcu udaliśmy się do Raniżowa, po sztab dywizji, z którym znowu wróciliśmy do Zielonki. Po drodze jeszcze byłem posyłany do Alt^a, zaś obecnie 1.00 po południu siedzę przy nareszcie urządzonym telefonie, oczekując na równi za wszystkimi rosyjskiego ataku.

^a *Älter*
(niem.)
starszy-
zna, stary,
„góra”, szef.

Nic nie mogę zmiarkować, jaka jest ogólna sytuacja; wiem, że w okolicy Lwowa miały się rozegrać rozstrzygające bitwy, ale o ich wynikach żadnego słyhu, czyli że mają kiepski rezultat. Gdyby nam się na wschodzie nie powiodło, to nasz korpus byłby tym bardziej ścigany, gdy tymczasem nic Mocha nie widać. Ostatecznie więc jestem dalej mądry jak tabaka w rogu (albo na środku), tym bardziej, że do nas się nie dostają żadne wiadomości, chyba takie, jak np. wzięcie 70 000 Moskali do niewoli. Ponieważ już jednak dosyć dawno nie nabrano tysięcy do niewoli, przeto brak wiadomości uważam za trzepanie nam skóry, co już nie wiem, czym tłumaczyć, bo nasi chłopcy są bitni jak rzadko. Uciera się tu przekonanie, że za dwa tygodnie będzie po

wojnie, co aby się sprawdziło, daj Boże! Do samego wieczora siedziałem przy telefonie, zaczęło już zimno być, myślałem, że tak przez całą noc siedzieć będzie trzeba, gdy moim kazano poszukać kwatery dla siebie i koni. Po ciężkich cierpieniach został wcale niedelikatnie wyrzucony pan nadporucznik ze stodoły, w której umieściliśmy nasze konie, w tej też stodole ułożyłem moją osobę na spoczynek.

18 O świcie byliśmy już w drodze: ciągle się cofamy przez Raniżów–Pogwizdów–Widełkę do Kupna, deszcz pada i tak przykra atmosfera, że żal człowiekowi samego siebie. Podczas postoju w Widełce, gdy wszyscy są pod dachem i konie mają siano, mnie akuratnie w największy deszcz wysyłają do pułku z rozkazem, nic też na mnie suchego nie ma i zimno, że zębami kłapię. Po drodze dostałem kartkę od pana Kop., dlaczego Stefan nie pisze – wyspałem mu też pater noster – około 1.00 po południu stanęliśmy w Kupnie, u bogatego gospodarza. Mamy wszyscy dach nad głowami, zaraz na wstępie zrobiłem sobie jajecznicę z pięciu (po 2 ct jaj!), bo słoniny za dwie szóstki odkupiłem od Jaśka.

Ponieważ moja bateria ma obóz 20 kroków ode mnie, więc też poszedłem tam z wizytą i zaraz dostałem kawał cukru i sucharów. Miło też spędziłem popołudnie na goleniu się i myciu. Deszcz przestał padać i przyszedł Stefan z wizytą, przyjąłem go więc w stajni samą tylko rozmową, bo nic pod ręką do zjedzenia nie było. Wieczorem udało mi się dostać mleka, a ponieważ jeszcze w Rudniku kupiłem kakao, więc je też teraz ugotowałem. Była to feta, jak nigdy na wojnie, Jasiek pił także, a jakże. Konie napojone i nażywione, siano na noc mają ile chcą, więc też i ja do stodoły na łubę siano się udaję!

19 I dziś, jak za poprzednich dni, wojna. Zbudziwszy się skonstatowałem z przerażeniem brak scyzoryka, który mi prawdopodobnie wypadł z kieszeni do siana, strata niepowetowana! Na śniadanie nic nie dostałem, o 6.00 odmarsz. Idziemy przez Hutę Przedborską – Kamionkę. W Kamionce postój. Nic nie mam przy sobie do jedzenia, ale dziwnie się składa, bo jakkolwiek nikogo nie proszę, ciągle mi ktoś coś daje – to D. jaja, to por. Gołuchowski czekoladę, kadet chleba z mięsem, brygadier sera – jednym słowem, nie sieję ani orzę, a jem wcale przyzwoicie. O ogólnej sytuacji zielonego pojęcia; na żaden sposób nie mogę pojąć obecnej taktyki, jem, śpię i dalej jadę na pamięć, jak ten kuferek, co go nadali z Jarosławia do Trzebini, ale sobie pomylił drogę i go wszędzie wożą. Jedziemy dalej przez Żdźary – przypominam sobie, że to własność Schinelów (Marysia de domo Filarówna), ale równocześnie przychodzi mi do głowy, że oni mieszkali w Biskupicach, chociaż mieli i Żdźary – przejechałem więc mimo koło swego (!) majątku, po czym zaczęliśmy przez pola i las drogę skracać, tzn. błdzić. Mieliśmy się dostać na folwark Kozie, jednak dzięki „skraccaniu drogi” przyjechaliśmy do całkiem innej wsi, w której już stała 24. Dywizja, no i musieliśmy się wracać; ostatecznie jesteśmy w tych Kozicach, i to, o radości, pod dachem. Do tego gospodyni znowu z dobrym sercem i z dobrym mlekiem. Zaznaczyć należy, że posłałem na wieś i kupili mi garnek masła za 80 ct, oraz że tutaj w Kozicach, wyraźnie mówię, w Kozicach, kupiłem ½ kilograma [...] cukru! Nie wiem, czy dywizjoner¹³ już naprawił swój humor, bo przed południem był wściekły na tych, którzy wychodzili z szeregów, kilku zbił nahajem, a jednego, który się na trawie położył, nawet własnoręcznie nogą w siedzenie kopnąć raczył! Jednym słowem, chce się na gwałt robić popularny!

Taki dziś po drodze był straszny wiatr, że aż się „drzewa ruszali” – przecież jednak mnie głowa rozbolała i mam gorączkę. A może to gorączka nie z wiatru, tylko zaczątek jakiej wojennej choroby, jak np. cholera, morowe powietrze, szarańcza, udar mózgu etc.? W każdym razie, mam się na baczości, więc tylko napiszę kartkę do domu, że zdrow jestem, a potem się kładę i mogę spokojnie umrzeć... to znaczy nie tyle znowu zaraz umrzeć, ale wypaść się setnie. Nie wiem, czy to na skutek wojny, czy zbliżającej się zimy, dosyć, że wykazuję coraz więcej podobieństwa z borsukiem, niedźwiedziem itp. domowymi zwierzętami, bo strasznie lubię zasypiać. Żeby mnie tylko gdzie nie zechcieli uśpić na całą zimę! Bo już bym się i na wiosnę nie obudził! Ale co tam o głupstwach myśleć! „Złego diabli nie wezmą”, w przysłowiach mądrość narodów, więc też jestem spokojny, że mi się nic nie stanie. Ostatecznie zjadłem jeszcze 4 jaja i zrobiłem sobie tak jak wczoraj kakao^a – fajna wojna! A teraz, po dniu spędzonym na polu chwały, udaję się na słomę jęczmienną, celem wyleżenia się, jak Bóg przykazał.

^a W oryginalu: cakao.

20 Chwała Bogu, od samego świtu do teraz (4.00 po południu) deszcz pada taki, że równa się klęsce, żeby przynajmniej na 5 minut przestał! Ale to pada i pada, psiakrew pada! Piękna niedziela! Zamiast się wypaść albo zjeść coś lepszego, niż w tygodniu, jak to jest w zwyczaju, to do 100 diabłów roगतych!, no niech nie zgrzeszę! Maszerujemy od 6.00 rano, mokrzy jak psy z Koziów (psiakrew, amerykańska nazwa), przez Pustynię (także jakaś afrykańska wieś) do Dębicy (no, to już całkiem Europa!). W Dębicy postój, ale deszcz ciągle pada, my naturalnie nie pod dachem, ale za to pod apteką mokniemy z takim spokojem, jakbyśmy

^a W oryginale: kakaa.

całe życie nic innego nie robili. Podpuściłem nadporucznika, żeby mnie puścił na miasto, to mu może kupię kakao^a albo czekolady; wprowadzie mi pozwolił, ale wycieczka była względnie pomyślna, bowiem nakupiłem zaledwie cukierków, które porozdzielałem między oficerów. Scyzoryka ani rusz dostać w całej Dębicy! Aliści maszerujemy dalej – błoto – Chryste Panie! Piechurów nie mogę z wyglądu bynajmniej do ludzi porównać.

Przybywamy nareszcie na kwaterę w folwarku w Łatoszynie. Stajnie obszerne, że wygodnie się mieścimy, ale mnie już nic nie w głowie, tylko żeby wyschnąć, bo do butów to mógłbym nawet wędkę zarzucić i diabli wiedzą, czy by się co nie złapało.

Znalazłem więc chałupę, w której (moja szczęśliwa gwiazda!) znowu gospodyni przyjmuje mnie z otwartym sercem. Dała mi kawy, potem mleka, które zaraz przerobiłem na kakao, powiesiła mi płaszcz na piecu, po czym (chyba się baba zakochała we mnie) przeparała mi skarpetki i suszy je na piecu razem z butami, które kazała mężowi wypchać słomą, żeby się nie przypaliły. Nie wiem, czy rodzona żona przyjmie mnie kiedyś w ten sposób, *à propos*, żałuję, że nie jestem żonaty, tak jak moja gospodyni, bo ściągnąłbym spodnie dla lepszego ich wysuszenia, czego jako kawaler ze względów przyzwoitości uczynić nie mogę. Muszę więc suszyć wszystko na sobie, jak ten, co to się wieczór ogniem bawił... Ciekawe jest, że dopóki byłem z rana suchy, to byłem w kiepskim usposobieniu, jak tylko mi zamokły kolana i niżej, tudzież wyżej, nabrałem takiego humoru, że się cały sztab weseli, bo wice^b wyprawiamy. Zdaje się, że na tę biedę najlepszy śmiech, bo byśmy inaczej tego dnia chyba nie przeżyli. Najlepszy to już brygadier, bo kazał w Dę-

^b Der Witz
(niem.)
żart,
dowcip.

bicy konie poić! Naturalnie, że go wszystkie konie wyśmiały, kpiąc z podobnej propozycji w taki deszcz! Zupełnie tak samo, jakby mi się kto teraz przemoczonemu kazał kąpać w rzece, a potem się napić sodowej wody z lodu i zjeść kawę mrożoną! No, ale trudno! Od tego się jest starszym, żeby dawać rozkazy; wesółta ta moja gospodyni! Deszcz ciągle pada, a ona powiada, że się „przeciro”, że się pogoda robi! Ma baba psiakrew humor! Ale ostatecznie pozałatwialiśmy wszystkie potrzebne rzeczy z końmi i kolacją, chciałem iść spać, gdy zawołano mnie do komendy, aby doręczyć rozkaz haubicom, o których nikt nie wie, gdzie się znajdują. Ładna perspektywa na ten dzisiejszy czas!

Nie znajduję jednak żadnej rady i walę pieszo, bo nie chcę po nocy konno (do tego szkapa odparzona), do Pilzna stąd 8 km. Szukam po tym Pilźnie, znajduję piekarnię, jakieś zatargi z pijanym żołdactwem, nawet wóz z uciekinierami z Niska, którzy twierdzą, że tam już jest Moskał, a haubic ani rusz znaleźć nie mogę. Chodzę po mieście, obok znajomych domów, okien, i tyle wspomnień mi się nasuwa. Wspomnienia! Psiakrew, sentyment! Bałwan jestem, a przecież się z nich otrząsnąć nie mogę; i całą drogę powrotną jestem nie „u siebie”. Ostatecznie szukam całą noc tych wściekłych haubic nadaremnie i wracam o 6.30 rano do dywizji, gdzie zastaję podoficera czekającego na rozkaz, z którym ja nadaremnie całą noc błądziłem; zmęczony też jestem jak Syzyf, jak cała, psiakrew, mitologia!

21 O 7.00 położyłem się spać, ale gdzie tam spać dali! Ciągle się ktoś przebiega^a, że usnąć nie można. Całe szczęście, że dziś zapowiadany spoczynek i nigdzie nie maszerujemy. Spoczynku atoli nie bardzo mogę wykorzystać, bo już

^a Kręci się, przeszkadza.

przed południem posyłają mnie do mojego pułku, a zaraz po południu znowu do Pilzna, do wozów amunicyjnych. Nagoniłem się więc, wytrzymałem na wózku, napisałem kartkę do domu i obecnie zmęczony czekam, aż się ziemniaki ugotują, aby nie spać z pustym żołądkiem^a.

^a W oryginalnej: żądłem.

22 Drugi dzień spoczynku. Wstałem dopiero po 7.00 i cały boży dzień spędzam na bezczynności. Deszcz pada taki jak przedwczoraj, że odchodzi ochota wyjść na pole. Nie wiem, co za przyczyna, ale przez cały dzień jestem taki niespokojny jakiś, że sobie sprawy zdać nie mogę z tego. Nigdy jeszcze nie czułem się taki samotny, nie było mi tak smutno, jak dziś. Żeby to przynajmniej na godzinę można było się znaleźć w domu! Nic nie pomoże – psia taka robota!

23 Wyjechaliśmy o 7.00 rano ze sztabami artylerii – pochmurno i ciągle jakoś ponuro – jedziemy przez Podgrodzie, Braciejową, zdaje się dla wyszukania stanowisk 1. Dywizji 29. – błądzimy atoli po drodze, bo też ciągle góry, jary, potoki, a żadnej drogi – trafiamy na jakiegoś leśniczego, który nam w końcu wyczerpująco wyjaśnia, gdzie się znajdujemy. Około południa zaczyna deszcz padać, jedziemy przez śliczną drogę wśród lasu bukowego. Tak też tu pięknie, że mi się aż śpiewać chce, ale tylko nucę pod nosem suplikacje¹⁴. Stajemy na samym szczycie góry, obok Braciejowej, gdzie nas dochodzi wiadomość, że rosyjska kawaleria i artyleria jest koło Sędziszowa. Zresztą w ogólnej sytuacji w dalszym ciągu nic się nie dowiedziałem – mam tylko przecucie, że jest źle, i że szkoda tych poświęceń i polskiej ofiarności, o której mnie słuchy dochodzą. Na tej górze niedługo stoimy, bo przychodzi rozkaz wzywający do powrotu.

Zaczyna się nowa seria błędzenia wśród deszczu – przez Sewczówkę – Połomeję do Pilzna – Matko Boska, co za droga! Przejeżdża tędy równocześnie 24. Dywizja, że też te konie nóg nie połamały! Nasze konie ledwie nogami włóczą, dostajemy się wreszcie na most koło Pilzna, gdzie nas objaśniają, że nasza komenda jest w Parkoszu, do którego w końcu się dostajemy przed 7.00 wieczór. Tak więc cały dzień przeszedł mi na koniu, bez pożywienia, bo nic ze sobą nie miałem, wśród deszczu i po złej drodze. Panie odpuść im, bo nie wiedzą, co z nami czynią! Do południajechałem ze Stefanem, który mnie zawiadomił, że ja i Jędrus Horwath mamy zostać kadetami; ciekawym, kiedy się to stanie; w każdym razie gaża i dodatki do niej źle by mi nie zrobiły, jakkolwiek mi pieniędzy nie brakuje. Najlepiej jednak ze wszystkiego, niech nas puszcza do domu!

24 Wstaliśmy o 3.00 i o 5.00 maszerujemy w kierunku Pilzna – po drodze gonią mnie za jakąś procą¹⁵, która ostatecznie została gdzieś na gościńcu.

Z wyjątkiem przejazdu przez Pilzno, gdzie znowu dziwnie jestem usposobiony, mija marsz bez szczególnych wrażeń; marsz co prawda krótki, bo zaraz za Pilznem zatrzymujemy się na cały dzień w Łękach Dolnych. Tu kupiłem za 4 K. dwie kaczki i koguta – jak używać, to używać! Niech i ja zaznam rozkoszy wojny kokoszy! Całe przedstawienie, ale i przykry widok mam po południu z pijanym piechurem, którego przywiązali do „słupka”¹⁶: przeklina każdego starszego, od kaprała, aż do brygadiera po imieniu. Do mnie odnosi się jako do feldfebla od muzyki, abym go odwiązał, niestety, zrobić mu tego nie mogę, bo warta stoi. Goliłem i myłem się dziś, oraz mam buty wyczyszczone do blasku –

wypadki godne zanotowania! Czekam i czekam, aż się te kaczki upieką, bo mi je obiecał sporządzić dywizyjny kucharz, ale czekałem w ten sposób do 9.00 wieczorem bez skutku – poszedłem więc spać bez kaczek i bez butów, bo je zdjąłem, czego zbyt często nie praktykuję.

25 Wypaliliśmy się świetnie, i ledwie oczy przetrzeć zdołałem, już pobiegłem po pieczony drób. Okazało się, że jedna kaczka jest gotowa, zaś drugiej połowę ktoś zeżarł, koguta zaś całkiem już nie było, więc możliwe, że go kto przez pomyłkę zaniósł do szpitala jako rannego; ha, trudno i darmo! Tylu nas ginie na wojnie, że nawet nie mam czasu go żałować, tylko „cześć jego pamięci” i wyjeżdżamy. Zaraz na wstępie zostawiono mnie, aby czekać na haubice, siadłem więc na drągu i patrzę na defilujące przede mną wojsko. Nieoczekiwanie też zobaczyłem Staszka Tomaszewskiego przy Jägrach^a jako łapiducha, także psiakrew zaszczytny urząd! Następnie widzę Wacka Kalicińskiego, jednym słowem, wesoło mi się robi, tym bardziej, że przejeżdża nasz pułk i każdy znajomy oficer krzyczy do mnie *ich gratuliere*, a ja nie mam pojęcia, co to ma znaczyć – w każdym razie robię wesoły pysk, jak gdybym wiedział, o co chodzi i powiadam, że *ich danke!* Po godzinie mego siedzenia przybawają w końcu haubice, z którymi jadę naprzód. Po drodze znowu się namawiają, żeby tu mieć stanowiska. Aż wreszcie dojeżdżamy do Skrzyszowa, gdzie kwatera we dworze.

Zaledwie konie rozsiodłałem, aliści posyłają mnie na rowerze do Tarnowa na sprawunki, jadę też jak gdyby mi skrzydła urosły, i kupuję przeróżne rzeczy, z wyjątkiem czekolady i tytoniu, które to artykuły wyżarło pruskie wojsko do cna. Po mieście chodzę rozpromieniony, bo przecież ty-

^a Jäger
(niem.)
strzelec.

le czasu nie byłem w prawdziwej Europie! Humor też mam taki, że gotów jestem uścisnąć każdego przechodzącego Żyda albo zgoła Żydówkę – wszakże to przecież miasto, w którym pierwsze stawiałem kroki! – myślę, niby na promenadzie. Ostatecznie jednak każda rzecz ma swój koniec, i ja też, więc około 5.00 zawracam trzeszczącego pedałami rumaka do Skrzyszowa. Tu już nic szczególnego się nie stało. Rozmarzony „wielkomiejską” atmosferą, zasypiam w stole, i przez noc budzę się z zimna parę razy.

26 Wyjeżdżamy rano w pole, gdzie sztab dywizyjny z ekscelencją ogląda urządzenie i okopy wzdłuż linii obronnej. Urządzenia rzeczywiście wzorowe – pracują tu saperzy, pionierzy i załoga złożona z pospolitaków – zryli tak wszystko naokoło, jak najautentyczniejsze krety, ale też robotę widać i rzeczywiście będzie trudno Mochom tę pozycję zdobyć! Na razie nic o nieprzyjacielu nie słychać. Jak widzę, zaprzestaliśmy się cofać, i tu już chyba musi dojść do rozstrzygnięcia; wprawdzie na wypadek odparcia będziemy go znowu gonić, ale przypuszczam, że bitwa, którą tu stoczymy, zadecyduje o jakimś konkretniejszym wyniku wojny. No, co Bóg da!

Z pola posyłają mnie konno do Tarnowa, po komendantów fortecznej ciężkiej artylerii, która nam przysłała jako zasilek. Ładny psiakrew zasilek! 30,5 cm moździerz! – dziurę w niebie można by zrobić takim pociskiem, a co dopiero zabić Rusa! Ostatecznie w Tarnowie nikogo nie znalazłem, wróciłem więc w pole, gdzie jeździliśmy jeszcze do 4.00 po południu. Obecnie mieszkamy w Gumniskach, w pałacu X. Sanguszki. Takiej kwatery jeszcze nigdzie nie było i nie będzie. Z kadetem N. dostaję pokój z dwoma łózkami, co



Tarnów w przededniu wybuchu I wojny światowej

się też słusznie należy wojownikowi tego co ja pokroju! Naturalnie, że się cały myję i golę, jak sam ranny ptaszek! Wymienione okoliczności wystarczyły, aby mi poprawić dobry humor; nikt też nie ma wyobrażenia, co się stało, jak mi przyniesiono przesyłkę z domu! Jacy oni pocziwi, tak o mnie pamiętają! Daj Boże, wrócić z tej wojny, to ja się Wam już odwdzięczę! W końcu zasypiamy jak królowie; co za rozkosz! Jak się te sprężyny ruszają!

27 ^aWszyscy zostają w domu, święcą niedzielę, my naturalnie, artylerzyści, musimy psiakrew w pole! Tak lubię te wyjazdy, jak pies w studni. Błąkamy się też po polach i różnych niedostępnych górach do 2.00 po południu. Po obiedzie zamierzam prosić brygadiera, aby mnie puścił do Tarnowa, aliści on powiada, że muszę z jego służącym jechać do Krakowa! Aż mi serce z radości stanęło, bo to do Trzebini tylko godzina drogi! Nic jednak nie pokazuję uciechy po sobie, tylko odbieram dyspozycje, i obecnie jestem w Tarnowie, w cukierni „Delekty”¹⁷, w oczekiwaniu na pociąg. Żeby mi się tylko udało do Trzebini! Wszystko zrobię, co mogę, żeby tylko tam być! Wyjeżdżamy ze Skopalem z Tarnowa o 9.00 wieczorem, nad moje oczekiwanie pociąg wlecze się nie więcej tylko 5 godzin. O 2.00 więc jestem w Krakowie, jak szalenie miło znów zobaczyć polskich legionistów. Na stacji w Krakowie ruch niezwykły: tyle dziewcząt z Czerwonego Krzyża, że aż mnie zadziwiają swoją ilością, a co najdziwniejsze, każda ma coś do roboty! Dowiaduję się, że pociąg do Wiednia odchodzi dopiero o 7.00, zaś stamtąd przychodzi o 4.00 po południu, ogromnie więc mi to nie na rękę, i nie wiem jak załatwię mój wyjazd do Trzebini.

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

^a W oryginalnej: Maryana.

28 Właściwie jest już nie dziś, tylko jutro – więc i datę trzeba zmienić. W ogóle nie lubię pisać „dziennika” w nocy, bo można czasem głupstwo strzelić. Rany boskie, jakiś major siada koło mnie, muszę pisanie przerwać, to był major z samego Wiednia! Powiedział, że jest bardzo zmęczony, bo go pociąg wiozł przeszło 25 godzin – i w ogóle tak nudził, że go wnet miałem honor pożegnać i poszedłem na miasto. Chodziłem po Krakowie jak stróż nocny, siedziałem na plan-tach jak nocny ptaszek, aż w końcu spotkałem Mariana K.^a, z którym poszliśmy na śniadanie. Zajadamy najspokojniej, aż tu ktoś gestykuluje za szybą – Marylka W. – naopowiadaliśmy też sobie, co się wlaźło. Za chwilę przychodzi Edek Jaworzyński, który jest na razie stale w Krakowie przy jakiejś komendzie. Jednym słowem, znajomi i znajomi, co mnie ogromnie cieszy. Gdzie ja tu Irenkę znajdę! Pewnie sobie pojechała gdzie i już! Ostatecznie walę z Johanem do komendy, gdzie po ciężkich cierpieniach załatwiam dane mi polecenie i o 10.00 myk do Trzebini.

Niczego się w domu nie spodziewali, wpadnięciem więc swoim niespodziewanym narobiłem popłochu większego jak granat. Uciecha też to była! Przez obiad spóźniłem się na pociąg i włosy mi dębem „stanęli”... na głowie, że się na czas nie dostanę do Krakowa. Aliści przyszła maszynka i zabrała mnie ze sobą. Pozałatwiałem, co mi jeszcze było potrzebne i wieczorem poszedłem szukać Irusi; bęben jeden, nie było jej w domu i musiałem czekać tak długo. Kochane takie moje dziewczysko, ciężko to było odjeżdżać, no, ale może przecież wróć i chcę strasznie wrócić! Może to taki sentyment niemęski, ale cóż ja jestem winien, że ona jest taka droga! I taka Żabusia.

29 O 2.00 siedliśmy w Krakowie na pociąg, i to jak mi się naturalnie należy, do drugiej klasy, spaliśmy też po drodze jak krokodyle, i to dosyć długo, bo dopiero o 8.00 przyjechaliśmy do Tarnowa. Zostawiłem draba na stacji, a sam poszedłem do Gumnisk po wózek. Przychodzę, a tu pan brygadier wita mnie gratulacjami z racji, że zostałem zamianowany kadetem, cieszę się też tym, ale i zły jestem, że się to stało dopiero po moim powrocie z Krakowa, jako że tu już nie można kupić żadnych odznak, które by na mój awans wskazywać mogły. Jestem więc jeszcze *feuerwerkerem*^a, aż do lepszych czasów, Adiutant jeszcze chory, ale mu już lepiej; bida taka delikatna, takie chucherko, że nic dziwnego w jego chorobie.

^a Ogniomistrz
w c.k.
artylerii.

Na polu jesień całą gębą, „taka wiatra” jak na morzu albo jak przeciąg. Ja chcę, żeby Irenka zaraz odpisała, i z domu też, bo wysyłam do nich kartki. Ho! ho! nie bój się nic! Ja jeszcze wrócę, to Cię i tak zbiję po łapkach! Albo Cię już nie zbiję, tylko niech wrócę; strasznie teraz nie chcę być zastrzelony! Nic cały dzień nie robię, więc też ustawicznie myślę o wczorajszym dniu i wieczorze. Zabrałem się w końcu do papierosów, których narobiłem 500, i przyszedł mój John i powiada: panie kadet (jak to brzmi ładnie!), melduję posłusznie, że kobyła siano zeżarła, i że jej trzeba na wieczór kupić, bo już nie dostaniemy. Nie wiem, czy drabowi o kobyłę chodzi, czy o to, żeby mieć pretekst do wyjścia; jestem jednak dziś w takim usposobieniu, żebym nawet samemu Moskalowi siana kupił, a co dopiero mojej rodzonej kobyle! Dostał też John kwotę na ten prowiant – niech wie bydlę, że jest u pana kadeta na wikcie! Aha! Rano spotkałem w Tarnowie Borysa Leitera – co za pocziwy chłopak! Jest przy 8. KTD^b. Smutną wiadomość mi zakomunikował, że

^b Kavallerie
Truppen-
division
(niem.)
dywizja
kawalerii.

Janek Bisztyga padł pod Sandomierzem – biedna Nisia! Nie wiem, czy jest rok jak się pobrali. Wieczór już – deszcz z wichrem na drodze, ale mnie dobrze, bo siedzę w pałacu, patrzę na Irusię i – jakoś się nie czuję sam, bo ją widzę, bo sobie rozmawiamy, pa! Ty Robaku!

30 Zniewieściąłem! Psia pies, do 7.00 spałem, nie będąc łaskawym nawet się sam obudzić! Dopiero John przyszedł buty czyścić i tak delikatnie kopytami walił, że od razu zmar-twychwstałem. Jak też to śmiesznie wstawać o 7.00 zamiast o 2.00, i to do tego nigdzie się nie wybierać; chciałbym tak częściej, ale – ja właśnie chcę, a tu mnie wołają, że jedziemy w pole – wobec czego już nie chcę tak częściej. Wyjechaliśmy też ze starym i po drodze tak nam się koń prze-ląkł automobilu, że jeździec całkiem stracił humor i stał się wściekły. Krzyczał też na każdego, kogo tylko spotkał, nie wyłączając oficerów, i byłoby to nie wiem jak długo trwało, gdyby nie deszcz, ale co ja mówię: deszcz! nawałnica! pop-top! W [dwie] minuty byłem caluteńki przemoczony! Taki ostry grad padał przy szalonym wicherze, że wszystkie ko-nie poodwracały się od wiatru i żadna siła nie mogłaby ich ruszyć z miejsca. Radzi nieradzi więc, musieliśmy ten naj-większy deszcz przeczekać pod gołym niebem i napawać się wodą jak gąbki, ale nie takie gąbki co to do nich nie idą pie-czone gołąbki, tylko takie, co to w morzu albo do ścierania tablicy. Śmiechu też to była kupa, bo miałem wody w cho-lewach! No, jeszcze więcej, jak mój John w głowie! Natural-nie, że niepodobna w takich warunkach wojny prowadzić, więc też wróciliśmy do domu nikogo nie zabiwszy.

Figę miałem, nie czas do wysuszenia się. Kolana mam takie mokre, że mi aż zębami kłapią, ale nie mam czasu

się nimi zajmować, bo to telefon, to do stajni, to do brygadiera, no jednym słowem, kręcę się jak ta osoba, co to jej mama powiedziała, że tańczuj, tańczuj moja córko! Po południu idę do Tarnowa pozmieniać pieniądze, by mieć czym ludzi powypłacać. I pieniądze zmieniłem i wódki nakupiłem, ale co najważniejsze byłem w kąpieli, która się nazywa „Neptun”. Wyneptuniłem się też aż do białości, przez co tak wyprzystojniałem, że się na ulicy za mną oglądali albo nie. Poczciwy wujek Zap[alski]¹⁸ kartkę do mnie napisał, za co go strasznie kocham, a Irenka to nic – chociaż przecież do tego czasu nic jeszcze przyjść nie mogło. Strzeliło mi do głowy, żeby się dać fotografować, ale fotograf z Tarnowa uciekł, a drugi był zamknięty, bo Żyd, a trzeci był dla kucharek i wojskowych niżej feldfebla. Już powiedziałem panu Prhalowi, że jestem kadetem, ale mi jeszcze pensji nie dał – myśli znowu, że będę za nim latał i prosił, a tymczasem ja sobie ciągle jestem hrabia, a on niech się da wypchać.

Wieczór tak sobie sam siedzę jak wczoraj i rozmawiamy sobie oba z I[renką] – pewnie tu ona coś jutro napisze. Żabo ty jedna! Ani nie przeczuwasz, jaką uciechę mi zrobiłaś tym swoim obrazkiem! 24. Dywizja strzelała dziś rano do 300 kozaków, którzy rozbici uciekli – zresztą nic o wrogu nie słyhać i coraz bardziej się utrzymuję w przekonaniu, że zwąchawszy pismo nosem nie zechce nas w tej pozycji napadać. Dostałby też łupnia! Za to słyszę, przedziera się coraz uporczywiej na Węgry, nic tylko się musiał zwiędzieć, że tam mieszkają jego bracia, tuczne wieprze węgierskie. Ha, no! Swój do swego ciągnie! Ale tamtędy droga nie bardzo bezpieczna i w ogóle, synku, pomimo zimy będzie ci coraz cieplej!

1 Rozpaczam drugi rok mojej służby wojskowej, i to bardzo ładnie, bo na wojnie. Słusznie też całkiem się dzieje, że dostaję białą kawę zamiast czarnej i babkę zamiast komiśniaka^a, bowiem od dziś jadam przy tym stole *coi ekselenc; fin! fin!*¹⁹, a na piechotę do Tarnowa nie łaska? Tak troszkę z depeszą? Smarował też pan kadet po błocie, aż miło! Spotkałem Józka P., zdrów tak samo jak i Wiktor, a nie tak samo jak Tomek, któremu palce urwało. Ledwie wróciłem z miasta, aha! Odwieczna jego: *Sie reiten zur...*^b etc. – no i znowu poszedłem piechotą, bo konie pod moją nieobecność poszły na spacer do mörzerów^c i piętnastocentymetrowych haubic z rozkazem. Szalenie mnie to zdziwiło, że wyżej wymienieni dostali rozkaz do odmarszu nie oddawszy ani jednego strzału. Dopiero przy obiedzie się wyjaśniło o tyle, że prawdopodobnie pójdziemy mu naprzeciw, jako że on się do nas nie bardzo kwapi, i że ponoć pod Przemysłem zbili mu około 20 000 [ludzi]. Byle tylko prędej na niego, bo raz, że nie ma sensu siedzieć i nic nie robić, a po wtóre, im prędej go przetrzepiemy, tym i koniec wojny bliższy. A jeżeli to prawda, że Prusacy Lublin zajęli, to twoje 20 korpusików ci nawet nie pomogą, bo parę z nich jest w takim saczku, że aż lubo! Słyszę, że między Moskalami cholera grasuje, i to ta sama, której im swego czasu tak szczerze życzyłem. Prawdą zaś jest stwierdzoną, że się do nas zgłasza mnóstwo dezertów rosyjskich, tylko dlatego, żeby w niewoli nie cierpieć tak głodu, jak u siebie w służbie.

Obiadek dziś był i klasa! Nadporucznik J.P. udawał przy stole kanarka, i to z takim powodzeniem, że kanarzyca stojąca na oknie o mało jajek nie zniosła. Po obiedzie nic nie

^a Ciemny, razowy chleb dla wojska.

^b Pojedzie pan do...

^c Moździerz *Mörser* (niem.).

mam do roboty, siadłem więc i myślę sobie o kimś, ale nie powiem o kim, bo nie napisała i kombinuje pewnie, że ja się tu będę na darmo trapił; właśnie, że na złość nic się nie będę trapił, tym bardziej, że pewnie jutro kartka przyjdzie. Ho! Ho! Nie bój się, nie! Ty masz dobre serduszko i napiesz! Taka mała! Kropeczka jesteś!

Dowiedziałem się przy kolacji, że mamy iść znowu tym samym szlakiem, którym przyszliśmy; no to już nie wiem, co będziemy jedli, a konie to chyba całkiem pozdychają. Peineman będzie zły na mnie, że nie poszedłem z nim do miasta na lump – trudno; nie jestem usposobiony i wolałem zostać w domu, tym bardziej, że diabli wiedzą, co w nocy zająć może.

2 Coraz gorzej ze mną! Dziś wstałem już o 7.30, jeśli tak co dzień będę o pół godziny dłużej spał, to jeszcze przyjdzie dzień, że całkiem nie wstanę, tak na dworze brzydko, że nawet szkoda się z domu ruszać. Pomimo deszczu, jadę konno na spacer do Tarnowa, gdzie zdołałem sobie jeszcze kupić dwa szaliki na szyję i na zimę, oraz nas tak złało, że chyba przez godzinę trzeba będzie konie suszyć. Strasznie do niczego ten cały wynalazek – wojna! Takie wszystko spustoszone, opuszczone i chyba nie ma człowieka, który byłby z niej zadowolony. Pan P[rhal] ani raczy się troszczyć o mnie, ale da Bozia, że przyjdzie czas, a zrewanżuję mu się odpowiednio! W każdym razie nigdy bałwanów o nic nie proszę, a zwłaszcza o to, co mi się należy. Spać poszedłem po południu, bo i poczta przyszła i nic dla mnie.

Z nudów i rozpaczy poszedłem wieczorem znowu do Tarnowa; chciałem sobie kupić buty i jakie ciepłe ubranie, ale Żydy całkiem wyzamykały, więc zamiast ciepłego mun-

duru kupiłem tylko wódki na rozgrzewkę i kalodontu²⁰ na zęby. Jaśkowi też jutro prezent zrobię w formie pasty do obuwia, co jeżeli go nie przyprawi o utratę zmysłów z uciechy, to jest matolek. Będąc w Tarnowie, spotkałem pannę K. i poszedłem do nich na 10 minut – siedziałem chwilę; był Władek K. z żoną i Julek Otto i ja też. Hm! Taka wysoka kobita jak ja, i jeszcze o mnie nie zapomniała, bo poznawszy mnie na ulicy sama zaczynająca, i pytawszy, czy zawsze mam ten sam humor – zresztą wcale miła byłaby, gdyby tak mieć nieco więcej czasu – musiałem ich w końcu pożegnać, jakkolwiek nam obopólnie serca z bólu aż popuchły. Na mieście spotkałem mego schlafkamrata²¹, i razem na spółkę nie spotkalіśmy żadnej dorożki. Na piechotkę więc znowu do Gumnisk, ale też tym lepiej kolacja smakowała.

Pytam o pocztę – przyszła, ale nic dla ciebie – powiada ją. Czyżby? Dlaczego nic nie piszesz? Widzisz, ja to miałem zamiar wysłać list express, gdyby nie to, że poczta była już zamknięta. Jutro już znowu idziemy, sam nie wiem dokąd, a Ty ani słówka! Szkaradna jesteś, a taka kochana! No, może mnie jutro kartka gdzie w drodze dogoni. Po drodze z miasta zrobiłem głupstwo, głupstwo, które mi się już mnogą ilość razy w życiu zdarzyło, a zapobiec mu nie mogę. Zamiast spać, to siedzę i piszę, a jutro może już o 3.00 lub 4.00 pomaszerujemy – i znów, psiakrew, na tę tułaczkę bez końca i jedzenia – no, ale teraz jak go złapiemy, to chyba aż wióry polecą! Podczas kolacji przyjechał ułan z meldunkiem, że Mochy są w Dębicy. Chwała Bogu, nie trzeba go będzie daleko szukać! Ostatecznie jednak nie pozostaje mi nic innego, jak „dobranoc Ci” i spać, bo jutro droga!

3 Zbudzili mnie wieścią, że o 7.30 odmarsz. Naturalnie, nie doczekałem tej chwili, bo jak zwykle, musiałem i teraz być naprzód posłany; po godzinie jazdy zetknąłem się dopiero na powrót ze sztabem, z którym się już do końca marszu nie rozstawałem; idziemy na wschód, a więc do niego! U piechurów, a zwłaszcza czterdziestaków, widać taki animusz, że aż radość bierze. We mnie również wyrabia się jakaś pewność w powodzenie obecnych naszych zamiarów, że nawet nie mogę sobie zdać sprawy, skąd się to bierze. Z rana piękna pogoda, że aż dusza rośnie, wkrótce jednak ta sama dusza maleje na skutek deszczu z gradem, który nam dosyć długo krew psuje. Zwymyślałem oprócz tego samego siebie, za to, że nic ze sobą nie wziąłem i głodny jestem, aż do utraty cierpliwości. Postój chwilowy w Żdżarach, aż o godzinie 4.00 przychodzimy do Czarnej, celu dzisiejszej naszej podróży. Tu dopiero dostaliśmy coś do przetrącenia – tak na prędce – na kolanie, zanim się jadło skończyło, dały się słyszeć (o radości!) strzały armatnie. Strzelał, ale tak głupio, że albo nie wiedział, czy ma przed sobą kogo, czy nie, albo zgoła mu się we łbie pomieszało; naturalnie nic nam nie zrobił, niedługo jednakże zaczął zapadać mrok. Zobaczymy więc, co jutro przyniesie, a na razie rozlokowaliśmy się we wsi, gdzie zdybałem jakąś chałupinę dla przenocowania.

Jutrzejszego dnia jestem i ja ciekawy, tym bardziej, że dziś znowu nie ma od Ciebie żadnej litery, a mogło być do tego czasu nawet pięć; to tylko chcieć Irenko, a napisze się już samo! Zaczekam jeszcze do jutra, ale uprzedzam, że czekam niecierpliwie! Pod wieczór rozmawiałem z Wackiem Kal[icińskim] i wspominaliśmy weselsze czasy. Zmarznięty jestem i zmęczony, tak że już bym się położył, gdyby nie to, że muszę iść po dyspozycje i rozkaz na jutro. Nie wiem,

jak znowu długo będę musiał na tę zabawę czekać! Poszedłem po ten rozkaz i natrafiłem na kolację – piło się też później herbatę, aż do skutku, tzn. do 10.30, aż dali ów pożądany rozkaz. Idziemy naprzód! Wiwat, da Bozia, za parę dni dogonimy go, a wtedy moc w garść i bij kto w Boga wierzy, bo mi się już do Krakowa stlaśnie spieszy. A czy pani przypadkiem nie wiadomo, dlaczego mi się spieszy? Przyjdzie czas, będzie nasz, że odpowiem. Napisz co jutro, dziecinco, bo mi się to już należy, choćby tylko za tę poniewierkę.

4 A nasz pan cysarz we Widniu stoi, ma dziś imieniny i niektóre inne Franciszki także. Gonią mną od samego rana na wszystkie strony, to do pułku, to na kolej, to jakieś 100 koni ma się odebrać, tak że dopiero około 11.00 złapałem swój sztab. Co też to za marsz dzisiaj! Taki wiatr, jak wtedy wieczór w Krakowie, taki deszcz z gradem, a droga! Po końskie kolana gliniaste błoto! Powiadają, że można się do wszystkiego przyzwyczaić, ale ta pogoda jest tak niemiła, że wolę się już nie przyzwyczajać, tylko chcę do domu. Mogę sobie chcieć, co mi się tylko podoba, bo właśnie mi na wszystko pozwolą! Spotkałem dziś znowu Staszka Tom[aszewskiego]. Jedziemy z Czarnej przez Borową – Różę – Zasów – Dąbrówkę, gdzie zatrzymujemy się na spoczynek. Nic nie zważam, że przed chwilą znowu deszcz padał, tylko położyłem się na brzuchu i na trawie i sobie piszę. Cel dzisiejszego marszu jest Ruda, jak mówi chłop „nima ani pół mili”, to znaczy pewnie z 7 km. Opowiadają ludzie po drodze, że w strony, w które my idziemy szli wczoraj Moskale – naturalnie nie wiemy, w jakiej sile, bo tego chłopcy przecież nie oznaczą – dziś rano jeszcze widziano konne patrole.

Ucieka więc przed nami, i żeby tylko nie chciał jakiej zasadzki przygotować, przypuszczam jednak, że odpowiednia ostrożność jest zachowana, bo doświadczenie już nas nauczyło, że go lekceważyć nie można. Źle nam jest z tą pogodą, ale i jemu nie celująco. Tak jakoś wszyscy czują, iż niedługo już wojna potrwa, a nawet to zauważył sam ekselenc kiedyś przy stole. Już drugi dzień jeżdżę ze Stefanem – szczęśliwy jak zawsze i nieszczęśliwy jak zawsze – kupił sobie ceratowy płaszcz, który wprawdzie przeplacił, ale za to mu już popękał. Taka kupa nas teraz wali, jak na początku wojny, bo uzupełnieni jesteśmy przez świeżych Bośniaków i obronę krajową. Przyjechaliśmy do dworu w Rudzie: na każdym kroku znać spustoszenie, które sprawili kozacy, nawet lustro w salonie rozbite, nie mówiąc o fortepianie, który to sprzęt, jeżeli tak nazwany, to tylko dlatego, że mu pedały widać, bo reszta do ludzi niepodobna – nawet podłoga miejscami powyrywana – wandalę, psiakrew! Posiadaliśmy na spółkę wszyscy w największym pokoju i ja zainicjowałem palenie w piecu, co ogólnie przyjętym zostało. Spędzamy więc szarówkę przy rozpalonym ogniu, którego blask i deszcz na dworze powodują jakiś ponury nastrój, tym bardziej, że zaledwie od czasu do czasu jakieś słowo padnie. Twardniejemy na wojnie; mimo woli mi przychodzi na myśl fakt, który skonstatowałem, że ludzie młodzi i niedoświadczeni życiowo wiele podczas wojny, żyjąc w tych niecodziennych warunkach, nabrali hartu i zmężnieli – bezwiednie się człowiek staje mężczyzną.

Zanim mrok zapadł, zdążyłem napisać kartkę do domu i do wujka; może za to spotka mnie jutro przyjemność, że i do mnie ktoś napisze; hej! Bożiu, Bożiu! Ty Odrobinko! – jutro idziemy dalej – żeby go przynajmniej złapać już albo

kij diabli, bo spacerować w tę pogodę mogą się naprawdę rychło znudzić, zajmujemy front na wschód. Nie! To się musi koniecznie niedługo skończyć, bo przecież to niepodobna mordęga tylu tysięcy ludzi! Ciekawią mnie te obliczenia, ale przy sztabie mają prawie wszyscy pewność, że na święta będziemy w domu; wyższa polityka, której nie zgłębiał. Zauważyłem, że się z adiutantem bardzo lubimy; jest mi też z tej racji niepomrotnie przyjemnie. Jeszcze jedna prośba do mojej Żaby, żeby jutro kartka przyszła, i idę spać, bo pomijając dzisiejsze zmęczenie, które już w całym ciele czuję, mogą zarządzić wczesny odmarsz i Kaziu się nie wyśpi i by była szopa!

5 Obudziłem się przypadkowo, jak wrócił nadpor. Materna, z rozkazem, że odjeżdżamy o 10.00, no, przynajmniej się człowiek wyleży! Aliści zaledwie zabrałem się do spania na drugi zawód, gdy dały się słyszeć strzały armatnie, oho, i pomyślałem sobie, pewnie tu za chwilę narobi brygadier krzyku, żeby konie siodłać, i że pojedziemy. Naturalnie, tak się też stało, bo przecież człowiek służy przy artylerii do stu diabłów, więc też i spokoju mieć nie może; zdążyliśmy jeszcze zjeść śniadanie i jazda! Po błocie! Po takich jakichś przesmykach! Nie bardzo mi się ta jazda udała. Dojechalismy wreszcie w pobliżu Wiśłoki, przez którą się przeprawić jest dziś naszym zadaniem – Moskale uciekają na całej linii – czyżby to prawda była, że Prusaki zajęli Lublin? W każdym razie dobrze nam teraz idzie, bo nasze karabiny maszynowe zmiotły dziś rano w przeciągu pół godziny 2000 Mochów. Trzy sotnie kozaków uciekły przed jednym oddziałem naszych pospolitaków-robotników; w ogóle uciekają aż się kurzy, co mnie o dobry humor przyprawia. Jeż-

dziłem już dziś parę razy z różnymi rozkazami, tak że w południe jestem należycie zmęczony, co będzie do wieczora? Na przemian deszcz, słońce i wiatr.

Wiedeńczycy twierdzą, że u nich nawet w grudniu nie jest tak zimno, nie wiem więc, jak oni ten grudzień w polu przetrzymają. Mam katar i konie dostały owsa, tudzież nie wiem, po jakiego diabła teraz siedzimy na jednym miejscu już przeszło pół godziny nic nie robiąc ani nie idąc naprzód. Może tylko to wyższe komando się zatrzymało, a prawdziwe wojsko się przeprawia przez Wisłokę; zapewne tak jest, tylko ja tego mymi kadetowskimi zmysłami nie objąłem. Oj, żeby to dziś jaka poczta przyszła. Siedzimy i siedzimy w tej Kądziołce, aż nareszcie się im znudziło i posłali mnie do haubic i kanonów; błdziłem też po jakichś moczarach i piaskach, płoszyłem rybitwy po drodze, aż się w końcu wywiązałem z zadania. Szukałem też później swojego sztabu, aż do wieczora, i już po ciemku ledwie go znalazłem. Stoimy w Goleszowie, w szkole – poczty ciągle nie ma, i ja tak nie potrzebuję. Zaraz po kolacji poszedłem spać.

6 Naturalnie, że się przecież bez deszczu nie może obejść, i dlatego musi kapać jak Żydowi z nosa, ciągle i ciągle. Godzina 9.00, od dwóch godzin czekamy na awizo do odmarśzu, gotowi do drogi i konie osiodłane. Wyjeżdżamy wreszcie o 9.30 i zaraz po opuszczeniu Goleszowa zabłądziliśmy, aż dopiero zdyszany chłop przybiegł za nami i doprowadził nas do Wisłoki. Deszcz leje ciągle, a my stoimy na brzegu i patrzymy na przeprawę mojego pułku przez pontonowy most; nareszcie przychodzi czas, że i my się ruszamy; zaraz na drugim brzegu Rzochów spustoszony i splądrowany przez Moskali, którzy tu jeszcze wczoraj byli. Nasi żan-

darmi spędzają tutejszych nic nie robiących mieszkańców do naprawiania drogi do i od mostu – piękny murowany domek podziurawiony naszymi szrapnelami, bośmy wczoraj na Rzochów strzelali. Jakiegoś drapichrusta aresztowali, który teraz musi iść z wojskiem, nie wiem, za co, i diabli wiedzą, dokąd.

Droga piaszczysta, przez las na przemian to młody, to stary. W Przyłęku spoczynek i wydawanie dyspozycji na nocleg; brygadier siadł w chałupie, ja też za nim poszedłem i obaj słuchamy jak baba z chłopem opowiadają o okropnościach, których im narobili Moskale. Kobyła dostała siana, a ja się suszę przy piecu – czy w niebie będzie lepiej? Narozmawialiśmy się po drodze z nadporucznikiem Wcz. o Lwowie, wojnie i innych urozmaicheniach tego podłego żywota. Obydwa chcemy, żeby się już ta heca skończyła, jako że deszczowa pora jest w polu szalenie nieprzyjemna! Postaliśmy w tym Przyłęku może pół godziny, kobyłę zdążyłem jeszcze napoić, po czym idziemy dalej.

Co to za straszna rzecz jest marsz podczas deszczu i po takiej okropnej drodze, tego sobie nikt nie uzmysłowi, kto go nie przebywał. Wyobrazić sobie trzeba tyle tysięcy ludzi zmęczonych i przemoczonych. Ilu jest między nimi takich, którzy chcieliby się bodaj na kwadrans zatrzymać dla wypoczynku lub też schronienia się przed deszczem, a tu nie można; nie wolno, tylko naprzód i naprzód. Co do mnie, to już zauważyłem, że w miarę jak jestem coraz bardziej mokry, coraz lepszy humor mi się robi; jakiś po prostu zwariowany stosunek ducha do ciała, w ciągu też dalszej drogi jakaś pusta wesołość mnie ogarnia bez żadnej zresztą innej jak deszcz podstawy. Droga jest tak uciążliwa, zwłaszcza dla armat i trenu, że zaledwie połowę objętej wczorajszym roz-

kazem drogi przebywamy, dobry już bowiem zmrok zapadł, jak przyjechaliśmy do Trzęsówki – szukanie teraz dopiero dworu czy zamku, gdzie mamy mieć kwatery! Stoimy na razie pod drzewami, deszcz coraz większy, całkiem ciemno i tylko słysząc jak chlupią w błocie nogi przechodzących przed nami piechurów, jednym słowem, prawdziwa wojna, choć nie strzelają – a ja sobie myślę, że gdyby I[renka] też pisała dziennik, to byśmy sobie wiedzieli wszystko. Cóż, kiedy ona ani dziennika, ani kartki.

Po jakimś czasie, który mi się szalenie długi wydawał, sprowadzono chłopą, który nas ma prowadzić do zamku, ruszamy więc, i – o rozpacz – nie po żadnej drodze, tylko przez pola, a nawet przeprawiamy się w bród przez rzekę, ale już nie wiem, jaką, bo jej po ciemku nie mogłem poznać. Nareszcie przyjeżdżamy na miejsce, wyszukuję naturalnie przede wszystkim stajnię dla koni, która jest wcale obszerna i wesoła, kamień mi więc spada z serca i uderza mnie w nogę. Pomimo tego zaszedłem do właściwego zamku, gdzie w jednej dużej sali siedzą wszyscy – no i nic nie robią; bo tren, a więc i ich służący nie poprzychodzili. Naturalnie, urządzam się o tyle dowcipniej, że kazałem przynieść siana, po czym zdybawszy jakąś ławkę na polu połażałem ją na sztuki i osobiście palę w piecu, ale naturalnie w innym, niż wszyscy siedzą pokoju. Siadłem przy rozpalonym ogniu, jest mi ciepło, a w płomieniu tyle rzeczy widać, że na razie niczego mi nie brakuje. Za chwilę zwąchali ogień i poschodzili się do mnie – zepsuli mi nastrój – ale za to por[ucznik] Ir. dał nam wódki, po czym wspólnie zabraliśmy się do grzania konserw. Poweselały oblicza i rozwiązały się języki. Niewielki udział w rozmowie biorę, bo mi się jakoś mówić nie chce; ostatecznie wszyscy się kładą

spać, bo przypuszczają, że tren i kuchnia przyjdą dopiero gdzieś po północy. Na mnie dziś kolej czekania na rozkaz, siedzę więc dalej w przemoczonych butach. Wysiedziałem tak herbatę, którą mi dali o 1.00 w nocy, bo dopiero wtedy kuchnia przyjechała; czekam jeszcze do 3.00, rozkazu nie ma, przyjdzie zapewne aż rano, kładę się więc, kazawszy się telefoniście zbudzić.

7 O 5.00 narobiono krzyku, że jest rozkaz – zostajemy przez dziś tutaj! Eureka! Ale się też przynajmniej wysuszę! Jak pies w studni. Zjadłem śniadanie i zabrałem się znowu do spania, ale stary takiego piekła narobił, żeby siodłać, że jedziemy etc., że nici ze spania; widocznie się dobrze wyspał, tudzież jest najedzony, to sobie pokrzykuje. Naturalnie okazało się niepotrzebnym ani siodłanie, ani inne diabły, ale też i moje spanie spełzło na niczym, bo kręcił mną ustawicznie na wszystkie strony. Przyprowadzili rosyjskiego żołnierza, posądzonego o szpiegostwo, bo był przebrany po cywilnemu. Byłem przy jego indagacji^a; odpowiadał trochę po niemiecku, trochę po rosyjsku, ale nic nie mogłem wymiarkować, czy mówi prawdę, czy też rzeczywiście szpieg. Żał mi się go nawet zrobiło, jak prosił, żeby go nie zastrzelić, bo ma starego ojca.

^a Tu: przesłuchanie.

Po obiedzie wywinąłem się spać, aż mnie adiutant obudzil po 3.00, żeby pojechać z rozkazem. Wyszedłem do stajni kazać siodłać, a tu – paf! Salwa: zastrzelili tego szpiega. Jadę na koniu, którego wymieniłem w baterii, ale go zaraz oddam, bo cywilna chabeta ani chodzić nie umie, ani żadnej inteligencji nie posiada; wrociłem z tego Kosowa, goniłem jeszcze z 50. razy do stajni, bo porządku nie było z sianem i owsem, aż w końcu się znalazłem w ciepłym pokoju, gdzie

sobie piszę. Poczty ciągle nie ma. Ciekawym, co to znaczy, że ja się chwilami robię taki niecierpliwy i nerwowy, zwłaszcza jak o pocztę chodzi, przecież, do grzycha, mężczyzną jestem, a i były czasy, że długo nic z poczty nie dostawałem.

Skończymy może niedługo tę zabawę, bo Prusacy rzeczywiście mu Lublin wzięli. Szkoda tylko, że ta pogoda jest tak szalenie dla nas nieprzychylna, bo drogi psuje i ani-musz odbiera. Mam wrażenie, że ciągniemy teraz bardziej na wschód, niż na północ, nie tak jak za pierwszym razem, bardziej na północ; może maluczko, a człowiek się znajdzie w Jarosławiu, i tam go koniec wojny zastanie? Kiedy znów, psia noga, coś mnie bardziej ciągnie ku zachodowi, tak np. na Kraków; co to może być, panie Filar? Przyjechał tren, mam dostać owies, ale tak jestem zmęczony, że odkładałam to do jutra, zresztą naprawdę mi się już należy odpoczynek i już bym poszedł spać, gdyby nie kolacja, która jest ogólnie oczekiwaną. Ogólnie oczekiwana kolacja odbyła się w takim ścisku, że zaraz uciekłem, nie czekając nawet na herbatę. Przyjechał bowiem tren dywizyjny, a z trenem i panowie trenowcy narobili ścisku; po co przyjechali, jeśli poczty nie przywieźli? I! Dobranoc!

8 Spało się jeżeli nie po królewsku, to w każdym razie po żołniersku; nasiodłaliśmy konie i truchtem jechaliśmy naprzód, wymijając wszystkich po drodze; mróz taki i szron leży, że ma się przedsmak zimy. Ekselenc się znowu po drodze wścieka, że wojsko porządku nie pilnuje, tylko wychodzi z szeregów; pierwszy raz słyszałem, że stary stracił cierpliwość i właściwy spokój i tak krzyczał, taki był zły jak żandarm. Z deszczem już koniec, ale za to po godzinie jazdy taki zimny wiatr się zerwał, że zaraz wszystkie kości mi

^a Właściwa
nazwa:
Wola Rusi-
nowska.

pomarzły; po wietrze przyszły ciemne chmury, a po chmurach śnieg; pierwszy śnieg! Wcale wcześniej, bo nie pamiętam jeszcze żadnego 8 października ze śniegiem. Dopóki jedziemy kłusem, jest jeszcze dosyć dobrze, jak tylko zaczniemy się wlec krokiem, marznie się jak kość słoniowa. Wyrazić trudno, jak niemiłym było zatrzymanie się przez przeszło kwadrans, jak się wtedy zmarzło! Minęliśmy wieś Cmolasy i prawie bez spoczynku przyjechaliśmy do Woli Rusienieckiej^a, która jest naszym dzisiejszym celem podróży. U wstępu do wsi zatrzymujemy się u chłopą; grzeję się w chałupie i niczego nie pragnę tylko ognia. Gospodyni, widocznie rozbrojona skromnością moich wymagań, sama mi przyniosła garnuszek kwaśnego mleka, za co jej mąż dostał dwa cygara, którymi się bardzo ucieszył i naopowiadał o Moskalach i spustoszeniach, jakich narobili. Zapomniałem wspomnieć, że zamek w Trzęsówce był spustoszony jak po napadzie Wandali; tu znowu wieś jest ogołocona zupełnie ze sponyży i wszelkich produktów naszej c.k. ziemi. Wyobrazić sobie nie mogę, co my będziemy jedli, czym te konie będą żyły, jeżeli dalej w tak spustoszone okolice zapuszczać się będziemy, zwłaszcza że nasze treny przestały nas już zajmować, tak mało z nich mamy korzyści. Kwatery we wsi znaleźliśmy dobre, nudzi mnie tylko stary o 1000 szczegółów dotyczących koni, owsa etc. O 5.00 dają nam obiad, który prędko zjadam, bo się okrutnie chcę już położyć.

Przy obiedzie ogłasza kapitan S. oficjalnie, że Moskale ponieśli pod Przemyślem klęskę z 15 000 rannych i zabitych; lepszego deseru mieć nie mogłem! W ogóle coś się u nich musiało popsuć, sądząc np. choćby według tego, co mi chłop opowiadał, że idąc w tamtą stronę odgrążali się, że zajmą Kraków, skoro jak naraz zaczęli się wracać i ucie-

kać, to powiada, drogi ich nie mogły pomieścić i mało się w ścisku nie podusili. Inny oddział znów uciekł spod Tarnobrzega, gdzie przy przeprawie przez Wisłę mieli go znówu strasznie zbić nasi razem z Prusakami; daj Boże tak dalej, a majtki pogubisz uciekając!

Pokładliśmy się w naszej izbie, jest też i kochany por[ucznik] Ir. Baba przyniosła mleka, nagotowałem kakao, poopijali się, śpią, a ja piszę, i pomimo zmęczenia pisałbym ciągle, tak się już jakoś do tego dziennika przyzwyczaiłem. W każdym razie nikt go nie będzie czytał, ale co za przyjemność dla mnie, jeśli tę wojnę przeżyję, przypomnieć sobie to i owo; bo to rzeczywiście okres w życiu człowieka, który mu się nieczęsto zdarza. Zapowiedzieli na dziś pocztę z korpusu, ale nic nie ma. Zaczynam się już odzwyczajać od wieści ze świata – czy się też i od tego świata odzwyczaję? Psiakręć, zdaje się trudno by było, boć są na świecie momenta, zwłaszcza te kradzione życie momenta, dla których istnieć warto! Kiedy będzie znów sposobność do podobnego złodziejstwa!?

9 Żeby się choć trochę ociepliło, ale to nic a nic! Chłop powiada, że słońce czerwono zachodziło, to będzie wiatr, a zresztą Bóg święty wie – rzeczywiście Bóg święty wie, że jest wiatr. Wyjechaliśmy z tej Woli Rusinowskiej o 8.00 i ciągniemy się jak z gipsem. Dziś już nie daje się zauważyć podniecenie ekstenza, któremu spokój ducha zdaje się powrócić. Przez Pietropole walimy do Bojanowa, własności hr. Komorowskiego, gdzie jest zarządzony postój, a w pałac komenda korpuśna. Ze Stefanem jechaliśmy znówu, ze Stefanem więc szukamy schronienia przed wiatrem; konie oddaliśmy podkomendnym, sami wchodzimy do składu... i sztuczne-

go nawozu. Ponieważ tam „czuć się daje”, przenosimy się do stodoły wypełnionej końmi, a że i tam przeciąg, wyszukaliśmy schronisko na strychu, gdzie leży rosyjska zielona kosszula, i gdzie nam różne sprośne myśli przychodzą do głowy.

Postój trwał w tym Bojanowie ze dwie godziny, po czym ciągniemy dalej. Zaraz za wsią spotykamy ruski wóz z amunicją, piętnastocentymetrowymi pociskami; dałby nam nimi pieprzu, gdyby tak hukło, na szczęście nic nie hukło i jedziemy dalej. Po drodze mnóstwo trupów konskich w rowach przydrożnych; widocznie nieszczególnie mu się z zaprzęgami wiedzie! Wiatr przejmujący w dalszym ciągu. Imaginowałem sobie, że jeszcze z 5 godzin marszu mamy przed sobą, aliści przyjechawszy do jakiejś wsi, dowiedziałem się, że w niej zostajemy; tak więc marsz trwał tylko do 2.00 po południu. Stajnie dla koni znajdujemy obok pałacu hr. Komorowskiego, który jest spalony aż do fundamentów; coś niebywale tatarskiego! Jak ludzie mówią, szkoda na przeszło 6 mln κ.! Znajduję obok spaleniska wypchane ptaki, książki, rzeźby etc., dowód, że Wandale niczego nie oszczędzili. Zupełnie dokładnie jest splądrowana wieś i ogołociona ze wszelkich zapasów, a zwłaszcza siana i owsa, których to artykułów dla biednych koni absolutnie dostać nie można. Jeszcze wczoraj wieczorem byli tu kozacy w liczbie 300, jak chłop opowiada, ale na wiadomość o austriackim patrolu uciekali jak wariaty.

Stoimy w Stanach – wprawdzie nie Zjednoczonych, ale w każdym razie w takich, do których się strasznie trudno dostać, ze względu na horrendalną wodę; błoto jest rzeczywiście, bez przesady, po kolana! I znowu nie wiem, który raz powtarzam, że biedne te konie pociągowe! Po drodze pożyczam staremu 10 κ. i dowiaduję się, że Szymek, któ-

ry mi w kasarni^a buty czyścił, dostał srebrny medal za waleczność; ucieszyłem się też, bo chłopak cichy i pracowity, a jak się okazało i twardy, bo pomimo że dostał odłamkiem szrapnela w nogę, ani się jucha nie ruszył od armaty, aż dopiero na rozkaz oficera poszedł, dał się opatrzyć i zamiast się przez czas ognia gdzie schować, jakby to 100 innych jego kolegów zrobiło, przykuśtykał się do baterii i powiada, że ze wszystkim się ruszać nie może, ale numer trzeci robić jeszcze poradzi. I czego więcej wymagać od takiego Szymka, który nawet pisać nie umie, a tak niektórych swoich przełożonych zawstydził? Ma też teraz chłopak pamiątkę z wojny, medal i miesięczną pensję 7 K. z halerzami do końca życia. Naturalnie, że mu zaraz po wojnie poradzę, żeby się ożenił, a to raz ze względu, że ma już pensję, a po wtóre, ze względu na jurne potomstwo.

Niedługo po przyjeździe do wsi doszła nas przez konnego żandarma wiadomość, że w niedaleko odległym Przyszowie, zostawił Moch uciekając 19 wozów z ciężką amunicją. Coraz lepsze wiadomości! Bardzo ładnie! Jest więc nadzieja, że on jeszcze więcej rzeczy pogubi; najlepiej by zrobił, gdyby głowę zgubił, bo jakkolwiek to mało wartościowy przedmiot, jednak by się do końca prędzej doszło. Po obiedzie latam jak szalony, chcąc kupić owsa i siana, ale dostałem tylko trochę słomy. Później, prawie o zmroku, pojechałem do baterii, która stoi w Łapówce, 4 km od nas, celem wymiany konia, którą mi przyrzekł porządny chłopak Pein. Jazda w towarzystwie mojego Johna, którego kobyła tłucze o słupy telegraficzne, jako że jest remonta^b i nie umie chodzić; znajdujemy wreszcie baterię jak jest już zupełnie ciemno i deszcz zaczyna padać; kapitan nasz pojechał do Sztabu Generalnego do Wiednia, bo tam został komenderowany.

^a *Kaserne*
(niem.)
koszary.

^b Uzupełnienie
stanu koni
poprzez
nabór
nowych.

Komendantem baterii jest więc kochany nadpor. Baśny, który mi też żadnej trudności w wymianie konia nie robi, i w ten sposób przychodzę w posiadanie pysznej kobyły, nazywającej się Attake, i wzrostem mi odpowiadającej; trzeci to już koń na wojnie; była najpierw Naherin, później Wiśła, nareszcie Attake. Cieszyłbym się, gdyby mi ta kobyła do końca wojny wytrzymała, bo dobrze chodzi i ładna jest. Zanim mi konia przesiodłowano, musiałem wypić z nimi herbatę i śliwowicę, nie wiem czy to skutkiem herbaty, czy też rumu w herbacie, dosyć że nie mogłem trafić na właściwą drogę do Stanów i błędziliśmy z Johnem może więcej jak z godziny. Drżałem na myśl, że przed świtem nie trafię do domu, bo dziś na mnie kolej iść po rozkaz – to jedno; koń szedł cały dzień, teraz będzie szedł całą noc, więc przez następny dzień może ustać – to jest drugie, a trzecie, że jak rano wczas odmaszerują, to ich znowu nie znajde! Tak się trapiłem i wśród tego strapienia natknąłem się na zdechłego siwego konia, po którym drogę rozpoznałem; przyjechałem też na 9.30, prosto na kolację. Zaraz po kolacji poszedłem po rozkaz, na który długo nie czekałem, to jedna przyjemność, zaś druga, że jutro nie maszerujemy. Wiwat! Wyśpię się jak hipopotam albo jaka inna ryba! W piecu pewnie napalone, więc też będzie używanie!

10 Ja zaraz mówiłem, że lepiej spać na innej kwaterze, aniżeli razem z brygadierem, bo nam nie dał spać długo. Nie pomogły przedstawiania u jego adiutanta, że dziś jest dzień spoczynku i musieliśmy iść za przykładem naszego dowódcy, który już od pół godziny myje się, pluska jak wróbelek, i fuczy przy tym jak słoniowa żona, całkiem naturalne, że w takich warunkach spać nie można. Poszliśmy razem na

śniadanie, a później wypaliłem spacerem do sąsiedniej wsi na poszukiwanie owsa. Ładny spacer psia pies, jak wpadłem w trzęsawisko, aż mi się wody za cholewy nalało! Znalazłem jednak po chałupach do 80 kg pożądanego artykułu, więc się przynajmniej przemoczenie opłaciło; wróciłem po południu, zjadłem drugie śniadanie, poszedłem na kwaterę i niedługo ruszyliśmy wszyscy na obiad. Stary był zadowolony z mojego kupna, do tego stopnia, że aż coś trzy razy po kolei sapnął. Poczty ciągle nie ma.

Ponajadaliśmy się bezprzykładnie, po czym towarzystwo poszło spać; ja zacząłem się myć, golić etc., i tak mi zeszło do piątej – drzemałem też chwilę, w ogóle dzień mi upłynął jak temu co ma kamienicę we Lwowie, jak nie ma wojny. Zabrałem się do pisania, ale zabierają się do wyjścia na kolarcję i ciągną ze sobą; dokończę więc później. Najważniejsze zdarzenie w obecnej europejskiej wojnie! Poczta przyszła! I co tu pisać? Cały jestem wypełniony wdzięcznością dla tego Robaka! Ty bębnie, sprawy sobie nie zdajesz z tego, jak mnie swoimi literkami uszczęśliwiasz! Nie mogę nie pisać – nie mogę myśli zebrać, bo wszystkie są przy Tobie. I to nawet tak dużo napisałaś – tak ogromnie dużo! Dziękuję Ci Iruś! Cioćcia Zap[alska]²² i Bernardowie²³ także przysłały po kartce. Tak, teraz cały świat lubię!

11 ^aDywizja zostaje w Stanach – brygada artylerii maszeruje na południe od Rozwadowa; długo się zastanawiałem, co w tym za kombinacja, a ponieważ oprócz tego niebo zachmurzone jest i deszcz pada, więc mi się zaraz wyjaśniło; przecież to dzisiaj niedziela, więc naturalnie wszyscy [od]poczywają, brygada artylerii musi wyjechać, i leje jak wół do karety. Zostawili mnie samego, z poleceniem do haubic –

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

szukałem też później towarzystwa po tych piachach! Mój Boże! Pojeżdżaliśmy się wreszcie do kupy i już bez wypadku i przeszkody przybyliśmy na rozstajne drogi w lesie, gdzie mieliśmy spotkać komendanta 45. Dywizji. Ponieważ szukaliśmy dosyć długo bezskutecznie, wysłano mnie do Rozwadowa, celem wyszukania komendy. Wziąłem kaprała i sobie jedziemy: przed torem kolejowym napotykam na linie armat; jest tu więc Pułk kanonów 28., dywizja ciężkich haubic i polnych haubic. W Rozwadowie zaraz na wstępie szpital polowy dla chorób zakaźnych, a następnie jedno wielkie spustoszenie, np. jeden strzał armatni pozbawił kościół całego dachu. I znowu dziś miałem sposobność skonstatować, że mam psie szczęście albo zgoła jak Żyd. Wracając bowiem przez miasto od komendy, którą znalazłem, musieliśmy przez jakieś 60 kroków być wystawieni na ogień, bo innej drogi nie było. I rzeczywiście padł strzał, szrapnel pękł nad nami, kaprała ranił w pierś i w rękę, konia pod nim zabiło, a mnie, oprócz tego, że kobyła ze mną skoczyła do rowu – nic się nie stało. Przecież to nic innego jak tylko kolosalne szczęście! Połowę dachówek potłukło na domu, obok którego przejeżdżaliśmy; oddałem chłopca sanitetom^a i sam wróciłem do starego, na którym ten wypadek zrobił wrażenie, i już z innej strony wjechaliśmy do miasta.

^a Sanitariuszom.

Mój Boże! akurat od rana nie mogę się oderwać myślam od Irenki! Rano zacząłem do niej list pisać, ale mi przerwano i parę słów zaledwie napisałem; gdyby tak było trafiło, to bym już Ci listu nie dokończył – aha! Spotkalismy w Rozwadowie brygadiera 45. Dywizji, który moich panów prowadził piechotą po polach, orientując ich w sytuacji, łąziliśmy tak aż do skutku, tzn. jak znowu zaczęło lać jak z cebra. Przybывamy nareszcie do wsi Maki, gdzie szukam

dla nas kwatery; ledwie konie rozsiodłano, już mnie posyłać do komendantów kanonów i haubic, oraz dla zbudowania linii do 45. Dywizji. Ładna perspektywa! Zaznaczyć należy, że dotychczas nie miałem chwili spoczynku, odkąd tylko wyjechałem o godzinie 3.00 po południu. Zanim pobierałem obydwie patrole, zanim dowiedziałem się, gdzie założyć stację, zanim ją w końcu założyłem, zrobiła się noc – no, może nie noc, ale dokładnie ciemno. W tych warunkach buduję teraz linię 5 km długą! Niech diabli wezmą takie wynalazki! Światła nie wolno zapalać, a często nie ma żadnego materiału po temu, rozciągajże teraz drut po drzewach, bo droga prowadzi przez las, a zresztą jest mokro. Nakładałem się też jak zwykły kapral albo zgoła ekonom! Po przeszło dwóch godzinach, doczłapałiśmy wreszcie do wsi Pławy, o której nie wiedziałem, że się tak nazywa, przypuszczając, że zbłądził.

Taki zły i zdesperowany jestem tą pogodą, że nie wiem, co z sobą zrobić – kłać czy rozpaczać? Konie wstawiłem do stodoły, będą miały dobrze. Sam położyłem się w izbie u chłopca na słomie i nie mogłem zasnąć: raz – z głodu, a po wtóre – bo zacząłem myśleć o Żabie; przecież to nic te taramaty i nieprzyjemności, kiedy ona mnie za nie takim listem wynagrodziła! Kruszynko moja! Taka dobra jesteś i nie wiem, nie wiem za co! Że też Ci nie mogę tych rącząt wyciąłować, ba, nawet napisać nie mogę, bo o poczcie na tym odludziu ani słyszeć; a no, widzisz, musi moja dobra wola wystarczyć. Ciekawy ten dzisiejszy dzień, pod względem niebezpieczeństw, bo własne wojsko zaczęło do nas strzelać, jak kapral zapalił zapalnik łącząc drut telefoniczny; naturalnie, że nic nam nie zrobili, ale niemniej strzelali; naturalnie się wyjaśniło za chwilę, kto i co jesteśmy, i nakładałem ten patrol

^a Przysłowie: filip oznacza zająca podczas polowania.

od głupich psów! Tak – niech sobie wiedzą, bo jakby trafili, to by Iruś miała figę, a nie żadnego Zika. Budziłem się parę razy w nocy i spać nie mogłem, pomimo że zmęczony byłem jeszcze gorzej jak filip^a z konopi; czo to to? Nerwy?

12 Wstałem rano, jeść mi nie dano – nie chodzę sobie i ciągle robię. Jadę wzdłuż linii, która jest poprzerywana do niemożliwości. Kłąłem wczoraj w tamtą stronę, klnę więc teraz w drugą; ponieważ deszczyk już pół godziny nie padał, więc sobie teraz dla odmiany popaduje. Na mieszkaniu mego przełożenia wesoło i ciepło i najedzono, a u mnie w ręce zimno, w nogi mokro i w żołądku burcząco; naturalnie, że mi te przeciwieństwa przede wszystkim przyszyły do głowy, więc też zaraz po pokornym zgłoszeniu, „żem tyż przyszed”, siadam koło pieca się grzejący i z gospodynią o mleku się porozumiewający, które też jestem otrzymujący. Niedługo mego spoczynku, bo wezwany wałę piechotę na leśniczówkę, gdzie mój stary chce mieć przełożoną stację i równocześnie wysyła mnie na drugą końcówkę, żeby się połączyć z naszą dywizją. Nie pojechałem atoli od razu, ale zjadłem przedtem obiad przy 3. Baterii.

Zajechawszy do Pławy, gdzie miała być 45. Dywizja, przekonałem się jednak, że jest w Rozwadowie – naturalnie drutu mi do Rozwadowa nie wystarczy, więc zostawiam telefonistów i sam tam jadę, przypuszczając, że zastanę tu także naszą 223. Dywizję, która była na dziś do Rozwadowa zapowiedziana; nie było jej, niestety! Została w Stanach, a z nią i kuchnia – o boleści! Ostatecznie nic tu nie działałem szczególnego, wracam więc oglądając porozbijane dachy i budynki; wesoło na to miasto strzelali! Zapomniałem wspomnieć, że na leśniczówce obok wsi, w której stali-

śmy, rozlokowała się komenda baterii $\frac{3}{4}$, dywizji haubic $\frac{1}{10}$ i wreszcie nasza brygada miała się tam umieścić; mieliśmy się mianowicie tam przenieść po południu, ale Moskal jakby przeczuł, zaczął do tej budy strzelać – jednym granatem 12 cm jak grzmotnął w stodołę, to pocisk przebił dach, zabił jednego kaprała, kanonierowi urwał nogę, uśmiercił konia i wyszedł przez ścianę. Zdążył naturalnie i stodołę zapalić, jak się zaczęła strzelanina, to zabito jeszcze parę koni i ciężko kilku ludzi poraniono. Jadąc do Pławy natrafiłem właśnie na moment, jak owego zabitego grzebano, przy czym kapitan był obecny i całą sytuację dokładnie mi opowiedział. Dowiedziałem się więc oprócz tego, że mój instruktor ze szkoły jednorocznych²⁴, por. Breitenfelder, komenderuje dwoma działami, które stoją pod Pławą. Wnet je też usłyszałem, jadąc zresztą w tym kierunku, gdzie stały. Z przeciwnej strony strzelały także dwa działa i dość długo trwał ten pojedynek.

Ponieważ musiałem przejeżdżać przez las, w którym pociski pękały, więc niemiłego uczucia doznawałem – zwłaszcza po tym pogrzebie, obok którego dopiero co przejechałem – ale [choć] trochę baliśmy się z kobyłą, tak pewny jestem nieskaleczenia i nieśmierci, żeśmy się bynajmniej nie wrócili ani nie zatrzymali. Tylko ona sobie za każdym strzałem troszkę podrygiwała, jak się później okazało, baliśmy się na darmo, bo się ani mnie, ani koniowi nic nie stało. Po powrocie z Rozwadowa do Pławy, kazałem zbudować stację razem ze stacją artylerii fortecznej, ale już nie czekałem, aż będzie gotowa, tylko pojechałem do mego władcy, kóry stoi we wsi Swoły. Sam jestem przemoczony jak dziurawy płaszcz gumowy, chodzi mi jednak o kobyłkę, bo już bida tak chce do stajni, że rzy z tęsknoty i wzruszenia; do-

stała też podwójną porcję owsa, tym bardziej, że brygadier zapowiada możliwość odjazdu o 10.00 lub 11.00 w nocy. Na takie dictum, o nic mi przede wszystkim nie chodzi, jak tylko zjeść kolację i spać; rezygnuję nawet z przyjemności suszenia obuwia i sukien, tak tęsknię za wyciągnięciem grzesznych kości na bynajmniej nie zachęcającym barłogu.

13 Ano – padało znowu całą noc – jesteśmy więc przynajmniej spokojni, że nam woda w studniach nie powysycha. Wynosimy się wszyscy ze wsi, bo ma być „armatnio” ostrzeżliwana; naturalnie, że musi się zawsze znaleźć jakiś diabeł, więc też z punktu posyłają mnie po patrol, którego szukać nie wiem gdzie, a który spotkałem tylko całkiem przypadkowo. Dojechałem z nim później do Pławy, gdzie się ma zamiar nasz komendant zainstalować; wyszukałem kwatery, ale nie siedzimy w domu tylko pomimo deszczu idziemy na punkt obserwacyjny. Ja się pindram^a po drabinie na drzewo, i pomimo że nic nie widzę, to i tak mi jest zimno w nogi. Znalazł jednak ogniomistrz jakiś dach, gdzie postanowiono założyć telefon i stamtąd obserwować; zostawiamy go tam, mam za 2 godziny przyjść na zmianę, a na razie troska o pożywienie; stary jednak sprawił, że nas zapraszają na obiad do piechoty, i to do tego obrony krajowej! Nie mogłem tego upokorzenia znieść, więc nie poszedłem, tylko posłałem Johna, który mi obiad, nawiasem mówiąc dobry, przyniósł. Obecnie siedzę boso, bo się buty suszą i wybieram się na stanowisko obserwacyjne, jako że od kwadransa biją szrapnele na jakieś 100 m w bok od nas, zaintrygowanie więc ogólne, gdzie może być ta nieprzyjacielska bateria. Listu ciągle nie mogę wysłać! Stać tu mamy parę dni, co mi się bynajmniej nie uśmiecha. Woda w Sanie coraz większa,

^a Regionalizm
krakowski:
wspinać się.

drogi rozmokłe, mostów nie można budować, on się za rzeką okopał, i choćby głową w mur walić, trzeba stać, i to nie wiadomo dokąd!

Siedziałem na dachu przez godzinę i przypatrywałem się wojnie. Na jakie 100 kroków od brzegu okopał się Rus – od czasu do czasu pokazywał się z ziemi jakiś łeb, czasem spacerowali sobie pojedynczo lub po dwóch – oj, świerzbiała mnie też rączka! Cóż, kiedy nie miałem żadnej strzelby, a piechota, ponieważ jest niżej w okopach, widzieć ich nie mogła. Skonstatowałem nieprzyjacielskie okopy wzdłuż Sanu, bliżej lub dalej brzegu, ale już dziś użytku z tego nie mogę zrobić, bo się ściemnia i ognia nie można by (przynajmniej skutecznego) otworzyć. Wróciłem więc do domu. Panowie moi wybierają się na kolację, zostawiając mnie, celem ewentualnego urzędowania; nie bardzo mi się to udało, ale posyłam Johna, niech kolację przyniesie; wrócił atoli za chwilę [z wiadomością], że wszystko spakowane, i odmaszerowali. Byłbym się wściekł, gdyby nie to, że przy mnie siedzi nadpor. Höul, który tu przyjechał po rozkazy – i także jest głodny. Nie wściekłem się, więc tylko otworzyłem dwie konserwy i odgrzałem dla nas. Przyszli ci panowie, ale tak samo głodni, i też zabierają się do odgrzewania konserw w chwili, kiedy my swoje zajadamy. Nie popiliśmy niczym, bo wody pić nie wolno ani się też do niej bardzo nie palimy, a piwo jest najbliżej w Tarnobrzegu, więc się nie opłaci chodzić, chociaż to tylko 30 km; nie pozostaje więc nic innego, jak iść spać.

14 Taki jakiś słaby jestem, że choć wszyscy już wstali, ja się wstydzilem, ale leżałem dalej. Nie pomogło jednak nawet takie poświęcenie z mojej strony jak wstyd, bo wstać mu-

siałem, a zaopatrzony w stację telefoniczną, oraz nie zaopatrzony w śniadanie, poszedłem na wczorajsze stanowisko obserwacyjne. Tak bezczelnie chodzili po brzegu, że nie wytrzymałem, tylko pożyczwszy karabin od piechociarza zacząłem z tego dachu strzelać. Skutek był ten, że jednego ubiłem, pierwszego Moskala, i pierwszego człowieka w życiu, trochę się ucieszyłem, ale nie zatwardziało mi całkiem serce, bo nie mogłem się pozbyć pewnego rodzaju niemiłego uczucia. Siedziałem na tym dachu do zupełnego przemarznięcia, aż mnie wreszcie szrapnele spędziły w południe; wyszukałem też tę artylerię, która nam szkodziła i kochany kpt. Sonnek w kwadransie zmusił ją do milczenia.

Zluzowali mnie o pierwszej i poszedłem na obiad do haubicy; stoją coś 3 km od nas, idę więc jak na Golgotę, bo głodnawy jestem, najadłem się też jak dragon. [...] Za to musieliśmy wracać przez linię ognia, ale nam się znowu nic nie stało, bo strzały były za krótkie; w ogóle dziś strzelanina jest taka jak jeszcze nigdy, bo np. ciężkie haubice przez całą wojnę nie wystrzelały jeszcze tyle amunicji, co przez dziś. Poszedłem znowu na swój dach, ale nie siedziałem długo, bo mnie zobaczyli i zaczęli strzelać z karabinów; położenie moje było takie, że za tło miałem drzewo, w które trafiła kula, omijając moją głowę. Na takie dictum, wydłubałem ją, aby mieć pamiątkę, i zszedłem z dachu. Ponieważ się ściemnia, więc też wracam do domu, gdzie się dowiaduję, że kolega jedzie do dywizji, może więc nadać pocztę. Piszę więc na gwałt list do Irenki, ale nie taki jakbym chciał, bo jestem przemęczony i jakby oszołomiony z tych strzałów i huku, a przy tym spieszę się, aby nie odjechał bez mego listu. Skutkiem też zmęczenia nie idę na kolację, bo za daleko, tylko patrzę, żeby się jak najprędzej położyć; nie dają

jednak spokoju, ciągle coś trzeba robić – to szkice rysować, to telefon, i tak do 10.00.

W rozkazie z dywizji przyszła oficjalna wiadomość, że pod Leżajskiem wzięto 10 000 Rusów i 34 armaty. Szalenie wesoło usposabiają człowieka podobne wiadomości, zwłaszcza jeżeli są prawdziwe. Żeby to już koniec zrobili! O 10.00, jak rzekłem, poszliśmy spać: o 12.00 budzą mnie, aby iść z ważnym rozkazem do haubic i kanonów. Słowo daję, że mi się szalenie nie chce! Z pierwszego snu mnie zbudzili i głowa mi cięży, ale to nic nie pomaga, bo muszę rypać; gdzie ja teraz po nocy znajdę legowiska tych panów? Bez światła, bo nie wolno, a drogi też nie znam, nikogo żywego nie spotkam i rób co chcesz! Krążyłem też jak sęp po nocy, aż wreszcie na 4.00 wróciłem do domu, pozałatwawszy wszystko szczęśliwie. Kto się za mnie wyśpi?

15 Tak mi, psia pies, głowa cięży, jakby była do pozłoty, budzi nas stary o 5.00 i myśli, że przez to proch wynalazł, a moglibyśmy spać nawet do 7.00, bo nic pięknego^a nie było. Powstawaliśmy więc i kręcimy się po pokoju bezczynnie, aż mnie to w końcu zgniewało i zabrałem się do mycia; wymyłem się więc jak sama Zuzanna w kąpieli, co mi się już od pięciu dni nie zdarzało. Czysty na duszy i ciele zjadowałem śniadanie, nawet z chlebem, którego ogólnie brakuje, a który gospodyni przecież dla mnie znalazła; mam psiakrew szczęście do bab! I to tym większe, im są starsze. Na ogół biedni jesteśmy z żywnością, bo nie będąc przy dywizji, jesteśmy gośćmi u haubic, do których się idzie raz dziennie, na obiad, bo są daleko od nas, a i tam się nieszczerólnie wiedzie, więc raczej okłamujemy żołądki, aniżeli je napełniamy. Najgorsza bieda bez chleba, bo go nigdzie dostać

^a Tu w znaczeniu: pilnego.

nie można, a to przecież najniezbędniejszy artykuł, zwłaszcza jeżeli i innych brakuje.

Nieprzyjemną dziś pełniłem funkcję – rekwirowania siana – płakała babina i prosiła, żeby go jej nie zabierać, ale cóż ja jej na to poradzę, kiedy siano muszę mieć, a jeśli bym go nawet zostawił, to przyjdą inni i także zabiorą. Trudno! Trzeba mieć coraz twardsze serce.

Do południa przeszedł mi czas, nawet nie wiem kiedy, i walimy z Neubauerem na obiad; bardzo się grzecznie do mnie przy stole podpułkownik odnosi, krzyczy na ordynansów, żeby mnie obsługiwali etc., że aż jestem zdumiony tą jego uprzejmością, tym bardziej, że z opowiadania znam go jako gbura. W dobrym był atoli humorze, bo mu się podstęp udał, który kosztował Moskali kilkadziesiąt strzałów armatnich, oddanych zupełnie bez potrzeby, w którym to czasie sam go wziął pod ogień. Z obiadu wracaliśmy spokojnie, nie tak jak wczoraj pod ogniem; ledwie przyszedłem do domu, już stary po ratunek do mnie, że telefony nie funkcjonują, tak jakbym był winien co temu, że chłopcy śpią. Pojechałem jednak do naszego pułku, celem przekonania się, w czym błąd leży, i natknąłem na chłopców, którzy się rzucili na mnie jak na łup, są bowiem zupełnie bez tytoniu, a ja – mając jeszcze z 10 papierosów – podzieliłem między bractwo.

Jakkolwiek bardzo lubię kapitana W., jednak nie wiem, dlaczego on się tak pali do mojego towarzystwa; był u niego w zakrywce i porucznik Wł. i jakiś doktor, więc mu się chyba nie przykrzyło, a pomimo tego nie chciał mnie puścić, Ba! Nawet wypiliśmy flaszkę koniaku! Nadporucznik Rudolf to taka śmieszna figura, że go aż lubię za ten ustawiczny humor; huka sobie z armat i wice przy tym robi;

już się wieczór robił jak od nich odjechałem – żyją jak krety, ciągle zakopani w ziemi. Około czwartej po południu latał ruski aeroplan i jak się wieczór dowiedziałem, strącono go pod Rozwadowem. Ledwie że do końca doszedłem z telefonami. Dobrze już było ciemno, jak poszedłem do ciężkich haubic, po drodze o mało oka sobie o gałąź nie wybiwszy; za to wracając widziałem śliczną kometę, która już drugi dzień daje się obserwować. Diabli nadali z nerwowością i niezdecydowanymi rozkazami, bo przez nie muszę do 11.00 siedzieć i czekać, aż mnie zluzują. Coś się znaczy ważnego dziś w nocy albo jutro, bo gonimy wszyscy jak frygi i nakazana już całonocna gotowość; może dziś smykniemy za San, żeby narobić bigosu albo też jest zamiar budowania mostów? Zobaczymy! A teraz budzę mojego następcę w służbie.

Rany boskie święte, niech się taka noc powtarza bardzo rzadko albo zgoła wcale, bo zacznę kląć jak szewc albo inny rękodzielnik. Nie dospałem nawet do 11.30, gdy mnie zbudzono, narobiwszy gwałtu, że trzeba, aby ciężkie haubice strzelały; gońże więc Kaziu po nocy, bo przecież, psiakrew, na wojnie jesteś, to inni spać mogą, a ty sobie pobiegaj troszeczkę, żebyś się przypadkiem nie wyspał. Drałowałem też jak wariat, to do baterii, to do brygady piechoty, to znowu wścieklizna przy telefonie, który nie funkcjonuje, jednym słowem, dawnom się już tak nie bawił. Pomijam już to, że roboty było do diabła i trochę, ale przy tym byłem taki nie w sosie i ciągle jeszcze od tego huku armatniego ogłupiał, że wszystkich sił używałem, aby pierwsze, nie zasnąć, a drugie, nie zacząć kląć na głos, żeby się aż piec trząsał. Ten cały gwałt i kram, jak się okazało, był po to, aby przeforsować przeprawę piechoty przez San²⁵. Niby mi się to wcale podoba! Oni się będą na łódkach wozili, a ja tu mam konać!

Sto razy wolałbym z karabinem na drugą stronę, aniżeli taką suchą, a tak denerwującą robotę wykonywać.

Kombinowałem i gubiłem się w domysłach, czy się też przedsięwzięcie uda, gdy przyszedł rozkaz telegraficzny, że cała artyleria naszej brygady ma odmaszerować; ładne położenie! Tu kapitan od pionierów, który piechotę przeprowadza, prosi, aby artyleria jak najwięcej strzelała, a tu znowu rozkaz do odmarszu. Ostatecznie kazał stary strzelać, dopóki wszystkie przygotowania do odjazdu poczynione nie będą, a zresztą, zostawiamy tu ciężkie haubice. Telefonowanie więc i rozsyłanie ordynansów jeszcze na wszystkie możliwe strony, aż wreszcie przychodzi zawiadomienie, że nasi są już na drugiej stronie Sanu, należy więc ogień przerwać. Można więc odetchnąć, bo nasze zadanie spełnione, i przysposobić się spokojnie do odjazdu. Zdążyłem się jeszcze opić kakao, chociaż bez chleba, po czym oczekuję chwili, kiedy każą konie wyprowadzać, celem udania się na dalszą wycieczkę. Psiakrew! Przyjemnościową wycieczkę!

16 Idziemy zrazu piechotą, dla odświeżenia się, za nami prowadzą konie. Odświeżamy się tak ze 4 km, tak że z tej świeżości ledwie pedałami ruszam. O! Świeży jestem, tak jak Stefanowe wice albo ołomunieckie kwargle!^a Pomimo tego, do śmiechu mi jest raczej jak do płaczu, lub złości, bo wracamy do naszej dywizji, więc przynajmniej perspektywa na jakieś pożywienie bardziej ludzkie, niż w tym odludziu. Zostawiają mnie po drodze, z rozkazem dla mającej za nami podążać artylerii; jadę jej naprzeciw, aby prędzej załatwić, i wracam zaraz do kompanii. Po drodze spotykamy kolej polową, która zresztą zupełnie bezużytecznie tu stoi, bo jeszcze nikogo nie przewiozła; przewiozło się za to

^a Serki
topione
z ostrymi
przypra-
wami.

paru na tamten świat, co można poznać po grobach z napisami, napotkanych w lesie. Jedziemy przez Jamnicę do Grębowa. Konie od haubic ledwie ciągną, takie już zbiedzone. W Grębowie postój, bowiem tu się mamy zjechać z naszą dywizją, która jeszcze nie przyjechała. Oczekujemy jej więc, a tymczasem oglądam sobie rannych, których ładuję na wozy i kupuję za 5 ct chleba od jakiegoś pucybuta, bo jestem głodny.

Żebyś Ty Iruś wiedziała, jak ja jestem strasznie zmęczony! Jak ja chcę do Krakowa! Ale Ty nic nie wiesz, a i tak jesteś moja Kropeczka droga. Podczas postoju, mówi brygadier, że mnie znowu do Krakowa pośle, bo znowu mu coś potrzeba; aż mną zadygotało! Naturalnie, tłumaczę, że mogę dużo pozafatwiać, a i sobie na zimę różne rzeczy posprawiać; czekamy więc teraz tylko sposobności! Iruś! No, już więcej nic nie powiem, bobyś zaraz zgadła, że aż drzę z uciechy zobaczenia Cię Żabko! Maszerujemy do Zaleszyc; po drodze nic szczególnego nie zaszło, spotkaliśmy tylko komendanta 110. Brygady pospolitego ruszenia gen. Mataszica. Kwatera w szkole – czekam na kuchnię drzemiąc i drzemiąc czekając – tak mi zeszło do pierwszej, aż w końcu poszedłem o głodzie spać.

17 Zerwałem się jak oparzony, bo koło mnie nikogo nie ma – czyżby odjechali? Pomyślałem; okazało się, że ani nie byłem oparzony, ani nie odjechali. Zacząłem więc szukać przełożonych, ale zamiast nich znalazłem kuchnię, która o tyle przyjemnie na mnie oddziaływała, o ile tak długo wcale nie oddziaływała. Poprawiłem więc żywota, i dałem buta do naprawy, bo mi pękł – pękł atoli ani nie ze złości, ani z obżarstwa, ale tak sobie z figlów – ja mu, psia pies, po-

figluję! Że to nasz stary na miejscu wytrzymać nie może, więc też pojechaliliśmy w pole; pindrałem się na drzewo jak jaki młodzieniaszek, ale nic na nim nie znalazłem, bo za-rosła zasłaniają przeciwległy, nieprzyjacielski brzeg. Wraca-my więc nic nie wynalazłszy. Przy obiedzie wypijam sobie butelkę wina – co za dzień! Psiakrew, mi się powodzi! Ro-bię następnie wycieczkę do sąsiedniej wsi, Wólki Zalesiań-skiej, po owies, którego nakupiłem dla naszych koni na ca-ły tydzień!

Zeszedł tak w ogóle dzień jako tako, aż przyszła chwila, w której udaliśmy się na kolację; podczas niej przyszła poczta, ale nie dla mnie. Fe! Iruś, mogłaś była co napisać! To bardzo nieładnie, jak każdy przy stole coś otrzymał, a ja figę; ho! ho! Nie bój się! Jak Ci to kiedy opowiem, to Ci dopiero będzie nieprzyjemnie! Hm! A może Ci będzie i wszyst-ko jedno?! Poczta przyniosła też dla naszego dywizjonera Żelazny Krzyż II Klasy, piliśmy więc na tę intencję i szam-pańskie, które dotychczas przezornie chowano. W końcu wszyscy się rozeszli, ale ja musiałem na rozkaz czekać, na szczęście niezbyt długo. Wróciwszy do domu zastałem sta-rego w wyśmienitym humorze, zabierającego się do spania; nie omieszkalem go też pompować o wyjazd do Krakowa, aż odrzekł, że gdy się dowie, że mamy tu dłużej zostać, to mnie jutro wyśle. Jutro więc! A teraz już po pierwszej, więc Kaziku chyba najwyższy czas do spania! Zapomniałem nad-mienić, że dziś nareszcie wypłacono mi pensję.

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

18 ^a Ledwie sobie uzmysłowiłem, że to dziś niedziela, zaraz mi przyszło na myśl, że nic mnie dobrego dziś nie spotka. Ładnie się dzień zaczął, bo jeszcze leżałem w łóżku, a stary już spisywał, co mam do załatwienia w Krakowie. Nie wiem,

czy mi kiedykolwiek będzie przyjemniej wstawać, jak dziś, na skutek słów starego, że jadę do Krakowa, więc niech się ubieram. Mój Boże! Nawet w 100 ubrań jestem się gotów ubrać – w moment też byłem gotów i wszystko pięknie się składało – no, ale to przecież niedziela! Jeszcze do tego dostałem kartkę od Irenki; nie bój się, pomyślałem, prędzej się drzwi otworzą, niż przypuszczasz! Otóż jednak, jak się rzekło, niedziela nie może się dla mnie dobrze zapisać, zachorował bowiem kolega kadet-ordynans i musiałem za niego objechać wszystkie grupy artylerii; pomimo że się spieszyłem, nie oszczędzając konia, zeszło mi do 5.00 po południu, o którym to czasie wróciłem do komendy. Pod moją nieobecność coś się musiało ważnego wydarzyć, bo z miejsca posyłają mnie znowu z rozkazami; biorę więc innego konia i głodny, bo dotychczas jestem o śniadaniu, walę w czełuść nocy. Spieszę się, aby wszystko możliwie prędko pozakłaniać i wrócić przynajmniej na kolację; spieszę się tak, że nawet zapomniałem się bać przejeżdżając koło cmentarza, jak też i grobów poległych w polu.

Zgrzałem się tak jakby to było w sierpniu albo w łaźni, ale też za to byłem o 8.00 już z powrotem; zdążyłem więc na kolację, podczas której nasz brygadier zachorował. Zaniepokoiło mnie to, bo starego pomimo wszystkiego lubię i nie chciałbym, żebyśmy się mieli rozstać – nadzieję jednak mam, że to tylko przejściowe załabnięcie. Deszczowe dni podczas naszego odłączenia od dywizji, kiedyśmy się formalnie zabijali robotą, zrobiły swoje, bo mój pułkownik chory, komendant haubic jeszcze bardziej chory, kadet Neubauer, mój rówieśnik, idzie jutro do szpitala, aż wreszcie i nasz staruszek zaniemógł. I to wszystko w jednym dniu! Pech jakiś, czy co? Zmęczony jestem tą całodzienną wędrów-

ką, ale pomimo tego jakoś nie jestem przygnębiony. Twoja to w tym robota Iruś! Karteczkę napisałaś, widzisz, że dobra jesteś; jadę tak samo przez pole – noc – i widzę Cię, mój Robaczku! Widzę Cię siedzącą przy oknie, w oczekiwaniu, aż się drzwi otworzą. Hej! Jakbym chciał być teraz przy Tobie! Tak jak moje serce, które trzymasz w swoich łapiętkach, i robisz z nim, co chcesz! W tych drogich, małych łapiętkach!

19 Gwałtu narobili wczoraj, że maszerujemy, żeby się pakować etc., a tu tymczasem 9.00 rano i stoimy, a nawet do wieczora stać będziemy. Wszystko to tylko dlatego, żebyśmy do Krakowa nie pojechał. Od dziś kupa roboty będzie na mojej głowie, bo na miejsce chorego kadeta nikt nie przychodzi. Jak na razie jednak lenię się jeszcze, bo nic mi do roboty nie dają, a ja, rad z tego, myślę sobie o pewnej dojrzałej osobie, co to ciągle jeszcze rośnie, chociaż już taka stłasnna dama! Taka dama sobie nawet sprawy nie zdaje z tego, co by to było śmiechu i innej wesołości, jakby tego kawalera było trafiło. Nie trafiło, Żabuś, bo nie chcesz, żeby Zik nie pisał – hm! Zik! Takie sobie imię wymyśliła! A no, Odrobina jest, to niech sobie wymyśla, co chce, byle nie zapomniła, byle tylko to serduszko było takie zawsze, jakim je mieć chcę. Robak jesteś! Życia nie znasz, a zaufałaś! Żebyś za to nigdy niezachmurzone życie miała! Ho! Ho! Ale mi psia mać żołnierz, co się zaczyna rozczulać! Nerwy w garść, panie Kaziuku! Jeszcześ rowu nie przekroczył, a krzyczysz hop! I marzysz! Projektujesz! Przyszłość widzisz! Czy to tylko nie za śmiało? Hm! Optymizmem dotąd żyłem, śmiechem przez życie przechodzę, więc gdzie powód do pozbawiania się jednego i drugiego? Gdyby taki głupi kawałek ołowiu miał decydować o życiu, to wystarczy przecież tylko głowę uchy-

lić! W końcu dlaczego miałyby się ginąć, kiedy od pewnego czasu taki ten świat piękny!

To cały mój dzień dzisiejszy: przeważnie Ty, Iruś! Bo jak mam tylko myśl wolną, to jestem z Tobą. Zaniepokojenie było dziś po południu, bo jakoś niesamowicie strzelali z przeciwnego brzegu, jak również że się w nocy ataku spodziewają, względnie przeprawy przez San. Muszę dziś czekać na rozkaz, więc i tak spać nie idę, a zresztą zobaczymy, co się w nocy zdarzy. Może przecież jutro będę mógł do Krakowa, z której to okazji w żaden sposób zrezygnować nie chcę. Nie chcę, bo chcę do Irenki! No, serdecznie dziękuję za taką noc! Do północy czekałem na rozkaz i ledwie go dostałem, zaczęła się nad wodą strzelanina, która mnie zastanawia o tyle, że nie wiem, co ta piechota może w nocy widzieć, zwłaszcza że mgła oprócz ciemności przeszkadza. W następstwie jednak tej rzeczywiście anormalnej strzelaniny zaalarmowana została cała dywizja, bowiem przypuszczano, że się z drugiej strony przeprawiają. Po pewnym czasie nieco się uspokoiło, zanadto też byłem zmęczony, aby się nie rzucić na słomę. Nie zdążyłem jednak zasnąć, gdy drugi raz [nastąpił] alarm, i tym razem już w gotowości doczekaliśmy rana; taki zły jestem, że aż mnie głowa rozbolała z irytacji. Bo niby co można, to można, ale skąd ja przyzwyczajam się do tego, żeby po nocach nie spać, kiedy ja właśnie bardzo spać lubię, zwłaszcza w nocy!

20 Wałęsam się od rana, bo właściwie nie ma żadnej roboty. Jest tylko ciągły niepokój u starszyny, który odczuwam na swojej skórze, jako że ciągle nudzą, chcąc się dowiedzieć o każdym oddanym strzale, gdzie skierowany etc. Biegam więc ja po telefonach i innych diabłach i także nudzę, wypy-

tując się o te szczegóły. Ostatecznie nie wytrzymałem, tylko się po obiedzie kopnąłem spać; wprowadzie się nie przespałem, ale za to musiałem zaraz wstawać, bo znowu dalszy ciąg nudzenia. Zapomniałem nadmienić, że przy stole raczył mnie ekselenc sam pytać o moje pochodzenie, studia etc., jakby to straszna łaska była! Chce mnie kapitanem zrobić, czy co? Bo po kiego grzycha mu to potrzebne wiedzieć, i skąd go to tak nagle napadło, że się o mnie pyta? Prawda, że jestem „pierońsko przystojny”, więc mu chyba w oko wpadłem, bo zresztą? Siedzę do wieczora przy telefonie, i latały dziś dwa ruskie aeroplany, oraz przeziębiony jestem, jako też kaszlę i zimno mi w nogi. Neubauer pojechał dziś do szpitala – szczęście w nieszczęściu, bo się na pewno dostanie do domu, do Wiednia, i sobie spokojnie dochoruje do końca wojny.

21 W przeciwstawieniu do ogólnego zaniepokojenia i nerwowości, jestem sobie zupełnie zrównoważony i pełen jak najlepszych horoskopów. Deszcz padał w nocy, rano pochmurno, jakaś przygnębiająca atmosfera, a ja się czuję tak dobrze, tak spokojnie, jak w domu. Z rana siedziałem przy telefonie, aż wysłał mnie stary na kościelną wieżę, celem obserwowania; siedzę też tu jak na pokucie, bo przeciąg straszny przez dziury, które jeszcze na początku wojny porobiły szrapnele. Przez parę godzin nic – aż dopiero około 2.30 po południu zaczyna strzelać z sześciu armat, nic nie przeczuwając, że za drugim strzałem już go odkryłem – naturalnie, telefon w ruchu, i druga bateria po pół godzinie zdemolowała onych wrogów. Gratulowałem sobie, bo za moją przyczyną owa porażka, zaś wieczór przy stole gratulowano staremu.

Zły byłem przez cały dzień, a to dlatego, że zimno i wiatr przyprowadził mnie aż o ból głowy. Tym niechętniej czekałem na rozkaz, ale nie było rady, bo adiutant, też chory, położył się do łóżka. Przyniesiono pocztę, znowu nic dla mnie, ale za to z gazety dowiedzieliśmy się, że nasz stary dekorowany. Znowu nastąpiła porcja gratulacji i popijania herbaty z rumem, aż się rozeszli, i niedługo potem dano mi rozkaz – wróciłem do domu – przeczytałem go staremu, sam też pokornie pogratulowałem, i poszedłem spać.

22 Jakkolwiek stary robi gwałt, jak zwykle, to i tak jest całkiem spokojnie. Nieumyty poleciałem na wieżę, ale pomimo że mi aż nogi zdrętwiały z obserwowania, chociaż mi umocowali drabinkę sznurową na samym wierzchołku wieży, nikogo na przeciwległym brzegu nie znalazłem, oprócz paru wozów, które w lesie zniknęły. Nikt też stamtąd nie strzelał, w ogóle mam wrażenie, że się w tej okolicy przeciwnik cofnął. Jest na wieży ze mną Stefan, marzniemy też i rozmawiamy obydwa. Dostałem dziś kartkę od rodziców Janka, z zapytaniem o niego, nic o nim nie wiedzą od sześciu tygodni. Biedni starzy, bo napisałem im, że ranny, a nic mu pomóc nie będą mogli; przypuszczam bowiem, że jeśli jest w szpitalu, to rosyjskim, bo z naszego to by chyba bodaj do mnie napisał.

Przy kolacji opowiada kpt. Sonnek o nieudanym naszym przejściu przez San – po obydwu stronach kolosalne straty. Stoimy tu, w tych Zaleszanach, już szósty dzień i ani naprzód, ani w tył. O ogólnej sytuacji nic a nic się dowiedzieć nie można, gazetom bowiem zupełnie nie wierzę; siedzimy więc tutaj, czekając chyba zmiłowania Bożego, bo albo się, psiakrew, bić, albo niech mnie puszczą do Krako-

^a *Dopisek
autora:
Dittrich
dziś
gwizdał!*

wa, nie da rady bowiem wytrzymać długo z takim głupim zajęciem, jak telefony, kupno siana, dywizja i diabli wiedzą co! Jeśli już tak ma być, to niech przynajmniej Irenka pisze, a tu tymczasem ona się zacięła i ani słowa, chociaż poczta co dzień przychodzi. I humor mnie opuścił, bo o byle co krzyczę na chłopów, jak ten proboszcz z ambony, u którego mieszkamy. ^aDuchowny mnie poprosił o mydło do golenia, bowiem jemu Moskale ukradli. Zdziwiło mnie to, bo byłem przekonany, że ta nacja się w ogóle nie myje, a co dopiero goli, ale księdzu muszę wierzyć, więc podzieliłem ten ostatni kawałek, który mi się jeszcze został. Gól się więc księżę dobrodzieju, na większą chwałę Bożą! Już parę dni nasza piechota nic nie robi, tylko chodzi do kościoła na nabożeństwa z kazaniami. Ładny tu jest kościół, [choć] wewnątrz także szrapnelami poraniony, tylko wieżę ma za wysoką, bo nim się człowiek na wierzchołek [wdrapie], to się po drodze 100 razy zastanowi, czy się nie podać na akrobatę do cyrku, zamiast się po tej wojnie objąć. Bez żadnych żartów, już mnie cierpliwość opuszcza, na to siedzenie w jednym miejscu. Do nocy żadnej wiadomości o nieprzyjacielu.

23 Zwyczajna zupełnie atmosfera – zwyczajne budzenie nas po 100 diabłów – zwyczajne niefunkcjonowanie telefonów. Nadzwyczajnie atoli brodzę w błocie, szukając 5. Baterii, która ma się obok nas znajdować. Znalazłem ją, a później zabrałem się do pisania całego przebiegu wojny, tj. wszystkich naszych potyczek w urzędowym języku, dla brygadiera. Przy tej czynności mniej mnie obchodzą te wszystkie daty, niż pytanie, dlaczego ten bęben nie pisze! No, ale ja może jestem za bardzo niecierpliwy? Popołudnie zeszło mi częścią na wieży, częścią na pisaniu o tej wojnie.

Pisałem mianowicie aż do zmroku, gdy skonstatowałem obecność w naszym pokoju harmonii, jak się przekonałem, z dwoma zepsutymi klawiszami, ale od czegoś prawdziwy artyzm? Ignorowałem więc owe dwa klawisze i urządziłem taki koncert, że aż obecnym po skórze ciarki przechodziły. Wprawdzie tych ciarek nie widziałem, ale że moja muzyka działała, poznałem po zaniepokojeniu u obecnych, coś jakby cichych przekleństwach, zgrzytaniu zębów etc. Była też to uczta duchowa! Nie gratulowano mi zapewne dla uniknięcia szablonu; grałem właśnie ten znany wyjątek *Ulubiony Augustcie*, gdy dano znać, że czas na kolację. Odetchnęli wszyscy, ja też, a harmonia także, i poszliśmy jeść. Nie tu atoli koniec dzisiejszych urozmaiceń, po kolacji bowiem pokazywał sztuki czarodziejskie jakiś artysta od Ronachera z Wiednia, który obecnie służy przy sanitetach. Wcale zręcznie różne wice wyczyniał, śmialiśmy się więc trochę i wesoło wieczór przeszedł. Sterczałem później, czekając na rozkaz, i zeszło mi do 1.00, zanim porozdzielałem wszędzie dyspozycje na jutro.

24 Kości mnie bolą i mięso tyż, zakatarzony jestem, kaszlę, kicham, jednym słowem zajęcia, psiakrew, po uszy, a tu do tego trzeba jeszcze wstawać. Nieumyty i nieuśniadaniony wyłażę znowu na wieżę, po to, żeby zobaczyć, jak deszcz pada, i żeby nie zobaczyć przez mgłę drugiego brzegu. Naturalnie, zaraz zlażłem z powrotem, zostawiwszy tam wszystkie meble na wypadek jakby się rozjaśniło. Rozjaśni się, ale chyba wieczór, jak się światło zrobi, bo jak obecnie, to całe niebo chmurami zaciągnięte na wieki wieków albo przynajmniej na trzy dni. Wedle rannej dyspozycji, mamy po południu maszerować do Goczyc. Chwała Bogu, że przy-

^a W oryginale: frybra.

najmniej niedaleko, bo naprawdę jestem niezdrów, jakaś febra^a mną trzęsie. Podczas obiadu tak prali w różne chałupy koło nas ze szrapneli, że się aż od stołu pozrywano i dalej – że patrzeć przez okno. Po co się zrywać? Będzie czas na to, jak mi szrapnel trafi w wieprzowinę, która nawiasem mówiąc jest znakomicie przyrządzona. Podjadłem też w spokoju ducha i poszedłem się zająć końmi, bo o 2.00 odmarsz. Wszystko spakowane, siadłem więc przed plebanią na ławce i czekam na awizo do odjazdu.

Myślę o różnych rzeczach – i tak mi jakoś smutno! Tak smutno, Iruś!... O 3.00 maszerujemy do Goczyc, zachowując wszelkie środki ostrożności, bo droga jest ustawicznie przez artylerię ostrzeliwana. Przybywamy tu po 4.00, gdzie porucznik Ir. przygotował już kwatery, nie zapomniawszy mnie przeznaczyć do swego pokoju. Co to za kochany człowiek! I tak zawsze dobry i uczynny, że go strasznie lubią; znamy się w końcu tyle, co na wojnie, a tak zawsze o mnie pamięta. Miał też parę polskich gazet, które sobie czytam, on zaś czyta na głos niemiecką zarazem dla Dit[tricha]. Poszliśmy w końcu na kolację, podczas której dostałem kartkę. Zgadnij Iruś, od kogo? Otóż właśnie nie zgadniesz, że od Ciebie, ani żem się ucieszył. Hej! Miałem też humor przy kolacji! Aż Dit[trich] skonstatował, że mnie [może] rzadko takim widzieć. Abo co on może wiedzieć? Rychna! Całkiem słusznie się tak podpisałaś, bo Rychna jesteś, malutka taka! Moja! Resztę wieczoru jestem już z Tobą i – dlaczego ja tylko o Tobie myślę? Co to w ogóle za objaw, który konstatuję u siebie?

^b Dopisek autora:
Niedziela.

25 ^b 7.30 rano odjeżdżamy z Goszyc. Wyspany jestem setnie, toteż z początku jedzie mi się jak na spacer, i wszystko

byłoby dobrze, gdyby nie to, że mi się ciągle kości z kupy rozchodzą i mięso mnie boli, zwłaszcza na ramionach i żebrach. Wprawdzie sobie pogwizduję, nadrabiam miną i na pytanie brygadiera, dlaczego źle wyglądam, odpowiadam, że to tak od urodzenia, ale się dobrze nie czuję. Trudno! Trzeba będzie umierać jutro, może we wtorek, albo zgoła za kilkadziesiąt lat. Ponieważ należałoby trochę wypocząć, a czasu teraz na to nie ma, więc robię jutro podanie do Ministerstwa Wojny, aby już zrobili pokój, to sobie najlepiej wypocznę. Na razie maszerujemy przez Trześń – Wisłę – Sandomierz. Śliczne założenie ma [Sandomierz] – nad samą Wisłą zamek, kościół i jeszcze jakaś wysoka budowla – całość imponująco wygląda. A jaka ta Wisła cudna! Ciekawie się złożyło, że przechodzimy przez granicę o tej samej godzinie, co 20 sierpnia (pierwszy raz), bowiem przejeżdżając przez most patrzę na zegarek i tak samo jest [godzina] 9 [minut] 10, jak wtedy; czy też tak samo się nam teraz powiedzie? W Sandomierzu nawet się nie zatrzymujemy – mam więc sposobność tylko w przechodzie zauważyć zgrabny renesansowy ratusz, w tymże stylu kościół i jakąś średniowieczną bramę, przez którą przejeżdżamy, podobieństwem zbliżoną do Floriańskiej w Krakowie. Poza tym musi się zauważyć wszędzie rękę wojny; zniszczone bowiem wszystko, i [pomimo] obecności znacznej ilości wojska, dosyć gorączkowego ruchu, dziwnie obumarłe. Maszerujemy dalej, i pojawia się dalszy ciąg tego obrazu, jaki dostarcza wojna: po całych polach pusto, gdzieś tam ślady obozowisk, opróżnione wykopy ziemne dla piechoty, porozbijane figury i krzyże przydrożne, od czasu do czasu jakiś samotny grób lub zbiorowa mogiła kilku, czasem kilkunastu; do tego zachmurzony, chłodny jesienny dzień, dziwnie czło-

wieka nastrajają. I mimo woli żal mi się robi tych, którzy tu leżą, daleko od swoich, i tylko te zwykłe drewniane krzyżyki świadczą, że byli tak samo jak i my ludźmi.

^a Nykać,
wynykać
(dialekt
lwowski):
szukać.

O [godzinie] 11.30 przyjeżdżamy do Wysiadłowa (wsi), gdzie zatrzymujemy się na dwugodzinny odpoczynek; gdzieś tam wynykałem^a trochę siana dla koni, sam przetrąciłem trochę chleba i nie mając co robić poszedłem oglądać dwa konie, które pod stodołą leżały nic się nie ruszając. Żal mi się bydła zrobiło, bo je zostawili jako niezdolne do pociągu, więc też nikt im ani jeść nie daje, ani też nie poi, i tak sobie szkapina chcący niechcący zdycha. Kazałem też przynieść wody i napoiłem mizeraka i – o cudo – szkielec obciążony skórą wstał i zaczął się nawet ogonem od much oganiać; dałem mu więc jeszcze siana i miałem satysfakcję przynajmniej przez tę godzinę, żem bydlę wskrzesił. Poszedłem z sianem i do tego drugiego konia, ale tamten na żaden sposób już jeść nie mógł, bo po pierwsze, że się od jedzenia odzwyczaił, a po wtóre, że już był dawno zdechły.

O [godzinie] 1.30 maszerujemy dalej – Kichary, Łukowa. Nie wiem, czy to zmęczenie, czy jak się to mówi mam przecucie, ale takie mam uczucie, tak mi się zdaje, że tym razem już z wojny nie wrócę. Naturalnie, nie mam żadnej innej jak dotychczas podstawy do podobnego przypuszczenia, no, ale ponieważ tak mi się zdawało, więc to zaznaczam. Zastanawiam się równocześnie, że szopa byłaby z dziennikiem, bo niechże mnie zabiją, to jak ja to, psia pies, zapiszę? Jestem więc w kolizji, bo się tak przyzwyczaiłem do tego mojego dzienniczka, żeby mi naprawdę było trudno pominąć taki wypadek, jak moja śmierć. Jak się więc z tym urządzić, to jeszcze nie wiem.

Okolo 4.00 przybywamy do Sobótki, własności pana Cichockiego, gdzie się zatrzymujemy na noc. I znowu to samo spustoszenie. Temu panu Cichockiemu zabrali wszystkie krowy (prawie 200) i konie, i to zarówno Moskale, jak Prusacy i Austriacy. Zapomniałem nadmienić że na Sandomierszczyźnie taka śliczna okolica, żeśmy się zachwycaли z porucznikami Ir. i Goł. – rzeczywiście ten cudny, opiewany polski kraj!

Ciekawy wypadek, a przeto godny zanotowania, mianowicie że jakkolwiek dziś jest niedziela, to i tak przez cały dzień ani kropli deszczu nie było! Coś nadzwyczajnego! No, niebywałe! Ta moja kobyła to taka pieszczocha, że niech tylko na chwilę staniemy, to już się upomina, żeby ją pogłaskać, a jak zsiądę i stanę przy niej, to mi zaraz łeb na ramieniu kładzie, i chce, żeby tak stać. Jest to tym ciekawsze, że innych ludzi na odmianę albo kopie, albo gryzie, nie wyłaczając nawet Johna, który ją czyści, a którego tak kiedyś palnęła, że do dziś jeszcze czuje. Zjedliśmy obiad o 6.00 – zupełnie po hrabsku. Zamiast się położyć, jak tego całe moje jestestwo pragnie, musiałem się zabrać do rysowania szkiców: także wojenne zajęcie! Później piszę i myślę sobie tak, że jednak jestem coraz dalej od Krakowa, zamiast coraz bliżej, i że skrzyczałem ją tak w kartce przedwczoraj, i całkiem niewinnie, bo napisała wczoraj. Bobo! Rychna! Naturalnie! Ty tu wojuj, a Ona sobie gra! Dziś Ci już nie napiszę, bo o poczcie ani mowy, i pewnie jej parę dni nie będzie. Moja kolej dziś czekać na rozkaz.

Kilka zdań z Zeszytu I, pisanych inną ręką [Ireny]

Kocham, kocham Zika całą mą istotą – całą Żabą – duszą, sercem, wszystkim duchem moim. Głęboki, zawodzący łkaniem smutek chwyta za gardło – chłód ten przychodzi za chwile samotne, chłód [ten] owiewa zimnym tumanem, a przecież gdzieś na świecie jest Zik, są jego oczy ukochane, jego usta... i płomień pocałunków i pieszczoty jego. O Ziku, gdzie ty?

Być kochaną, to takie szczęście wielkie, jak życie długie, jak słońce wysokie... silne. Być kochaną, to tyle kwiatów na okół, tyle jasności w duszy, tyle piękna w świecie. Być kochaną, to taka pieśń cudna, cicha i nieskończona, to taka nić złota, której nie przerwie nikt i [...], a ja jestem [...] na Zika [...] Ziku, napisz co do Żaby, czy zdrów, czy żyje [...], jakim strasznym echem odbija lub [...] w sercu Zika. Żyj i wróć, wróć do Żaby, nie ma minuty, nie ma godziny – że-bym nie była koło ciebie, gdybyś tutaj był, wzięłabym ręce twoje i długo, długo patrzyłabym w oczy. Jak w pustkę [...] młodym, w [...] oczy twoje, daleko, daleko. Minęłaby godzina, minąłby tydzień [...] życie minęło, a ja bym patrzyła w twoje oczy. Nie wracasz, a takie światła błękitu.

Zeszyt II

Październik [1914]

26 [Godzina] 7.30 odjazd z Sobótki, ale przedtem jestem wzywany przez nadpor[ucznika] Wcz. do grania na fortepianie, który to wypadek ma dobrze na wszystkich oddziaływać. Nie wiem, jakie to wrażenie odniosło, ale to wiem, żeśmy dalej odjechali. Kiwam się tak na tym siodle, jak i moja kobyła głową. Idziemy w dalszym ciągu przez piękne okolice, obecnie spustoszone. Po drodze Ożarów, nazywa się, że miasto, ale Boże odpuść, same Żydy, a zresztą błoto i odrapane domy. Przychodzą mi na myśl miejscowości, które opisuje Junosza – przed wejściem do miasta jest cmentarz, gdzie już leżą teraz pochowani Austriacy – poznaję to po świeżych grobach, drewnianych krzyżykach i świeżych napisach w języku niemieckim; dalej uderzył mnie widok pomnika, jak się przekonałem, był on wystawiony „z wdzięczności” dla Aleksandra II „oswobodziciela ludu”, psiakrew, bezczelność! Zresztą w mieście błoto, Żydy i nic szczególnego. Nie zatrzymujemy się tutaj, waląc w szlachetnym zapale dalej.

Naturalnie, powtarza się ciągle szopa z wiatrakami, którym się zakazuje kręcić, „bo nas mogą zdradzić”. Idiotyzm! No, ale trudno! Wojna się nazywa ten wynalazek, więc się też wiele głupstw stać musi! 3–4 km za Ożarowem zatrzy-

mujemy się na spoczynek – konie dostają owies niemłócony, i chłop nie dostaje nic za ten owies. Jakieś zaniepokojenie daje się uczuć między starszyzną, po chwili dowiaduję się, że Moskale przeszli Wisłę koło Solca, i dlatego jest pewnego rodzaju konsternacja. [Podążamy] dalej i po trzech godzinach przychodzimy do Tarłowa. Tutaj [...] smród i Żydy, a oprócz tego jakieś treny pruskiego wojska. Jakkolwiek tu jest dzisiejsza kwatera naszej dywizji, to i tak nie wprowadzam konia do stajni, bo wyjeżdżamy na rozpoznanie.

Daremna podróż, aż do rzeki Kamiennej, z pułkownikiem R., skutkiem nieporozumienia. Ostatecznie wracamy do Tarłowa nic nie wymyśliwszy, i tu, zdążywszy tylko ręce umyć, zabieram się do spania. Budzę się atoli skutkiem głodu o 10.00 i czekam na rozkaz – 12.00 i nie doczekałem się jeszcze. Pomimo miłego towarzystwa, nie zajmuję się nim więcej, ponadto że potrzebuję wina – a myślę o Irence – widzisz moja Córeczko, nie dostaniesz teraz żadnej kartki ode mnie, ani ja od Ciebie, bo całkiem poczta dla nas nie żyje. Żabuśka! Czytałem sobie znowu wszystkie Twoje kartki, i list też, i strasznie kochana jesteś, taka moja, naprawdę moja Rychna. Gdyby tak teraz jeszcze od Ciebie parę słów dostać! Bo coś mi się zdaje, że źle z Kaziem będzie. Daj Boże, żeby to tylko bezpodstawne przypuszczenie było!

27 Zbudziła mnie rozmowa lekarza z moim brygadierem. Okazało się, że jest chory, więc nie może wojny prowadzić, tylko musi jechać do Baden pod Wiedniem, dla wyzdrowienia; następuje więc przepakowywanie kufrów, a później rozkaz, że mam razem jechać do stacji kolejowej w Ostrowcu. Zaopatrzeni w mapy, bez obiadu, wyjeżdżamy, i zaraz na wstępie gubimy drogę. Dwugodzinna nadaremna jaz-

da, i wracamy do Tarłowa; stąd już bez przeszkody i wypadku przyjeżdżamy do Ożarowa około 4.00. [Pozwalamy] koniom wytchnąć, i jedziemy dalej do Ostrowca, tym razem już po dobrej drodze, więc też przybywamy tu wcześniej, niż obliczyłem, bo na 7.00 wieczór. Stary zaraz robi znajomość z kapitanem od kolei, co mu się też opłaca, bo mu dają pokój z łóżkiem i kolację, jako też wiadomość, że pojedzie dopiero pojutrze rano. Ułożyłem więc staruszkę na spoczynek, a sam zabrałem się do pisania listu Irence, bo to świetna przecież sposobność, kiedy go może służący oddać. Wypisałem jej też wszystko, żeby sobie wiedziała! Za chwilę przychodzi hiobowa wieść, że na rozkaz komendanta armii ma być ruch kolejowy zatrzymany, żaden więc już pociąg z Ostrowca nie odejdzie. Zaczął więc mój stary fuczeć i sapać, potem zaczęliśmy debatować, i w końcu stanęło na tym, co wymyśliłem i obliczyłem, mianowicie, że jutro rano jedziemy przez Sandomierz do Nadbrzezia, a stamtąd pociągiem dalej – śpimy więc aż do rana. Klacz przy wózku miała dziś żróbka, nie wiem, czy jutro będzie mogła ciągnąć.

28 Gdzieś się stary zwiędził o jakimś pociągu, odchodzącym z sąsiedniej stacji, Kunowa; bliżej to, aniżeli do Nadbrzezia. Nie odjeżdżamy jednak zaraz, bo staruszek wyciągnięcia owies, chleb, konserwy, a wreszcie ciepłą kawę od jakiegoś porucznika; dopiero po chwili ruszamy przez Ostrów do Kunowa. Po drodze jakieś treny, amunicja, transport jeńców (2300 ludzi i 3 armaty z amunicją) przeszkadzają nam w szybszej jeździe. Powaga atoli mojego zwierznika ratuje tu i ówdzie sytuację, i przybywamy w końcu na stację, gdzie zastajemy jeszcze jeden pociąg, ostatniuteń-

ki, jaki ma stąd odejść. Cieszyłem się po drodze, że żadnego pociągu nie złapiemy, bo nic by nie pozostawało innego, jak jechać wózkiem do samego Krakowa – no – nie chcieli! Muszę więc wracać, tylko konie co przegryzą i chwilkę wypoczną. Ruszyłem po jakimś czasie tym wózkiem, ale nie przebyłem kilometra, gdy przybiegł zdyszany służący, ażeby się wrócić. Okazało się, że stary, na skutek strzałów armatnich, jest zaniepokojony możliwością zatrzymania ruchu kolejowego, dlatego mnie zatrzymuje do [czasu] odjazdu pociągu. Położyłem się ze złości na słomie, aż mnie zbudzono, bowiem przyszedł transport rannych, jest więc rękojmia, że pociąg odejść musi. Okropnie to bractwo było poranione, a wypełniło cały pociąg.

Odjechałem około 3.00 po południu z tego Kunowa. Po drodze nic nie robiłem, z wyjątkiem pokłęcia parę razy różnych kanonierów, tamujących drogę, i o zmroku przybyłem do Ostrowca. Tu chciałem pozalać parę sprawunków i przy tej czynności zaskoczył mnie wieczór, oraz powziąłem decyzję, aby tu przenocować, tym bardziej, że droga zabita trenami i transportami. Przypadkiem usłyszałem polską rozmowę, zapytałem więc o możliwość przenocowania, na co zostałem zaproszony do mieszkania, z zapewnieniem, że się coś znajdzie. Wchodzę, i o dziwo! Całkiem kulturalny dom; podają zaraz herbatę i dosyć zajmująca rozmowa się wywiązuje. Oprócz rodziców i dwóch synów są trzy panienki, z których jedna, panna Bronia, okazuje ciekawość, jakie ja mam oczy; w końcu okazuje się, że na noc mam iść do innej pani. Poszedłem więc do tej innej pani i zabrałem też konie ze sobą, które tam znajdą umieszczenie. Tu znowu *da capo* herbata i opowiadania, aż wreszcie mała córeczka daje mi pamiętnik, że panna Bronia prosi, abym się wpi-

sał; nie wpisałem się jednak zaraz, bo jestem zmęczony, ale odkładałem to do jutra.

29 ^aKiepsko spałem tej nocy, jakkolwiek się to działo na sprężynowych materacach pod kołderką etc., bowiem przez całą noc tłukły się różne wozy pod oknami. Zbudziłem się ostatecznie około 5.00, i nie mogłem spać dłużej. Powstawszy, dostałem zaraz śniadanie, zdążyłem jednak przedtem wpisać się do tego pamiętnika – wypisałem też, co się włożyło, żeby sobie na drugi raz taka ciekawa nie była! Czekać trzeba było dosyć długo, zanim się zrobi miejsce na drodze, aż w końcu dołączyłem do transportu rannych i pociągnęliśmy w ten sposób dalej. Mam wrażenie, że się na całej linii nie powiodło, bo wszyscy wracają i muszą też wracać, żeby szukając dywizji nie wpaść w ręce kozakom, na co mi zwrócono nawet uwagę. Dowiedziałem się również, że nasz Korpus (10.) jest odcięty, i nie może się połączyć z północną armią, ponieważ nasza dywizja, jak mnie objaśnił pewien kapitan od Bośniaków, ma dziś przyjechać do Przyuszyńa^b, więc jestem mniej więcej w domu, bo mi to poniekąd wypada po drodze.

I rzeczywiście, w Brzóstowej spotykam sztab i dowodzę się okropnych rzeczy. Oto od czasu jak odjechałem, była dywizja w ogniu, i to takim ogniu, jakiego jeszcze w całej wojnie nie było. Odniosła też porządne straty i znajduje się obecnie w odwrocie. Zbyt dobrze mnie to nie usposobiło, bo i cieszyć się nie ma z czego. Przesiadłem się z wózka na moją kobyłę i jedziemy dalej; po drodze zerwał się strasznie zimny wiatr, i nie wiem, co mi się stało, ale tak zmarzłem, a w następstwie tego tak mnie głowa rozboleła, że ledwie na tym koniu wysiedziałem. Zaraz też po przybyciu

^a *Dopisek autora:*
Aha! Dziś moje urodziny.

^b Zapewne miejscowość Przeuszyn.

do Przyuszyzna taki się słaby uczułem, że natychmiast się położyłem, budząc się w nocy co chwilę.

30 Głowa mnie ciągle boli, do tego stopnia jestem słaby, że proszę o pozwolenie jechania wózkiem, zamiast konno. Wożę się więc jak klocek. Wiem, żeśmy przejeżdżali przez Opatów i przybyliśmy do Grocholic; leżałem jeszcze z godzinę na tym wozie, aż mi się nieco lepiej zrobiło, poszedłem więc na obiad. Dowiedziałem się tu, że w nocy była komenda 5. Korpusu napadnięta przez kozaków, tak że się wszystko rozleciało. Pomimo względnego bezpieczeństwa, bo lada chwila możemy i my być napadnięci, panuje przy stole wesoła atmosfera, bowiem ekselenc opowiada różne wesołe rzeczy. Dziś przyszły krzyże dla odznaczonych. Między nimi znajduje się i obecny brygadier artylerii, dotychczasowy pułkownik mojego pułku²⁶. Zaraz po obiedzie przysposabiam się do spania, ale prawdopodobnie będę musiał jeszcze wstać po rozkaz. Chwała Bogu, że się przynajmniej nie rozchorowałem, bo to by wcale nie była wesoła heca. Naturalnie, żadnej idei o poczcie, a mimo tego dostałem wczoraj kartkę od Władków, z podpisami. Gdyby ktoś częściej do mnie pisał, dostałbym także; zapewne dziś Ci już mój list doręczono. Mamy w tej okolicy stawić opór, nie wiem, jaki znów skutek będzie; w najgorszym razie cofniemy się do Galicji, i to w pobliże Krakowa, z czego osobiście byłbym zadowolony. Taki zdechły jestem, że się nawet do żołnierza porównać nie mogę; pomimo tego wcale wojskowym krokiem udaję się na kolację.

Hej! Eureka! Jakoś przy kolacji ozdrowiałem! Przede wszystkim odzyskuję panowanie nad swymi zmysłami, następnie pito zdrowie ekselenca (wcale morowy jegomość),

a w końcu dowiedziałem się, że nie uciekamy dalej, tylko stawimy tu opór, jeśli nas ciągle ścigać będą. Wiwat! Bo ja-koś strasznie mi niemiło, jak czuję, że jesteśmy pokonani, bo jakkolwiek jest to może dziecinne, ale psiakrew kłęski przy dzisiejszych urządzeniach nie mogą sobie wyobrazić! Na razie idę spać, i mam nadzieję, że się jutro całkiem zdrów zbudzę.

31 Znowu miałem niespokojną noc, budziłem się bowiem co chwilę; nie wiem, co to ma znaczyć, jako że dotychczas spałem zawsze jak kamień albo inny materiał budowlany. Po 8.00 pojechałem do Krępy, celem przeładowania z trenu podręcznych pakunków na nasz wózek, trenu atoli tam nie znalazłem, ale dalej, za jakąś górą. Takie zimno, a zwłaszcza zimny wiatr, że byłbym na pewno przemarzł, gdyby nie to, że się dokładnie pozawijałem kocami. Telepiąc się na tym wózku obiecuję sobie, że dziś może poczta przyjdzie i kombinuję, że I[renka] zapewne już mój list dostała. Kruszyna! Ani sobie może nie wyobraża, jak bardzo chciałbym, żeby mieć jakąś od Niej wiadomość. W powrotnej drodze od owego trenu gorzej mi się już powodziło, gdyż siedziałem na kufrach, nie odznaczających się bynajmniej elastycznością. Obiecuję sobie za to wypocząć po powrocie do dywizji, ale i to zawiodło, bowiem pod moją nieobecność była dywizja alarmowana; obecnie znajduje się w gotowości do odmarszu, ani mowy więc o spoczynku; wyjeżdżamy też za chwilę, po to, aby się niedługo wrócić. Tymczasem bitwa rozwinęła się zupełnie – nasi prą naprzód (ku Opatowcu) – zachodzi więc potrzeba przesunięcia paru baterii naprzód. Posłano więc Kazia z tym rozkazem, pohasałem sobie więc wesoło, płosząc po drodze zające, których mul-



Karabin maszynowy obsługiwany przez żołnierzy bośniackich

tum ugania się po polu; nikt się teraz o nie nie troszczy, bo obecnie główna rzecz: polowanie na ludzi. Upolowaliśmy ich też dziś dosyć (tak że reszta całkiem prawie się cofnęła), [choć] nasza artyleria nie jest zbyt dobrze w amunicję wyposażona, nie mogą bowiem w fabrykach z produkowaniem tejże nadążyć. Poza tym jesteśmy cały dzień w gotowości, goniąc przy tym jak w ukropie. Kapitan Sonnek, ten kochany komendant 5. Baterii, ranny, tak samo i pewien kadet od haubic.

Nowych dowodów tchórzostwa dostarczają Bośniacy: cofają się bez rozkazu ze swoich pozycji, ba, nawet zgoła uciekając poza drugi front; dla kilku kończy się to niewesoło, bo jednego kazał dywizjoner z miejsca rozstrzelać, innych sześciu spotka to samo jutro, w obecności pułku. Trochę mi ich żal, ale w końcu zasłużyli na to, bo to tchórzliwe towarzystwo, jak rzadko. Na tym jednym wykonywał egzekucję nadpor[ucznik] Her. Z ośmiu strażów był tylko jeden celny, tak że po 10 minutach musiano delikwenta dobijać; jest więc strasznie niemiło wykonawcy wyroku.

Po kolacji siedziałem jeszcze chwilę przy telefonie, później poszedłem jeszcze do stajni pozarządzać ustawiczną gotowość, bo diabeł nie śpi, więc też i chłopcy niech czuwają, aż wreszcie kazałem sobie w jadalni zrobić posłanie. Gawędzili jednak oficerzy jeszcze dosyć długo, więc też zaraz spać nie poszedłem. Całkiem w nocy przyniesiono nam depeszę z rozkazem naczelnego wodza, że za każdą cenę mamy bronić linii Sandomierz – Kielce, w porozumieniu z armią niemiecką. Nareszcie jakiś mniej ogólnikowy rozkaz! Ucieszy się nim zapewne ekselenc, chociaż w ogóle nie wiem, co z tej wojny wyniknie. Sytuacja obecna naszej dywizji korzystna. Godzina 12.45 idę spać.

^a Dopisek
autora:
Niedziela.

1 ^aJeszcze nie świtało, a już zbudził mnie telefonista depe-
szą, którą musiałem zaraz załatwić. Przecieram więc oczy,
bo się jeszcze kleją, zacieram ręce, bo jeszcze nie rozgrza-
ne, i klnę na śniadanie, bo jeszcze nie gotowe; gonię ze zło-
ści i z nadmiaru młodości, przekonać się, czy w stajni po-
rządek. Zaledwie wróciłem, aż tu zarządzono alarm – rzu-
cili się więc wszyscy to do koni, to do pakowania rzeczy, ja
zaś przede wszystkim do śniadania, twierdząc, że żołąd-
kowy alarm ważniejszy. Nieźle też na tym wyszedłem, bo
kuchnia spakowana odjechała, zaś my zostaliśmy na miej-
scu, niektórzy nic nie zjadłszy.

Od świtu trwa ogień – znowu Bośniacy cofają się samo-
wolnie, tak że aż zarządzono formalną na nich obławę i na-
ganiano do frontu. Stoimy (komenda) w jednym miejscu –
na ogół mam niewiele do roboty – wychodzę sobie na po-
le oglądnąć jeńców: jest ich razem 58, chociaż dopiero 9.00
rano. Za chwilę przyjechała kolumna amunicyjna, a z nią –
przebóg! Haczkiwicz. Taki przygnębiony, że aż się rozpła-
kał. Nie dziwię się, że mu przykro, bo i za dobrze mu się
pewnie nie powodzi. Pogadaliśmy za to trochę, i była to cała
moja satysfakcja, że mogę z kimś serdeczniej porozmawiać.
Niedługo jednak musieliśmy się pożegnać, bo maszerował
dalej. Dużo rannych ciągnie z pola, ale przypuszczam, że
i przeciwnik ma wielkie straty, bo on dziś atakuje, a my się
bronimy. Grzmiały też strzały bez przerwy cały dzień. Po po-
łudniu zapaliła się fabryka cukru, stojąca w naszym fron-
cie, od pocisku armatniego, nasza piechota była jednak już
daleko na przodzie. Trochę z nudów, a trochę z ciekawo-
ści poszedłem piechotą w kierunku ognia, ale się niedłu-

go wróciłem, obawiając się, że mnie mogą tymczasem potrzebować. Siedzę więc w pokoju, gdzie telefon, w zaduchu, i przemyśliwam, że niedługi spacer po takim wietrze jest jednak zdrowy; gdyby po nim było co do przetrącenia.

Pomimo że dobrymi chęciami droga do piekła wybrukowana, musiały i teraz moje dobre chęci zjedzenia czegoś wystarczyć, bowiem nic do przeżucia nie znalazłem; pocieszam się jednak, że są ludzie, którzy po parę dni nic nie jedzą, np. ci, którzy już umarli. Wystarcza mi więc na razie, że żyję, palę sobie i myślę, że poczta przyjdzie może wieczorem. Ogromnie zaciekle walka się toczy, cofać się nie wolno, za żadną cenę. Sztab udaje się na noc do Borkowa; idę piechotą, prowadząc konia, w ten sposób bowiem nie odczuwam tak bardzo przejmującego wiatru. Noc przeszła bez wypadku, tylko zimno w całym dworze jak w składzie winna, pomimo że się we wszystkich piecach paliło.

2 Zbudziły nas strzały. Zaraz z rana przychodzi wiadomość, że 5. Baterię zabrano, potwierdzają to ludzie, którzy przyjechali z przodkami bez armat. Bitwa trwa na całym froncie z różnym szczęściem. Przyprowadzają 163 jeńców. Około południa zupełny brak amunicji artyleryjskiej powoduje zarządzenie odmarszu, mimo równoczesnego rozkazu komendy armii, aby pozycję utrzymać za wszelką cenę. Po południu cofamy się stanowczo, skutkiem zgłoszonych nowych silnych posiłków rosyjskich, a głównie przez brak amunicji. Wieczorem przyjeżdżamy do Szczeglic, gdzie mamy nocleg.

3 5.00 rano – całą noc nie spałem – odmarsz przez Bogoryję^a do Staszowa. Odpoczynek w Dobrej. Sytuacja pod psem.

^a Właściwie:
Bogoria.

Straty w ludziach ogromne, głównie w polskich pułkach. Najgorsze to uczucie, że się wraca pobitym. Widok bezładu na drodze, ogromnej ilości ludzi, koni i wozów, i uzmysłowienie sobie, że ta cała masa jest za słaba na prowadzenie walki, że jest pobita, musi przygnębiająco oddziaływać. Mnóstwo rannych, których nie sposób wziąć ze sobą, wlecze się wzdłuż drogi; po co ludzie [narażaliście się] na śmierć? Co [wynikło] z tych wysiłków? Takie to strasznie przykre! Przez cały dzień wraca wojsko – droga kompletnie zabita wozami – 5. Korpus ciągnie też spod Iwangrodu²⁷. Dywizja w Sielcu; wyjeżdżam po południu do Staszowa, aby się przekonać o stanie naszej artylerii. Bateria piąta nie istnieje. Kapitan Sonnek ranny, Tadzik Sroczyński też, Schreiber tak samo; na ogół jednak, w porównaniu z innymi, niewielkie straty. Widziałem rannego z twarzą tak straszną, że jej do końca życia nie zapomnę. W ogóle jestem przygnębiiony, bez humoru i ani mi się już myśleć nie chce!

4 Dlaczego my się musimy cofać? Ja ciągle w to nie wierzę, że jesteśmy pobici, rozproszeni i że prawie żadnej siły teraz nie przedstawiamy. O 7.00 rano odjeżdżamy z Sielca, ciągle jestem bez humoru, a raczej jadę bezmyślnie. Dają mi zadanie spędzać rozproszonych i maruderów po drodze, co za przykra funkcja! Jak ja mam rozróżnić, który jest chory, który udawacz, a który naprawdę tchórz? Jestem też w wypełnianiu tego polecenia zupełnie bierny. Bez spoczynku przyjeżdżamy do Stopnicy. Tu nakazana gotowość alarmowa, bo na zachód od nas słychać strzały armatnie, co wskazuje na potyczkę. Dwa austriackie aeroplany wznoszą się celem rozpatrzenia sytuacji. Niedługo potem przychodzi rozkaz z korpusu, i z niego dowiadujemy się, że nieprzyjaciel

jest w odwrocie – przynajmniej konie można rozsiodłać! Odwrót jego dzieje się zapewne na skutek tych ośmiu pruskich korpusów, które przychodzą w sukurs, chociaż i zwycięstwo jego jest Pyrrusowe, bo straty i on poniósł ogromne. Zdrowych jeńców wzięła sama nasza dywizja do półtora tysiąca. Straciliśmy naszą 5. Baterię, jedną baterię górskich haubic, dwie baterie polowych 28. Pułku i jedną 30.

Wyszedłem wieczorem na miasto, ale – jak wszędzie – tak i tu pełno Żydów i brudu. Podowiadylałem się, gdzie jest nasza artyleria i wróciłem do domu. Zdrowy dość jestem, tylko psiakrew humoru żadnego i żadnej pocztę od nikogo, całkiem dla świata nie istnieje. Ta rozmowa dzisiaj z kapitanem K.! Wydawał się takim żelaznym człowiekiem i rozczarowałem się, bo słaby, jak nawet nie przypuszczałem. Żeby przynajmniej parę słów od kogo, może bym przyszedł do siebie. Taka uśmiechnięta na tym obrazku jesteś i ani przeczuwasz może, jak tym uśmiechem i mnie poniekąd rozjaśniasz. Ty jedna!

5 Ze Stopnicy do Sokoliny marsz ponad 30 km, przy zimnym wietrze. Około 4.00 po południu przychodzimy na miejsce. Kwatery po całej wsi. Mijaliśmy mokzary, przez które tylko jedna droga prowadzi, chcąc nas więc ścigać trzeba by przez nią przechodzić, obrona więc łatwa. Nareszcie widać jakichś parę ludzkich twarzy – jakieś dziewczynki – ludzkich, myślę, cywilnych. Czekamy na kuchnię z utęsknieniem. Pomimo że dziś nie moja kolej, czekam na rozkaz do 2.00, o tym też czasie idę spać, ale nie wiem, czy to prześmieszanie, czy co, ale nie mogę usnąć. Nic mnie nie obchodzi i jestem jak drewno.

^a Miejsco-
scość
o nazwie
Kamień-
czyce.

6 Wstałem o 5.00 i czekałem na odmarsz do 9.30, przyzwyczajając się w międzyczasie do wiatru, który jest dzisiaj jeszcze silniejszy i jeszcze zimniejszy, niż wczoraj. Przemarzałem też tak, że aż mnie głowa rozboleła, bowiem staliśmy w szczerym polu przez półtorej godziny bez ruchu. Jedziemy do Kamieńczycy^a; po drodze mijamy Kazimierzę Wielką, gdzie mieszkają rodzice Bolka P., myślałem, że się o niego lub Miecia S. będę mógł dopytać, ale przejechaliśmy tylko mimo, nikogo nie spotkawszy. Dziś dostaliśmy 6. Baterię, całkiem nowiutką, dziś też przyszli rekruci, którzy jeszcze nie wǳali ognia. Takie wszystko dla nich nowe, aż do ostatniego rzemyczka, ciekawym, w jakim stanie będą wracali. W Kamieńczycy bardzo ładny dwór, pięknie wewnątrz urządzone i nie zniszczone, wojny tu nie było! Na jutro zapowiedziany długi marsz w kierunku zachodnim. Jedni mówią, że idziemy się połączyć z pruską armią; inni, że na Kraków – diabli wiedzą, co o tym myśleć – w każdym razie wojny nie wygramy, takie mam wrażenie. O porzeczcie ani słyhu, o odpoczynku też!

^b Tu: do
jazdy
konnej.

7 Te wściekłe telefony muszą człowieka zawsze niepotrzebnie zbudzić! Tak też [jest] i dziś, wstałem o dwie i pół godziny za wcześnie. Dwie i pół godziny, to przecież majątek! Maszerujemy w kierunku dokładnie zachodnim. Zimno się już zrobiło dokładnie, a ja, jak na nieszczęście, zgubiłem sobie moje fiakerskie rękawiczki^b, i muszę co chwilę przemieniać to prawą to lewą rękę do kieszeni, bo do diabła obydwóch naraz schować nie mogę, chcąc prowadzić konia. Konia! Co to mówię, konia! Kobylisko jak słoń, należące do poprzedniego brygadiera, bo moja kobyłka chora i nie chodzi teraz pod siodłem. Wyjeździłem się też dzi-

siaj jak wróbel w garści albo kanarek na dachu, no, ale co sobie mam żałować! Jeśli mnie nie zabili, to niech się przynajmniej na koniu naużywam! Co prawda, z tego używania nie wiem czasami, co siodło, a co nie siodło, tak dokładnie jestem do niego dopasowany – no, ale niemniej nazywa się [to] używanie. Nie mogę pojąć, dlaczego my teraz takie forsowne marsze robimy. Codziennie najmniej 30 km, chociaż nikt nas nie goni.

Przybywamy dziś na noc do Słomnik – nazywa się, że miasto – ale lepiej o tym nie mówmy. Spotkaliśmy tu transport owsa na automobilach. Naturalnie wycygałem 70. worków dla artylerii, ale na swoją biedę, bo musiałem później jeździć do pułku i haubic, żeby sobie to pozabierali. Zły o to byłem na siebie, ale w końcu przynajmniej koniska sobie podjedzą, bo już trzy dni owsa nie widziały. Słyszę że cofamy się na Śląsk. Cofa się też i 1. Korpus, który poznałem po legionistach. Samych legionistów niewielu widziałem, ale tren ich był dosyć duży. Szkoda, że idziemy w kierunku dokładnie zachodnim, nie zbaczając nic na południe. Mój Boże! Gdyby tak można, to za 3–4 godzin mógłbym być w Krakowie! Hej! Byłaby to uciecha! Tymczasem za to ani słowa wiadomości, i kto wie, kiedy jaka przyjdzie!

Z gazet, które się dziś do nas dostały, dowiadujemy się horrendalnych rzeczy – wszystkie możliwe i niemożliwe państwa wydają sobie wojnę. Takie się to psia pies modne zrobiło, jak swego czasu tango; tylko czekać, jak ja tu komu wojnę wypowiem! Rany boskie! Może przecież jakaś pocztą przyjdzie! Ja się trapię, oni się pewnie trapią, a to wszystko przez pocztę, przez głupią pocztę, która w końcu nie jest nawet taka głupia, jak się wydaje. Co Ty teraz porabiasz? Dowiedziałem się z gazety, że Kraków jest przymu-

sowo ewakuowany: zostaniesz tam, czy wyjedziesz? Niech Cię tylko Odrobino nic złego nie spotka, bobym się już całkiem zatrapiał! Muszę dziś czekać na rozkaz, chociaż jestem całkiem zmęczony; ze zdrowiem jeszcze się trzymam, ale nie wiem, jak to długo potrwa, bo coraz zimniej, a ja nie żaden Eskimos, żebym mróz lubił. Kupić nic ciepłego nigdzie nie można, a tu by się na gwałt co przydało. No, ale będzie, co Bozia da!

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

8 ^aO 6.00 wyjechaliśmy ze Słomnik, i to przez gorszą drogę, obawiając się, że ta lepsza będzie znowu innymi trenami zatłoczona. Ostrożność ta nie opłaciła się jednak, bo musimy to drogi polne rozszerzać, to je naprawiać, aby artyleria mogła jechać naprzód. Po różnych różnościach przyjeżdżamy do Skały. Nigdy bym nie przypuszczał, że w takim podłym mieście dostanę papierosów. Indaguję tutaj na rozkaz sołtysa, bowiem odkryli tu gdzieś telefon do Moskali. Również celem przeszukania tutejszej kościelnej wieży zostawia mnie ekselencja osobiście. Sztab mnie odjechał, i podążam za nim nie bardzo się spiesząc, bo i ja i kobyła zmęczeni jesteśmy. Oglądam sobie za to okolicę, która tu jest rzeczywiście cudna: Skała – Ojców; pomimo więc wiatru i deszczu humor mam taki, że aż jestem w kolizji, czy stękać, czy gwizdać, bo idę pod górę prowadząc konia. Nie robię atoli ani jednego ani drugiego, tylko zasapany dostaję się na wierzchołek owej cudnej z daleka góry i konstatuuję, że takie spacery są dobre dla tych, którzy je lubią, a nie dla ludzi wojny. Następnie marznę kolosalnie – zwłaszcza w ręce – i dopiero potem dostaję się do Sąspowa. W Iwanowicach tak ładnie w kościele śpiewali, bo to dziś niedziela, a my nic, tylko – dalej.

Kwaterny w I[wanowicach] są znakomite, tzn. jakie jeszcze nie bywały. Przede wszystkim trudno do nich trafić, a jeśli się trafi, to człowiek później tego żałuje, no, ale trudno! Jeśli się komu nie podoba, to ma pozwolenie od pierwszego się wyprowadzić. Mamy tu zająć stanowisko obronne, a więc zapewne i dłuższy czas pozostać. Mój Boże! Kraków tak niedaleko! Zaledwie trzy mile! Jutro niech się dzieje co chce, będę się starał wydębic możliwość udania się tamże! Będę próbował tego szczęścia, które mnie już tyle razy nie zawiodło! Siedzieliśmy sobie z por[ucznikiem] Ir. i nadpor[ucznikiem] Wcz. gwarząc, pijąc rum i oczekując dywizji. Przyjechała, a z nią ekselenc, który mi (czy się wścik) podziękował nawet za ową Skałę (choć Bóg świadkiem!). Ponieważ spodziewamy się kuchni dopiero za jakie dwie godziny, postanawiamy więc iść spać, rezygnując z jedzenia. Godzę się na to, konstatuując równocześnie, że człowiek nie tylko słowem Bożym żyje, bo i coś ciepłego by się przydało!

9 Zbudził mnie ordynans o 2.00 godzinie, wezwaniem do brygadiera; na szczęście, spałem całkiem ubrany, więc w minucie jestem u niego i otrzymuję rozkaz wyjechania o 4.00 naprzeciw pułku, celem torowania drogi artylerii, tj. oczyszczania z trenu. Wyjechałem też w zupełnej ciemności, bez mapy, i nie mając mniej więcej pojęcia, czy się dobrego kierunku trzymam. Po dwóch godzinach jazdy okazało się naturalnie, że zbłądziłem, w czym też i nic dziwnego, bo trzeba by mieć roztropność Ducha Św., żeby w tych warunkach trafić tam, gdzie się chce. Zaczynam więc nową serię jeżdżenia, i znowu po trzech godzinach znajduję dopiero maszerujące wojsko, ale niestety bez mojego pułku. Ponieważ atoli droga, którą ma pułk przejeżdżać jest zupełnie wolna,

zatem i mnie tu nie potrzeba, a więc gonię za sztabem. Nie jest to jednak tak łatwo, bo drogi, a raczej drożyny górskie, nie pozwalają na szybką jazdę. Kobyła bez tego już zdenerwowana, złąkała się jakiegoś wozu i zaczęła uciekać po stoku góry, ale stok był [...] taki stromy, że po kilku krokach zwała się w tył, razem ze mną. Na szczęście, nic się ani jej, ani mnie nie stało, mogliśmy się więc udać w dalszą podróż, a tym samym i spotkać Hübsza, który mi zrobił prezent z egipskich papierosów. Minąwszy Raclawice, przybyłem do Gorenic, gdzie już zastałem cały sztab. Dittrich jest chory na reumatyczny ból zębów, zostaję więc sam na całą robotę, niewyspany i głodny, bo już drugi dzień bez jadła.

Ulitował się jednak nade mną tutejszy gospodarz leśnicy i kazał sporządzić herbaty z masłem i z chlebem. Ponieważ wszędzie zimno, wyszpiegowałem mieszkanie nauczycielki i poszedłem się tam grzać. Okrutna Polka, opowiada, jak tędy legionieści przechodzili i że się boi, aby Moskałe nie wrócili, oraz że sobie musi przywieźć mąkę z Olkusza, bo nie miałyby co jeść, a zarazem bardzo by nie chciała, aby tu była bitwa; śmieszna kobita, no, ale się przynajmniej zagrzałem. Porobiłem później porządek w kuferkach i poszedłem na obiad, który nareszcie o zmroku dali. Cisnąłem się później na godzinę spać, bo muszę wstawać do rozkazu; wstałem też do niego i musiałem czekać do godziny 1.00, zanim go nareszcie wydano. Brawo! Zostajemy jutro tutaj, chociaż brygadier zapowiada, że wyjeżdżamy na rozpoznanie stanowisk; już to zawsze lepsze, jak ten marsz. Kładę się więc spać, nieco pokrzepiony na duchu, ale zasnąć nie mogę; nie wiem nic, co się z kim dzieje, żadnej poczty już od tak dawna, a dowiedziałem się, że Kraków ewakuowany; wyjechała, czy co? Od Trzebini jestem zaledwie 10 km odda-

lony; oni nawet nie przeczuwają, że za dwie godziny mógłbym być u nich, a tu się urwać nie można. Diabli nadali, czy jak? Dokąd się to będzie ciągnęło?^a

^a W oryginalnej: dokąd się to będzie ciągnęło?

10 Ponieważ Dit[trich] wczoraj był operowany, ani mowy więc o tym, żeby był do czego zdalny; muszę tu więc zostać, i dlatego brygadier wyjeżdża tylko z podoficerami. Prawie że nic nie mam do roboty, wykonuję więc czynności długo zaniedbywane, jak golenie, mycie, przygotowanie czystej bielizny etc. Wynikałem nawet możliwość kąpieli, i zaraz zaprzęgnąłem chłopów do jej urządzenia – jest więc perspektywa, że się wymoczę! Przedobry ten leśniczy, pożyczył mi jednego buta, bo swego dałem do naprawy i musiałbym w jednym miejscu siedzieć. W ogóle bardzo porządny człowiek, chociaż zapomniałem, jak się nazywa. [...] Wykąpałem się po obiedzie w owej całkiem prymitywnie urządzonej łaźni, zapobiegawszy zarazem przeziębieniu się przez oblanie się zimną wodą. Woda była zimna, ale serce zostało gorące, bo aż zabiło na myśl, że będzie się mogło razem ze mną położyć dla wypoczynku. Nie dane mu atoli było, aby ów szlachetny zamiar skutecznie, bowiem ustawicznie czekam na rozkaz, pomimo zapowiedzianej godziny 5.00. Zdążyłem jednak w czasie tego czekania wstąpić na plebanie, gdzie mieszkam, i przekonać się, że zabito tu na śmierć dwie świny, jak również przy pomocy leśniczego (pan Ziemiński) zdołałem nabyć parę filcowych butów. Co to za radość, te buty! Takie ciepłe, że aż się pocę z gorąca – mogę już teraz nawet dwie zimy przebywać w polu.

Rady sobie ciągle dać nie mogę, że jestem tak blisko Trzebini i nie można się urwać, czego i wyrazem kartka do domu, która okazyjnie dostanie się na pocztę, jeśli się w ogó-

le dostanie. Dittrich jest coraz bardziej spuchnięty i coraz bardziej chory, aż się obawiam, czy mu tego źle nie zoperowali. W każdym razie przez kilka dni nie będzie mógł nic robić i aż mi włosy dębem stają, czy potrafię wszystko sam zrobić, odpowiedzialność bowiem wielka. Taki jestem zmęczony i ciężki, że się doczekać nie mogę na rozkaz; chwała Bogu 10.00 godzina i jeszcze go nie wydali. Pragnę końca wojny i równocześnie nie chcę, aby się skończyła; sam, psia pies, nie wiem, czego mi potrzeba i jakoś dziwnie usposobiony jestem. Rozkaz wydali dopiero po 12.00, razem z mapami i różnymi papierami. Ogniomistrz Bosek dekorowany.

11 Zaczynają się znowu dni oczekiwania i domniemanego oporu; siedzimy w miejscu nic nie robiąc, tylko czekając na przyjsie nieprzyjaciela. Pozycję zajęliśmy bardzo korzystną, przypuszczać więc należy, że tak jak pod Tarnowem nie będzie się i teraz do nas spieszył. No, ale też i my nic nie pokażemy. Kretynizm, te gazety! Czytałem dziś, że to jest strategiczny, planowy odwrót; czy się, psiakrew, aż do Paryża tak będziemy odwracać, czy co? I czego to ludziom mydlić oczy? Całkiem po prostu, uciekliśmy pobić, uciekliśmy z resztkami, bo w przeciwnym razie byliby nas całkiem znieśli. Duch w armii? Także pytanie. Jak jeden ze starszych wczoraj przy stole twierdził, że żołnierze potrzebują wypoczynku, to słusznie dywizjoner zauważył, że bardziej potrzebują zwycięstwa.

Szopa się nam znowu dzisiaj stała, bo wpadli na ideę szczepienia nas przeciw cholerze; wesoło się nam też prowadziło przy tej operacji! Nie wiem, czy to bardzo chroni od owej choroby, ale w każdym razie twierdzę, że mnie już cholera nie ciśnie i może mnie co najwyżej szlag trafić.

Niemily wypadek zdarzył się dzisiaj pewnemu żołnierzowi, który zdezerterował, bo go złapali i natychmiast rozstrzelali. Byłem przy egzekucji, odbywającej się w obliczu całej załogi, i w braku lekarza sam konstatowałem śmierć u delikwenta. Na szczęście, był bardzo dobrze trafiony, tak że się długo nie męczył. Podziwiałem tego człowieka, z jaką rezygnacją, a nawet odwagą szedł na śmierć, aż mu zazdrościłem tego, że się tak nic nie bał.

Dosyć miałem do roboty po południu, ale dosyć mi to poszło, tak że miałem nawet czas na granie w karty, której to przyjemności po raz pierwszy podczas wojny doznawałem. O 12.00 doczekałem się nareszcie rozkazu, boby przecież poumierali, gdyby go wydali wcześniej. O nieprzyjaciełu żadnych pozytywnych wiadomości, oprócz zgłoszonych słabych oddziałów w Skale. Żadnej a żadnej poczty! Już się nawet przestałem dziwić, że jej nie ma, owszem, zdziwiłbym się, gdyby była. Ha! Psia pies, żywot!

12 Wysypiam się już drugi dzień należycie i mniej więcej do roboty nic nie mam, z wyjątkiem załatwiania drobnośtek. Tym bardziej też zły jestem, że pomimo tego bezrobocia nie mogę do Trzebini się wyrwać. Dowiedziałbym się przynajmniej czy zostali, czy wyjechali, czy co, bo naprawdę pojęcia nie mam, co się dzieje, i co o sytuacji myśleć. Jestem tak dziwnie usposobiony – nie wiem, czego mi brakuje – ale spokoju i jakiejś ciszy na pewno. Chodzę i błąkam się bezcelowo. Pisać nie ma idei, bo poczta nie odchodzi, czytać nie mam co, bo poczta nie przyszła, i do tego tak mi wściekle smutno! Ja nie wiem, czy wytrzymam długo w takim stanie! Co to zresztą, psiakrew, pisać!

13 Ekspediują zaraz z rana urzędowe kawałki; zaczął padać śnieg, a z nim razem spadła poczta. Dostałem dosyć kartek i list, ale skutek ten, że jestem jeszcze bardziej zdenerwowany; w każdym razie pisać teraz nie jestem zdolny, może później pozbięram myśli.

Spokojnie, panie Kazimierzu, a wszystko się inaczej przedstawiać zacznie. Zmitygowałem się niedługo, tym bardziej że się dosyć do roboty znalazło, a zajęcie to najlepsze lekarstwo na wszystko. Goniłem też całe popołudnie, na wszystkie strony różne rzeczy załatwiając, ale jak nadzedł wieczór, a z nim zastanowienie, to znowu nie bardzo zrównoważony byłem. Kto jest strasznie kochany człowiek, to pan W.Pis. – kartka jego taką mi uciechę sprawiła, i tak mnie jakoś dziwnie nastawiła, że strasznie mu wdzięczny jestem za jego serdeczną pamięć. Wypróbowany człowiek, i co do niego, nie myliłem się nigdy. Daj Boże mu się kiedy za to odwdziżyć.

To, co swego czasu wyczytałem w gazecie, że Kraków ewakuowany, obowiązuje i nadal, bo ciągle, pomimo otrzymania poczty, nie wiem, czy się zostałaś, czy wyewakuowałaś! Można by przynajmniej słowo napisać, no, ale u dzieci o rozwałkę trudno! Tym samym brakiem rozwałki tłumaczyć sobie różne popisania w liście i kartkach – ponieważ jednak przez to przekonuję się, że jesteś taką, za jaką Cię chcę mieć, więc też i kwestii żadnych robić nie mogę. Całe szczęście, że nie jestem zmuszony z moich uczynków sprawy zdawać nikomu, bo spowiedników, jak się przekonuję, dosyć by się znalazło. W każdym razie, co do pewnych kwestii, to musimy je nazwać jeśli nie szopą, to już koniecznie hecą! No, ale to przecież dopiero prawdziwe życie! Jedna ciąga heca w najróżnorodniejszych odmianach, a ponieważ żyjemy,

więc też sobie i hecujemy, dostarczamy sobie powodów do śmiechu. Mniejsza z tym, czy ten śmiech jest czasem gorzki, czy się czasem z bólu śmiać trzeba, niemniej jednak tego śmiechu się nie wyrzeknę, bo potrafię nim okazać zarówno wesołość, zadowolenie, jak i lekceważenie lub wzgardę. No a przy tym moja zasada! Tyle twego, co się w życiu uśmiejesz. Ha! Niech już zresztą będzie, co chce!

14 Ciągłe jesteśmy na odchodnym, a wybrać się nie możemy. Mam wrażenie, że znowu nas naokoło obejda, z frontu nie zaczepiwszy, zrobią to, co zamierzają, a my ciągle będziemy „w gotowości”. Co do mnie, to jestem w najzupełniejszej gotowości, to znaczy, że jestem przygotowany na wszystko, i to na wszystko najgorsze. Nie jest to skutek pesymizmu, bo pesymistą pomimo wszystko się nie stałem, ale rezultat całkiem trzeźwego patrzenia na sprawę. Jednym słowem, przedsięwzięcie się nie powiodło.

Dosyć dużo mam dziś przez pół dnia do roboty, tak że ledwie się z nią pozałatwiałem. Po południu bowiem mam polecone pojechać do Lgoty, do korpusu; naturalnie, że nie wytrzymałem, tylko palnąłem do Trzebini, gdzie się mnie zupełnie nie spodziewali. Uciecha jak 100 diabłów, nie ma nawet co opisywać! (Te psiak! Amerykanki). Pokutowaliśmy za to w powrotnej drodze z Wróblem, bo całkiem ciemno było, i dopiero po wielu trudach dostaliśmy się do domu. Jak przewidywałem, nikt nie kwestionował mojej nieobecności. Zastałem jednak wiadomość, że trębacz pułkowego odwieziono do szpitala jako chorego na cholerę; ładna perspektywa, jeśli ona już tak blisko między nami! No, ale od czegoż jesteśmy szczepieni?

15 ^a Połowa listopada, a my ciągle jeszcze w polu! Wyjeżdżamy rano z brygadierem do Zawady; bardzo miły spacer, tym bardziej, że sobie uzmysławiam, jak pozostali w domu gnuśniej, śpią do 10.00 i dłużej, i naturalnie w następstwie tego są chorzy. W Zawadzie się rozstajemy, bo stary wraca, ja zaś jadę do Zedermana, do haubic. Niedługo tam zabawiłem; w powrotnej drodze dowiedziałem się w Zawadzie, że tu leży pięciu chorych na cholere, zaś wczoraj czterech pochowano; wcale odpowiednia pora do choroby, bo i zimno i jeść coraz gorzej, a oprócz tego w tej okolicy całkiem wody nie ma. Wróciłem jednak szczęśliwie do domu, wcale się nie zaraziwszy, a więc jak na razie suponować należy, że na cholere nie umrę. Należałoby pocztę wyekspediować, ale trudno mi to zrobić, bo raz, że jej u nas nie ma, a po wtóre muszę się zabierać do rysowania szkiców; szkicuję też aż do zmroku i przestaję dopiero na skutek braku światła. Ponieważ ciągle i ciągle pocztę wysłać nie można, daję się namówić do partii i gramy w karty, aż do kolacji.

Mam czekać na rozkaz, ale nie mogę wytrzymać, więc zostawiam tę przyjemność podoficerowi, a sam idę na swoją kwaterę, i pomimo że się spać zabierałem, nie udaje mi się to, bo ciągle ktoś przeszkadza. Nie spałem też o 12.00, kiedy przyszedł ten z rozkazem, aby wszystko do odmarszu przygotować, tak aby na wypadek można było w pięciu minutach być gotowymi. Masz babo placek! Trzeba więc wszystko pozałatwiać i na tym mi schodzi do 2.00. O 4.30 przychodzi definitywny rozkaz, że maszerujemy o 8.00 w kierunku północnym. Dzieje się to na skutek zwycięstwa, które odniosły korpusy 1. i 5. Po raz trzeci więc w tej wojnie posuwamy się z wrogimi zamiarami na północ, nie wiem, czy też i po raz trzeci będziemy wracali pobici. W każdym ra-

zie, za każdym krokiem, który robimy, zbliża się koniec wojny, który już jest ogólnie pożądany, ze względu na zbliżającą się także zimę.

16 Mróz i dokładne wrażenie zimy; powietrze jednak takie czyste, że człowieka aż radość bierze. Cieszę się przy tym, że idziemy naprzód, bo już całkiem nie ma sensu, jak wojsko siedzi w jednym miejscu, zwłaszcza jeśli się to dzieje na wojnie. Przez Zawadę dostajemy się do Przegini, i tu czekamy na dalsze rozkazy. Wiem tyle, że mamy na razie za zadanie zająć wzgórze na wschód od miejsca gdzie jesteśmy, a następnie odpierać ewentualny atak, względnie wedle potrzeby zacząć ofensywę. Przychodzi oficjalna wiadomość, że Niemcy złapali 24 000 do niewoli i 50 karabinów maszynowych. Coś w tym musi być prawdy, a może i całkiem prawda; że się to Niemcom zawsze musi lepiej udać, niż nam! Słusznie zauważył dziś nasz brygadier, że Moskale wtedy przyjmują walkę, jeśli są przekonani, że posiadają należyłą przewagę, a zatem i zwyciężą, chociaż z wielkimi czasem stratami; jednak też i zwyciężają.

Godzina 12.00 w południe, nic się jeszcze sytuacja nie wyjaśnia, słychać tylko coraz częstsze strzały armatnie na północ od nas. Porucznik Górka (ze Lwowa) opowiada, jak szczęśliwie uciekł z całym patrolem, nieszczęśliwie się na karabin maszynowy nadziawszy. Wprawdzie mu 4 konie zranili i przestrelili płaszcz i torbę jednemu ułanowi, ale z resztą umknął szczęśliwie. Spotkaliśmy też po drodze kilku poranionych honwedów²⁸ z takimiż końmi, czego to narobili kozacy. Taki jakiś zgorączkowany jestem po obiedzie, że myślę na dobre zacząć chorować, chociaż mi to nie konweniuje. Sytuacja o tyle się ustaliła, że zostajemy tu przez

noc; w następstwie tego szukamy z por[ucznikiem] Sr. kwarter dla całego towarzystwa.

Domostwa wcale piękne, ale z daleka, z bliska bowiem można się przekonać, że w chałupach nie ma wprawdzie drzwi, które pozabierano do budowli ziemnych, ale są za to w izbach krowy, morowe powietrze, nawóz i w ogóle cała antyaptekarska kombinacja. Znajdujemy dla siebie pomieszczenie w opuszczonym żydowskim mieszkaniu, znajdującym się obok najdokładniej splądrowanego sklepu; rychło atoli ułani zrobili porządek i przygotowali materiał opałowego. Palę w piecu osobiście i znowu patrzę w płomień. Przesiedziałem i przemyślałem przy tym ogniu może dłużej jak godzinę, ale nic mi się nie polepszyło, bo ciągle mi jakoś nieswojo. Co to za stan ciekawy! Zdrow nie jestem i nie jestem chory – źle mi zbytnio nie jest – ani jestem zadowolony. Ha! Jak kuferek! Usnąć nie mogę dosyć długo, pomimo że jestem zmęczony, bo mnie różne myśli trapią i rady sobie dać nie mogę.

17 Od rana trwa ogień – ogromnie nieprzyjazna aura, bo mgła zasłaniająca najzupełniej widnokrąg; ciężką też pracę ma artyleria. Mamy za zadanie zająć wzgórze na północny wschód od Przegini, a zamiar, w porozumieniu z 4. Armią, złapać ten korpus, który się za beczelnie na południe wysunął. Zarówno zadanie, jak i zamiar bardzo są piękne, chodzi tylko o to, żeby się powiodły. Słysząc ustawicznie huk armatni i karabiny maszynowe. Dorywam chwilę wolną i ekspediuje pocztę przez ułana jadącego do korpusu. Za chwilę później jestem wysłany z rozkazem do baterii, ale skutkiem wspomnianej mgły, trafiłem zamiast na baterię na nieprzyjacielską linię. Ta sama mgła pozwoliła mi znik-

nać jeszcze prędzej, niż się pokazałem, bo raz, że ich było za dużo, a po wtóre, że nic tam potrzebny nie byłem. Nieco po godzinie 12.00 byłem już z powrotem przy dywizji, oddawszy przy baterii wymieniony rozkaz.

Kiepsko był brygadier z rana usposobiony, ale mu się nie dziwię, bo i praca wielka. Po południu sytuacja staje się niewyraźna. Ciągnie mnóstwo rannych, którym droga wypada koło naszej komendy, widzimy ich więc wszystkich dokładnie. Między nimi ciągnie się i Wiktor Posinger z 40., ranny w nogę. Ciągle jeszcze nerwowy ruch przy telefonie, bo stanowisko niepewne; konie nasiodłane i wszystko w gotowości. Przychodzą dwa bataliony 89. pp²⁹, złożone z rekrutów, oraz jeden karabin maszynowy; całe to towarzystwo wysyła jako rezerwę naprzód. Dolatujące wiadomości zwiastują miejscami pogorszenie sytuacji, miejscami nie wyjaśniają jej zupełnie. Wysłany patrol ułanów przychodzi wieczorem z wiadomością, że wszędzie trzymamy się dobrze, obawialiśmy się więc porażki niesłusznie. Co do mnie, nie doznałbym już żadnego rozczarowania, gdybyśmy byli pobici, bo już się do tej roli pomału przyzwyczaiłem. Pocieszamy się wszyscy przepowiednią p. Thebe, oznaczającą koniec wojny na początek grudnia. Czas by też był najwyższy, bo w takich warunkach atmosferycznych dzisiejsza walka niepodobna.

Zanim się doczekałem kolacji, przeglądam sobie całą moją pocztę i naprawdę cała to moja przyjemność, większa nawet, niż przemyśliwanie i wspomnienia, bo bardziej jakoś zbliżająca do ludzi. Na dobry sposób należałoby się wszystkich uczuć wyzbyć, i wtedy dopiero wyobrażam sobie, byłby żywot na wojnie możliwy. Cóż jednak zrobię, kiedy zawsze będę jednaki, zawsze pożądamy serca, ludzi i podniet do życia. Czy to oznaka słabości?

18 W nocy już zaczął padać śnieg, który do tego czasu zdążył zupełnie pobielić pola i zdecydować o zimie; mgła przy tym dosyć gęsta. Pomimo tego, od brzasku już otwarto ogień, kontynuując wczorajszy napad⁵⁰; sytuacja pod każdym względem dobra, więc i odpowiednio są wszyscy usposobieni. Czas przed południem schodzi mi na gorączkowym załatwianiu aktualnych rzeczy. Po obiedzie wysyłają mnie w pole, co mnie bardzo ucieszyło, bo raz, że duszno siedzieć w pokoju, a następnie przejadę się i zażyję znowu trochę wrażeń. Rzeczywiście, bitwa w całej pełni; aż radość bierze, jak sobie te armatki hukają! Wiatr ze śniegiem wieje, a mnie tak jakoś wesoło na tym koniku, chociaż się boję, żeby mi go nie zabili albo zranili, bo należy do brygadiera, i byłby krawal^a.

^a Krawall
(niem.)
awantura,
hałaśliwa
kłótnia.

Pozalaatwiałem w polu wszystko dobrze, i naprawdę, aż mi było żal wracać do domu. Tak się te nasze chłopcy teraz dzielnie biją, że aż zastanawia ten animusz; zimno im też psia pies, tak dzień i noc w polu, to mają dobrą okazję do rozgrzania się. Sytuacja ciągle pomyślna; z małymi tylko usterkami, które niedługo znikają. Trzymamy się coraz silniej, ale z atakowaniem nie idzie tak łatwo, jakby się zdawało, bo się przeciwnik dobrze okopał i trudno go z dobrej pozycji wyrzucić. Wszyscy są jednak dobrego usposobienia, że się przedsięwzięcie musi udać, tym bardziej że od jeńca dowiadujemy [się] o uzupełnieniu ich ostatnimi już rezerwami. Wieczorem już całkiem ciemno, a pomimo tego ciągle strzela zarówno piechota, jak i artyleria. W końcu się uciśzyło, a ja ciągle nie wiem, jak oni po ciemku mierzą i jak trafiają? Po kolacji czeka mnie przyjemność oczekiwania na rozkaz; nie pójdę więc spać, jakbym sobie tego życzył, ale muszę tu sterczeć. Druga przyjemność, że naszą kwaterę

zajęli ranni, których nie mamy sumienia wyrzucać, a nie wiem, czy Jasiek jaki nocleg znajdzie, bo sam nie mam czasu szukać.

Poczta przysłała wieczorem, i jakkolwiek było jej dużych pięć wózków, nic dla mnie od Ireny, za to R. przesyła mi kartkami, a zwłaszcza zmianą adresu, pomimo że nic nie piszę. Rozkaz wydano po 11.00, nie czekałem nań więc zbyt długo; przy tym John się dzielnie spisał, przygotowawszy posłanie w chałupie, wprawdzie zimnej, ale za to śmierdzącej. Nie zważam jednak na te komforty, tylko wskazuję do łóżka (łóżka! pożał się Boże! już łóżka tak dawno nie widziałem). Trzeba spać prędko, bo jutro ma być coś rozstrzygającego, więc zapewne spać nie dadzą, a i w nocy coś zająć może. Dlatego dla pewności lepiej się przedrzeć, ile tylko można.

19 I rzeczywiście, w nocy nie było spokoju, chociaż mnie nie budzono. Jak się dowiedziałem bowiem rano, byli czterdziestacy w nocy napadnięci w swoich okopach, ale dzielni Mazurzy^a nie dali się; owszem, sami w następstwie wywiązanej walki dostali się do okopów nieprzyjacielskich, i tam już resztę nocy spędzili. Naturalnie, miłe rozczarowanie przy komendzie, gdy się dowiedziano, że ich nie ma na wczorajszym stanowisku, ale się dalej posunęli. W ogóle liczy się dziś na to, że dziś się bitwa rozstrzygnie, i to na naszą korzyść. Na całej naszej linii idzie całkiem dobrze. Równie dobre wiadomości przychodzą telefonicznie z komendy korpusnej, a mianowicie: lakoniczne „Serbia w naszym posiadaniu”³¹, część naszej północnej armii wzięła 6000 jeńców etc. Usposobienie w dywizji u wszystkich dobre. Nie wiem tylko, czy na samym froncie równie się żołnierze cie-

^a Tu w znaczeniu: Polacy.

szą, bo wiatr ze śniegiem ciągle wieje, i pewno ich tam już dobrze przedmuchało. Byłem przed południem przy kolonii u Nagórzańskiego i zastałem tam Emila W. – niewesoło mu się wiedzie! Cały dzień schodzi mi na ustawicznym czuwaniu i śledzeniu przebiegu bitwy. Ciągłe idą naprzód, jakkolwiek pomału – tylko po południu mała konsternacja, bo przychodzi wiadomość, że 90.³² cofa się.

Okazało się, że ani mowy nie było o cofaniu, owszem poszli naprzód, ale tak prędko, że sąsiednia grupa, nie widząc ich, sądziła, że się cofnęli; skutkiem mgły i ciemności zachodzą czasem takie nieporozumienia. Około 7.00 wieczór dowiadujemy się o zwycięstwie 4. Armii (na wschód od Krakowa), zabraniu 14 000 przez Niemców i wielu innych szczegółach, pomyślnych dla naszego obecnego stanowiska. Wyrabia się skutkiem tego bardzo miła i wesoła atmosfera, do tego stopnia, że nawet mają zamiar przygotować coś ciepłego dla jeńców, których przypuszczalnie w nocy przyprowadzą. Ponieważ jednak zdrow nie jestem, więc i nie mam zamiaru czekać na ich przybycie. Z domu przysłali mi dziś buty, takie porządne, że aż mi ich żal ubierać, tylko chodzę w tych filcowych.

20 I znowu od samego rana dalszy ciąg bitwy. Podziwiam tych ludzi, którzy potrafią to przetrwać, bo mróz już jest dzisiaj porządny, i nawet John kazał mi włożyć filcowe buty; nie śmiałem się mu sprzeciwiać, a w końcu miał i rację, bo mi jest w nich zupełnie ciepło. Mnóstwo szczegółów walki, z których nie mogę niestety wywnioskować nic o sytuacji. Generalicja twierdzi, że jest dobrze, ale równocześnie używają wszystkich środków dla utrzymania dobrego ducha, przez ogłaszanie dobrych wieści, rozdawanie medali etc.

Obiecują rozstrzygnięcie bitwy na pewno dziś. Cały dzień schodzi mi na tym ustawicznym czuwaniu i pilnowaniu tej maszyny, jaką jest komenda. W południe szczepią nam już drugi raz cholere, czy też coś przeciw niej. Dostaję kartkę od Majewskich, z zapytaniem o Janka, względnie o podanie sposobu dowiedzenia się o nim, datowaną 29 października, i jestem w przykłej kolizji, bo nic nie mogę im poradzić. Szczęśliwie się jednak złożyło, bo wieczorem przyjechał podpułkownik Hanikiř, który jako chory był na urlopie i przyniósł wiadomość, że Janek jest zdrowszy w szpitalu w Cieszynie, a nie jest wykluczone, że już u rodziców w Białej. Ucieszyłem się też okrutnie, i na każdy wypadek napisałem o tym do jego rodziców; cała moja nadzieja, że wiadomość ta jest prawdziwa, i że chłopak w końcu odnalazł swoich, a przede wszystkim oni jego.

Od jutra komendę dywizji obejmuje Hanikiř. Udało mi się z dzisiejszym rozkazem, bo go wcześniej wydali i nie potrzebowałem siedzieć długo w tym dymie. Tak strasznie chciałbym być na chwilę przy Irencie, bo mi się już strasznie za bębnem przykrzy, taka kochaniutka dziewczynka, myśli, że tylko fizyczne dolegliwości przechodzi się na wojnie, a to stokroć gorsza ta tęsknota, stokroć boleśnieszka, że bodaj na chwilę nie można być przy Tobie! Poczta teraz prawie co dzień przychodzi, może jutro mi co od Ciebie przyniesie, a takie kochane te Twoje literki!

21 Mróz ciągle trzyma, a te biedaki już tak długo dachu nad głową nie mieli, i pytanie, czy co ciepłego do jedzenia dostają? Codziennie jest zapowiadany koniec bitwy, codziennie ma nastąpić rozstrzygnięcie, a tu tymczasem [przyjeżdżają] nowe transporty rannych, a skutek się żaden nie po-

kazuje. Dotychczas [jest] przeszło 1600 rannych, o których ja wiem, nie licząc tych, którzy padli. Ofiary są więc już duże, a pomimo tego nie możemy się cofać, bo rozkaz armii brzmi, żeby jeśli nie idą naprzód, przynajmniej wytrwać, i to wytrwać, bezwzględnie, jakiejkolwiek straty miałyby się ponieść. Widać więc, że forsujemy. I nie daj Boże klęski, bo to by znaczyło chyba zakończenie wojny, i to na nową nieskończoność. Sprawa niełatwa: przeciw nam stoją dwa korpusy – lejbgwardii³⁵ i grenadierski – żaden z żołnierzy nie poddaje się, ale trwa do ostatka, i dlatego nie można, pomimo nadludzkich wysiłków, dać im rady. Zważyć oprócz tego trzeba na to, że Moskale są na mróz wytrwalsi, niż nasi, a nabierze się przekonania, że ci ludzie pracują rzeczywiście nad miarę. I znowu cały dzień przechodzi w gorączkowym oczekiwaniu na rezultat wysiłków.

^a W oryginalnej:
we futro.

Wieczorem przyjeżdża z urlopu z Wiednia Neubauer, nowiutko ubrany w futro^a, dobrze wyglądający i dobrze na zimę wyekwipowany. Opowiada różności, że w Wiedniu zupełnie wojna nie daje się odczuwać, pełno osób wojskowych, kawiarnie pełne, bawią się, jak zawsze, i tylko są niezadowoleni z komendantów armii. Dać tu, psiakrew, paru takich ujadaczy, to zobaczą, jak to łatwo idzie zwyciężyć! Ale bo to najlepiej się politykuje za piecem! Uciekam dziś wcześniej z kolacji, bo mi jakoś smutno, i nie mogę w tym gwarze usiedzieć; tak strasznie tęsknię do Irenki i do chwili spokoju. Ona jest taka droga dziewczyna i nie można Jej uściskać! Kiedy to, Żabuś, będziemy się widzieli; człowiek nie może ciągle wytrzymać w tym oczekiwaniu na lepsze czasy i tak chwilami osłabnie, tak serduszka Twojego potrzeba Iruś, że sobie rady dać nie można. Napiszesz jutro – ja wiem, że napiszesz – bo dobra jesteś i kochana moja! Gdy-

by Cię to zobaczyć można! Bobo moje! Ja nie chcę teraz zgiąć, żebyśmy mógł bodaj dzień być z Tobą razem!

22 ^a Ciągłe ten sam mróz. W nocy był zamierzany atak, ale rozpoczęto go dopiero przy brzasku dnia. Ma to być ostatni dzień bitwy, bo jeśli nie będzie można iść naprzód, to wolno się będzie cofnąć do pierwotnych okopów. Ci ludzie to rzeczywiście bohaterzy, siódmy dzień w polu, i to na takim zimnie! Nasza kwatera jest koło kościoła; ponieważ dziś niedziela, więc kapelan nasz, jakkolwiek bez uczestników, odprawia nabożeństwo. Przechodzę koło kościoła i dziwnie mnie nastrajają organy, które słyszę; strasznie życzę zwycięstwa naszym, bo rzeczywiście walczą do upadłego – niechby się więc ich trudy opłaciły. Ogólnie też uznanie zyskują nasi chłopci u komendy, bo żadna bitwa tak długo jeszcze nie trwała, nikt tak długo nie odpierał, ba, nawet atakował nieprzyjaciela, jak ci teraz; przypominają tę najkrwawszą w nowych czasach bitwę pod Mukdenem³⁴, a i ta przecież trwała pięć dni tylko, a tu już tydzień ustawicznego ognia! Daj im Boże zwycięstwo!

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

Neubauera odkomenderował brygadier do baterii, bo tam oficerów potrzeba, a sam przyzwyczał się już do tego, że mu jeden wystarczy. W południe przysłała poczta, ale ani słowa od Irenki; za to R. zasypuje mnie kartkami, bo wczoraj i dziś pięć od niej przyszło. Bardziej o mnie pamięta, niż Irenka, chociaż do niej nic nie piszę, a na odwrót, do Irenki dużo. Czy zachorowała, czy się jej co stało, bo już nie wiem, co mam o tym milczeniu myśleć. Wczoraj napisałem Ci kartkę, ale jej wysłać nie mogę, bo nikt do poczty nie odjeżdża. Okropnie chcę, Iruś, mieć parę słów od Ciebie, bo mi szalenie smutno! Czuję, że byś mnie uspokoiła,

a tu tymczasem taka skąpa w pisaniu jesteś! Gdyby się to niedługo skończyło, albo przynajmniej na jakiś czas tylko, to wszystko zrobię, aby być w Krakowie, i zobaczyć Cię. Ha! Czekaj, panie bracie!

Co za dziwne zdarzenie! Siadłem sobie przy stole i piszę kartkę do pułkownika, spisuję amunicję etc., jednym słowem, nie podnoszę głowy znad stołu; nie zauważyłem więc, kto przy drugim stole siedzi, a był to, jak się dowiedziałem, Otto Ekart, który tędy przechodził i zatrzymał się na jakieś 2 godziny. Ja go nie widziałem, on zaś, fujara, nie zaczął mnie wprost, tylko dopiero przed samym odmarszem pytał się, kto był ten kadet, który pisał przy stole, no i odszedł, kazawszy mnie jako dobrego znajomego pozdrowić, a mogliśmy bodaj porozmawiać. Dalszy ciąg wieczoru przepełdzam przeważnie na oczekiwaniu kolacji; nadeszła wreszcie i ta uroczysta chwila, ale się nią zbytnio nie przejąłem, bo dali zimną szwininę. Udałem się niedługo potem na kwatery, i zauważyć wypada, że goliłem się dzisiaj przed spaniem, a nawet mam pewne widoki na to, że się jutro umyję. John bowiem ma nie lada pracę z przynoszeniem wody, bo jej tu nigdzie w pobliżu nie ma; przyrzekł mi jednak, że wyprosi trochę wody w kuchni, a jeśli mu się to nie uda, to po prostu ukradnie; ponieważ zaś jest honorowy chłopak, więc też i bardzo do niego podobne, że przyrzeczenia dotrzyma, a więc stąd pochodzi perspektywa na mycie.

Różne rzeczy i domysły przychodzą mi do głowy; doszedłem ostatecznie do przekonania, że chyba ruch pocztowy z Krakowa jest zatrzymany, bo sobie inaczej tego Twojego milczenia wytłumaczyć nie mogę. Nie przypuszczam bowiem, żebym się miał co do Ciebie pomylić, przecież jesteś taka, jaką Cię widzę, i jaką chciałbym mieć Irenkę! Kochaną

i kierującą się przede wszystkim uczuciem. Ha! A może się rzeczywiście mylę? Może panienka, pod wpływem świeżych wrażeń, jest inna, a czasami inna?

23 I jak tu człowiek ma mieć psiakość humor! Ponieważ było dwa dni mrozu, przy spokojnej pogodzie, więc żeby nam się przypadkiem nie przykrzyło, przybył dziś do zimna jeszcze zimniejszy wiatr. Żartowałem sobie przez okno z niego, ale za to on się wziął do mnie serio, jak poszedłem do kolony, bo przez chwilę byłem jeszcze człowiekiem, a później zamieniłem się w drewno; w kompletne drewno i tylko [w] tym oryginalne, że ruszające nogami. Naturalnie, zagrawszy się przy piecu, odzyskałem na powrót człowieczeństwo, ale mam już nauczkę, żeby z wiatru nie żartować. Coraz bardziej serio zaczynam myśleć o ciepłych rękawiczkach i kominiarce, do których to przedmiotów odnosiłem się dotąd z lekceważeniem. Ponieważ jednak Pan Bóg stworzył wiatr, więc może i sprawi, w jaki sposób, że będę od niego zabezpieczony, sam bowiem nie mam ani czasu, ani sposobności tego przeprowadzić. Własnemu jednak sprytowi zawdzięczam, że wydębiłem parę ciepłych koców dla siebie i moich chłopaków, żeby [...] nam ciepło było spać, albo przynajmniej nie tak zimno, jak bez nich.

Sytuacja przedstawia się obecnie tak, że znajdujemy się w linii, którą zajęliśmy tydzień temu, i prawie że nie posunęliśmy się naprzód. Wczorajszy atak, mający stanowić o rozstrzygnięciu, nie powiódł się, komenda armii kazała więc bronić przynajmniej dawnych stanowisk i nie cofać się pod żadnym warunkiem. Nasz dowódca przypuszcza, że tak trwać będzie jeszcze 2–3 dni; jak na razie jednak, ludzie kolosalnie marzną w polu, i rannych przywożą w dalszym

ciągu. Zapowiedziana jest pomoc fortecznej i ciężkiej artylerii z Krakowa, a ponieważ już słysząc teraz (6.00 wieczorem) dalekie strzały, pocieszamy się, że to ona już pracuje. Z mniej pomyślnych wiadomości jest ta, że na froncie przeciw nam i Prusakom znajduje się obecnie 90 000 Moskali; nie bardzo zachęcająco działa to na mnie, gdyby to miała być prawda! W każdym razie niemożliwością jest prowadzić walkę w takich warunkach i chyba niedługo poszukamy kwater zimowych.

Wieczorem znalazła się wolna i spokojna chwila. Poobiadaliśmy stół dookoła i przysłuchujemy się, jak na dworze wiatr wyje. Jakiś mniejszy się czuję, gdy sobie uzmysławiam, że siedzę w pokoju, podczas gdy tyle ludzi musi przepędzić tę straszną rzeczywiście noc w polu. Wyobrażam sobie, żebym chyba nie wytrzymał ani godziny na dworze, tym bardziej, że gorączkę i ból głowy mam już drugi dzień. Dziękuję za taką przyjemność! Ledwie zjedliśmy kolację, przychodzi telefoniczna wiadomość, że jeden batalion sąsiedniej Dywizji (24.) został znienacka napadnięty i rozбитy, nieprzyjaciół przedarł się przez linię okopów! Naturalnie, powstał mniejszy popłoch, gotowość do odmarszu etc. Brygadier w zapale każe mi siadać na konia i jechać do wszystkich komendantów artylerii, aby zarządzono gotowość alarmową. No i doczekałem się na tę pogodę; żeby to do jednego, dwóch, ale do pięciu! I gdzie ja ich teraz w nocy znajdę, kiedy śpią po chałupach, a wieś jest ponad 3 km długa! No, ale nie ma rady, bo rozkaz, a w końcu i potrzeba. Wiatr taki, że po prostu patrzeć nie mogę; przechodzę też różne przyjemności, jakie tylko tego rodzaju szukanie nastroja; do tego spotykam jakiegoś rannego, który leży na drodze, i nie mam czasu się nim zająć, bo się muszę spie-

szyć z ważniejszym, niż on rozkazem. Po jednym udaje się mi wyszukać wspomnianych komendantów i zadowolony z siebie wracam do domu.

Spotykam po drodze patrol z dywizji i dowiaduję się od niego, że alarm był fałszywy, że nie batalion, ale tylko placówki były napadnięte i nikomu ani się śniło cofać. Rozkaz więc jest odwołany, nawracaj więc Kaziu, odwołuj wszystko, coś naopowiadał, i słuchaj, jak ludzie przeklinają, że są bez potrzeby budzeni itd. Całe szczęście, że spotkałem ten patrol^a, i mogłem wszystkich zawczasu zawiadomić, że nie ma żadnego nieszczęścia, bo inaczej byłiby się całkiem dokładnie do odmarszu przygotowali, nb. bez potrzeby; patrol ów^b zrobił też porządek z owym chorym. Żeby nie ten straszny wichur, byłoby bardzo przyjemnie, bo niebo pogodne i wszystkie gwiazdy świecą; takiego uczucia doznaję, jak wtedy w Zaleszanach, kiedy po całodzienniej jeździe wracałem do domu. Tak mi szalenie tęskno, i tak samo Cię widzę, jak wtedy. Siedzisz i dumasz, oczęta Ci posmutniały, a ja Ci je całuję i opowiadam, jak do Irenki tęskniłem, i jaka Ona droga, moja Dziewczynka, jest; twarzyczka Ci się rozjaśnia – i zapominamy o całym świecie! Hej! Hej! Iruś!

^a W oryginalne: tę patrol.

^b W oryginalne: patrolowa.

24 W rehabilitacji za wczorajszy fałszywy alarm sypią się od samego rana pomyślnie wiadomości; sąsiednia (północna) 66. Brygada zmarzła i dla rozgrzania wyrwała naprzód; za jej przykładem poszła 14. Dywizja, w końcu nasza czterdziestka i dziewięćdziesiąty. Oślawiona *Kreuzhöhe*^c, o którą już tak długo walczyliśmy, w naszym posiadaniu; co kwadrans przychodzi nowa wiadomość, i to coraz lepsza; 14. Dywizja bierze 1000 jeńców, 39. zapędziła się do lasu i wzięła więcej jeńców aniżeli ich samych było. Na gwałt też prosi o przy-

^c Wzgórze krzyżowe (niem.).

^a Tu: jeńców. słańie eskorty dla transportu niewolników^a, bo ich samych jest za mało. W ogóle idzie wszystko jak z płatka, i spodziewamy się, że nastąpi rozstrzygnięcie; dziwię się tylko, że ogólna radość nie udziela mi się, tylko przyjmuję te wiadomości mniej więcej obojętnie. Jednym słowem, nie palę się, jak wszyscy.

Okazuje się po godzinie, że nie umieli wykorzystać chwili, i zamiast posunąć się całym frontem, wyrwali częściami za daleko naprzód. I skutek ten, że musieli się do swoich dawnych stanowisk cofnąć. Na tym też dzisiaj poprzestali i sytuacja ciągle taka sama, jak dotychczas. Reszta dnia zeszła na pomniejszych starciach; czuć już pewnego rodzaju wyczerpanie u obu stron. Wieczorem telefonują z komendy armii, że przybędzie jutro lotnik żądany przez naszą dywizję, celem skonstatowania stanowisk nieprzyjacielskich baterii. Pomimo że już jest wieczór, wysyłają mnie celem wyszukania placu, na którym mógłby wylądować. Znalazłem w odległości 1 km pole, które mi się wydało dostatecznie wystarczające i ciągle wmawiam w siebie, że mi się uda wydębic na tym lotniku, że mnie ze sobą weźmie jako obserwatora; w tej błogiej nadziei kładę się spać, ale znowu jakoś długo nie mogę zasnąć.

25 Ze zdziwieniem konstatuję, że cisza panuje wszędzie; tak się człowiek mianowicie przyzwyczaił do tego, że od samego świtu strzelali, że mi się to aż dziwne wydaje. Wstaliśmy co prawda wcześniej, bo trzeba przygotować ten plac lotnikowi; zjedliśmy śniadanie i sypielmy razem z saperami na obrane wczoraj przeze mnie miejsce. Okazuje się, że z tym wyborem całkiem mi się nie udało, ziemia bowiem za twarda (przecież, psiakręć, zmarzła), i za dużo drzew w pobliżu

(czy ja je tam sadziłem?). Idziemy więc szukać odpowiedniejszego miejsca, co się nam po jakimś kwadransie udaje. Zaprzęgamy saperów do roboty i za chwilę wycięli jedyne drzewo, jakie się jeszcze zostało i przez odgarnięcie śniegu wypisali na polu duże T. Ma to służyć do orientacji lotnikowi, ale bardzo wątpię, czy mu się to przy dzisiejszej pogodzie uda przeczytać, pomimo że ta literka ma 15 m. Pouczniawszy to, zabraliśmy się do budowania stacji telefonicznej do miejsca wzlotów. Czekamy wszyscy na to zjawisko, ale za długo, więc aby nie marznąć daremnie, rozpalili saperzy ognisko. Posiadaliśmy wokoło, ja, oficer od telefonu, komendant saperów – i robimy pokój w Europie – ponieważ jak twierdzi ten saper (Czech), ziemniaki kolosalnie podrożały, oraz że Turcja ekscytuje go od południa, więc też i dowód najoczywistszy, że wojna już długo trwać nie może. Bylibyśmy na pewno przeprowadzili sprawę zawarcia pokoju europejskiego, gdyby nie okoliczność, że mnie zawołano do telefonu i dowiedziałem się, że przyjechało dwóch lotników, ale automobilem. Zdążyli też wyszukać lepiej nadające się miejsce, chociaż wybranego przez nas wcale nie oglądali; następuje przenoszenie telefonu i przeprowadzanie saperów, a wreszcie oczekiwanie owego powietrznego gościa.

Nie wiem, czy zakpił z nas, czy mu jakie dowcipy w głowie, ale czekaliśmy dłużej godzinę, na próżno. Naturalnie, że nic zajmującego nie ma w bezpotrzebnym staniu na mrozie, więc zaproponowałem dalsze czekanie w domu; tu doczekaliśmy się przynajmniej obiadu. I znowu minęły 3 godziny, a latawca ciągle jeszcze nie ma. Niedaleko od nas jest szpital, z którego co dzień po południu odbywa się pogrzeb tych, którzy z ran zmarli. Dziś umarł jakiś oficer, idziemy więc gremialnie, oddać mu i jego towarzyszom ostatnią

posługę. Smutny widok! Na dziesięciu noszach, 10 sztywnych ciał ponakrywanych płaszcami. Odprowadzamy ich aż na sam cmentarz, gdzie czeka na nich wspólny grób. Jest między nimi dwóch Moskali, ale po śmierci oni już bracia, spokojnie obok siebie leżą. Wróciwszy do domu, znalazłem dla siebie dosyć do roboty, bo trzeba przygotować dużo szkiców, skutkiem nowego ugrupowania się artylerii. Następnie [odbywamy] konferencję z tymi lotnikami, chodzi bowiem nie tylko o wykrycie nieprzyjacielskich baterii, ale także o obserwowanie ostrzeliwania tychże. Muszą się więc porozumieć co do mnóstwa szczegółów, a na mnie się to skupia, bo muszę wynik umowy pisać i dawać znać każdej grupie. Wieczorem, zanim dano kolację, słuchamy, jak kapitan od lotników „lakieruje” i opowiada; nikt mu się naturalnie nie sprzeciwia, a on sobie coraz lepiej buja! Taka to już lotnicza natura! Rozkaz dzienny rychło wydany – niedługo po kolacji [idziemy] spać, jako żeśmy dziś wcześniej wstali. Coraz bardziej mnie zastanawia milczenie pewnej panienki, no, ale chyba naprawdę Kraków całkiem zamknięty. Dobranoc Żabuś!

26 Ledwie że wstałem. Słaby jestem taki jak skóra na moich starych butach. Przeziębilem się wczoraj widocznie i skutek ten, że kaszlę z wprawą siedemdziesięcioletniego suchotnika i gorączkę mam powyżej uszu. Nie chcę jednak zostawać w łóżku, a raczej na słomie, bo to diabeł najgorszy i mogłaby jaka chorobliwa kombinacja wyniknąć, jak np. dżuma albo jaka inna ślepa kiszka! Ciągnę ta więc za sobą te nożeta, które mi się dziś stanowczo za długie wydają. Na całym froncie już drugi dzień spokój, bo oprócz kilku strzałów, oddawanych pojedynczo, nic innego nie słysząc; nie wiem, co

ta cisza ma oznaczać, ale chyba że przede wszystkim zmęczenie. Dywizja nasza ma niespełna 7000 ludzi, i z tych 13 000, któreśmy wyprowadzili z Tarnowa; ładna zabawa!

O 9.00 z rana delegują mnie na nabożeństwo żałobne za wczorajszych zmarłych; wprawdzie marznę w nogi, co mi na moje przeziębienie nie bardzo pomoże, ale za to zbawienia im przysporzę. Nie wiem, skąd się tu w kościele nabrało tyle bab, tak szczerze się interesujących pozagrobowym losem poległych. Coraz gorzej się czuję po tym kościele, tak że aż poprosiłem o urlop do popołudnia i położyłem się spać. Ze spaniem nie bardzo mi się powiodło, bo w chałupie było zgromadzenie złożone z baby, chłopca i wrzeszczącego bąka. Zarzuciłem więc tylko płaszcz na głowę i nic nie mówię, litując się nad tymi, których na noc wyrzucamy z domu. Ponieważ do południa prawie nic mi się nie polepszyło, więc zrezygnowany wstałem, tym bardziej, że już po pierwszej, i czas na obiad – na taki świetny obiad, który o zgrozo! traktowałem per nogam jako człowiek chory, a zatem nie mający apetytu. No! W końcu się już z chorobą pogodzić mogę, tylko nie chcę z taką, która pozbawia apetytu, bo gdyby nie ten jedyny czynnik, to życie na wojnie wydawałoby mi się czarnym, zamiast takim jakim jest, szarym. E! filozofia, psiakrew! Nawet się dziwię samemu sobie, że mi nie żal ołówka na pisanie takich bzdur; taki ładny kohinorek i jak tak dalej będzie, niedługo mi się skończy.

Po południu znowu pogrzeb; tym razem chowają ośmiu, nie poszedłem jednak na cmentarz, bo sam dziś jestem kandydatem na umrzyka, a moje towarzystwo niewiele im pomoże. Wieczorem dowiaduję się, że wczoraj padł porucznik Wrażej z 89. i jest pochowany w Sułoszowej. Ten kochany chłopak! Taki przystojny, i zawsze wesoły, już samym swoim

widokiem zawsze mnie rozweselał, bo aż biła z niego młodość i uroda; dostał biedak dwa strzały w brzuch, a trzeci w głowę, no i naturalnie, że w takich warunkach żyć trudno. Biedna jego matka, została w Jarosławiu, i na próżno będzie czekać na synów, bo jeden padł, a drugi w szpitalu. Ogólnie go tu wszyscy żałują, bo był bardzo dobrym i odważnym oficerem; tyle kul go ominęło, aż przecież przyszły takie, które nie chybiły. Czekam w dalszym ciągu na pocztę i doczekać się nie mogę; że to ja zawsze muszę mieć takiego pecha, że akurat wszyscy piszą, a Ona nic; nawet p[ani] Władzia dowiedziała się skądś o adresie i życzy szczęśliwego powrotu, a Irenka ani słowa. Nie bój się! Jak się tylko sprawdzą moje obliczenia, to się niedługo zobaczymy i sprawa się wyjaśni, dlaczego to panna tak milczy.

27 Dalszy ciąg ciszy i jakby zawieszenia broni, chociaż nie umawianego; wprowadzie wczoraj w nocy grzmiały armaty z naszej strony, ale jak się przekonałem, więcej dla fantazji i postrachu, niż z rzeczywistej potrzeby. Żadne wiadomości do nas nie dochodzą oprócz gazet; przypuszczam więc, że albo idzie niedobrze, albo jest na całym froncie spokój, jak i u nas. Pomimo jednak, że się walka nie toczy, [to] mamy dosyć do roboty, mianowicie administracyjnych czynności. W ogóle jednak dzień upływa spokojnie. Niedługo po obiedzie narobili krzyku, że przyjeżdża lotnik, bowiem telefonowali, że już z Będzina odleciał. Wszystko co żyje wylatuje naturalnie na plac wzlotów, zakładamy na gwałt telefon, w ogóle narobiliśmy nadzwyczajnego piekła i... czekamy. Mgła taka, że ciągle nie wierzę temu, aby mógł do nas trafić. Czekamy jednak dalej cierpliwie; pędzę do telefonu i pytam w korpusie, czy przypadkiem nie widzieli tam ae-

roplanu. Nie widzieli, bo mgła, słyszeli jednak jak nad nimi przelatywał; czekamy więc znowu, i co beczelniejsze, przypuszczamy, że przyleci. Przyleciał wreszcie, ale nie do nas, bo sobie gdzieś po drodze pobłądził. Nowy zawód i rozczarowanie; dla uspokojenia jednak wzburzonych umysłów przyjeżdżają znowu autem ci sami balonowcy, którzy tu już u nas byli; spodziewali się tak samo jak i my lotnika i przypuszczają, że pobłądził.

Ponieważ jeszcze wieczór nie zapadł, więc robią próby z raketami, które wywołują popłoch u wojsk niezawiadomionych o tym. Balonowcy poprzywozili z Mysłowic pozamawiane różności zimowe, żałuję teraz, bo mogliby mi przywieźć rajtuzy. [Następuje] ogólne oglądanie i uciecha z zakupów. I znowu lakierowanie tego balonowego kapitana, że aż miło słuchać; wybierają się przepędzić noc w okopach artyleryjskich, ale jestem przekonany, że do tego nie przyjdzie, bo się rozmyślą, że to niewygodnie. Także nowość wymyślili panowie przy dywizji. Od wczoraj musi się zawsze znajdować oficer przy telefonie – „od wypadku” – codziennie jest więc przeznaczonych trzech oficerów do pełnienia służby. Dziś wypadła kolej na naszą brygadę, siedział więc do 12.00 adiutant, a później obudzono mnie i sterczałem do 3.00 przy tym głupim telefonie. Za całe urozmaicenie było to, że ekselenc wrócił o 1.30 do domu, miałem więc do 2.00 zajęcie, a mianowicie myślałem, gdzie się stary do tego czasu włóczył; nie wiem, czy prawdziwe moje kombinacje, ale wszystko mówi za tym, co przypuszczam. Rezultat całej tej służby był ten, że się kompletnie nie wyspałem, co przy moim obecnym stanie zdrowia zupełnie mi do przekonania nie trafia.

^a W oryginalnej: na pikietę.

28 Spokój na całej linii; tak się jakoś wszystkim wydaje naturalne, że się nawet nikt nie dziwi. Dziwilibyśmy się raczej, gdyby strzelano. Wściekłe kombinacje na temat, czy i kiedy będzie zawarty pokój. Przywieźli wczoraj wieczór żelazo, podkowy etc., muszą to teraz porozdzielać i powydawać, wcale przystojna czynność dla rycerza. Na pisaniu i telefonie schodzi mi czas do południa. Po obiedzie dają się Sandigowi namówić na pikietę^{a35} i przegrywam jeszcze [ponad] koronę. Idealny pomysł mieli w domu wysyłając mi futro; ciepłe jak pies i cywilne jak pies, ale w każdym razie przysięga się kolosalnie.

Ciekawi mnie tylko fakt, że nie dostaję mojej poczty, bo przecież z korpusu do Trzebini niedaleko, a wszystkie, jak mi piszą, transporty tamtędy idą. Popołudnie mija spokojnie. Lotnika nie oczekujemy, bo mgła, to pewnie nie przyleci. Podczas kolacji dają się słyszeć strzały armatnie i po chwili rozwija się bitwa – atak nocny. My w nim udziału nie bierzemy, bije się 14. i 33. Dywizja, na północ od nas. Nie czekam na rezultat, ale prędko uciekam spać, kombinując, że jeśli mamy być przypadkiem alarmowani, to niech się bo-daj trochę zdrzemnę.

^b Dopisek autora: Niedziela.

29 ^b Ciągłe spokoj. Zamglone jest jeszcze całkiem, należy się więc spodziewać, że lotnik dziś nie przyleci, względnie że nie będzie obiecywał przylecieć. Nabożeństwo o 8.00, wyganiem więc chłopów do kościoła; sam muszę się zabrać do porządkowania papierów, które wczoraj wieczorem nadeszły. Dziwnie mi dzień schodzi na oczekiwaniu czegoś niespodziewanego. Taka dziwna jakaś nerwowość i niepokój; naturalnie jest to następstwem tego siedzenia na jednym miejscu i oczekiwania na zbawienie, które nie wia-

domo skąd przyjdzie. Gdybyś przynajmniej pisała, mógłby się człowiek natychmiast zrównoważyć, coś kiedy panienka nic a nic, a to jakoś smutno, jak nic Iruś nie piszesz; tym bardziej przykro, że nie wiem dziecino, co za przyczyna milczenia. A może ja rzeczywiście nie wart jestem, żebyś o mnie myślała? Co prawda też, to moje pretensje są częściowo nieuzasadnione, no ale w końcu – ja nie wymagam – tylko proszę.

Wieczorem przyjechali z trenu obaj oficerowie, którzy się tam rano udali, ale żadnych nowych wiadomości nie przywieźli. Wypłacono nam tylko pensję, ciągle nie wiem, za co, bośmy przecież tak strasznie tej wojny nie nawygrywali. Zimno ciągle tak samo jak dotychczas.

30 Odwilgło i wypogodziło się nieco, pewnie „reoplan” przyleci. Nie zdążyliśmy się jeszcze dobrze przygotować, a tu trrrr! I tak cacanie wylądował, że aż radość była patrzeć. Lotnik przywiózł ze sobą obserwatora, straciłem więc już zupełnie nadzieję, że mnie weźmie ze sobą; cała moja dyplomacja wzięła w łeb. Puścili się więc beze mnie w powietrze, na poszukiwanie nieprzyjacielskich baterii; po [upływie] jakiejś pół godziny przywiózł je wyrysowane na mapie. Jest ich według niego 8, no i wierzyć się mu musi, bo jeśli kto nie wierzy, to się mu zaproponuje, by się poszedł osobiście przekonać. Nie w tym jednak dobro sprawy, żeby te baterie tam były, ale przeciwnie. Następują więc umowy, w jaki sposób je wyniszczyć.

Wznosi się w końcu [samolot] jeszcze raz i skutek strzałów ma znaczyć wyrzucaniem różnokolorowych rakiet; niestety, jak się po wylądowaniu okazało, ani on armatnich strzałów nie widział (słyszeć ich nie mógł), ani myśmy onych

rakiet nie widzieli. Razem więc z moją dyplomacją bierze i to przedsiębiorstwo w łeb, ponieważ na ogół pogoda nie bardzo obserwowaniu sprzyja. Odkładają dalsze próby do jutra, lub do czasu, gdy powietrze będzie bardziej przezroczyste. Palilem się ogromnie do tej jazdy i twierdzę, że-bym był lepiej obserwował skutek strzelania, ale nie bardzo wierzę w skutek tego twierdzenia; w każdym razie był-by ze mnie wściekły latawiec, tylko się na mnie nie pozna-li, a szkoda! Po naradach postanawiają powtórzyć próby ju-tro, na razie zaś do widzenia i frrr!

Grudzień [1914]

1 Piąty miesiąc wojenki się zaczyna, a kto wie, czy to już ostatni! Spokój trwa ciągle – naturalnie pozorny – bo armaty powystawiali naprzeciw siebie, piechota dzień i noc w okopach, i tylko czekają na zaczepkę. Wyzaczyłem swojego czasu termin na 3 grudnia, że się wtedy wojna skończy; naturalnie zbryzgałem^a się okrutnie. Co prawda, to całe woj-sko się parę razy zbryzgało, ale to już widocznie tegoroczna moda. W gazetach bez przerwy odnoszą zwycięstwa, oba-wiam się, że jak tak jeszcze z tydzień potrwa, to w monar-chii pomrą z głodu, jeśli będą musieli jeńców wyżywić; aż głowa pęka, kiedy przyjdzie uzmysłować sobie, [ilu]^b to na-sze wojsko nabrało niewolników. Przeróżnorodnie komen-tują tutaj podróż Tiszy³⁶ do Berlina. Oho! Tylko patrzeć, jak pokój będzie zawarty. Zawieranie pokoju, a raczej pokoi, jest zresztą obecnie ogólnie praktykowane, bo w piecach się pali, więc nonsensem byłoby robić przeciwnie – niewykluczone więc, że i europejski pokój będzie zawarty. Mnie oso-biście jest wszystko ośmnaście, jak mówi ksiądz Niezgoda.

^a Zbłąź-nilem.

^b W orygi-nale: co.

Z telefonicznych wiadomości nie przychodzi żadna; przypominają nam tylko, że jutro jest dzień cesarski³⁷ i mają go wszyscy, o ile możliwości, uroczyscie obchodzić. Balonowcy przylecieli około 9.00 rano i powtarza się mniej więcej dokładnie wczorajsza historia. Tym razem znakiem do rozpoczęcia strzelania było zrzucenie chorągwi; zaczęto strzelać, ale obserwator znowu ani strzałów nie słyszał, ani nie widział. Skutek całego przedsięwzięcia był ten, że nam zraniono jednego oficera i jednego piechura, którzy przypuszczając, że lotnik zrzucił jakiś ważny rozkaz lub wiadomość poszli po tę chorągiew i zostali obydwaj trafieni. Okazało się, ile potrzeba ostrożności i sprytu przy takich okazjach jak te latawce, i że cała historia nie jest taka pojedyncza, jak przypuszczano.

Co też za uciechę miałem, wróciwszy do domu! Irenka napisała! Napisała, i to całe dwie kartki! Kochane moje dziewczysko. Obiecuję sobie, że dostanę po łbie od samego siebie, jak się tylko sposobność zdarzy, za to zrządzenie, że Irenka to leniuszek; nie żaden leniuszek, tylko Odrobi-na moja droga – bo aż jakoś wszystko na świecie poweselało, jak Ona napisała. W ogóle Iruś, melduję posłusznie, że się bardzo cieszę i sobie jestem wesoły. Wcześniej poszedłem spać, bo dziś w nocy znowu ta telefoniczna służba; tak samo jak poprzednio, zaledwie się zdrzemnąłem, już trzeba było wstawać. No i naprawdę trzeba mieć pecha, bo ledwie się moja służba zaczęła, zaczęto strzelać; telefonuję więc na wszelkie strony, żeby się dowiedzieć, kto i co, aż nas uspokojono z 5. Korpusu, że to jest planowany atak z naszej strony. Nasza dywizja nie bierze w nim udziału, skończyło się więc na chwilowym zaniepokojeniu, bo po jakiejś godzinie ucichło wszystko, i tylko pojedyncze strzały padają. Dosie-

działem w spokoju do 3.00, nie napadany nawet przez trochę zawianego nadintendenta.

2 CesarSKI dzień, wszystko wali do kościoła; tuż przed samym nabożeństwem proponuje mi ksiądz, żeby grać na organach mszę i – Boże wspieraj – szkoda, że mi jakiej opery na dodatek nie dołożył! Naturalnie, okazało się, że nie umiem, i że mi zimno w nogi; dwa powody, dla których nie mogę zaspokoić pobożnych wymagań. Do kościoła w ogóle nie mam czasu iść, bo latawiec znowu przyleci, będzie znowu robota. Dałem wczoraj jednorocznemu od aptekarzy, jadącemu do Bielska, polecenie nakupienia różnych rzeczy; szelmy dotychczas nie ma, nie mam więc i życia urozmaiconego. Przylatują te cienkonogi i znowu pokazali taką samą sztukę, co i wczoraj, tj. że umieją latać, a nie widzą, jak się strzela. Strzelała za to do nich piechota i przywieźli dwie dziury w aparacie. Przylecą jeszcze jutro, ponowić szlachetne usiłowania; może w końcu co wskórają, ale na razie niech ich diabli wezmą, bo nie dość, że żaden z nich „ani się nie da przejechać”, a tylko jest z nimi dużo roboty i biegania. Powychodzili z kościoła i opowiadają, że bardzo im się podobało. Zacząłem obliczać, ile już lat siedzi cesarz na tronie, ale to tak dużo, że aż sobie pomyliłem, poszedłem więc na obiad. Podczas obiadu przychodzi depesza, że nasze wojsko to są bardzo waleczni ludzie, i że zakończymy za parę dni (albo później) wojnę z Serbią, bo już dziś właśnie, w cesarskie święto, wkroczyliśmy do Belgradu. Ponieważ już raz odnieśliśmy stanowcze, rozstrzygające zwycięstwo nad Serbami w dniu urodzin cesarskich, jeszcze 18 sierpnia, więc tylko patrzeć, jak za jakie trzy lata pobijemy ich zupełnie. W święto cesarskie jest taki animusz, że na-

wet dziś Moskale nie strzelają, a co dopiero Serby! Czują, czym to pachnie! Spokój więc na całej linii, a także w umysłach – bo i czegoż się niepokoić?

Ogólnie się więc zdziwiono, że Rusy ośmielili się otworzyć ogień około 8.00 wieczór – na szczęście nie napadają nas, ale sąsiednią dywizję – no i jak się tego można było spodziewać, czterokrotny atak został krwawo odparty. Ho, ho! Rozmach mamy! Tylko już niewielu nas jest do rozmachiwania. Najważniejszym jednak wypadkiem dnia jest fakt, że Irenka znowu kartkę napisała! Dopiero Bobo wczoraj dwie przysłało, aż tu dziś znowu kartka! I jak tu nie kochać tego Maleństwa; zrobiłem też postanowienie, że za to co dzień wysyłam Ci kartkę, chyba że się znowu zacznie taka wojna, kiedy to poczta nie odchodzi albo się cały dzień spędza na koniu. Ale może się lepszych czasów zamiast wojny doczekamy!

3 Zaraz z rana wychodzimy sobie z adiutantem w pole na spacer i oglądamy urządzenia w miejscach, gdzie była pierwszej linia obronna. Między innymi szopami wilcze doły, które nie wiem dlaczego się tak nazywają, bo w nich ani żadnych wilków, ani innych bydląt nie było. Wracamy niedługo do domu, bo mają znowu balonowcy przylecieć, nie palę się do nich, „bo mi to nie imponuje”, chyba żeby mnie chcieli wziąć ze sobą. Ponieważ jednak tego nie uczynią, więc niech się dadzą wypchać. I znowu żadnego rezultatu z dzisiejszego latania. Przywiózł wprawdzie jakiś rysunek, z którego by się pies nie wyznał, i powiada, że to szkic z nieprzyjacielskich pozycji. Pokazał zdjęcia fotograficzne, z tychże obiektów, na których niestety tylko chmury widać, ale to wszystko nie mogło jakoś nikomu do przekonania

trafić, więc po krótkiej konferencji zdecydował mój stary, w grzecznej formie, że mogą się zabrać do diabła. Chwała Bogu, że się tak stało, bo nic nie wylatali, i tylko nas karki rozbolały, bośmy jak na te malowane wrota zadzierali głowy do góry. Dobry to wynalazek, ale na spacer i... na opowiadanie później, jak też to w tym powietrzu dziwnie! Byłem po południu u weterynarza z końmi, bo niektóre jakoś smutne. Nic dziwnego, siana nie mają, toteż i do uciechy nie mają powodu; woda także kiepska, jednym słowem: nieszczęśliwie im się na wojnie powodzi.

Rezultat tej wizyty ten, że dwóch koni nie można siodłać, zaś moją kobyłę trzeba przekuć; pomaszeruje z nią jutro John do kuźni. Tak mnie to konisko zna, że na zawołanie przychodzi sama, a jak drzwi od stajni przymknięte, a zawołam: atak! to zaraz rży i bije kopytami. Biję i gryzie wszystkich ludzi i konie, a tylko ja i John mamy do niej przystęp; pod tym względem kolegujemy obydwaj, a taka szelma pieszczocha! Niechbym jej nie pogłaskał, i nie powiedział co miłego, to nie da się na siebie, ale za to bić jej nie potrzeba, bo wszystko na dobre słowo zrobi; pocziwe bydlę! Przy kolacji opowiada nadporucznik od pionierów, jaki wisielczy humor mają ci ludzie w okopach, i jak się już wzajemnie znają; np. o pewnej godzinie krzyczą Moskale: wasze kuchnie przyjechały, niech go. idzie jeść; sami między sobą robią zawieszenie broni etc., etc. Siedziało się i słuchało tego opowiadania, aż przyszedł czas, żeśmy się zabrali do naszej willi. Pyszne to nasze mieszkanie, tylko trzeba bardzo uważać, żeby sobie głowy o powałę nie rozbić; pomimo tego wesoło jest, jak się razem zjeździemy.

4 Pogoda ciągle ta sama; robię znowu z rana spacerek do wilczych dołów, a ponieważ dziś już nie ma widoku na la-tawce, więc też i spacerek trwa około 15 minut. Śmieszne teraz takie to życie, żeby się chciało tylko kłąć bez przerwy. Ha, no! Bij głową w mur, panie bracie, dla urozmaicenia! Może cię to rozweseli. Zdziwiłem się mocno będąc wywo-łany z pokoju przez siostrę od Czerwonego Krzyża; okaza-ło się, że była z aptekarzem w Bielsku, a ponieważ on z po-wodu służby nie mógł sam przyjść, przyniosła mi więc ona zakupione przedmioty. Zarumieniłem się w chwili, kiedy mi dawała pakunek z rajtuzami, ale że to wojna, i osobliwe warunki życiowe, więc zmieszanie przeszło, ustępując miej-sca dumie, że jestem posiadaczem nowych spodni, obiek-tu wielką rolę w życiu człowieka odgrywającego! Dowcip mi na psy schodzi, jeśli już o takich głupstwach piszę. Trudno! Wóz nie smarowany także skrzypi!

John był z kobyłą w kuźni, ale niedługo wrócili obydw-oje nieokuci, bo kowala gdzieś służbowo posłali, a John twier-dzi, że byle komu nie da jej okuć, i woli poczekać, aż *feu-erwerker* wróci. Głupi chłopak, bo głupi, ale swój koński ro-zum ma. W ogóle co dotyczy kobyły, to on się tak do mnie odnosi, jakby to wyłącznie jego koń był; mnie ma nic więcej nie obchodzić, jak tylko żeby na konia wsiąść i zejść z nie-go, a już broń Boże się spytać, czy kobyła jadła, albo czy pojona, bo się jucha obraża! Swoją drogą, że konia pilnuje. Spokojnie dzień przechodzi. Po południu urządziłem so-bie generalne mycie grzesznego cielska, po czym poszedłem do tych aptekarzy, podziękować za trudy przewożenia mo-ich sprawunków. Obsiedli mnie jak jakiego księcia i o ma-ły włos, że nie zamęczyli, żeby wice robić. Śmialiśmy się też kupę i popijali krupnikiem, ale przynajmniej porządną

miarą, bo szklankami. W zwykłych warunkach byłoby bezecnością takie niezliczone ilości onego gorącego trunku wchłaniać, że to jednak wojna, więc nam to jakoś uszło i publiczna moralność w niczym nienaruszona została. Zasiadziałem się tam tak, że aż zignorowałem kolację, tak że aż się stary pytał, gdzie jestem; powiedzieli, że „zasłałem” – aż wstyd! Naturalnie, że się mu już na oczy nie pokazywałem, tylko poszedłem spać.

5 Mrozik, aż lubo! Od samego rana kombinuję, jakiego by tu Mikołaja wymyślić komuś, ale nie sposób cokolwiek zrobić w tych warunkach, w jakich się człowiek znajduje. Nagle atoli tyle się roboty dla mnie nagromadziło, że nawet nie mam czasu na myślenie: piszę, telefonuję i gonię jak wariat, co wszystko razem ma oznaczać, że jestem zajęty. Na tym zajęciu zeszło mi do obiadu. Później znowu zabrałem się do rysowania; co chwilę ktoś głowę wsadza i rozdziawia ją, że tyż to ja tak pięknie potrafię; gapie, psia pies – nie widzieli pewnie porządnej roboty, to się też dziwią – okrzyczeli mnie architektem, i zacznie mi się pewnie wesoły żywot, jeśli się wszyscy [będą] do mnie zlatywali, żeby im rysować. Chociaż mnie wołali do robienia wiców dla współtowarzyszy broni na Mikołaja, zeszło mi na robocie do samego wieczora.

Po kolacji nastąpiło rozdawanie podarków. Śmichu była kupa, bo takie różne wice porozdawali, żeśmy się wszyscy pół godziny śmiali. A do każdego podarku [był dołączony] jakiś przemądrowaty wierszyk. Nawet dla ekselencja zredagowali depeszę z komendy armii, która była najweselsza, bo poprzednio wystraszyła wszystkich, nakazując atak na całej linii. W ogóle święty Mikołajek ładnie się spisał, bo wesoło było, jak rzadko. Żeby sobie wrażenia nie zepsuć, uciekłem

do willi i zacząłem kombinować, że gdyby tak sięść na konia, to można by za jakie trzy godziny być w Krakowie. Hej! Byłaby to uciecha, jakbym rano Irenkę obudził, zamiast św. Mikołaja! Ale to szkoda się cieszyć na darmo, bo pomyśl nie do przeprowadzenia, chyba żebym po prostu popełnił dezercję; napiszę więc tylko kartkę, i pisanie zamiast mnie dostaniesz. Już tak tęskno – i jak to długo będzie trwało?

6 ^aTaki jakiś wesoły dzień! Może dlatego, że niedziela, i w kościele znowu grają, śpiewają *Święty Boże* tak pięknie. Znowu jednak nie mogę iść do kościoła, więc kolegi się za mnie modlą. Jak przewidywałem, przylecieli ze sztabu, żeby im zrobić mapę całej naszej obecnej wojny (przed naszym frontem). Rad nie rad rysuję, zababrałem się chemicznym atramentem, porozmieszczałem wojsko, i na południe byłem gotów. Po południu zarekwirowali mnie do brydża, którego skończyliśmy prawie przed kolacją; naprzegrywałem coś około 2 κ., ale tylko przez umiejętność graniarzy^b; do niczego to wojsko niezdadne, tylko do jednej bitki, bo nawet w karty grać nie umieją; nawet tego nie! Na ogół dzień przeszedł głupio, tak jakoś dla mnie bezmyślnie. Nawet ochoty do babrania³⁸ nie mam, chociaż czasu dosyć.

^a Dopisek
autora:
Niedziela.

^b Graczy.

7 Znowu taki sam dzień się znaczy, jak dotychczasowe, z tą różnicą, że odwilgło trochę i będzie błoto, czynnik tak ważny dla fabrykantów kaloszy. Ponieważ jednak sam nie mam nic wspólnego z kaloszami ani fabrykantami tychże, więc się nad tym faktem długo nie zastanawiam. Przykry wypadek zdarzył się temu porucznikowi od saperów, z którym swego czasu czekaliśmy na lotnika. Trzy dni temu dostał od naszego księdza pozwolenie na ślub przez prokura-

torię, ożenił się więc, a wczoraj dostał kulę w brzuch, i to przypadkowo, od austriackiego oficera, w następstwie czego mu się zmarło i po południu [odbędzie się] jego pogrzeb. Idziemy wszyscy – muzyka zagrała, schowali do ziemi, salwa, Boże wspieraj, sztab salutuje i koniec parady – a przedwczoraj jeszcze mógł sobie roić plany na przyszłość, o szczęściu! Psiakrew, ironia. Aura działa kolosalnie, bo tak strasznie ponuro było podczas tego pogrzebu; swoją drogą, wolałbym mieć taki pogrzeb, niż inny, bo przynajmniej koledzy odprowadzą. A zresztą, furda! Czy tu, czy tam, koniec i spokój. Amen, amen! Zmarło mu się, szkoda chłopaka etc., etc.

Wyrzucają nas po południu z pokoju, bo odbywać się ma sąd nad pewnym porucznikiem, posądzonym o to, że się sam zranił w rękę, i pewnym rekrutem, który rzekomo dopuścił się dezercji. Ponieważ nas wyrzucono, więc poszliśmy do willi, i zaczęliśmy grać w pikietę, aż dudniło! Zeszło nam na tej pobożnej czynności aż do 7.00 wieczór. Przyszedszy na plebanie, przekonaliśmy się, że sąd jeszcze się nie skończył, podali jednak kolację. Siadł do niej także i ten posądzony porucznik, jak było naturalnie do przewidzenia, uniewinniony. Wesoła atmosfera wywiązała się przy stole na skutek wiców nadintendenta, wkrótce jednak przycichło, gdy wywołano ekselencja do podpisania wyroku śmierci na tego uciekiniera. Nic wesołego w tym, jak się ma komu życie odebrać, i to takie młode życie! Uprosił ksiądz zaledwie, aby mu wyrok przeczytać dopiero jutro, dla oszczędzenia mu przynajmniej męki przez noc. Ekselenc pozwolił.

8 Znów święto, czego by człowiek nie spostrzegł, gdyby nie organy w kościele i kupa bab przed nim; że też to tych bab tak dużo jest na wojnie! Swoją drogą, mężczyzn zabi-

jają, a to plemię nic na tym nie cierpi i go nie ubywa. Ładny wynalazek! Co jednak przyznać trzeba, to fakt, że by nie miał kto płakać, gdyby bab nie było, a tak to przynajmniej lamenty! Strasznie nasz ksiądz struty, bo twierdzi, że ten chłopak, którego mają dziś rozstrzelać, jest niewinny; prosił dywizjonera o skasowanie wyroku na tej podstawie. Ale stary powiada, że sądownie udowodniono winę, że dla niego nie jest także łatwą rzeczą podpisanie wyroku na młode życie, ale że [oskarżony] zhańbił sztandar, narodowość etc., więc pomóc nic nie może. Jakoś mi głupio; poszedłem do niego – młody, nie wiem czy ma psiakrew 19 lat – jednak. Powiada, że jakkolwiek wie, że ratunku nie ma dla niego, chce jednak, by mu uwierzono, że niewinny, bo jest po spowiedzi i przed śmiercią kłamać nie chce, niech mu wierzą przynajmniej przez wzgląd na rodziców. I co mu poradzę? Strasznie mi głupio! Poszedłem do księdza, zdenerwowanego, że nawet mówić nie chce, bo myślałem, zdawało mi się, że przecież będzie można coś poradzić, bo jak tu zabijać człowieka raczej głupiego, niż winnego; tymczasem jednak dywizjoner odjechał na parodniowy urlop, a z nim i ostatnia nadzieja uratowania chłopaka. Za całą pociechę ma to, że [jeśli] nie ta, to inna kula byłaby go trafiła [...] na wojnie. Jakoś mi dziwnie tego chłopaka żal; zamiast mu oszczędzić ostatnich chwil, czekają dopiero na patrol z pułku, który go ma odstawić. [Przyjechał]^a, psiakrew, dopiero koło 11.00! Koniec!

Równocześnie z dywizjonerem odjechał dziś major – szef generalnego sztabu – chory na piersi, do szpitala; opróżniło się też trochę, bo brak takich person zaraz zauważyć się daje. Komendę dywizji objął na razie dotychczasowy komendant 4. Brygady, płk Prusenowski, pocziwa taka du-

^a W oryginale: przyszła.

sza z niego, że całą moją sympatię posiada. Gramy po południu w karty, i to ja, z księdzem do spółki; wygraliśmy po ciężkich cierpieniach po koronie, co wielką frajdę księdzu przyprawia. Po kolacji znowu siadamy do kart, ale tylko na pół godziny, tym razem wygrywam 22 K. – będzie się ksiądz znowu cieszył, jak mu to jutro wyasygnuję. Dziś list od Irenki. I co ja Ci Boba poradzę? Żal mi Cię Żabko, ale naprawdę nic nie mogę zrobić na Twoje uspokojenie, dopóki sam się przy Tobie nie znajdę. Utulę wtedy i upieszczę, główkę strapioną przycisnę do piersi, i powiem do uszka dużo, dużo rzeczy, a wtedy buzię rozjaśnisz i cichutko słuchać będziesz, o tych dniach bezmiernej tęsknoty!

9 Piękny dzień się zaczyna. Tak w naturze cudnie, że opłaciło się wcześniej wstać; tak się cacanie czerwieni niebo, w stronie gdzie Kraków, a Irusia zapewne śpi sobie jeszcze, i nic z tych cudów nie widzi, oczęta ma zamknięte i może śni, śni „cudny sen dziewczęcego rana”, ale nie zbudzi wojaczek, niestety! Dusza jego tam tylko cicha, bezszelestna, kochająca, snu jednak nie przerwie, bo szkoda budzić, jak dziewczynka śni. Irychna! Kartkę Ci tylko mogę wysłać na dzień dobry. Bardziej kochana jesteś, niż ten dzisiejszy cudny poranek! Rychna! Ryy...chna! Szkoda miłego marzenia! Ha! Rycerz – zamki na lodzie – dama w obłokach, a zapominasz braciszku, że to nie wolno? Że czasu na to nie masz? A do codziennego kieratu nie łaska? I znowu to samo, co i dni poprzednich, robota, śniadanie, obiad etc. – psiaakrew! Dokąd to będzie trwało?

Za całe urozmaicenie zaczęliśmy znowu grać po południu w karty, ale „nie bardzo mnie kochają”, bo wygrywam. Wygrywam właśnie dlatego, że mi na nic pieniędzy nie po-

trzeba. Dziś znowu ta nocna służba; siedzę do północy, nasłuchawszy się opowiadań pewnego kapitana i kadeta, świeżo przybyłych z Wiednia – z podarunkami dla żołnierzy w polu; szczególnie ten kadet mi się udał, bo ma coś około 40 lat. Obywatelski obowiązek spełniają – psiakrew konie! Pozamykali się w pokoju na klucz, żeby ich kto nie powykraść, czy co? Ledwie się do nich dobił ordynans z butami. A zresztą, co mnie takie wojsko obchodzi! Zabieram się do czytania *Amoralisty*³⁹, którego dostałem jeszcze w Gorenicach od p[ana] Ziemskiego; ale czytanie mi nie idzie. Znowu mi ciągle stajesz przed oczyma, gdzieś między kartkami się kryjesz. Wychodzę na pole popatrzeć w stronę Krakowa – taka cudna – spokojna noc! Żaden strzał nie pada, księżyc świeci, tak że zupełnie jasno, ale Krakowa nie widać ani Ciebie; na całe szczęście, mam Twój obrazek. Bo-bo! Pa! Rychna!

10 Najzupełniejsza odwilż i ciepło, jak w lecie; gonię bez płaszcza, bo wczoraj dostaliśmy kożuszone kamizelki, to się figę przeziębę. A zresztą przeziębiony już i tak jestem, to mi wszystko dwa! Wesoło mi jest, sam nie wiem, dlaczego, a jak mi wesoło, to reszta furda! Napisałem znowu kartkę do Irenki, żeby sobie miała! Ponieważ mi z tym rysowaniem spokoju nie dają, więc postanowiłem już ten kościół dziś zrobić, żeby się mnie nie czepiali; przebieram też nóżkami, bo mi marzną, ale w końcu narysowałem ten kościół, i to z wieżą! Zresztą do obiadu już prawie nic nie robiłem, leniąc się wzorowo.

Po południu kazałem sobie osiodłać kobyłkę, bo mi się już za nią przykrzy, a i dla niej będzie dobrze, jak się trochę przeleci; brykaliśmy też sobie wesoło po polu, aż ziemia

w górę wylatywała! Zgrzała się jak mysz, bo to konie teraz słabe, ale za to wyjdzie jej to na zdrowie, a mnie takież. Jakis humor opanował wojsko, bo sobie we wsi urządzają plac muzykę, jak w jakim parku, aż huczy! Zapewne Moskale ją słyszą; w okopach urządzają sobie takie orkiestry, chociaż mniej skomplikowane, bo złożone z trąbki, grzebienia, harmonijki etc. Niemniej jednak artystyczny charakter posiadają te orkiestry, [nie różnią się] od prawdziwych. Przyszedł list od dawnego brygadiera, wyrażający życzenie, żeby mu odesłać konie. Naturalnie, zaraz się ofiaruję jako komendant tego transportu, ale stwierdzono, że jestem tu bardziej potrzebny, więc kanonierzy sami pojadą do stacji kolejowej, tj. do Trzebini lub Chrzanowa. Nie, to nie! Dajcie się wypchać! Irenka ciągle pisze, aż radość bierze; boję się tylko, żeby Krakowa nie zaczęli naprawdę oblegać, bo się już coś tam blisko kręca, jak się po cichu dowiaduję; nie otoczyli jednak miasta i otoczyć im się nie uda, bo nie wiem!

11 Dałem wczoraj do odbicia te kartki feldfeblowi. Przynosi mi dzisiaj gotowe, więc zaraz z rana rozpisuję się na wszystkie strony; do Irenki dwie, bo na tej z kościołem nie było wiele miejsca. Wysyłam oprócz tego pieniądze do Władców, bo dostaliśmy takie jakieś przekazy, że pieniądze bezpiecznie można wysyłać. Tak mnie to jakoś cieszy, że do Irenki tyle nawypisywałem, bo jej może przynajmniej w części wynagrodzę zawód z tym żołnierzykiem. Co chwilę przychodzi ktoś i męczy, żeby mu dać kartkę – porozdawałem wszystkie, i mam spokój. Wziąłem się po południu do ujeżdżania pułkownikowych koni, bo się bydlęta wystąły i jeszcze zapomną, co to znaczy chodzić pod siodłem. Miałem też robotę, z tym wściekłym Helikonem! Ale przynajmniej stary

był zadowolony. Przy kolacji powiada mi adiutant, że jednak muszę jechać z końmi pułk[ownika] Kr. do Trzebini lub Chrzanowa. Nie pokazałem po sobie, że się cieszę, ale powiadam: jak trzeba, to trzeba. Miałem jechać pojutrze, ale brygadier postanowił, żeby to zaraz załatwić, więc zabieram się natychmiast do przygotowań, bo już 9.00 [wieczorem], a chciałbym jak najszybciej wyjechać.

Pozałatwiawszy przygotowania do drogi, położyłem się wcześniej, żeby się wyspać, ale poprzychodzili mieszkańcy naszej willi i takie szopy zaczęliśmy robić, że nam na śmiechu zeszło do [godziny] 1.00. Uciszyliśmy się w końcu, ale spać nam nie dano, bo zaczęło strzelać tak gwałtownie, jakby jaki napad miał być. Ponieważ wali i artyleria, wyszedłem więc na pole, wymiarkować, co się dzieje; na całym naszym froncie strzela piechota, tak jak na najprawdziwszej wojnie. Artyleria sąsiedniej dywizji wtóruje jak wariat, na żaden jednak sposób nie mogę odróżnić moskiewskich strzałów. Ponieważ mi z tym wygodniej, więc przyszedłem do przekonania, aby najlepiej iść spać; nie uspokoili się atoli towarzysze i co chwilę któryś wychodzi słuchać. Jak się okazało, stanęło na moim, bo żadnego niebezpieczeństwa nie było, i można było całkiem spokojnie zostać w łóżku (czyt[aj:] w barłogu), co też najdokładniej aż do samego rana wykonywałem.

12 Konie gotowe, kanonierzy też, załatwiam tylko potrzebne formalności papierowe i jestem gotów do odjazdu. Wyłania się kwestia, czy mam jechać konno, czy wózkiem, aż nareszcie zdecydowano to ostatnie i o 9.00 wyjeżdżamy. Droga ciężka, zwłaszcza z Przegini do Lgoty; bez żadnego wypadku ją mijamy, z Lgoty zaś zaczyna się dobry gościniec,

z błotem. Sprzykrzyło mi się na wózku, więc się przesiadłem na konia i na nim już do samego miasta zajechałem. Zocha narobiła piekła, i zabrałem Władka na kolej. Udało się nam załadować konie prawie natychmiast, dzięki uprzejmości tych panów urzędników. Poszliśmy z Władkiem na obiad do restauracji, gdzie (o dziwo!) spotykam naszego dywizjonera, który już od wtorku jest na urlopie. Zdziwił się i ucieszył, bo go uspokoiłem, że na froncie nic nowego nie zaszło. Zjedliśmy obiad i wio do Chrzanowa, bo chcę pozakupywać różne rzeczy, o które mnie proszono, a głównie dostać spyży^a dla koni. Po wielkich trudach udało mi się wydębić [dwa] wózki owsa, ale nic więcej. Pokupowałem, co potrzeba było i wróciliśmy do Trzebini, instrukcje chłopom dałem. Reszta wieczoru w domu na opowiadaniach, i spać.

^a Paszy.

^b *Dopisek
autora:
Niedziela.*

13 ^b Piellesze! Wstałem o 11.00 – i przyszła mi końska myśl, aby pojechać do Jaworzna; jak się okazało, prawie niemożliwe to do przeprowadzenia, naraziłem się tylko na gniew Zosi – i o 2.00 pojechałem do „domu”, wracając z drogi, bo zapomniałem wziąć to, co kupiłem w Chrzanowie. Ostatecznie opuściłem Trzebinę nieco po 2.00, dobrze szła cała droga, aż dopiero w Gorenicach zatrzymano mnie, bo drogę jakimiś wozami zapchano. Jak się już dobrze ściemniło, ruszyliśmy dalej i dopiero się zaczęło błędzenie, bo drogi żadnej nie ma, jedzie się tylko polami. Na szczęście, kupiłem tę latarkę w Chrzanowie i jakoś świecąc trafiłem do „domu”. Ucieszyli się bardzo, że tak rychło wróciłem, bo spodziewano się mnie za jakieś dwa dni. Zmęczony i niezdrów jestem, a tu dziś w nocy służba; trzyma ją jednak za mnie podoficer, a ja walę spać, bo ledwie żyję.

14 Doręczono mi kartki z Krakowa, zapytujące, co się ze mną dzieje. Ładna historia, jeżeli moja poczta nie dochodzi; pocztowiec mnie objaśnia, że mało jest w Kr[akowie] urzędników, i poczta zapewne leży nierozsortowana. Swoją drogą, piszę na uspokojenie kartkę. Weislak także. Zły na siebie jestem, bo gdybym był się mądrze wziął do rzeczy, mógłbym być w Krakowie, w Jaworznie i diabli wiedzą, gdzie! Ale fujara! Odtransportowałem dziś Johna do sanitetów, jutro go odwieżą do szpitala, bo mu coraz gorzej i prawdopodobnie ma tyfus. Żal mi chłopca, ale mu nic innego nie mogę poradzić. Myślałem, że mu się polepszy, jak trochę poleży, ale po [sześciu] dniach jest gorzej, więc musiałem go oddać.

Głupawo reszta dnia przechodzi. Wieczorem dałem mata Sekl. i wyrobiłem sobie tym samym opinię wielkiego szachisty; taki to już naród! W nocy budzono adiutanta, nie wiem jednak po co, bo się nakryłem razem z głową i za nic w świecie nie byłbym wstał. Boli mnie noga, w którą mnie koń kopnął, urozmaicam więc sobie sen przeklinaniem na różne sposoby, jak się tylko obudzę.

15 Biegam sobie jak młodzieniaszek dwa razy do haubic, zaraz z rana; zmokłem przy tym przedsięwzięciu, bo deszcz pada. Piszę kartkę do I[reny] i boję się, że jej znowu nie dostanie. Jakiś dziwny nastrój, i coś się święci; dowiedziałem się za chwilę, że ani jednego Moskala nie ma na całej linii, bo wszyscy w nocy uciekli; dzieje się to na skutek zwycięstw Hindenburga⁴⁰, który im tam znowu skórę przetrzepał, tak że pewnie i z Galicji przynajmniej poza San będą musieli wyrwać. Chwała Bogu. Przyszedł dziś nowy mój służący, wcale gryfny^a chłopak. Jutro odchodzimy naprzód, przygotowanie do odmarszu. [Leutnant] Jas. chce wysłać konie

^a Ładny (galicyzm).

do domu, wydebił więc [ode] mnie list do Władka, o pomoc. Wujciowi Stasiowi musiałem wyrysować jego wilę z zewnątrz i wewnątrz. Jakoś mi żal, że się od Krakowa oddalamy – od Ciebie Iruś! Z pocztą będzie coraz gorzej! Dziśszym rozkazem zabroniono pisania dzienników.

16 Marsz przez Sułoszową – Wielmożę – do Wysocic; przez pobożowisko, wyglądające strasznie, niektóre ciała leżą od trzech tygodni nie pogrzebane. Wszystko dookoła zniszczone, ludzie w domach pozabijani – dzieci, kobiety. Zresztą marsz przyjemny, bo dzień nadzwyczaj ciepły i pogodny; ciągle przyprowadzają po parunastu Moskali. W Wysocicach kwatery we dworze i na plebanii; mieszkamy w domu, gdzie był rosyjski szpital. Obiad o 5.00, po czym się kładę spać, bo mam wstawać do rozkazu, więc niech się zdrzemnę. Okropne sny mnie w nocy prześladowają, przypisuję to zmęczeniu; zdrow dosyć jestem. Ciekawe dokąd znowu jutro pójdziemy.

17 Wydali rozkaz dopiero o 5.00 rano – o dziwo! nasz korpus ma iść do Krakowa; o 9.00 odmarsz, ale doczekać się go nie mogę. Zobaczę Cię, Iruś! Co tu więcej mówić! – Szczodrkowice – Wilczkowice... – p. Ter. Żdanowski.

18 „Przyszedeł Zik – taki mój – kochany, i nie mogłam przywitać go tak jak bym była chciała. Tak się rwie serce do Zika, ale na razie nie wolno. Może później, kiedy wróci z wojenki, będzie dobrze i kochanie i wesoło. Kochany Ziku – kochaj tak jak kocha Zika – Żaba. Może, może będzie tak jak Żaba chce – ale czy wtedy Zik nie pokaże fotografii innej Żaby?”.

19 „Co Zik napisze poniżej? Dzisiejszego ranka nie zapomnę, póki życia. To pierwszy ranek szczęśliwy w życiu moim. Będzie – musi być ranek jeszcze, jeszcze” – i pojechać trzeba było – z żalem, tylko nie po łzach do szczęścia! Ha! Panie Kazimierzu, trzeba dać spokój. Żal, dziewczys! Ale jakkolwiek jest, szczęścia nikomu psuć nie chcę! Tym bardziej, że można łatwo nie wrócić. Hej! Śmieszne to życie! Ale go żal, jakoś bardzo żal.

20 Jedziemy ciągle, nawet się nie zajmuję, w jakim kierunku. Przespałem kolację w Boguminie^a, ale wujaszek ratuje sytuację – obiad w Iglö^b – podwieczorek w Koszycach, gdzie także spotykamy cały pociąg rannych. Gramy po drodze w karty, bo się już można urwać z nudów; podobno jedziemy na Mezölaborcz^c, i mamy tam w nocy przybyć.

21 8.30, my jeszcze stoimy w Nagymihaly^d, i diabli wiedzą, jak długo będziemy się jeszcze ciągnęli. Co godzinę łzyczkę – ciągniemy się jak z gipsem; trzeci dzień w pociągu, to się już chyba urwać można. Gramy w taroka^{e41}, bo nic a nic innego wymyśleć nie można. Wieczorem obiecuje Chromy, że około 8.00 będziemy na miejscu. Na jakim miejscu? Nie wiem. Ogromnie mi czegoś żal; gdyby można było, płakałbym! Nie wiem co mi jest – wiem za to, dlaczego mi tak niewyraźnie. Czy to kara boska? Czy ja co w życiu złego zrobiłem, że nie mogę mieć spokoju? Psiakrew! Nieszczęśliwe szczęście! Ale trzeba nerwy trzymać w garści i nie myśleć za dużo, bo nie poradzisz Kaziku! Głową muru nie przebijesz!

22 Cała noc zesłała jeszcze w pociąg na kiepskim spaniu, bośmy czekali na obiecywane wysiadanie. Popsute tory i mo-

^a Bogumin na Śląsku Cieszyńskim.

^b Nowa Wieś Spiska.

^c Medzilaborce.

^d Michalovce.

^e W oryginalnej w taroki.

sty kolejowe przyhamowały nas tak, że dopiero koło 3.00 przybywamy do Mezölaborcz, naszej końcowej stacji, gdzie nareszcie opuszczamy wagony; 71 godzin w pociągu! Całuję rączki! Coś niecoś przetrąciliśmy, i maszerujemy do Vidrany, gdzie zostajemy na noc, wyrzuciwszy zakwaterowaną w szkole kompanię kolejową. Wszystko tak zniszczone, że ani zamarzyć o garści słomy! Przy obiedzie opowiada miejscowy ksiądz (Węgier) okropności o kozakach. Żadnego rozkazu, żadnej roboty, rozstrojony jestem, że każdy nerw czuję i sprawy sobie zdać nie mogę, co za powód tego właściwie? Hej! Lepiej nie myśleć! Te łzy! Po nich do szczęścia? Nie! Nie chcę, na rany boskie, nie chcę!

23 Zbudzili mnie o 1.30 w nocy, kazali siodłać konia. Za chwilę się rozmyślili, wsadzili do automobilu, i jazda z rozkazami do Mezölaborcz; było też to szukanie! Zabłociłem się tak, że sam się poznać nie mogę. Cała noc zesła mi na tych wściekłych dyspozycjach; wracając spotkałem dywizję już w marszu, nie zdążyłem więc już zjeść śniadania, tylko się z auta przesiadłem na konia, i jazda. Błoto takie, że już zamykam oczy i niech się dzieje, co chce! Przybywamy do Habury, gdzie dyspozycje – spotykamy КТД^a, która była teraz w bitwie, i trochę na tym ucierpiała, jak zwykle nic zresztą nie działałwszy. Ponieważ najbliższa wieś, gdzie mieliśmy jechać, spalona, zostajemy więc w Haburze na noc. Kwatera w szkole, pożał się Boże! Ale przynajmniej sobie buty wysuszę. Jeśli się aura nie poprawi, to nam na tym deszczu konie wyzdychają, nie licząc ludzi, którzy daleko nie zajdą. Nie pamiętam grudnia z taką pogodą; ale bo to już cały ten rok jakiś niesamowity! Nawet idei nie ma o porzucenie! Pisałoby się, ale nie można, Ziku! Powiem sobie i ja

^a *Kavallerie
Truppen-
division
(niem.)
dywizja
kawalerii.*



Jeden z pierwszych transportów rannych
z frontu wschodniego, wrzesień 1914 r.

„nie można”, chociaż szkoda pięknych dni – niezapomnianych dni! A zapomnieć trzeba!

^a Nagy-
csertesz,
tj. Čertižne.

24 Przepiękny grudzień! Deszcz padał całą noc, a teraz rosi kapuśniaczek; jeszcze mi z wczorajszej wody buty nie obeschły, a już trzeba je naciągać. Maszerujemy przez Nagycserbesz^a, ku galicyjskiej granicy. Nagycserbesz całe spalone – jedno zgliszcza. Błoto wszędzie takie, że się ludzi tylko odróżnia po tym, że się ruszają – szosa jednak dobra; mimo woli ochlapujemy się wzajemnie błotem, które przylepiając się do obuwia mrozi nogi (poetycznie: „krew w żyłach”). Przez Czeremchę–Lipowiec, przychodzimy do Jaślisk, gdzie dyspozycja; zastajemy tu 7. KTD ze strasznie przyjemnym generałem, żegnającym mnie jak brata, że się płakać chciał. 24. ITD^b była już w ogniu, my zaś zaczniemy dopiero jutro, jak się zupełnie do kupy zejdziemy, bo część dywizji jeszcze w pociągach. Kawaleria cała fucz!

^b Infanterie
Truppen-
division
(niem.)
dywizja
piechoty.

Z Jaślisk walimy na kwatery do Posady Jaśliskiej, do klasztoru, i to żeńskiego. Jeszcze nigdzie się tak nie naużerałem o stajnie, jak z tymi zakonnicami; co za baby! Roztasowaliśmy się w końcu w tym klasztorze – nie pomogła klauzura. Wieczorem zaprzęgają mnie do ubierania drzewka, które wypadło znakomicie; sama kolacja jednak do bani, bo nie ma tego nastroju, jak u nas. Opłatkiem podzieliłem się tylko z wujaszkiem. Myślami jestem gdzie indziej, daleko od wojny, a tu przychodzą wiadomości, że w nocy możemy być alarmowani, jednym słowem, te święta całkiem nam się nie udały. Ludzie urządzają sobie po kwatach Wilię i zapraszają nas, ale idzie tylko wujaszek, bo ja jestem niezdrów, a oprócz tego muszę być na miejscu, ze względu na rozkaz, który może być lada chwila wydany. Tak

mi jest jakoś dziwnie, że wysiedzieć przy stole nie mogłem, tylko uciekłem na słomę rozmyślać; bez nikogo ten wieczór! Włócz się człowiecze jak pies, bez końca; na jutro zapowiedziana bitwa, czekam, co będzie w rozkazie.

25 Cała noc zeszła mi na ciągłym wstawaniu i kładzeniu się, bo tacy wszyscy niespokojni, jakby się co stać miało. Rozkaz wydali dopiero o 6.00 rano – na razie tu zostajemy. Smutny dzień – smutne święta! Niedługo się nad jakością świąt zastanawiałem, bo mnie posłali na front. Takiej drogi jeszcze podczas całej wojny nie miałem, i że cały wróciłem, zawdzięczam to tylko kobylej inteligencji, na której instynkt zdałem się w zupełności. I każą artylerii w tych warunkach wojować! Dostać się na stanowisko nie można, a jak droga uciążliwa, dowodem tego wypadek w 2. Baterii, gdzie jedna armata razem z zaprzęgiem spadła z góry do potoku. Na skutek mojego opisu, odwołują resztę artylerii z drogi na górę przy Szklarach i dyrygują na szosę Jaśliska – Królik Wołoski, dokąd też ma się dziś udać komenda dywizji.

Ponieważ jednak rozpoczęty rano atak nie posuwa się tak rażno naprzód, jakby sobie tego życzano, i jak przypuszczano, więc i komenda zostaje jeszcze dziś w Jaśliskach, a według moich obliczeń zostanie zapewne i dłużej; o ile nie cofniemy się. Zmęczony, głodny i zblocony wróciłem wieczorem do dywizji i po zjedzeniu obiadu wypoczywam patrząc w okno; zaczepiają mnie, że się kocham, bo jestem zamysłony, ale cóż im poradzę, kiedy nie mam ochoty do rozmowy ani do śmiechu; czy to taki świąteczny nastrój? Czy też tak będzie zawsze? Żałuję, że te dni musi się spędzić samemu, ale żal i innych – żal! Bo nic wesołego, tak się włóczyć i tułać, bez żadnego zresztą przekonania i bez żadnej

idei; gonią cię z miejsca na miejsce, a ty musisz swoją wolę podatną wszystkiemu robić. Hej – już całkiem swojej woli nie można mieć ani teraz, ani później!

26 Cofamy się, dlaczego? Po co? Diabli wiedzą, ale się cofamy. Wprawdzie niedaleko, bo tylko parę kilometrów – zajmujemy nową linię obronną – ale dlaczego się to dzieje, nie mam zielonego pojęcia. Złapali paru Moskali, ale już samą zbieraninę jakichś pospolitaków i innych włóczykiów, pytanie więc, czy dużo jest przed nami regularnego wojska. Wieś, w której stoimy nazywa się Czeremcha, ale niczym tej szlachetnej rośliny nie przypomina, owszem, odznacza się wprost przeciwnym zapachem. Kwatery – pod psem – nie do opisania; w izbie, którą zająłem razem z wujaszkiem, znajdują się równocześnie trzy rodziny spalonych sąsiadów, składające się z parunastu bab, tyluż chłopów, oraz kilkudziesięciu sztuk niewrzeszczących i kilku wrzeszczących dzieci. Razem około 72 głów, wszyscy w jednej izbie, z jednym nieotwierającym się oknem, żeby przypadkiem nie naszło trochę świeżego powietrza. Cała dywizja mieści się coś w czterech domach, które się jeszcze zostały po spaleniu wsi. Nie ma co z sobą zrobić, uciekłem więc do naszego przybytku, siadłem na ławie i patrząc przez okno na tę psią pogodę przemyśliam nad znikomością tego żywota i tych świąt; taki psiakrew nastrój, że niech to diabli porwą! Zły jestem, ale jakoś mi się chce płakać ze złości bardziej, aniżeli kląć, bo jakoś sam siebie zrozumieć nie mogę. Dlaczego ja się z tego dziwnego stanu otrząsnąć nie mogę? W nocy wstawałem parę razy o rozkaz, który wydano dopiero nad ranem; w nocy również, aby spokój nie był zbyt monotonnym, wydzierały się raki zatracone i inne niemowlęta.

27 ^aPo świętach! Przyjemne dni minęły jak z bicia trzask. Dopiero około południa miałem czas [na] uzmysłowienie sobie, że to już po świętach; miałem bowiem dosyć do czynienia, jako że zostaliśmy w onej Czeremsze i robimy atak; naturalnie, w takich momentach spokoju ani chwili. Ogólnie zdeprymowani jesteśmy tutejszymi kwaterami, siedzimy więc wszyscy z rozpaczą w kuchni, a raczej koło kuchni, i pomimo że niedaleko strzelają, decydujemy się na zawarcie pokoju. Po południu przyprowadzono z sąsiedniej wsi Nagycsertesz chłopca, który swojego czasu zabił austriackiego żołnierza, a obecnie złapany chciał sobie podciąć gardło. Pomogli mu do przespacerowania na tamten świat, bo natychmiast odbył się sąd doraźny i za kwadrans już chłopina wisiał na gałęzi. Cała egzekucja przy ponurej pogodzie wyglądała strasznie, ale w końcu przyzwyczajają się teraz człowiek do różnych groźnych widoków. Śnieg zaczął padać takimi dużymi płatami, że nie pomogło nawet metrowe błoto, i za godzinę całkiem biało się uczyniło – przecież przynajmniej to jedno! Może się chociaż pogoda poprawi, bo inaczej się człowiek chyba wścieknie! Właściwie dlaczego dziś rano nie wysłałem pocztę?

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

28 Nakazano od rana być w gotowości do odmarszu, i stało się też tak jak kazano; mamy zamiar posunąć się naprzód, pomimo że przeciwnik jest dosyć blisko. Pomimo że błoto ze śniegiem utworzyło nad wyraz bajeczną bryłę, pogoda jest piękna i przepiękny krajobraz. Zapomniałem bowiem dotychczas, że jesteśmy w górach, i że właściwie należałoby rozdziawiwszy głębę podziwiać cuda natury. Dotychczas nie było jednak czasu ani ochoty na tę procedurę. I dlatego dosyć skwapliwie korzystam z nadarzającej się sposob-

ności odbycia spaceru w towarzystwie Zygmunta, idącego kontrolować wedety⁴² na sąsiednią górę.

Całkiem pojedynczo dopuściłem się dezercji, bo nie mówiąc nic nikomu poszedłem sobie na spacer; poszedł z nami nieoceniony Sandig w nowych kaloszach i ten styryjski hrabia z aparatem. Przepięknie było po drodze i napatrzeć się nie mogliśmy, takie cuda ten śnieg porobił. Obok cudów porobił wspomniany hrabia zdjęcia, do których myśmy znowu porobili odpowiednie miny; porozdawałem na gorze wojsku papierosy i wróciliśmy do dywizji, gdzie znowu będziemy pędzili żywot bez poezji, a Sandig i bez kaloszy, bowiem się mu po drodze, pomimo nowości, całkiem podarły. Smakował obiad, aż miło, ale dali strawić spokojnie, bo przyszedł z korpusu rozkaz do odwrotu; co ten rozkaz spowodowało, nie wiem. Zabieramy się powoli do drogi, aż tu zaraz grzmot za grzmotem i w niedalekiej od nas odległości wsypali coś 16 ekrazytowych granatów; prześliczny i groźny widok tych eksplozji; i znowu bohaterzy-Bośniacy; cały ich batalion cofnął się bez rozkazu – co to cofnął – w popłochu uciekł, aż się ekselenc wściekł. W godzinę potem odmaszerowaliśmy przez Nagycsertesz – Laborczfö^a do Mezölaborcz. Nastąpił przystanek w Laborczfö, dla wydania dyspozycji, na którą czekając miałem czas do rozmyślań nad okropnością położenia przemoczonych nóg. Około 9.00 przybyliśmy do Mezölaborcz, zaś o 12.00 już spałem. Budzono mnie, nie mniej ani więcej, tylko 7 razy, po to, abym się za każdym razem przekonał, że rozkazu jeszcze nie ma.

^a Miejscowość Habura.

29 W następstwie niespokojnej nocy spałem aż do 7.30 i zaraz doznałem przyjemności aresztowania dwóch huzarów, którzy jednego z moich żołnierzy chcieli podobno wczo-

raj bić. Naturalnie, historia nie była tak straszna, za jaką ją uznałem, ale trzeba było drabom trochę strachu napędzić. Pogoda znowu pod psem albo zgoła pod dwoma psami. Uganiam pomimo tego cały dzień bez płaszcza, bo mi to jakoś poręczniej. Późno pod wieczór odbyłem się^a dopiero z robotą i mogłem mniej więcej odsapnąć. Niezbyt przyjemne wieści dolatują, mianowicie, że przeciw nam stoi pięć nieprzyjacielskich dywizji; prawdopodobnie cofniemy się znowu, ciekawym tylko kiedy i dokąd. Na ogół małe utarczki odbywały się dzisiaj, tak że nawet artyleria udziału w nich nie brała. Przyprawiono wieczorem jeńców, znowu jak poprzednio zbiedniałych i zziębniętych, że aż człowiek zapomina o całej złości do nich. Uciekłem z kolacji z myślą, że będę dużo pisał, ale rychło zorientowałem się, że to już nie można!

^a Uporałem się.

30 Zostajemy w Mezölaborcz; dywizja stoi w miejscu, wysławszy całą artylerię w tył – zluzowały ją kanony 30.⁴³ z komendantem płk. Grandowskim; skutkiem tego nie ma prawie nic do roboty, bo on całą sprawę referuje razem ze swoim adiutantem. Pogoda taka, że się urwać można, ogólne zadowolenie wywołuje więc propozycja taroka, którego rzniemy, aż do obiadu. Po obiedzie zabieramy się znowu do kart i tak przechodzi cały dzień na pobożnych uczynkach. Przy kolacji wydarzył się mały debakel^b, mianowicie z gośćmi, którzy niepowołani zbyt skwapliwie cisnęli się do stołu, i w następstwie tego zostali wyeliminowani z towarzystwa; co prawda, miałem nieco lepsze pojęcie o towarzyskości ludzi przy wojsku i dlatego zdziwiła mnie forma, w jakiej im zwrócono uwagę na wychowanie etc. Skutek był ten, że się wszyscy wparantowali do pokoju zajmowanego

^b Tu w znaczeniu: zatarg.

przez nas i tak nakurzyli cygarami, że na nic się zdały zabiegi ordynansów, mające na celu ogrzanie mieszkania, bo trzeba było go na nowo wietrzyć. Siedziało to towarzystwo dłużej, [niż] do 10.00, ku okrutnemu naszemu niezadowoleniu, specjalnie zaś mojemu, bo chciałem trochę odpocząć, bowiem muszę w nocy wstawać, jako że mam służbę. Około 12.00 wydano dopiero rozkaz – sytuacja się polepszyła, konie od rana mają być siodłane, jest bowiem zamiar, że pójdziemy naprzód.

31 Trochę przymarzło, ale tak nieznacznie, że błoto będzie znowu takie samo jak wczoraj. Rozdzielamy podarki noworoczne, które kupił Weislak swoim ludziom jeszcze w Krakowie; żałuję, że tego samego dla moich chłopów nie zrobiłem, ale w całym tym Krakowie chodziłem bez głowy. Po obiedzie położyłem się ze złości, że znowu się do nas goście wtaranbawili, ale niedługo się należałem, bo dali awizo do odmarszu. Przygotowaliśmy się do tej ważnej czynności strategicznej i o 4.00 dywizja odeszła, zostawiając mnie przy telefonie, na wypadek, gdyby nasza artyleria czego potrzebowała.

Spotkałem dziś Julka Jeża, będącego jeszcze kapralem, i twierdzącego z całym swoim spokojem, że zajęcie przywiązane do tej szarży jest do bani. Baltinester i Rybotycki zostali kadetami – świat się kończy! – około 5.00 spakowali telefon, nie mam więc co więcej tu do czynienia, zabieram Wróbla i walimy za dywizją. Po drodze przyczepia się jakiś kapitan ze sztabu komendy armii, ale jest taki w rozmowie przyjemny, że rychło rezygnuję z jego towarzystwa, twierdząc, że mi się spieszy. W Laborczfö, gdzie dziś stoimy, pewne trudności z kwaterami, ale w końcu, po cięż-

kich cierpieniach, przyjął mnie wujaszek do siebie. Wrócił dziś 40. Pułk, czasowo przydzielony do 24. Dywizji; ledwie poznać, że to ludzie, tacy zbłoceni, zgłodniałi i zziębnięci; poszło ich 2400, wróciło 800. Jedyny pułk, który się nigdy nie cofa. Przy kolacji robi się heca z tombolą^a, urządzaną przez prowiantowego oficera, nb. za nasze pieniądze. Wygrywają różne rzeczy – mnie się dostaje portfel, nawet dosyć ładny; później nastąpiło jakieś gorące pijaństwo, skutkiem czego humory się zaróżowiły, ale im bardziej wesoło, tym bardziej mi smutno. Nie wiem dlaczego, ale nie czekam ze wszystkimi na Nowy Rok, tylko uciekam na kwatery i tracę czas na rozmyślaniach. Do siego roku wszystkim!

^a Zabawa połączona z loterią fantową.

Styczeń [1915]

1 Jakoś się świątecznie zrobiło i odmiennie, jak w roku starym, choćby przez to samo, że trochę zamarzło, nie ma tego do rozpacy doprowadzającego błota, i można się przejść parę kroków nie zawalawszy się po uszy. Dla podniesienia nastroju świątecznego mieszkańcy naszej kwatery poddają się wszyscy małej operacji golenia, której dokonuje nadworny fryzjer Wassermann, *recte*^b Grünbaum. Ludzie dostają herbatę z rumem i pięciodniowy żołd za darmo, zimno w nogi nie bardzo, cykoria z mlekiem na śniadanie, jednym słowem, święto na całej linii. Do tego wszystkiego, wczorajszy atak wstrzymano, o nieprzyjacielu przychylne wieści, wojsko mniej więcej odpoczywa, nowy rok zaczyna się jak z płatka. Wprawdzie konie nasiodłane znowu stoją w gotowości, ale pomimo tego wszyscy są przekonani, że zostajemy na miejscu, szczególnie że nam kwatery wcale do smaku przypadły.

^b Właściwie (łac.).

Gremialnie zabieramy się do wysyłania poczty noworocznej, bowiem przyrzeczono, że ją odeślą. Ja wypisuję 5 kartek na wszystkie strony świata, prognostyk, że w tym roku będę dużo korespondował. Do I[reny] nie piszę, za to – jak sobie tego życzyła – do Ady. W chwili, kiedy to piszę rozgrywa się przed oknem scena identyczna z pogrzebem, tylko tym razem reprezentuje nieboszczyka krowa, poza tym akcesoria te same, co na pogrzebie, tj. płacząca rodzina, obcierające nosy kumoszki, widzowie, tłum etc. Równocześnie skonstatowałem w pokoju anormalną ilość myszy, ale ponieważ obserwowanie tych zwierząt nie potrafi mnie w zupełności zaabsorbować, więc rezygnuję z tego, i idę na obiad. Tak sobie przy stole życzymy Nowego Roku, jakbyśmy się z 10 lat nie widzieli. Nic mnie jakoś nie cieszy – ani nie rozmawiam, ani głupstw jak zawsze robić mi się nie chce – jednym słowem, nie poznaję się. Po południu gramy w karty, aż do kolacji; po kolacji, aż do 1.00 w nocy. Jedyne kochane zajęcie, na którym człowiekowi czas bezmyślnie schodzi. Po 2.00 obudzono mnie do rozkazu, reszta nocy zeszła spokojnie.

2 Zostaliśmy w miejscu, i to w takim sposobie, jakbyśmy mieli zamiar na stałe się tu urządzić. Korzystam z tego w pierwszej linii w ten sposób, że leżę do 8.00, i do tego namyślam się, czy wstać. W końcu jednak, wobec ogólnego ruchu w naszej izbie, zawstydzony swoim lenistwem, zaczynam się ubierać. Pogoda znośna, ale jak na złość, nie ma znowu nic do roboty; robię więc tylko wizytę koniom oraz mały spacerek za rzekę, w okolice mi nieznane. Naturalnie że zaraz potem zaczyna się tarok, bo bezrobocie jest ogólne i wielmożni panowie się nudzą; i znowu prawie cały dzień

schodzi na kartach – chyba się człowiekowi wściec przyjdzie! Dopiero pod wieczór zaczyna się krzątania i gorąca robota, bowiem na jutro jest planowany atak, mający na celu wyrzucenie nieprzyjaciela z ważnej pozycji, wsi Jasiel.

Z tej też racji mam przerwana kolację, bo muszę od stołu wstać i walić z dyspozycjami do komendanta 2. Dywizji haubic – a ponieważ jest noc, a oprócz tego ja tego pana jeszcze w życiu nie widziałem – więc ono poszukiwanie bardzo mi się nie uśmiecha. Ponieważ jednak jest się już tak długo w polu, więc się też u człowieka wyrobił już pewien zmysł poszukiwawczy, jakiś psi węch, który i tym razem nie zawiodł. Odszukałem żadanego pana w jakiejś chałupie, śpiącego w towarzystwie kilku rodziny; zadowolony z siebie wracałem do domu, ale dobre usposobienie psuły te przykre myśli, od których się opędzić nie można. Dlaczego człowiek cierpi czasem nierównie? Po co istnieją w ogóle jakiekolwiek uczucia? Czy po to, że gdy się człowiek na nie zdej-
je, całkiem i wyłącznie miał być od nich zależny?

3 ^aPlanowany na dziś atak zaczyna utykać na samym początku; nie składa się tak dokładnie wszystko, jak to było dyspozycją objęte. Wyjeżdżam wysłany w pole z rozkazem do haubic, które udaje mi się dosyć prędko znaleźć, pomimo mgły, wykluczającej zupełnie przejrzenie terenu. Skutkiem tej samej mgły, a co za tym idzie zdwojonej ostrożności, atak na całym froncie posuwa się bardzo powoli naprzód. I znowu okazuje się przebiegłość i ostrożność Moskali, nie puszczających się nigdy na niepewne; nie mogąc bowiem skutkiem pogody ocenić naszej siły, cofnęli się, opróżniając swoje stanowiska (Jasiel). Artyleria zupełnie działać nie może, chociaż każda bateria na kilometr i dalej wysłała swo-

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

jego obserwatora, ale i ten nie pomoże, gdy mgła taka, że na 20 kroków nic nie widać; przyprowadzają ciągle po kilku lub kilkunastu jeńców.

Po południu wytwarza się nastrój pełen oczekiwania, bo nikt nie może przewidzieć skutków dzisiejszego ataku. Naturalnie, mieszkańcom naszej kwatery (do których się i ja zaliczam) nic nie przeszkadza w codziennej partii – łapiemy więc znowu, aż do kolacji. Nastrój przy stole jak w niebie, a to skutkiem Żelaznych Krzyżów, które podostawiali wszyscy oficerowie generalnego sztabu, także i nasz adiutant; między nielicznymi tym samym krzyżem dekorowanymi artylerzystami znajduje się i mój Rusinko, swojego czasu odznaczony już Srebrnym Medalem. Bardzo się z tego cieszę, że za swoją pocztową pracowitość już dwa razy jest odznaczony. Wesole usposobienie przy stole w niczym mi się nie udziela; myślę o krzyżu, który położyłem, który musiałem położyć, na moich snach, marzeniach, na moim szczęściu!

4 Dalszy ciąg tej wczorajszej wścieklej pogody; z jakąś rozpaczliwą złością brnę po błocie, jak gdyby mnie to miało uspokoić i zrównoważyć; zamiast tego przychodzi refleksja, że oddawanie się zdenerwowaniu do niczego nie doprowadzi. Na szczęście, wysyłają mnie znowu w pole, otrząsnąłem się więc nieco z tego przykrego stanu. Ktoś to mówił: „Był w pole, a wiatr smutki wywieje!”. Hej! Nie wywieje, a tylko napędzi cały bezmiar, przestwór tęsknoty, wypełni człowieka żalem, żalem gorzkim, jak lzy, którym płynąć nie wolno! Hej! Gdzie te chwile marzeń i oczekiwania! Gdzie ten promień, rozjaśniający szarzyznę życia! Pustka! A tylu ludzi, tyle serc naokoło i tyle przy nich bezduszości! Żyj człowiecze! Masz dane po temu, śpisz, jeśli ci dają, młody je-

steś, zdrów i czego ci jeszcze potrzeba? Ironio! I czego, czego jeszcze?

5 Sytuacja taka jak przedwczoraj rano. Rozwidniło się troszkę, zdążyli już więc Moskale zająć na nowo opróżnione poprzednio pozycje. Stoimy ugrupowani tak samo jak dwa dni temu. W ciągu dnia rozwija się dla odmiany atak moskiewski; przypuszczają, że chcą nas trochę nastraszyć, abyśmy jakiś czas cicho siedzieli, jako że jutro zaczynają się ruskie święta. Na niepewności i oczekiwaniu konkretnych wiadomości upływa dzień. Po południu jak zwykle karty; gramy jak zawodowi szulerzy, bo też i nic dziwnego: w walkach [...], jakie się rozgrywają teraz niewiele bierze udział i niewiele ma do czynienia nasza paczka. Książek [tu] żadnych, pisać nie ma co, spacerować po błocie nie sposób, gapić się na osławione górskie cuda natury z jednego miejsca niewygodnie, bo łącznie w podeszwy zmarznąć można. Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko karty. Grają też oprócz nas wszyscy naokoło i na tym czas upływa.

Mnie ta zabawa dosyć drogo wypada, bo od czasu jak wsiedliśmy w Krakowie do pociągu, zdążyłem już przegrać ponad 300 K. Przyjechał wieczorem Szarski, po rozkaz, czekamy na niego obydwaj, gawędząc i popijając strapienia herbatą; zawsze jednaki. Po 12.00 wydają nareszcie rozkaz, z którego przede wszystkim dowiaduję się, że mamy nowego komendanta korpusu⁴⁴, poprzedni bowiem ustąpił, solidaryzując się z naszym dywizjonerem. Przygnębiony poszedłem spać, długo usnąć nie mogąc.

6 Obudzili mnie wiadomością, że koń mojego brygadiera jest zastrzelony przypadkowo; z tej racji protokoły i in-

ne diabły, gonienie po błocie i inne przyjemności zabierają mi czas do południa. Jakiś Bośniak nieostrożnie wyładowywał karabin i tak nieszczęśliwie wypalił, że konia [po trzech] minutach nie było. Żal mi bydlęcia, bo najlepszy i najładniejszy był ze wszystkich naszych koni; miałem przyjazny zamiar strzelić przypadkowo do tego Bośniaka, ale naturalnie [przepadł jak] kamień w wodę – nie do odszukania.

Przeprowadzamy dziś atak na nowo; okazało się, że zamysł ten złym nie był, bo już około południa mamy nałapanych ponad 100 wrogów z oficerem. U tego oficera byliśmy po południu z wujaszkiem, ale później żałowaliśmy tego, bo to kawon, jak rzadko, i niczym oficera nie przypominający. Mundur prawie w niczym się nie różniący od munduru u żołnierzy, ale też i gęba taka sama jak u nich, jeśli nie gorsza; przy tym [...] nieskomplikowana natura, obejście i ruchy pod psem, w ogóle chciałem mu poradzić, żeby się lepiej zastrzelił, aniżeli z takim pyskiem po bożym świecie się węszał. Nie chcąc sobie już zupełnie zepsuć humorów, poszliśmy na kwaterę i – czego zwyczaj – łupiemy w karty; jak dobrze pójdzie, to się ze mnie niedługo zawodowy szuler wyrobi. Uciekam wcześniej z kolacji, bo raz, że nie mając służby nie potrzebuję sterczeć tutaj na darmo, a po wtóre, że jakoś mi lepiej samemu. Nikt mi w myślach nie przeszkadza, a choć są przykre i żalu w nich pełno, coraz częściej im się oddaję. Tęsknota – żal pieśni przerwanej, a tylko zapomnienie nie przychodzi – i pewnie nie przyjdzie.

7 Czy to się ta pogoda nie odmieni, czy kiego diabła? Błoto i błoto ustawiczne, jeszcze się odzwyczaję od chodzenia w niezatapianych butach, i nie daj Boże wrócić z wojny, powiedzą na mnie cywilizowani ludzie, żem koń albo in-

ny mieszkaniac stajni. Wprawdzie dosyć często darzy mnie Zygmunt tym epitetem, w czym mu się zresztą dosyć skwapliwie rewanżuję, ale uważamy to obydwaj za wojenne żarty, wcale z człowieczeństwa nie rezygnując, zwłaszcza na czasy pokojowe, obecny bowiem żywot pędzimy bowiem równie jak konie bezmyślnie, tj. przeważnie na graniu w karty. Godzimy się więc obydwaj solidarnie, że albo niech się pogoda odmieni, albo niech to wszystko diabli wezmą, i chodźmy do domu. O ile to pierwsze jest możliwe, o tyle to drugie okazuje się niewykonalne, bo kwestia, gdzie właściwie ten dom. Debaty nad rozwiązaniem tego pytania przerywa ordynans, donoszący, że przyszedł transport jeńców; Zygmunt idzie więc do nich (ponad 5000, a ja do osobno umieszczonego, także dziś wziętego oficera, tym razem nadporucznika, Polaka. Czy Polaka, to pytanie, bo gość był okrutnie przejęty wielkością Rosji i ideą łączenia się z nią; zapytany oficjalnie, odmówił wszystkich odpowiedzi, zaś był przekonania, że Rosja absolutnie zwycięży z kolosalnymi naturalnie dla siebie sukcesami.

Zdeprimowała go wiadomość, że wczoraj wzięto także oficera, nie przypuszczał, że po południu przyprowadzą jeszcze jednego. W ogóle był szalenie zdenerwowany faktem, że jest w niewoli, do tego stopnia, że się ustawicznie trząsł i powtarzał w kółko, że to jest niemożliwe. Żał mi go było, bo jakkolwiek kwestionuję moralną jego wartość jako Polaka, to przyznać muszę, że było w nim wszystko, co jest prawdziwie żołnierskie – żał za swobodą i pogardą śmierci, jaką okazał. Nazywa się Grabowski. Jeńcy, z górą 400, trzy karabiny maszynowe, i do 500 zabitych, to wszystko sprawa czterdziestaków; kochane Mazury, ich tylko gdzie posłać, to się zawsze dzielnie spiszą. A bo nawet nasz sta-

ry mówi, że to najlepszy pułk w całej jego dywizji i obiecał wszystkim oficerów i mnóstwo ludzi dekorować, a to dużo znaczy uznanie takiego jak on żołnierza! Rozgorączkowałem się po południu, tak że nawet na kolację nie poszedłem, i służby nie mogłem robić, która dziś na mnie przypada. Spać nie mogę i zimno takie w tym naszym salonie, jakbyśmy tu mieli zamiar mrożone mięso przechowywać.

8 Wielmożny pan wstał sobie o 9.00, bo powiada, że chory, i przykrzy mu się leżeć. Zjawiłem się u Ditta, wybierającego się już w odwiedzinę, bo myślał, że się już naprawdę rozchoruję, i – jak powiada – przeląkł się o mnie. Dziękuję pięknie, ale powinien przecież wiedzieć, że złego diabli nie wezmą, chyba że u nich nie ma takiego przysłowia, bo on Niemiec. Ciągłe jeszcze przyprowadzają jeńców i korzystna sytuacja polepsza się z każdą chwilą. Nareszcie przyszli do przekonania, że lepiej bić pomału a dobrze, zamiast rozpędziwszy się palnąć głową w mur i dopiero sobie wtedy uzmysłowić, że to boli; żeby jeszcze to wściekle błoto zamarzło, czy co, to bym już zaczął na nowo nabierać przekonania do wojny. Jako rekonwalescentowi daje mi dziś Dittrich urlop, nic więc cały dzień nie czynię, tylko mi zimno w nogi, i to całe zajęcie. Znowu wczoraj wypłacili nam pensję. Po kolacji ofiarowuję się dobrowolnie czekać na rozkaz, twierdząc, że mi jest lepiej, co usłyszawszy wlepiono mi służbę telefoniczną i inspekcję, sam sobie więc jestem winien, że muszę sterceć do 3.00. Jeszcze w południe wlepiłem Kr. cztery maty, zyskując tym samym jego poważanie. W czasie służby boli mnie łeb coraz bardziej i gorączka na nowo; nareszcie mam urozmaicenie żywota! Gorączka, ból głowy i na odwrót.

9 Zerwał mnie rano przysłany ordynans, że mnie na gwałt potrzebują; nieumyty pędzę na złamanie karku, a tu okazuje się że Dit[trich] chce wiedzieć, co było we wczorajszym rozkazie, i dlatego po mnie posyłał. Zły byłem, bo jestem zupełnie niewyspany, a mogłoby się znakomicie obejść bez wczesnego zrywania mnie z legowiska. Z oburzenia zjadam śniadanie, przypatruję się chwilę czterdziestakom odchodzącym na front, aż wreszcie wracam na kwaterę i, ku ogromnemu zgorszeniu mojego Antoniego (następcy Johana), kładę się spać. Zapomniałem wczoraj dodać, że rozdawane były podarki świąteczne (*Liebesgaben*)⁴⁵ między ludzi i oficerów; myśmy podostawali jakiś likier i mydełka, ludzie przenajrozmaitsze rzeczy. Śmiesznie też i wesoło wyglądali dziś czterdziestacy, jak maszerując z właściwym sobie milczeniem taszczyli ten i ów rozmaite pakiety, flaszki etc. Spałem tak smacznie, że aż się spóźniłem na obiad; później naturalnie gramy w karty. Mam wrażenie, że się tu pomału urządza druga Przęginia i będziemy tu siedzieli tak długo, jak i tam. Lepiej jednak tam było, bo jakoś bliżej Krakowa, do którego się człowiek rwał po szczęście; stąd – żal tylko.

10 ^aPrześlupie to życie! Nie wiem, ale jak tak dłużej potrwa, to przyjdzie chyba gdzieś łeb rozwalić. Tyle sposobności już było do skręcenia gdzieś karku, a przecież się żyje, diabli wiedzą po co, bo nie wiem, co mnie na tym świecie jeszcze zajmować będzie? Chyba nie będę całe życie wzdychał, bo to do niczego nie prowadzące i można by się oprócz tego wściec parę razy. Ha! Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy! To ci pozostało; niech cię traktują jak mebel, pokazują duszę w obłokach, swoim własnym sercem dadzą się czasem pobawić, a ty nic – ty módl się i pracuj – gburze nie-

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

rozumiejący, „co to jest gra uczuć”! Parada! Psiakrew! Wystawa stanów duszy! Aktualne w czasie wojennym! Diabli mnie wezmą, czy co! Wieczorem czekam z jakimś porucznikiem na rozkaz do 12.30. Coraz więcej czasu mam na rozmyślanie nad upiększeniami tego żywota, ale żadna idea nie przychodzi mi do głowy. A przecież to w ludzkiej mocy urządzić sobie życie! Przecież teoretycznie, każdy jest sam twórcą swojego szczęścia, sam osobiście.

11 Dzień nieco mroźniejszy, jak poprzednie, trochę już zaczynam wierzyć w poprawienie się pogody, a co za tym idzie i humoru. Na razie łeb mnie znowu boli, żeby mi się przypadkiem bardzo nie przykrzyło. W każdym razie, przyszedłem do przekonania, że lepiej za dużo nie myśleć, i gramy znowu w karty; tak jestem w tych dniach usposobiony, że zgodziłbym się tak w dalszym ciągu pędzić żywot, jakkolwiek przy kartach nikt jeszcze prochu nie wynalazł; w ogóle mam wrażenie, że gdybym posiadał własność zapuszczania korzeni, to mógłby ze mnie wyrósć wcale okazały głąb. Idiotyczne życie, że mi się już nawet śmiać z niego nie chce.

12 Przymarzło co nieco, co wykorzystując, sypię do swojej baterii z wizytą. Kochane te nasze chłopaki! Nagadaliśmy się i naopowiadali całą kupę, przy czym i śmiechu była także ilość. Kopecki został kadetem, wszyscy reszta chorążymi. O! To już stara wiara! Paru osobnikom zdrowie nie dopisuje, ale to nic! Wróciwszy do domu, obstalowałem sobie buty; nie wiem jeszcze po co, bo mam całkiem dobre i nowe, ale to tak pewnie z nudów; może jak przyjdą, to się na złość wojna skończy i nie będą mi już całkiem potrzebne.

Chciał się do nas zakwaterować audytor – wścik się czy co? Zapytaliśmy obaj z Zygmuntem, bo już nas w tej izbie tak pełno, że jest zaledwie miejsca dosyć dla myszy, a i to nie zbytnio, bo ich jest milion. Czego zwyczaj, gramy w karty do kolacji. Od stołu wzywają mnie, aby iść do Bośniaków, zapytać się o parę sań, które oni już zdążyli zarekwirować, a które dla nas mają być przydatne, jako że wpadli na ideę wyciągania armat na górę za pomocą sań. Obiecał mi komendant b.h.4.^a, że się jutro te sanie pozbiera. Ciekawym tylko, jak to będzie z rozkładaniem armat, składaniem na nowo i w ogóle z całym transportem. Poroniony pomysł! Po rozkazie o 1.30 idę spać.

^a 4. Batalion Strzelców Bośniackich.

13 Tak samo jak wczoraj mroźno; siadłem na kobyłkę i pojechałem z końmi na spacer, próbując po drodze jakości konia, któregośmy dostali na miejsce nieboszczyka Kadiego. Naturalnie ani porównania z Kadim, bo kuc mały i drobi jak panienka, chociaż mu przyznać trzeba, że mocne i posłuszne bydlę. Wziąłem także ze sobą wózek, myśląc, że mi go przy baterii naprawią, ale że w całym pułku żadna kuźnia nie ma węgla, a Bacołek nic nie wymyślił, zawrócił więc nienaprawiony. Oprócz spaceru byłem jeszcze przed południem z wizytą u konisiów, kochanych bydlątek. Przy obiedzie zamawiają nas do jadalni na 3.00 godzinę, celem powitania nowego dywizjonera. Poubierani w szable, „w paradzie”, czekamy do 5.00., aż zamiast niego przyszedł dotychczasowy stary i pożegnał się z nami tak serdecznie, że aż wszystkim nie po żołniersku żal się zrobiło. Szkoda człowieka, bo to żołnierz z krwi i kości, a przy tym przełożony, jakich mało. Nie dziw też, że wszyscyśmy się do niego przywiązali, każdy go lubił, zarówno z oficerów, jak żołnier-

rzy. Być całe życie żołnierzem i nagle opuszczać wszystko też musi być przykro; nie dziw, że się staremu aż głos załamał, jak się z nami żegnał.

Około 7.00 przyjechał nowy generał⁴⁶ – o głowę niższy, szczupły, nerwowy – typ na oko całkiem od Lipa⁴⁷ różny. Znowu to samo przedstawienie z przedstawianiem, wezwanie do współdziałania etc. i wojnę wygramy, tylko dobrych chęci i tego – i to – panie bdiu! Jednym słowem, mały Napoleon, tylko naprawdę szkoda, że mały! Przy kolacji patrzyli na siebie jak rarogi, ignorując się wzajemnie, co się tylko jednemu z powodzeniem udawało. Wcześniej wydali rozkaz, w którym stary żegna dzielną drugą dywizję. Tak mi jakoś smutno, że nawet usnąć nie mogę, tylko patrzę bezmyślnie w sufit – i to ma się nazywać życie.

14 Już z gotowym bólem głowy wstałem rano; od jakiegoś czasu w ogóle mnie ta łbina poboliwa. Wysłałem przed południem pocztę, fakt od dwóch tygodni nie praktykowany. Myśleć już nie mogę, tak jakoś dziwnie znużony jestem. Po obiedzie głowa mnie jeszcze bardziej boli, bezmyślnie schodzi mi dzień, bo myślenie sprawia mi fizyczny ból. Nie pomógł nawet spacer wieczorem. Mróz poniżej 10 [°C]. Dawny brygadier przysłał mi kartkę dzisiaj. Nowy dywizjoner jest przypuszczalnie dosyć towarzyski, ciekawym, jak będzie w bitwach. Mamy tu stać do 20 [stycznia]. Podobno w Mezölaborc (6 km od nas) są już pruskie posiłki – również 5. Korpus przyjechał za nami, i jest obecnie wywagonywany. Na północy 11 całkiem nowych pruskich dywizji. Ładny bal będzie, jak tak całym frontem walniemy naprzód, mając za cel oswobodzenie Przemyśla. Podobno między Anglią a Stanami Zjednoczonymi jakieś konflik-

ty? Gdyby tak jeszcze ta wojna, to byśmy chyba naszą niedługo skończyli.

15 Zamarzło doskonale i aż mi żal, że nie można zrobić jakiej partii sanek. Hej, saneczki moje we Lwowie zostały i diabli wiedzą, co za Moskale się na nich wożą. O informacie dotyczące punktu obserwacyjnego na Górze Pojana wałęsano do kapitana bośniackich strzelców (4.) Boldeson. Objaśnia mi, że jak pogoda sprzyja, to najlepszy punkt tu i tu; naturalnie dzielę się tą wiadomością natychmiast z pułkiem. Dziś jednak niewielka pociecha z tego, bo śnieg sypie ustawicznie i unicestwia całkowicie jekielowiek obserwowanie. Dalszy spokój na całej linii. Idę do 4. mojej Baterii, chcąc wynagrodzić tych, którzy mi wczoraj wózek zreperowali. Udać mi się ich wynaleźć i spędzam parę chwil na kwaterze u podoficerów, bardzo zadowolonych z moich odwiedzin. Po powrocie do dywizji zabieram się do pisania *Gefechtsberichtów*^a dla poprzedniego brygadiera, który mnie o nie kartką urgował; przedtem jednak przeprowadziłem generalne mycie i golenie mojej osoby.

^a Raporty z przebiegu starcia (niem.).

Po obiedzie ciągle dalszy pisania, aż nie dają spokoju i muszę grać w taroka; po grze jestem lżejszy o 50 κ. Wieczorem przy herbacie oczekuję na rozkaz i rady sobie dać nie mogę. W myślach widzę tę dziewczynkę, jak czeka na moją pocztę, i wytłumaczyć sobie nie może, dlaczego nie piszę; a ja, ja nie mogę się zdobyć na słów parę, bo i na cóż rozkrwawiać ranę? Nic mnie nie obchodzi towarzystwo przy stole – o Tobie myślę Dziewczyś i o tym smutku, który nierozdzielny towarzyszem moim. A szkoda! Żal życia! Nie życia, tylko chwil jasnych! Wśród tego mojego nastroju, żegna obecny dywizjoner dawnego; roztrzęśły mi się nerwy i ryczał-

bym, gdyby można. Alkohol ratuje sytuację i po powrocie na kwaterę ze śmiechem wypróżniamy parę flaszek, przy czym skonstatowano ogólnie, że wesoły chłopiec jestem, jak rzadko, i wesoło jest się bawić w moim towarzystwie. A wesołego chłopca śmiech boli – tylko, że tego nie widzą.

16 Powzięty wczoraj zamiar odprowadzenia naszego odjeżdżającego dywizjonera do następnej wsi przeprowadzamy. Dzień nie do zapomnienia. Przede wszystkim mroźna pogoda z ustawicznym śniegiem nadaje całemu aktowi odrębnego uroku. Zastanawiające, jak szalenie do tego człowieka byli ludzie przywiązani; wszystko co żyło i wolne było od służby wyległo na drogę, żeby starego chociaż z daleka pożegnać; i do wszystkich jak do braci się odnosił. Gdyśmy truchtem za jego wózkiem jechali, miało się wrażenie, że nie wierzymy w jego odjazd, że mimo woli, nie chcąc go opuścić, biegniemy za nim. W Boro ustawiliśmy się szeregiem – pożegnanie – i co tu mówić, płakaliśmy jak bobry; i nikt nie pomyślał o tym, że to może nie po rycersku, że to po babsku, bo się powstrzymać nie mógł. Pierwszy raz przy wojsku przeżyłem naprawdę uroczysty moment, gdzie nie było przedstawienia, a serca gorzały; jak ojciec żegnał się z każdym osobno i wierzyć się nie chciało, że tego człowieka tracimy. Pojechał, i wróciliśmy na to niepewne bez niego, bez tego żołnierza, człowieka.

Reszta dnia, jak poprzednie, szaro mi mija. Rozgorączkowałem się i głowa mnie boli, ale znowu nie chcę się położyć, z obawy przed komplikacjami. Dopiero pod wieczór przychodzę do siebie i konstatuje zmianę na lepsze; w ogóle przeziębiony jestem, jak „wół do karety”, a umrzeć nie mogę. Rozmowa z tym ruskim księdzem, który do nas jeść

przychodzi, byłaby interesująca, gdyby nie była głupia. Dziśszym rozkazem zawiadamiają nas, że gdy niedługo pójdziemy naprzód, będziemy się musieli na jakieś kilkanaście dni pożegnać z jakimkolwiek trenem. Wskazuje to, że nie będziemy posuwać się szosą; ładna więc perspektywa, jeśli marsze wypadną po tych górach! Po południu zauważyłem sanki zaprzężone w psy; jak się okazało, całe towarzystwo przyszło z Celowca (Klagenfurt); dość oryginalnie to wygląda, ale jest bardzo praktyczne.

17 Odwilż odbiera wszelką ochotę do projektowanego wyjazdu w pole; ponieważ sprawa niepaląca, więc stary odkłada wyjazd na jutro. Piszę w dalszym ciągu o tej dotychczasowej wojnie i schodzi mi na tym zajęciu aż do obiadu. Po południu porozumieliliśmy się z komendantem tych „śniegowców” i urządzamy partię na nartach, drugą na saneczkach; kto tylko może się uwolnić idzie z nami, i nikt wycieczki nie żałuje, bo uciecha okrutna. Wprawdzie śnieg miękkie i nie bardzo odpowiadał naszym zamiarom, ale nic to, bo głównie chodzi o rozrywkę. Naużywaliliśmy się i nabawili jak dzieci do syta, jeżdżąc bądź to na nartach, bądź na rękach albo dla odmiany na nosie. Przepiękny widok na sąsiednie góry, zwłaszcza przy jasno zachodzącym słońcu. Jakoś odżyłem na nowo i odmłodziłem. „Śniegowiec” porobił parę zdjęć fotograficznych i o zmroku całe towarzystwo walenęło z powrotem do domu. Aż żal było wracać, taką szaloną swobodę czułem na tym śniegu. *À propos* fotografii, to wyrobiła się teraz przy dywizji prawdziwa mania robienia zdjęć; każdy na gwałt (nie wyłączając mnie) chciałby mieć aparat. Zdaje się, że to powiew górniego wiatru, bo obecny generał jest namiętym fotografem i bardzo się interesuje

objawami tego sportu u każdego. Zapowiedziane bardzo ciężkie marsze, jak już wczoraj pisałem, bez trenu.

18 Generał z moim brygadierem wyjeżdżają rano w pole, celem rekognoskowania stanowisk i zorientowania się w śniegowych warunkach. Moskale urządzają się też na dłużej na linii Wola Wyżna – Debrza i wzmacniają swoje bez tego dobre pozycje technicznie, budując silne okopy, przeszkody z drzew, drutu kolczastego etc. Jeśli na naszą dywizję przypadnie atak na te linie, to będzie twardy orzech do zgryzienia, bo jak atakować pozycje na górze o 60 i więcej stopniach pochyłości [?]. Niedługo już, zdaje się, ruszymy naprzód siłą ośmiu korpusów, ignorując zimę z jej śniegiem i mrozami. Marsz naszej dywizji będzie o tyle przykry, że przez parę (5–6) dni będziemy pozbawieni trenu i żyć trzeba będzie tylko tym, co się z sobą weźmie. Łamię sobie głowę, jak by tu przez ten czas wyżywić brygadę (14 ludzi i 11 koni), bo mi to zadanie poruczyli. Plan jest tak świetnie obmyślany, że nie śmie zawieść i powodzenie prawie pewne.

Z racji różnych nowych zarządzeń dotyczących artylerii mam do południa dużo roboty. Cała wojna jednak nie przeszkodziła mi po południu w pójściu na narty, jak wczoraj. I znowu to samo zadowolenie i uciecha, jak wczoraj; do efektu przyłączył się huk armat 7. Korpusu, na zachód od nas. Śnieg lepszy do jazdy, niż wczoraj, i chcąc najbardziej wykorzystać tę okoliczność, latałem po nim jak zwariowany, nie zważając na uwagi Zygmunta, że jak się ma narty na nogach, to należy na nich więcej jeździć, aniżeli na nosie. Mów ty sobie zdrów, co chcesz, a ja sobie przynajmniej naużywam; i rzeczywiście naużywałem się do tego stopnia, że ledwie się do domu dowlokłem z wytchniętą^a nogą. Sie-

^a Kontuzjowaną.

działem za to przy kolacji grzeczniutko jak trusia, zgodziwszy się nawet czekać na rozkaz, wydany około 10.00. Bateria 6. strzelała dziś na oddział pracujących ruskich pionierów, tak że za pół godziny pionierów „nima”. Poczty ciągle nie ma i nie ma, bowiem wszystkie pociągi zabite wojskiem i przynależnościami. Hej! Gdyby tak partię nart z pewną osóbką! Nie żał by było nogę złamać, nie dopiero wytchnąć! Osóбка jednak daleko ciałem i duszą – a szkoda!

19 Mrozik znowu aż trzeszczy. Przyjemnie by było na świecie, gdybym tak mógł nóżką ruszać, a tu boli jak na urząd i ani myśli pofolgować. Z trudem znalazłem się w obuwiu, z jeszcze większym dostałem się na śniadanie. Zdążył naturalnie brygadier zauważyć sztuki, które z chodzeniem pokazywałem, i głosem, jakbym już ani jednej nogi nie miał, pyta, co mi brakuje; powiadam, że za długo spałem na jednej nodze – i to go trochę uspokoiło. Nic to wszystko, ale mnie już naprawdę diabli biorą, [kiedy] widzę towarzystwo jedno już bujające na górze, drugie tamże z sankami i nartami się wybierające. Jeszcze się ze mnie przekpiwają. Ze złości próbuję chorą nogę rozchodzić, i choć boli, udaje mi się to po trosze. Ładnie będę wyglądał, gdybyśmy tak już jutro poszli! Okropne dziś święto ruskie Jordan; poszedł generał i inne fotografy robić zdjęcia, a ja tam nawet na gapia zakuśtykać się nie mogę. Przepędzam więc czas na myciu się, goleniu, strzyżeniu itp. traceniu czasu. Po południu zbieram na odwagę i podejmuję się pójść do pułku po służbie; szedłem sobie jakie trzy razy dłużej, niż zwykle się chodzi, ale za to się „rozchodzę” i noga przestanie boleć. Dostajemy jakieś bomby czy kij diabły, do strzelania niby to z armat.

Wracam do dywizji w towarzystwie kapitana naszego, byłego komendanta szkoły; spowiada się przed naszym adiutantem, że jest bardzo ze swoich jednorocznych zadowolony, bo wszędzie o nich dobrze słyszy, paru jest odznaczonych, w ogóle dobrze się spisują. Dostał potrzebne mu informacje i poszedł. Bosek zładował (skąd?) sanie okropnie mocne i pomału się przygotowujemy do odmarszu. Nie będzie to nic wesołego, tym bardziej, że w górach o chałupę trudno, zaś noclegi w polu nie bardzo zachęcające. Zaprosiłem sobie Antka, żeby mi nogę nakręcił, to wskoczy na swoje miejsce i przestanie boleć. Kręcił, ale tak bez znajomości rzeczy, że o mało sobie ręki nie przekręcił, mnie nic nie pomógłszy. Wieczorem tak mi się ból dał we znaki, że uciekłem z kolacji i jestem zdecydowany, jeśli mi jutro nie będzie lepiej, [każę] amputować sobie nogę scyzorykiem.

20 Już się nawet wstydzę przyznać, jak późno dziś wstałem. Wynaleźli mi od razu drukowanie, aż do obiadu. Nadspodziewanie z nogą lepiej, chodzę jak król piechotą albo coś podobnego; z nart muszę jednak jeszcze zrezygnować. Może jutro lub pojutrze pójdziemy naprzód. He! Będzie to parada! Sandig obliczył koniec wojny na 28 lipca; żeby za to spuchł w dwójnasób, bo ja chcę być w maju już w domu. Pisał Władek z odwiedzin u Koterbskiego; ogromnie się tą kartką ucieszyłem. Pisała też [pani] Majewska, z pytaniem o Janka; odpisałem zaraz, że nie wiem nic o nim w dalszym ciągu. Głowa mnie rozbolała z kart, w które różniliśmy po południu. Nie mogę się zdecydować na wysłanie paru słów do Krakowa. Wieczorem Władysław kręci głowę ze swoją ustawiczną filozofią. Do Krakowa przecież nie napisałem.

21 Podzielił się sztab dywizji na ścisły i szerszy, i tak częściami mamy odmaszerować. Przygotowania do odmarszu trwają cały dzień. Ludzie biorą ze sobą żywność [na pięć] dni, to samo zabiera się dla koni. Przewidujący brygadier każe wziąć także namiot, dotychczas jeszcze nie używany. W ogóle akcja obliczona jest na wielką skalę, i może mieć wielkie znaczenie w zadecydowaniu o wyniku wojny. Nagromadziły się też tutaj siły znaczne. Od paru dni zwożą treny żywności dla ludzi i koni, zaprowiantowani jesteśmy dobrze, a przypuszczam, że o całe niebo lepiej, niż Moskale. Amunicji do diabła, żeby tylko nie było trudności z jej dowozem. Sporządzili dla nas chłopcy sanie, na których będzie można zabrać koce do spania i co nieco z potrzebniejszych rzeczy. Wojsko ubrane jest dobrze, zauważyłem to na 20. Dywizji, która po południu tędy przechodziła. Każdy chłop ubrany jak z pudełka; podostawali również białe płaszcze dla maskowania się na śniegu.

Bardzo zwinni są ci chłopcy jeżdżący na nartach i oddają wielkie przysługi. Kiedyś pojechali w pole i pod nosem patroli rosyjskich porobili zdjęcia najdokładniejsze z pozycji nieprzyjacielskich, *stante pede*^a pięciu podanych [do odznaczenia] Srebrnym Medalem; komendant ich, chorąży (pisarz z zawodu i powołania), lubi okropnie lakierować. Po obiedzie tarok, z efektem końcowym +35 K. dla mnie. Ponieważ diabli wiedzą, czy wrócę z tego spaceru, na który się wybieramy, więc wysłałem do Krakowa kartkę. Rozkaz wydany około 10.00: mam na razie zostać i maszerować dopiero pojutrze. W nocy przyszły nieprzewidziane automobilowe transporty obuwia dla wojska; [nocą] też ma być wszystko rozdane. Jakiś żal za czymś – smutno mi i strasznie koło mnie pusto!

^a Na jednej nodze, natchmiast (łac.).

22 Gorączkowe załatwianie wszystkiego, co przed odmarszem ma być gotowe. Ekwipuję od rana konie i ludzi, zabezpieczam o ile możliwości brygadę od głodu i niewygód. Brygadier postanawia, żeby jechać dziś, zamiast jutro, urządzam się więc i ja do odmarszu. Nie wiem, czy odwilż pozwoli na używanie sanek, bo [grunt] rozmiękł tak, że aż filcowe buty się przemoczyły. Dywizja tak we wszystko zaopatrzona jak na początku wojny – tylko dobrej ochoty – a powinni się bić jak diabli. Marsz zapowiedziany na godz[inę] 3.30 po południu. Przedtem dostajemy jeszcze na drogę papierosów i czekolady, powodzi się nam jak w niebie, albo przynajmniej jak w cukierni.

Na nasze miejsce przychodzi 20. Dywizja. Konie dobrze zaopatrzone, bo pocygałem z owsem, na razie swoją kobyłę zostawiam, jutro ją za mną przyprowadzą. Otóż nieprawda! Pomimo moich postanowień, okazało się, że za nadto jestem potrzebny, aby nie zabrać kobyły. Całą drogę odbywamy konno, aż do samego Chwostejowa^a, dzisiejszej naszej stacji. Wieś śmieszna, bo składająca się z dwóch domów, za 600 m znowu trzy chałupy, i koniec. Pomimo tego, znakomite pomieszczenie dla koni, bo i siana się dosyć znalazło. Pomieściliśmy się z trudem w tych chałupach. Do roboty nic nie mam, więc znowu za dużo myślę; skutek ten, że idę spać z zamroczonym umysłem. Przykrzy mi się strasznie. Z Jędrusiem H. rozmawiamy sobie o dawnych i obecnych czasach, aż go nareszcie kapitan zerwał (w nocy) z łóżka i walić do baterii^b. W nocy spać nie dali, bo co chwilę ktoś wstawał, bowiem od północy już częściowo odmaszerowywali. Przy koniach siedziałem może z godzinę, nie wiem, co mnie napadło.

^a Chwas-
tejov, na
północ od
Habury.

^b Tu w zna-
czeniu:
biec do
baterii.

23 Ciemno jeszcze było, gdy nas zbudzili⁴⁸; opłacało się jednak wstać, bo prześliczny był widok wschodzącego słońca; powietrze czyste, nie mroźne, widok nie do opisanía. Od samego świtu już strzelają, obecnie godz[ina] 8.00 zaczęły i nasze armaty. Stoimy w gotowości do pójścia naprzód. Ledwie się dzień zaczął, już znoszą rannych; widzę wszystko dokładnie, bo siedzę na samym szczycie góry. Sąsiednie dywizje taki otwarty ogień. Idziemy naprzód, śledzić z bliska przebieg ataku. Po godzinie pieszej drogi dostajemy się na następną od Chwostejowa górę; otoczeni jesteśmy zewsząd górami. Ogień w całej pełni, i skutkiem echa, potrającego każdy strzał, ma się wrażenie, że naokoło nas strzelają. Dostać długo stoimy jak tabaka w rogu, orientując się w strzelaninie, bo pomimo bliskości nie widzimy ani swoich, ani nieprzyjaciół, zaś telefony nie funkcjonują i od brygad ani poszczególnych pułków nic nie można się dowiedzieć. Dopiero po 10.00 przychodzi naprawionym telefonem wiadomość, że powodzenie ataku na całej linii. Niedługo potem przyprowadzają jeńców; kto ich nałapał? Naturalnie czterdziestacy. Baterie nasze strzelają od rana gorliwie, zwłaszcza haubice; osławiona Pojana z naszymi dwiema armatkami aż się trzęsie. Funkcjonuję jako obserwator [...], zanim zrobiono porządek z telefonem.

Niedługo po południu przychodzi wiadomość, że wzgórze 789 wzięte. Na ogół strzela rosyjska artyleria bardzo mało: albo się ataku nie spodziewali i nie mogli dość rychło zająć pozycji, albo mają w tyle drugą linię obronną razem z artylerią. Śnieg bez przesady wyżej kolan, i to moich kolan. Pod wieczór marzniemy wszyscy, jak na obstalunek; rozpalone ognisko buzuje wesoło, robi się jak zwykle kiepskie wice i generał fotografuje, co mu pod rękę podpadnie.

Dobrze już zmarzliśmy, gdy zatelefonowano, że 3. Brygada urządziła swoją rezydencję w Jasielu. Ciemnawo już, gdy zaczyna strzelać 1. Bateria, a my zabieramy się z powrotem do Chwostejowa. Narciarze łamią nogi po drodze, w szlachetnym zapale, zaś ja po powrocie mam gorączkę i przykrzy mi się, i kłąłbym nie wiem na co, i za co. Komenda mieszka na górze, ja u jej podnóża; zły jestem na to pindranie się ustawiczne, a muszę jeszcze iść do rozkazu. Poszedłem, ale się niczego nie doczekałem, zostaje zresztą adiutant, chce bowiem sam dyspozycje powydawać. Jak bajecznie śmierzdzi w tej naszej kwaterze!

24 Od świtu trwa ogień, atak wczorajszy kontynuują dalej. W nocy straciliśmy wczoraj zdobyte, a bardzo dla naszej dywizji ważne, wzgórze 789; jest więc perspektywa, że stąd nie pójdziemy, dopóki nie będzie znowu odzyskane. Na reszcie frontu mniej więcej spokój, i na ogół sytuacja pomyślna. Jeszcze w nocy zerwał się wiatr, trwający prawie do południa, ale tak silny, zwłaszcza na szczytach gór, że iść nie można. O sile wiatru daje pojęcie fakt, że artyleria strzela o 700 m [z] większym dystansem, przy ostrzeliwaniu tych samych punktów i z tych samych pozycji, co wczoraj. Udział artylerii w dzisiejszej bitwie jest na ogół niewielki; bo do południa mgła, po południu zaś śnieg padający, aż do wieczora, uniemożliwia wszelką obserwację.

Usiłowania dzisiejsze skierowane są na odzyskanie 789, co się w końcu przy pomocy 40. (znowu 40.) około 6.00 wieczór udaje. Jeńców razem z wczorajszymi jest około 350. Wieczorem walę pieszo z rozkazem na stanowiska 1. i 2. Baterii. Szalenie przyjemny i pożyteczny spacer; nic naokoło nie widać, tylko śnieg. Padający śnieg robi mnie całkiem



Narciarze austriaccy w Karpatach,
ubrani w zimowe kombinezony, zima z 1914 na 1915 r.

białym i w tym stanie dostają się na miejsce. Wracamy z kapitanem W. i Jędrusiem, obydwóch ich siłą zapraszam na kolację – będziemy razem spali na mojej kwaterze. Około 10.00 wszyscy poszli spać, ja zaś sterczę i czekam na dyspozycję z korpusu; nadeszła około 11.00, tak że po załatwieniu wszystkiego jestem już o północy na drodze do uśnięcia. Zastanawiające jest, że pomimo zmęczenia zasnąć nie mogę; udaje mi się to dopiero około 4.00, zaś w międzyczasie wypalam miliony papierosów i zawodowo kaszlę.

25 Dziś [minęło] dokładnie 5 miesięcy od czasu, kiedy padły pierwsze strzały; w zupełnie innych warunkach bijemy się, niż ongiś. Według tenoru wczorajszego rozkazu, mamy stać w miejscu, nie cofać się ani iść naprzód; nie wiem, co to za obliczenie, chyba odpoczynek dla wojska, chociaż tego nie przypuszczam. Najprzykrejsze jest to, że się człowiek nie ma gdzie podziać, bo wszystkiego trzy domy, zaś moja kwatera u podnóża góry, więc nie opłaca się tyle razy wychodzić na górę, ile razy wołają. Przykrą sytuację ratuje Wacek Kaliciński, z którym spacerując opowiadamy o niemożliwych rzeczach; jedyny odpowiadający mi chłopak w całym środowisku. Słysząc strzelaninę, na zachód od nas 20. Dywizja atakuje Kamień^a. Zdaje się że dziś jeszcze tu zostaniemy w tym śmierdzącym Chwostejowie.

^a Wzgórze
652 m
n.p.m., na
północ od
Čertižné.

Ostałem zupełnie, że się ruszać nie mogę, pewnie to ta nieprzespana noc. Obijamy się wszyscy, nie wyłączając brygadiera. Pod wieczór zawiadamiają, że grupa [płk.] Prus[sa] cofa się na poprzednie wzgórze; coś się chwieje w sytuacji, nie mogę się dowiedzieć niczego. Około 8.00 wieczorem przychodzą dwie kompanie [czterdziestego], wszyscy którzy ranni byli; z nimi Wiktor Possinger, ranny pod Przegi-

nią, mają chłopcy jednak animusz. Około 10.00 przepisuję otrzymaną dyspozycję i walimy z kapitanem W. na kwaterę.

26 Śnieg sypie od wczoraj wieczora bez przerwy. Człowiekowi jakoś z tego powodu aż się usposobienie zmienia. Psia-krew, po tym wietrze i śniegu trzeba się włóczyć, a wieje, że patrzeć nie można; jak my tu długo będziemy jeszcze ster-czeć? Co te gazety nie naopowiadają! Matko Boska! Aż się żołądek wywraca! Niezależnie od gazet poopowiadaliśmy sobie z por[ucznikiem] S. zapatrywania o wojnie – pocieszył mnie, że jeśli po wojnie oficerów brakuje, to mogą mnie siłą przy wojsku zatrzymać; jeszcze by tego brakło! Sypie śnieg i na odwrót bez przerwy. Około 2.00 po poł[udniu] okazuje się potrzeba wysłania mnie do Laborczfö^a, po rozkaz korpusu i inne delikatesy. Spacer wcale przyjemny, przy zastosowaniu po raz pierwszy kominiarki od Cio-ci. W Laborczfö zupełnie inna pogoda, a mianowicie z błotem, bo to w do-linie. Z powrotem szło mi się równie przyjemnie, chociaż wiatr ze śniegiem ani na chwilę nie ustał, bijąc ustawicznie w oczy. Także jakieś dziwne myśli przychodzą człowiekowi do głowy w tym śniegu!...

^a Miej-scowość Habura.

Wieczorem siedzimy, gniotąc się razem w kupie. Przy-chodzi poczta, ale nic do mnie. Jestem w jakimś dziwnie wesoło-rozmarzonym usposobieniu. Dyspozycję na jutro wydają mi wcześniej, niż przypuszczałem. Wracam do do-mu (!), wśród bez przerwy padającego śniegu, sam, z na-turą tylko, i swymi myślami. Nie wiem, czy ta biała plama, zamiast światła, czy ta samotność, nastrajają mnie na ten niecodzienny [widok]. Taka szalona, tak długo hamowana tęsknota do Irenki! Do Odrobiny! Te kartki, które wczoraj przysłała, rozbrajają człowieka, choć przecież zaciekle nie

jestem. Hej! Lepiej nie pisać! Lepiej nie myśleć, chociaż to drugie prawie niemożliwe!

27 Wyspany dobrze, wybieram się rano na górę, ale nie idzie to tak łatwo, jak się to oceniało przez okno z chałupy. Wiatr bowiem nie do opisania razem ze śniegiem i innymi przynależnościami, niedozwalającymi żyć tak jak się to robi w codziennych warunkach. Może pół godziny szedłem na górę, co zwykle robi się w 10 minutach. Atak naszej dywizji, rozpoczęty 23., osłabł znacznie, a to głównie z powodu wspomnianej pogody, bo ludzie odmrażają ręce i nogi, i ciągle ich ubywa, zaś posiłków żadnych. Moskale raczej się bronią, aniżeli atakują, bo i im zima daje się we znaki, zaś większych sił tu nie mają, czego dowodem dwa pułki, przysłane jako posiłki z Rymanowa. Mam wrażenie jednak, że i bez posiłków są jeszcze od nas silniejsi.

Przychodzi wiadomość, że Prusacy są już u źródła Sannu⁴⁹, czyli, że główne zadanie ma powodzenie. Jeńców przyprowadzają co chwilę po kilku lub kilkunastu; złapano jakiegoś starszego feldfebla i Zygmunt go indaguje. Wściec się chyba przyjdzie, jeśli tu jeszcze z tydzień będziemy siedzieli. Pod wieczór znowu mi się skądś nawinęła gorączka i ból głowy – już nie chce mi się nawet pisać. Jadamy raz dziennie (dla oszczędności?). Biedni ci ludzie, którzy muszą ten straszny czas spędzać w polu.

28 Im dalej w las, tym więcej drzew – mnożą się więc wypadki odmrożeń, bo i pogoda, zamiast się polepszyć, to coraz gorsza – osłabia się też i nasza sytuacja, bo żadnych a żadnych posiłków, i nie ma czym ataków forsować. Okropnie biedni ci ludzie i konie, teraz myśleć już nawet o tym nie

chcę, bo to jeden ustawiczny straszny obraz. Przestaję się też zajmować śledzeniem przebiegu bitwy, bo mi już nawet sił brakuje. Przyjechał dziś jeden oficer ordynans, który odwoził eksceleńca do Wiednia, i naprzywoził różnych rzeczy, z których się cieszą ci, których to obchodzi. Jeńców ciągle przybywa; takie to pomarzniałe i głodne, że aż Zygmunt robi piekło i dali mu konserw dla obdzielenia ich. Wieczorem robi się ruch w komendzie, nie wiem, czym spowodowany. Niedługo potem dostaję rozkaz od brygadiera, aby iść przygotować kwatery w południowej części Laborczfö; równocześnie ściągają całą naszą artylerię z pozycji. Nie wiem, co się stało, ale chyba nic dobrego. Nie mam jednak czasu na dociekanie przyczyn, tylko walę do onego Laborczfö; spotykam po drodze 1. Baterię, i dowiaduję się od jednego z oficerów, że 4. Brygada ma podobno wszystkiego 140 ludzi (z 500). Strata byłaby to ogromna, i nie bardzo mi się chce w to wierzyć.

Sypię dalej sam, i całe szczęście, że od czasu do czasu spostrzegam patykami znaczoną drogę, inaczej bowiem nie byłaby do odszukania; szalejąca bowiem przez całą noc i dzień nawałnica śniegowa zasypała wszelkie z trudem utworzone drogi i przejścia. W ogóle pogoda jest taka przykra, że człowiek jest chwilami przerażony swoją małością wobec rozszalałego żywiołu. Teraz mam dopiero pojęcie o zaspach, śnieżycach etc., o których się tylko z opisów wiedziało. Wszelkie opisy nie dają jednak należytego obrazu, jeśli się czegoś podobnego nie przeżyło. Świetne teraz usługi oddaje mi futro przysłane z domu. Jak powiedziałem, drogi nie ma, a tylko jej kierunek można rozpoznać po patykach. Brnę więc w śniegu po kolana, zapadając się od czasu do czasu na długość całej nogi. Spotykam transport jeńców,

któremu mylnie kazano iść na górę, i zabieram go ze sobą do Laborczfö. Tutaj, przy pomocy wujaszka, robię kwatery dla brygady, co połączone jest także z trudnościami, jako że wszystkie przybytki pozajmowane przez 20. Dywizję. Uporaliśmy się jednak z tym dosyć szczęśliwie; dywizja nadeszła około 8.00. Niebezpieczeństwa pościgu nie ma, bo i dla Moskali ta wściekła pogoda nie jest niczym dobrym. A może my nie uciekamy, tylko dajemy wypoczynek ludziom? Haubice zostawiły amunicję 600 strzałów na górze. O zaginionych batalionach 4. Brygady ani słychu.

29 Zrywamy się, jak wujaszek mówi, wcześniej, i zaraz roboty znajduje się dosyć. Posyła mnie stary do Nagycsertesz, po sytuację^a 20. Brygady; droga pyszna, jedzie się jak na spacer i tylko kobyła bryka, bo jakkolwiek przyzwyczajona, niepokoi się strzałami; a strzelają setnie! 20. Dywizja dziś atakuje, i dlatego kanonada trwa od rana; dziewięć baterii mają na pozycjach i huczą, jak diabli. Sytuację mi wyrysowali jak się patrzy, jadę więc z nią i pozdrowieniami dla brygadiera z powrotem, znowu koło grzmocących armat. Aż duża rośnie, jak tak huczą. 20. Dywizja jest węgierska (honwedzi). Śmieszne też było, jak nie mówiący po niemiecku oficerowie przyjmowali mnie herbatą, a ja w kółko powtarzałem, że *keszenem*^b, no i że mnie to bardzo cieszy. Wróciłem do domu i ledwiem wytchnął, a już trzeba było jechać do Boro. Nie bardzo zadowoleni byli w DMP z tego rozkazu, który im przywiozłem, przyjęty też byłem dosyć lodowato – śniegowo – zimno, i musiałem się dopiero rozgrzewać koniakiem u przyjaciół z 2. Baterii mieszkających za ścianą.

Zaledwie wróciłem do Laborczfö, już szukać [muszę] znowu bydła, mających zwozić wczoraj pozostawioną amu-

^a Wyjaśnić
sytuację.

^b *Köszönöm*
(węg.)
dziękuję.

nicję haubic, na której [to] czynności schodzi mi do 9.00 wieczorem. Nie danym jednak było mieć dzisiaj chwilę spokoju, bo w pół godziny potem alarmują całą dywizję; konie siodłać, rzeczy pakować, odmarsz diabli wiedzą dokąd, a ja jestem tak zmęczony, że się ledwie ruszam. W oczekiwaniu na odmarsz zaczyna się nam nudzić, więc karty. Spokoju nie było całą noc, przez tę węgierską 20. Dywizję, która pozwoliła na to, że Moskale przerwali jej front i zagrażają ustawicznie. W końcu uspokoiło się na tyle, że kazano konie rozsiodłać i zadecydowano, że zostajemy na miejscu. Poszliśmy spać o 5.00 rano, wyklinając na różne sposoby.

30 Zachorzałem obłożnie. Około 9.00 rano przychodzi por. Jasieński i powiada, że mnie w dywizji gwałtem potrzebuje. Zaszczyt to niemały, że mnie generalny sztab potrzebuje, ale wytłumacz mnie o Panie, że się ruszać nie mogę. D. nie wytrzymał przecież, aby po mnie nie przysłać, naturalnie z powodu głupstwa. Dobrze synu, myślę sobie, niech mnie szlaczek trafi, a wstanę, trąbo, żebyś nie myślał, że mi się tego nie chce zrobić. Zobaczył mnie i prędko zaraz odesłał, żebym się położył. Na tym leżeniu też zeszedł mi dzień; nic nie jem i nic nie wiem, co się naokoło dzieje, ani mnie też cokolwiek obchodzi.

31 Nieco mi się polepszyło, chociaż jeszcze czuję ból we wszystkich kościach i w całym ciele; boję się tylko odmarszu, bo czuję, że daleko bym nie zaszedł ani zajechał. Stary mój bardzo się zainteresował moją osobą, chociaż ma ważniejsze rzeczy na głowie, bo słychać ustawiczne strzały, z czego wnoszę, że chyba atak w toku. Dzień przepędzam na bezczynności i leniwieniu się. Wieczorem alarmują znowu.

Około 7.00 konie osiodłane, czekamy, co nastąpi. O sytuacji nie mam pojęcia, nie wiem, co się właściwie stało. Czekamy na awizo do odmarszu i doczekać się nie możemy.

Osiadłem okrutnie i kiepsko byłoby, gdybyśmy mieli iść daleko; na szczęście idziemy tylko do sąsiedniej wsi Boro, oddalonej niespełna 3 km. Dowiaduję się, że przenosiny nasze spowodowane są klęską, jaką poniósł 7. Korpus, zmuszony do cofania się. A psia krew, węgrowate Węgry! Strzępić gębę i napadać Lipa, to umieli, a sami jeszcze nic nie dokazali! O godzinie 11.00 w nocy odmarsz. Idziemy piechotą, co ze względu na mróz i piękną pogodę bardziej się opłaca aniżeli konna jazda. Artyleria naszej brygady na pozycjach, celem ewentualnej obrony cofającego się korpusu; jeszcze tego, psiakrew, potrzeba było, żebyśmy ich stróżowali!

Przychodzimy do Boro około 12.00. Strasznie mi jakoś po drodze to futro ciążyło; słaby jestem jak zetlała guma. Nie mam też nic siły, a tu trzeba pokwaterować starego i konie; udaje mi się to z trudem, w końcu, poirytowany na Antka, kładę się około 2.00 spać, ciekawy, w jakim stanie się jutro obudzę.

KONIEC ZESZYTU II

Zeszyt III

Luty [1915]

¹ Otwarłem notesik zupełnie nie przypuszczając, że tu takie pisemko znajdę: „Zik-u – sobie razem siedzimy przy stole, godz. 1.00, a jutro? Dlaczego jutro Żaba będzie sama?”. Ładnie mi się drugie półrocze wojny zaczyna – wspomnieniem! A! Lepiej nie myśleć!

Siedzimy w Boro. Zaraz z rana mnóstwo dyspozycji dla artylerii, szczególnie 29. Pułku. O nieprzyjacielu nic nie słyszać. Widocznie mu się nie bardzo z pościągami śpieszy, kiedyśmy spokojnie spali do 7.00 rano. Z chorobą jakby ręką odjął; z humorkiem też, biegam wszędzie, gdzie mnie posyłają, chociaż mróz aż trzeszczy, bo człowiek, jak zdrowy, to niczego nie czuje. Prchal sprzedał mi kożuszek, których transport nadszedł, nie wiem tylko, co ta parada będzie kosztowała. Wypłacam ludzi i uzupełniam ich braki w garderobie, będącej już w opłakanym stanie od początku wojny. Generałowi robię żądany wypis rzeczy potrzebnych jednoročnému, bo ma jakiegoś kuzyna, którego chce na mój sposób wyekwipować. Dzień na ogół spokojny, nikt się bowiem nie denerwuje. Podobno przyszła masowa poczta, ale nam jej jeszcze nie wydali. Kalab fotografuje nas na naszych barłogach, po czym towarzystwo zabiera się do kart, jednak beze mnie. Siódmy miesiąc wojny i ani się ni-

komu śni, żeby ją zakończyć. Posiłki i uzupełnienia przychodzą mierne.

Mniej więcej spokojnie dzień przechodzi, aż dopiero pod wieczór wszczyną się ruch, spowodowany atakiem Moskali. Przy kolacji przychodzi depesza uspokajająca, a nawet radosna, że pod Cserteszem mieli już, już okropnie dużo Moskali nałapać. Przyjmujemy tę wiadomość z rezerwą, zwłaszcza kapitan Weiner, ja postanawiam nawet mieć się na baczności. Ponieważ jestem znowu niezdrow, a wydanie dyspozycji wydaje mi się zagadkowym, więc rzucam się ubrany na łożo, kazawszy się w razie czego zbudzić. Nie zdążyłem dobrze zasnąć, gdy przyszedł ordynans z wiadomością, że dywizja alarmowana. Przeklinamy wszyscy, ale nie ma rady, trzeba się pakować, siodłać i po 2.00 odmarsz do Mezölaborcz. Wysłany jestem naprzód, dla przygotowania kwater, do których bardzo ciężko przychodzimy. Byłem chory, wieczorem chorszy, a teraz jestem najchorszy. O 5.00 idziemy spać.

2 Słońce, od dawna niewidziane, zaświeciło tak wesoło, jakby nam chciało dodać otuchy. Wysyłamy więc znowu dwie baterie i jedną [z] haubic do Boro; nie atakujemy jednak, poprzestając na obronie. Rosyjskich posiłków naprzychodziło moc i prą nasz front coraz bardziej na południe. Multum rozmaitych depeszy z zachętami, dobrymi wiadomościami etc., dla podniesienia animuszu etc. Mróz ponad 18°, nie bardzo to zachęcająca okoliczność do przepędzania żywota w szczerym polu. Opór stawiamy ciągle, ale coraz słabszy, bo straty nie są niczym uzupełniane.

Zmuszony jestem zrezygnować z obiadu, bo dopiero o 3.30 dorwałem chwilę czasu, kiedy już nic nie było. Mo-

skale strzelają już do Laborczfö, naszych przedwczorajszych kwater. Pod wieczór przycicha, zaś w nocy ustaje całkiem strzelanina. Pomimo tego nie mam spokoju i przeklinam na czym świat stoi, że się nie mogę położyć. Około 3.00 rano przyszedł 88. Pułk jako posiłek; bitka na jutro znowu pewna! W ogóle ogromnie zaciekle walki się toczą – ani na chwilę spokoju sobie nie dają, tylko tak od razu już, do ostatniego tchu. Godz[ina] 4.30 rano idę spać.

3 Była godzina koło 8.00 rano, gdy zaczęli Moskale walić szrapnelami do Mezölaborcz. Już pierwsze strzały były celne i wpadły w tren dywizyjny. Wszczęło się też zamieszanie spowodowane bezładem na drodze, bo równocześnie zaprzęgi chciały na jednej drodze uciekać i naraz zabrakło miejsca. Komenda dywizji znajduje się na plebanii i nie bardzo jej tam bezpiecznie. Gotowi do odmarszu, przeżywamy czas na plebanii aż do 2.00 po poł[udniu]. Koło nas na wszystkie strony padają na odmianę to granaty, to szrapnele, i to powoduje, że się po południu przenosi komenda na południowy koniec Mezölaborcz, tj. około 1000 kroków dalej. Sytuacja na froncie ciągle niepewna, nie wiemy też, czy tu zostaniemy, czy maszerujemy jeszcze dziś dalej. Zostaliśmy jednak, śpiąc ukradkiem. Mróz ciągle jednaki.

4 Rozkaz brzmiał: linię obecną trzymać bezwarunkowo! Wczoraj jeszcze przyszło sześć nowych batalionów (42. pp), więc wzmocniliśmy się co nieco. Gonienie dla mnie jeszcze większe jak wczoraj, przydzielona jest od dziś do naszej brygady także artyleria 24. Dywizji. Siedem naszych baterii jest na pozycjach, i huczą już od samego rana, ostrzeliwując wieś Kaleno i przestrzeń na zachód od niej. Żartuje-

my, pytając o drogę do Władywostoku, bo tam są nasi jeńcy internowani, zaś sytuacja jest tego rodzaju, że gdyby 20. sąsiednia nasza Dywizja nie wytrzymała, to jesteśmy w saku, z którego nie wiem, czy można by się wywinąć. Marzną ludzie i żal mi ich, a najbardziej rannych, którzy stygną na mrozie, zanim pomoc przyjdzie. Na naszym froncie nie napierają bardzo, główny atak skierowany na 20. Dywizję. Że się cofać będziemy, przewiduje każdy, pomimo tego rozkaz korpuśny nie pozwala na zaprzestanie walki, tylko także trzymać do ostatniego żołnierza.

Mój brygadier przewiduje, że właściwy atak rosyjski nastąpi w nocy, co się też sprawdza; dotychczas strzela tylko na nas artyleria, głównie na budynek, w którym się znajdujemy. Około 8.00 wieczór atak na całej linii; piechota nasza, przemarznięta, nie wytrzyma, pomimo tego żadnego rozkazu do cofania się, oprócz przesunięcia paru baterii o kilka kilometrów w tył. Wysyłają mnie z wujaszkiem do Monastyru^a dla ulokowania dywizji. Błądzimy, nakładając niepotrzebnie kilka kilometrów i marznąc w uszy. Krajobraz przy obecnym mrozie i księżycowym oświetleniu przebijający, nastraja nas romantycznie i przypomina jakieś dawne czasy, które inni przeżywali. Monastyr – klasztor Bazylianów – wypełniony honwedami i tegoż rodzaju końmi. Ustąpić nie chcą, pomimo rozkazu, wyrzucamy ich więc przemocą, wywołując powszechne niezadowolenie. Bydło, nie żołnierze! Gorszy jak Tatarzy – wyrabowali doszczętnie wszystko, nie oszczędzili nawet kościoła – w kaplicy zastałem śpiących żołnierzy przy zapalonych na ołtarzu świecach. W całym ogromnym budynku zaledwie trzy pokoje możliwe do zamieszkania, reszta zamieniona na stajnie przez honwedów; i to się dzieje w ich własnym kra-

^a Wieś około 4 km na południe od Mezölaborcza.

ju! Fakt, że panowie oficerzy grali sobie na ołtarzu w karty wywołał interwencję biskupa Wiednia. Zeszło dobre półtorej godziny, zanim się wszystko powyrzucało i dywizja [się] zakwaterowała. Za chwilę zawiadamiają, że 89. wraca w bezładzie, wobec czego generał zarządza, żebyśmy wyszyscy wyszli na ulicę i przywracali porządek. Ta sama przykra funkcja jak po Włostowie^a. Stoimy na drodze i zamieniamy się po chwili w postaci ze śniegu, bo pada taki gęsty. Wysyłają mnie do Mezölaborcza, pomimo że tam już są Moskale i walczy major Kuchynka tylko z resztką Bośniaków. Nie znalazłem tam nikogo, bo bateria albo uciekła inną drogą, albo już zabrana, wracam więc szczęśliwie jakby z tamtego świata. Niedługo potem (po 5.00 rano) wysyłają nas z wujaszkiem znowu naprzód, do wsi, której nazwy nie można spać pamiętać, bo strasznie węgierska. Wiem tylko, że to już szósta noc bezsenna.

^a Włostów,
4 listopada
1914 r.

5 We wsi owej^b zajeżdżamy do szkoły zajętej przez górską baterię; komendant jednak wynosi się, ucieszony, że może się zgłosić pod rozkazy mojego brygadiera, jest bowiem od swojej brygady odcięty i nie wiedział, co z sobą zrobić. Pomęczeni jesteśmy okrutnie, ledwie nogami ruszam. Niedługo przychodzi dywizja, ale zajeżdża prowizorycznie tylko, do domu znajdującego się tuż przy drodze. Nic mnie już ze zmęczenia nie obchodzi, tylko siadam na podłodze i oparty o ścianę drzemię. Dali na szczęście herbaty i około 9.00 znowu jedziemy z wujciem do Izbugyaradvány^c; wściec się przyjdzie, czy co? Konie ledwo się ruszają.

^b W oryginalnym przypisie autora:
Laborcz-radvány.
Laborc-radvány –
Radvań nad
Laborcem.

Znajdujemy jakąś obszerną leśniczówkę (w szkole znowu honwedzkie konie) i niedługo nas stamtąd wyrzucają, bo to część wsi przeznaczona dla 2. KTD, przybyłej z Ho-

^c Izbugy-aradvány,
Izbudyaradvány –
Vyšná Radvaň.

mony^a. Uciekamy więc na drugą stronę rzeki i tu przeznaczamy parę chłopskich chałup na pomieszczenie dywizji. Po 3.00 po poł[udniu] przyjeżdża komenda, panowie wielmożni naturalnie niezadowoleni z mieszkań, wolno jednak konie rozsiodłać, ale tylko do 7.00, o tym czasie bowiem nakazana gotowość do odmarszu. Sytuacja nasza taka, jakiej u nas jeszcze nie było i jaka pod poprzednim dywizjonerem nie byłaby zaszła. 4. Brygada nie istnieje, 3. w sile ponad 600 ludzi stanowi ewentualną obronę, gdyby Moskałe napierali; śmiech to naturalnie wzbudza, żeby 600 przemarzniętych ludzi miało masie stawić opór. Straty nasze przekraczają 11 000 ludzi – skandal, z jakim się mogą chyba oficerzy innych sztabów pogodzić, ale nie my.

Marzę o przespaniu się, choćby przez godzinę, tymczasem projektowany odmarsz w nocy; dali przedtem kolację, przynajmniej z gorącą zupą. Nie zważam na nic, tylko zarządzający czujność u ludzi, kładę się nierozzebrany spać.

6 Strach ma wielkie oczy – mówi przysłowie – ja dodaję, że ostrożność także, chociaż teraz na strach mamy te oba wyrażenia. Przespaliśmy bowiem całą noc spokojnie – ja jak kamień albo podobny minerał – zaś obudziliśmy się, długo myślałem nad tym, czy wstać, czy zacząć nową serię spania. Wstałem jednak, z obawy przed zgnuśnieniem i zniewieściałością, żałując tego po zastanowieniu, bo przecież nieźle byłoby być teraz niewiastą. Zdążyłem zjeść śniadanie, i jazda do Laborczmezö, do kapitana W., z rozkazem kasującym rozkaz wydany w nocy, pakujący dwie baterie lwu w paszczę. Mróz aż trzeszczy, ale dzień przepiękny, aż blask w oczy razi; wyspany i niegłodny jestem, traktuję więc tę jazdę jako miły spacer. Przypuszczałem, że dywizja pod moją nie-

obecność odmaszeruje, ale jej się ani śniło, bo wróciwszy zastałem wszystkich przy drugim śniadaniu, a oprócz tego na łóżku leżącego obcego człowieka. Przekonałem się, że to chorąży ze 101. Pułku, który tu czeka, aż go saniteci dalej odeślą. Biedaczysko doznał wstrząsu nerwowego, bo jakiś granat za blisko niego pękł, i leży teraz prawie nieprzytomny, bo sobie nawet nie może przypomnieć, jak się nazywa.

Godzina 2.00 po poł[udniu], my jeszcze siedzimy tutaj, a może się nawet obiadu doczekamy, co właśnie idę skonstatować. I rzeczywiście, zostajemy tutaj. Ba! Nawet artyleria ma zadanie zająć pozycję w rejonie 3. Brygady; pada ofiarą Bateria 6., która w ostatnich czasach najmniej spoczynku miała, i maszeruje do Hegercaba, miejsca naszego wczorajszego przystanku. Poznałem dziś brata ciotki Geni, Spośla, niezadowolonego z wojny, i ze swej w niej roli; przy stojny chłopak i dobrze mu z twarzy patrzy. Zastanawiamy się przy stole i debatujemy, co się właściwie z dywizją teraz stanie. Bogiem a prawdą, należałoby nas odesłać w głąb kraju, przez jakie 3–4 tygodnie uzupełniać rekrutami i pospolitakami, niechby reszta przez ten czas wypoczęła i przysłała do siebie, i dopiero wtedy [można by] zaczynać *da capo*. Nie zanoszą się atoli na to, bo właśnie przyszły jakieś czeskie trzy bataliony i dwie niepełne kompanie Bośniaków, co zaraz zostało wstawione na front. Równocześnie są skonstatowane naprzeciw nas dwie rosyjskie dywizje, w najlepszym razie najmniej 20 000 ludzi, więc ani mowy, aby te posiłki, które przyszły, miały wstrzymać napór. Może to jakiś specjalny plan strategiczny, ale mnie się wydaje, że takie wysyłanie słabych sił, co godzinę łyżeczkę, jest najbardziej zabójcze. Zastanawia mnie równocześnie fakt, że my zostajemy w miejscu, a nawet konie kazano rozsiodłać, i spodziewa-

my się spokojnej nocy. Pomimo tego, zdeprymowanie po ostatnich bitwach, podłe kwatery, mniej więcej ogólna niedyspozycja etc. usposabia mieszkańców naszej kwatery tak, że według przyjętego wyrażenia „mało nas szlag nie trafi”. Humorem nadrabiamy, ale go już nie ma tyle, co dawniej. Poczta dzisiejsza, a z nią trzy kartki od Irenki, spokoju mi nie daje; żal mi tego Drobiazgu, bo dobra dziecina i serduszko u Niej złote. Ale Żaba przy tym marzycielka i tyle przy tym zaufania do mnie.

Dlaczego to Dziecko właściwie mi tak wierzy? Czym u niej na to zasłużyłem? Gdyby poznała moją wartość równającą się zeru, może by była inną, tymczasem Ona znalazła u mnie duszę, której ja wartość kwestionuję. Ale nie chciałbym, aby Bobie miało przeze mnie cierpieć, nie chcę Ci sprawiać przykrości. I chociaż nie wiem, czy potrafiłbym Ci dać szczęście, chcę przywrócić ci spokój, wszystko zrobić, co będzie można, Iruś, aby Cię nie martwić. Hej! Gdzie sny złote? Gdzie świetlane blaski i odurzający zapach nieznanych kwiatów? Gdzie te marzenia i ich urok, pogrążający człowieka w przepaść bezdenną? Junaka-pazia wzięła królowna w swoje władanie – smutkiem owiane marzenia, wspomnienia tęskne jego udziałem – gorzka niewola, a taka droga! Wyobraźnia rozkołysała mu duszę i zapomniał, że paziem tylko – i śmiał zamarzyć o szczęściu, z królowną! Hej! Cudna bajka! Prześliczna bajka! A rzeczywistość tak strasznie różna! Pusto i pusto wszędzie, gdzie patrzę – świat taki wielki, a mnie miejsca za mało! Co zrobić z sobą?

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

7 ^a Dziwnym sposobem się to dzieje, ale Moskale jakoś nie napierają i spokój panuje na całej linii. Zgłoszone tylko małe oddziały kawalerii, co nam bynajmniej spokoju

nie zakłóca. Śpię więc do 9.00 i toaletę z goleniem wyprawiam, jak za dobrych czasów. Zresztą głupi dzień się zna, czy, odwilż i niepogoda, nic do roboty, objam się też bez najmniejszego humoru. Nic się nie zanosí na to, żeby naszą dywizję odesłali w głąb kraju dla odnowienia i uzupełnienia się. Przychodzą jakieś słabe posiłki. I całe szczęście, że Rus nie napiera, bo inaczej poznosiłby te małe oddziały z łatwością. Wieczorem przyprowadzają do nas przez pomyłkę jeńców, zabranych przez 20. Dywizję. Spora ich była paczka, około 100, i dlatego w pierwszej chwili zdębiałem, przypuszczając, że to nasza dywizja ich nałapała, niewielką bowiem teraz siłę przedstawiamy; wyjaśniła się sprawa, i poprowadzili ich honwedzi dalej.

Z braku miejsca zjadamy dziś kolację na trzy zawody. Zastanawiająca jest teraz u nas ilość różnych komendantów, sztabowców etc., naprawdę, że więcej tego chyba, jak całego wojska. Komendę 4. Brygady objął w miejsce chorego pułkownika Prussa jakiś inny, z obrony krajowej, który już zdążył uciec z moskiewskiej niewoli. Opowiada też przy kolacji różne swoje przeżycia, zaś wszyscy słuchamy. Zanosí się na spokojną noc. Kładę się spać około 11.00, ale co mnie coraz bardziej zastanawia, nie mogę usnąć. Palę papierosy, wychodzę na pole, z zamiarem zabicia szczekającego psa, ale nic to nie pomaga, usnąć nie mogę; z trudem udaje mi się to około 3.00 po północy.

8 Przed [godziną] 5.00 zerwali nas alarmem; w kwadrans wszystko ubrane i spakowane, czekamy co się dalej stanie, ciekawi wszyscy powodu alarmowania. Szukam związku między alarmem a faktem, że wczoraj usnąć nie mogłem. Zaczyna mi coś po głowie chodzić, coś jakby nieokreślone

przeczcucia, aż w końcu przychodzę do przekonania, że jestem osioł. Dobry się już dzień zrobił, a myśmy jeszcze nie wiedzieli, co się właściwie stało. Dobrze, że przynajmniej kucharz, mniej alarmowo usposobiony, zrobił jakiejś takiej herbaty, bo inaczej nikt by nie mógł sobie darować wczesnego wstania. Wujaszek, zaopatrzony w świadectwo lekarskie, odjeżdża na parotygodniowy urlop. Przynajmniej staruszek nieco wytchnie, nerwy podreperuje i może które z dzieci swoich zobaczy. Zostawił mi do dyspozycji swojego konia, na którym sobie poużywam, bo szkapa dobra.

Słońce ozłociło świat i ponaprawiało humory, mnie nawet do tego stopnia, że wysyłam pięć kartek na różne strony świata. Zmęczony i niewyspany się czuję, a ponieważ odwołali już gotowość alarmową, więc mam zamiar zdrzemnąć się trochę. Przedrżemałem nawet obiad i dopiero wieczorem wstałem z rzeźwiejszym umysłem; nic do roboty nie mam, aż zły jestem z tego powodu, bo czas się szalenie dłuży. Przy stole wieczorem opowiada kochany kapitan G. przeżycia z ostatnich walk, jak ludzie byli szalenie wyczerpani, jak nadludzko się wysilali, jakie z tego powodu zdemoralizowanie; o bohaterskim oporze majora K. na dworcu kolejowym w Mezölaborcz, o wytopieniu przez niego do nogi całego batalionu Moskali, o potrzebie wypoczynku wreszcie dla dywizji; ale to trudno, w górze uznają, i będą tak długo nami orali, aż śladu nie zostanie. Ha! Wojna, ale i ona powinna mieć swoje granice; ale może przecież nas w tył odeślą, dla uzupełnień.

Do Dziewczynki napisałem dziś kartkę; do czego to doprowadzi, nie wiem, ale nie mogę znieść tego, że jestem powodem czyjegoś strapienia. Już komu, to Jej najmniej chciałbym sprawiać przykrość, zwłaszcza za dobre serce. Niech

więc trwa złuda i rozjaśnia duszę, odurza umysł barwnymi obrazami – władać, cudna iluzjo!

9 Cudny dzień, bo mroźno i słońce świeci; zrywamy się też z humorem i sypią się żarty, jak za dawnych dobrych czasów, z ochotą, bez przymusu. Przechodzą całkiem świeże kompanie nadesłanej dywizji, mającej nas złuzować; co się zaś z nami stanie, nikt jeszcze nie wie, na razie stanowią rezerwę korpuśną. Po wujaszku, objął nad ułanami komendę także nadporucznik pospolitego ruszenia, honwed, ogromnie zacny i dzielny człowiek. Jemu też w udziale przypadło robienie kwater dla dywizji, z czym go dziś wysyłają do Izbugyaradvány. Przyczepiam się do niego i idziemy piechotą, bo to niedaleko. Odwilż na całej linii, bo słońce nie tylko jasne, ale i ciepłe. Kwatery porobiliśmy świetne, bo oprócz szkoły są tu dwa wielkie przybytki, należące do jakichś myśliciów. Dopiero około 3.00 po południu przenosi się dywizja z Laborczradvány. Przychodząca na nasze miejsce dywizja (21. Obr[ony] Kraj[owej]) jeszcze nie jest cała wywagonowana, i coraz to nowe pociągi za świeżym wojskiem przychodzą.

Urządziliśmy się w obszernym pokoju wspaniale i choć piec dymi, nic to nie przeszkadza w twierdzeniu, że mieszkamy jak hrabiowie. Wieczorem dowiadujemy się, że Sandig został porucznikiem, i mało nas szlag nie trafi, a zwłaszcza jego samego, bo mianowany był jeszcze w listopadzie, dowiedział się zaś o tym dopiero teraz. Po kolacji robi się partia z kapitanem G., trwająca do 1.00 w nocy. Tracimy ten drogi czas nadaremnie, ale w końcu nic innego nie pozostaje do czynienia. Nie zastanawiam się już, jak długo będziemy musieli objąć się jeszcze w polu.

10 Dalszy ciąg pogodnych dni; początek naszego wypoczynku, i dlatego nic do roboty nie ma. Chodzę więc beczynn timer, aż zaszedłem na pocztę, akurat w momencie, kiedy przywieziono nowy transport i sortowano go. Nie do uwierzenia, jaka ta pocztą jest liczna. Przypuszczam jednak, że lwia część adresatów będzie nie do odszukania po ostatnich walkach. Pogłoska, że nasza dywizja ma być przecież odesłana w głąb kraju, dla wypoczynku i uzupełnienia, jest chyba uzasadniona; jak obecnie, jednak nie zanosz na to. Dziś w nocy ma być zlurowana reszta naszej artylerii – zresztą zobaczymy, co będzie jutro lub pojutrze.

Na ogół dzień bezsensowy, i co jedno tylko zajmujące, to pogoda i krajobraz. Wyszedłem też wieczorem trochę na spacer, ale tylko przygnębiony wróciłem, bo im większą przestrzeń się widzi przed sobą, tym gorzej odczuwa się brak swobody. Jak się biją, jak pełno naokoło strzelaniny, to człowiekowi ani w głowie jakieś odpoczynki i pielęgnacje. Jak znowu spokój, to na miejscu wysiedzieć nie można, tak chciałoby się do domu. No – głową muru nie przebiję ani też przebić zamierzam – jeśli jednak będzie się można urwać autem do Koszyc, to będę usiłował nie zaniedbać sposobności. Ratz baci opowiada różne głupstwa, aż zmęczony poszedł spać, noc piękna, i tylko moja świeca jeszcze jaśniej. Może Irenka także jeszcze nie śpi? Nie dostała mojej kartki zapewne i rozżalona być musi. Ej, bo też ładnie się za serce odpłacam!

11 Zygmunt przez cały wczorajszy dzień studiował fotograficzne przepisy i zabiera się dziś do zdejmowania^a; jak na złość dzień pochmurny, więc aż ołówkiem trzeba obliczać siłę oświetlenia, czas ekspozycji etc. Pierwszą ofia-

^a Tu w znaczeniu: robienia zdjęć.

rą pada Sandig, któremu udowodnionym zostało czarno na białym, że musi spokojnie siedzieć przez 8 minut albo cztery razy tyle; nie wytrzymał naturalnie tak długo, tylko pośmiał całe zdjęcie i chyba nic z niego nie będzie. Niezrażony niczym, Zygmunt idzie na pocztę szukać dalszych ofiar. Zdejmuje tu znowu parę grup, w jednej z nich i ja się znajduję, wyraża więc Zygmus zadowolenie z [tego] powodu, „że mnie ma w grupie”. Obiecuję mu się przy sposobności tym samym odpłacić, zaś na razie idziemy na śniadanie. Po drodze znowu „ofiara”: Spetzler przy automobiliu; po śniadaniu znowu zdjęcia, z psami i bez, na polu i w domu, aż nareszcie po całodziennym zdejmowaniu okazuje się, że nie będzie czym tego wszystkiego wywołać. Pozamawiali namo około wszyscy tyle aparatów, że aż za dużo przyszło, skutkiem czego namawiano mnie na kupno jednego; nie zrobię jednak tego, bo za mało czasu mam na tę zabawę, a zresztą nie podlegam ogólnie zakorzenionej chorobie.

Spokojnie wszędzie i nic o nieprzyjacielu nie słychać. Przychodzimy też powoli do jakiegoś takiego stanu, myjąc się, goląc; chłopcy piorą bieliznę, szyją etc., w ogóle porządkujemy się. Dopiero po kolacji obiecuje mi Dittrich, że mnie może obudzi w nocy, zaś na pewno o 6.00 muszę być gotowy do drogi, bo pojadę, dokąd, jeszcze nie wiem. Pocztę dziś znowu wysłałem, pilnego do roboty nic nie mam, z powodu więc wymienionych mających mnie spotkać okropności kładę się spać, budząc się w nocy co chwilę.

12 O 6.00 już byłem na koniu – jadę z rozkazem do kapitana W., do Laborczradvány; znajduję go z trudem w stanie śpiącym, zupełnie nie spodziewającego się jakiegokolwiek rozkazu. Baterie mają być pchnięte naprzód. Dłacz-

go? Nie wiem jeszcze dobrze, ale podobno Moskale opuścili nagle Mezölaborcz i idziemy ich gonić. Gdyby to była prawda, znaczyłoby, że dostali w skórę na wschodzie lub Bukowinie. W każdym razie zastanawia mnie, że my – jakkolwiek stanowiący rezerwę armii – mamy zamiar posunąć się naprzód; dobry znak w każdym razie. Brygadier pojechał z komendantami baterii, celem rekognoskowania stanowisk, i zostawił mnie przy dywizji, na wypadek gdyby w międzyczasie był wydany jakiś inny rozkaz.

Porządkuję ludzi i przygotowuję wszystko do odmarszu, który nie jest jeszcze postanowiony, niewykluczona także możliwość pozostania na miejscu. Dittr[ichowi] koń zachorował, idę mu szukać konowala, co mi się może uda. Zupełnie spokojnie przechodzi czas aż do południa i ciągle jeszcze nie mogę wykombinować ani dowiedzieć się, dlaczego właściwie jest zarządzona gotowość do odmarszu? W południe przyjeżdża stary z pola, zabłocony do niepoznania, ale rumiany za to jak młodzieniaszek. Zaraz po obiedzie jadę do komendy korpuśnej (Laborczbecz), z jakimś ważnym pismem, a ponieważ nie jestem po rannej jeździe oczyszczony, wracam więc za przykładem starego zatalapany od głowy do odnóży. Na razie siedzimy jeszcze spokojnie, ale zapewne niedługo to będzie trwało, bo już wieczorem rysuję szkice zamierzanych pozycji naszych baterii. Z przyjemnością się dowiadujemy, że do naszej brygady zostały przydzielone dwa moździerz 30,5 cm – ładny bał się zacznie w razie czego. Poczty od jakiegoś czasu nie dostają żadnej, dziś była tylko kartka od Władka i Marysi.

13 I ani się nam śni gdziekolwiek stąd odchodzić. Ba! Nawet będziemy tu mieszkali, bo można podawać prośby o dwu-

tygodniowy urlop, mianowicie ci oficerowie frontowi, którzy są nieprzerwanie od początku wojny w polu. Wiadomość ta ma się dopiero potwierdzić, w każdym razie jednak wskazuje na dłuższe nasze zainstalowanie się tutaj. Rezygnuję już zupełnie z zamierzonego wyjazdu do Koszyc, bo twierdzą, że automobile służą tylko do operatywnych celów, zaś pociągiem jechać mi nie pozwolą. Trzeba więc będzie w Izbugyaradvány przebyć przeznaczony na wypoczynek czas, zupełnie się z miejsca nie ruszając, a tu, jak na złość, do roboty nic nie ma. Błocisko po uszy, bo słońce zdążyło już stopić prawie wszystkie śnieg, ani co do czytania, ani na spacer, ani żadnej rzeczy, która jego jest – pozostają tylko karty, którym poświęcamy prawie cały wolny czas.

Przyzwyczałem się już codziennie chodzić na pocztę i przypatrywać się zajęтым tam ludziom, a także o ile możliwości uprzykrzać życie Staszce Dzierżyńskiemu, który pomimo wszystko jest porządny chłopak. Z nim też wieczorem przy kolacji rozmawiamy o różnych możliwych i niemożliwych rzeczach, i dobrze mi z tą jego gadaniną. Napisaliśmy obaj wspólną kartkę do Romka Bałuc., postrzelonego w piersi, a znajdującego się teraz w szpitalu. Gazety twierdzą, że nam się dobrze wiedzie, chciałbym, żeby to była prawda, bo może by ten upragniony koniec nie był taki oddalony. Poczta dziś była słaba, tylko kartka od R. Irenka natomiast nic nie pisze, bo albo się obraziła, albo poszła na saneczki, albo też jedno i drugie. Ha!

14 ^aNiewyspanym trzeba wstawać, bo na kartach zeszło nam wczoraj do 3.00. Nie wypada atoli dzielnym żołnierzom wylegiwać się za długo, więc pomimo ogólnego ziewania „zrywamy się”, i idziemy na śniadanie. Tu dowiadu-

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

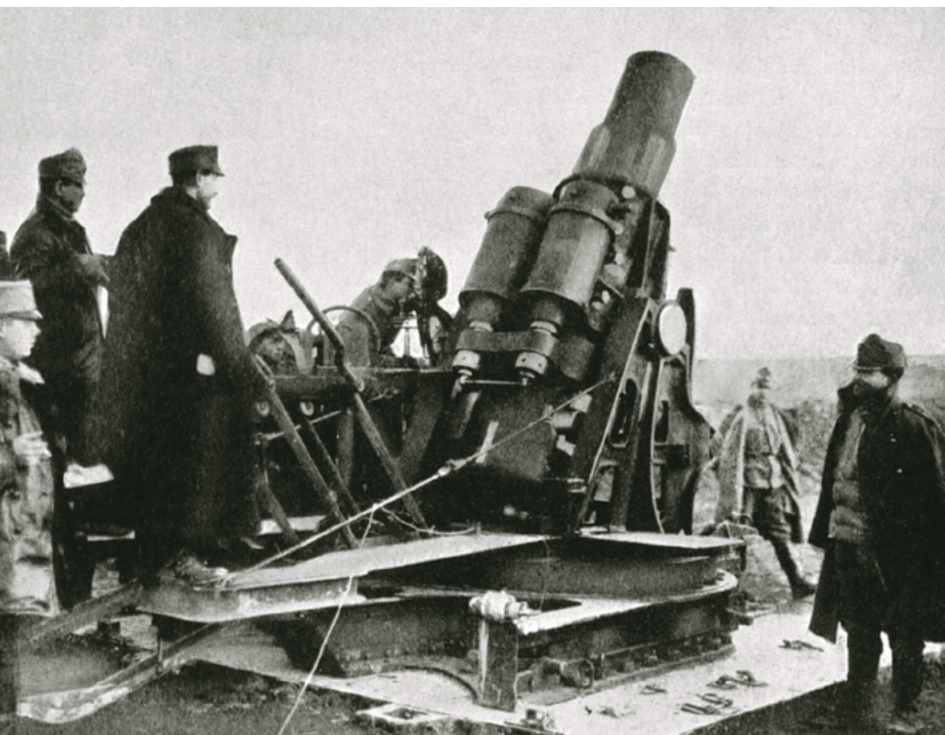
ję się o ogromnym zwycięstwie Niemców pod Warszawą, tudzież o zabranii 26 000 niewolnika. Po ogólnej debacie (okrutni politycy i Napoleon są między nami!), godzimy się jednogłośnie na to, że o ile wiadomość nie jest fałszywa, to zapewne musi być prawdą; szczęśliwymi zwycięzcami są znowu Niemcy, my zaś po dawnemu nadstawiamy grzbietu na cięgi. Pocięcha w tym, że jakby na zadokumentowanie naszej siły strzelają równocześnie moździerz 30,5 cm⁵⁰, wzbudzające uszanowanie u każdego, kto je słyszy; ponieważ są one pod komendą mojego brygadiera, więc też naturalnie muszę telefonować o wszystkie szczegóły dotyczące ich zadania. Dokładnie o wszystkim dowiedziałem się po południu, bo zaraz po obiedzie zabrał mnie ze sobą do auta nadporucznik z generalnego sztabu i pojechaliliśmy na stanowisko, gdzie stoją te maszynki. Ładne maszynki! Dziękuję pięknie! Zabrałem aparat od Zygmunta i porobiłem parę zdjęć z tych kolosów. Rzeczywiście, imponujące urządzenie. Wyobrażam sobie, że działanie takiej bomby musi być straszne. Dla satysfakcji uprosiłem komendanta, żeby mi pozwolił raz odpalić; pozwolił, a ja miałem przyjemność pociągnąć za sznur i posłać na odległość 9 km pocisk 400 kg; w ogóle nie zatykając uszu wytrzymałem cztery strzały, co zupełnie wystarczyło, że mnie rozboleła głowa, a obecnie, wieczór, jeszcze mi w uszach dzwoni.

Rozkoszne te stworzenia trzeba było niedługo pożegnać, bo musieliśmy wracać. Po drodze Sp. uczy się prowadzić automobil, co połączone jest z wieloma miłymi rozrywkami, między innymi tryumfalnym wjazdem... do rzeki. Z mniejszym tryumfem, a nawet ze zgoła kwaśnymi minami, wyjeżdżaliśmy z niej na powrót, po czym już reszta podróży odbyła się bez znaczniejszych wypadków, z wyjątkiem prze-

jechania całkiem zresztą niewinnego psa, następnie wozu z prowiantem, jeszcze jednego małego potoku, i o mało co kobity. To wszystko razem nazywało się, że jechali ludzie posiadający kawalerską fantazję. W każdym razie była uciecha, do której na wojnie sposobności mało. Poczta do mnie ciągle nie przychodzi, chodzę więc do domu, w którym się mieści, więcej z przyzwyczajenia, jak z potrzeby. Smutnych wiadomości jednak i bez poczty dosyć – umarł w szpitalu Wiktor Possinger, ranny powtórnie w ostatnich walkach pod Mezölaborcz. Zaledwie się wyleczył z rany otrzymanej pod Przeginią⁵¹ i wrócił na front – po śmierć; taki przystojny i dobry chłopak, 22 lata! Coraz więcej i więcej ich odchodzi, a końca nie widać, jakby ofiar jeszcze mało było.

15 Zaczął się taki smutny i ponury dzień, że aż się człowiekowi do niczego zabrać nie chce. Pochmurno, ani to zima, ani wiosna, i chociaż błota dużo, i mokro należyście, deszcz jeszcze do tego pada. Ekspediuję z rana pocztę. Następnie jestem wysłany do kapitana W; nie bardzo mi się uśmiecha jazda po tym błocie, ale nie poradzę na to, i odjeżdżam. Komendant korpusu przyjechał na wizytację i wyprawia niemożliwe rzeczy, przeklinając i krzycząc na każdego żołnierza z osobna. [Chociaż] wojsko przemęczone i źle ubrane, a wypoczynek mu się należy (z całej dywizji nie więcej jak 800 [ludzi] zostało), zdecydował ów srogi pan, że wojsku zupełnie niczego nie potrzeba, i można je posłać na front. Zostaje też zaraz odpowiedni rozkaz wydany i te posiłki Bośniaków i 89. maszerują pod wieczór do Ökreskö^a, gdzie mają stanowić rezerwę korpusną. Na szczęście, nie byłem w tych odwiedzinach internowany, bo byłoby mi się na pewno tak jak innym coś oberwało, chociaż mi nikt nie może

^a Miejscowość Volica.



Austro-węgierski moździerz kalibru 30,5 cm,
nazywany Chudą Emmą

zarzucić, że nie robię tego, co do mnie należy. Jakiś serdeczny, nie wiem z jakiego powodu, był dziś dla mnie nasz generał, bo zawoławszy mnie do swego mieszkania długo ze mną rozmawiał, wypytując się o różne rzeczy mnie dotyczące; skąd się mu to wzięło?

Całkowita już noc była, ciemna, że oko wykol, gdy mnie mój szef wysłał znowu z rozkazem do kap[itana] W. i do Ökreskö stanowiska moździerzy. Mnóstwo rozmaitych poleceń mam do wypełnienia. Aura okropna, zupełnie do przejażdżek nie zachęcająca. Tego samego zdania jest i kobyła, bo zapadłszy się parę razy biegnie coraz ostrożniej, tracąc coraz bardziej na animuszu. Przy baterii zastałem znowu ten sam wesoły nastrój, chociaż nie wiem, z czego się ci ludzie mają cieszyć; odjeżdżać się od nich nie chciało, ale trzeba było dalej. Ogień, otwarty po południu przy 7. Korpusie, trwa dotychczas prawie bez przerwy, chociaż noc zupełnie czarna. Niezależnie od gazeciarskich wiadomości, sytuacja na naszym i 7. Korpusu froncie jest naprawdę korzystna, zapewne chodzi o jej wyzyskanie i dlatego przeszliśmy znowu do zaczepnego działania. Artylerii naszej jest na froncie moc, uzupełnienia piechoty zapewne niedługo nadejdą i znowu się rozpoczną większe akcje. Z podróży mojej wróciłem dość wcześnie, bo około 10.00, i po zjedzeniu kolacji zdążyłem na otrzymaną dziś od wujaszka kartkę odpowiedzieć mu trzema, po czym gramy do 4.00 rano w karty.

16 O 7.00 pojechał brygadier z adiutantem do Ökreskö, zostawiając mnie jako „zastępcę”. Obiecał wrócić wieczorem, czyli [chciał] osobiście doglądać czynności pojedynczych baterii; część dywizyjnego sztabu także tam się udała. Po-

goda poprawiła się, bo i błoto w nocy zamarzło i słońce wesoło świeci. Przyszedł pociąg z oddziałem saperów i małą ilością piechoty, zawsze jednak lepszy rydz jak nic. Sterczę przy telefonie, przysłuchując się różnym rozmowom, z których zmiarkowałem, że sprawa dobrze na froncie idzie. Zygmunta boli głowa jak „wariat”, fotografuje jednak bez upamiętania, tym razem w pokoju.

Siadłem do dalszego pisania niedokończonych jeszcze ciągle komunikatów wojennych i na tym mi schodzi do obiadu, a raczej do południa, bo obiadu dziś nie było; dzień ładny, słoneczny, miło mija. Wieczorem wracają moi panowie, pomęczeni całodzienną pracą i zabłoceni nie wiem już jakim błotem. Zaraz na przywitanie otrzymuję rozkaz przygotować się do drogi, bo pojedę z dyspozycjami; nie wydano ich jednak od razu, ale dopiero około 11.00, tak że zdążyłem zjeść kolację. Jadę do pułkownika W. w Ökreskö, kłus[em], pomimo ciemności. Wyszukiwanie owego pana zabrało mi nieco czasu, ale w końcu pozafatwiałem wszystko i wracam. Jakieś dziwne powietrze, dziwnie mnie nastrojające. Dlaczego to w takich razach Ciebie tylko widzę Iruś? Z ciemności smutna twarzyczka wygląda i patrzą smutne oczęta, dlaczego smutne? Bo Zik niedobry, przykrość swojej Dziewczynce sprawił!

17 Tak samo jak wczoraj wyjeżdża brygadier rano do Ökreskö, zostawiając mnie tak jak i wczoraj. Depeszuję, co mam do załatwienia i około [godziny] 10.00 mam już spokój, tym razem aż do obiadu, bo go dostajemy, jako że generał także nie wyjechał. Dzień pogodny, tak jak wczoraj. Wykorzystujemy dobre światło, robiąc tysiąc zdjęć na różny temat. Zygmunt mnie, ja Zygmunt[owi], obydwu naraz, na ko-

niu, piechotą itd. Najlepsze jest jednak zdjęcie Sand[iga] na koniu; że była zabawa, to była! Wprawdzie go na konia dwóch ludzi wsadzało, ale za to trzech musiało zsadzać, i dosyć się przy tym napracowali. Jeśli się to zdjęcie udało, to Zygmunt robi majątek za same odbitki do humorystycznych pism.

Znowu po południu karty, bo co prawda nic a nic do roboty nie ma. Wieczorem przychodzi oficjalna depesza i starcie 11 dywizji moskiewskich przez Niemców, zabranie 50 000 niewolnika, dział etc. na jeziorach mazurskich⁵². Naturalnie uciecha, komentarzy i przewidywań milion; równocześnie wiadomości ze wschodu, że wszędzie dobrze idzie; sprzymierzeńcy są pod Czerniowcami, w Nadwornie⁵³, Delatynie. Na naszym odcinku także się dobrze obrona krajowa spisuje, łapią Moskali i w ogóle trzymają się dobrze. Bo też jakoś raźniej, jak słońce świeci, nie jest człowiek tak przygnębiony, jak za tych ponurych zimowych dni. Długo w nocy siedzę, pisząc do Irenki. Panowie z brygady nie wrócili dzisiaj; zostali na noc w Ökreskö.

18 Dziś termin, w którym Niemcy przyrzekli rozpocząć akcję morską przeciw Anglii⁵⁴; niedługo też zapewne usłyszymy o nowościach na morzu. Na lądzie idzie dobrze – dziś znowu depesza, że Kołomyja w naszym posiadaniu, po stoczeniu bitwy i zabraniu 6500 niewolników. Skrzydła wschodnie i północno-zachodnie zawijają jak w zegarku. Zdecydowałem się na spacer, bo pogoda znowu przepiękna, ale błoto takie, że zaszedłem tylko na pocztę i nadałem z nudy pieniądze do domu (200 K.). W południe dostaję rozkaz odmaszerowania z resztą brygady do Ökreskö, będziemy na jakiś czas oddzieleni od dywizji. Żal mi opuszczać

dobrej kwatery, tym bardziej, że inni zostają, ale na rozkaz rądy nie ma, a zresztą już dosyć się nawypoczywałem.

Zaczyna się znowu okres bijatyk, i mam wrażenie, że będzie coraz bardziej gorączkowy. Tak wszyscy są dobrze usposobieni, jakby byli podnieceni powodzeniem, żeby znowu nie zaślepieni. Około 3.00 po p[ołudniu] odmaszerowałem do specjalnie przez nas akcentowanego Ökreskö; najszczęśliwiej w świecie drogę odbyliśmy, pomimo przebijającego błota. Wieś – Boże odpuść. Brygada mieści się w domu, który chociaż nie ma okien, jest za to podziurawiony szrapnelami na wylot. Przywiozłem ze sobą nieco zapasów żywności, i zaraz też zostałem zamianowany przez brygadiera nadwornym szafarzem, klucznikiem, piwnicznym marszałkiem dworu, o mało co następcą tronu. Zmęczony jestem, bo narobiłem się dosyć, a tu tymczasem dostaję się z deszczu pod rynnę, bo zamiast wypoczynku nowa robota. Późno wieczorem urządziliśmy sobie prawdziwą wojenną kolację z wesołym i poufałym nastrojem, który wyrabia tylko wspólne obcowanie w polu. Ponieważ dyspozycja jeszcze nie wydana, więc zapewne trzeba będzie w nocy wstawać. Dlatego kładę się spać ubrany, co się okazuje słusznym, bo po 12.00 muszę wstawać, i rysujemy, piszemy jak wariaty, po to, żeby się miało z czym po nocy gonić.

19 Jeżeli to się nazywa być wyspanym, to ja bardzo za taką nazwę dziękuję. Pogoda się zepsuła, bo pochmurno i wiatr ekstraordynaryjny. Do roboty jest jednak dosyć, nie ma więc czasu do wszelakiego zastanawiania się. Naszemu brygadierowi przypadła w udziale komenda nad całą tutaj zgromadzoną artylerią, a tego towarzystwa jest dosyć, jest więc i dosyć do czynienia. Strzelamy jednak dobrze i przynajmniej



Zimowa bitwa nad jeziorami mazurskimi

człowiek ma tę pociechę, że napsujemy Rusów trochę. Około 8.00 muszą ciężkie haubice zaprzestać ognia na klasztor Bazylianów, bowiem został zdobyty. Moździerz pustoszą strasznie; co one nabroili, będzie można dopiero dokładnie widzieć, jak pójdziemy naprzód. Na ogół dominuje artyleria, potyczek piechoty mało. Około 10.00 przyjeżdża Neubauer, z wiadomością, że ppłk Rezniček chory, prawdopodobnie na tyfus, oraz że wczoraj wieczorem przyszła wiadomość urzędowa o zajęciu Czerniowiec; zaczyna więc Moskalom być coraz ciasniej. Gdybyśmy tylko wytrzymali napór przeważających sił przed naszym frontem, to już dobrze będzie. Po Neub[auerze] przyjeżdża kapitan W. po rozkazy. Przenosi się dziś do Hegyescsaby^a. Powodowany miłością chrześcijańską, komendant batalionu pospolitaków zaprasza nas odciętych od świata na obiad, mający się nieźle zapowiadać.

^a Zapewne
Čabiny.

Wieś nie jest zbyt obszerna i dosyć już wojną wyniszczona, nie zważają jednak na to saperzy i rozbierają parę chałup na drzewo do naprawienia drogi, bo żadnego tam pod ręką nie ma. Zajęty służbą, nie mogłem z zaproszenia na obiad skorzystać. Po południu za to na tyle się uspokoiło, że mogłem pojechać do dywizji z urzędowymi rzeczami, a głównie na pocztę i po prowiant; żyją tu po dawnemu jak w raju. Zygmunt wywołał nareszcie udane zdjęcia, Heller został majorem i wiele innych wesołych rzeczy; najweselszym jest fakt, że dostałem ciepły obiad, pomimo że godz. 5.00. Zaopatrzony w prowiant i z rozdartym sercem opuściłem szanowne zbiegowisko, w którym nawet taki *Gletscherfloh*^b dostaje medal... za waleczność! Artyleria nasza dzielnie się dziś spisywała; wiele błogosławionych skutków dobrego strzelania, jak np. wysadzenie w powietrze dwóch ar-

^b Dosłownie „pchła lodowcowa” – owad skoczogonek.

mat rosyjskich jednym strzałem z moździerza. Ogólna sytuacja dobra. Pod wieczór zaniemógł Dittrich nieco, telefonuję też za niego jak zwariowany, przy czym zastaje mnie zabłąkany Bośniak z przestrzeloną głową. Dyspozycji żadnej nie ma. Kładę się znowu w ubraniu i budzą mnie prawie co chwilę, dla różnych głupstw. Obecnie godz[ina] 2.00, czekam na odpowiedź z 21. Dywizji, nie wiedząc, kiedy się jej doczekam; zbytnio wyspany nie jestem. Obudzili mnie jeszcze raz o 4.00, tak sobie, dla rozrywki, zapewne z obawy, aby [mi] sen zbytnio nie zaszkodził, bo zresztą prawdziwej potrzeby nie było. Ha, no! Jak idzie, to już idzie bez końca!

20 Dzień jeszcze pochmurniejszy, niż wczoraj. „Zerwałem się” o 7.00 i do południa jestem nie myty ani uczesany, bo ani chwili wolnej złapać nie mogę. Niedaleko od stanowiska naszej baterii haubic gromadzą się Moskale, w podejrzany sposób. Z dywizji żadnego rozkazu, na skutek rzekomo niezmienionej sytuacji; nieprzygotowani na ewentualny atak ze strony moskiewskiej czekamy niecierpliwie na jakiś konkretny rozkaz, który po długich cierpieniach 21. Dywizji udaje się wreszcie uzyskać. Równocześnie korpus rozkazuje oszczędnie obchodzić się z amunicją; sytuacja jednak wymaga należytego ognia. Rozpoczyna się więc znowu kanonada od serca – i jak się w południe dowiadujemy – ze skutkiem, bo zastrzelono klasztor, mieszczący w sobie karabiny maszynowe, rozproszono jakiś sztab etc., w ogóle artyleria pracuje dalej dzielnie. A dzielności rzeczywiście potrzeba wiele, bo praca na niepokodzie prawie bez wypoczynku.

Dittrich gorączkuje i zupełnie się z łóżka nie podnosi; jak dotychczas daję sobie dosyć rady z załatwianiem jego funkcji.

Wziął się do roboty także mózdzierz stojący około 300 [m] za nami; przy drugim strzale straciliśmy już cztery szyby w oknach, i w ogóle za każdym strzałem jest tyle huku, że wyrażamy żywe niezadowolenie z takiego głośnego sąsiada. Pocieszamy się, że Moskale na równi, jeżeli nie bardziej, są niezadowoleni. Na proszony obiad, tak jak i wczoraj, znowu iść nie mogę, bo jestem jeden pozostały przy władzach umysłowych i cielesnych, który się nigdzie oddalić nie może. Gdyby nie ta ponura pogoda! Taki żalosny jakiś nastrój wywołuje i tak się strasznie godziny ciągną. Do Irenki tęsknię w takich chwilach tak strasznie, tak strasznie, Dzieci-no, że sobie miejsca znaleźć nie mogę. Poślałem podoficera do dywizji, może od Niej jaką pocztę przywiezie. Szkoda się nawet podpisywać! Czasu i ochoty po temu brakuje, jeśli tak dłużej potrwa, to się chyba rozchoruję, bo już mi tak głowa ciąży, że ją ledwo unieść potrafię. W nocy względny spokój, jakoś dziś nie budzili – ale zanim człowiek zasnął!

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

21 ^aŚwiat się kończy, co za krzątania, zaraz z rana! Deszcz się rozpadał, i jeżeli się dotychczas nie zabiłem z rozpacz, to tylko dlatego, że nie miałem czasu, i nie było pod ręką żadnego narzędzia. Na wszystkie strony mnie teraz potrzebują, i chyba się urwać przyjdzie. Po błocie, które jest nie do określenia duże, dostaję się do kwatery komendanta podkomendnego nam Batalionu 54. Przychodzę – „nima” – trzeba iść na drugą stronę wsi; ale mnie już błoto nie przeszkadza! Znadto wojowniczo usposobiony jestem. Ha! A jednak jest dobrze mieć tyle razy wyśmiewane długie nogi, bo inaczej nie przebrnąłbym na piechotę przez wezbraną rzekę. No, wezbrana ona tak bardzo nie była, ale zawsze rzeka; może nie całkiem rzeka, ale taka sobie rzeczka. Przyję-

li mnie panowie pospolitacy w tym batalionie, jak wróbla w garści albo kanarka na dachu. Nagadali, nazapraszali na obiad, ledwie się wyrwał z tą sytuacją, po którą przyszedłem, ale nie można narzekać, grzeczne wojsko było. Po całkowitym utraceniu humoru, skutkiem tego błota, stało się niedługo południe, i jak zawsze stary poszedł na obiad, zostawiając mnie na służbie.

Patrzę w okno i sobie myślę, że niech diabli wezmą taką pogodę i taką wojnę bez obiadu. Nie można więc mojej radości opisać, gdy przyjechał Ratz baciś, a z nim wiadomość, że jutro w południe opuszcza dywizja swoje legowisko w Izbugyaradvány i przenosi się do Hegyczsaba; z nią naturalnie i my się tam przeniesiemy. Siadam więc na konisia i jedziemy z baciśm robić kwatery. Droga podła, błoto po uszy, ale mi nie w głowie martwić się albo złościć z tego powodu, bo nareszcie tę dziurę opuścimy, a jak na razie, zobaczyłem znajomą gębę [...] tego serdecznego chłopca! Po drodze strzelający moździerz rozwesela oblicza. Za powrotem kierat w dalszym ciągu. W końcu wieczorem wszystko już pozałatwiane, dyspozycja na jutro wydana, w ogóle urządzamy się tak jakbyśmy mieli iść spać. Deszcz leje, aż tu nagle wiadomość, że Moskale atakują. Naturalnie, krzyż pański! Telefon na tym deszczu zaledwie funkcjonuje, jadę więc do przedniej linii zbadać, jaka jest właściwie sytuacja i co ewentualnie można zrobić dla uratowania baterii wysuniętych naprzód. Mam pełnomocnictwo do odesłania ich w tył, ale po poprzednim osądzeniu, czy to w ogóle jest potrzebne; co za pochlebna, odpowiedzialna funkcja.

Przy pomocy kap[itana] G. zorientowałem się na tyle, że właściwie dobrze nie jest, bo np. na jednym punkcie przedarły się przez naszą linię około trzy rosyjskie kompa-

nie; na szczęście, nie przeraziłem się zbyt i dobrze zrobiłem, bo się okazało, że niebezpiecznie było tylko na tym jednym miejscu, nigdzie indziej. Poza zarządzeniem więc gotowości w bateriach, nie było potrzeby ściągać ich z pozycji. Stary całkiem ze mnie zadowolony, co mi nawet ustnie wyraża, po powrocie do domu. W godzinę później, kontratak 2. Kompanii 40. [Pułku] (znowu 40.) odbił stracone przez swoich poprzedników pozycje i przywrócił [...] taką sytuację, jaka była wieczorem. Przy tym całym balu oddała Bateria 6. (24.) około 200 strzałów, chociaż nie miała innej wytycznej, jak na klasztor. Atak odbywał się na południowy wschód od [klasztoru] i bateria strzelała więcej dla postrachu, jako że w nocy mierzyć ani obserwować skutków strzału nie można. Pomimo tego relacje doniosły, że miała świetne działanie – jak się to działo, nie wiem! Obecnie godz[ina] 2.30 rano, czekam jeszcze na telefoniczne zapewnienie z 3. Brygady Piechoty, że spokój, który nastał jest trwały, tzn. przynajmniej do rana, aż w końcu będę się mógł nareszcie położyć spać.

22 O świcie budzą do telefonu; wczorajszy rosyjski atak kontynuowany. Wydajemy zaraz rozkaz bateriom działania w swoich odcinkach, jeśli zajdzie potrzeba. Atak dokładnie w tym samym punkcie, jak wczoraj, jakby im specjalnie chodziło o wzgórze 496. Siła ataku jednak niewielka – nic w rodzaju tych dawnych naporów przeważających siłę – prawdopodobnie tak jak nocny będzie i dzisiejszy wysiłek odparowany. Około 8.00 odjeżdża brygadier do Hegyescaba, dokąd się dziś komenda brygady przenosi, ja jadę później. Ditr[ich] leży ciągle chory, nic mu nie lepiej, zostawiamy go w Ökreskö. Strzela obecnie Bateria 6., nadpor. Kroutil, bę-

dący w swoim żywiole, strzela tak zawzięcie, że jest obawa wystrzelania całego zasobu amunicji. Z wczorajszego wesołego usposobienia, wyrażającego się w kartkach, nic mi nie pozostało; za to ból głowy dosyć dokucza, czekam na awizo do odmarszu i zaczyna mi się znowu przykrzyć. Około 10.00, wezwany rozkazem, jadę do Hegyescsaby, przed miejscowością kochana 4. Bateria, będąca w rezerwie, urządziła się jak w domu, i choć podłoże mokre, chwałę sobie swoje mieszkanie.

Peineman i Maral zostali nadporucznikami. Przybywszy do wspomnianej wsi zająłem się przede wszystkim urządzeniem mieszkania dla brygady, to samo robi dla dywizji bacsí. Towarzystwo, jak się okazuje, jest jednak okrutnie niezdecydowane, bo rozmyślają się, i postanawiają dziś jeszcze swojej siedziby tu nie przenosić. W sąsiedniej grupie bitwa na dobre. Bezustanny grzechot karabinów ręcznych i maszynowych, artyleria nasza pomaga w akcji i znowu sobie zyskuje uznanie. W ogóle w ostatnich dniach artyleria strzela bez zarzutu i z ogromnym szczęściem; co raz palną, to muszą coś trafić. Niewolnicy wszyscy zeznają, że działanie naszej artylerii jest kolosalne, i chwała Bogu, bo respekt przed nią mieć muszą. Żadnych horoskopów^a na żywność, do tego stopnia, że brygadier poleca mi wysłanie podoficera po jakikolwiek prowiant. W międzyczasie jednak zostajemy zaproszeni na obiad do ciężkich haubic, prymitywny, ale z serdecznym nastrojem.

Niedługo po obiedzie wzywają mojego starego do generała, ja zaś zostaję dalej na czarnej kawie. Byłby się już niedługo wyczerpał temat rozmowy, gdyby nie okoliczność, że Moskałe zaczęli bić ze swoich haubic w sam środek wsi. Pierwsze trzy strzały (szrapnele) poszły w okolicę wozów

^a Tu w znaczeniu: widoków.



Austro-węgierski karabin maszynowy
na stanowisku bojowym w górach

z amunicją ciężkich haubic; czwarty trafił już w nasz dom, ale przedziurawił tylko dach, do pokoju się nie dostawszy. Humory się zaraz poprawiły, tym bardziej, że z naliczonych 42 strzałów każdy był bez skutku. Za to ciągną przez wieś ranni z sąsiedniej grupy, a jest ich dosyć. Jednego przynieśli z nogami poszarpanymi na strzepy, ale sobie nic z tego robił, bo zdaje się, że go krew uszła, i umarł po drodze; na ogół jednak trzymają się na przodzie dobrze. Na zastępstwo chorego Dittricha przyszedł odkomenderowany z 21. Dywizji nadpor. Rudolff, i równocześnie zażądany przez staro- go z pułku nadpor. Kunze, który jednak zaraz do domu powrócił. Doczekać się nie mogę jakiejś stanowczej decyzji, aż w końcu około 3.00 po poł[udniu] dostaję rozkaz odmaszerowania z brygadą na powrót do Ökreskö, dokąd także udaje się i dywizja.

Przyszlismy i zajęliśmy dawne kwatery; zmęczony jestem niepomniernie, bo ani chwili do odpoczynku nie było, a poprzednia nieprzespana noc robi swoje. Nie ma jednak specjalnej potrzeby do czuwania, dlatego pożywiwszy się nieco, kładę się na łożę z zamiarem zaśnięcia. Łatwiej zamierzyć jak zasnąć; jakieś dziwne myśli i niepokój mną owłada i długo, długo zasnąć nie daje. Czy może Irenka, o której myślę, także się niepokoi? Czy Dziewczyś może także myśli o niewdzięcznym junaku, będącym powodem zakłócenia jej spokoju? Hej! Gdybyś wiedziała Rychna, jak Ty nade mną panujesz, jak Ty moją istotę absorbujesz! Ale Ci bynajmniej wyrzutów żadnych nie robię. Władaj Iruś, i daj zapomnienie, a jeśli to potrafisz, jeśli tego dokonasz, zyskasz moją wdzięczność przez całe życie!

23 Ogromnie się wyspałem – po prostu aż na lenistwo zakrawało – ale pomimo że z natury wstydlivy jestem, nie zarumieniłem się, bo to przecież na wojnie, więc wszystko uchodzi. Trochę w nocy przymroziło, ale jest nadzieja, że za parę kwadransów będzie na powrót nieodzowne błoto. Pogoda obecna mogłaby [nas] w normalnych warunkach do rozpacz doprowadzić. [Teraz] jednak zdążyliśmy się do niej przyzwyczaić, a raczej do [...] ustawicznego błota, do tego stopnia, że się z najzupełniejszą zimną krwią tratuje po bajorach butami, z wielkim trudem przez Antka „wyglanowanymi”. Przed południem robię dwukrotną wycieczkę do moździerz, które się obecnie znajdują w stadium pakowania do odjazdu paręnaście kilometrów w tył. Dzieje się to na skutek błota i zbyt miękkiego podłoża, nie pozwalającego na oddanie więcej jak parę strzałów z jednego miejsca, bo przy następnych zaczynają już tonąć. Z żalem je żegnamy i postanawiamy jakoś sobie bez nich radzić.

Dzień na ogół przechodzi spokojnie, bez żadnej bitki; spokojnie do tego stopnia, że przychodzi do nas generał i twierdząc, że z nudów miejsca sobie znaleźć nie może, proponuje partię wista. Wieczorem jednak zaczynają strzelać, dla uspokojenia dowiadujemy się, że to sąsiednia 21. Dywizja, tak na humor wzięła, i wiwatuje trochę; równocześnie jednak Pułk 64. na naszym froncie zostaje zaatakowany, ale odpiera szturm i po godzinie panuje wszędzie spokój. Z korpusu przychodzi dyspozycja, już nawet lepiej o niej nie mówić; jeśli przedtem co nie zajdzie, będziemy mieli najwyżej dwa dni spokoju. Dzisiejsza depesza o ogromnym zwycięstwie Niemców na Mazurach poprawia humory u wszystkich. Dostałem dziś pocztę. Po przeczytaniu listu od Irenki rady sobie dać nie mogę, że jej tyle przykrości przyspo-



Przeprawa baterii przez błotnisty dopływ Dunajca

rzyłem. Bobie moje małe! A takie dobre! No, ale przecież mnie chyba rozgrzeszysz po odebraniu ostatnio wysłanych kartek. Jakbym strasznie chciał uciszyć Cię Dziewczyś, ale sam osobiście!

24 Przycichły jakoś Moskaluszki, nie bardzo się rozbijają, a jeżeli zaczną, to zaraz rozeznąć można, że więcej chodzi o demonstrację, aniżeli właściwą bitwę. Dają się też codziennie łapać po kilku lub kilkunastu, przy czym twierdzą, że są bardzo głodni, nieświetnie im się więc zapewne z dowozami powodzi. Na ogół dzień spokojny, jakkolwiek u nas dosyć roboty, przygotowujemy się bowiem do ofensywy, mającej na celu odbicie Mezölaborcz, a zatem i węzła kolejowego. Jakkolwiek artylerii już jest na froncie moc, przybędzie jej w tych dniach jeszcze więcej i w ten sposób wszystkie możliwe przejścia będą pozamykane.

Dittrich chory ciągle, odjeżdża do Izbugyaradvány na lepszą kwaterę i opiekę lekarską. W następstwie tego stał się ważną osobą, co mnie poniekąd krępuje, jako że do podobnej roli przyzwyczajony nie jestem. W nocy stał się D. śmieszny wypadek, spowodowany brakiem wychowania u jednego z żołnierzy, mający jednak smutne następstwa dla całej Bogu ducha winnej przydzielonej do sztabu kompanii. Część ustawicznych partii karcianych w osobie Sandiga przybyła dziś w południe dla złuzowania Delabra; zawsze mnie musi swoim widokiem prześladować, co mu miałem sposobność zakomunikować zaraz przy powitaniu. Takie w tej naszej obecnej sadybie błoto, że hej! Z przysłanej przez Władka książki uczyć się kolosalnie dużo, bo przeszło 10 minut ją dziś studiowałem. Poczty dziś nie było żadnej – czytam więc znowu wczorajszą i... [myślę, że] Irenka to jest

strasznie egzaltowana osóbką; przy tym nieprzyzwyczajona do tego, by jej nie kochano!

25 Pogoda jak zwykle ponura: bez zbytniego też zapału wstaje się do codziennego kieratu, chociaż zdrowie dopisuje. Humoru – jakiegoś impulsu – brakuje, a ja tak strasznie nie lubię przepędzać szarych dni. Hej życie! Taki ładny wynalazek, a taki czasem uprzykrzony! Ale w końcu nie mam zbyt wiele czasu do zastanawiania się nad tym, bo roboty znajduje się tyle, że trwa prawie bez przerwy, aż do wieczora. Całą przerwą była w południe wycieczka do 6. Baterii. Dalsze przygotowania do mającej niedługo nastąpić bitki. Zjeżdżają się komendanci baterii, dywizji i całych grup, wyjeżdżają znowu w pole, rekognoskują etc. W ogóle zniknął dla nich spokój, zwłaszcza dla tych, którzy do teraz wypoczywali w tyle. Kapitan W. dostał Krzyż Zasługi; paru oficerów przy 29. Pułku znowu dekorowanych. O mały włos, a byłbym dziś pojechał do Koszyc, ale się rozmyśliłem i wytłumaczyłem mnóstwem zajęć. Zastąpił mnie por. Jasiński, który między innymi i moje sprawunki pozałatwia. Poczty ciągle nie ma, i to nie tylko dla mnie, ale co zastanawiające dla całej dywizji. Objaw bynajmniej nie pocieszający, ale w końcu przecież płakać nie będę, bo jestem dorosły, a zresztą jeżeli mi się nie podoba, to mogę iść na saneczki... dla stłumienia w sobie itd., itd.

26 Zamarzło w nocy i można bezkarnie chodzić po wcześniejszych bajorach; jest atoli nadzieja, że do południa zdążą powrócić zwykle błotniste stosunki. Przed południem zjawia się nagle niespodzianie komendant korpusu⁵⁵, co każdy, po krzyku i nieludzkich przekleństwach, z daleka już łacno

rozeznąć może. Wpada do naszego pokoju i wyraża życzenie zorientowania go w sytuacji artylerii. Następuje potem przeszło godzinę trwająca konferencja i namawianie się, że w taki a taki sposób najlepiej będzie wyzabić wszystkich Moskali. Całe szczęście, że w takich wypadkach nie mam żadnego decydującego głosu i mogłem się wyrwać na śniadanie, które obecnie od jakiegoś czasu i za obiad nam musi wystarczać. Po konferencji znikła owa zagadkowa figura w sposób równie niespodziany, w jaki się i zjawiła. [Dzięki temu] powiększa się też towarzystwo przy stole, a generał nawet bierze na humor i robi zdjęcie z biesiadującego towarzystwa.

Amunicyjny nadporucznik L. opowiada o zamierzonym wysłaniu 10. Korpusu jako załogi na zajęcie zdobytej Bukowiny. Nie wierzymy mu naturalnie gremialnie, czym się czuje dotknięty i ogłasza o jednostronnym pokoju francusko-niemieckim; jeszcze lepsza zabawa, aż w końcu pojechałem do Izbugyaradvány dla załatwienia paru rzeczy przy 2. i 21. Dywizji, po pocztę etc. Przeważnie szpital, bo tylko dwóch z pozostałych tu ludzi spotkałem chodzących, reszta, nie wyłączając Zygmunta, leży i... jest chora. Pocztę się nie doczekałem, bo jeszcze nie przyszła. Idziemy więc z nadporucznikiem P. piechotą przez tor kolejowy, bo droga bez porównania lepsza. Piechotą idąc chcę oszczędzić konia, który mi się gdzieś skaleczył i kuleje nieco; szkapa szła za mną jak za dobrym znajomym, o mało, że się bydlęcia uściskać nie chciało! Nic mnie przy wieczornym stole debaty nie zajmują, do tego stopnia, że ignorując towarzystwo, i zapowiedzianą pocztę, kładę się z zamiarem uśnięcia. Ciekawy objaw, że po nocach spać nie mogę, chociaż się czuję całkiem zdrów, przez dzień się urobię i zmęczony je-

stem należycie. W samym Ökreskö już dwie bezsenne noce miałem. Starzeje się człowiek, nic nie pomoże!

27 Ładny, słoneczny dzień się zaczął dzisiaj, a z nim krzątania. Chodzi o to, żeby cała artyleria pojęła swoje zadania, wypośrodkowała wszystkie kierunki strzałów, przeprowadziła strzelanie próbne, w ogóle, przygotowała się do jutrzejszej akcji. Obydwie sąsiednie nasze dywizje zaczynają jutro ofensywę⁵⁶, my mamy wstrzymywać ewentualny napór i całą naszą artylerią pomagać w przedsięwzięciu; a artylerii teraz tutaj dosyć! Około 9.00 jadę na front do kap[ita]na Kucz., dawnego mego komendanta szkoły, na Wróblowym koniu, bo na innym bym się tam nieprędko dostał. Droga straszna, dobrze, że konisko nóg nie połamało. Jakim sposobem wyciągnęli te armaty na górę po tej drodze, tego dotychczas sobie uzmysłwić nie potrafię. Co prawda, odległość nie większą jak trzy kilometry przebywali od wczoraj 2.30 po południu, do dziś 6.00 rano; ale pomimo tego dokonali wielkiej sztuki. Na górze zimno jak diabli.

Sprawa, z którą przyjechałem, wzięcia pod ogień nieprzyjacielskiej piechoty na odległej górze, okazuje się bardziej skomplikowaną, niż się to zrazu wydawało, głównie skutkiem prawie niemożliwości obserwowania. Zostaje wysłany obserwator, i dopiero po pewnym czasie wypełnia kapitanisko poruczone mu zadanie. Zgubiłem sobie po drodze jedyną mapę i doświadczyłem znowu, jaką rolę odgrywa nos – instynkt. Wróciłem do dywizji na moment, kiedy przyprowadzono paru jeńców, jak się okazało Niemców, kolonistów znad Wołgi. Wywagonowani w Brodach, szli piechotą aż na front, artylerzyści, gwałtem przerobieni na piechotę, a nie umiejący się nawet dobrze z karabinem ob-

chodzić. Dowodzi to, że już i Moskale wszystko możliwe na front wysyłają. Wymienieni koloniści przyszedli wczoraj, dziś naturalnie dostali się już do niewoli; ogromnie dużo śmiechu jest z nimi, bo strasznie wesoło na różne pytania odpowiadają. Nie mogę się zebrać na wysłanie poczty, bo ciągle czasu brakuje. Przenosimy się z brygadierem do innego domu, bo go sromotnie z dotychczasowego mieszkania wyrzucili. W nocy znowu nie mogę spać, aż mi się nawet na przeklinanie zbiera!

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

28 ^aPewnie już niedługo będzie wiosna albo przynajmniej marzec, bo dzień taki piękny, jak rzadko. W nocy świecił księżyc tak ładnie, jak rzadko. Rano świeci znowu słońce, ale tak pięknie, że aż się zrywamy obydwaj ze starym o 6.00, pomimo że się nam nie pali. Wojny jednak nie słysząc, nie wiem, czy zmieniono dyspozycję, czy kiego grzycha. Dość, że panuje względny spokój, tak jak gdyby się nigdy bić nie zamierzali. Jak przyjdzie taka pogoda jak dzisiejsza, to nawet żal sobie uzmysłować, że to wojna, bo aż szkoda takich ładnych dni. Zdrów nie jestem. Głowa mnie boli wzorowo, pomimo że najadłem się aspiryny około pół funta. Ratz bacsi już zdążył urządzić gdzieś kąpiel, na którą mnie zaprasza, ale nie mogę skorzystać, właśnie [z powodu] bólu głowy. Przyjechał pułkownik H. ze szpitala, wyleczony z rany zadanej w rękę; znajomy mojego starego, będziemy więc mieszkali we trójkę. Antka skłamał dziś za to, że kobyłę nogą boli, zrehabilitował się wypraniem bielizny, ale do niebywałej białości! Bez żartu, najstarsi ludzie nie pamiętają, że bym miał taką białą bieliznę.

Podostawialiśmy znowu różne rzeczy, jak gumowe płaszcze, tłuszcz na buty, flaszki „Termos” itp. zabezpieczenia

na słotne czasy; jeszcze mi tylko brakuje gumowego kap-
tura, kaloszy, parasola i wachlarza od much, a byłbym już
całkiem nowożytny żołnierz. Przyjechał Pr[chal] i znowu
daje nam pensję; dopłacać muszę jeszcze do tego przedsię-
biorstwa, ale nie na darmo jestem sobie hrabia. Poczczę eks-
pediuję przez cały dzień, bo mi ciągle przeszkadzają i nie
mogę pięciu minut na miejscu usiedzieć. Strzelają wszyst-
kie baterie od południa począwszy, ale pomału, ostrzeliwu-
jąc przydzielone sobie cele. Wcześniej, bo około 9.00, kła-
dę się spać, z zamiarem wyleczenia bólu głowy. Około 3.00
budzi mnie stary, prośbą, żebym wyrzucił kota robiącego
harmider [!]. Można sobie wyobrazić, z jaką wściekłością
urządziłem na tego hycła polowanie, uzbroiwszy się w buta
z ostrogą. Do rana dospało się bez żadnej już wojny.

Marzec [1915]

1 Oddzielił się stary miesiąc od nowego śniegiem. Znowu
biało naokoło, nie ma wczorajszego słońca, znowu ponury
dzień i horoskopy na błoto, które już miejscami powysycha-
ło. Z samą wojną znowu spokój. Nie zaczepiają nas, nie za-
czepiamy i my. Zdaje się, że tak długo jest dobrze, jak dłu-
go cicho siedzimy; ruszymy się, znowu się nam co oberwie.
Okropne rzeczy wyczytuję w gazetach o nadużyciach Mo-
skali w Kołomyi – wierzyć się nie chce! Zabrałem się do pi-
sania urzędowego dziennika i na tym mi dosyć czasu scho-
dzi. Kobyła trochę zdrowsza, ale jeszcze całkiem na nodze
nie stoi.

Rozpadał się śnieg po południu na nowo, aż żal ucieka-
jącej wiosny, z którą było tak wesoło! Najbardziej nie lubię
ponurych dni, a znowu się na nie zanosi. Jak prędko się na

wojnie ludzie żyją, dowodem moja konfidenca z nadpor. Rudolfem, bezpośrednim moim przełożonym. Tak sobie razem pracujemy i tak się lubimy, jakbyśmy się już nie wiem odkąd znali. Swoją drogą, chłopak miły, inteligentny, przystojny, więc się lubić daje, jest zaledwie parę dni [różnicy wieku] między nami, ale już w paru pierwszych godzinach zaaklimatyzował się w nowym ośrodku doskonale. Roboty wiele nie ma, aż się oglądam za jakimś zajęciem. Ba! Nawet drzemka poobiednia dziś była! Wieczorem gadania przy stole jak zwykle, jak mi się już strasznie przykry!

2 Że pracuję umysłowo, dowodem moje obliczenie, że po 30. dniach będzie kwiecień. W zasadzie jest mi wszystko jedno, kiedy ten miesiąc nastąpi, natomiast niecierpliwie czekam na ten, w którym się wojna skończy. Żeby się, psiakrew, człowiekowi tak nie przykryło, byłoby wszystko dobrze, a tu jak na złość jakiś ciągle niespokojny jestem, jakby mi czegoś brakowało, czy ja wiem wreszcie, co mi jest! Już nawet taka rzecz, jak jazda do rowów strzeleckich nie pomogła, chociaż tego rodzaju eksperymenty zawsze są zajmujące. Smutno mi i tyle.

Przed południem przychodzi na górę Zygmunt, obdarzony nową czynnością, Sandig za to schodzi na jego miejsce do Izbugyaradvány. Również Górka idzie z powrotem do szwadronu, zluzowany przez... wachmistrza. [Górka] zły, że mu urlopu nie dali; radzę mu, żeby kpił z tego, i w ogóle najlepiej o nic nie prosił, ale [mi] nie wierzy, tylko powiada, że psiakrew, cholera! Wywołuje wilka z lasu, bo nam na wiosnę cholere obiecali. Rudolf się urządza bardzo dowcipnie, bo całą robotę na mnie zwała, a sam sobie idzie na spacer – ja mu pospaceruję! Po południu atakuje 45. L. Dy-

wizja Strzelców⁵⁷, do niej przyłącza się część 21. (lewe skrzydło), obydwie razem domagają się pomocy naszej artylerii. Strzelać, to strzelać, będzie weselej! Biją też haubice, kanony i ciężkie haubice, od ucha! Wczorajszy atak 24. [Dywizji] przyniósł w zdrowych jeńcach 2000 ludzi i 19 oficerów, może się i 45. dziś poszczęści; a szanse na powodzenie są, trzeba tylko ochoty! Rola naszej dywizji jest o tyle nieprzyjemna, że zachowujemy stanowisko wyczekujące, i służymy tak do zatkania ewentualnej luki. Około 9.00 wieczorem aranżuje LIR 6.⁵⁸ tzw. *Feuerüberfall*^a, znowu przy współudziale artylerii. Demonstracja mająca na celu przytrzymanie pewnej grupy na miejscu. Wychodzę na pole przysłuchać się, jak strzały rechoczą, i pomimo że wiem, że to tylko demonstracja, dziwnie mnie ten zgiefk nastraja. Przypominają mi się poprzednie bitwy, kiedy po takim grzechocie ciągnęły setki rannych, brakło Janka, jeszcze tam dawno pod Izdebnem; i tylu cichych bohaterów, których nawet pogrzebać nie było można. Ha! Wojna! – wynalazek najdoskonalszego tworu Bożego – człowieka!

Strzelamy tylko przez godzinę, bo na zapytanie przy 21. Dywizji, kiedy zaprzestać ognia, otrzymuję około 9.30 odpowiedź, że można pomału kanonadę kończyć. Zakomunikowałem to spracowanym dziś porządnie artylerzystom i niedługo ucichli. Zabieram się do zestawienia wszystkich dzisiejszych czynności, dla jutrzejszego przedłożenia generałowi, i jestem z tym około 11.00 gotów. Usnąć jakoś nie mogę, bo mróz przy jasnej księżycowej nocy wymaga mojego zastanowienia się nad nim. Dostałem życzenia od Irenki. Nie! Ja nie jestem normalny człowiek!

^a Zaskoczenie ogniem, napad ogniowy (niem).

3 Znowu sypie śnieg, tak że się chyba zaczęę za nartami rozglądać, czy co? Przeklinać nie chcę, bom nie szewc, wyjechać np. do Włoch nie mogę, bom nie hrabia; i co tu zrobić? A sypie i sypie bez przerwy. Zastanowiło mnie wczoraj, że każdego pytali, jakim językiem włada. Okazało się, że chodzi o wysłanie parlamentarza^a do okopów rosyjskich, żeby tamtejszemu wojsku nagadać od bydłat i innych dzikich ludzi, bo strzelają do nas kulami dum-dum i jeszcze inne nierycerskie rzemiosła praktykują. Pojechał kpt. Bol-desku, mówiący po francusku i rosyjsku, jakiś nadporucznik z komendy armii i paru innych oficerów. Kapitan Bol-desku chciał mnie zabrać ze sobą, ale brygadier nie pozwolił, dziwny czasem ten mój stary. Powiada mi później, że ekspedycja może być przez pomyłkę lub umyślnie ostrze-lana, obeszło się więc beze mnie, że nie pojechałem. Teraz się boi, ale wysyłać mnie czasem w miejsca, w których mi było czasem bardzo ciasno, to się nie bał.

^a Parla-
menta-
riusza.

Wyjeżdżają ci panowie nieco po godz[inie] 9.00 rano, z białą chorągwią i trębaczem. Jak to żołnierze ujrzeli, oho! Zaraz komentarze, że jadą zawierać pokój. Podśluchałem nawet taką rozmowę: „ty durny – to nie żaden pokój, tylko taki niby to, a oni się tymczasem dobrze popatrzą, że-
byśmy wiedzieli, gdzie później strzelać. Tyś sam durny, bo jak jadą z trompetem^b, to tylko robić pokój”.

^b Tu:
trąbka.

^c Wizytacja
dywizji,
przegląd
broni
(niem.)
*Gewehrvi-
sitation.*

Pojechali i długo ich widać nie było. W międzyczasie zje-dliśmy śniadanie, Zygmunt trzymał gwerwizytę^c. Później chciał mnie fotografować, ale się światło zepsuło, bo śnieg zaczął padać, a parlamentar[iuszy] ciągle nie widać. Czy ich śnieg przysypał, czy kij grzych? Przyjechali wreszcie po [godzinie] 2.00, i opowiadają o bardzo grzecznym przyje-ciu, o wyklinaniu Moskali na wojnę, o szczęśliwym przyby-

ciu i powrocie etc., etc. Szkoda, że z nimi nie byłem, boby mi się podobało tak sobie troszkę pogłoglować, no – ale stało się. Popołudnie schodzi na ciężkiej pracy w pocie czoła.

Odetchnąć można dopiero wieczorem przy obiedzie; słuchamy wszyscy możliwych i niemożliwych opowiadań por. Jasieńskiego, przybyłego świeżo z Koszyc; jedyny wypadek, kiedy się go słucha z zajęciem. Ciekawi jesteśmy na sytuację koło Stanisławowa⁵⁹, ale i on niewiele się dowiedział, ponadto że są w tamtą stronę wysyłane ciągle transporty wojska, także pruskiego. Napięcie też musi tam być porządne i o wielkim znaczeniu. Na naszym froncie cicho, obustronna postawa wyczekująca. Naprzywoził Jas[ieński] różnych rzeczy, któreśmy sobie pozamawiali; z wszystkiego jestem zadowolony, ale mu muszę przyznać, że ma pomidora w głowie, bo mi kupił dwa kawałki mydła za... 7 K. 60! Nie wiem nawet, co z tym meblem zrobić, i czy się w ogóle takim mydłem myć można. W każdym razie, szopa jest! Zajmuje się wielce moją osobą nadpor. Traüff i wyciąga mnie na przeszło godzinną rozmowę, nie wiem naprawdę, w czym dla niego zajmującą. Niedługo potem, zawiadomisz korpus o stanie naszej amunicji, poszedłem spać, a raczej się położyć, i studiować mowy obce.

4 Pomimo całej uroczystości dnia, nie chce mi się wstać, boć zawsze imieniny imieninami, a leżenie leżeniem, i jedno chyba drugiemu w niczym przeszkadzać nie powinno. Zachodzi jednak inny wzgląd, mianowicie panowie pułkownicy już wstali, nie wypada więc mnie, mizernej figurze, w ich obecności się wyciągać. Ha, no! Słońce jakoś chwila mi się pokazuje – prognostyk na wesołość albo zadowolenie? Skądś się zwiedzieli o moich im[ieninach], bo mi wszy-

szy przy śniadaniu gratulują, jakbym się co najmniej ożenił, czy kiego grzycha. Najszczerzym był jednak Zygmunt, bo tak od serca powiada: „Życzę ci szczerze, żeby cię szlag trafił, i to możliwie najprędzej!” – i jak tu wątpić w szczerść życzeń? Z robotą załatwiłem się wczoraj, upchnąwszy jej dosyć, niewiele jej na dziś zostało. Mogę się więc swobodnie przypatrywać Zygmuntowi jak „zdejmuje” ordynansów, zajętych myciem talerzy i szklanek w kuchni; taki brak pocucia piękna! Miałem przy tej sposobności honoru zakomunikować, że jest bydlę – i to „ordynarne, jakie nie bywa”, czym sobie zasłużyłem na jego względy i przyrzeczenie, że mnie „zdejmie” także. Czego może dokonać pochlebstwo!

Na froncie spokój, nic się nie bijemy, z wyjątkiem ostrze-
liwania przez artylerię tzw. wdzięcznych celów – techniczne wyrażenie niemieckie, ale dlaczego akurat wdzięczne, nie wiem. Przecież chyba nikt nie jest wdzięczny, jeśli się go trafi np. w oko, a wdzięczenie się do kogoś strzałami byłoby co najmniej oryginalne. No, i Zygmunt nie dotrzymał przyrzeczenia, bo twierdzi, że światło kiepskie i mogłoby się zdjęcie nie udać. Mówił to z taką miną, jakby mu się które kiedykolwiek udało.

Wziąłem więc patyka i poszedłem na spacer z oficerem prowiantowym (!) (już się do tego stopnia nie szanuję!), podczas którego omówiliśmy w głównych zarysach kwestię pokoju europejskiego, sprawę najaktualniejszą, niecierpiącą zwłoki. I niechby kto wobec tego śmiał przypuszczać, że nas sprawy bieżące nie zajmują, że tutaj może płeśniejemy! Wróciliśmy prawie na obiad, kapral Chromy, kucharz nadworny, powiada, że z racji moich imienin zrobił wiedeńskie sznycle – ano, to dawaj! Przegwarzyliśmy resztę wieczora

ru i skończył się dzień uroczysty. Robię uwagę do Zygmunta, że w polu obchodziłem urodziny i imieniny, należałoby obchodzić dla kompletu zaślubiny, chrzciny itp. pory roku, wykluczając jednak, o ile możliwość, również ważną w życiu (!) człowieka chwilę, pogrzeb. Zygmunt potakuje końskim kiwaniem głowy, wobec czego żegnam go serdecznymi słowami: „serwus bałwanie”, i idę na kwaterę. Tu dopiero oddaję się przyjemności wertowania otrzymanej pocztę, dosyć licznej i więcej niż serdecznej.

Około 2.00 w nocy budzi mnie stary, zaniepokojony strzałami, które słyszeć nadto wyraźnie, aby pójść zorientować się, co [to] właściwie za strzelanina. Miałem mu ochotę powiedzieć, że na wojnie dosyć często się zdarza, że strzelają, bowiem wściekły byłem za przerywanie mi snu. Ze złości naciągnąłem na bieliznę tylko płaszcz i poszedłem do telefonu, myśląc po drodze z irytacją, że dobrze mi tak, że niech się zaziębię, że niech mnie diabli wezmą itd. Okazało się, że na naszym froncie najzupełniejszy spokój, a strzelają przy 7. Korpusie, co nas, a w każdym razie mnie, nic nie obchodzi. Nie spali jednak jeszcze długo obydwa pułkownicy, komentując każdy następny strzał.

5 Naturalnie, że nie jestem wyspany, ale to już taki los, psia pies, na tej wojnie, że jak ci spać nie dadzą, to później jesteś niewyspany. Strzelanina nocna trwa ustawicznie, chociaż już nie z taką siłą; ciekawym, czy tym razem ten sławny (!) 7. Korpus odniesie sukces, czy mu też, czego zwyczaj, złatają skórę; nie chcę niczego przesądzać, ale to drugie prawdopodobniejsze! A u nas spokój – ciągle spokój – do tego stopnia, że mi się aż przykrzy za bijatyką. Może taka niecierpliwość jest nieładnym objawem, ale tak jakoś strasz-

nie się przykrzy siedzieć na miejscu i nic nie robić albo mało robić.

Całe szczęście, że sobie potrafię zawsze jakąś robotę wyszukać, i tak mi jakoś czas zejdzie. Wiosna ucieka od nas, że jej dogonić nie można, a szkoda! Weselej ze słońcem i życie jaśniejsze, a żyć chciałoby się chwilami strasznie! Zwłaszcza jak się poczuje w sobie młodość, do której cały świat należy! A z tego świata na razie tak mało! I tylko tyle, że z Irenką można chwilami porozmawiać, ale i Ona nic nie słyszy, bo daleko moja Dziewczyś, daleko! Ale taka droga! Zawsze potrafi smutki porozpędzać, jak jej w oczęta popatrzyć. Hej, Iruś! Dobraś i taka kochana, że się wojakowi już całkiem zatracić nie pozwalasz! I mijają tak dni bez Ciebie, i ile ich jeszcze minie?

6 Zerwać się musiałem wcześniej, dla sporządzenia sprawozdania z wczorajszego dnia panu generałowi. Pan generał jeszcze nie wstał, więc pan generał będzie na tyle cierpliwy, że sobie nasamprzód zjem śniadanie, następnie poprawię drugą porcję, a dopiero potem zabiorę się do roboty. Wystarczyło na wszystko czasu, bo byłem gotów, kiedy pan generał był wyspany, a ja najedzony. Przyjechał do nas nowy oficer-ordynas, ale zapomniałem, jak się nazywa, wiem tylko, że jest baronem, a więc odpowiednio do tego matołkowaty. Zresztą, Panie Boże, odpuść, mnie ten dobry człowiek nic nie obchodzi. [Nadpor.] Rudolff jest na tyle dowcipny, że mnoga część swojej roboty na mnie zwała, a ja nieboraczek nie sprzeciwiam się temu. Co prawda, wolę jak jest coś do czynienia, ale znowu nie same administracyjne rzeczy. Raczej [lubię] gdzieś pojechać, wywietrzyć [się], wyszukać, i słuchać później, żeby przynajmniej huczało!

Tak po męsku! Po żołniersku! Tak jak mnie w szkole uczyli. Konisia mi jeszcze nie całkiem wyzdrowiała, nie jeżdżymy też od paru dni nigdzie, nawet na spacer. Odwiedzam ją tylko w jej mieszkaniu i osładzam jej smutne chwile kradzionym przy śniadaniu chlebem i cukrem; a ona tak się do mnie odnosi, jakby się jej to prawnie należało.

Czynny jak zwykle Ratz baciś skonstruował w jednej chałupie łaźnię – prawdziwą, czynną łaźnię! Skądś wyszukał jakąś wannę, odkomenderował dwóch ludzi do grzania wody, tak że kąpać się można każdej chwili, używać kąpieeli, i to ciepłej. Nie uchylam się więc od sposobności obmycia grzesznego cielska i czynię to przy pomocy Antka, który mi szoruje plecy do czerwoności z takim przejęciem i takim ruchem, jak to czyni czyszcząc zgrzebłem zbłoconego konia. Wychodzi zapewne z założenia, że jak pucować, to pucować, i nic nie zważa, że pan kadet przy tej operacji o mało ze skóry nie wyskoczył. Przynajmniej teraz nikt mi nie może zrobić zarzutu, że jestem brudny, bo „świadczę się Antkiem”, że jest przeciwnie. Po tej kąpieeli zaczęła mnie wieczorem trząść jakaś „frybra”, ale nie przykładam do tego wagi, bo i nie ma o czym myśleć. Usnąć mi się jednak nieprędko udało.

7 Śnieżyisko się w nocy na nowy zawód rozpadało, zamarzło – i zima jak się patrzy! Wprawdzie z rana pokazuje się słońce dosyć wesoło, ale nie zmylisz mnie, o zdradliwa pogodo! Kłuje mnie znowu, na odmianę pod łopatką, bo już coś podejrzenie za długo zdrowy byłem. Noce są znowu takie mroźne (do -10°C), że wypadki odmrożeń zwiększają się na nowo; i to się nazywa wiosna. Wychodzę trochę na spacer, przypuszczając, że to kłucie wydecham na świeżym powie-

trzu, ale [choć] poszedłem dosyć daleko, a nawet spotkałem po drodze psa, który przyłączył się do mnie na towarzysza, nic nie pomogło i sztycha jak sztachało. Nie wiem, co mam ze strapienia robić, bo wobec takich objawów jest chyba perspektywa, że za parę dni umrę. Aha, umrę, zaraz mi się tak spieszy umierać, kiedy można jeszcze niejedno głupstwo w życiu zrobić, a to przecież najładniejsze momenty życia – przywilej młodości!

Przyleciał Zygmunt i opowiada, że nam się zdjęcia przebijacznie udały! Nie uwierzę, aż zmierzę, myślę sobie, a do zmierzenia nie palę się zbyt, bo mnie nie zdjął; przekonałem się jednak później naocznie, że rzeczywiście fotografie dobre. Uciecha, gratulacje, o małości się nie poopijali z radości! Wieczorem dostaję znowu dwie kartki od Irenki, i tak się cieszę, jak dziecko. Zauważono nawet mój dobry humor przy stole, i komentowano na rozmaity sposób, ale nikt nie wie, że to taka jedna maleńka Ilusia sprawiła tyle uciechy Zikowi. A ja też nikomu o tym nie mówię, bo Irenka jest tylko moja – moooja!

8 Te konie, które stoją na polu, to chyba naprawdę pozamarzają do szczytu, bo takie zimno w nocy, że się wierzyć nie chce. Bacsi wyciągnął skądś jakieś sprawozdania i dowodzi, że nie należy rezygnować ze śniegu nawet w kwietniu, bowiem dowodzą wieloletnie doświadczenia, poczynione w tych okolicach, że śnieg w kwietniu, to tu nic dziwnego. Ostatecznie, jest mi to wszystko jedno, ale gdybyśmy do kwietnia nie poszli naprzód, i zmuszeni byli tu tkwić, tego sobie nie wyobrażam.

Przypominam sobie, jak pisałem do domu przed Bożym Narodzeniem, że przyjadę na święta, ale chyba Wielkanoc-

ne; tymczasem na Wielkanoc jeszcze dalej zapewne odjadę; coraz bardziej mi się podoba to obliczanie końca wojny na [rok] 1916. Większość z nas jest zdania, że się wcześniej nie skończy, i nawet robią o to zakłady. Może mają i rację; ale ja się na to nie godzę, bo jestem zdecydowany optymistą i ciągle widzę rychłe i korzystne dla nas zakończenie wojny. Godzina 3.00 po południu, wybiegłem na drogę usłyszawszy muzykę, zjawisko niebywałe; okazało się, że wraca 89. Pułk od 24. Dywizji, przy której w ostatnich dniach walczył. Muzyka gra, ale żołnierzom nie do uciechy! Pomoczeni i uwalani w błocie, zaledwie naprzód idą, nie siląc się nawet na trzymanie kroku do taktu. Major, ich komendant, opowiada o ogniu, w jakim byli; nie cofnęli się, co prawda, ale też ani kroku dalej nie zdobyli. I biedne wojaki, myślę sobie – przy muzyce, przy wesołej muzyce – na nową rzeź idą. Ot, dola żołnierza, wypruj ostatni dech z siebie, dopiero co wtedy zrobiłeś swoje. Z żalem jakimś patrzyłem za nimi, jak się oddalali i zniknęli razem ze swoją wesołą muzyką w stronę, gdzie Moskale... z nowymi strzałami.

Zygmuntowi ruszyło się sumienie! Słońce świeci, wymówki więc w końcu nie ma. Zaprasza mnie też jako obiekt do swoich doświadczeń. Daję się jeszcze i tym razem wziąć na ładne słówka; biorę statyw za nogę i idziemy „telegrafować”. Zdjąłem go nasamprzód na tle „cywilnych dekunków”. Później obaj zdjęliśmy jakichś żołnierzy koło ogniska, a dopiero przebrnąwszy w bród rzekę [zdjął] mnie, mam wrażenie, znowu źle. Fotografowaliśmy jeszcze parę rzeczy po drodze, aż nareszcie poszedł do Izbugaradvány, i tyłem go widział. Przeprowadzam się na piechotę przez rzekę, tym razem już w pojedynkę, jednakowoż bez obawy zatonięcia, bo woda stanowczo za mała, ja zaś stanowczo za duży.

Reszta dnia mija bez wrażeń; zaraz po kolacji uciekam do osobnego pokoju i wypisuję Irencie trzy kartki, jak się patrzy; wszyscy myślą, że tak z pilności nie dotrzymuję towarzysztwa przy stole, a tymczasem, do Ilusi! Jak to dobrze Dziewczyś, tak sobie myśleć o Tobie! Przecież się daję namówić Zygmuntowi, żeby iść popatrzeć, jak wypadły wywołane zdjęcia. Robi koło nich zawodowy fotograf, po prostu odkomenderowany z pułku, jako że wszyscy tu fotografują, zawsze się więc robota dla niego znajdzie. Zdjęcia wypadły rzeczywiście dobrze, co jednak nie przeszkadza w tym, że idę spać, naciągnąwszy Zygmunta na dobranoc parę razy.

9 Taki ciężki jestem – tak się wstawać nie chce! Ogromnie nie lubię takiego humoru zaraz z rana. Dla przeciwnieństwa, obydwaj pułkownicy już powstawali, w świetnych humorach, i przekpiwają się ze mnie, że mi nie dosyć snu. Nie odpowiadam, ale sobie myślę, że mam już wszystkiego dosyć, nawet ich obydwóch razem, a nawiczej wojny. Bez zbytniego zapachu kroczę na śniadanie, i tu dopiero wyprawia Wójciu Maks takie hece, że człowiek [się] zastanawia, skąd się w takiej siwej głowie tyle humoru i dowcipu bierze; a tyle naszego, co się naśmiejemy. I tak się jakoś rozochociłem, że mi się aż na spacer iść zachciało. I dobrze zrobiłem, bo ogromnie mi się jakoś po drodze świat podobał! Takie te góry przepiękne, że aż się dziwię, dlaczego nie zawsze takie ładne mi się wydają. Ano! Prozaik ze mnie, ale choćby było inaczej, to Bogiem i prawdą, na poezję nie ma czasu.

Wróciłem do domu i obserwuję Zygmunta, wybierającego się w drogę i zażerającego się z tej racji w sposób tak zastanawiający, jak gdyby go z 10 dni głodzono. Już mu nawet uwagi żadnej nie robię, bo czuję, żebym przy tym zgrze-

szył, a to Wielki Post. Przyjeżdża po południu jakiś jednoroczny z 1. Baterii, dla zluzowania telefonisty, i uciechę mam z nim, bo... jeszcze nie był na froncie, więc powiada, że jest nieco podniecony. Chciałbym mu co pomóc, ale na podniecenie nie ma rady, musi się już sam przyzwyczaić. Powiada, że jeszcze nie słyszał ostrego strzału z armaty – udał mi się taki artylerzysta – nie bój się synku, myślę sobie, usłyszysz jeszcze niejednego! I przyszedł znowu wieczór, poprzedzony spacerem we trójkę z Zygmuntem i Prchalem. Roztrząsaliśmy podczas spaceru kwestię, jak się zachować w wypadku, gdyby nam Włochy⁶⁰ wypowiedziały wojnę. Po wyczerpujących debatach zgodziliśmy się na to, że nie zostawałoby nic innego, jak popakować manatki, ogłosić wysprzedaż i zwinąć całą firmę. Po spełnieniu tego obywatelskiego obowiązku, wróciliśmy do domu na wieczerzę. Przyszła poczta i... już drugi dzień nic od Irenki. Bardziej ucieszyłbym się, gdybyś napisała, ale i na milczenie się zgodzę, jeśli tak chcesz. Ze mną, jak z dzieckiem – tak, to tak – nie, to także tak! A może się Bobiko znowu gniewa? Przepraszam Iruś, najlepiej osobiście, bo nie zawsze się da wszystko wypisać, tak jak się czuje.

10 Zima coraz większa, nie zważa, że tylu ludzi w polu! Pogoda taka smutna, że aż żal; pomijając przykry wiatr, bynajmniej nie zefirek. Nie chce się nawet człowiekowi na świat patrzeć; bez zajęcia się też czymkolwiek, chodzę od samego rana, bo mi się nawet do żadnej roboty wziąć nie chce. Odwiedziłem tylko mojego chorego konisia, ale nic mu na te chore nogi nie lepiej. Przyszedłem do przekonania, że mu ta skóra pęka z mrozu, bo wiem, że Antek porządku pilnuje, a zresztą mi się przysięga, że wszystko to robi, co mu każe, więc i w tym wypadku nie jego вина.

I znowu przyszedł z pomocą przedobry bacsi, przypro-
wadziwszy jakiegoś węgierskiego konowala, który porząd-
nie rany opatrzył. Niczym a niczym dzień nieurozmaico-
ny – nawet moimi własnymi myślami, bo taki ocieżały je-
stem, że chodzę całkiem bez czucia. Wieczorem przychodzi
poczta, ale od R. Żal mi jakoś tego stworzenia, bo dobre –
ale co – co mam poradzić? Uciekłem po kolacji jak zwykle
do próżnego pokoju i wsłuchuję się w wyjący wiatr; takie
dziwne głosy w tym wicherze! I tyle smutku, jakby się ktoś
skarżył – imaginacja! Ale czy ja wiem, co mi jest? Dlaczego
jestem nienormalny? Tak straszn[ie] przykry ten cały dzisiej-
szy dzień!

11 Zaczyna mnie ten mróz zastanawiać, bo zamiast słab-
nąć, jest coraz większy; wiatr przy tym taki przjmujący, że
wystarczy być chwilę na polu, a przemarznie się dokładnie.
Czy ma się powtórzyć drugi Chwostejów tutaj, czy kiego dia-
bla! Moskale wykorzystują wiejący z północy wiatr, i ataku-
ją miejscami, jak dotychczas, na szczęście bez powodzenia.
Artyleria na ogół mało strzela, jakby jej lufy pozamarzały;
co prawda, to obserwatorzy niewiele ze swoich stanowisk wi-
dzą, bo śnieg [im] oczy zasypuje. Wszyscy czekamy na wynik
pod Stanisławowem, ale i tam musi się dziać nieszczegól-
nie, a zaraz byśmy mogli na naszym froncie lżej odetchnąć.
Przed nami są jacyś pierwszorzędni strzelcy – zabili nam oko-
ło 500 ludzi z 89. Pułku, i prawie wszyscy zginęli od postrza-
łów w głowę – dowód, że nie [byle] jaki przeciwnik, i że wy-
starczy tylko nos wytknąć z okopu, a już bracie, wypręgaj.

Cały dzień dziś jestem taki, psiakrew, przygnębiony, że
aż mnie złość na samego siebie bierze, bo żadnego bezpo-
średniego powodu nie ma. Schlesingera odwieźli dziś do

szpitala, bo się okazało, że ma tyfus; bolała go szyja, nazywało się zapalenie gardła, aż się nareszcie doczekał! Co raz więcej porządných ludzi odchodzi – najlepiej niech nas wszystkich diabli wezmą, bo już nawet nie wiem, jak kłąć. Wieczorem przywiał wiatr z pola skądś księdza Niezgodę; zawsze taki sobie serio-wesoły i naprawdę człowieka jakoś rozruszać potrafi. Z koniem nic nie lepiej i pewnie nieprędko na tym mrozie wydobrzeje. Poczty żadnej nie ma, bo zaawizowano, że pociąg gdzieś utknął po drodze, jak się darzy, to się darzy!

12 Jakiś szalenie niespokojny jestem, jakby się co niedobrego stać miało; co za uczucie znowu? Zaśnieżyło się już do reszty. Wiosna to abstrakcja teraz, chociaż już prawie połowa marca. Do żadnej roboty przez cały dzień wziąć mi się nie chce, tylko chodzę po polu, i sam się swoim niepokojem dziwię. Jakieś zamiary knuje generalicja, których dociec mi się nie udało. Wiem tylko, że prawie cała nasza piechota przesunięta zostaje na wschód, i prawdopodobnie komenda dywizji niedługo w tym kierunku się przeniesie. To samo z artylerią; co należy do 2. Brygady maszeruje na wzgórze, na wschód od dotychczasowych swoich stanowisk. Również reszta mojego pułku, wypoczywająca dotychczas w tyle, zostaje naprzód wezwana.

Od dziś nie ma mój brygadier komendy nad 21. Brygadą, z czym lwia część roboty dla mnie [przy]pada. Zacznie się pewnie niedługo na nowo, ale to już lepsze, bo się ma do czynienia z ludźmi, których się prawie wszystkich zna. Bój się iść spać, bo wiem, że prędko nie usnę, a to ogromnie męczące. Poczta znów mi dziś nic nie przyniosła. Dlaczego Ira nie pisze? Czego ja jestem taki niespokojny?

13 Taka przepaskudna pogoda, że to może jej wpływ znać w moim usposobieniu, bo aż kłąć mi się chce. Głowa mnie strasznie boli, ale niedługo znajduje się na nią lekarstwo, bo dzisiaj przeprowadzane przegrupowanie artylerii dosyć roboty nastrecza. Nie! Chwilami aż się żyć nie chce! A tu wytrzymać każą w takim ośrodku, i wśród tych warunków Bóg wie, jak długo jeszcze. Żadnego strzelania dziś nasza artyleria nie urządza, i bardzo dobrze robi, bo raz, że jeszcze nie jest na swoich stanowiskach, a po wtóre, że nie ma do czego; pozagrzebywali się Moskale w tym śniegu, że żadnemu ani nosa nie widać, mógłbyś więc mierzyć Panu Bogu w okna.

Strasznie mnie jakoś ten łeb boli – nie pomaga nawet tak wypróbowane lekarstwo, jak potrójna doza jarzębiaku! Poczta przysłała wieczorem, i taką straszną kartkę od Irenki przyniosła! Myślałem, że nie wytrzymam i za wszelką cenę muszę się znaleźć przy Tobie – choćby mi pieszo iść trzeba – a tu, jak na ironię, wysyłają mnie w pole – w noc, w zawieruchę – z tym szalonym niepokojem o Ciebie! Wypróbowano mnie dzisiaj dobrze! – i mocne mam nerwy, żem głupstwa nie zrobił! Jak ja strasznie nienawidzę teraz wojny, ludzi, wojska – wszystkiego, co ma cokolwiek z wojną wspólnego!

14 Spokojny jestem, całkiem spokojny, co nawet jest dziwnym w porównaniu do dni poprzednich, w których byłem bez powodu zdenerwowany. Spokojny jestem, bo wierzę w to, wiem, jestem przekonany, że Irence nic się stać nie może. Nie, Dziewczyś, nie pójdziesz do Bozi Drobiazgu, nie wiem jak mogłaś o tym pomyśleć! Taka maluchna, dobra Dziewczynka, za cóż by Cię niesprawiedliwość spotkać miała! Tak się uspokoiłem Iruś, że nawet nie bardzo niepo-

koję się o Ciebie. Cierpisz Robaku: utulić chciałbym, ulżyć, no nie mogę! Może Cię moje kartki trochę bodaj ucieszą. Widzisz, niedziela dziś. Widziałem żołnierzy idących z kościoła od spowiedzi. I każdy [z nich], chociaż niepewny jutra, wydawał mi się taki spokojny i zrównoważony – i jakaś otucha wstąpiła we mnie – że przecież jest Bóg sprawiedliwy, przynajmniej dla Ciebie! I nie boję się Iruś! Przeżyłem wczoraj wieczór, którego w życiu nie zapomnę, ale dziś jestem już całkiem inny. Wiem, że przyjdzie od Ciebie dobra wiadomość, i nic tej pewności we mnie nie wzruszy.

Około 9.00 wieczorem telefonują, że poczta przyjdzie około 11.00, albo może dopiero jutro. W każdym innym dniu byłbym się irytował, teraz czekam wprawdzie, ale spokojnie, tak pewny jestem, że dziś dostanę od Ciebie [wiadomość]: „Ziku jest mi lepiej i lepiej będzie”! To musi przyjść, bo to nie przecucie moje, to pewność!

15 I żadnej wiadomości. Uspokoilem się jednak prawie zupełnie, chwilami tylko złe myśli przychodzą, ale to mimowolnie, że tak nazwę odruchowe. Roboty jest dosyć, więc i czas jako tako schodzi, chociaż dzień się strasznie długi zdaje; gorsza noc, kiedy się jest zdany na pastwę własnych myśli. Szczepiono nas wczoraj przeciw cholerze w sposób zupełnie nowy, bo w pierś; skutek był ten, że wczoraj wieczór nie mogłem się sam rozebrać, zaś dziś pierś mi tak nabrzmiała, jak... lepiej o tym nie mówić. Boli tak, że nikomu [...] nie pozwalam dotykać chorego miejsca, i tyle mam pociechy z całego szczepienia.

Sandiga podejrzewają o tyfus, odtransportowali go zaraz do zakaźnego szpitala, i zdezynfekowali mieszkanie, jakby co najmniej w nim umarł. Znowu jednego mniej mamy mię-

dzy sobą. Pocieszyłem go na drogę, że jeśli tyfusu nie ma, to go w infekcyjnym pawilonie na pewno dostanie; tym sposobem rozstaliśmy się w serdecznej zgodzie. W ogóle, co do chorób zakaźnych, to u nas coraz [gorzej] pod tym względem. Umiera sobie wojsko jak muchy. Dla ostrożności zakazał generał podawania sobie ręki na powitanie. Ha! Im dalej w las, tym więcej drzew. Wczorajsza poczta, przyniesiona w południe, nic dla mnie nie miała – nic, ani słowa – ale spokojny jestem, jak powiedziałem, bo co mi zresztą innego pozostaje, jak samemu się uspokoić? Czekam dalej na wiadomość cierpliwie, bo wiem, że przyjdzie dobra.

Szef intendentury naszej dywizji został dekorowany Krzyżem F[ranciszka] J[ózefa]⁶¹, z racji więc podniesienia go do stanu rycerskiego pijaństwo prawie bez końca, aż mi dziwno było patrzeć na nich. No, chłop serdeczny, lubią go wszyscy, on wszystkich, więc porozumienie łatwe, zwłaszcza w sprawach, przy których można być wesołym.

16 Wyczytałem w nocy w gazecie, że Wacek Kaliciński leży chory w szpitalu w Krakowie. Uciecha, bo myślałem że w najlepszym razie dostał się do niewoli przynajmniej z odmrożoną nogą, a on tymczasem sobie choruje w Krakowie. Przychodzi mi do głowy, że nieźle byłoby tak położyć się koło niego, ale na taką chorobę, żeby można cały dzień patrzeć bezmyślnie w sufit; w innym wypadku zwariować by przyszło, choć nie jestem pewny, czy mi się to nie przydarzy. Hej! Znowu aż do wieczora czekać trzeba na pocztę! Ćwicz nerwy, panie Kazimierzu! Zygmunt skonstatował, że jestem nieswój i wziął na serdeczność, że go aż skłąć musiałem, jakkolwiek z przykrością, bo przecież się chyba mazać nie będziemy.

Po południu przyjechał Dittrich, dobrze nawet po swojej chorobie wyglądający. Kwaterujemy go u siebie, skutkiem czego powstaje ścisk, ciżba. Z całą uciechą go przywitałem, bo tak się człowiek do tej gęby przyzwyczaił, że go już czasami brakowało. Przy tym służbę robi całkiem inaczej, [niż] ten karciarz z powołania – dobre chłopcy obydwaj! Artyleria nasza robi po cichutku przygotowania, wysyłam też ordynansa na całą noc z rozkazem. Znowu wieczorem żadnej poczty – znowu ta sama depesza, że przyjdzie dopiero jutro. Wściec się przyjdzie, czy co?

17 Najautentyczniejsze słońce! Wprawdzie wiatr wieje z północy, ale go prawie nie znać przy blasku. Zabieramy się z Dittrichem rażno do roboty, a nagromadziło się jej dosyć, zwłaszcza rzeczy, których na swoją odpowiedzialność załatwić nie mogłem. I tylko ta troska, co się z Irenką dzieje, spokoju nie daje! Ale już chyba dziś poczta przyjdzie, bo niepodobna, żeby miało być inaczej. Rudolffa biorą z powrotem do 21. Dywizji, czemu on się opiera rękami i nogami, ale mu to nie pomoże. Przed frontem taki spokój, jakbyśmy już zapomnieli strzelać; czekamy i czekamy. Naturalnie, ogólne zainteresowanie, jakie też stanowisko zajmą Włochy, komentarzy jak to zwykle bywa milion, że aż się żołądek wywraca! Generał zaprosił kapelmistrza od 40., który ma wieczorem koncertować u nas na cytrze.

I przyszła poczta po południu! Kochane, drogie kartki przyniosła i zmienił się świat; tak się cieszyłem, jak małe dziecko – i co tu pisać! Inne życie w jednej chwili się zaczęło. Przyszedł wieczór, ten cytrowiec, i rozweselił muzyką do reszty. Kartkę do Irenki wszyscy przy stole podpisali, a ja roześmianą duszę całą jej posłałem!

18 Na pozór dzień podobny do poprzednich, ale tylko na pozór, bo wesół jestem, i nie taki zmięty, jak w ostatnim czasie. W mąg zrobiliśmy z Dittrichem co jeszcze do załatwienia zostało i hajda w pole! Błoto, że hej, ale mnie nie zrazi, bo taki swobodny się czuję. Muszę się wyhasać; na pożyczanym koniu, co prawda, ale moja kobyłka jeszcze ze mną w pole wychodzić nie może, bo nie całkiem wygojona; ale się pieszczoła najadła chleba, że aż jej inne konie zazdrościły!

Zygmunt taki dziś śmieszny, z pretensjami do mnie, że mu się w głowie zawraca! Taki pijak, a żaden pijak, to wszystko jedno. Poradziłem mu, żeby od dziś dnia pijał wodę, o ile możliwość sodową z sokiem, ale w końcu i on przyznaje, że pić należało. Ciągłe jeszcze jestem pod wrażeniem wczorajszych kartek. Cieszę się i cieszę, nic mnie innego nie obchodzi, co nie jest wesołe. Śnieg sypie powiększając błoto, ale mnie to nic a nic nie peszy, bo sobie jestem wesoły, i dobrze mi.

19 Piękny św. Józef! Nie ma co mówić! Na przemian deszcz ze śniegiem albo obydwą na raz, i nazywa się, że to dzień w wielkim poście, w którym szopy wyprawiać przystoi. I jak tu robić szopy, kiedy się wszystko pochowało po kwaterach, a samemu nie chce mi się brykać, bo błoto za duże. Nie wiem, czy to na skutek kiepskiej pogody, czy też i jakowej innej przyczyny, ale takie wszystko dziś złe, jak pieprz, i bez humoru. Dywizjoner wykrzykuje niezadowolony, mój stary krzywi nosem na Dit[tricha], cały generalny sztab znowu niewyspany, po wczorajszym pijaństwie, wszyscy chodzą pokrzywieni i niekontenci. Ja tylko jeden egzystuję, któremu się na śmiech zbiera wobec ogólnej niedyspozycji.

Na froncie ciągle spokój, i to coraz trwalszy; przedarła się do nas wiadomość o odstąpieniu Włochom przez Austrię

części swoich południowych krajów za wytrwanie w neutralności⁶². Ha! Skubie, kto może! Przebąkiwali, że Włochy wystąpią za to czynnie, wysyłając 400 000 wojska do Francji – byłoby to niezłe, ale tak nie jest. Korzyść przynajmniej ta, że wojsko zgromadzone na włoskiej granicy jedzie tu, na nasz front, co też zaraz czujemy, bo poczta się spażnia lub całkiem nie przychodzi. Pogoda dziś straszna, że się nosa na pole wytknąć nie chce. Dożyłem wreszcie chwili, w której ułożyłem się na spoczynek. Psia pies! Czegoś spać w nocy nie mogę!

20 Przed 5.00 rano kanonada⁶³, strzelanina, jednym słowem, wojna i zaburzenie spokoju domowego. Okazuje się, że Moskale atakują, i to na całym naszym froncie. Naturalnie, jak przypuszczać należało, pokrwawili trochę przy tym przedsięwzięciu, bo pozycje nasze bądź co bądź umocnione technicznie. Już około 8.00 rano miały nasze trzy dywizje do 1000 jeńców zdrowych; przed frontem 6. Pułku całe góry trupów, bo pardonu nigdy nie dają. U jednego ze złapanych znaleziono rozkaz armii, nakazujący ofensywę na całym froncie. Czy się już zwiedzieli, że mają nam nadejść posiłki?

Na szczęście, ograniczamy się na obronie i małych kontratakach, skutkiem czego naturalnie straty bez porównania mniejsze, niż u atakujących. Walka trwa cały dzień. Po południu rozjaśnia się nieco niebo, i zaczyna wiać silny północny wiatr, który za godzinę cały teren prawie że wysuszył. Ogólna atmosfera prawie że normalna, z bardzo pięknym spokojem pracują wszyscy. Wieczorem sytuacja prawie niezmieniona. Wydawanie dyspozycji dało mi się trochę odczuć, bo dopiero około północy pozatapiałem wszystko. Śpię za to jak kamień.

21 Wstaliśmy sobie w zupełnym spokoju, pomimo trwającej kanonady. Zdążyliśmy się poobmywać i ogolić, jak to w niedzielę czynić przystoi, i dopiero potem dowiedzieliśmy się, że jest nakazana gotowość do odmarszu, i to do odmarszu naprzód. Jeńców ciągle przyprowadzają, o ogólnej sytuacji nie zdążyłem się niczego dowiedzieć, ale zapewne idzie dobrze, kiedy mamy zamiar iść ku Galicji, a nie, jak dotychczas było, na Węgry. Popakowane wszystko, napisałem kartkę do I[renki], i czekam na dalsze rozkazy. Trapię się tylko, czy się kobyle po drodze nie pogorszy, bo niezupełnie zdrowa.

Pogoda prześliczna według kalendarza, zaczyna się wiosna 21 bm., co się też najzupełniej z rzeczywistością zgadza. Czekam i czekam na awizo do odmarszu, ale wielmożni panowie jakoś ostatniej decyzji powziąć nie mogą. W końcu, po debatach, wyjeżdżamy około 12.30 po południu. Koło kościoła w Ökreskö, drogą na Izbugyabéla^a. Kobyla, zamiast być za bardzo spokojną, jak to po jej chorobie przypuszczać należało, bryka jak wariat, co mnie czasami przyprawia o dobry humor, czasami o wściekłość. Słońce świeci przebijająco! Mijamy [miejscowości] Izbugyabéle, Bálintpusztę^b, wśród szalenie przykrej drogi, nakazującej co parę kroków przebywanie jednego i tego samego potoku w bród. Droga naprawdę niewypowiedzianie uciążliwa, do tego stopnia, że minąwszy Bálintpusztę postanawia generał, abyśmy dalej szli pieszo, żeby przypadkiem koniom nóg nie połamać. Sypimy też, pocąc się jak wariaty^c, na dyrekcję^d *Jagdschloss*⁶⁴. Spotykamy po drodze postrzelonego^e w głowę, którego niesie czterech towarzyszy... i myślę sobie, że to jednak głupia sprawa: być bez przytomności tak noszonym jak mebel.

^a Zbudska
Bela.

^b Valen-
tovce.

^c W oryginal-
nej wariaty.

^d W kierunku.

^e W oryginal-
nej postrzeleńca.

Po trudach dostajemy się do celu, tj. zamku, zbudowanego na przystanku podczas polowania (wł. *Scody*); o architekturze: pożałuj Boże! Zwiedzamy też zaraz na wstępie ten przybytek razem z Zygmuntem i godzimy się na to, że jak zwykle: niech go szlag trafi, bo ani drzwi, ani okien, ani żadnego innego wykończenia, które by tu bez troski mieszkać dozwalało. Niedługo jednak możemy się gniewać w tym sposobie, bo rozkaz generalski wzywa cały sztab na [godzinę] 6.00, jako że przedsięwzięty atak i dopilnować go potrzeba. Idziemy więc znowu pod górę, brnąc na przemiany to w śniegu, to w błocie. Po drodze znowu spotykamy ranego, któremu kula weszła wprawdzie w nos, ale za to ustami wyszła. Nie wiem dlaczego, ale mój stary nie pozwala mi się zająć nim, odwołując mnie bez potrzeby do swojej osoby.

Zaraz po przybyciu na wymienione wzgórze wysłał mnie brygadier do Baterii 4. z rozkazem, i do okopów piechoty, celem zbadania sytuacji. Znalazłem się tam w ogniu, ale tylko ręcznych karabinów, więc już z góry wiedziałem, że mnie trafić nie mogą, tym bardziej teraz, kiedy mam medalik od Irenki. Oddałem i ja przy sposobności około 30 strzałów z wypożyczonego od piechura karabinu, i jakkolwiek uśmierciłem paru, uspokajam się, że może tylko ranieni, i że wyzdrowieją. Refleksja, która przychodzi w chwili, kiedy się to zapisuje, strzelając bowiem, okropnie chciałem trafić – ale dokładnie – tak na śmierć. Nie przyznałem się starymu po powrocie do niczego, boby mnie znowu skrzyczał. Przemoczyłem nogi należycie, zmarzłem jak pies albo inna kość słoniowa, i dopiero wtedy przywieźli jakieś herbaty, która ożywiła humory, tym bardziej, że cel naszych dzisiejszych usiłowań, wzgórze 564, zostało wzięte, jako też około 1500 niewolnika. Około 6.00, tj. o zmroku, zyskujemy chwi-

lę zasłużonego spoczynku, przy prawdziwie koleżeńsko-
-żołnierskim nastroju, nieodróżniającym generała od ka-
deta. Rozpaliliśmy ognisko, przy czym naturalnie objąłem
urzędowanie, i mam tysiąc przyjemności patrzeć w płomień.

Widzę Irenkę, jak się cieszy, że Zika znowu dziś nie trafi-
li. Tyle głów wystających z okopów przestrelili, a jej chłop-
cu nic się nie stało, bo go bronił Jej medalik, bo Ona pamię-
ta – i kocha. I znowu jeden z najukochańszych momentów,
kiedy po fizycznym utrudzeniu zaczyna pracować myśl, nic
innego za przedmiot nie mając, jak tylko Ciebie Dziewczyś!
I ta przepiękna pogoda, to powodzenie, którego żołnierz
pragnie, ognisko przy cudnie zachodzącym słońcu – [...]
jedna cudna harmonia – i tylko myśl do miłowanej Dzięw-
czyny leci, i niczym jej powstrzymać! Drogie! Przekocha-
ne te chwile! A czemu to Rychna, jak patrzę w płomień, to
Ciebie widzieć muszę? Wrażenie, jak gdybyś ramionka swo-
je wyciągała w tęsknocie do Zika – a on by tak objął! Tyl-
ko że patrzę, bo więcej ich jest przy ognisku! Ryś! Rychna!

Około 8.00 wiecz[orem] wracamy do przygotowanych
w leśniczówce kwater. Przychodzę, aż ci tu i kucharz i in-
ne specjały, jednym słowem, dostaliśmy ciepłej zupy, i in-
nego tym podobnego mięsiwa, która to okoliczność bardzo
dodatnio na mój obuwio-przemoczono-kiepskawy humor
wpływa. Śmiechu naturalnie przy stole mamy z Zygmun-
tem co niemiara, bo co głupstwo powiem, to on znowu
drugie, i tak idzie bez przerwy. Już nie wiem, co z nim zro-
bić, chyba mu poradzę, żeby się powiesił, bo inaczej końca
z nim nie dojdę. Po kolacji naturalnie jeszcze milion robo-
ty, bo wydawanie dyspozycji, mających na celu wymordo-
wanie wszystkich Moskali w czambuł. Około godziny 3.00
kładą się wszyscy spać, ja zaś [zaczynam] dzienniczek pisać,

na czym mi schodzi chwil parę. Już dobrze naokoło chrapia, trzeba więc i mnie skończyć, jako że nie chcę obrażać P[ana] Boga, żeby nie powiedzieli, że się puszczam po nocy.

22 Powstawaliśmy rano raźnie, bo pogoda, jak przewidywałem, prześliczna. Mamy zamiar dziś atakować, z zamiarem głównie umocnienia się przez zdobycie góry Dielec – wyżyny ważnej, ze względu na dominujące położenie. Częścią wierzchem, częścią pieszo, idziemy na górę. Doznaję znowu rozkoszy, połączonych z cudnym widokiem przy bajecznej pogodzie. Z chwilą jednak gdyśmy się zaszyli w las, nie było czasu o niczym myśleć, bo stary, jak zwykle, Filar i Filar, i rozerwać by się chyba przyszło, żeby wszystkiemu zaradzić. Atak idzie dobrze, najbardziej interesujące w całej wojnie było jednak to, że tu w lesie, gdzie z trudem się dostać można, oddano mi pocztę z dwiema kartkami do Irenki. Znowu sprawka kochanego Ratza bacsiego, który był dowcipny przysłać pocztę za mną; ucieszyłem się też co niemiara. Około 2.00 po południu] zabieramy się z powrotem na dół, gdy przychodzi wiadomość, że Dielec Moskale wzięli, obsadziwszy go poprzednio trzema pułkami przeciw naszym 600 ludziom. Ostateczny skutek ten, że cofamy całą przednią linię paręset metrów w tył, oddając Moskalom znowu z trudem przez artylerię wczoraj wywalczone wzgórze 564⁶⁵. Kłąć mi się chce, ale w końcu dobrze nam tak!

Smutna wiadomość, na którą nikt z nas przygotowany nie był, dziś przyszła. Wujaszek, nasz kochany stary wujaszek, zmarł, nie wiem kiedy ani wśród jakich okoliczności, niemniej smutna wieść jest prawdziwą, bo depeszowano ją z komendy armii – nie zobaczymy już tego kochanego człowieka! Zygmunt się zryczał jak dziecko, i nic dziwnego, bo-

śmy go szczerze kochali. Najlepszy człowiek pod słońcem, nie doczekał końca wojny takiego, jakim go widzieć pragnął! Ponuro reszta dnia pod tym wrażeniem mi schodzi. Wiecz[orem] gorączkuję, i mam wrażenie, że mi będzie jutro ciężko wstać.

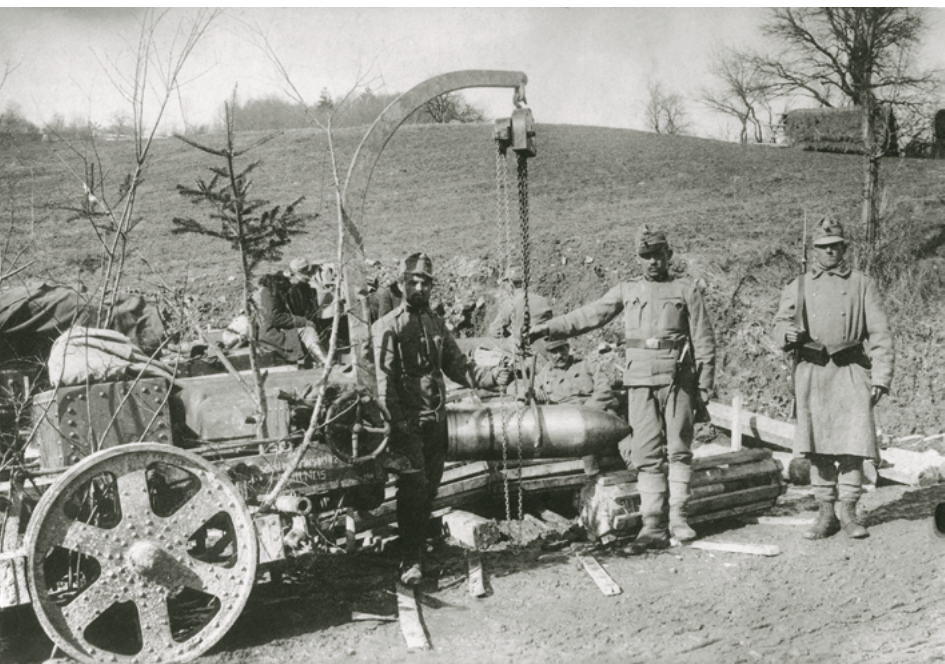
23 Spałem jak kamień. Około 4.00 rano budzi nas gwałtowna kanonada i strzelanina. Moskale atakują i powtarza się dawna historia – przeważające siły – wytraciliśmy trochę ludzi i cofamy się. Zaraz po śniadaniu wszystko spakowane i czekamy na odmarsz, mający nastąpić koło 11.00. Część artylerii jeszcze wczoraj ściągnęliśmy z pozycji i zajmujemy nową linię obronną. Już mnie aż peszy to ciągłe wracanie się. Około 10.00 przyjeżdża 4. Brygada Piechoty (komen-da), która zajmie dotychczasowe nasze legowisko; z nią mój przekochany nadpor. Materna. Miałem sposobność niejednokrotnie przekonać się, że to żołnierz z krwi i kości, co mu nie przeszkadza być zawsze rozsądnym, jak rzadko ludziom w jego wieku się zdarza, i posiadać tak dobre jak on serce. Szanuję go jeszcze bardziej za dzisiejsze znalezienie się. Było to przy stole; starszyzna przypisuje pogorszenie się sytuacji 89. Pułkowi, [do] którego nie wiem dlaczego uprzedzeni [są] wielmożni panowie^a; sypią się też pod adresem tych dzielnych zresztą żołnierzy rozmaite epitety, jak „bydlęta” etc. Wymieniać nie chcę! Jednym słowem, cała wina tylko po ich stronie. Nie wiem, dlaczego zrobiło mi się strasznie przykro, nie wiem dlaczego, czułem potrzebę powiedzenia czegoś na obronę tych prawdziwych ofiar, aż niespodzianie, jakby odgadując moje myśli, odezwał się M[aterna], z taką gorzką ironią: „Straszne było! – około 400 leży ich w okopach, i nie odpierają nacisku Moskali!. Zgodziłbym się sam,

^a W oryginalnej: posiada uprzedzenie wielmożnych panów.

żeby kilku z nich rozstrzelać, gdyby nie to, że już nie żyją!”. Zdaje się, że tę gorzką rzeczywistość [krytykujący] zrozumieli, bo w jednej chwili przycichli. I cenię tego człowieka, nie obawiającego się rzucić prawdy w oczy ludziom, od których jest zależny. Zwarzyły się nieco humory.

Niedługo [potem] zaczęto się zbierać do drogi i około 11.00 od[eszła] dywizja do Izbugyabéla. Nasza brygada artylerii pozostaje na miejscu, bo w ostatnim momencie przed odjazdem przyszła wiadomość, że Moskale prowadzą silny atak na wzgórze 496. [Pada] odpowiednia dyspozycja, i artyleria wywiązuje się znowu ze swego zadania bez zarzutu. 3. Bateria strzela z takim skutkiem, że już około godziny 1.00 po poł[udniu], oprócz około [1500] trupów, nie ma żadnych Moskali między wzgórzem 496 a 578. Dywizjoner nie może się zdobyć na dość słów uznania dla bitnych artylerzystów, dobry jego humor i ja odczuwam, bo klepie mnie po ramieniu, powtarzając: „brawo! brawo!”. Jakby to moja zasługa była, poza tym, że dość wcześnie dostawiłem odpowiedni rozkaz i przez blisko pół godziny zastępowałem momentalnie nieobecnego przy baterii Zugskomendanta⁶⁶.

Po 1.00 po poł[udniu] uspokoiło się prawie zupełnie; od pozostałego z nami kapitana generalnego sztabu dowiedziałem się, że dzięki nadzwyczajnemu działaniu artylerii i skutecznemu kontratakowi [czterdzieś]taków (znowu 40.) sytuacja jest całkiem dobrą. Niedługo potem udajemy się za dywizją; idziemy pieszo, aż do Bálintpuszty, bo niepodobna używać konia, skutkiem spadzistego, miejscami kamienistego, to znowu rozmiękłego terenu. W B[álintpuszcie] spotykamy kap[itana] K., komendanta 3. Baterii; zmizerowany, aż mi go żal, a i nie [można] dziwić się, bo od 27 lutego jest z baterią na stanowisku, w tej szalenie przy-



C.k. artylerzyści przy jaszczach amunicyjnych

krej okolicy. Obawia się, że mu konie popadają, bo w ciągłym kontakcie z nieprzyjacielem będąc, musi zachowywać konieczną ostrożność. Stoją też koniska dzień i noc w zaprzęgu i nasiadłane.

Z Bálintpuszty jedziemy dalej konno. Pogoda już trzeci dzień przepiękna i przyjemną byłaby przejażdżka, gdyby nie to, że droga [jest] szalenie przykra i kamienista, kobyła czegoś niespokojna wariuje i obawiam się, że sobie na tych kamieniach na nowo pokaleczy wygojone dopiero co nogi. Przyjeżdżamy do Izbugyabéla; wieś duża i dobrze zagospodarowana, kwatery niezłe, bo chałupy chłopskie schludne, słońce świeci, Moskałom się zerznęło dudy; na domiar uciechy, dali [mi] pocztę od Irenki, więc czego, człowieku, jeszcze potrzeba! Urządzamy sobie z Zygmuntem mieszkanie (znowu, psiakrew, mieszkam razem z tą gębą!), i przy tej czynności, a właściwie dokładnie mówiąc przy nadziewaniu się Zygmuntowymi kandyzowanymi owocami i pomarańczami, zastaje nas kto? Sandig! Zamiast umrzeć, jak to bestia przyrzekała, powiada, że nie skonstatowano u niego żadnego tyfusu, wobec czego przyjechał sobie z powrotem. No i jak się tu nie ma stać według naszego stałego przysłowia! Zakwaterował się, czego zwyczaj, razem z nami, i opowiada swoje przeżycia w *Hinterlandzie*^a oraz przeróżne najświeższe wiadomości; kracze, że podobno Przemyśl się poddał⁶⁷! Nie wierzymy naturalnie, bo jeśli pod naporem nie padł, to się na pewno nie poddał.

Wołają mnie niedługo do telefonu, po czym załatwiam codzienne czynności administracyjnej natury, wreszcie idę na kolację. Tu potwierdza się, niestety, smutna wiadomość o poddaniu się Przemyśla. [Austriacy] poniszczyli podobno przedtem wszelką broń, powysadzali w powietrze forty,

^a Zaplecze w głębi kraju, na tyłach.

ale miasto już [jest] w ręk[ach] rosyjski[ch]. Wywiązują się z tego powodu żywe debaty, wnioski o końcu i wyniku wojny, zdania są jednak okrutnie podzielone. Miesza się do dyskusji najgłupszy z poruczników I. i dostaje należytą odprawę od starego intendenta. Zmięci trochę wracamy z Zygmuntem na kwaterę, i choć próbujemy jak zwykle wicować, nie klei się nam jakoś. Zabieram się do pisania dziennika prywatnego i urzędowego, wreszcie około 2.00 walę spać.

24 Przepięknie za taką noc dziękuję! Nie dość, że budzili co chwilę, jeszcze do tego trzeba było wstać około 5.00. Przyczyna, że Moskale atakowali. Wściekły jestem na tych rycerzy mających najwięcej animuszu w nocy – psiakrew! Nowoczesna dzielność! Najbardziej atakują, jak ich nie widać. Naturalnie wszyscy przy dywizji na nogach, w oczekiwaniu na rozkazy. Linia przednia przesuwa się znowu paręset metrów w tył; artyleria pozostaje na swoich stanowiskach, z wyjątkiem drugiej baterii. Robota jak diabli, ani chwili czasu nie ma na ucieśnienie się ustawicznie piękną pogodą. Dopiero po południu nieco się uspokoiło, ale zamiast korzystać ze słońca, czuję się taki zmęczony, że wolę leżeć i patrzeć w sufit. Niedługo potem odwiedziłem 1. Baterię na jej stanowisku. Drałowałem piechotą, bo się nazywało, że to niedaleko, ale trzeba było się aż porozpinać z gorącą, taką, psiapara, stromą górą. Dzień przechodzi na ogół spokojnie, jakkolwiek wszyscy bez humoru i pod wrażeniem wiadomości o upadku Przemyśla. Kapitan K. odjeżdża na urlop i nadzwyczaj czule żegna się ze mną, nie chce powiedzieć, dlaczego. Małego pecha miał dziś pewien jednoroczny, który pierwszy raz dziś był na stanowisku baterii, pecha,

bo zaledwie się na froncie znalazł, dostał postrzał w pierś. Ciekawe są niektóre wypadki; niejeden jeszcze się na wojnie dobrze nie rozejrzał, a już go postrze[lili] albo zastrzelili, inny obija się, diabli wiedzą, gdzie, i nic go nie trafi. Na ten temat mówili także przez chwilę wieczorem przy stole, rozmowa z udziałem kapelmistrza od 40. Pułku, jako najkompetentniejszego. Nie ma co do roboty wieczorem, zabieramy się też z Zygmuntem do spania, bo pomęczeni jesteśmy, według jego wyrażenia, „jak wściekle psy”. Pocztą nie było dziś żadnej, bo pewnie znowu pociąg gdzieś po drodze utknął. A tak mi bardzo Twoich kartek potrzeba, Iruś!

25 Świąto dziś, bo czerwone pismo w kalendarzu jest, odczuć się nawet daje w prawdziwie świątecznej słonecznej pogodzie i pewnym bezrobociu, pomimo napiętej poniekąd sytuacji. Wybieramy się też z Zygmuntem na połów tematów do zdjęć, których najbardziej zajmującym według jego zdania były... małe kozy. Komentarze zbyteczne; po drodze złożyliśmy wizytę Brąglewiczowi, u którego wprowadzie wyszła benzyna z samochodu, ale za to znalazła się świetna żytniówka, przebajeczne lekarstwo na zęby, żołądek, reumatyzm i przygnębienie ducha. Leczyliśmy się też odpowiednio, bo chociaż zdrowi, nie możemy jednak być pewni różnych czyhających chorób.

Przeświętowało się mniej więcej przedpołudnie, ale za to po poł[udniu] najordynarniejszy powszedni dzień. Przesztawianie armat, strzelanie z już stojących zabawiało przezacne towarzystwo do wieczora, tj. aż do chwili, kiedy się wszyscy zaczynali przygotowywać na przypuszczalny rosyjski atak, mający się odbyć jak zwykle w nocy. Dobrze już było ciemno, gdy dostaliśmy rozkaz otwarcia ognia z możliwie

największą szybkością. Długo trwała ta kanonada, czy ze skutkiem, jutro przy dniu się przekonamy. Na razie pozostają wszyscy w oczekiwaniu wspomnianego ataku, co już po północy zaczyna mi się wydawać nudnym, tak że ignorując całą wojnę wyciągam obute odnóża na barłogu i nie długo zasypiam, z całą zawziętością zmęczonego żołnierza.

26 I dobrze zrobiłem nie niepokojąc się zbytnio, bo rano godz[ina] 7.00, a ja jeszcze sobie leżę, i zabawiam się studiowaniem plam na suficie. Zrywam się nareszcie ruchem bynajmniej nie leniwego młodzieniaszka, z silnym postanowieniem udania się na śniadanie, czynności najodpowiedniejszej do pory dnia i roku. Pogoda zmieniła się nagle na pochmurną i deszczową, [co jest] zadziwiające, po wczorajszym słonecznym dniu i księżycowej nocy. Sytuacja nie zmieniła się prawie zupełnie, z wyjątkiem zwężenia nieco naszego frontu, przez co staliśmy się silniejsi nieco. Planowany wczoraj w nocy rosyjski atak odbył się dopiero dziś po południu. Zastał nas najzupełniej przygotowanych, pokrwawili też Moskale porządnie. Ponad 1000 zostało ich na placu, i może nieprędko powtórzą atak, jeśli dość rychło posiłków nie dostaną.

Reszta popołudnia schodzi mniej więcej spokojnie, przeważnie na załatwianiu administracyjnych czynności; dżdży-sto i pochmurno, humor kiepskawy. Wesóło zrobiło się dopiero przy stole; przede wszystkim byłem dziwnym sposobem zgłodniały jak wilk (co mi się nigdy nie zdarza), jadłem więc jakby nie z amatorstwa, lecz z zawodu. Następnie przyszła poczta, i to taka duża, kochana, od I[renki], z listem i gazetami. Wreszcie pod koniec [dnia] zaczął kapelmistrz znowu grać na cytrze, a choć to nie porywający instrument,

słuchało się miło, uśmiechając do własnych myśli. Przy muzyce, choćby najgłupszej, zawsze się staje jakiś inny. Zeszło tak blisko do północy i akurat o tym czasie zachciało się komuś pana F[ilara] do telefonu; dopiero po pierwszej urwałem się na kwaterę, zmęczony porządnie. Zabieram się do ponownego czytania listu, bo kochany strasznie! Odpisuję też natychmiast, i dopiero potem kładę się spać.

27 O dziwo! Słońce świeci! Zupełnie znowu jakby wczoraj żadnego deszczu nie było; humor naturalnie odpowiedni do pogody – jasny i pogodny. Do tego wszystkiego na froncie spokój, roboty niewiele, toteż zaraz przy śniadaniu gadamy, jak stare baby – a to, a owo, dziwnie się wiedzie na tym Bożym świecie itd., itd. Zabrałem się do studiowania wczoraj przysłanych gazet i łatam w ten sposób włokący się czas do południa. Na ogół cały dzień głupi, jak rzadko. Jedna miła wiadomość, mianowicie objęcie komendy korpusu przez poprzedniego komendanta⁶⁸, cieszą się wszyscy, twierdząc, że zaraz wszystko inaczej pójdzie. Może rzeczywiście nastaną szczęśliwsze dni, tak jak na początku wojny, kiedy to szło wszystko jak z płatką. Ano, i daj Boże, by się odmieniło!

28 ^aJuż mi się dawno nie zdarzyła taka Palmowa Niedziela, jak dzisiaj; deszcz i śnieg, wezbrany potok, zerwanie mostu i tym podobne akcesoria. Nie czas się jednak zastanawiać, bo od samego rana robota jak diabli; całą naszą artylerię wyciągamy na pozycje, bo będzie wojna. Moskale podostawiali posiłki i usiłują bez przerwy atakować; przy dniu, jak zwykle, dopiero się przygotowują na nocne przedsięwzięcie. Dzień jakiś gorączkowy, odczuwa się to na każ-

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

dym prawie kroku, jakby w oczekiwaniu na coś niezwykle-
go. 4. Bateria udaje się na stanowisko. Przygotowujemy się
i my przez cały dzień, mając na celu naturalnie tylko obronę.

I zaczął się bal około 7.00 wiecz[orem], o dobrym już
zmroku. Deszcz pada bez przerwy: ludzie poprzemakani
na wylot, chyba im przyjdzie skostnieć z zimna. Moskale
atakują [wzgórza] 640 i 600, ale z taką przewagą i zaciętością,
że się wydaje niemożliwym wstrzymanie naporu. Baterie 3.
i 6. jakby się wściekły, tak zieją ogniem, mierząc w jednym
tylko, za dnia wyznaczonym kierunku. Nadspodziewanie
front trzyma się ostro, i dopiero po przeszło godzinie pie-
kielnego ognia przełamują go Moskale. W czas jednak wsta-
wione rezerwy uniemożliwiają utratę stanowiska. Całkiem
naturalne, że nikt nie śpi. Dziś wypadła i tak moja kolej na
dyżur, spać więc nie mogę, choć mogłoby się poniekąd beze
mnie obejść. Około [godziny] 1.00 ponawiają Moskale atak,
ale zdaje się, że i oni albo tracą orientację w ciemności, albo
są za ostrożni, bo i tym razem nie przełamali frontu zupeł-
nie, jakkolwiek zyskali na terenie. Przez całą noc bez przerwy
trwa ogień, zarówno piechoty, jak i artylerii, z większą to
mniejszą siłą. Nie zazdroszczę tym rannym, którzy błądzą
po nocy, zanim trafią albo im kto wskaże, gdzie droga do
szpitala, oddalonego parę [kilometrów] od pierwszej linii.
W ogóle walki w tym terenie są straszne, nie wytrzymują
z nimi porównania żadne inne.

29 Około 8.00 rano przedstawia się sytuacja tak, że na
[wzgórzu] 600 są nasze i nieprzyjacielskie linie, nawiasem
mówiąc, oddalone od siebie 30–50 [metrów]. Moskale od-
nieśli więc poniekąd sukces, chociaż pokrwawili [się] strasz-
nie. Rozweselił mnie zaraz o brzasku dowcipny wypadek:

1 (słownie jeden) ranny [z 90. Pułku] przyprowadził 10 Moskali, z których sześciu było z karabinami, a każdy z amunicją. Wpadła mi zaraz w oko taka szczupła eskorta, patrząc więc dokładnie, i rzeczywiście, przekonuję się, że jeden ranny żołnierz przyprowadził 10 prawie uzbrojonych Moskali. Wypadek jak w gazecie albo innym kinematografie.

Załatwiam z rana jeszcze parę rzeczy, jak sprawę z amunicją, Bateria 4. etc., wreszcie idę na śniadanie, a potem narzeczcie udaję się na utęskniony spoczynek. Kładę [się] o 9.30 i przyrzekam Antkowi kulę w łeb, albo protekcyjnie rozbić mu butem tego samego obiektu, jeśli mnie pozwoli przed 12.00 zbudzić. Obudził mnie nawet po 12.00 wiadomością, że już drugie śniadanie gotowe, i że już wrócił z kobyłą, bo ją trzeba było przekuć. Zaaprobowałem jedno i drugie i polecałem połknąć sznycla, bo już mnie wołają; okazuje się, że trzeba zrobić to i tamto, bo przecież się pali i moglibyśmy wojnę przegrać, gdybym zjadł spokojnie śniadanie. Ze złości już nawet nie filozofuję, tylko zabieram się do roboty, na której mi schodzi popołudnie. O zmroku jazda w pole, na świeżo przekutej kobyłę, która to przejażdżka, jako że odbywa się przy padającym śniegu, wpływa dodatnio... na apetyt, chociaż mniej dodatnio na humor. Podoręczawszy rozkazy, i zrobiwszy, co miałem zrobić, wróciłem do domu ani nie ranny, ani nie ze złamaną końską nogą, jednym słowem, wojna bez urozmaiceń.

Wieczór, Moskale atakują znowu, co chwilę w innym punkcie. Obecnie godzina 9.00, przeprowadzili już cztery ataki, każdy jednak, na szczęście, odparty. Przyszło dziś zaawizowanie, że dostajemy posiłki. Dziś w nocy mają być już przygotowane kwatery dla 1000 ludzi, jutro przy dniu ma nadejść więcej; żeby się tylko Mochy o tym nie zwiedzia-

ły, i nie usiłowały przełamać frontu, zanim się wzmocnimy. Po kolacji, przeklinając na pogodę, zostawiam Ditt[icha] na służbie (dzisiaj jego kolej), a sam, po zapisaniu ostatnich czasów, kładę się na zasłużony odpoczynek, w ubraniu, bo każdej chwili może być alarm.

30 Spokojnie mi noc przeszła – podobno się trochę bili, ale niedużo; gołę się z rana i przyprowadzam do porządku, bo czasu dosyć; załatwianie korespondencji, telefon etc. stanowią przedpołudniowe zajęcia. Po obiedzie wszczyna się ruch. Moskale atakują, równocześnie zapowiada komendant korpusu swoje odwiedziny. Atak po godzinie odparty, jakby na rozkaz przywrócono porządek. Zaawizowano przybycie do naszej wsi 6000 ludzi (108. Brygada, 20. P[ułk] Honwedów), musimy się więc z dotychczasowych kwater wyprowadzić razem z końmi. Nie mam czasu się tym zajmować, dyryguje więc całą sprawą Zygmunt, zmusiwszy poprzednio do wyewakuowania okropnej chałupy. Około 2.00 przyjeżdża ekscelencja i odbywa konferencję w kancelarii; miał zamiar wyjechać w pole, i w tym celu przygotowałem już mojego własnego konia, ale widocznie się rozmyślił, bo po półgodzinnym pobycie odjechał powozem z powrotem. Dowiedziałem się strasznie wesołej rzeczy, ale ponieważ to na razie jeszcze sekret, więc nic nikomu nie mówię. Wywagonowano dzisiaj w Izbugyaradvány całą niemiecką dywizję z artylerią etc.; poszła w stronę Przełęczu Dukielskiej. Pomimo że teraz bynajmniej bezczynnie nie siedzimy, mam wrażenie, że nastaną jeszcze bardziej zacięte walki. Ponad 50. jeńców przyprowadzono dzisiaj, nie licząc tych, którzy bez żadnej opieki szli wprost do szpitala. Dostaliśmy od Prchala buty turystyczne i nowe bluzy, modne, bo koloru *feldgrau*⁶⁹.

Pod wieczór atakują Mochy znowu; tym razem nadzie-
li się na 81. Pułk – i żywa noga z nich nie uszła; tak samo
40. [Pułk] nie dawał żadnego pardonu, tak że przed nimi
leży w drutach kolczastych około 200 trupów. Wyobrażam
sobie, że żołnierze muszą już być wściekli na te ustawiczne
ataki. Przypada dyżur dzisiejszej nocy na mnie. Po odparciu
jednak ostatniego ataku przycichli, tak że spokój trwał całą
noc; położyłem się o 4.00 i spałem nieprzerwanie do rana.

31 Spokój ciągle – widocznie ich ostatnie ataki musiały
dosyć kosztować, bo przycichli. Zadowolony z tego jestem,
bo będzie może sposobność do jakiego takiego wypoczyn-
ku. Po śniadaniu rzeczywiście żegniam się czule z Ditttr[i-
chem], i postanawiam zmyć brud przynajmniej ciała, jeśli
nie można duszy. Antek w swojej gorliwości zabiera się do
czyszczenia wszystkich będących w moim posiadaniu bu-
tów, czym sobie zasługuje na moje uznanie i uwagę, że jest
bałwan, bo buty, w których chodzę czyści na samym końcu,
tak że muszę czekać, aż będzie gotów.

Niedługo wołają mnie znowu – przeogromna miłość
i upodobanie we mnie! Chwili nie mogą wytrzymać bez
mojego widoku – dwie ciężkie haubice przeznaczone są na
stanowisko tuż koło domu, w którym jesteśmy zakwatero-
wani. Ogromnie hałaśliwe sąsiedztwo, aprobowane jedna-
kowoż przeze mnie, bo to przecież narzędzie mojego zawo-
du. Współlokatorzy twierdzą, że takie hałaśliwe zachowanie
jest co najmniej nieprzyzwoite, na co otrzymują ode mnie
pozwolenie wyprowadzenia się od pierwszego albo zatka-
nie sobie uszu wórami, bo waty nie ma pod ręką. Wióra
dostajemy teraz zamiast słomy, w dość przyzwoitej jednak
ilości. Frontowych wiadomości nie brak ciągle; dziś znowu

przyszła depesza, że nasz dzielny i przez wszystkich kochany porucznik Schlesinger umarł na tyfus w Koszycach. Odchodzą naprawdę najlepsi!

Zajmujące rzeczy opowiada wieczorem Schmidt. Był dziś na pozycjach 40. [Pułku] i podobno leżą tam całe góry trupów; między innymi w jednym rzędzie ośmiu oficerów i jakiś starszy major; ten ostatni, ranny w głowę i brzuch, miał przed śmiercią tyle siły i ochoty, że popalił zapałkami swoje papiery i banknoty. Jeden ze złapanych Moskali (Żydek) podjął się za 10 K. poprowadzić jutro czterdziestaków, tam gdzie najstabszy punkt we froncie moskiewskim; może im się znowu jakie przedsięwzięcie uda. Pogoda dziś przykra, jak rzadko. Wieczorem pada śnieg, tak gęsty jak w najprawdziwszej zimie; wpadłem sobie po ciemku do rzeki, ale mi się nic nie stało, poza zmoczeniem się do pasa. Całe szczęście, że nie ma żadnego ataku, i mogę się przynajmniej wysuszyć. Wśród tego opowiada Sandig o różnych wyścigach, przy równoczesnym wyklinaniu Zygmunta na różne możliwe sposoby, bo twierdzi, że chce pracować, a zażądał mu miejsce na ławie. Nasamprzód cygani, że chce być taki pilny, a później myślę sobie, że możesz w tym sposobie mówić do pieca, to ci się także nie ustąpi; dopiero jak wezwanie wydało mi się należycie grzecznym, zrobiłem mu miejsce, i mierzę swoją osobą długość łóżka.

Kwiecień [1915]

1 Niczym dzisiejszy dzień nie wskazuje na to, że to właściwie czas prawdziwej wiosny – nazywa się kwiecień, a tu tymczasem nie dość, że żadnych kwiatów nie widać, to jeszcze pada śnieg, przypominając, że zima nie odeszła zbyt da-

leko. W ogóle aura w tych górach to już całkiem osobiwa, dziś lato, jutro zima, to znowu wiosna, i tak ciągle w kółko. Moskale siedzą cicho; tu i ówdzie zgłaszają posuwające się całe ich kolumny, nie wzbudzają jednak żywszego zainteresowania, traktowane jako oddziały luzujące przednią linię. Artyleria tylko wykorzystuje podobne momenty i jakby dla rozrywki oddaje od czasu do czasu parę strzałów, po największej części skutecznych. Dzień schodzi dosyć monotonnie, pogoda nie usposabia do wesołości, i choć każdy przypomina, że to dziś *prima aprilis*, nikomu się jakoś na figle nie zbiera. Pociągi znowu zapchane wojskiem, poczty znowu nie ma, muszę się więc zadowolić czytaniem dawniejszej korespondencji. Nie pożalowałem tego, bo, bo... Ryś to okropnie rozkoszne dziecko! No, ale przyjdzie czas, że będzie nasz!

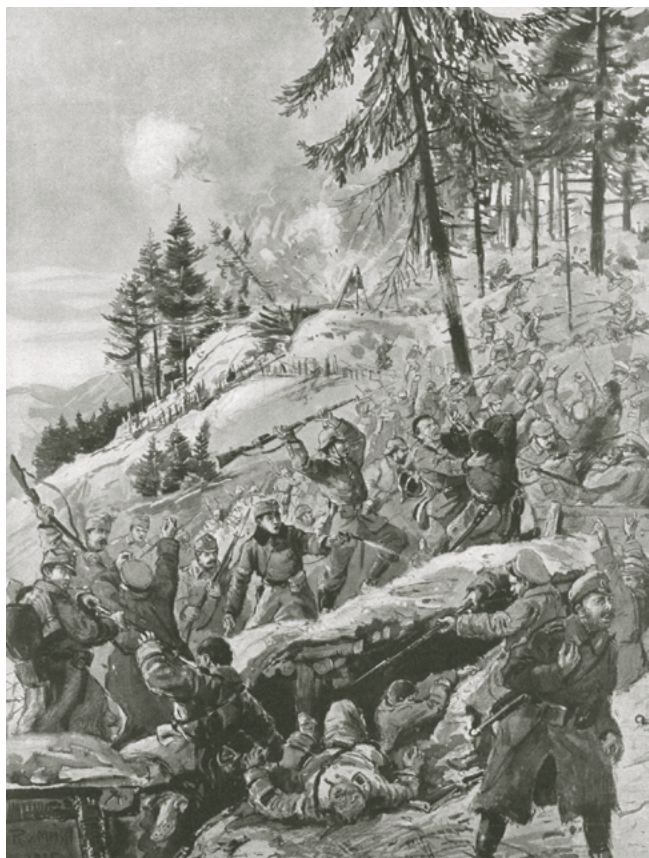
Przypada mi na dzisiejszą noc dyżur; pomimo że panuje wszędzie względny spokój, nie zbywa na zarządzeniach wynikłych z ostrożności; ba – nawet jej nadmiaru. Dzięki temu znajduję dla [siebie] jeszcze dosyć zajęcia, tak że dopiero około północy rzucam się przepisowo ubrany na tzw. wypoczynek.

2 Takiego Wielkiego Piątku jak tegoroczny nie zapomnę tak prędko! Powstawaliśmy najspokojniej w świecie. Pogoda prześliczna, ze słońcem, kawa ocukrowana naleźycie, humorek jak ananas, jednym słowem, żyć się chce w takich warunkach, i ani człowiekowi w głowie wielkopostne rozmyślanie. I płynął czas spokojnie, aż przecież diabli nanieśli Moskali. 4 pułki posiłków spod Przemyśla dostali, i zaraz do ataku⁷⁰. Zaczęło się około 11.00, i chociaż to było okropne, przyznać trzeba, że szli ze strasznym impetem.

Jak się później z relacji okazało, ogarnięci z początku czterdziestacy przerwali otaczający ich pierścień i utrzymali jakiś czas stanowisko. Ale napór był tak silny, że pomimo całej dzielności nie byli w stanie go powstrzymać; i naraz runęło na całym froncie.

Telefon trząsł się od doniesień, że ta, to znowu tamta grupa się cofa, gdzieś tam w popłochu. Szybkość ataku była tak przerażająca, że o 12.00 mieliśmy Moskali przed Izbugyabéla; i dopiero zaczął się sądny dzień. Cały front, a raczej jego części, uciekające w popłochu, znalazły się nagle w dolinie, w której znajduje się wieś. Z trudem udało się przytomnym jeszcze osobnikom powstrzymać powracającą falę i zająć jakieś takie stanowisko na wzgórzach po obu stronach wsi. Zaledwie o jednej grupie artylerii wiemy, że się w porę wycofała, o reszcie żadnej wiadomości. Dywizja udaje się na wzgórze 355, z zamiarem ewentualnego udania się do Laborczradvány. Śledzimy przebieg walki – i całe szczęście, że Mochy zaspokoili się zajęciem nowych pozycji i nie napierają, bo nie wstrzymalibyśmy.

Około 5.00 dopiero zjawia się por. Trichtel z wiadomością, że dzięki spieszonym ułanom udało się artylerii wycofać po utracie tylko 7 wozów amunicyjnych. Sterczymy na górze – tylko generał, mój stary i ja – krzyż pański też mam z tym towarzystwem, czego skutkiem, że ledwie się ruszam z utrudzenia. Pod wieczór przychodzą dwa bataliony honwedów, które wyrównują nadszarpany nieco front. Na prawo od nas pułk niemieckiej dywizji ratuje sytuację prawej naszej dywizji. O zmroku udajemy się do Laborczradvány; ja pieszo, bo musiałem konia pożyczyć generałowi. Dziwne jest, że pomimo porażki nie doznaję żadnego przygnębienia, jak to czasami bywało. Po przybyciu na nowe kwatery zno-



Bitwa o Ostry Wierch, 24 IV 1915 r.

wu multum roboty z uporządkowaniem artylerii i dyspozycją na jutro. Prawie bezsilny kładę się około północy spać.

3 Budzą mnie o 3.30 rano strzały, ból głowy i brygadier. Strzały, by mi przypomnieć, że jest wojna, brygadier, żeby się dowiedzieć, co to za strzały, a ból głowy tak sobie, dla rozrywki. Zażyłem aspiryny, nie dowiedziałem [się] niczego, bo telefon nie w porządku, i przekonawszy się, że w ogóle jest spokój, położyłem się na nowo. Niedługo się używało, bo o 6.00 już na nogach, ale przynajmniej głowa przestała boleć. Dzień zaczyna się słonecznie, tak jak wczorajszy. Zaledwie zjedliśmy śniadanie, postanawia generał wyjechać ze sztabem w pole, na miejsce, gdzie wczoraj byliśmy.

Istnieje zamiar odzyskania wczoraj utraconych pozycji; przysłała jako posiłki cała niemiecka dywizja i zajęła pozycje na wschód i na zachód od nas, zostawiając nas na zdanie się na własne siły. Pomimo tego animusz u żołnierzy okropny, bo się nie chcą dać zawstydzić przed Niemcami. Rozpoczął się więc atak; w pierwszą linię wstawieni czterdziestacy idą niepowstrzymanie, [choć] są silnie ostrzeliwani przez artylerię. W ogóle atak dzisiejszy to coś wzorowego – jakby w pokoju na manewrach. Skutek jest ten, że już w południe mają 500 jeńców.

Przenosimy się z komendą o jedną górę naprzód; spotykamy tu jakiegoś pruskiego eksceleńcę, jak się okazuje, komendanta naszego korpusu⁷¹. Parę słów wymienionych z generałem, orientacja w sytuacji, i zabrał się jegomość. Na stołu góry, na której stoimy, jest stanowisko haubic 21. Dywizji. Tak walą na nich ekrazytowymi granatami, że aż wszystko żyjące musi się chować; w ogniu tym pozostają przez cały dzień, tak że mogą [...] strzelać; nie ma to jednak żadne-

go prawie wpływu na przebieg walki, bo 21. robi dalszych 200 jeńców i zyskuje na terenie. Dla mnie osobiście, naturalnie tysiąc sposobności do różnych „rittów”^a – zajeżdżiłem prawie kobyłę, i sam ledwo nogami ruszam.

Po południu uspokoiło się na chwilę, idziemy więc z por[ucznikiem] J. do koni, zrobić tam porządek. Śmieszny wypadek zdarzył się nam po drodze, bo jakiś zbłąkany granat eksplodował nam przed nosem, obsypując równocześnie ziemią. Weszło było, że nas całkiem nie przysypał, bo zgodziliśmy się obydwaj na to, że byłby to za głupi dowcip. I żadnego szoku^b nerwowego, jak się to już paru ludziom zdarzyło. Pogoda trwa prześliczna, i zapowiada się na jutro taka sama. Dobrze już o zmroku wracamy do Laborczradvány i po całym dniu dopiero po drodze mam czas myśleć o Dziewczynce. Wieczór taki kochany, pogodny, dzisiejsze powodzenie – precudne niebo – wszystko to razem tak dziwnie nastroja! Tęsknię w takich chwilach strasznie! Przystaję być tym realnym jak zwykle żołnierzem i całkiem się pozwalam unosić wyobraźni. A ruch koński tak jakoś kołysz, to znowu zdaje się, że tylko wbić ostrogi w boki końskie, a doleciałoby się do kochania – do otwartych ramion drżących już w tęsknym oczekiwaniu. Hej! A rzeczywistość rzeczywistością, ale w końcu byle powodzenie trwało, nieźle mi z nią. Po zliczeniu wszystkich jeńców, było ich 17 set; żeby tylko tak dalej szło, to zaczęń wierzyć, że z wiosną zacznie się i nasze powodzenie. Wieczorem, jak zwykle, roboty milion, nawet nie wiem, kiedy się będę mógł właściwie wypaść!

4 ^c „Wesoły nam dzień dziś nastał”, ale nikt nie ma czasu się tym zajmować, mamy bowiem zamiar złożyć życzenia

^a Ritt
(niem.)
przejażdż-
ka konna.

^b W ory-
ginalie:
„chock’u”.

^c Dopisek
autora:
Niedziela
Wielka-
nocna.

święteczne możliwie największej ilości Moskalom, jeśli się tak jak wczoraj dadzą łapać. O 6.00 rano już wszystko na nogach, gotowe do odjazdu w pole; około 7.00 odjeżdża sztab, zostajemy tylko brygadier i ja, bo stary chce jeszcze to i owo załatwić, aż wreszcie około 8.00 jedziemy i my. Nawaliło tu niemieckiego wojska, że aż człowiekowi dziwno, gdy patrzy na to mrowie, bo nasza dywizja już dawno taka silna nie była i odzwyczailiśmy się już od widoku takiej masy wojska. Przyznać trzeba, że u nich dyscyplina i porządek szalony; maszerują jak na mustrze, wyekwipowani znakomicie. Mijamy całe kolumny maszerujące albo spoczywające.

Stanowisko sztabu w tym samym miejscu, gdzie i wczoraj; dla połączenia z sąsiednimi dywizjami zjawiają się niemieccy oficerzy, przyznać trzeba, eleganccy i ogromnie ugrzecznieni, zwłaszcza gdy się zjawia śniadanie z ciepłą herbatą. Cały dzień schodzi przeważnie na grupowaniu się oddziałów do jutrzejszego ataku. Poza mniejszymi potyczkami, nie ma znaczniejszych walk – posuwają się stale, wolno jednak, krok za krokiem. Pod wieczór wzgórze 475 znajduje się w naszym posiadaniu, linia przednia wyrównuje się mniej więcej w kierunku z zachodu prosto na wschód; [następuje] zarządzenie odpowiedniej ostrożności, i na tym się dzień kończy. Dobrze już ciemno jest, gdy wracamy z pola. I znowu taki przebajeczny wieczór, jak wczorajszy; poleciono mi jechać na czele sztabu i wypatrywać drogę w ciemności, ale ani mi w głowie o drodze myśleć; puściłem wodze koniowi, zdając się na jego zmysł, sam myślami daleko – u Dziewczyny – jakie to boskie chwile!

5 Tak samo jak wczoraj wyjeżdżamy w pole przy trwale pięknej pogodzie. Wyspany bardzo nie jestem, bo parę razy

w nocy wstawać trzeba było, ale pomimo tego usposobiony dobrze jestem, pełen jakichś dobrych przeczuć. I powiodło się nam dziś jak nigdy może jeszcze. Atak, rozpoczęty rano, posuwa się ustawicznie naprzód, przygotowany znakomicie przez artylerię, która cały teren zryła granatami, przeszukując wszystkie zarośla, gdzieżby się Mochy ukryć mogli. Szczegółów opisywać się nie opłaci, ale sukces ogólny był ogromny. Wieczorem, po zliczeniu wszystkich jeńców, okazało się, że jest ich 5440 żołnierzy, 25 oficerów, 20 karabinów maszynowych i 2 działa. Zaznaczyć trzeba, że tego dokonała sama nasza dywizja, licząca 2000 ludzi! – blisko trzy razy tyle niewolnika nabrali, niż ich samych jest! I bynajmniej Niemcy nie pomagali, owszem kontratak rosyjski przeciw sąsiedniej niemieckiej grupie utracił na sile, głównie przez zagrożenie mu Bośniakami z flanki.

Gęby wszyscy pootwierali z podziwu nad bitnością tej garści pozostałej z całej dywizji; i znowu uznanie dla czterdziestaków. Jak zawsze, tak i dziś byli w pierwszej linii, a wtedy biada temu, kto się im pod rękę nawinie! Cały dzień przesuwaliśmy się obok nas kolumny jeńców, aż w końcu brakło ludzi do ich transportowania. Wróciliśmy do Laborczradvány już późnym wieczorem, a jeńców ciągle jeszcze prowadz[ono] – i trwało tak całą noc. Naturalnie, dwie ważne wyżyny: Jawirska i Kobiła, o które nam chodziło, są w naszych rękach. Roboty jest tyle, że nawet nie mam czasu paru słów do I[renki] napisać; dopiero o 2.30 rano poszedłem spać.

6 Budzą mnie o 5.00, bo wstajemy wszyscy, z zamiarem jak zwykle wyjechania w pole. Głowa mnie tak boli, że aż zły jestem. Naturalnie zupełnie niepotrzebnie wstaliśmy tak wcześniej, bo dopiero około 8.00 wyjeżdżamy. Klnę więc na

takie urządzenie, bo mi się spać chce, i przy tej funkcji zastaje mnie znowu Zygmunt, zwiastujący, że znowu transport Moskali przyszedł; tym razem tylko 148 ludzi i 4 karabiny maszynowe – dodatek z nocy, prezent od 40. Pułku, z życzeniami, żeby dzisiejszy dzień tak się zakończył, jak wczorajszy.

Wyjechaliśmy wprawdzie w pole, ale właściwie według dyspozycji z korpusu nie mamy nic innego do roboty, jak zadowolić się osiągniętym wczoraj rezultatem. Na zachód od nas atakują dziś Niemcy, i proszą o pomoc artylerii; pomagamy im też pięcioma bateriami, aż się ziemia trzęsie. Trwa kanonada blisko do 1.00 po południu i udaje się po kilku godzinach zająć [wzgórza] 431 i 419, cel ich usiłowań. Równocześnie około godz[iny] 4.00 przychodzi wiadomość że 40. zajął wzgórze 564. Zdębiałem, bo ciągle nie wiem, jak oni to potrafili zrobić, niemniej jednak wiadomość się potwierdza, ba, że nawet patrolują już ku górze Dielec; diabły nie ludzie, czy co? W całym pułku jest ich 700 ludzi, a wojują jakby ich były tysiące. Pomijam już to, że to pułk polski, czysto mazurski, ale naprawdę mam dla tych ludzi uwielbienie. Nie było w całej wojnie wypadku, żeby im można cokolwiek zarzucić, bo w najgorszych nawet sytuacjach raczej ginęli, brać się nie dając. Uznanie mają ogólne i tyle przynajmniej pociechy, że dzielność wszyscy respektują.

Komendant korpusu znowu odchodzi, nie wiem, z jakiego powodu; przychodzi inny, którego nazwiska nawet nie spałem. Przebakują, że wszystkie cztery dywizje 10. Korpusu mają być przez Niemców zluźowane – jeśli tak, ciekawy jestem, co się z nami stanie.

Czy pójdziemy gdzie indziej, czy też będziemy się jakiś czas uzupełniać i dopiero później znowu [powędrujemy] na

front. Na razie wzięto dalszych 14 set jeńców, powodzi się więc Moskalom na całej linii. Ja osobiście spędzam dzień na lenistwie, leżąc na kozuchu i patrząc w słońce. Już mi się nawet chwilami przykrzy i chętnie bym pobrykał gdzie na koniu, ale psiapara taka służba, że oddalić się nie można. Wieczorem sprawdza się, a raczej jest oficjalnie ogłoszona wiadomość o luzowaniu naszego korpusu przez Niemców. Uciecha więc, że przecież przez jakiś czas będzie można odetchnąć i dać wypocząć zupełnie na to zasługującym żołnierzom. O zmroku wracamy do Laborczradvány, na dotychczasowe kwatery, i po spożyciu wieczerzy idziemy spać, nie mając niczym zakłóconego spokoju.

7 Słońce ciągle jednakowo grzeje; nareszcie dzień, w którym się można spokojnie umyć, ba, nawet ogolić. Pracuję też blisko pół godziny około podniesienia swojej urody, zjadam śniadanie i w końcu przychodzę do przekonania, że właściwie nie mam nic do roboty. Decyduję się więc na spacer na sąsiednią górę, bo słońce przebajecznie świeci, grzejąc mnie równocześnie w głębę. Uzmysławiam sobie, że to właściwie już się niedługo lato zacznie, i pomimo że to dziewiąty miesiąc w polu, wydaje mi się nie tak dawno, gdyśmy poprzedniego lata zaczynali wojnę. Psiakręć! Do wszystkiego się można przyzwyczaić. Przywieźli dziś z rana dwie rosyjskie armaty, co mi sprawia kolosalną frajdę, bo jestem przekonany, że ich Moskale za dużo nie mają, poczują więc taką stratę. Wykorzystują też amatorzy ten rzadki temat i aż się roi od fotografów. Sandig ma zamiar powiesić jakiegoś rosyjskiego podobociera, który dla rabunku przebił bagnietem rannego nadpor. Kaposiego; na razie jednak zajęty jest liczeniem i sortowaniem zdobytego materiału. Odesłał już

38 fur, na każdej po 100 karabinów, a tu ciągle mu jeszcze zwożą dalsze. Asystuje mu przy tej chwalebnej czynności lekarz sztabowy, któremu to widocznie sprawia wielką uciechę, bo komenderuje naokoło energicznie, jak nigdy; całe góry amunicji, granatów ręcznych, wyrzutników, karabinów etc., dowód więc, że Moskale pokrwawili porządnie.

Kupiłem przez Del. w Koszycach nową torbę na mapy i paradyję sobie po wsi jak hrabia. Około 5.00 wieczorem nakazują wszystko pakować i gotować się do drogi, idziemy bowiem na zapowiedziany „Retablierung”⁷², głupim sposobem tylko o parę kilometrów wstecz. Widocznie chcą nas mieć pod ręką, gdyby się Niemcom co nieprzyjemnego przydarzyło. Staliśmy dłużej [niż] godzinę, czekając na zapowiedziany odmarsz, aż w końcu się okazało, że wieś, do której mieliśmy się udać, nie jest jeszcze opróżniona przez stojące tam pruskie wojsko; zostajemy więc na miejscu. Chłopaki przeklinają pod nosem, ale przygotowują posłania. Po kolacji zaczęła się tak jak wczoraj pijatyka, aż mnie to już nawet złości, do tego stopnia, że idę zagniewany spać.

8 No, dziś już naprawdę odmaszerujemy. Tym razem jest jednak cierpliwość także na próbę wystawiona, bo czekamy przy zasiodłanych koniach blisko dwie godziny, zanim się nareszcie zabraliśmy. Generał pojechał z moim starym naprzód automobilem, mamy więc przynajmniej tyle swobody, że sobie możemy truchtem jechać. Wiatr wieje prosto w oczy i nanosi przy tym multum kurzu na ubrania, ma się więc już przedsmak letnich marszów w pyłe, kiedy się nie wie, czy kłąć, czy się z prochu otrzepywać, czy go też połykać. Mijamy po drodze całe kolumny niemieckiego trenu i nieco takiej kawalerii i artylerii; zauważyłem u nich na

ogół młodych chłopaków, prawie gołowąsów. Dywizja nasza rozstasowała się w trzech wsiach: Laborczbér^a, Izbugyarabocz^b i Laborczmező^c. My przychodzimy do tej ostatniej i zaraz na wstępie oburza nas osławiony porządek niemiecki; wszystkie kwatery bowiem przez nich pozajmowane, [choć] już mieli rozkaz do wyniesienia się; aroganccy przy tym, aż do oburzenia.

Chcąc nie chcąc stoimy na polu, w oczekiwaniu lepszej doli, a ponieważ to oczekiwanie przeciąga się zbyt długo, zaczyna mi się więc wydawać nudnym. Na szczęście, ratuje sytuację znajomość moja z pospolitakami, jeszcze z Ökreskö, bo zapraszają mnie na wino i śliwowicę, które to napoje wysokokowe bardzo żywo aprobuję; ale pakują i oni, i niedługo, maszerują bowiem do innej wsi, zostają więc znowu jak poprzednio w stadnym oczekiwaniu na dworze. Dla urozmaïcenia zaczyna padać deszcz, naciągamy gumowe płaszcze i... znowu stoimy. I trwało to stanie aż gdzieś do godziny 3.00 po poł[udniu], aż nareszcie nas zakwaterowano. Mieszkam z Zygmuntem, kapitanem od pionierów i komendantem od telefonistów. Sandig został jeszcze w Laborczradvány i ładuje ciągle zdobycz na wozy.

Przechodzę sobie wieczorem przez wieś, aż tu automobilowa wiadomość, że Lipo⁷³ jest w Homonie i przyjeżdża jutro objąć komendę nad dywizją. Uciecha [panuje] ogólna jak diabli, bo znowu [będzie] ten stary, kochany komendant, który tak dobrze dywizję zawsze prowadził. Z uciechy nawet nie chce mi się być leniwym, robię też porządek we wszystkich wozach, jakby się paliło. Nie wiem, co mam zrobić z rzeczami po poruczniku I., bo nie mam adresu do jego rodziny; zostają więc na razie w wozie z bagażami. [Chociaż] przez cały dzień nic się prawie nie robiło, zmę-

^a Laborczbér – Bresztow nad Laborcom.

^b Izbugyarabóc – Hrabovec nad Laborcom.

^c Laborczmező – Zbudské Dlhé.

czony jestem, tak że zaraz z wieczora kładę się spać; gorąco takie, że na żaden sposób usnąć nie można.

9 Powstawaliśmy rano, czyścimy się, przybieramy, o ile to w polu możliwe, odświętną formę, przypinamy miecze i inne mordercze narzędzia, wszystko po to, żeby godnie wystąpić na przyjęcie dywizjonera Lipa. Lustruję z boku tę paradę i śmiać mi się chce, [jak] to towarzystwo rozmaicie poubierane; najweselej się prezentują kutasy u szabel, bo np. Dittrich nie ma już ani jednego frędzla na swoim. U mnie zaledwie [są] jakieś żółte nici, przypominające, że i na mojej szabli był kutas, jak się patrzy; u wielu innych nieznaczące szczątki tej pięknej ozdoby prawdziwego żołnierza, ale nic to, bo oblicza promienieją. Każdy jest przekonany, że Lipo bardziej się ucieszy nami, aniżeli zasmuci przykrym stanem naszych kutasów.

Przyjechał stary około 10.00, odmłodzony, wypoczęty fizycznie i duchowo, kochany jak zawsze, jak zawsze dla każdego serdeczny. Miłe choć krótkie powitanie było, i zaraz po nim zawiadomił nas, że otrzymał zupełne zadośćuczynienie, osobiście przez cesarza wezwany do objęcia dawnego stanowiska. Ma nadzieję, że tak jak dawniej w niezamąconej zgodzie pracować razem będziemy. I tyle było urzędowego powitania, bo zaraz potem zaczął się gwar i śmiechy, każdy bowiem na równi ze starym cieszył się z jego przybycia. Ja się bynajmniej szczególnym humorem nie odznaczam, bo nie wiem dlaczego ociężały jakiś jestem, i choć mi nic nie brakuje, nie czuję się zdrowy; czy może deszcz tak deprimować? Po drugim śniadaniu kładę się spać i chwale Boga, że nie ma nic do roboty, bo ciężko byłoby mi wstawać. Zygmunt za to musi w ten deszcz jechać do Laborczradvány,



Generał Anton Lipošček

czego mu bynajmniej nie zazdroszczę. Po jego powrocie prze-
myślimy, jakim sposobem można by się dostać do Homony, bo to podobno miasto i można by co nieco pokupować.

Na razie jednak oddalić się nie można, bo Lipo przywiózł wiadomość, że niedługo mamy być zawagonowani, dokąd, nie [wiadomo] na pewno; prawdopodobnie jako rezerwa II Armii⁷⁴. Przebąkiwali niektórzy, że pod Kraków, nawet do samego Krakowa, co nie trzeba mówić, bardzo by mi się podobało; jeśli jednak pójdziemy do II Armii, w Karpaty le-
siste, to gorzej będzie. Przy kolacji wysiedzieć nie mogę, tak mnie jakoś ten gwar denerwuje; czuję, że mi potrzeba wypoczynku. Kładę się spać około 8.00, choć wiem, że nie usnę tak prędko. Około [godziny] 9.00 budzi mnie ordynans, z wezwaniem do brygadiera; okazuje się, że jutro odmarsz, muszę więc to i tamto zrobić, bo D[ittrich] chory; również doczekać, nim rozkaz z korpusu przyjdzie. Zerwanie mnie z łóżka nie poprawia mi bynajmniej humoru, a trudno, nie umrę ze zmartwienia. Piszę listy i przynajmniej tyle pociechy z tego czuwania. Około 3.00 pozałatwiałem wszystko i [idę] spać.

10 O 6.00 wyjeżdżamy z Ratzem do Homony. Pogoda piękna, dlatego zmęczenia przez niewyspanie bynajmniej nie czuję, [choć] kłusujemy całą drogę, a oprócz tego noszą bacsiego diabli po rozmaitych wertepach, bo powiada, że się chce po drodze przypatrzyć glebie i roślinności (!). Gościniec nieprzerwanie wypełniony trenami, artylerią, piechotą itd., miejscami musimy w tym towarzystwie przywracać porządek. Mija nas w aucie kapitan S., jadący na urlop, następnie dywizjoner z regulującym kwatery, w ciężarowych autach jeńcy i ranni, to znowu jakieś pruskie grafy. Jednym słowem, po drodze się nie przykrzy, jest na co patrzeć.

Po przybyciu do Homony chcemy z Palim zaraz zrobić, co do nas należy, ale musimy czekać, aż nareszcie nam przydzielą rejon dla naszej dywizji. Stanęliśmy sobie koło jakichś saniteckich wozów, koniom popuścić popręgi, i czekamy. I trwało to czekanie do południa, na szczęście urozmaicone odświeżeniem się przy pomocy rislinga, napoju wcale przyzwoitego i jak na dzisiejszy ciepły dzień dostarczonego nam w odpowiedniej ilości z pobliskiego sklepu. Przestaliśmy tak parę godzin, bynajmniej się nie nudząc, by się w końcu dowiedzieć, że w całym mieście żadnych kwater dla nas nie ma. Wystarczy mi to zupełnie, że mój stary pokój już ma, o siebie się nie martwię, bo ostatecznie w najgorszym razie prześpię się na polu, co się nieraz zdarzało i nie umarzęm.

Postanawiam więc przejść się po mieście i pozakupywać to i owo. Rynek, posiadający kształt raczej szerokiej ulicy, jest w połowie spalony przez Moskali, którzy za swojej tu bytności oświetlali sobie w ten sposób miasto. Sklepy potwierane, ale można dostać tylko artykułów spożywczych i pijaństwa, wszystko naturalnie po horrendalnej cenie. Nic a nic innego dostać nie można, co mnie o irytację przyprawia. Spotyka mnie D[ittrich] i zawiadamia, że ma dla mnie mieszkanie w jakimś bardzo porządnym pokoju. Wyrażam mu moją wdzięczność i idziemy na obiad do „kasyna”; lokal przestronny, przejrzysty, z damską obsługą, znać i tu goszczenie Moskali, bo śladów rabunku pełno.

Schodzimy się tu wszyscy z dywizji, bo to, zdaje się, jedyny lokal w mieście. Obiad smakował mi nadspodziewanie dobrze; każdy już tak udaje, że to potrafi jeść nie tylko w polu, ale także w restauracji, że strach. Co prawda, człowiek się zupełnie odzwyczaił od nakrytego stołu, obszernego lokalu, innej jak wojskowa obsługi etc., zupełnie też [jest] odmien-

ny nastrój [niż] zwykle. Zygmuntowi aż się gęba łśni z zadowolenia, żartujemy jak za dobrych czasów, dobrze nam i wesoło. Po południu przyszedł dopiero nasz tren z kuchnią, ordynansami i resztą podobnego towarzystwa. Mogą więc chłopcy porobić łóżka, chociaż nam się ani śni odpoczywać, bo przecież hartowani jesteście na trudy wojenne! Mija nam z Zygmuntem popołudnie na nieskromnym alkoholizowaniu, doczekujemy wśród tego zajęcia wieczerzy. Po wieczerzy [następuje] dalszy ciąg pijaństwa, ale już na większą skalę, bo przy współudziale szerszego towarzystwa, także kolegów z mojego pułku. Trwało to bezceństwo do późna w noc, aż wreszcie uciekłem, bo zapowiedziano, że o 5.00 trzeba być na nogach.

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

11 ^aO 6.00 wyjeżdżamy z Homony z Ratzem i regulującym kwatery, uderza mnie po drodze, że po mieście, a zwłaszcza południowej jego części, kręci się mnóstwo jeńców, bez żadnego dozoru; jeden z koszykiem, inny z wiaderkiem, a wszyscy swobodni i z zadowolonymi minami. [Chociaż] jedziemy kłusem, i wiatr chłodny wieje, nie mogę się otrząsnąć z chęci przespania się. Jadę jak kuferek, nie wiem nawet przez które wsie, tak jestem zamroczony, aż dopiero gdyśmy się z bacsim odłączyli od reszty, jadąc inną drogą, a on wyciągnął flaszkę śliwowicy, którą opróżniliśmy do cna, zacząłem całkiem normalnie patrzeć na świat. Przysłowie „klin klinem” musi mieć psia pies jakąś podstawę, a autorem jego musiał być jakiś niezły pijak.

^b *Może
chodzi
o Alsókört-
vélyes –
Niżny
Hrušov.*

Około 2.00 przyjeżdżamy do Also-Kertröyer^b. Kwatery w zamku jakiegoś barona, służącego obecnie przy wojsku; dlatego, że to jest Węgier, że to już nie w Galicji, więc się ma różne względy na właściciela. Część dywizji kwatruje się

w szkole o kilometr od zamku, tylko dlatego, że nie zmuszono zarządcy do otwarcia odpowiedniej ilości pokoi. Narzekać jednak na kwatery nie można, bo obszerne i czyste, tak samo stajnia dla koni. Ponieważ trenu naszego ciągle jeszcze nie widać, nawiedzamy gromadnie pobliską karczmę, i posilamy się czymś w ostatnich czasach zupełnie nie praktykowanym – jajecznicą. Towarzystwo na ogół zmęczone, po wczorajszej Homonie i dzisiejszej dalekiej drodze, rozchodzi się powoli, część z nas postanawia wytrwać na stanowisku przy... taroku. Dograliśmy do kolacji i później zaraz spać, bo to ogromnie dziś pożądane.

12 Zaczynamy pierwszy dzień odpoczynku, ciekawym tylko jak długiego, bo już opowiadają, że mamy być zawagonowani jak tylko przyjdą uzupełnienia, a te już jutro lub pojutrze mają nadejść. Na razie używamy swobody śpiąc jak długo się komu podoba. Do roboty nic nie ma, śmiechu i wesołości dużo, chociaż deszcz pada i nikomu się na dworze figlować nie chce. Dopiero po południu rozleciało się towarzystwo, bo [Dittrich] mi wyszukał robotę z jakimś pisanem, tak samo stary nagle się do pracy zabrał i potrzebuje mnie gwałtownie, jednym słowem, użyteczny mebel ze mnie.

Zygmunt znowu musztruje swoje wojsko na jutrzejszą uroczystość, bo zapowiadana jest wizyta arcyksięcia Fryderyka, nadkomendanta armii⁷⁵. Wyobrażam sobie że przedstawienie będzie nie lada, chodzi tylko o to, żeby pogoda dopisała. Dostało się i Sandigowi przy tej sposobności, bo musi być obecny przy egzerycse⁷⁶ i mało go jak zwykle szlag nie trafi. Przyjeżdża nadpor. Höul jako ewentualny zastępca Dit[tricha], mającego zamiar udać się na gruntowną kurację swojego reumatyzmu. Zaczyna mi się na ogół przykrzyć, bo

odzwyczajony jestem zupełnie od bezrobocia; dlatego prawdopodobnie jestem jakiś ociężały, że nic nie robię. Po kolacji zaczynamy grać w karty, idąc za przykładem ekscelsenca, mojego brygadiera i tym podobnych przodujących figur. Około północy kończy się partia i idziemy spać.

13 Powstawaliśmy o 6.00, chociaż parada zapowiedziana na 8.00 dopiero; trzeba się przedtem jednak upewnić, czy wszystko w porządku. Pogoda dopisuje, dlatego chociaż zefirek przejmuje aż do kości, zarządzono paradę bez płaszczy; nowe zmartwienie Zygmunta, bo zarządzenie to wyszło w ostatniej chwili, a nie wie, czy jego wojsko ma dosyć wyczyszczone bluzy. O 8.00 wyjeżdżamy poza wieś, na miejsce, gdzie się zgromadziło wojsko. Obszerne błonie, Bośnia-cy i strzelcy stoją już uporządkowani. I ładnie to wyglądało, gdy nadjechał cwałem sztab z imponującym naszym Lipem na przedzie. Po przywitaniu starego po służbowemu, przy trąbach, zaczyna się czekanie, jak to było do przewidzenia. Rozgrzewamy się biegając i urządzając na siebie osobiste napaści, co uwiecznia Zygmunt swoim nowym aparatem. Od fotografów aż się roi, każdy zdejmuje, co mu pod rękę podpadnie. Fałszywy alarm... i przejeżdża jakiś obcy automobil. Dopiero koło 9.00 zbliża się cała kolumna automobilowa, trębaczom aż oczy wyłażą z natężenia, i zaczyna się przedstawienie.

Dywizjoner wita cesarską wysokość na wstępie, [a ów], zamieniwszy kilka słów z dywizjonerem, przechodzi około frontu, zapytując tego lub owego z żołnierzy i oficerów o różne różności, które – o ile mi się zdaje – niewiele go obchodzą. My stoimy na lewym skrzydle i czekamy swojej kolei. Przychodzi wreszcie niski staruszek⁷⁷ i wysłuchuje każdego



Arcyksiążę Fryderyk Habsburg (1856–1936)

przedstawiającego mu się, bez zbytniego zajęcia się tą czynnością. Po 15 minutach koniec ceremonii, zapakował się [arcyksiążę] do samochodu i jazda, [uwieczniony] przedtem przez milion fotografów. Jedno przyrzeczenie otrzymaliśmy, mianowicie, że korpus nasz zostanie na wypoczynku jak tylko najdłużej na to warunki pozwolą.

Po odjeździe arcyksięcia zaczęła się druga uroczystość, dekorowanie szefa intendencji, potem dywizjoner wszedł między Bośniaków, miał do nich przemowę w ich rodzinnym języku, że aż zaczęli ryczeć „ziwiö”! Aż w końcu odjechaliśmy do domu. Reszta dnia schodzi na wypoczynku. Przy kolacji zjawiała się za oknami paczka Bośniaków robiących chór; stary się strasznie ucieszył i osobiście do nich wyszedł z winem i papierosami. Gdy odeszli, gramy dalej w karty, aż gdzieś do 2.00.

14 Powstawaliśmy wcześniej, bo idziemy się pomodlić za poległych; pamięta o nich zawsze nasz staruszek, i polecił odprawić mszę za ich dusze. Mały kościółek wiejski wypełnił się całkiem żołnierzami oddającymi towarzyszom ostatnią przysługę. Po mszy zaczyna się dalszy ciąg bezrobocia, które kontynuujemy, zwłaszcza ja z upodobaniem, bo jakiś ciężki i senny jestem. Pogoda nad wyraz przykra – od wczoraj wieczora pada deszcz bez przerwy – błoto sążniste, nawet nigdzie wyjść nie można; szkoda nawet, że to się nazywa odpoczynek, bo beczynnością raczej zmęczony jestem, aniżeli wypoczywam. Pisał mi dziś syn Wujaszka Świejkowskiego o uregulowaniu spraw po zmarłym; zrobiłem wszystko, co zrobić trzeba było, i co było można. Otrząsnąć się nie mogę z przykrego uczucia ilekroć sobie przypomnę na tragedię tej rodziny; i tego biednego, dobrego Wujaszka już nie ma!

Coraz więcej ludzi odczuwa już tę wojnę; Dittrich, chociaż młody jeszcze, a już zniszczył zdrowie – odchodzi dziś do szpitala razem z Krakešem, oficerem telef[onistą]. Ubywa ludzi ciągle, a nadzieja już nie w końcu wojny, który uważamy za coś bardzo odległego, ale w lecie, że może słońce przyniesie jakieś znośniejsze warunki. Z żelaza musiałby być człowiek na przetrwanie wszystkiego. Powrotu D[ittricha] nie spodziewamy się tak prędko, on sam odjeżdżając przyrzeka już wrócić z pokojem, a do pokoju jeszcze tak daleko! Ja ze zdrowiem trzymam się jeszcze znośnie, nie poznałem tylko czasem samego siebie, co się z moimi nerwami dzieje. Chwilami już nie otoczenie, ale własne myśli mnie rozstrajają zupełnie. Może i mnie już wypoczynek potrzebny?

15 Kochany bacsi zajął się tym, że odprawiona dziś będzie msza za duszę Wujaszka; pocziwiec i o tym pomyślał, chociaż nie znali się tak dawno, bo zaledwie parę dni. Udajemy się na mszę zaledwie paru: bacsi, Zygmunt, ja, płk Barwik i podkomendni Wujaszka. Po nabożeństwie dziękowali pocziwi ułani, prawie ze łzami, za pamięć o ich kochanym panu; ot, przywiązali się i oni, tak jak wszyscy, do dobrego serca. Pogoda ustawicznie nad wyraz przykra; do tego ból głowy nawet mi myśleć nie pozwala. Zaraz też po powrocie z kościoła kładę się jak nieżywy, i nie mogąc spać, bezczynnie leżąc patrzę w sufit, aż do południa.

Ściągają mnie na obiad; kląć się chce na takie urządzenie! Jeść, spać, nic nie robić, a sterczeć się tu musi; gdyby na jakieś 2–3 dni puścili, czuję żebym się natychmiast stał inny – a tak wegetuj, psiakrew, aż się nad tobą dobry los zlituje! Naturalnie na dobytek ani książki, ani poczty już od tygodnia. Wściec się przyjdzie, czy jak? Pewnie się znowu



Niedzielną msza polowa dla żołnierzy austro-węgierskich

poobrażano na moje milczenie, biorąc je za niechęć, lenistwo, czy ja wiem wreszcie za co? Jak ja się w ogóle ośmielełem nie spać po nocach, nie mieć czasu zjeść spokojnie, w ogóle nie mieć sposobności do załatwienia korespondencji. Nie! Naprawdę, nie do darowania! Czekaj, paniczku, aż się jakaś litościwa osoba zlituje, a raczy łaskawie słów parę... He! Trzeba mieć szczęście do litościwych serc!

16 Pogoda się nieco zmieniła na lepsze; wyszliśmy z H[öulem] do parku na spacer i poomawialiśmy przy tym urzędowe rzeczy, nie nadwerężając się bynajmniej. Coś straszniego, jak się rozleniwiłem – nic, ale to nic mi się robić nie chce – nawet nie mogę się zdobyć na napisanie paru kartek, tylko odkładałem to ciągle na później. Na 11.30 zapowiedziano oficerskie zgromadzenie w pełnym rynsztunku. Po co? Na co? Dekorować doktora, i to tym samym krzyżem, który dostał intendent. Myślę sobie po cichu, że przecież sprawiedliwość jest jeszcze na świecie, prawdziwa zasługa nie ukryje się pod kocem, bo poza przyczynieniem się do śmierci S. nic innego dotychczas cały ten doktor nie zrobił. Ale wreszcie, co mnie to obchodzi. Zjedliśmy obiad, kazałem nasiodłać konie i pojechaliśmy z Höulem do Varanno^a, więcej dla spaceru, niż z potrzeby. Droga częściowo tylko ze względu na błoto nieprzyjemna, zresztą sucha i równa; jedziemy też sobie wesoło, bo słońce humory poprawiło, przystem cudna okolica. Spotykamy w Posa^b 29. Kanonów, wymieniamy parę słów, rekwirują mi prawie wszystkie papiery i jazda dalej.

We wszystkich wsiach, które mijamy, pełno wojska, tu i ówdzie widać już przybyte świeże formacje. Jeńcy naprawiają drogę, i mam wrażenie, że im się źle nie wiedzie. Roz-

^a Varanno – Vranov nad Topl'ou.

^b Poša.

czarowałem się przyjemnie przybywszy do Varanno, bo byłem pewny, że to wieś, jak inne, a to ci miasto, że aż hej! Nawet promenada z kobietami poubieranymi gustownie! Zatrzymaliśmy się w warsztatach, gdzie naprawiają armaty, bo przyrzekli naszym koniom dać tu siana, i idziemy na piechotę do dworca kolejowego, bo niby to przyjechaliśmy tu po odebranie materiału artyleryjskiego; okazało się, że jest go daleko więcej, niżby się mogło zmieścić na obstalowane trzy fury. Musimy więc całe przedsięwzięcie odłożyć do jutra. Spotykam na dworcu Gadelowskiego z chóru; po chorobie przeznaczono go do trenu, i powiada, że mu się to całkiem podoba. Ładują w naszych oczach do pociągu chorych na tyfus – same Piotrowiny i Łazarze – ilu z nich już do szpitala nie dojedzie żywych! W mieście jest obecnie komenda korpuśna, milion szpitali i jakaś kawiarnia czy winiarnia, do której wstępujemy na otrzeźwienie. Czas atoli wydaje się H[öulowi] bardzo drogi, bo zaledwie literek wina wypilem, już powiada: jedźmy. Pojechaliśmy, i to w takich złotych humorach, że tylko się powrotna droga migła, a już bylimy w domu. Przebajeczna była ta jazda przy zmroku!

17 Pół dnia tracę na próżnowaniu, do tego stopnia, że mi się nawet z domu wyjść nie chce; z lenistwa myję się dwie godziny, jak za najspokojniejszych czasów. Nawet Sandig mnie zawstydza, bo sobie wziął kompanię i poszedł z nią w pole na ćwiczenia. Zygmunt zaś ubrał się w czarne spodnie, w za ciasną bluzę, powiada, że jest przystojny, i jedzie do Homony – koniecznie chce, żebym z nim jechał, ale ani mi się śni słuchać jego zdradzieckich podszeptów. Pogoda bajeczna, może przecież zdecyduję się wyjść albo wyjechać na spacer. Na razie jednak kontynuuję lenistwo, jak tylko długo się da.

Co mnie zastanawia, to poczta – ani słowa od nikogo – no, głową muru nie przebiję, bo i za bardzo prosić nie jestem zwyczajny. Dlaczegoż ja tylko mam mieć przywilej być wyrozumiałym na wszystko.

Przecież dałem się namówić i o 3.00 wyjeżdżamy z Prchalem i Zygmuntem do Nagymihaly^a; po jakie sto diabłów, nie wiem jeszcze, ale dałem się namówić i jedziemy. Auto znakomite, pogoda również, droga także, humory dobre, co za tym idzie, fantazja okrutna – jednym słowem – wojna jak się patrzy. Spotykamy wprawdzie po drodze Eisensteina z Hamersteinem, ale to nam bynajmniej usposobień nie psuje. Szofer jedzie jak wariat, ale taki przytomny wariat, dlatego około [godziny] 4.00 jesteśmy u celu podróży. Miejsco-wość osobliwej konstrukcji, składa się bowiem z jednej ulicy wzdłuż, z drugiej na poprzek, mnóstwa wojska, przeważnej ilości Żydów, budynku, przedstawiającego kasę oszczędności, niepomiernego nieporządku, stacji kolejowej, sklepów z problematycznymi zawartościami i kinematografu.

^a Miejsco-wość Mi-chałowce.

Zwiedzamy najbardziej interesujące budowle miasta, tj. kawiarnię, gdzie pijemy kawę, i winiarnię, gdzie gramy w bilard, grę zresztą niepatriotyczną. Tak tu jest prześliczne, że po kupieniu aparatu do golenia, spotkaniu Olesia S. ze Lwowa, i pokłęciu Żyda, który chciał po 34 ct za guzik do płaszcza, siadamy w auto i jazda... do Homony. Jechaliśmy świetnym tempem, jak autentyczni kawalerowie, pomimo tego musieliśmy się raz zatrzymać, bo „automobil napił się wody”. W Homonie, jak zawsze, pełno najdzielniejszego wojska, trenu. Niemiałą ich obecność odczuwamy w kasyńce przy kolacji, bo się popili ordynarnym piwem i są ordynarni jak nie bywa! Humor mamy złoty, bawimy się też

świetnie, płucząc gardła szlachetnymi trunkami; dość długo się to płukanie przeciągło i trzeba było wracać do domu.

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

^b Strážske.

18 ^aO 4.00 przybyliśmy na miejsce i zaraz na wstępie zwiastuje nam rozbudzony Sandig nowinę, że dywizja dziś maszeruje do Örmezö^b, nie wiadomo tylko, kiedy. Spać więc przede wszystkim, o ile możliwości, w najszybszym tempie. O 7.00 wstajemy i zarządzamy zaraz pakowanie. Po załatwieniu potrzebnych do odjazdu zarządzeń, spacerujemy sobie ostatni raz po parku, w oczekiwaniu konkretnego rozkazu. Dowiadujemy się około południa, że dywizja maszeruje do Örmezö, jutro koleją do Krynicy, odmarsz o 5.00 po poł[udniu]. Nasza brygada wyjeżdża już o 3.30, ma bowiem pułkownik zamiar wstąpić do Markcsemernye, dla wydania dyspozycji mojemu pułkowi, maszerującemu pieszo. Marsz zaczyna się przy złej drodze, ale pięknej pogodzie. Jeszcze w Alsókörtvélyes spotykamy jakieś zbiegowisko żołnierzy i bab, i dowiadujemy się, że pijani huzarzy rozpoczęli wojnę z otoczeniem przy użyciu karabinów, której wynikiem jeden ranny i jeden zabity – ładnie się chłopcy bawią! W Markcsemernye jest brygadier, przyjmowany oficjalnie przez komendanta pułku i dywizji; zdaje się, z racji mianowania go rzeczywistym komendantem brygady.

Pogadali nieco starsi panowie ze sobą, pośmialiśmy się trochę młodszy, i pojechaliśmy wreszcie za sztabem, który nas już wyminął. Örmezö – ładne, choć małe miasteczko. Po zakwaterowaniu się idziemy z Höulem do parku na spacer i oglądamy go dokładnie, bo jest przebajeczny. Park i pałacyk w nim, to szpital w zarządzie Niemców, porządek panuje też wzorowy; obejrzelśmy jeszcze szpital koński – i czas było na kolację. Przy stole dowiaduję się, że dziwnym

rozporządzeniem mam jechać pierwszym transportem, którego zawagonowanie zaczyna się o 3.00 rano. Diabli nadali, czy co, myślę sobie, ale idę spać, by przynajmniej trochę wypocząć. Gospodyni razem z dwoma córkami, u których mieszkamy, obiecuje mnie zbudzić o [godzinie] 2.30, uśmiechając się przy tym chytrze, w przypuszczeniu, że żartuję.

19 Zamówiony na 2.30 Antek z koniem przyszedł sobie dopiero o 3.30, twierdząc, że się tam nikomu nie spieszy do odjazdu, więc i on się do tego zastosował. Ubieram się w takim tempie, jak to czynią strażacy, i za parę minut jestem u Zygmunta, komendanta transportu, pożegnany poprzednio przez zapłakaną babę, żalującą mnie, że musiałem tak wcześnie wstawać. Przyjeżdżam, Zygmunt śpi i powiada, że ani mu się śni wstawać. Okazuje się, że poprzedni transport jeszcze nie odjechał, bo nie ma wagonów. Przeklinanie, naturalnie w najróżnorodniejszych językach, żeśmy na darmo wstawali, po czym zaczyna się drzemanie, do chwili, aż przyjdzie rozkaz do wsiadania. I doczekaliśmy w ten sposób rana, bez żadnego rezultatu. Około 8.00 zniecierpliwieni idziemy już sami na kolej, ale i tu czekać musimy, popijając w międzyczasie różne śliwovice i koniaki. Dopiero o 11.00 zaczynamy wagonowanie, z którym na 11.30 jesteśmy gotowi; o tym też czasie odjazd nareszcie, ze spóźnieniem dziewięciogodzinnym. Pogoda ciągle piękna. Wygapiamy się obydwaj z Zygmuntem na krajobraz, naprawdę w tej okolicy bardzo ładny.

Mając już pojęcie o szybkości ruchu kolejowego, obliczamy, że w Krynicy względnie Muszynie będziemy jutro rano około [godziny] 6.00. Na razie zaczynamy grać w karty, bo już wszystkie faszki wysuszone, nie ma więc nic lepszego

do roboty. Mijamy tysiące stacji o węgierskich nazwach (co mnie nawet nie dziwi, bo tu cały kraj węgierski) i mało zajmującym wyglądem. Około 9.00 wiecz[orem] przybywamy dopiero do Koszyc. Na żaden sposób nie możemy się dowiedzieć, jak długo tu się pociąg zatrzyma, w każdym jednak razie mamy dość czasu, by zjeść kolację, bo i dla żołnierzy zarządził Zygmunt wydanie wiktów. Przy kolacji prym wiedzie baci, na którego menu zgadzamy się w zupełności, bo je zestawiał znakomicie. Po kolacji zostało nam parę minut [...], wyszliśmy też na miasto, ale po przebyciu paruset kroków wracamy, z obawy przed odjazdem pociągu, zaczepiani przez różne indywidua męskie, a nie zbrodnicze. Szopa była po drodze, ale to nic. Na dworcu dowiedzieliśmy się, że skutkiem wykolejenia się wagonu na następnej stacji nie odjedziemy przed dwoma godzinami, wobec czego udaliśmy się tym razem dryndą na gruntowniejsze zwiedzanie miasta.

20 Ponapisywałem parę kartek, które prawdopodobnie nie dojdą, i o 1.00 jedziemy dalej. Śpimy naturalnie po drodze jak wariaty, bez obawy bowiem przejechania we śnie końcowej stacji. Pociąg się ogromnie powoli wlecze, a jeszcze więcej stoi; prawie na każdej stacji wysiadamy rozprostować nogi, na jednej nawet wychodzimy poza peron, bo się Zygmuntowi zachciało fotografować. W Eperjes^a zatrzymujemy się na obiad, z czego nie bardzo zadowolony [był] komendant dworca. Około 6.00 dopiero przybywamy do Muszyny, i zaraz się człowiek jakoś lepiej w Galicji czuje. Wyważowanie, i o 7.30 jedziemy z Ratzem do Krynicy. Wieczór bajeczny – jasny – droga dobra; konie rażno prostują nogi po kolejowej podróży, jedzie się więc przyjemnie.

^a Prešov.

Dopiero w Krynicy zaczyna się psuć humor, bo wszystko już śpi, wprawdzie dużo [jest] wolnych mieszkań, ale znowu kluczy do nich nie ma – cały dramat. Przy pomocy Boskiej, rotmistrza od żandarmerii i burmistrza jakoś się to i owo poznajdowało, tak że kwaterujemy całe towarzystwo w kurhauzie^a. Konie muszą zostać na polu, może się dopiero jutro co znajdzie. O 3.00 rano jestem gotów z wszystkim, czekam więc na sztab, strapiony, że nie przyjeżdża, bo przespać by się już trochę należało. Przesiedziałem tak całą noc, drzemiąc na stołku, chociaż łóżko z materacami stoi przygotowane.

^a Kurhaus
(niem.)
dom zdrojowy, tu:
Stary Dom
Zdrojowy.

21 Nic nikomu nie mówiąc, został sztab na noc w Muszynie, a myśmy sobie czekali na darmo. Idę zakwaterować konie, co mi się udaje w zupełności, i zaczynam się rozglądać po Krynicy, marząc równocześnie, że tu dłużej zostaniemy. Po przybyciu starego i umieszczeniu go w mieszkaniu, wychodzę na spacer i spotykam Tomka S. Jest jeszcze od grudnia na froncie, pomimo że nie ma władzy w żadnym palcu lewej ręki, sam się dobrowolnie zgłosił do linii; kochany chłop – nic dziwnego, że taki animusz, bo to czterdziestak. Za jego przyczyną poznałem matkę Emila p[anią] W., która nas zaprasza do siebie. Za jakąś godzinę poznałem całą rodzinę p[añstwa] W., którzy wyszli na spacer. Cieszą się, że znam Emila, i że razem służyliśmy, on bowiem obecnie [leży] chory w szpitalu. Jakoś odżyłem w tym towarzystwie. Okazało się, że i Höul ich zna, poszliśmy więc obydwaj po obiedzie do nich i na miłej rozmowie zeszło parę godzin. Pogoda ciągle dopisuje, o wojnie całkiem zapomniałem, udając burżuja na pobycie letnim w zdrojowisku. Nic bym przeciw temu nie miał, gdybyśmy tu z miesiąc zostali.

22 Jedziemy sobie rano z H[öulem] konno na spacer; po naszym powrocie wyjeżdża Zygmunt, i zabiera mnie znowu z sobą. Używanie, że ha! Pogodny znowu dzień schodzi na przeróżnego rodzaju spacerach. Namówiony dyrektor zakładu przyrzeka nam na jutro przygotować kąpiel, na co się wszyscy ogromnie cieszymy. Ani nam w głowie wojna. Zwiedziłem dziś Krynice dokładnie, z obydwoma parkami, deptakiem etc. Wieczorem dowiaduję się, że mam jechać jutro rekognoskować drogę i stanowiska; inni naturalnie zostają i będą się kąpali; na mnie musi zawsze trafić.

23 O 7.00 rano wyjeżdżamy z kapitanem G. w stronę Mochnaczk, Banicy, z zamiarem dostania się do Hańczowej. Droga uciążliwa, stroma, kamienista, miejscami całkiem jej nie ma. Zaznaczyliśmy to, że chcąc ją zrobić dla artylerii możliwą do przejazdu musiałoby pracować przez tydzień ze 100 ludzi. Pomimo niewygodnej drogi i nurtującej we mnie rozpacz, że się inni kąpią a ja nie, mamy dobre humory, bo słońce i swoboda robią zawsze swoje. Do Hańczowej wyjeżdżamy około 1.00 po południu. Tu się dopiero zaczyna szukanie jakiej komendy, bo 8. Dywizji tu nie ma, jak nam to powiedziano.

Po godzinie rozpaczliwych wysiłków (bo apetyt jest) znajdujemy 96. Brygadę z miłym generałem, zapraszającym nas natychmiast na obiad, i jeszcze miłszym porucznikiem, dającym nam takowy. Przesiedzieliśmy u nich przeszło godzinę, wyrysowałem sytuację tamtejszą, po czym czule się pożegnawszy odjeżdżamy całkiem inną drogą. Co jest prześliczne, to te góry; gęby się nam co chwilę otwierają z podziwu, jak też tu pięknie. Koniska mają za sobą 40 km, przed sobą jeszcze ponad 20, idą jednak różnie. Około 6.00 dostaje-

my się na szosę, z której już nie zbaczamy do samej Krynicy, dokąd przybywamy o godz[inie] 7.30. Zaraz na wstępie do-
wiaduję się, że jutro odmarsz, i mało z konia nie spadłem na
tę wiadomość. Wszystkie projekty na jutrzejszą kąpiel wzię-
ły nagle w łeb, pomijając już to, że się skończą dobre czasy
w dobrych kwaterach. Zmęczony jestem drogą jak pies, mu-
szę jednak czekać na dyspozycję, która nie wiadomo, kie-
dy będzie wydana, Höul bowiem, tak jak ja rano, wyjechał
[na rekonesans], z tą różnicą, że w dłuższą drogę, z zamia-
rem wrócenia dopiero jutro. Depeszuję do niego, by się nie
fatygował z powrotem, ale zjechał się jutro z nami po dro-
dze. Dyspozycję wydano dopiero koło 12.00, tak że po zała-
twieniu wszystkiego dopiero po 1.00 walę spać.

24 Mógłbym sobie spać przynajmniej do 8.00, gdyby nie to,
że jeszcze przed 6.00 zbudził mnie Antek, pytaniem, czy
może wziąć kuferek na wóz. Odpowiedziałem mu, że po-
chodzi z tej samej rodziny, co moja kobyła, wyrzuciłem go
na łeb z całym kuferkiem, ale usnąć na nowo już nie mo-
głem. Nie czuję się atoli zmęczony, mogę więc bez zbytniego
natężenia woli wstać i załamać ręce z rozpaczy, że się musi
odjeżdżać z tego ładnego kąta. Za oknem widzę maszeru-
jących już Bośniaków, potem 40. itd. i... jest ich dosyć dużo.
Czas wolny do odjazdu skracamy lecząc ból zębów w aptece,
na który się wszyscy nagle rozchorowali, nie wyłączając dy-
rektora *Kurhausu* doktora Biesiadeckiego, ekselencja, pan[a]
od podatku etc. O 10.00 odjeżdżamy, żegnani czule przez
cywilów, drogą na Polany; tu pół godziny spoczynek i jazda
dalej, aż oparliśmy się we wsi Brunary. W ogóle jedziemy
tą samą drogą, którąśmy wczoraj z kapitanem do Krynicy
wracali; dopiero dziś czuję kości po wczorajszej jeździe. Do-

^a W oryginalnej: dokąd.

póki^a jedziemy kłusem, to wszystko dobrze, jak się jednak zaczniemy ciągnąć stępa, i to z góry, to już wolę zsiadać i iść piechotą. Pogoda stale piękna i żadnych prognostyków na jej zmianę; zaczynają się też marsze w tumanach kurzu, który już dziś dał się nam dobrze we znaki.

W Brunarach mieszkamy strasznie śmiesznie u jakichś pań, bojących się okrutnie Moskali; pomimo że się ich tak boją, nie ufamy im zbyt. W ogóle są wydane ostre zarządzenia, ze względu na ostrożność co do cywilnej ludności, bo tu ma być moc nieszczerých Rusinów⁷⁸. Pozałatwiawszy wszystko, co dotyczyło zakwaterowania, położyłem się na trawie głębą do samego słońca i przeleżałem sobie w tej pozycji, aż do 6.00, o którym to czasie poszedłem na kolację, forsując się po drodze niepomieranie, bo to dosyć daleko (jaki człowiek czasami bajecznie leniwy!). Po kolacji zaraz dyspozycja i nyny, bo jutro maszerujemy dalej.

^b Dopisek autora: Niedziela.

^c Uście Gorlickie.

25 ^b Znowu pogodny dzień się zaczyna, chwala też za to P[anu] Bogu, bo jak pogoda dobra, to i wszystko dobre. O 8.00 żegnamy Brunary, kierując się na Uście Ruskie^c, drogą tak uciążliwą, jakiej nie pamiętają najstarsi ludzie. Artyleria i treny, ma się rozumieć, tędy nie przejadą, choćby się każda armata na głowie postawiła! Przecudny krajobraz łagodzi nieco wrażenie przykrej drogi, ale po czasie, pod wpływem zmęczenia, i on przestaje zajmować. W Uściu R[uskim] spoczywamy aż (!) pół godziny, zanim poczępaliśmy dalej. Po drodze spotkałem znajomego z Trzebini, który – [choć] mi się przypomniał i powiedział swoje nazwisko – nie wiem, jak się nazywa, ani co za jeden, choć bij głową w mur.

Lato, aż lubo! Kozuchy już na nic nieprzydatne, proponuję więc Zygmuntowi, żeby się swoim dał wypchać, a ja

swój posłę na przechowanie do trenu; odrzekł mi takowe głupstwo, że się zczerwieniłem aż po samą czapkę. Jak się później okazało, powodem tego zaczerwienienia było słońce, które mnie opaliło, niemniej jednak jestem skromny i wstydlivy. Około 2.00 przybywamy do Nowicy, która jest o tyle wsią, o ile ją tak nazywają czy przezywają. I tu mamy spędzić połowę lata, obiecują, bo atakować nie będziemy, mamy tylko rozkaz stanowisk bronić. Nie wiem, jak będzie wobec tego z naszym mieszkaniem, bo trzeba by go przynajmniej rok wietrzyć, chcąc się wyzbyć tego sielskiego zapachu. Do tego wszystkiego wózek nasz gdzieś utknął po drodze i przyjechał dopiero podczas kolacji. Ponieważ wiem, że posiłanie jeszcze nie będzie gotowe, muszę więc czekać i skraćć czas piciem, w czym bardzo czynnym okazuje się także nadpor. Potłucz i Papierkowski, ten ostatni kolega szkolny Zygmunta. Opowiadają przeróżne stworzone i niestworzone rzeczy, w czym bynajmniej nikt nie przeszkadza. Zmęczenie robi w końcu swoje, tak że rozchodzimy się do swoich kwater.

26 Bierze mnie ze sobą brygadier w pole, bo chce się osobiście przypatrzeć stanowiskom, jako że dziś wieczorem mamy zluzować stojący tu 9. Korpus. Następna wieś Przysłup jest siedliskiem komendanta tutejszej grupy artylerii, płk. Polaka, znowu kolegi z akademii mojego starego; witali się też jakby obydwa wynaleźli proch bezdymny albo przynajmniej Amerykę, i dopiero później pojechaliliśmy do stanowisk. Droga ciągle pod górę, z przejściami gdzieś prawie nie do przebycia, ale tak się to tylko mówi, bośmy ją przecież przebyli. Wzgórza tutejsze zupełnie niepodobne do tych, które okalały dolinę Laborczy. Wszędzie lasy i la-

sy, że diabli wiedzą, jak tu co zobaczyć. Stanowiska mamy za to znakomite, zarówno artylerii jak piechoty. Poniekąd nic dziwnego, bo stoją w jednym i tym samym miejscu od początku grudnia, mieli się też czas dobrze okopać i usadowić. Porobili też z każdej góry małą twierdzę, którą ciężko byłoby zdobywać. Moskale również oszańcowali się dobrze, chwala też Bogu, że nie mamy zamiaru atakować, bo- byśmy trochę zębów sobie wyłamali.

Piechota mieszkająca tutaj czuje się jak w domu; porobili sobie mieszkania w ziemi, a każde z nich nazywa się „willa” – „Pony”, „Bunny” itd. Front nasz ciągnie się wzdłuż doliny, po której drugiej stronie są Moskale; w samej dolinie rozciągają się trzy wsie: Ług^a, Zdynia i Konieczna. W razie bijatyki muszą mieszkańcy dobrze kłaść uszy po sobie – na razie pracują [...] w polu przy słońcu, jak za najpiękniejszych czasów. Co prawda, to skonstatowano Moskali pod postacią pracujących kobiet, niemniej im jednak nikt w robocie nie przeszkadza. Po załatwieniu rzeczy dotyczących wojny wracamy, głodni jak sztukmistrz, który 80 dni nie jadł, do Nowicy, prosto na obiad. Nie potrzeba opisywać, jak się jadło! Po obiedzie kładą się panowie spać, ale mnie żal tracić słonecznego dnia; namówiłem chłopaków, żeby nam porobili łóżka, co się dosyć zgrabnie udało, a ja miałem zajęcie wygapiając się na tę robotę. Opaliłem się starannie i aż mi to każdy wypomina, że taki czarny jestem. Idźcie i wy, myślę sobie, na wojnę, to się także opalicie. Co jest przykre, to uciążliwa komunikacja ze światem z naszego odludzia. Poczta, pomimo że szwankuje, przyszła dzisiaj i nic do mnie nie było. Czy to czasu nie mamy na pisanie, Bębnie jeden?

^a Przysiółek Zdyni.

27 ^aTak jak wczoraj wyjeżdża brygadier w pole, tym razem z dywizjonerem. Jedzie z nim na odmianę Höul, a ja sobie zostanę i będę miał pauzę po czterech dniach trzęsienia kości na koniu. Do roboty nie ma wiele, walimy też z Sandi-giem na spacer i kładziemy się na górze brzuchami do słońca. Bajecznie jest się tak wygrzewać, tylko że mrówki chodzą po człowieku, jakbym był co najmniej jaką promenadą. Muszę sobie oswoić jakiego dziecięcia, chodziłby ze mną na spacer i miałby zajęcie. Na razie mam oswojoną kobyłę, bo aż do mieszkania za mną dziś wlała. Wyprawa wróciła dopiero o 2.00, i w ślad za tym zaczyna się rysowanie, dysponowanie itp. „anie”, w czym naturalnie czynnie [za]interesowany jestem. Dzień urozmaicony deszczem, na szczęście przejściowym tylko, bo po półgodzinnym pokapywaniu zaświeciło słońce.

Obecny żywot podoba mi się w zupełności, i gdybym jeszcze do tego nie był tak leniwy jak jestem, wszystko byłoby w porządku. Trochę mi daje do myślenia to gromadzenie artylerii w dozach bynajmniej nie aptecznych, ta wywiadowcza służba itd., bo nie wiem, co o tym naszym projektowanym spokojnym siedzeniu sądzić. Ponieważ atoli dysponowanie armią ani korpusem do mnie nie należy, nie potrzebuję więc sobie nad tym głowy łamać, co się stanie jutro albo za kilka dni, i mogę sobie spokojnie żyć jak zwykle dniem dzisiejszym. Wacek napisał list śmieszny, liczę to do najważniejszych wypadków dnia. Wieczorny spacer przy księżycu także bardzo przyjemny. Zostałem wczoraj chorażym.

28 Rano wyjeżdżają sobie panowie w pole, w tym samym komplecie jak i wczoraj. Zaczyna mi się więc powtórzenie

^a Dopisek
autora:
Rocznica.

wczorajszego dnia, z tą tylko różnicą, że poszedłem na spacer, leżę nie tylko brzuchem do słońca, ale obracam się na wszystkie strony, żeby żadnej części ciała zazdrość nie była. Słyszę przy tym, jak samoloty w powietrzu bucza, ptaszki śpiewają i baci pokrzykuje na ułanów budujących stajnie. No, ale przecież i we mnie odezwała się ambicja, że w dzień leżeć jest nieprzystojnie. Zerwawszy się więc, zabrałem się po przybyciu na kwaterę do załatwiania korespondencji, i przyznać sobie muszę, że się zupełnie dzielnie z tego wywiązałem, bo naraz podpisywałem wszystkim zaległe od miesiąca nawet odpowiedzi. Co mi się jednakże podoba, to dzisiejsze oczekiwanie na obiad. Głodny sobie jestem, panie dzieju, odpowiednio, a tu czekać musimy, aż panowie z pola wrócą, bo i komendant korpusu ma jeść dziś z nami.

Czekaliśmy sobie tak szczerząc gęby do słońca, aż do godz[iny] 2.00; nadjechał cały sztab, aż z trzema generałami⁷⁹; jadłem też, i uroczyście, i dużo. Ogromnie miły jest komendant korpusu (Martiny) – ma wygląd młodego pułkownika, śmieje się i opowiada dużo, jednym słowem, udał mi się. Popołudnie zeszło nam na dosyć miłym zajęciu, mianowicie każdy udawał, że coś robi. Napisałem jeszcze parę kartek, żeby już do reszty nie móc poznać siebie samego, i poszliśmy na kolację. Tak w tej karczmie, zamienionej na salę jadalną, gorąco, ze strach! Gramy pomimo tego w karty, aż do 11.00, bo wesołych kibiców naokoło pełno.

29 Oberwał mi się zaraz z rana rozkaz, że jadę na wzgórze 814 porobić zdjęcia pozycji rosyjskich z natury. Ładna cyfra, pomyślałem sobie, zajęcie także niczego. Siodła też Antek kobyłę, w tempie 60 km na godzinę. Biorę ze sobą Wró-

bla, uzbrojonego w binokle, przez które się wprawdzie nie widzi, ale za to waży około 15 kg, temperuję na gwałt ołówki, pociągając przy tym nosem, bo w pośpiechu nie mam czasu na obtarcie takowego. I dopiero po załatwieniu tego wszystkiego dowiaduję się, że mam jeszcze z godzinę czasu, bo [muszę] wyjechać razem ze wszystkimi, i dopiero po drodze się rozłączyć. Poszedłem więc jeszcze wypić herbatę i najść się chleba ze smalcem (przez roztargnienie nadpsutym), po czym dopiero – przekonawszy się jeszcze raz, że będąc należycie uzbrojonym mogę bardzo łatwo wojnę wygrać – przyłączyłem się do odjeżdżającego sztabu.

Jedziemy na krótsze drogi, tzn. przez bezdroża; po zapuszczeniu się w las, a co za tym poszło, utraceniu zupełnie orientacji o którymkolwiek z kierunków świata, zostaję uprzejmie pożegnany, tj. że mam się udać w swoją drogę. Teraz sobie pomyślałem: niech trafi, kto może, bo ja nie potrafię. Na razie chodzi mi o skonstatowanie, gdzie kula ziemska ma północ, a gdzie południe, co mi się w przybliżeniu udało odkryć przy pomocy słońca i zegarka. Wytyczyłem więc na podstawie mapy kierunek, którego się trzymać mamy – i jazda na pamięć; trafiłem jednak nie błędząc dużo za jakieś pół godz[iny] na kolczasty drut, i tu już byłem w domu, bo znaleźć żądane towarzystwo nie sztuka. Chcąc mieć dokładny przegląd pozycji rosyjskich, musiałem wyjść dosyć daleko poza własną linię, i tam dopiero, schowany pod drzewem, wziąłem się do rysowania; pozycje i oni mają świetnie wybudowane, widzę już, co tu artyleria będzie miała do roboty, bo bez niej się ich nie weźmie. Po trzech godzinach byłem gotów, wracam więc zadowolony i z uciechą w duszy, że się Moskałom może znowu dobrze przysłużył.

Powrót do domu aprobuje Wróbel w zupełności, co wnoszę z jego wesołego pogwizdywania (jąka się bestia przy tym). Po powrocie zastałem już wszystkich w domu, stary mi się wypytuje o szczegóły, a jak poszło, czy do mnie strzelali itp. Poszło wszystko dobrze, nie strzelali do mnie, ale i jeść nie dali, dlatego całkiem chętnie zjadłbym sobie obiad. Po południu urzędujemy, aż do samego wieczora, skutkiem czego towarzystwo całkiem fatigati. Zaraz po kolacji kładę się skutkiem tego spać, tym bardziej że na jutro zapowiedziane wczesne wstawanie. Nieco przed 9.00 budzi mnie brygadier, bo przyszła dyspozycja z korpusu, trzeba więc powydawać zarządzenia. Ubieram się całkowicie bez zbytniego zapału, i zaczyna się pisanie, telefonowanie, rysowanie, w ogóle to, co ja najbardziej, zwłaszcza w nocy, lubię.

30 Trwała ta zabawa do 3.30 rano; kładziemy się w ubraniach, bo na dwie godziny rozbierać się nie warto. Powstaawszy gotujemy się do drogi, aż nagle wpada brygadier na ideę zostawienia mnie w domu, wychodząc z założenia, że musi jakiś przedstawiciel brygady na miejscu zostać. I rzeczywiście, gości mam co niemiara, a każdy po rozkazy do brygady. Przyjeżdża najpierw nadpor. Oziczka z 45. Dywizji, której nasza brygada będzie przez pewien czas podlegała, następnie jakiś porucznik z 45. Dywizji Kanonów, chorąży z baterii haubic 40, jednym słowem, aż się od nich roi. Rozgorączkowane towarzystwo uspokoiłem, że pułkownik wróci niedługo po południu, zechcą więc poczekać albo drugi raz się pofatygować. Decydują się na to i na to, a ja mam na razie przynajmniej spokój.

Porysowałem potrzebne szkice i zaczyna mi się przykrzyć. Szkoda, że mnie ze sobą nie wzięli, bo w polu sto

razy przyjemniej, niż w tej brudnej chałupie, zwłaszcza jak pogoda piękna. Poproszę też, by mnie na przyszłość nie zostawiali, bo nie jestem żaden ogonek. Po powrocie starego i obiedzie, także samo jak wczoraj popołudnie pracowite, ale dosyć nudne. Już się czasami wyznać nie mogę w tej całej masie artylerii, którą obecnie nasza brygada dysponuje. Przewaga nasza pod tym względem jest też zdecydowana i kombinuję, że głównie na podstawie tej przewagi będzie można coś uzyskać w razie ataku z naszej strony. W końcu będzie, co ma być, na razie się przygotowujemy. Wieczorem gramy w karty, przypominając tym samym murarzy, którym właśnie wypłacono tygodniowy zarobek.

Maj [1915]

1 „Witaj maj! Piękny maj” – zaśpiewałby sobie Zygmunt, ja atoli tego nie robię ze względu: 1) na obecność poważnych osób; 2) na ból głowy i w ogóle nie zachęcający do weselości stan mojego zdrowia; 3) w końcu, że dzisiejszy maj niczym się od wczorajszego kwietnia nie różni, więc i entuzjasmować się nie widzę powodu. Dostaję rozkaz jechania do Leszczyn z różnymi poleceniami i po powrocie... zostania w domu; panowie naturalnie jadą w pole, i to na cały dzień. Z irytacji już się nawet złościć nie potrafię, tylko zaraz po śniadaniu jadę do tych Leszczyn i w niedługim czasie wywiązuję się z poruczonego zadania. W poszukiwaniu nadpor. Ostrowsk[iego] z mojego pułku natknąłem się na W. z haubic, który mnie ugościł jak syna, albo lepiej, bo jestem w równym z nim wieku, jak brata. Miło by się z nim siedziało, gdyby nie ta Nowica, w której mi się właściwie siedzieć należy. Dopóki byłem na koniu, jakoś wszystko było

dobrze, ale po przybyciu do domu czuję zupełny brak siły, w następstwie czego kładę się na łóżko i kombinuję, skąd mi się gorączka wzięła, oraz skąd się ona w ogóle bierze.

Napadał mnie w tym czasie jakiś kapitan, później znowu ktoś, ale się ich prędko pozbyłem, zawiadomiwszy ich pokornie, że jestem chory i „podejrzany o tyfus” – to ostatnie zdziało się, że się spalili^a w jednej chwili. Takim psia krewnym słaby, że nawet obiad zignorowałem, jakkolwiek to najpiękniejszy moment dnia. Wstałem jednak po południu i z nudów, choć głowa ciąży, zabrałem się do rysowania, na czym mi z przerwami zeszło do zmroku. Nic nie mówię staremu po jego przybyciu, że jestem niezdrowy, bo ma zamiar wziąć mnie jutro w pole. Zdziwiłem się też, kiedy sam mi kazał zostać jutro w domu, bym się bardziej nie przeziębiał. Pewnie się Höul wygadał.

^a Tu w znaczeniu: wycofali.

^b *Dopisek autora:*
Niedziela.

2 ^b Powstawali o wpół do czwartej i znikli pół godziny potem⁸⁰. Atakujemy dziś⁸¹, spieszą się więc wszyscy w pole. Wyjeżdża również sztab całej dywizji, komendant korpusu, który tu już od wczoraj mieszka, zaawizowano nawet przybycie komendanta armii⁸². Przygotowane wszystko znakomicie, mam wrażenie, że powodzenie będzie. Już około 8.00 rano zgłaszają złapanych 110 Moskali, dwóch wysokich oficerów i dwa karabiny maszynowe, a to przecież dopiero początek dnia. Pozawijałem się w płaszcz, leżę na słońcu i słucham, jak grają armaty. Całkiem zdrowy nie jestem, ale też i nie taki chory, by mnie nie można było wziąć z sobą, dlatego mi też żal, że tu beczynnym leżeć muszę. Kanonada na całym froncie obydwu naszych dywizji trwa nieprzerwanie do południa; od aeroplanów aż się roi w powietrzu. Ogromnie jestem ciekawy na wynik bitki i już się cieszę na sukces.

Zygmunta także tu zostawili, ale się telefonicznie wykrcił, pocygał, nie wytrzymał i pojechał na górę. Do godz[iny] 1.00 nic nie wiem, co się na froncie dzieje, idę więc na śniadanie, może się czego dowiem.

Zastałem naturalnie Sandiga przy stole (ten potrafi, o ile warunki pozwalają, cały dzień jeść!); od niego dowiaduję się wszystkich nowych rzeczy, jak: że wszystkie przednie pozycje ros[yjskie] w naszych rękach, 300 niewolnika także, 2 karab[iny] maszynowe też; sąsiednia dywizja ma już 600 niewolników i 6 armat – nie liczy się parę tysięcy rannych i zabitych. Jednym słowem, idzie dobrze, te świetnie wybudowane pozycje rosyjskie w naszych rękach. Podobno 40. [Pułk] strasznie dużo nauśmiercał, za karę, że chcieli po wywieszeniu białej chorągwi uciekać. Wzięty do niewoli rosyjski podpułkownik, człowiek starszy, płacze ustawicznie, że mu z 11 set żołnierzy tylko ośmiu pozostało, reszta miała paść pod ogniem artylerii; ze względu na swój wiek dostaje wózek i swoich pucarów⁸³ na dalszą drogę żywota.

Od ostatniej wiadomości w południe nic do nas aż do wieczora nie dochodzi. Pod wieczór stan mój się pogarsza; chrypkę mam bez tego cały dzień i mówię głosem jak wrona chora na zapalenie migdałków, a tu bynajmniej mi się nie polepsza. Wieczorem przychodzi depesza, by posłać brygadzie na górę posłania nocne i co nieco do jedzenia; o mnie ani słowa – nie pytam się też o nic, tylko zostaję w domu – i kładę się wcześniej spać. Gorączka się zwiększyła, ponieważ nie mam termometru więc nie wiem na pamięć, czy mam jej 30° czy 100°.

3 Przypomniałem sobie dziś na narodową rocznicę, którą może najładniej tego roku obchodzimy. Od rana znowu

^a Kuchnia
wojskowa.

słyszać strzały – wszyscy idą naprzód. Pozostali w Nowicy – ja, Sandig i Prchal – nudzimy się w oczekiwaniu na wiadomości z frontu, siedząc aż do południa w menaży^a; wiemy tylko, że idzie dobrze, ale jak, gdzie, szczegółów żadnych. Dopiero wieczorem po powrocie sztabu dowiadujemy się, że następne pasmo górskie wzięte, niemiecka dywizja zajęła Biecz, w ogóle poszło nadspodziewanie dobrze. Z urzędowej depeszy dowiadujemy się następnie, że Moskale stracili wczoraj na całym froncie 8000 w samych jeńcach i dużo dział. U nas dziś gości także sporo; już o zmroku przeprowadzają trzy transporty, złożone z 535, 53 i 482 jeńców. Po wydaniu dyspozycji, kładziemy się o 10.00 spać; budzą nas, ale około 12.00, że w rozkazie na jutro nastąpiła zmiana, i to zarządzona z komendy armii. Wstajemy na nowo i dopiero po paru godzinach kładziemy się [znowu], dokonawszy przewrotu świata, tj. już po raz trzeci dzisiaj zmiany dyspozycji.

4 Słoneczny, ale po wczorajszym deszczu zimny dzień. Wyjeżdżają wszyscy w pole, biorąc mnie (nareszcie!) ze sobą. W oczekiwaniu na odjazd marzną w nogi i zaczynam znowu kaszleć, ale dyskretnie, żeby stary nie słyszał, bo mnie znowu zostawi. Czy się dzisiejszy dzień równie tak dobrze skończy, jak dwa ostatnie? Atakuje dziś 21. Dywizja, przy udziale także naszej artylerii – jaki będzie skutek – zobaczymy. O 8.30 wyjeżdżamy przy pięknej pogodzie; w miarę jak się posuwamy coraz bardziej w górę, [więcej] coraz większy i zimniejszy wiatr. Te wybudowane silnie pozycje ze swoim kolczastym drutem mija się teraz bez najmniejszego zajęcia, jakby to byli zrobili ze 20 lat temu. Dziwnie mnie jednakże nastraja prawdziwie wojenny i żołnierski widok skleconych schronisk z drzewa lub ziemi obok... grobów poległych to-

warzyszy – a grobów jest dosyć – i wszystkie pielęgnowane starannie przez pozostałych, którzy je szanują i dbają o nie. Nie wiadomo, czy jutro tej samej opieki od innych potrzebować nie będą. Ot, żołnierze i ich dola.

O sytuacji niewiele wiemy, bo nadspodziewanie rażno wyrwała piechota naprzód, tak że wymagana od nas gotowość ewentualnej pomocy jest zupełnie zbyteczna. Jedyna artyleria, która zajmuje stanowiska, posuwając się partiami naprzód dla ewentualnej akcji, gdyby piechota nagle natrafiła na opór. Nawet ekscelenc znajduje, że obecność nasza na tej górze jest zupełnie zbyteczna, bo na dole dosyć znalazłoby się roboty, wobec czego mamy nawet zamiar nie czekać tu wieczora, tylko o 4.00 wracać do domu. Przeglądam stąd okolicę. Biecz widać jak na dłoni, ale Sławęcina i Jasła odnaleźć nie mogę: schowały się za górami. Po południu znowu słońce, co mnie aż o dobry humor przyprawia, tym bardziej, że coraz mniej kaszlę, a o gorączce ani słyszeć. Widać pękające armatnie pociski Niemców na północ od Biecza, idą więc w ataku dalej. Pomimo że mnie nic [wewnątrz] nie boli, odpluwam krew, jakbym jej miał za dużo. Nic o Moskalach nie słyszeć, dopiero wieczorem zauważam przez szkło ich cofanie się. Około 7.00 wracamy do Nowicy pieszo, dla zażycia spaceru. Po kolacji kładziemy się prowiźorycznie spać, bowiem o 10.00 wstajemy dla wydania zarządzenia na jutro, na podstawie dyspozycji z korpusu, znowu pisanie i rysowanie do 2.00, po czym [następuje] dopiero spoczynek, przerywany co chwilę telefonem.

5 6.30 odjazd z Nowicy na [wzgórze] 757⁸⁴; na noc mamy zamiar zatrzymać się w Małastowie. Droga bardzo dobra, dzień pogodny; jedziemy częściowo przez las, zresztą go-

ścińcem przez Małastów i Pętą; po przybyciu do tej wsi nadchodzą zgłoszenia, że Moskale od wczoraj wieczora znajdują się w odwrocie, tak że przed nami nie ma nieprzyjaciela. Jedziemy na następną górę od 757, tu przybyły z korpusu nadpor. Bauer potwierdza wiadomość o odwrocie Rosjan, dodając szczegóły o ciągnących dwóch kolumnach na Żmigród i Krempną. Kolumna pod Żmigrodem została przez Niemców złapana (63 km). Na skutek sytuacji zmienia się dyspozycja, maszerujemy do Wołowca. Przedtem zatrzymujemy się w polu, tak że dopiero wieczorem przybywamy do wsi.

Głodny jestem jak pies, kaszlę, przy czym znowu odpływam krew, oraz ciągną złapani Moskale. Jaki u nich duch, daje pojęcie fakt, że jeden nadpor[ucznik] od ułanów, wysłany na patrol z ośmioma ludźmi, przyprowadził 170 rosyjskich uciekinierów, którzy widząc orszak jeńców sami wychodzili z chałup i przyłączali się do pochodu. W Wołowcu mieszkamy na plebanii we trójkę, w obszernym pokoju. Ksiądz tutejszy (ruski)⁸⁵ uciekł z rosyjskim sztabem. Po kolacji gorączkuję, muszę się więc położyć, zasnąć długo nie mogę. Grali na gramofonie!

6 O godz[inie] 2.15 rano alarm całej dywizji; wybieramy się na łapanie Moskali, którzy koło Krempnej mają zamiar stawić opór. Bieganina po nocy, na szczęście gorączka minęła. Wydawanie dyspozycji, telefonowanie etc., trwa dosyć długo. Piechota odchodzi już o 3.00. Sztab siedzi ciągle jeszcze na miejscu. Przyjechał gen. Prusenowski, wychorowawszy się w Wiedniu. Zygmunt sobie podśpiewuje, jak za dobrych czasów, i nieco przed 5.00 odjeżdżamy. Pogoda zapowiada się dobra, ale na razie zimno jak diabli, zaś po przybyciu na



Niemiecka piechota w drodze na pozycje w Karpatach

górze przed Żydowskim wiatr niesamowity i jeszcze ciemniej. Na szczęście, nie marzniemy długo, tylko schodzimy do kotliny i rozkładamy obóz przy drodze, obok obozujących również z 90., znajdujących się tu jako rezerwa. Wszyscy czekają na jakieś wiadomości od kawalerii, sprawiającej służbę wywiadowczą, i czekają na darmo. Dopiero pewien porucznik z 1. Baterii zgłasza się z prośbą o rozkazy, bo bateria, zajęchawszy na stanowisko z zadaniem zastrzelenia Krempny razem z mieszczącymi się w niej Moskalami, nie ma nic do roboty po skonstatowaniu, że Krempna przez własne wojsko zajęta. [Nastąpiła] mała konsternacja, bośmy się tu spodziewali oporu.

Niedługo potem przychodzi dyspozycja – maszerujemy do Tylawy. Nastrój u wszystkich ogromnie dobry, [choć] jeść nie dali i wojować każą. Pokrzepiam się z manierki bacsiego, powtarzając wyrażenie Bośniaków: „nima rumu, nima szturmu”. Krążą różne fantastyczne opowiadania o wzięciu przez Hindenburga⁸⁶ 170 000 jeńców, 600 armat i diabli wiedzą jeszcze czego. Naturalnie, na tej podstawie snują nasi domorośli strategicy swoje domysły i kombinacje, że Moskale się nad Sanem nie oprą, kto wie nawet, czy zdołają to zrobić na swojej granicy! Pomimo całego uzasadnienia dobrych horoskopów, nie godzę się z gadaniną; na razie cieszę się, że w [czasie czterech] dni zyskaliśmy (nasha tylko dywizja) przeszło 40 km na terenie. O 8.00 przyjeżdżamy do Tylawy, błędząc dość długo, i szukając wsi, bo uwierzyć było trudno, że się składa tylko z dwóch chałup; reszta doszczętnie spalona. Zmęczeni wszyscy tak, że nawet mówić nie chcę; marsz był co prawda bardzo uciążliwy i przydługi, bo z małymi tylko przerwami od 5.00 rano. Będziemy prawdopodobnie spali na polu. Kładę się koło na-

szego ogniska, ale ze zmęczenia ani myśleć, ani usnąć nie mogę – zresztą tak czy tak muszę jeszcze czekać na rozkaz, i do diabła na kuchnię! O 10.00 dali trochę zupy i mięsiska, ale już przedtem zdążyła mnie opanować gorączka, wobec czego decyduję się spać z Zygmuntem na strychu.

7 Wstajemy o 4.00 i niedługo potem jesteśmy w drodze do Posady Jaśliskiej. Przyłączają mnie do kwatermistrza, co przyjmuję z zapalem (w duchu). Wyprzedzamy towarzystwo w klusie i w półtorej godziny jesteśmy na miejscu; naturalnie z kwaterami prawie żadnych korowodów, bo zajężdżamy prosto do klasztoru, gdzieśmy jedli ostatnią Wilię^a. Mateczki i siostrzyczki witają mnie jako starego znajomego, bośmy przecież razem drzewko ubierali! Cieszą się baby, żeśmy znowu, nareszcie! Przyszli, bo się już doczekać nie mogli, tak im Moskale dokuczali.

^a W oryginalnej: wilię.

Pokładliśmy się w ogrodzie na trawie, i czekamy na sztab. Pierwszy raz w życiu konstatuje słodycz oczekiwania i pragnę, by się jak najdłużej przeciągło. Na sąsiedniej górze padają szrapnele – jak się dowiaduję – Moskale stawiają opór broniąc swojego trenu; ciekawym, czy się go uda złapać; Bośniacy i dwie baterie poszły już w tym kierunku. Skutkiem wywiązanej walki, przejeżdża sztab mimo nas, w ten sposób więc moje oczekiwania przedłuży, co przy zmęczeniu jest tak upragnione; a zmęczony jestem naprawdę.

Niedługo danym było używać na leżeniu, bo przyszły jakieś oficerzy z 17. Korpusu i wyrzucili nas, zajmując nasze kwatery. Niezrażeni niepowodzeniem, wynosimy się do wsi i tu lokujemy dywizję po chałupach. Świeżych wiadomości dotychczas (12.00) żadnych. Poczty już od Bóg wie odkąd nie było, łatwo zapomnieć, że w ogóle istnieje. Zeszło mi

popołudnie na bezczynności; była przynajmniej sposobność do umycia i ogolenia się. O zachodzie słońca wraca sztab i... wszyscy źli jak diabli; oberwało mi się przy tym trochę także, ale nie biorę tego do serca, bo to skutek dyshumoru. Po kolacji zaraz spać – gorączka znowu.

8 Zbudzili mnie o 2.30 rozkazem czekania na dyspozycję, zapowiedzianą na 3.00. Wstaję naturalnie, bo mógłbym zapaść, i zaczynam spacerować ze złości i zimna. Po otrzymaniu oczekiwanego rozkazu, dowiaduję się, że dywizja maszeruje przez Wiśloczek – Tarnawkę – do Odrzechowej. Odmarsz o 5.00 przez sławne Szklary. Przybywamy do Wiśloczka, i tu natykamy się na rosyjskie ciężkie granaty, co nie było zupełnie programem przewidziane. Pół godziny potem rozwija się potyczka, my zostajemy w Wiśloczku z 40. jako rezerwą. Początkowo dwie baterie haubic, następnie i dwóch kanonów idą na stanowiska po obydwóch stronach kotliny, w której znajduje się wieś.

Nie wiem, skąd Moskale nabrali naraz tyle artylerii, bo wałą jak wariaty. Jadę najpierw do haubic, z doniesieniem o stanowisku rosyjskiej ciężkiej baterii, którą mi się udało odkryć; większość drogi musiałem przebyć pieszo, bo konno było nie sposób. Później jadę z rozkazem do górskiej artylerii, gdzie mam sposobność oglądania poboju z przedpołudnia; nie do uwierzenia, co opowiada kometant baterii. Dobry już był zmrok, gdyśmy [...] wrócili do wsi (Wiśloczek) na kwatery, będące pod psem. Ciężko się było doczekać kolacji. Deszcz zaczął padać i zanosić na dłuższą jego sesję. Śpimy w takiej dusznej chałupie, że się musi wyjmować okna, które się nigdy nie otwierają.

9 ^aNieco po 12.00 w nocy budzi nas pożar o kilka domów dalej. Stary narobił popłochu, ubieramy się galopem. Usпоkoilem dopiero towarzystwo, naocznie się przekonawszy, że naszemu przybytkowi nic nie grozi. Jakiś żołnierz nieostrożnie podświecił chałupę i dramat gotowy. Kładziemy się spać na nowo, tym razem już ubrani. O 5.00 wstawać, śniadanie, bez mycia, i marsz dalej. Przed odmarszem wysłany jestem do ciężkich haubic z rozkazem. Zdybałem je szczęśliwie w jakąś godzinę i zaczynam szukać dywizji, która się udała w niewiadomym kierunku. Spotykam jeńców, których razem z wczorajszymi naliczyłem z górą 1000.

Dywizję zastaję na serpentynie, tuż za Wisłokiem. Zajmują tu stanowisko dwie baterie haubic i wkrótce po otwarciu ognia dostają im się rosyjskie granaty ciężkich haubic; wywiązuje się bitka niespodziewanie prędko. Sztab zmienia stanowisko na wzgórze poza rzeką; tu spędzamy cały dzień. Od dziś robi także służbę przy brygadzie Kral. Walczą z różnym szczęściem, choć znać, że nasi prą naprzód; dopiero pod wieczór przypuszczają wszystkie grupy ogólny szturm, zakończony powodzeniem. Idziemy na noc do Rudawki Rymanowskiej. Pochmurno i słaby deszcz. Zdrow jestem dosyć, tylko zachrypnięty do niemożliwości. Noc mija dosyć spokojnie, bo tylko raz budzono. Co z tobą, Rychna?

10 Zostajemy w Rudawce Rymanowskiej. Deszcz pada i pochmurno, tak że kto wie, czy artyleria będzie mogła należycie pracować. Pomimo tego rozkazany atak – linia rozwinęta z zamiarem pójścia naprzód – ale na razie... nie idzie, artyleria musi przygotować atak. I zaczyna się muzyka siedmiu baterii. W międzyczasie się i słońce pokazało i deszcz przestał padać, a piechota nie nabrała animu-

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

szu. Przyznać trzeba, że Moskale mają lepsze pozycje, toteż i zbytek ostrożności nie zawadzi. I schodzi znowu cały dzień wyłącznie na strzelaniu artylerii. Około 5.00 wieczorem zniecierpliwieni czterdziestacy wyrwali naprzód z takim impetem, że w pół godziny mieli już 2000 jeńców. Zachęcen tym przykładem, poszli i inni, na przygotowany przez artylerię teren, i dokończyli świetności dnia.

Na całym naszym froncie Moskale opuścili swoje stanowiska. Komentowania i omawiania następstw zwycięstwa, jak zwykle w takich okazjach, i dziś przy kolacji pełno. Wywiązuje się pytanie, czy Moskale dadzą radę utrzymać swoje pozycje nad Sanem, czy też będziemy mogli iść na lody do Lwowa, bo wątpliwe, czy w innych miastach dostać by ich można. Nikt na to odpowiedzieć nie umie, choć odpowiadają, ale bez porządnych uzasadnień. Znosi się jutro na marsz, szkoda więc czasu tracić na próżne debaty i lepiej się wyspać. Zachrypnięty jestem ciągle, zresztą zdrów.

11 O 6.00 maszerujemy przy pięknej pogodzie i zimnym nadzwyczaj powietrzu. Idziemy niepewni, gdzie się zatrzymać przyjdzie, bo może natkniemy [się] na opór, wnioskując z konfiguracji terenu na mapie. Przeszliśmy Odrzechową, minęliśmy jakieś 200 jeńców, później znowu z 50. A tu wrogów nie ma i nie ma. Zatrzymujemy się na rozdrożu za wsią, gdzie wydana dyspozycja; niedługo marsz dalej. Koło Wygnanki, gdzie były wczorajsze najsilniejsze pozycje Moskali, wala się ponad 200 trupów austriackich żołnierzy. Po bojuwisko nad wyraz przykre, bo i ciężkie haubice tu niszczyły, czego dowodem szczątki ciał ludzkich, w których się rozpoznaje to rękę, to głowę, to jakąś masę, przykrą wonią przypominającą, że kiedyś żyła. [Można poznać]^a im-

^a W oryginalne:
Znać ale i.

pet natarcia, bo stanowiska porzucono w popłochu, z pozostawianymi karabinami i amunicją; [są] rosyjskie trupy ze śladami bagnatów i kolb na roztrzaskanych łbach. Pracuje nad pogrzebem kilkudziesięciu ludzi, ale się im zmęczyć przyjdzie.

W samej wsi, mieszkańcy robią wrażenie odurzonych, jakby nie zdających sobie sprawy z tego, że im dobytki popalono, że to wszystko, na co patrzyli, i co słyszeli, zrobili ludzie. Wrażenie przykre, ale się łatwo z niego otrząsam, bo ileż wrażeń się przeżywa! Jedziemy dalej i zatrzymujemy się w Krągu. Stąd prędzej, niż przypuszczaliśmy, idziemy do Dudyniec, gdzie zatrzymujemy się koło kościoła (akurat wnieśli tam nieboszczyka), oraz mile jesteśmy witani przez krewną księdza proboszcza i jej córkę. Po godzinie, i posileniu się herbatą, jadę przodem do Stróż Wielkich, poczynić brygadzie kwatery. Równocześnie donoszą o wkroczeniu Austriaków do Sanoka. Znajdujemy się na południowy wschód od tego miasta, witani życzliwie przez ludność, jakkolwiek to Rusini. Mieszkać się tu będzie dobrze, o ile jutro dalej nie pójdziemy. Około 9.00 przybyła za nami kuchnia, które to zjawisko, będące przez cały dzień tylko przedmiotem majaczeń rozgorączkowanej wyobraźni, witam z zapałem. Kładę się nieco mniej niż wczoraj zachrypnięty. Co z tą pocztą właściwie?

12 Wyspani, ogoleni, wyśniadaniowani, odjeżdżamy sobie o 8.30 jak wielcy panowie. Spieszyć się nie potrzebujemy, bo wszystkie drogi zabite wojskiem innych dywizji. Snujemy się przez pola, nawet z artylerią i trenami, do Posady Olchowskiej, miasteczka-wsi, tworzącego jakby przedmieście, tuż na południowy wschód od Sanoka. Zatrzymuje-

my się prowizorycznie koło ratusza, bo nikt jeszcze nie wie, czy tu cały dzień zostajemy. Wbrew moim oczekiwaniom i przewidywaniom, Moskale zupełnie nie bronią przejścia Sanu. Czyżby im nareszcie wojska brakowało? Nie pojmuję dokładnie tego ich wyrywania bez pamięci, ale fakt faktem, nasze wojska po drugiej stronie Sanu zajęły te same wzgórza, które mnie tak przy przeglądaniu mapy reflektowały. Jesteśmy więc tym sposobem oddaleni dwa dni marszu od Przemyśla, a trzy od Jarosławia.

Naród nas tu tak wszędzie wita, jakbyśmy wracali z tamtego świata; opowiadaniom na każdym kroku nie ma końca. W oczekiwaniu konkretnego rozkazu decydujemy się ewentualnie zająć kwatery w ratuszu. Mieszkali tu, jak twierdzi służba, wyłącznie oficerowie (rosyjscy), ale wierzyć się nie chce, by to mogła być prawda, taki wszędzie brud, nieporządek i ślady wandalizmu; cała kompania sztabowa pociła się porządnie przez parę godzin, zanim jaki taki porządek przywrócono. Po południu z irytacji, że jeść nic nie dają, poszliśmy z Höulem do Sanoka, naturalnie uprzednio uzyskawszy na to pozwolenie. Miasto, ładnie położone, nie jest właściwie bardzo zniszczone, bo oprócz spalenia stacji kolejowej i kompletnego wyrabowania wszystkich bez wyjątku sklepów, nie zauważyłem zrujnowanych lub poniszczonych domów. Naturalnie, i tu dość śladów wojny, ale [nie ma] porównania np. z Gorlicami, które są zrównane z ziemią.

Mnóstwo zrusyfikowanych mieszkańców wyjechało razem z Moskalami; pozostałych paru Żydów niewiele przyczynia się do ożywienia miasta, i robiłoby ono wrażenie chyba całkiem wymarłego, gdyby nie mnóstwo maszerującego trenu i wojska. Poznałem tu [panią] Baczewską, żonę porucznika haubic 45. – ucieszyła się ogromnie wiadomością,



Austro-węgierska kuchnia polowa



Zniszczone Gorlice po przejściu frontu, maj 1915 r.

że mąż żyje i jest przy baterii, bo powiada, że się aż wstydziła za niego po otrzymaniu wiadomości o jego dostaniu się do niewoli. Byliśmy w cukierni „na ciastkach” i chcieliśmy kupić u szewca buty; o ile pierwsze się jako tako powiodło, o tyle drugie już całkiem nie. Höul odwiedził jeszcze swoich znajomych, ja czekałem na jego powrót w towarzystwie panienki wylewającej swój smutek grą na gitarze, po czym niedługo wróciliśmy do domu, walcząc dzielnie z tumanami kurzu. Zostajemy dziś tutaj, co zadecydowane na pewno. Papu dali, a że człęk wygłodzony i przespacerowany porządnie, więc się z całym sercem zabrałem do napychania żołądka.

Pogoda sprzyja nam ciągle świetna, aby jak najdłużej. Chrypka całkiem nie zniknęła, jakkolwiek powoli ustępuje. Po kolacji odbywamy z Zygmuntem wieczorny krótki spacer, po czym pożegnawszy się czule życzeniami, których spełnienia żaden z nas sobie na pewno nie życzy, udaliśmy się na spoczynek, poprzedzony pogawędką.

13 Wniebowstąpienie Pańskie – ładny dzień, ale że święto, poznaje się tylko po czerwonym piśmie w kalendarzu, bo zresztą niczym dzień od innych nie różny. Powstawaliśmy o 6.00, pomimo że maszerujemy dopiero o 10.00, zaś według zmienionej dyspozycji o 12.00. Marsz mamy przed sobą porządny, ale o tyle dobry, że po gościńcu. Ponieważ się aż przykrzy czekać, zabraliśmy się z H[öulem] do kancelaryjnej roboty, piszemy i rysujemy, a raczej on robi to pierwsze, ja zaś drugie. I zszedł jakoś czas, aż do południa, raczej do chwili podania obiadu. Jem z takim apetytem, że nie poznaję samego siebie. Upał dziś ogromny, że aż nie wiadomo, gdzie się przed nim schować. O 1.30 jedziemy z bacsim robić kwatery do Siemuszowej. Przebąkiwali coś o tym, że

Moskale Przemyśl oddali i są już w nim nasze wojska. Nie wierzę, ale zastanawia mnie fakt, że komenda korpusu jest w Birczy, a więc o 20 km naprzód od wsi, w której mamy dziś nocować. Dywizja nasza znajduje się w rezerwie; wiadocznie musi tu być za dużo tego wojska.

Po przybyciu do Siemuszowej załatwiamy się w mąg z kwaterami i niedługo potem przyjeżdża sztab. Spotkałem tu znajomego z Trzebini, i chociaż napisaliśmy wspólną kartkę do Bernardów, znowu nie wiem, jak się nazywa. Takie jakieś szczęście mam, że kto mi jest lepiej znajomy, nie wiem, co on zacz. Popadał deszcz, wypogodziło się po nim. Straszili nas, że będziemy dziś jeszcze szli dalej, ale skończyło się na Bośniakach, maszerujących o 4 km dalej. Po przeżyciu tych wrażeń i przeżuciu kolacji, sypimy spać, przygotowani na odmarsz w nocy. Zgłosił się zbieg z niewoli rosyjskiej, który tu przesiedział całą zimę.

14 O 5.00 idziemy dalej; ja z bacsim, czego zwyczaj, naprzód do Birczy; spacerek 20 km staje się chwilami nieprzyjemny, bo kłusujemy ciągle i zaczyna nam być ciepławo. Mijamy pruskie wojsko, potem kilkanaście rosyjskich trupów. Brodzimy przez wszystkie rzeki, bo mosty wszędzie popalone, przejeżdżamy przez Leszczyny, Birczę Starą i o 9.00 jesteśmy u celu. Miasteczko małe, niczym szczególnym się nie odznaczające, w połowie spalone, zresztą wyrabowane doszczętnie. Pełno tu różnych trenów z przenajrozmaitszych dywizji, że się nawet wyznać trudno. W pół godziny po nas przybywa sztab i lokuje się w jakiejś opuszczonej willi. My mieszkamy, jeśli się nie mylę, w kasynie lub też podobnym przedsiębiorstwie; w mieszkaniu gołe ściany, ale przyzwyczajeni już do tego jesteśmy. Coraz więcej pogłosek o tym,

że nasze wojsko w Przemyślu⁸⁷, i trochę by mnie to zdziwiło, że Moskale go tak łatwo oddają.

O ogólnej sytuacji zresztą nic nie wiem, bo znikąd wiadomości żadnych. Upał taki, że aż kożuch na gwoździu powiesiłem. Trochę z żartu, a trochę dla zabicia nudów poszliśmy z Kralem nad rzekę i wykąпалиśmy sobie przynajmniej nogi, chłodziło nas od spodu. Tęsknię za przybyciem kuchni, a raczej trenu z nią złączonego, bo w gardle sucho i wytrzymać z pragnienia nie można. Nawet Górka się pod tym względem spieszył, chociaż u nich wina i rozmaitego pijaństwa zawsze pod ręką pełno. Znalazł się jakiś dom z urządzonym pokojem; tu oczekujemy wszyscy dalszych wypadków i przybycia trenu. Czas się ciągnie powoli, że aż się już nawet przykrzy. O zmroku dopiero dali jeść i zaraz poszliśmy spać. Z marszu, jedzenia, czekania i spania składa się obecnie nasze życie; zdenerwowany jestem chwilami do niemożliwości, sam czasem nie wiem, czym. Należałoby już wojnę chyba skończyć? A tu pocieszają, że się teraz dopiero naprawdę zaczęła! Ładna perspektywa!

15 Wstaliśmy przed 4.00, bo na 5.00 zapowiadany odmarsz. Pochmurno, zimno, niemiły dzień się zaczyna. Jestem jakiś niezdrow, chociaż mi nic wyraźnego nie brakuje. Wyjeżdżamy z zamiarem udania się do Bryliniec, więc ciągle na tym samym północno-wschodnim szlaku ku Przemyślowi. Deszcz zaczyna padać, najpierw delikatnie, później zrywa się burza, która pomoczyła towarzystwo dokładnie. Po drodze zmienia się dyspozycja i nie jedziemy do Bryliniec, ale zatrzymujemy się w Cisowej, z zastrzeżeniem, że prawdopodobnie pójdziemy dalej. Ponieważ się jednak na odmarsz nie bardzo zanosí, porozgaszczali i rozpakowa-

li się wszyscy po kwaterach, nawiasem mówiąc, podłych. Drzemiemy tu jeden, ówdzie drugi, aż nagle spada piorun z jasnego nieba, że za chwilę odmarsz.

W 15 minut stoi wszystko gotowe, popakowane, jedziemy dalej, do Olszyc. Wysłani naprzód, przekonujemy się, że z całej wsi została tylko szkoła, niemożliwa do zamieszkania. *Tableau*⁸⁸, ale dywizjoner z zimną krwią postanawia, że wracamy [...] do Cisowej, wojsko zaś zostaje, tak czy tak pod gołym niebem, a więc tutaj. Wypogodziło się zupełnie, zaś miliony trenu przyczyniły się do wzniesienia pyłu drożnego. Jedziemy znowu przodem, tym razem z Zygmuntem, przy czym wmawiam w niego, że robi tyle kurzu, co automobil, skutkiem czego wbity^a w dumę, nie chce ze mną rozmawiać. Wieczór już, chłodno, leżę na trawie i kombinuję, czy to na mój kaszel zdrowo czy niezdrowo; ponieważ się zastanawiałem nad tym dosyć długo, więc zmarzłem, tak że pewnie będzie niezdrowo. Imieniny Zochy dziś! Hej! Boziu, Boziu, jak się też człowiekowi przykrzy! Kolacja była dziś z przeciągiem, bo na polu, a więc przy otwartych oknach.

^a W oryginalnej: wzbity.

^b Dopisek autora: Niedziela.

16 ^bWypaliliśmy się setnie, pomimo że budzili nas niepotrzebnie, co nawet Zygmunta przyprawiało o wściekłość, ujawniającą się w przenajrozmaitszych wyrazach. O 6.30 jedziemy do Olszyc, bo tu mamy według dyspozycji z korpusu na dalsze rozkazy czekać. Czekamy więc, skracając czas zjadaniem zabranego ze sobą śniadania, niektórzy spaniem, jeszcze inni fotografowaniem. Armaty grzmiały w naszym pobliżu, i obiecujemy sobie po nich, że dziś spędzimy noc w Przemyślu. Słońce grzeje „namiętnie”, jak powiada Zygmunt. Zakwaterowałem się w automobilu Fogelmana i dobrze mi siedzieć nic do czynienia nie mając; miły ten

automobilista i przyjemnie się z nim rozmawia. O 9.30 wysłaliśmy dywizję haubic na stanowisko, parę kilometrów od Przemyśla – niech pomaga. Dywizjoner ciągle się dziwi, dlaczego nasza dywizja jeszcze nie jest na front wstawiona. Zobaczymy, co będzie dalej.

I przesiedzieliśmy beczynnie cały dzień. Każdy nawet zdążył się dobrze wyspać, a tu zgoła żadnej wiadomości, co się z nami stanie, i co się w ogóle dzieje. Stary powydawał zarządzenia celem zabezpieczenia odkrycia dywizji przez lotników, zresztą sytuacja nasza taka sama jak wczoraj. Sztab wraca na noc do Cisowej, zajmujemy te same wczorajsze kwatery, żadnego urozmaïcenia, żadnych wiadomości, jednym słowem, żyj człowiecze, i niech ci będzie wesoło. Depesza z wiadomością, że Sambor w naszym posiadaniu rozgrzała nieco, tak że nawet obiad lepiej smakował. Zaraz po jedzeniu na kwaterę, ogolić się, przyprowadzić do porządku rozprutą garderobę i spać.

17 Tak samo jak wczoraj zaczyna się dzień dzisiejszy; tę samą ilość kawy wypijam, tak samo bawimy się ze źrebiętami, po czym o tym samym czasie odjeżdżamy do Olszyc. Zaraz na wstępie witają nas rosyjskie szrapnele, jak przypuszczam, skutkiem zdrady, bo wykluczone, byśmy mogli być widziani. Cała dywizja zmienia na rozkaz miejsce obozowania, nie wyłączając artylerii. Jak przedtem, tak i obecnie znajdujemy się w rezerwie, beczynnie jak dotąd i niewiedzący, co się właściwie na froncie dzieje. Przeciągający ranni niewiele objaśnień dać mogą, zresztą nikt ich nie indaguje. Tak się wszyscy nudzą leżąc na polu beczynnie, że nawet organizują się partie taroka, co dotychczas w polu nigdy nie było aprobowane. Ja śpię jak suseł i budzę się dopiero gdy

przyniesiono wino i herbatę. W południe jedziemy z kapitanem Prch[alem] do Krzeczkowej, celem zbadania stanu tutejszych budynków dla ewentualnego zakwaterowania dywizji. Są wszystkiego trzy domy, zajęte już przez korpus, dla nas pozostaje reszta wsi, tj. urocze niebo i poetyczna łąka. Pomimo że odmalowałem tę wieś w najczarniejszych kolorach, zdecydował dywizjoner, że jedziemy tam na noc.

O 4.00 wyruszamy z legowiska, i w tym samym czasie zaczynają prac szrapnelami na parkującą koło rzeki artylerię. Posyłają mnie do niej z rozkazem, by się przeniósła kilkaset metrów w tył, co też uczyniono. Dywizja zdążyła się tymczasem rozłożyć w Krzeczkowej, wsi, jak powiedziałem, posiadającej wszelkie sielskie dodatki, tylko żadnych obiektów mieszkalnych. Wprawiona w ruch kompania sztabowa zbudowała świetny lokal na salę jadalną, na razie prowizorycznie. Jutro, obiecuje Zygmunt, że wykończy. Zresztą lokuje się każdy gdzie kto może, jeden na wozie, inny pod wozem, budują namioty itd. Mnie wybudował Antek „willę” o rzadko spotykanych kształtach i komforcie; proszę jednak Pana Boga, by nie zechciał spuścić w nocy deszczu, dach bowiem jest osobliwej konstrukcji, jakkolwiek chroniący przed blaskiem księżyca; mam więc na pociechę przynajmniej tę pewność, że „nie ogorzeję od miesiąca”.

Przygotowują nas na ewentualność pozostania tu przez paręnaście dni albo i dłużej; perspektywa nikomu się nie uśmiechająca, bo każdy się już widział w Przemyśle jedną nogą. Ano! Zobaczymy, co będzie, jeśli Niemcy po zajęciu Jarosławia przyprą dobrze od północy, to może bez wielkiej fatygi miasto weźmiemy, choć co prawda i teraz nie natężamy się zbytnio, jakby to nie było zadaniem naszego korpusu. A może to znowu jakie niedocieczone obliczenia?

18 Pogodny dzień, jak poprzednie zaczyna się nam śmiechem, bo z każdej budy wyobrażającej pomieszkowanie zaczynają się sypać koncepty mniej lub więcej udatne. Prośby moje, skierowane do P[ana] Boga o wstrzymanie deszczu, nie odniosły skutku, bo w nocy kapło, na szczęście niedługo, tak że dopiero rano mogłem skonstatować wilgoć na kocach. Ponieważ coraz bardziej utrwala się przekonanie, że dłuższy czas tu przepędzimy, postanawiam urządzić mieszkanie o większym zakroju, niż obecne, z uwzględnieniem form architektonicznych oraz urządzeń chroniących przed opadami atmosferycznymi. Ponieważ inicjatywa Antka dużo pozostawia do życzenia, sam zdjąłem bluzę, równając tym samym na pewien czas jego szarżę z moją, i zabrałem się do roboty. W sukurs przyszedł Kral, ponieważ razem mieszkać mamy, i zaczęła się praca, z takim zapałem, jakbyśmy co najmniej mieli zamiar odbudować całą spaloną Galicję. Aniśmy się spostrzegli, gdy było południe i trzeba było iść na obiad.

„Willi” niewiele przybyło, dlatego po obiedzie pracujemy z podwójnym zapałem, bo nie tylko bez bluzek, ale nawet bez koszul; nie znaczy to byśmy ich nie mieli, lub takowe były dla nas luksusem, ale żeśmy je odłożyli dla wygody. Wynikiem wysiłków jest pod wieczór gotowa willa „Pod Szpinakiem”, nazwana tak od zieleni i różnych takiejże barwy obiektów ją okalających. Co do architektury, to bynajmniej nie grzeszy zbytkiem form i upiększeń, jednakowoż każdy, nawet laik, przyznać musi, że jest piękniejszą od przybytków zajmowanych przez czworonożnych stróżów domu. Wprawdzie „Pod Szpinakiem” jest więcej szpar aniżeli desek, z których się willa składa, wprawdzie będzie przeciąg i nadmiernie wietrzno, wprawdzie w razie deszczu

trzeba będzie w mieszkaniu naciągać płaszczy gumowy, niemniej fakt jest dokonany, „willa” stoi, my zaś tak sfatygowani jesteśmy, że dziś już nad wykończeniem pracować nie mamy ochoty. Po kolacji robię z Zygmuntem zwykłą partię pikiety^a, po czym zaraz [idę] na zasłużony spoczynek.

^a W oryginalu: piketa.

19 Spaliśmy tak świetnie, żeśmy się obudzili dopiero koło 9.00, co jest przecież niesłychane. Że nas zostawiono w spokoju, i nie budzono, zawdzięczać należy okoliczności, że cały sztab wyjechał do Olszyc, na przyjęcie komendanta armii gen. Boroewicia. Trochę ogłuszony jestem tym przydługim spaniem, trochę atoli i fizycznie zmęczony wczorajszą robotą. Zamiast do szczegółowego wykończenia „willi”, zabrałem się do sporządzania fotografii ze zdjęć Zygmunta, za leniwego, bym się mógł na nie doczekać. Fotografuje przy tym Delabro nasz pałac z jego mieszkańcami.

Przedpołudnie zeszło na pracy nie wymagającej zbyt wiele natężenia, bo kopiowaniu fotografii i wzajemnym naciąganiu się. W południe powrócił sztab, wszyscy zgrzani, bo gorąco tropikalne. Reszta komendy z trenem przybyła także, a z nią poczta i [Staszek] Dzierżyński. Po obiedzie idą konie do kucia, my zaś kładziemy się w słońcu nad rzeką i używamy na świeżym powietrzu. Jest tak parno, że z obawy przed deszczem polecam Antkowi rekonstrukcję dachu, co mu się przy użyciu paru koców udaje. [Chociaż] się zachmurzyło zupełnie, grzmotów i błyskawic pełno, powiada Antek, że deszczu nie będzie, i jak się okazało, miał rację. Jak długo my tu tak beczynnie będziemy stali? Może ta ciężka artyleria, na którą czekamy, popchnie sprawę naprzód.

20 Poranek bajeczny, z wszystkimi zaletami; zrywamy się nieco po 5.00, bo zapowiedziana [została] egzekyrka^a wszystkich służących oficerskich i końskich; rozpanoszyła się ta banda i trzeba jej cugli przykrócić. Pełno już teraz mamy źrebiąt, wczoraj przybyło jeszcze jedno, dla powiększenia końskiego towarzystwa. Ogromnie wesoło z tymi konikami, i bawimy się czasem nimi jak dzieci na karuzelu. Pan brygadier pojechał z Krale, nie wiem dokąd, ja natomiast próżniaczę i mam czas dać się ostrzyć i ogolić. Głupi dzień, jeśli nic do roboty nie ma. Kopiowanie fotografii zupełnie mi się nie udaje, tak że rzucam tym całym przedsięwzięciem. Około 10.00 awizują odmarsz na 1.00, nie wiem atoli dokąd. Skończy się więc sielanka i bezrobocie. Poczty przyszło pięć wozów, w tym ani jednej kartki do mnie!

W samo południe wyjeżdżamy wysłani z Zygmuntem naprzód; tura: Krzeczkowa – Cisowa – Kopuśno^b – Rybotycze – Hujsko^c – Truszwice^d wynosi ponad 26 km. Upał nieznosny, jedziemy porozpinani, bo inaczej wytrzymać nie można. Jaki cel w tym, że całą dywizję skazano na taki uciążliwy marsz, dlaczego przesuwamy się w kierunku południowo-wschodnim, dociec nie mogę, [zwłaszcza] że teraz coraz bardziej wszystko jest trzymane w tajemnicy. Truszwice – wieś nadzwyczaj czysta, zamieszkała przez Rusinów – obecnie wypełniona dokładnie wojskiem, bo oprócz naszej jest tu i 11. Dywizja. Z kwaterami załatwiamy się prędko, po czym czekamy na sztab, po którego przybyciu [następuje] wspólne oczekiwanie na tren z kuchnią. W międzyczasie dosyć wesołości, pomimo że każdy dzisiejszy marsz czuje. Jutro tu mamy zostać, być może nawet dłużej. O północy dopiero byliśmy syci, i można było iść spać.

^a Musztra.

^b Może Kopysno.

^c Obecnie Nowe Sady.

^d Truszwice.

21 Dalszy ciąg pogodnych dni, dalszy ciąg bezczynności. Nie mogę bowiem nazwać zajęciem zlepienia map, robienia porządków w papierach i tym podobnych strategicznych operacji. Pomimo tego, schodzi mi na tych głupstwach do 11.00. Siedzimy w miejscu nic nie czyniąc, nie słysząc, by gdziekolwiek strzelano, nie znając, że [jest] wojna. Nagle stanęło wszystko w rozpędzie, i może dobrze, że znowu nie lećmy na oślep, zastanowimy się trochę, poczekamy na posiłki, i dopiero wtedy znowu jakieś udatne przedsięwzięcie przeprowadzimy. W każdym razie przygotowałem mapę okolicy Lwowa, gdyby jej było potrzeba. Nie wiem, dlaczego jest mi chwilami smutno; może to przyczyna, że już parę dni nie strzelamy, a może jakaś inna. Ładnie na świecie i wesoło, a mnie czegoś brak.

Mówili mi przy obiedzie, że Wacek dał w jakiejś gazecie wydrukować list, który do niego pisałem; wiedziałem, że bałwan, ale o tyle idiotyzmu go nie posądzałem. W każdym razie, wytnę mu podziękowanie, jak mi tylko ochota do pisania przyjdzie! Zabiłem Antkowi klina w głowę, kładąc mu robić papierosy. Poci się biedak przy tej czynności od dwóch godzin, ale już sześć sztuk zrobił. Zdaje mi się, że będzie z niego pociecha, bo bestia zgrabna jak koń pociągowy. Zachmurzone popołudnie przespałem prawie całe, ale za to zdrów się czuję. Wezwany rozkazem Zygmunta, muszę się zgłosić u niego na partię kart trwającą do kolacji, następnie do 10.30 po kolacji. Usnąć jakoś nie mogę, może dlatego, że parno na świecie.

22 O [godzinie] 1.00 obudził nas Höul, awizując odmarsz na 4.00; nie zdążyłem zasnąć, gdy się zjawił, aby przerwać spoczynek. Mamy maszerować znowu na wschód, w kie-

runku między Medykę a Mościska. Coraz bardziej oddalamy się tym sposobem od własnego korpusu, a ponieważ pozostajemy obecnie pod bezpośrednią komendą armii, nie zechcą więc nas pewnie oszczędzać. Dzień się zapowiada deszczowy, bo pochmurno, i słońca nie widać. Antek kształci kobyłę, bo słyszę przez okno, jak jej obiecuje odebrać życie, jeśli nie będzie spokojnie stała. O 4.00 jestem wysłany celem rekognoskowania drogi, bo jak twierdzą, „diabli się mogą w tym terenie wyznać”; jakże ja mam tego kunsztynku^a dokonać, jeśli zaledwie diabli to potrafią? No, ale rozkaz, to rozkaz. Jadę, katując po drodze kobyłę, bo się mi straszy na moczarach i nie chce skakać przez rowy, z których się wyłącznie tutejsza okolica składa. Poblądziłem sobie trochę, ale zorientowawszy się rychło błąd naprawiłem, tak że mogłem dywizję zaprowadzić bez nakładania drogi aż do Bybła. Marsz dzisiejszy [długości] 28 km odbywa się na szlaku Truszowice – Przedzielnica – Borszowice – Bybło – Hruszatyce – Gdeszyce – Niżyniec – Radochońce. Spoczynek najpierw w Byble, przy komendzie 17. Korpusu, gdzie nas przyjmują kawą i specjalnym pieczywem, następnie w Niżyńcu, [gdzie] uwagi godnym jest pałac ks. Lubomirskiej, rozniesiony po prostu pociskami armatnimi. Dużo zniszczenia wszędzie się napotyka, ale tego rodzaju widok rzadko zobaczyć.

^a Kunsztynk czyli sztuka.

Po godzinnym postoju maszerujemy dalej. Pomimo że dzień pochmurny i stosunkowo chłodny, czuję się zmęczony, zapewne skutkiem dzisiejszego jeżdżenia i niewyspania. W pewnej odległości od Niżyńca maszerujemy ze zdwojoną ostrożnością, częścią lasem, częścią jazami, bo skierowane na nas strzały artylerii dowodzą, że jesteśmy widziani. Na szczęście, nie strzela ciężka artyleria, obchodzi się więc bez

wypadku i nieco po 1.00 przybywamy do Radochoniec. Od 4.00 byłem na koniu, czuję się przeto sfatygowany, pomimo tego zaprzęgają mnie do rysowania, co uskuteczniam leżąc na brzuchu, bowiem stołu w polu brakuje. Wprawdzie mi owa szlachetna część ciała aż ścierpła z wysiłku, wyrysowałem jednak tak dokładnie wszystko, gdzie są Moskale, i gdzie trzeba strzelać, że kiep ten, kto ich przynajmniej 1000 nie zabije. Wesoła wiadomość przychodzi, mianowicie, że liczba wziętych w maju jeńców wynosi 193 000. Tak nas to rozwesela, że kpimy z obecnych rosyjskich strażów, eksplodujących co chwilę.

Przeszukują granatami całą okolicę i trwa ta ich strzelanina do późnego wieczora, nie przynosząc nam najmniejszych strat. Znać, że brakuje im tej równowagi i spokoju, z którym potrafiła czasami ich artyleria pracować. Teraz [to] raczej gorączkowa chęć zamanifestowania o sile, aniżeli praca przynosząca straty. Jedyny ich sukces to ten, że Staszek D. nie może, jak twierdzi, ze zdenerwowania pracować. Wygłodnieli jak sztukmistrze głodomory, doczekujemy się obiadu dopiero około 8.00 wieczorem, nic też dziwnego, że rzucamy się na jadło skwapliwie. Obawiam się, że mój stary coś niezdrowszy, bo mu na humorze nie zbywa. Już mieliśmy się rozchodzić, gdy przyniesiono pocztę. Odżył człowiek jakoś zaraz po przeczytaniu jej, bo już tak brakowało tych paru słów, tak strasznie brakowało, że się nawet niczym zająć nie mogłem, zaniepokojony brakiem tego pisma. Ukochoam strasznie za to! Jutro zaczyna się bitka, trzeba się będzie trochę chociaż wyspać, dlatego jazda, panie chorąży, na łożo, bo już północ.

23 ^aNie bardzo te Zielone Świąta są zielone, bo nic od rana nie widzę, skutkiem tumanów pyłu, unoszącego się w powietrzu – święta [są] więc raczej „zakurzone” i bezkolorowe. Zmieniła się dyspozycja, tak że zamiast zapowiadanej strzelaniny ograniczają się baterie do wypośrodkowania elementów i oddania od czasu do czasu po kilka strzałów. W naszej grupie jest 11 baterii, w tym jedna ciężkich haubic. O ile my okazujemy się wstrzemięźliwi, o tyle Moskale dokazują, trzymając wieś pod ogniem przez blisko godzinę. Nikt się tym zbytnio nie przejmował, bo strzelali tylko szrapnelami, dla których się coraz bardziej traci poważanie.

Oplaciła się dzisiejsza wycieczka na pocztę, bo mi Staszek napożyczał gazet, które sobie obecnie czytam. Co nam się zupełnie nie udało, to te dzisiejsze kwatery – brudno, smrodno, trzy rodziny w jednej izbie i mnóstwo insektów różnego kalibru. Że mnie pchły nie zjadły, przypisuję to swojej długości: [...] nie miały czasu przez jedną noc się ze mną załatwić. Pragnąc uniknąć śmierci przez pożarcie, postanawiam się dziś wyprowadzić i spać raczej pod gołym niebem, aniżeli w takim ruchliwym towarzystwie. Wziąłem się po południu do spania i zeszło mi na tym boskim zajęciu aż do 6.00. O tym czasie dowiedziałem się od zgromadzonych przy kolacji, że Włochy wypowiedziały Austrii wojnę; fakt zostaje komentowany jak zwykle rozmaicie przez kompetentnych i nie. Osobiście nie przejmuję się tym zbytnio. Przy stole nastrój wyrabia się coraz lepszy. Ba! Nawet odbywa się koncert chóru niemieckich żołnierzy! Na skutek śpiewu staję się nieswój. Atmosfera w ogóle wyrabia się tak serdeczna, że nie poznaję samego siebie. Tęsknię okrutnie! Ryś! Rychna – Dziewczyś!

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

24 Najmniejszego wychowania nie mają ci Moskale; napadli o 1.30 w nocy na nasze wojsko, wywiązało się nieporozumienie, strzelanina jednym słowem – bijatyka. Nie obešlo się bez zabitych i rannych po obu stronach, i na cóż to wszystko potrzebne? Pomimo że czynnego udziału w tym krawalu nie biorę, zostaję zerwany z łoża; ubieram się, siadam w pobliżu telefonu i rozmyślam, że spać, to jest właściwie bardzo przyjemna rzecz, zwłaszcza jeśli się ma do tego czas, sposobność i jeśli nikt niepotrzebnie nie budzi. Po przeprowadzeniu tej sprytniej kalkulacji poszedłem na śniadanie, które (o radości!), pomimo że dopiero 3.00 rano, było już gotowe. Za chwilę potem zaczęła się kanonada. Niemcy przeprowadzają atak, popierany przez naszą artylerię; W odpowiedzi na otwarty ogień pada znowu kilkanaście pocisków do wsi, nie przynoszących jednak szkody. Po godzinie strzelanina słabnie, piechota idzie naprzód; po pewnym czasie artyleria milknie prawie zupełnie, w następstwie czego nie ma na razie nic do roboty.

Z nudów biorę się do rysowania szkiców, co skuteczniam w menaży, na stole. Na drugim końcu stołu urzęduje Zygmunt, przesłuchując świadków i spisując protokół w sprawie jakiegoś szpiega, którego dziś rozstrzela. W trakcie tego przychodzi oficjalna wiadomość o wypowiedzeniu wojny przez Włochów, po uprzednim postawieniu warunków, z których by się każdy rozsądny koń śmiał. Wobec tego faktu robię obliczenia, że pokój będzie zawarty 11 listopada albo 10 kwietnia, tzn. mniej więcej za rok. Ponieważ bezpośrednio po tym obliczeniu skonstatowałem, że jest dopiero godz[ina] 10.00, postanawiam się zdrzemnąć do obiadu.

Zaraz po południu odbywa się egzekucja – nie rozstrzelano, lecz powieszono osądzonego naprędce moskalofila. Wi-

dowisko przykre, zmuszające do wzbudzenia odrazy nawet u najbardziej do zadawania śmierci przyzwyczajonych ludzi. Reszta dnia mija spokojnie, nie ma nigdzie wyraźniejszej walki. Wieczorem komunik[at] o nowych sukcesach i patrolach włoskich na granicy. Bązoł z mojej baterii, mój ulubiony podoficer, dostał trzy strzały w piersi, ale twarda bestia, może je przetrzymać. Noc się zapowiada niespokojnie, jestem więc już o 9.30 na drodze do spania.

25 Słoneczny dzień, jak poprzednie. Zdziwiony jestem, że noc minęła spokojnie, że mnie ani razu nie budzono; dopiero o 5.30 żądają mnie do telefonu, ale to już mnie zbytnio nie złości. Zaraz z rana przychodzi wiadomość o zabraniu 15 000 jeńców i 35 dział przez Mackensena⁸⁹; z wczorajszymi jest więc już 25 000. Dobrze Moskałom idzie, ciekawym tylko, jak długo będziemy zwyciężali, bo chyba i na nich opamiętanie przyjdzie, zwłaszcza po zwąchaniu się z tymi makaroniarzami. Na naszym froncie sytuacja się od wczoraj nic nie zmieniła; strzelamy dziś miernie – właściwy atak na wzgórze 303 na wschód od nas.

Ogromnie się przykrzy mieszkać w tej przepełnionej wojskiem i zakurzonej wsi – kurz zaczyna być plagą. Rysuję przed obiadem i śpię po obiedzie, podczas gdy Kral wyjeżdża z owymi rysunkami. Höul urządza sobie w naszym mieszkaniu kancelarię. Wybudowano więc stół i ławkę, meble dotychczas tu nieznane, oraz przyniesiono herbaty, fakt również dotychczas nieznany. Dittrich napisał kartkę z Meranu, czuje się zdrowszy i obiecuje niedługo na front wrócić. Cieszę się na jego przybycie, chociaż pracować z Höulem jest także bardzo przyjemnie. Przy kolacji zaczynają się także ożywione dysputy, jakie nigdy dotychczas miej-

sca nie miały. Długo też przeciągnęła się zwykła wieczorna pogawędka, bo aż do 11.00; w antraktach naszych spokojnych kłótni śpiewa dziś znowu niemiecki chór. Słysząc co chwilę pojedyncze strzały armatnie, może się co w nocy z tego wywiąże. Dziś już donieśli o starciu z włoską kawalerią i naturalnie daniu jej w skórę. Oburzenie na Włochów jest ogromne, nikt nie szczędzi im epitetów. Animusz taki posiadają wszyscy, że aż mnie to dziwi, bo się go nie spodziewałem. Zobaczymy, co przyszłość pokaże. Szkoda, że nikt więcej dziś do mnie nie napisał.

26 Powstawaliśmy około 6.00 i zaraz zaczęła się robota; atak posuwa się naprzód, przygotowany przez artylerię. Około 9.00 wzięli Niemcy utrapione wzgórze 303, przy czym zabrali ponad 1000 jeńców i kilka karabinów maszynowych. Zyskanie tej pozycji umożliwiło zagrożeniem z flanki, tak że gdy 40. przypuścił szturm na sąsiednie wzgórze 291, wzięł je z łatwością razem z 781 jeńcami i 5 karabinami maszynowymi. Ze względu na ogólną sytuację, nie można wyzyskać tego momentu i przeć naprzód, bo musi być zachowany front północno-zachodni. Dobrze się dzień zaczął, więc się pracuje z humorem, choć roboty huk, zwłaszcza po południu, bo jedna artyleria ściga ogniem cofających się Moskali, strzelanina więc nie ustaje.

Zygmunt z Sandigiem także się kręca, bo im co chwilę transport przyprowadzają, który im kłopotu przysparza. Wieczorny komunik[at] donosi, że w ostatnich dwóch dniach odebrano Moskalom 64 działa, w tym 10 ciężkich; uczują tę stratę porządnie, bo zbyt wiele artylerii nie posiadają. W każdym razie [mamy] pod tym względem przewagę nad nimi, i może nawet dlatego tak dobrze idzie. Straty



Gen. August Paul von Mackensen,
dowódca armii niemieckiej (1849–1945)

nasze w piechocie są nikłe, w artylerii żadne, oprócz tego przybyły posiłki, za 2–3 dni mają przyjść dalsze, nadzieja coraz większa, że Mochom zalejemy sadła za skórę, tak że im wszyscy handlarze pomarańcz nie pomogą! Banda psianoga – tysiącami się poddają, tak jak np. wczorajsi – chłopy rosłe, każdy dobrze ubrany i syty; tym lepiej dla nas, bo z tym zdemoralizowanym towarzystwem łatwiejsza robota. Dnie upalne w dalszym ciągu – chwilami brakuje już tchu z gorąca – jak na złość siedzimy jeszcze ciągle w tej zakazanej, zakurzonej dziurze. Podobno Rudnicki ranny, nie mogłem się przekonać, czy to prawda. Gramy po kolacji w karty, bo Zygmunt musi czekać na zapowiedzianych świeżych 300 jeńców – jest więc razem z górą tysiąc. Poczty żadnej.

27 Zaspałem sobie tak fatalnie, że mnie zbudził dopiero o 9.00 i to Höul osobiście; nie ma wprawdzie pałacej roboty, ale zawstydzony jestem gnuśnością bynajmniej nie budującą nikogo. W duchu jednak przyznać muszę, że jestem leń pierwszej klasy, i tylko wojnie zawdzięczać należy, że się czasami ruszam nadnormalnie. W sytuacji dotychczas żadnej zmiany, przycichło, tym bardziej że przyszedł rozkaz oszczędzania z amunicją. Niezbyt pocieszające rozporządzenie. Cesarz nam napisał, żebyśmy sobie nic nie robili z tego, że Włochy wypowiedziały wojnę, bo jesteśmy dzielne wojsko, więc łatwo nam przyjdzie pobić tych katarzyniarzy, gondolierów i innych tenorów śpiewających cienko, skutkiem żywienia się oliwą, czasem makaronem. Co prawda, to usposobienie dla nich jest przychylnie. Gdyby wojna na gadaniu polegała, to by już dotychczas ani jednego Włocha, ba!, ani jednego kasztana włoskiego nie by-

ło. Przeciągnie się ta cała wojna diabli wiedzą dokąd, a tu już się przykrzy coraz bardziej. Jaki będzie końcowy efekt?

Dzień mija monotonnie, z tym jednym urozmaicheniem, że Zygmunt rozstrzelał po południu jakiegoś człowieka; nie wiem, za co ani po co, bo mnie przy egzekucji nie było. Miłe zajęcie sobie Zygmus wynalazł – ani słowa! Przy kolacji śpiewają znowu Niemcy. Zacznę niedługo myśleć, że bez ich śpiewania nie potrafimy pożywienia strawić. Konstatuje, że powietrze jest parne i wypijam niebywałe ilości wina, jakbym zjadł przynajmniej pięciokilową gąbkę. Zyg-muntowi aż oczy wyłażą, nie wiem tylko, czy z uwielbienia dla mnie, czy z podziwu. Gramy w karty i partia przeciąga się do 2.00 w nocy.

28 Pochmurny poranek dziwny mi się jakiś wydaje, bo się zupełnie odzwyczałem od braku słońca. Budzi mnie o 6.00 podoficer rozkazem podpułkownika^a, że przenosimy się na północną część Radochoniec, więc o jakieś 2 km dalej. Po zjedzeniu śniadania i pobrykaniu ze źrebiętami, jadę z kapitanem Prch[alem] do onych nowych kwater; okazują się lepsze, może dlatego, że inne. Po drodze zmoczył nas trochę deszcz, wyobrażający tysiące koron, ze względu na zasiewy; znikły także tumany kurzu, zdradzające już na wielką odległość każdą maszerującą kolumnę. Uderzyła mnie obfitość dużych białych krzyży na tutejszym cmentarzu przy kościółku; jak się przekonałem, były to groby wyłącz- nie rosyjskich oficerów. Niektóre z nich otwarte, dowodzą, że ciała powywożono.

Niedługo po naszym przybyciu zaczęły walić szrapne- le na wieś, nikomu znowu nie czyniąc krzywdy, ot, dobrzy znajomi. Zastanawiające jest jednak, że w ogóle strzelano,

^a W orygina-
le: p. pułk.

i diabli wiedzą, czy jaki cichy przyjaciel nie dał już znać Moskalom, żeśmy przyjechali. Niedługo się zrobiło południe i poszliśmy jeść. Urządzenie wzorowe, część w jakiejś szkole, czy co, część w stodole. Każdy udaje, że się z deszczu cieszy, bo to niby dobrze na urodzaj, ale pomimo tego nie ma zwykłego humoru. Ponieważ sytuacja ciągle ta sama, i do roboty nic nie ma, kładziemy się po obiedzie spać, i trwa to aż do 5.00, po czym mały spacer, nieco pogawędki, zebranie sytuacji wieczornej i znowu do jedzenia. Zajmujący żywot! Wielkie przyjęcie, bo przy stole znajduje się niemiecki dywizjoner, komendant 25. Rezerw[owej] Dywizji. Usuwa się dyskretnie z towarzystwa do... stodoły, i tu już sobie możemy swobodnie wygadywać na siebie, czego zwyczaj. Mała partia kart, bo humoru nie było, o 11.00 spać.

29 Przychodzi rano H[öul] i zastaje nas w łózkach, godzina 7.00, zbudowany jest więc odpowiednio tym widokiem. Dzień bezsłoneczny i chłodny, przejdzie prawdopodobnie równie beczynnie, jak wczorajszy. Wychodzę po śniadaniu nieco na spacer w kierunku cmentarza; mnóstwo tu świeżych grobów, prawdopodobnie rosyjskich. Sam cmentarz i pole naokoło zryte ciężkimi granatami w ostatnich paru dniach. Wiadomości żadnych, żadnej zmiany w naszej sytuacji. Dopiero około 10.00 zaczynają Moskale strzelać na nasze baterie, nie wiem, czego chcą tym sposobem dokazać, i jakie mają zamiary. Jestem jakiś niespokojny i jakby przygnębiony. Strasznie chciałoby się końca wojny – na urlop, czy co – zobaczyć kogo innego, nie ciągle te same twarze. W takich warunkach wojna jest strasznie monotonna i przykrzy się okropnie. Humor ani krzty, diabli wiedzą, co ze sobą robić. Chyba, że znowu namówię Zygmunta i będzie-

my pić jak szewcy. Wprawdzie zamiar nieprzeprowadzony, ale za to reszta dnia schodzi równie nudno.

Trochę po południu śpimy, trochę rozmawiamy, opowiadam mianowicie Kralowi, w jaki sposób przeżyaliśmy zimę, bowiem go w tym czasie na froncie nie było. Pod wieczór zaczyna mi być nagle bez żadnej przyczyny wesoło, tak że nawet figlować zaczynam (jak niewinne dzieci). Zajeżdżają automobile i wkrótce znikają z naszymi panami, zaproszonymi na kolację do niemieckiej dywizji. Przyjęcia obustronne, co dzień, kolacje z muzyką etc., najlepszy dowód, że Moskali mamy w pięcie. Pojechała starszyzna, prezydent więc dziś przy stole wujaszek Maks, robi przy tym [minę] okrutnie poważnego, chociaż mu nikt nie wierzy albo przynajmniej niewielu. Zygmunt napuszony, że się do starszyzny liczy, pewny, że go każdy usłuchać musi, wydaje rozkaz rozpoczęcia partii, do której się zaraz zabieramy. Nie mam wprawdzie ochoty, ale muszę grać, dając nie wiem już który z rzędu rewanż, bez skutku dla odbijających się, aż mnie po powrocie ekscelenc skrzyczał, że mam takie szczęście.

30 ^aJasne słońce budzi nas dziś wcześniej; także strzały, chociaż dość odległe, leżeć nie pozwalają. Dowiaduję się, że to atak na południowo-zachodnim froncie pod Przemyślem, w kierunku na San–Lipniki. Kanonada, trwająca bez przerwy, pochodzi z działających tam 39 baterii, różnych kalibrów, od 30,5 cm moździerzy w dół. Ciekawy jestem na tamtejszą sytuację i wynik tej strzelaniny, niestety szczegółów nie mogę się dowiedzieć. Zrównoważony i wesoły jakiś jestem, daj Boże, by to było, jak to czasem miało miejsce, przecucie powodzenia. Nasza i sąsiednia 25. niemiecka Dywizja zachowuje dziś w dalszym ciągu stanowisko wyczeku-

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

jące, przy równoczesnym zarządzaniu rozległych czynności wywiadowczych.

Okolo południa milknie odległa kanonada, przypuszczamy że piechota przeszła do ataku, ale wiadomości żadnych. Bezczynność daje się nam tak we znaki, że z rozpaczy biorę się po południu do kopiowania fotografii, wyklinając na różne sposoby i różne osobniki zasłaniające mi przy tym. Zajęcie powyższe wzbudza cześć i poważanie u przypatrujących się kanonierów, przy czym jeden drugiemu objaśnia, na jakiej zasadzie odbywa się sporządzanie fotografii, że musi się mieć formę (klisza), z której się na papierze obrazik odbija. Pracowałem w ten sposób aż do zmroku, po czym udawszy się na zasłużony posiłek dowiedziałem się o awansie kucharza. W trakcie kolacji przychodzi depesza z wiadomością, o wzięciu szturmem fortu Prałkowce⁹⁰ przez 24. ITD^a – hurra! itd., po czym partia z nastrojem niezbyt wybornym.

^a 24. *Infanterietrupendivision*
(niem.)

24. Dywizja
Piechoty.

31 Wyjeżdża brygadier z H[öulem] w pole, celem poczynienia zarządzeń osobiście, przy zamierzonym przekształceniu ugrupowania artylerii. Dzień pogodny i słoneczny, roboty mało, przykrzy się prawie. Odwiedziny jakiegoś niemieckiego kapitana artylerii, zdziwionego ogromnie nieobecnością w naszej grupie 30,5 cm moździerzy, ledwie mi się udało mu to wytłumaczyć, tak się biedaczysko przejął. Dla rozrywki, trochę ze złości, a całkiem z konieczności, zajmujemy się z Kralem przez pewien czas łapaniem much w naszym mieszkaniu, bo dokuczają niemożliwie, ale cóż, kiedy z nimi taka sprawa jak z Moskalami – tępi się je i tępi, a końca im nie ma. Mieliliśmy się stąd przenosić znowu na dawne mieszkania, ale zadecydowano, że zostajemy. Ma-

jor [Kral] donosi, że na północ i północny zachód od niego strzelają ogromnie, dowiemy się może wieczorem o jakimś nowym dobrym wyniku. Smutno mi chwilami i chciałoby się do swoich; kto wie, kiedy znowu będzie sposobność zobaczyć kogoś; ano mijają dni i wiele ich jeszcze przebyć w polu przyjdzie.

Wpadamy z Kralem na pomysł urządzenia popołudniowego legowiska na świeżym powietrzu, co przeprowadzamy przy pomocy koców i Antka. Zabieram się przy tym do załatwienia korespondencji, i na tym pisaniu, rozmowie, patrzeniu w niebo i na ostrzeliwany przez artylerię aeroplan, schodzi do wieczora. O tym czasie przyjeżdża podpułkownik Hanikiż, przydzielony dotychczas do 24. Dywizji, i opowiada zajmujące rzeczy o wczorajszym dniu. 9 moździerzy 30,5 cm strzelało na forty Prałkowce i Lipnik, tak że powstała kupa gruzów.

Lekkie haubice powystrzelały przejścia w kolczastych drutach, budowanych na betonowym podłożu w 15 rzędach – artyleria (39 baterii) grała jednym nieustannym grzmotem, i tylko od czasu do czasu odróżniało się bas moździerza. Po takim przygotowaniu przez artylerię, mogła piechota prawie bez strzału wziąć fort i znajdujących się w nim pozostałych 300 bohaterów. Na jutro nowy atak, zamierzany na sąsiedni fort, celem uzyskania możliwości rozszerzenia frontu. Co znaczy przewaga artylerii! Gdyby Moskale w ten sam sposób dobywali Przemyśla, nie trzymałby się tak długo, ale u nich armatek mało, moździerzy żadnych. Daj Boże, byśmy tę przewagę mogli należycie wyzyskać! Wesoło dziś wieczorem przy stole, pomimo że brakuje stałego przedmiotu naciągania, chorego Dzierżyńskiego. Robimy nieodzowną partię kart. Po jej ukończeniu zaczyna się strzelanina, czę-

ściowo na naszym froncie, przeważnie przy sąsiedniej niemieckiej dywizji; trwa całą noc. Zygmuntowi przyprowadzają w nocy cywilbandę, złożoną z 52 sztuk uciekinierów z Husakowa, znajdującego się między przednimi liniami. Zaniepokojony nieco początkowo ogniem, kładę się później spać, słusznie przypuszczając, że jeśli mnie będzie potrzeba, to mnie zbudzą.

Zeszyt IV

Czerwiec [1915]

¹ Nikt snu nie przerywał, strasznie więc kombinuję po przebudzeniu się, że zapewne sytuacja niezmieniona; potwierdza moją kombinację istotny stan rzeczy, co mnie przyprawia o dumę, że to tak sprytnie obmyśleć potrafiłem. Panowie wyjeżdżają do niemieckiej brygady artylerii do Jordanówki, polecając mi przedtem załatwienie sprawy ze śmierdzącymi bombami; dostaliśmy mianowicie tzw. T amunicję, wydzielającą po eksplozji śmierdzące gazy, chodzi więc o zaopatrzenie ciężkiej baterii w takowe pociski. Na jutro projektowany atak dwóch sąsiednich (wschodnich) grup niemieckich: 25. Dywizji i 4. Brygady Piechoty, przy współudziale naszej artylerii; robimy więc odpowiednie przygotowania.

Przełożeni wracają około 11.00 i równocześnie z nimi przychodzi depesza o wzięciu Stryja, 9000 jeńców przy tym, oraz o zdobyciu trzech fortów północnych od Przemyśla; to drugie – dla nas aktualniejsze – przyjmujemy owacyjnie, zaraz lepsze widoki na powodzenie jutrzejszego ataku. Wyszukałem sobie po południu robotę, mianowicie przyprowadzenie do porządku wszystkich dokumentów nagromadzonych od początku wojny. Nogi mi ścierpły przy tym, bo rzecz odbywa się na rozłożonym na trawie kocu, ale w końcu



Austro-węgierskie kolumny zaopatrzeniowe w Karpatach,
zima z 1914 na 1915 r.

udało mi się jaki taki ład w papierach przyprowadzić. [Godzina] 6.00 już była, gdy skończyłem, i o tym czasie zaczęli Moskale ni stąd, ni zowąd strzelać. Co to strzelanie ma znaczyć, rozmaicie kombinujemy, śmiejąc się równocześnie z nietrafiających pocisków. I śmialiśmy się tak długo, dopóki jeden granat nie trafił w strzechę i w pół godziny trzy domy, razem ze znajdującą się w jednym chorą babą, spłonęło. Pomimo że dosyć silni jesteśmy, przyszedł wieczorem batalion 15. [Pułku] jako posiłek, którego na razie nie ma nawet gdzie wstawić. Dobre usposobienie u wszystkich udziela się i mnie, bo śmiać się zaczynam, ale pomimo tego niepokojny jakiś jestem.

2 Od 3.00 gotowość do odmarszu, powstawali wszyscy, strzelanina jak P[an] Bóg przykazał, jednym słowem, ruch. Artyleria nasza strzela z szybkością karabinu maszynowego, dłużej [niż] 2 godziny, jak się później dowiadujemy, na darmo, bo Niemcy nie poszli naprzód. Dlaczego nie poszli, tego nie rozumiem, ale fakt faktem, atak utknął. Teraz godz[ina] 9.00, cicho, sielsko i spokojnie, jakby nie było żadnych nieprzyjaciół. Interesujący jest szkic z podaniem pozycji rosyjskich baterii, który rzucił lotnik; umożliwia to wstrzelanie się naszych baterii na nieprzyjacielskie i ewentualnie trzymanie ich pod ogniem, gdyby szkodzić chciały.

Zdrów dziś nie jestem. Ogólnie daje się odczuwać pewnego rodzaju konsternacja, pomimo że niepowodzenie dzisiejsze nas bezpośrednio nie dotyczy; reszta dnia schodzi też tylko na oczekiwaniu, co Bozia da. Dochodzą wiadomości z zachodnio-południowego frontu pod Przemyślem, potwierdzane przez strzały, które słyszymy ciągle. Wieczorem zaczynają Moskale jak zwykle strzelać na Radochońce,

tym razem jednak bez żadnego skutku. [Chociaż] dzisiejszy dzień nie bardzo się udał, mam ciągle jakieś przeczucie, że niedługo pójdziemy naprzód, nawet się chcę z Waltuchem założyć, że jutro będziemy w Przemyśle.

3 Po kolacji codzienna partia dosyć długo się przeciągnęła. Po wczorajszym deszczu zaczyna się piękny dzień; nic dziwnego, bo to Boże Ciało, więc i procesja się udać musi. Uroczystość dnia potwierdzają salwy armatnie, nie tak jak np. we Wiedniu, ślepymi nabojami. W ogóle strzelanina wszelkiego kalibru trwa już od [pół do drugiej] w nocy. Budzą mnie około 4.00, mam więc sposobność śledzenia przebiegu wszystkich przedsięwzięć, a idzie wszędzie dobrze. Jeszcze o 3.00 rano zdobyli Niemcy dalsze [dwa] forty północne, 10. Korpus posiada o tym czasie już 4 [forty] z południowego zachodu, jest więc już zdobytych dziewięć – rzecz jasna, że Moskale Przemyśla nie utrzymają. O 5.00 zgłasza nasz obserwator rosyjską kolumnę z artylerią, w odwrocie z Pleszowic⁹¹ na północ; równocześnie przychodzi lakoniczna depesza: „Przemyśl w naszych rękach”. Nie potwierdzona oficjalnie wiadomość, przyjęta jest jeszcze z pewną rezerwą, choć każdy czuje, że się sprawdzi, bo według uwagi mjr. H[öula] Moskale się przecież nie ustawią na rynku, żeby stawić opór.

Zaczyna się robota nad wykorzystaniem każdego momentu, chwili wolnej przez cały dzień już nie znajduję. Upał dziś przy tym taki, że wszyscy chodzimy porozpinani jak Żydy, niektórzy zgoła bez bluzek. Po południu chce nam 26. zabrać ciężkie haubice, stary zdołał jednak [dwie] uratować i zostawić sobie; górską baterię wzięto nam jednak całą – pojechała do Chyrowa „się zawagonować”. O godz[i-

nie] 9.00 rano dowiadujemy się oficjalnie, że Przemysł wzięty. Pełno nadziei i krzyku, każdy chciałby już do Lwowa. Co tam za jubel będzie, jak tę wiadomość dostaną w *Hinterlandzie*! Włochom troszkę rura zmięknie, Moskale się tym bardziej nie ucieszą, car nie będzie tu mógł trzymać mowy do „swojego ludu”, ja mam zamówioną z Pittuerem partię bilardu u Stiebera⁹², jednym słowem, milion przyjemności jest połączonych z wzięciem miasta. Przewidujemy na jutro odmarsz, na razie trzeba jednak jeszcze uporać się z silnie obsadzoną górą Dworzyska [nr ?] 298, skąd Moskale chcą ochraniać swój odwrót.

Zarządzenia wydane, i jakby w odpowiedzi na to, Niemcy wzięli Gaj [nr ?] 299, na którym dotychczas parę razy [się] pokrwawili, wzgórze 305; obie pozycje na wschód od nas. Wykorzystuje sprytnie to położenie nasz dywizjonier, o zmroku już przerzuca bazę batalionów na zachód od Husakowa. Nakazuje natychmiast posuwać się ostrożnie napród i twierdzi, że [jeśli] się w nocy nie pogubią w terenie, będzie można nagłym zaskoczeniem wziąć Dworzyska bez strzału armatniego. Po wydaniu wszystkich potrzebnych zarządzeń, idziemy nareszcie na kolację, ale nie dosyć na dziś dobrych wiadomości, bo nowa depesza przychodzi o powodzeniu pod Stryjem, wielkiej zdobyczy itd. Chwała Bogu! – dobrze Moskalom idzie – nam jeszcze lepiej.

Śmieję się ze stale pesymistycznie usposobionego Wal-tucha, niezdecydowanego nawet teraz jeszcze wierzyć we wzięcie Przemysła. Gramy znowu w karty, ale już jak gracje-profesjoniści, bo bez błuzek; naturalnie, Zygmunt ze swoimi uwagami na temat czystości bielizny, potrzeby kąpieli etc. jest jeszcze niemożliwszy, jak zwykle. Na szczęście, wszyscyśmy do niego przyzwyczajeni, nikt się nie iry-

tuje i dobrze robi, bo przy dzisiejszym parnym powietrzu łatwo można by być tkniętym apopleksją. Na kwaterze niemożliwością jest wytrzymać przez kwadrans, a co dopiero spać całą noc; wynoszę więc swoje pielesze na dwór, strasząc przy tym ludzi białością swej postaci.

4 Budzą tak wcześnie, że aż za wcześnie. Już o 5.00 rano przesuwamy cały park amunicyjny do Husakowa, najlepszy dowód, że idzie dobrze. Moskale uciekli z Dworzysk, zanim im zdołano zerznąć dudy. Nakazana gotowość do odmarszu, czekamy tylko na rozkaz z korpusu. Niemiecka północna armia jest już pod Mościcami, czy diabli wiedzą gdzie, bo się dokładnie nie mogą dowiedzieć. Jeśli Moskale stawiają opór, to nikt nie wierzy w jego powagę – ciekawym, gdzie będą mieli następną linię obronną. Zobaczymy również, co zajdzie w południowej Galicji! Wczoraj dostałem wiadomość o śmierci cioci H., przedwczoraj o śmierci Józka T. Biedne ciocisko, nie doczekało powrotu syna. Dokąd teraz pójdziemy, nikt nie ma pojęcia, najchętniej chcielibyśmy się połączyć z 10. Korpusem, do którego należymy. Komendant korpusu Martiny dostał za zdobycie Przemyśla Order Żelaznej Korony i Kl[asy]⁹³ – trzeba mieć szczęście, nie tak jak jego kolega szkolny Kusmanek⁹⁴. Sumaryczne straty Moskali w maju wynoszą 268 000 żołnierzy i 871 oficerów w jeńcach, 268 armat, multum karabinów maszynowych i ręcznych, amunicji etc. Wprawdzie jest to dosyć, ale życzę im takiego samego powodzenia w czerwcu, na co się zresztą zanoszą, bośmy miesiąc dobrze zaczęli. Orientowanie się w sytuacji, dyspozycje, rozkazy, wszystko to odbywa się dosyć gorączkowo i zapewne dlatego się nie klei. Nareszcie, po przydługim czekaniu, wyjeżdżamy o 9.00 z Rado-

chonic. W przejeździe przez Husaków mam sposobność znowu się napatrzeć spustoszeniu poczynionemu przez artylerię – okropnie wszystko zestrzelane. Na razie udajemy się na [wzgórze] 291, gdzie się prażymy na słońcu. Upał niemożliwy, ani kawałek cienia, zginąć chyba przyjdzie na udar słoneczny, Zygmunt na mózgowy, tym bardziej że już teraz ma ten organ miękawy.

Dla ochłody wysłała mnie stary do naszej artylerii, która jest w marszu ostrzeliwana przez rosyjską, z rozkazem zatrzymania jej i przeczekania w ukryciu, aż strzelać przestaną. Złapałem pułkownika dopiero w Moczeradach, będącego już zresztą w bezpiecznym miejscu ze swoim towarzystwem. Wracam więc, skracając drogę jazdą „na bliższe”, skutkiem czego mogłem natrafić na moczar, co na szosie nie mogłoby mieć miejsca. Wróciwszy na [wzgórze] 291 mogłem trochę wypocząć, bo brygadier pojechał z H. rekognoskować stanowiska, zostawiając mnie jako połączenie z dywizją. Cała góra na stokach zorana pociskami wszelkiego rodzaju i kalibru, tu bowiem są opuszczone rowy rosyjskie, przyznać trzeba, wybudowane świetnie. Skrzyczeli mnie, że chciałem znalezione ręczne granata „zeksplodować”, niechże się więc nawinie, kto nieostrożny, zdarzy mu się wypadek, i jeszcze mi go każą nosić na sumieniu. [Kiedy] się nieco uspokoiło, idziemy z kapitanem S. oglądać pobojuwisko, ma bowiem zamiar zrobić parę zdjęć; przyłącza się do nas ekscelencja i razem oglądamy żniwo śmierci. Pobojuwisko wygląda strasznie – polegli są w takim odrażającym stanie, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem – kapitan wzdyga się nawet przed fotografowaniem. Niepogrzebane ciała leżą tu od dwóch tygodni, wystawione na działanie słońca, opisać się też nie da stanu, w jakim się znaj-

dują. Cały teren pokryty dokładnie odpadkami granatów, szrapneli. Bez przesady, na każdym kroku spotyka się kawałek żelaza lub ołowiu, roznośników śmierci. Materiału rozmaitego pełno wszędzie leży. Na tej górze siedzimy, nic nie robiąc, do 1.00 po południu, pokrzepiając się w gorącu... ciepłą herbatą. Zwariować by przyszło z takim urządzeniem, gdyby nie zarządzony dalszy odmarsz. Udajemy się na [wzgórze] 282, na wschód od Moczerad i tu... znowu nic nie widzimy. Słychać natomiast nieprzerwany huk armat, tym razem rosyjskich, bowiem szybkością niecelowanego ognia chcą powstrzymać pościg, co im się poniekąd nawet udaje. Sprzyjającym dla nich czynnikiem okazała się burza, która całkiem niespodziewanie nadeszła, głównie zaś brak pewnego rodzaju łączności między pojedynczymi grupami, działającymi każda na własną rękę. Ostatecznie zajęli Moskale linię aż pod Mościskami, a więc dosyć daleko od Przemyśla. Może i tam nie wytrwają długo, tak jak w dotychczasowych stanowiskach.

Po przygotowaniu kwater idzie dywizja do wsi Moczerady, nie osiągnąwszy zbyt wielkich sukcesów. We wsi widać, jak świetnie mieli Moskale swoje pozycje przygotowane: formalnie zryte wszystko rowami i zakrywkami. Wyobrażam sobie, co za rozgoryczenie musiało być u nich, opuszczać tak wybudowane stanowiska! Wprawdzie jest prawdopodobieństwo, że i na dalszej drodze spotkamy podobne urządzenia, niemniej satysfakcja jest widzieć dotychczasowe opróżnionymi. Wydanie dzisiejszej dyspozycji będzie trwało dosyć długo, dlatego zaraz po kolacji wymykam się spać, nie bacząc na to, że mnie może spotkać niemiłe przebudzenie. Naturalnie, że w obecnych warunkach mowy nie ma o poczcie, ale dziwię się, dlaczego jej wczoraj ani przed-

wczoraj nie było. Przed samym sobą nie chcę się przyznać, jak sobie to tłumaczę, ale w końcu życie jest życiem, i dlatego rozmaicie pojmowanym. Dlaczego ja właściwie mam być powołanym do rozwiązywania pytań, których rozwiązywać nie chcę?

5 Wbrew przypuszczeniom, nie budzili mnie w nocy ani razu, co aprobuję w zupełności. Brygadier zaraz rano wyjechał w pole, Höul tak samo, i zostawili mnie samego, niemającego pojęcia o sytuacji, bo zupełnie niewyjaśniona; na szczęście nie nagabywano mnie zbyt, do czasu aż przeprowadzono do porządku zgrupowanie, połączenia etc. Dywizja nie idzie naprzód, zostawiając pole do popisu 11. Armii⁹⁵, której już po południu udało się przerwać front rosyjski na południowy wschód od nas. Zastanawia mnie treść dzisiejszej dyspozycji, mianowicie punkt zwiastujący, że z chwilą kiedy osiągniemy linię Wiszni (rzeki), zadanie korpusu jest wypełnione i znajdziemy inne zajęcie. Czyżby znowu jakie zawagonowanie? Italia czy kiego diabła? Co prawda, to wszystkim by nam się podobała podróż na południe, ale nie uprzedzajmy wypadków.

Nie rozumiem starego, co się z nim stało, bo po południu znowu wyjeżdża, jak gdyby się w polu bez niego nie obeszło. Niech jedzie z Bogiem, ja zaś mogę tymczasem przyglądać się kształtom bacsiego, który bez żenady myje się w stroju Adama na środku wsi; zerznął się później w parady mundur honweda, aż oczy bolały patrzeć. Kapitan P[rchal ?] nie może się nawet powstrzymać od zrobienia zdjęcia z tak wdzięcznego tematu i uwiecznia ponownie Ratza. Do zmroku nic nowego nie zaszło. Plażę⁹⁶ się z telefonem i wyklinam sobie na różne sposoby, ale nic mi to nie pomaga. Około 9.30

zgłaszają rosyjski atak, przypuszczalnie podjęty dlatego, by sobie zapewnić spokój przy dalszym odwrócie.

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

6 ^aMonotonny dzień, że nawet do niczego się wziąć człowiekowi nie chce. Wyjeżdżają znowu w pole i zostawiają mnie, skazując tym samym na nudy. Zaczynam rysować, i w ten sposób ratuję sytuację. Myślę sobie chwilami, że jestem na tej wojnie przecieź zbyt cenny – komenderować kimś jak kufierkiem, to by się nawet temu meblowi znudziło – gdyby trochę samodzielności, nie czułbym się tak skrzepowany. Zły jestem, że nic nie robię, i nie wiem przy tym, co się na froncie dzieje, bo mnie tu na miejscu przytrzymali i sterceć trzeba jak kołek. Ziartywany kładę się po obiedzie spać, prześladowany przez muchy, twór, który się P[anu] Bogu całkiem nie udał. Przerywają mi atoli błogi spoczynek propozycją wyjazdu do Balic, celem rozpatrzenia się w owej wsi, bowiem dywizja ma zamiar się tam jutro przenieść. Zgadzam się (bo się zgodzić muszę) na ten spacer i o 5.00 wyjeżdżam sobie z towarzyszącym mi w takich razach Wróblem.

Zastanawia mnie po drodze obfitość w tym samym kierunku maszerującego niemieckiego wojska; prawdopodobnie niedużo nam tu do czynienia zostanie, i pojedziemy w inne kraje, co zresztą każdy z nas przypuszcza. W Balicach błędę dosyć długo, szukając nadporucznika F., aż zatrzymuję się w końcu przed pałacem, przypuszczając, że go tu znajdę. Był, ale pojechał – objaśniono mnie. W pałacu (własność Skibińskiego) zakwaterowana 26. Dywizja, nie ma czego szukać, gonię więc po wsi szukając Fr., ale znaleźć mi się go nie udaje. W rozmowie z zarządcą pałacu dowiaduję się o przygnębieniu Moskali, którzy się ze swoją klęską zupełnie nie kryli, przyznając, że ostatnią odporną linię ma-

ją między Mościskami i Sądową Wisznią, następna dopiero w Rosji. Fafrał⁹⁷ to i owo staruszek, aż go w końcu pożegnałem, i wracam do Moczerad, ciągle po drodze spotykając maszerujących Niemców. Jak się okazało, przyszły na nasz front trzy dywizje wyłączone z armii Mackensena – jeszcze jeden dowód więcej, że jesteśmy tu coraz bardziej zbiteczni. Kolację zjadamy pod gołym niebem, przy czym mamy sposobność obserwować niezliczoną moc rozmaitego kalibru artylerii. Już dobrze ciemno było, a oni ciągle jeszcze maszerowali. Nie zazdroszczę Moskalom jutrzejszego dnia! Przy stole śmiejemy się dużo z Zygmuntem, a gdy ten się spalił – rozmawiamy o polityce z kap[itanem] P.

7 O 3.00 budzi mnie podoficer, przerażony, że ktoś konie od wózka ukradł. Wściekły skutkiem tego jestem, jak również przerwaniem mi zasłużonego snu, ale w końcu i złość nie pomogła, bo koni rzeczywiście nie ma. Pułkownik to rzeczywiście jest spokojny człowiek, przyjął tę wiadomość, jakby się nic nie stało, kazał brak uzupełnić nową parą koni i ani jednym słowem nikogo nie skrzyczał. Na jego miejscu narobiłbym krawalu nawet w całym korpusie, aż by się złodziej znalazł. O 4.30 jedziemy naprzód, nie czekając na sztab. Ma być dziś przeprowadzony atak na całym froncie, stary więc interesuje się nim, jak zwykle niepomierne. Co nam nie sprzyja obecnie, to słońce niepozwalające nic obserwować przed południem. Dopiero po południu i wieczorem widzimy Moskali wyraźnie i strzelać można inaczej. Przenosiliśmy dziś parę razy nasze stanowisko, aż w końcu zainstalowaliśmy się w najgłupszym miejscu, gdzie nawet siedzieć nie ma na czym, pomijając to, że nic nie widać. Atak szwankuje i nie idzie tak jak było przewidywane, po

części w tym вина Niemców, ostrożnych aż do niemożliwości. Po całodziennym, dla mnie beczynnym, prażeniu się na słońcu jedziemy na noc do Balic. Kwatery najpodlejsze, jakie we wsi egzystują, bo lepsze naturalnie zajęli Niemcy.

Ku ogólnej ucieście dowiadujemy się, że konie się znalazły – i to kto, Antek je wyszukał u Niemców; tak długo łąził i spokoju nie miał, aż je wyszukał. Opowiadają coś, że korpus nasz nie do Włoch, ale na północny front ma być wstawiony – byłoby rozczarowanie pewnego rodzaju. Obiadu doczekaliśmy się dziś dopiero o 10.00 wieczór. Poczta przysłała nic dla mnie nie mając, coraz bardziej mnie to zastanawia.

8 Budzę się i z przerażeniem dowiaduję się, że już trzeba odjeżdżać. Sypiemy naprzód, wyprzedzając dywizję maszerującą do Siedlisk. Mijamy Byków, zupełnie spalony, następnie przeszkody z kolczastego drutu i dostajemy się na drogę do Siedlisk. Ciekawe są pozostałości po ostatnim wysadzeniu fortów w powietrze. Bloki kamienne potężnej wielkości leżą w odległości kilometra i więcej od swego poprzedniego pobytu. Nabiera się [tedy] pojęcia o sile wybuchów. Siedliska – wieś obszerna, prawie niezniszczona – kwatrujemy się, ciesząc na wypoczynek, zmęczony bowiem każdy marszem w niemożliwym upale. Nie danym atoli było wypoczywać długo, bo już przy obiedzie przyszedł telegraficzny rozkaz odmarszu do Przemyśla. Złożyło się o tyle dobrze dla mnie, że wysyłają mnie z Zygmuntem autem naprzód, dla przygotowania kwater.

Jedziemy też jak chwały i za pół godziny jesteśmy na miejscu. Mała orientacja w Magistracie i przy pomocy policjanta umieściliśmy dywizję w połudn[iowo]-zachodniej części miasta. Niewiele znać, żeby oblężenie dało się we

znaki; uderza tylko brak szyb w oknach i Żydów⁹⁸. Poza tym życie prawie całkiem normalne, dostaje się w cukierni kawę, herbatę, lody, promenada bardzo ożywiona, jednym słowem, Przemyśl sam niewiele ucierpiał. Opowiadają za to dosyć szczegółów o powodach upadku Przemyśla. Dzisiejsza dyspozycja zapowiada szereg forsownych marszów, ciekawym, co za nowe przedsięwzięcie. Zmęczony jestem, bo nabiegałem się dziś dosyć, nawet się myśleć nie chce. Mieszkamy we trójkę na Zielonej 3.

9 O 7.00 odmarsz przez San–Wapowce–Babice – do Dubiecka. Jesteśmy z Zygmuntem wysłani naprzód, ale automobilem, za co chwalimy P[ana] Boga, bo zamiast 8–10, będziemy smażyć się tylko najwyżej 2 godziny na słońcu. Upał, jak za dni poprzednich, nie zazdroścąc dzisiejszego marszu piechutom. Dubiecko prawie niezniszczone, z wyjątkiem zamku wyrabowanego do połowy, i mieszkania p[ani]stwa W., zniszczonego zupełnie. Myślałem, że zastanę kogoś z nich już w domu, ale widocznie komunikacja z Krynicy jeszcze utrudniona. Długo czekamy na sztab, więc po zażyciu kąpieli w Sanie skracamy czas w kółku rolniczym, gdzie dostaje się niefałszowanego wina. Po południu kąpię się jeszcze raz, bo sposobność pewnie nieprędka się znowu zdarzy. Piechota przyszła dopiero wieczorem, stosunkowo mało zostawiwszy maruderów po drodze. Kolację dali dopiero o 10.30. Po północy jestem gotów z całą robotą i idę spać.

10 O 6.30 marsz Dubiecko–Bachórz–Dylągówka–Zawratówka. Wieś duża, ale domy pojedyncze porozrzucane na wielkiej przestrzeni, tak że w rezultacie zajmujemy z nich tylko cztery, w pobliżu szkoły. Około 1.00 przyjeżdża sztab –

w pół godziny potem wszystko załatwione, wszyscy wypoczywają. Upał jeszcze większy, niż wczoraj, chodzimy też boso, bez bluzek i koszul. Kwaterujemy się z Zygmuntem pomiędzy drzewami w ogrodzie, dawniej dworskim. Całe popołudnie schodzi na wypoczynku i paleniu papierosów. Nikt nie wie, dokąd idziemy, z jakim celem, co się z nami stanie. Żołnierze, pomimo obecnych forsownych marszów, nie tracą nic na fantazji, przeciwnie, maszerują w tym upale z humorem i śpiewaniem. Cała dywizja w ogóle znajduje się w bardzo dobrym stanie. Piechoty mamy 10 000, a już są zapowiedziane ewentualne uzupełnienia, panuje też ogólne dobre usposobienie, tym bardziej, że dochodzą coraz to nowsze wiadomości o wypieraniu Moskali. Wieczorem znalazło się dosyć do roboty, tak że nie było czasu na nudy. Około 11.00 kładę się pod gołym niebem, rozebrany do niemożliwości, bo parno jak 100 diabłów.

11 Maszerujemy dalej. Zawratówka–Wola Rafałowska–Albigowa–Łańcut. Urwanie głowy mamy w Łańcucie z Niemcami i 9. Korpusem, który wdepnął w nasz rejon i ani go ruszyć. Najeżdżaliśmy się i nachodzili daremnie ze 2 godziny, aż wyszukałem w końcu pomieszczenie koło kościoła. Miasto dosyć ożywione i mało zniszczone. Życia dodają dziś tłumy bab, towarzyszących zgłaszającym się do poboru, który był dosyć dokładny, bo opowiadano, że nabrali mnóstwo⁹⁹.

Gołąco znowu diable – żadnych widoków na deszcz. Zakwaterowało się nas paru na plebanii w ogrodzie, po którym spacerujemy bez ubrań, bo wytrzymać inaczej nie można; robią to w ogóle wszyscy nie będący na służbie. Chciałem wyjść trochę na miasto, ale się rozmyśliłem, bowiem po mieście bez ubrania chodzić nie można. Dopiero wie-

czorem wyszliśmy we czwórkę, oglądnęli park zamkowy, żałując przy tym, że zamku z powodu zmroku zwiedzać nie można było. Dowiedzieliśmy się od spotkanego zarządcy, jak uchronił niektóre rzeczy od zrabowania, i czas było na kolację. Na jutro zapowiedziany dalszy marsz, lecimy jak wariaty, jak na nieszczęście w największe upały. Noc w ogrodzie przepędzona częściowo znowu w adamowym stroju.

12 O 5.00 dalsza podróż, tym razem z urozmaiceńiami. Łańcut–Wola Bliższa–Bikówka, minęły szczęśliwie. Jednak po zjechaniu z szosy zaczął się krzyż pański z piaszczystą drogą, tak że po długich a ciężkich cierpieniach dostaliśmy się do celu, Brzozy Królewskiej. Gorąco bije z tych piasków, że aż czasami żałujemy, żeśmy nie Murzynami z pochodzenia. Wieś nadzwyczajnie długa, ponad 7 km, otoczona lasami. Komenda mieści się tuż obok kościoła, ja znajduję pomieszczenie pod dachem starego tartaku, i chwałę sobie ono urządzenie, bo przeciąg tu jest całkiem odpowiedni. Na obiedzie mamy gościa w osobie komendanta korpusu, który tak się z naszym dywizjonerem lubi, że aż na jego spotkanie wyjechał. Aż miło patrzeć na tę ich serdeczność: przypijali też do siebie należycie i narobili przy tym dobrego humoru na resztę dnia.

Kąpaliśmy się z Zygmuntem w tutejszym potoku, uczynwszy to tylko z gorąca, bo zresztą woda brudna i nie bardzo zapraszająca. Po południu kładziemy się znowu całkowicie rozebrani na drzemkę, wzmacniającą każdego. Wieczór chłodu nie przynosi, nie wiem już nawet, jak sobie radzić z upałem. Nie wiem, dlaczego znowu mnie czasami jakiś dziwny niepokój ogarnia – pewnie skutek braku poczt-y – sam zresztą nie wiem, czego! Słysząc już odległe strza-

ły karabinowe i armatnie, pewnie nam się niedługo zajęcie znajdzie.

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

13 ^aO dziwo! Stoimy dziś w miejscu! Jakby się złożyło, że się niedziela zeszyła z dniem wypoczynku. Jedynie my nie spoczywamy, bowiem artyleria całego korpusu jest oddana do dyspozycji mojego brygadiera, więc też roboty dużo, o 6.00 zaś jazda w pole. Znowu projektowane jakieś ważne zadanie, które ma rozwiązać artyleria. Po zorientowaniu się w ogólnej sytuacji, dowiedziałem się, że jest dla nas bardzo korzystna. Pominąwszy sukcesy w połudn[niowo]-wschodniej Galicji, bardzo łatwo uda się nam dokonać przerwania frontu nad dolnym Sanem, a wtedy wziąć Lwów, to już zabawka. Już nawet przestałem kląć na to, żeśmy znowu przyszli na ten przykry piaszczysty teren, bo tym razem się zapewne opłaci. Oprócz tego dochodzą niewyraźne słuchy o zamierzonym zawarciu pokoju ze Serbią, z którą już jest zawieszenie broni, oraz czynnym wystąpieniu Rumunii po naszej stronie¹⁰⁰.

Gdyby to była prawda, to bym się chyba upił, bo wtedy wojna to kwestia paru miesięcy. Może się niezbyt dokładnie orientuję w tych sprawach, ale w każdym razie optymistą jestem dziś większym, [aniżeli] zawsze. Skończyli w kościele śpiewać, widocznie już po nabożeństwie, wychodzę więc popatrzeć na naród. Trafiłem na moment, jak mama z dwiema córkami męczyła się nad nawróceniem powozu z końmi, bez żadnej obcej pomocy. Skoczyłem naturalnie w sukurs, w mig były konie gotowe, zaś w podzięcie otrzymałem zaproszenie odwiedzenia tych pań na leśniczówce. Nic by w tym nie było dziwnego, gdyby nie to, że tam rzeczywiście poszedłem, i co prawda bardzo przyjemnie pa-

rę kwadransów spędziłem. P[añstwo] Białkowscy składają się z taty, mamy, córki zamężnej ze synem, córki niezamężnej bezdzietnej i takiegoż syna, który właśnie wczoraj wywinął się przy asenterunku^a, pomimo że jest siedmiokrotnie zdalny do wojska. Ale w końcu, co mnie to wszystko obchodzi. W nocy idzie nasza artyleria na stanowiska, jutro zaczyna się robota.

^a Przymusowy pobór rekrutów.

14 Wstajemy o 3.00, ale odjeżdżamy dopiero około 5.00. Brygada jest na dziś oddzielona od dywizji, co bardzo pociesającym, ze względu na prawdopodobny brak pożywienia, nie jest. Stanowisko nasze w pobliżu Leżajska jest mizerne, bo prawie nic nie widać, pomimo że tu [jest] najlepszy punkt obserwacyjny w okolicy. Na wstępie wysyłają mnie do 106. Brygady po 100 diabłów, bo tam taki porządek, że oprócz kawy żadnych innych objaśnień dać mi nie mogli. Dzień, jakkolwiek pogodny, jednak nie tak upalny, jak poprzednie, dlatego nic nie mówię, gdy mnie za chwilę wysłano na poszukiwania lepszego stanowiska obserwacyjnego. Nie udało mi się nic wynaleźć, bo teren tu równy jak stół, zaś propozycję udania się na wieżę kościelną w Leżajsku uznano za zupełnie nieodpowiednią, zwłaszcza że Moskale walą w nią z ciężkich haubic, tak że się zapewne długo nie ostoi. Dzisiejszym zadaniem dywizji jest przeprawienie się przez San i prowadzenie ataku w kierunku północnym, równoległe do brzegu. Pierwsze przedsięwzięcie się powiodło, drugie jednak nieco szwankuje. Stróżujemy nad kierowaniem ognia, ale pomimo porządnej kanonady opierają się Moskale nadspodziewanie silnie. Przychodzi depesza o wzięciu Mościsk z 16 000 jeńców, i to nieco rozjaśnia zachmurzone trochę oblicza. Ostateczny wynik, że

zajęliśmy Piskorowice – dalszy ciąg ma jutro nastąpić. Wracamy na noc do Giedlarowej, gdzie dowiadujemy się o przykrym wypadku 24 cm moździerza, spowodowanym skutkiem przedwczesnej eksplozji naboju. Ofiarą padło ponad 50 ludzi, w tym zabitych 12 oficerów, przypatrujących się strzelaniu; podobno z zabitych tylko części porozrzucane leżą. Przyszła poczta i przyniosła milion kartek od R. – jedynie serce pamiętające zawsze szczerze, bez warunkowań, bez zastrzeżeń, bez przymusu.

15 O 3.00 wyjeżdżamy w pole, bez śniadania, jakby się paliło. Nadzwyczajnie zimny poranek powoduje, że pomimo kożucha trzęsę się jak w grudniu. Dziwniejsze przedsięwzięcie zasadza się na tym, żeby działać energicznie i prędko. Dlatego początek akcji naznaczony na ukazanie się brzasku. Nie wiedzie się jednak, bo 4. Brygada pobłądziła w nocy ze swoim wojskiem i nie mogła na czas zająć wyznaczonych pozycji. Przyprawia to o złość nawet tak spokojnego człowieka jak mój brygadier, bo czekać musimy o głodzie, na zimnie i w beczynności, aż do 7.00 rano.

Pogoda popsuła się o tyle, że prawie nic nie widać już na odległość 2 km, powoduje to więc trudności w strzelaniu. Przed południem zabierają nam 3. Baterię i zaczyna padać deszcz, czynniki psujące do reszty humor. Na szczęście, zaproszenie na obiad do 4. Baterii przyjęte zostaje tak skwapliwie, że się na pewien czas zapomina o wojnie. Przeprowadzają koło nas cały batalion złapanych Moskali, co znowu się przyjmuje przyjemnie do wiadomości. Wśród padającego deszczu uciekam do schroniska nadporucznika B., komendanta mojej baterii, i gawędzimy tam o różnych stworzonych i niestworzonych rzeczach. O wczesnym zmroku

wracamy do Giedlarowej zażyć spoczynku. Nie mogę się wyzbyć jakiegoś dziwnego niepokoju.

16 Ciepleszy dzień od wczorajszego zaczyna się gorączkową robotą; atak prowadzony w dalszym ciągu. Chodzę jak ogłupiały już od tego ciągłego strzelania, powtarzającego się tak beznadziejnie przez tyle miesięcy. Szalenie odczuwam potrzebę wypoczynku, niestety, bez widoków, by się go otrzymało. Zdrow się nie czuję i jakiś nerwowo się robię. Rano jadę do mjr. Krima, wróciwszy wysyłają [mnie] znowu do sąsiedniej wsi Wierzawic. Tu miałem sposobność oglądać groby padłych skutkiem eksplozji moździerza; dużo ich jest, wszystkie przystrojone odpadkami żelaza, pochodzącymi z rozprysniętego działa. Dziwne wrażenie te groby robią. Dziś rano taka sama eksplozja zaszła przy drugim moździerzu, tym razem na szczęście bez ofiar w ludziach, diabli nadali, czy co, z wypadkami?

Po południu pochowaliśmy osiemnastoletniego kadeta od Bośniaków – taką dziecięcą twarz miał, że aż żal było. Atak szwankuje ciągle, bo też co prawda szalenie niekorzystny teren; co raz wezmą parę pozycji, to muszą się niedługo cofać, i trwa tak już 3 dni, bez żadnego prawie skutku. Wiadomości ze świata żadnych, mszczę się wysyłając pocztę. Dzierżyński odchodzi na dwumiesięczny urlop, celem poratowania zdrowia, ciekawym, jak on to będzie robił. Kładę się spać z gorączką i bólem głowy, jeszcze by tego brakowało, żeby mnie odwieźli.

17 Coś się musiało stać u Moskali, bo o godz[inie] 3.00 rano zameldowano, że ani jednego nie ma przed frontem. Zdziwiło nas to do tego stopnia, że nawet nie zabieramy się

natychmiast do pościgu, ale aż dopiero o 7.00 zarządzony jest odmarsz. Jedziemy przez Leżajsk, porządnie zestrzelany, przeprawiamy się przez San mostem pontonowym, i zatrzymujemy się zaraz na drugim brzegu w Rzuchowie. Wieś także istniejąca tylko na mapie, w rzeczywistości spalona zupełnie. Stoimy tu dla nabrania tchu, zjedzenia śniadania i wydania dyspozycji; trwało to ponad godzinę, po czym wysyłają nas z nadporucznikiem T. do Szyszkowa. Przez Dornbach, Kuryłówkę przyjeżdżamy do Kulna, i tu dowiadujemy się, że dopiero przed chwilą wysłane zostały patrole wywiadowcze, że sytuacja za Kulnem nieznana. Ledwie przekonałem ociągającego się T., że Moskale już dawno za Tanwią, i pojechaliśmy dalej.

Za Kulnem przekroczyliśmy granicę rosyjską po raz trzeci, może przecież już tym razem na dłużej, niż poprzednio. Posterunek kordonowy, zamieniony na szpital choleryczny, obecnie opróżniony. Przeszukujemy pobieżnie, bowiem ostrzeżeni jesteśmy przez chłopą, że pół godziny przed naszym przyjazdem byli tu jeszcze kozacy. Jedziemy dalej i napotykamy na austr[iacki] patrol wywiadowczy, od którego jednak niczego się nie można „wywiedzieć”, oprócz tego, że im także paru kozaków sprzed nosa uciekło. W Szyszkowie ani śladu z Moskali, pełno tylko lamentujących bab, którym pozabierano krowy. Czekamy tu na sztab bez nadziei nie długo, utrwalając się coraz bardziej w przekonaniu, że dywizja się rozmyśli, i do Szyszkowa nie przyjedzie. Ku naszemu zdziwieniu, przyjeżdża około 6.00 kap[itan] P. z Zygmuntem, i przywożą nam rozkaz natychmiastowego udania się do Lipin Dolnych, tj. jeszcze 10 km naprzód. Nie ma rady, jedziemy dalej, chociaż konie się już ledwo wloką, i każdy z nas żałuje, że nie ma siodła damskiego, albo

że nie można siedzieć np. na dłoni. O zmroku już przybývá do Lipin i mieścimy się na leśniczówce. Piaski ciągną się już od Brzozy Królewskiej, marsze ogromnie uciążliwe. Kolacji, a względnie obiadu, doczekaliśmy się dopiero o północy, po czym dopiero spoczynek na strychu. Zrobiłem znajomość z chorążym z LIR 30., Polakiem, ale znowu nie wiem, jak się nazywa. Taki zde gustowany do wojny jestem, tak nie widać końca tego obijania się, spania po strychach, tego cygańskiego życia, że nawet zasnąć nie mogę.

18 Zerwali mnie o świcie, co przyjmuję z wyraźnym niezadowolaniem, bo czuję ból w kościach i mięsie po wczorajszym spacerze i niewyspaniu się. Zostają tu dziś wszyscy, tylko naturalnie, czego zwyczaj, my musimy jechać w pole, celem zre kognoskowania stanowisk. Na szczęście, dzień nie tak gorący, jak wczoraj. Po powrocie i zjedzeniu obiadu jest nowa robota z rysowaniem i znowu odetchnąć nie można. Dyspozycja, wydana po południu przez dywizję, nakazuje wybudowanie linii obronnej, dowód więc, że się już czegoś nauczyliśmy i nie lecimy bezmyślnie naprzód, jak to miało miejsce zeszłego roku.

Nic jakoś nie sły chać, co się pod Lwowem dzieje. Mają jednak wszyscy przekonanie, że tam Moska le niedługo posiedzą. Sytuacja u nas jeszcze niezupełnie wyjaśniona, jakie właściwie stanowisko zajmuje nieprzyjaciel, i gdzie się oprze. Chociażby się tu nudziło jeszcze bardziej, niż w Przegini, zgadzamy się wszyscy na to, zamiast „brać Warszawę od wschodu”. Na razie okopujemy się, wysyłamy dziś w nocy artylerię na stanowiska, i czekamy, co z tego wyniknie. Mieszkamy w lesie, wszyscy w jednym domu; przykrzy się, pomimo ustawicznego ruchu. Chociaż wszyscy przewidu-

ją rychły pokój z Rosją, nie wierzę temu, i czuję, że jeszcze długo przyjdzie się po świecie włóczyć.

19 Pogoda ciągle jednaka; nie budzili w nocy, nie zbudzili zbyt wcześnie, zaczyna się dzień dosyć spokojnie. Artyleria strzela już od świtu, nie wiem tylko, co za cele im się ukazują. Zdaje mi się, że dla rozrywki strzelają w różne wsie, wzniecając tu i ówdzie pożar. Stary wyjeżdża w pole sam, zostawiając nas jako niepotrzebnych. Naturalnie, wykorzystuje sposobność kancelaria i zaprzęga mnie do rysowania, z którym się dopiero na południe uporałem, zyskawszy na tężyźnie w krzyżach. Po obiedzie przesypiamy z Kralem jak miły na naszym strychu. Reszta dnia tak głupio schodzi na wałęsaniu się beznadziejnym, że aż z rozpaczny rozpijamy się przy oknie kuchennym, co zostaje sklasyfikowane jako nieprzyzwoitość. Nie znaczy to jednak, byśmy się mieli zrażać obmową ludzką, kontynuujemy bowiem to miłe zajęcie z przerwami aż do kolacji. Przy stole tak wesoło, że się o mało nie ześmiałem ze śmiechu. Przyszła oprócz tego poczta i uspokoiła mnie co do Władka. Ciągłe jestem coraz niecierpliwszy i czekam na koniec wojny – poczekam sobie jednak jeszcze parę miesięcy! Przed północą idę spać, ale usnąć nie mogę. W ogrodzie grają w karty tak głośno, że ich aż na strych słyszeć, po strychu znowu latają nietoperze, i to tak dużo, że je^a aż w ogrodzie słyszeć. I usnął tu człowiecze, jak chcesz – zapaliłem świecę i złapałem jednego *Fledermausa*^b, ale cóż miałem z nim zrobić, jak [nie] na powrót puścić?

^a W oryginale: ich.

^b Nietoperz (niem.).

^c Dopisek autora:
Niedziela.

20 ^c Aż wstyd naprawdę! Wstaliśmy dopiero o 8.30, dowód najlepszy, że zaczynają się „walki pozycyjne”. Nikt nikogo

nie potrzebuje, nikt się o nikogo nie troszczy, bezrobocie jak diabli. Urwać by się przyszło, gdybym nie był wpadł na szalony pomysł ostrzyżenia sobie włosów; zyskuję tym sposobem na pięknym wyglądzie, oraz mija mi godzina na miłym zajęciu. Niedługo potem nieodzwonne rysowanie, wynalazek, jak Boga kocham, nudny. Przykrzy się wzorowo – ładna perspektywa, jeśli tak długo potrwa.

Zygmunt rozstrzelał po południu jakiegoś dobrego człowieka, posądzonego o przerywanie drutów telefonicznych, pomimo tego jednak trzeba było druty wiązać, same się nie naprawiły. Wymagają od tutejszych ludzi, by byli równie dobrze dla nas usposobieni jak Galicjanie. Na froncie spokój, obie strony się nie ruszają; za to pod Lwów coraz bardziej się sprzymierzeni zbliżają. W nocy nie daje mi usnąć strzelanina, trwająca przeszło godzinę, jak było spodziewanym, i okazało się bez skutku.

21 Deszczyk rosi i niebo zachmurzone; tutejsze piaszczyste okolice mają tę dodatnią stronę, że podczas deszczu jest tylko mokry piasek i żadnego błota. Wyjechał w pole dywizjoner i mój brygadier, zresztą wszyscy zostali w domu i nadziali się na odwiedzin y komendanta korpusu, przyjmowanego jak zawsze ogromnie życzliwie. Kapitan S. znowu apełuje do moich umiejętności, znowu więc jest robota. Zresztą na ogół spokój taki jak dotychczas. Dzień, nieurozmaicony niczym, mija szaro. Przy kolacji nie ma starszyny, zaproszonej na wieczór do korpusu. Wrócił tylko z wyjazdu do Jarosławia wuj Maksi z kap[itane]m P. i opowiadają przeróżne rozmaitości, nic atoli takiego, co by mnie szczególnie obchodzić mogło. Ponieważ się nadarza okazyny partner w osobie kap[itana] J., aranżuje Zygmunt partię, przeciąga-

jącą się dosyć długo; doczekaliśmy przy niej powrotu panów z korpusu, zarazem i bacsiego, który w sekrecie opowiada, że nasi są już w odległości 8 km od rynku lwowskiego. Nie wiem, czy majączy, nie wiem, co pił, i ile, ale diabli wiedzą, czy to nie jest prawda. Wysłałem dziś zaległą pocztę, bo ruch jest poniekąd uregulowany. W nocy długo usnąć nie mogę, tak że doczekałem dnia, przewracając się na rozmaite boki.

22 Śpię nieprzyzwoicie długo, w czym mi nikt nie przeszkadza. Dowiadujemy się z rana, że Rzęsna Ruska¹⁰¹ w naszym posiadaniu; szukanie na mapie, mierzenie i obliczanie ogólne, przepijanie sprawy koniakiem itd. Już nawet mnie nie przyprawia o złość nowa porcja rysowania, tak się cieszę tą wiadomością. Około 10.00 nowa depesza, że o 5.00 rano wzięto ostatni rosyjski punkt oparcia na wschód od Rzęsny. Znający tamtejsze stosunki i teren, major H. twierdzi, że to była ostatnia zaporą, i definitywnie wzięcie Lwowa, to tylko kwestia paru godzin. Żałuję ogromnie, że nas tam nie ma, zamiast siedzieć na tutejszych piaskach, ale już taki pech zawsze mamy, że nas wsadzają tam, gdzie nie potrzeba, względnie że nie wsadzają tam, gdzie potrzeba. Za to przyszło znowu pozwolenie starania się o urlopy, z czego jednak nie korzystam na razie, nie będąc zdecydowany, czy jechać do Lwowa, Krakowa lub Berna; robi natomiast podanie Röschl, które jest z punktu odrzucone, i nadpor[ucznik] J., które z punktu jest zatwierdzone. To niemieckie przysłowie, że głupi ma szczęście, nie jest więc znowu tak bardzo bez sensu i uzasadnienia.

Co jest straszne w obecnej porze, to siedzenie na jednym miejscu – przy równoczesnym braku zajęcia – i to tak na całym froncie, że nawet jest obawa, czy wojsko całkiem

nie pognuśnieje nic nie robiąc. Moskalom się ani śni atakować, przeciwnie, podobno się nawet ich szeregi przerzedzają. Nudzimy się też, jakbyśmy pensje wyłącznie za to pobierali. Po załatwieniu korespondencji jest się zdanym na pastwę swoich własnych, rodzonych myśli. Ratuję się, jak mogę, czytaniem opowiadań dla młodzieży, które się znalazły w jakiejś nieużywanej komodzie. Niezbyt to wyśmienita pasza dla wysuszonego zresztą umysłu, ale niestety nie można przebierać nie znalazłszy się w położeniu tego, któremu dano owies i siano. Zażeramy się wieczorem jakąś świńską pieczenią, gdy wtem przychodzi telegraf, że nasi wmaszerowali po południu do Lwowa. Dajże im Panie Boże zdrowie – pomyślałem – za to, że się tam dostali, i mnie też, abym się tam mógł dostać.

Naturalnie, że tą wiadomością tak się ucieszyliśmy, że postanawiamy dzień dzisiejszy w jakikolwiek sposób uczcić. Ponieważ jednak żadna idea nie przychodzi nikomu do głowy, więc dla braku pomysłu zapijamy się rumem, co nas wprawdzie zniża do poziomu inteligencji szewców, jednak w niczym nastroju nie psuje. Byliśmy tym razem na stałe we Lwowie zostali, to już zresztą będzie dobrze! Wiedziony jakimś niewytłumaczalnym instynktem, zagłębiłem się znowu w nieużywanej komodzie i wyłowilem tym razem Sienkiewicza *Listy z podróży*, których studiowaniu oddaję się z całym właściwym mi młodzieńczym zapałem, błogosławiąc przy tym autora za to, że się urodził, i że przyszła mu ochota podróżowania.

23 Jakiś niepowседневni ruch się zaczyna, jakiego już dawno nie było, dawno, myślę, parę dni, bo dopiero tydzień tu siedzimy. Wyjaśnia się sprawa pomału, bo dowiadujemy się,

że stary wyjeżdża na stanowiska dla wykrzyczenia artylerii, że w nocy nie można się było do nikogo dotelefonować, co tak zirytowało dywizjonera, że kazał wszystkim bez wyjątku znajdować się dzień i noc przy bateriach. Pojechał więc stary z marsem na czole i srogością w duszy. Równocześnie słycać muzykę; przyszedł batalion Bośniaków z kadry i przyprowadził ze sobą muzykę. Dywizjoner, jak zwykle, tak i teraz, przemawia do Bośniaków, przepadających i bez tego za nim – po czym^a [zaczyna się] defilada po piasku przy muzyce, jakby na wojnie chodziło przede wszystkim o maszerowanie do taktu – po czym przekonawszy się, że wojny na żaden sposób przegrać nie możemy, bo oto znowu około 1000 świeżych wojowników, rozeszliśmy się do domów, a raczej do ogrodu, w którym jadamy obiad, bo pora jego się zbliża.

^a W oryginalu: za czem.

Dla podniesienia niezwykłości dnia przyjeżdża do nas na obiad komendant korpusu. Bacszi urządził salę jadalną z krzaków i okiennic „prima sorta”. Menu przebajeczne, wymienię tylko barszcz zabielały z uszkami, nic nie mówiąc o indyku z kompotem, torcie ponczowym, serach, specjalnych cygarach etc. Nikt się jednak nie zastanawia, dlaczego to dziś taki występ, aż dopiero po najedzeniu się, ten i ów ze zdziwieniem pyta: co się stało? Dlaczego nas tak żywią? Objaśniamy się wzajemnie, że to zapewne z okazji zdobycia Lwowa, wobec czego żałuję, że nie mamy w Galicji kilku Lwowów, które by się po kolei codziennie zdobywało. Ha! Nie ma, to nie ma! Głową muru nie przebiję, nie pozostaje też nic innego jak oddać się błogiemu wypoczynkowi na strychu i na sienniku. Byłem już na drodze do przeprowadzenia tego szatańskiego planu, gdy dała się słyszeć muzyka. Tym razem przyszedł nasz Batalion 89., także z mu-

zyką, i przemaszerował koło naszego siedliska. Naturalnie, zręcznym dyplomatom udało się zwerbować muzykantów do ogrodu, którzy gdy się zwiedzieli, że będą grać samemu komendantowi korpusu, o mało że własnych duchów nie powytrąbiali przez instrumenta. Tym samym ożywiła się atmosfera przy stole do tego stopnia, że obiad się przeciągnął aż do blisko czwartej.

O tym czasie, już po odejściu muzyki, udaję się tym razem nieodwołalnie na strych, ale zaledwie się położyłem, znowu zaczyna rznąć muzyka, tak dziarsko, jak jeszcze żadna dziś – to czterdziestacy przyszli i weselą się tak po drodze. Wybiegłem na drogę, by się im przypatrzeć, i nie wiem dlaczego, przykro mi się zrobiło. Chłopaki osiemnastoletnie, gołowąsy, że aż ich żal. Widać na nich zmęczenie i brak wyrobienia, chociaż każdy stara się nadrabiać miną. Dziwne uczucie, z którego się otrząsnąć nie mogę. Znam już tę zachowatość, dopóki się nie ucierpiało od ognia, głodu i zmęczenia – ponieważ ich czeka tutaj, niewdzięczna praca, uznania za to mało – a ilu z was wróci? Muzyka tymczasem gra tak wesoło! Ot, żołnierski los, ciesz się dziś, bo nie wiesz, jakie jutro będzie, jak się dla ciebie skończy. A tego jutra nie przedstawia sobie nawet żaden z tych dzieciuchów na pewno! Żal mi ich jakoś, chociaż może przedwcześnie.

Wróciłem na legowisko i zagłębiłem się w czytaniu, bo mi się jakoś spać odechciało; zastał mnie przy tym zajęciu zmrok i wezwanie na kolację. Zebrał się przy osobnym stole, jak zwykle, kwiat młodzieży francuskiej i po spożyciu da-rów bożych narobiło się tyle śmiechu, że aż mi nie żal, że się urodził, bo nie żyjąc nie miałbym sposobności do wy-czyniania takich hec, jak dzisiejsze. Dostaliśmy dziś cztery marszbataliony, bh 4., 40., 89., 90., i kompanię strzelców.

Ponieważ straty w ostatnich czasach są minimalne, przeto wzmocniła się dywizja, na pociechę boską i naszą. Czytam dość długo „w łóżku”, po czym myszy przeszkadzają mi w zaśnięciu. Nie wiem wprawdzie po ciemku, czy to myszy, czy nietoperze, niemniej jednak chrobota coś, i to ciągle w innym miejscu, tak że zrozpaczony nawet nie wiem, w którym kierunku mam rzucać butami, dla przywrócenia porządku w zamieszkałym z nami na strychu świecie zwierzęcym.

24 Wyleżeliśmy się należycie – pogoda ładna, jak to zresztą zwykle u nas bywa – żadnego zajęcia, nic do roboty, jak to także zwykle u nas bywa. Dlatego też zaraz po śniadaniu zaczynamy grać w szachy z P., przy czym według niego „moralnie przegrywam”, w rzeczywistości atoli daję maty. Błogosławione to zajęcie zabiera nam tyle czasu, że aż nas przy nim zastał obiad. Wzięliśmy na humor, bo przy obiedzie przygrywa znowu dziś muzyka, i to nawet 40. Pułku. Całe opery wyczyniają, jak na prawdziwym koncercie, a każdy słucha i udaje, że się na tym rozumie. W takich warunkach zupełnie można zapomnieć, że się jest na wojnie, szkoda tylko, że przeważają momenty ją przypominające, niż obecne. Jak na razie jednak, spokój na froncie, prawie że niczym nie zamącony.

Padnie od czasu do czasu parę strzałów, ale wkrótce potem cisza, jakby strzelanie było zakazane. Za to pod Lwowem pewnie więcej pracują od nas, ale przyjdzie pewnie niedługo i nasza kolej, bo już zauważyłem, że się coś namawiają w generalnym sztabie. Poszliśmy po kolacji z Kralem przejść się trochę, bo wieczór nudny. Powietrze czyste, księżyc świeci jasno jak w dzień; dla dopełnienia nastroju gra muzyka w odległości paru kilometrów od nas, prawdopodobnie przy

4. Baterii. Brak towarzystwa w taki wieczór! W poetycznym nastroju poszliśmy w końcu na prozaiczny strych, gdzie tak gorąco, jak na równiku, bo nawet po obmyciu się leżę z godzinę w adamowym stroju dla ochłody, studiując równocześnie Krasińskiego.

25 Aż się wstawać nie chce dla przewidywanych nudów. Pomyliłem się atoli, bo po skończeniu zaledwie dwóch partii szachów wynalazł mi H[öul] przyjemne zajęcie, nad którym wyteżam swoje siły i umiejętności, aż do południa. Brygadier pojechał do sąsiedniej wsi Naklika, dla oglądnięcia nowych haubic. Wrócił przed obiadem, czerwony i rozpromieniony jak młodzianek, bo upał taki, że i na każdym się musi ujawnić. Podburzyłem H[öula], byśmy po obiedzie tę samą drogę zrobili, jako że moralnym naszym obowiązkiem jest nabrać pojęcia o nowych armatach, zaś zarazem zrobimy sobie przyjemny spacer. Rzeczywiście, po godzinie 3.00 jedziemy sobie obydwaj. Ponieważ droga niedaleka, a konie wypoczęte, proponuje H[öul] wyścigi, na które się chcąc nie chcąc muszę zgodzić, bo przecież nie zostanę w tyle sam, co zresztą i w naturze kobyły tkwi. Palnęliśmy też sobie galopa, że aż sanitety gęby rozdziawiali, które to uznanie onego rycerskiego wojska ogromnie nas w dumę wzbijało. Na zziąjanych koniach przyjechaliśmy w końcu do baterii. Armatki rzeczywiście jak cacka. Ten sam kaliber 10 cm, jak i u starych, ale tysiące nowych ulepszeń i urządzeń. Przede wszystkim są szybkostrzelne jak kanony, przy tym niemożliwie skombinowany przyrząd umożliwia jak najłatwiejsze celowanie – niosą na 8 km – więc dalej, niż^a rosyjskie działa polowe. Dotychczas nie były te haubice w robocie, ale przyjdzie czas, że napsują Moskali dosyć.

^a W oryginalnej: jak.

H[öul] poszedł do komendanta dywizji, ja zaś do baterii, gdzie się porozmawiało ze wszystkimi znajomymi chłopcami. 10 minut przed piątą siadamy na konie, przy czym H[öul] zapowiada, że o 5.00 musimy być w domu, bo o tym czasie wyjeżdża pułkownik do Bośniaków. Masz babo placek! Ale nic to, najwyżej będziemy zmuszeni urządzić nowe wyścigi, co się też i stało. Koniska, czując powrotną drogę, rwały jak wariaty, pogrzały się też jak myszy i my też. Spóźniliśmy się tylko dwie minuty, ale się nazywało, że „cośmy sobie użyli, to użyli”. Zaczyna się zbierać na burzę, ale zbiera się tak z godzinę, wygrzmiało się i przeszło. Zygmunt opowiada przy stole o wojsku, skutkiem czego trzeba naturalnie iść spać, chociaż on dzisiaj ważna osoba, bo został dekorowany *Signum Laudis*¹⁰². Gdyśmy to przeczytali w dzienniku urzędowym, popatrzyliśmy na siebie. On mi się spytał: nie wiesz, za co? Ja się go spytałem: nie wiesz, za co? Po czym zgodziliśmy się obydwaj na jedno, że chyba P[an] Bóg przenajświętszy wie, za co! Ale mental jest!

26 Zaraz po przebudzeniu się zdaję Kralowi raport nocny, mianowicie, że złapałem po ciemku mysz, która mi się dostała pod koc, i promenowała po oswobodzonych z bielizny nogach. Ponieważ zachowanie się takie uznałem za niestosowne, nawet dla myszy, ukarałem ją przeto, dokonawszy na jej osobie defenestracji, aktu wymagającego pewnej zręczności, zarówno z jej, jak i mojej strony. Nie jest wykluczonym, że wpadła do namiotu bacsiego, i tam go dręczyć będzie. Bardzo być może jednakże, że sobie nogi w tej podróży połamala. Po zdaniu owego raportu, ubraliśmy się, za czym śniadanie i doświadczenia z nowo otrzymanym peryskopem, czy jak się tam nazywa to szkło powiększające.

Wyniki świetne! Na parę kilometrów widać Moskali albo nie. Zaopiniowano jednak ogólnie, że przyrząd jest znakomity, i że się nam bardzo przyda, zwłaszcza na wojnie – ale jest tak ciężki, że dostaniemy konia jucznego. Ha, no! Co raz lepiej się do tej wojny bierzemy – wczoraj nowe haubice, dziś nowa luneta, nie wiem, czy się nam Moskałe jeszcze opierać potrafią. Na razie jednak nudy i nudy. Przewidywana nasza ofensywa nie wchodzi jakoś w życie. Wobec takich warunków, wybiera się P[rchal] na robienie zdjęć; towarzyszę mu w tej wyprawie jako estetyczny doradca, ale mnie nic nie słucha, tylko fotografuje na własną odpowiedzialność. Na film dostała się i suka pana *Sztabsarzta*¹⁰³ z polowego szpitala, razem z 14 dziećmi, które wczoraj przyszły na świat; co prawda, pyszny obrazek. Po wyżlicy zdjęto jej właściciela, pana doktora, po czym pożegnaliśmy szpitalników i nawrócili do domu. Po drodze wstąpiliśmy jeszcze do branży prowiantowej, na koncert gramofonowy, wino i inny alkohol; piło się, że aż wstyd, no ale to już taki nasz los. Generalicja pojechała na wieczór do komendy korpusu, pozostali młodzi urządzili partie kart, przeciągające się do północy.

27 ^aStrasznie kiepsko mi się spało, a właściwie za często mi się budziło w nocy. Nie całkiem zdrów się czuję, ale aspiryna przywraca szczęśliwie porządek w głowie. Stary pojechał z H[öulem] znowu do tych nowych haubic, które już dziś mają iść na stanowiska. Wysyłam pocztę i po załatwieniu tego siedzę beczynn timer, bo mi się nawet w szachy grać nie chce. Wczorajszy komunikat prasowy daje do myślenia, przyznaje bowiem, że Moskałom udało się w pewnym miejscu przerwać nasz front; co by to miało znaczyć? W podob-

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

nym wypadku nie miałyby jednak uzasadnienia ofensywa armii Mackensena, prawego naszego skrzydła. Niewiele więc mogę z całej tej sprawy wykombinować. Ale zostawmy to lepiej innym. Taki słaby się czuję, że po obiedzie padam prawie bezwładnie na legowisko i oddaję się przyjemności leżenia, wystawiając równocześnie swoją osobę na łup muchom, nieposiadającym najmniejszego pojęcia o tym, co to jest dobre wychowanie. Za to te z nich, które udało mi się wziąć do niewoli zostały ukarane część śmiercią przez rozdeptanie, część wyrwaniem skrzydeł, przy której to operacji nie był obecny żaden członek T[owarzystwa] Ochrony Zwierząt, za czym konsekwencji z mych barbarzyńskich uczynków nikt nie wyciągał.

Przychodzę do przekonania, że się rozbistwiam na tej wojnie coraz bardziej, i zawsze mi to uchodzi bezkarnie. No! Ale świat się w ogóle kończy, czego dowodem dekorowanie kpt. P[rrchala]! Do tego już komentarzy nie potrzeba. Nabrał też ode mnie i Zygmunta gratulacji, aż mu to bokiem wylazło, po czym poszliśmy (ja i Zygmunt) kontrolować placówki, przy czym zażywamy naturalnie spaceru. Żołnierze się modlą, by się im nawinął jaki kozak, bo Zygmunt za każdego złapanego przyrzekł po 10 k., ale ich P[an] Bóg wysłuchać nie chce. Nagadaliśmy się po drodze, jak to my umiemy, i wrócili na kolację. Święto dziś u nas znowu. Komendant korpusu przyjechał prawie z całym sztabem na kolację (z piwem!). Bośniacka muzyka gra od ucha do ucha i serca się weselą; dobrze nam tu jak w niebie i tylko szkoda, że się tu musi^a siedzieć. Gdyby nie to uczucie, że się musi, może bym się całkiem z obecnym stanem pogodził. Ale może przecież już niedługo tego siedzenia, a jak zaczniemy coś robić, to inaczej czas mija, inaczej się żyje;

^a Podkreślenie autora.

w beczynności za to nie widać końca wojny. Około 10.00 kończy się parada – idziemy spać.

28 Powstawaliśmy sobie wcześniej, bo trzeba się przygotować do zapowiedzianej uroczystości. O godz[inie] 7.30 wyjeżdżamy w paradzie (!) do Bośniaków, tu bowiem ma się odbyć msza polowa za duszę arcyks[ięcia] Ferdynanda, w rocznicę jego śmierci¹⁰⁴. Pogoda wspaniała, uroczysty nastrój, wszystko to nadaje pozór święta jakiegoś. Po skończonej mszy przyjeżdża komendant korpusu, przed którym odbywa się defilada z muzyką. Bośniacy naciągają nogi, żeby zyskać uznanie, nie robią jednak szczególnego wrażenia; co prawda, to nikt nie wymaga od nich teraz pięknego wyglądu, niech tylko robią swoje, jak strzelać przyjdzie. Przedfilowali, muzyka grać skończyła, i po paradzie. Wracamy do domu i po powrocie każdy się bierze do swojej roboty, to znaczy, że ja gram z P. w szachy.

Reszta dnia przechodzi bez urozmaiceń. Wypadek, że zostałem raniony, skutkiem kiepskiego dowcipu kap[itana] P., przechodzi bez wrażenia, jako że wszyscy do widoku krwi przyzwyczajeni. Odwdzięczę mu się jednak przy sposobności, tak mi P[anie] Boże dopomóż. Delabro jedzie do Krakowa, gałgan ma szczęście; zazdroszczę mu i daję polecenia na różne zakupy. Ditttrich podobno już do nas nie wróci, bo jest na jego miejsce przeznaczony jakiś inny sztabowiec; ciekawym, co właściwie z nim zrobią? Dochodzą słuchy, że nieprzyjaciół przed naszym frontem ma zamiar się cofać. Gdzieś go znowu przycisnęli? Wieczór jest taki nudny, jakby się wszystkim spać chciało; gramy też dlatego w karty, aż do północy, po czym czytam jeszcze z godzinę.

29 Sprawdziły się wczorajsze wiadomości. Moskale rzeczywiście spalili się w nocy, jakby im zależało na prędkim przybyciu do Petersburga. W dzisiejsze święto dostawało się zwykle świadectwa i jechało na wakacje, tego roku bez świadectw trzeba podróżować. Sandigowi się udało, bo akurat dziś przyszło jego pozwolenie na urlop i nie potrzebuje robić marszu na darmo. Przewidują wszyscy, że za dwa tygodnie będziemy w Lublinie, mnie się jednak nie bardzo uśmiecha to zapuszczanie się w beznadziejne piaski i lasy. Powstawaliśmy wcześniej, jak wariaty, i spakowani do drogi jesteśmy, pomimo że nie ma jeszcze żadnego rozkazu do odmarszu. Zobaczymy, co się stanie. Podobno nad Bugiem zerżnięto znowu Moskałom dudy; dobrze im tak! Mogli nie zaczynać! O 10.00 dywizjoner, jakby poderwany jakimś zamiarem, nakazuje odjazd. Na szczęście, część obiadu już gotowa, tak że można coś przetrącić i nie trząść pustego brzucha. Marsz Lipiny Dolne–Harasiuki–Tanew.

Upał ogromny. Wesoły widok, jak każdy jeździec, uzbrojony w gałąź, ogania z much swego rumaka; co prawda, to wynalazek jest świetny, bo się ma po drodze przynajmniej zajęcie. Most na Tanwi spaliliśmy swego czasu, uciekając. Nowo wybudowany spalili obecnie Moskale, tak że musimy się przeprawiać w bród, bo czasu wystarczyło zaledwie na wybudowanie kładki dla piechoty. Do przyjemności takie brodzenie nie należy, zwłaszcza dla artylerii, nie obchodzi się jednak przy tym i bez komicznych scen. Maszerujemy dalej do Huty Krzeszowskiej, gdzie postój dla wydania dalszej dyspozycji. Skwar, jak diabli, i kurzu nałykaliśmy się obficie, nie ma za to w całej wsi studni z możliwą do picia wodą. Nie zdołał się jeszcze każdy wykląć należycie, a już jedziemy dalej. Huta Krzemieniecka–Szeliga–Uście. Dro-

ga coraz bardziej uciążliwa i przykra, ciągle piaski i piaski. W Szelidze zapadamy w las; znaczną część drogi przebywam piechotą, bo siodło mi zachorowało i ma gorączkę, którą oceniam na +40–50°.

30 Maszerujemy ciągle bez przerwy w jednym i tym samym lesie^a. Papierosy byli, ale wyszli, wody żadnej, ani też nic do jedzenia. Po wydostaniu się na tzw. szosę (bo tak samo piaszczysta, jak dotychczasowe inne drogi) około 1.00 rano, zatrzymujemy się na spoczynek. O 3.00 marsz dalszy – zdechnąć przyjdzie w tym piachu, czy co? O 6.00 przybywamy do Flisów, przypomina mi się wieś z zeszłego roku^b – bynajmniej nie zniszczona – brak tylko tu i ówdzie mieszkańców, wypędzonych albo zabranych przez Moskali¹⁰⁵. Telefoniści są tu już od wczoraj wieczora, zdążyli więc już ugotować kawę, na którą się rzucamy jako wilcy. Zapowiedziany tu dłuższy spoczynek, niestety, nie dla mnie, bo wysłany jestem do Krzemienia kwaterować. Nic się tu od zeszłego roku także nie zmieniło. Już wszystko było gotowe, gdy przysłano za mną, że dywizja tu nie przychodzi, ale maszeruje dalej w innym kierunku. To lubię! 16 km drogi po takim marszu na darmo, następnie dalszy spacer, jedna przynajmniej pociecha, że za powrotem do Flisów dali jakiś prowizoryczny obiad, po którym znowu jestem wysłany naprzód, do Janowa.

Miliony wojska tu już są, poważna jego część już się po trosze wynosi. Około 6.00 wieczorem jest nareszcie dywizja na miejscu – marsz trwał zatem 32 godziny – spacerek, jak na obecne upały, bardzo ładny. Janów – dosyć obszerne miasteczko, nie zniszczone prawie zupełnie, pomimo obfitości Żydów nawet dosyć czyste. Trenów, obozów i wojska

^a Lasy
Janowskie.

^b Wzmianka
o 11 września
1914 r.

wszędzie pełno. Roboty także moc. Myślałem, że się będę mógł nareszcie na chwilę położyć, ale okazało się, że źle myślałem. Do północy zeszło na samym pisaniu dyspozycji, potem jazda po nocy do haubic, tak że dopiero o 3.00 mogę się na chwilę położyć. Śmieszna to sprawa takie urządzenie, ale pomimo tego, przecież mi się na klęcie zbiera.

Lipiec [1915]

1 O 4.00 wstajemy. Dalszy marsz Janów–Modliborzyce–Polichna. Tu spoczynek jednogodzinny. Zmęczony jestem tak bardzo, że z trudem utrzymuję po drodze oczy otwarte; za to w Polichnie rzucam się, jak wór z piaskiem, na ziemię, i śpię aż do skutku. Podreperowało mnie to dosyć; maszerujemy dalej i zatrzymujemy się 3–4 km za Polichną [w] leśniczówce. Rozwija się linia, bo nareszcie natknęliśmy [się] na nieprzyjaciela. Front rozciąga się na południowy wschód od Kraśnika, w niewielkiej odległości od tego miasta. Artyleria także zajmuje pozycje i wywiązuje się walka o niezbyt wielkich rozmiarach. Tutejszy leśniczy opowiada o zdemoralizowaniu Moskali – wszyscy są pewni, że wojny nie wygrają. Daje się odczuć ogromnie brak wody; prawdziwe sceny się rozgrywają przy jedynej tu studni – konie cały dzień niepojęne – a upał trwa niemożliwy.

Okolica zmieniała się z płaskiej na pagórkowatą, z piaszczystej na bardziej trwałe posiadającą podłoże. Pod wieczór ukazują się w paru miejscach łuny pożarów, znak, że Moskałe albo wykonują odwrót, albo mają zamiar go wykonać. Opór, jaki tu stawiają, ma charakter potyczki z tylną strażą. Wątpię jednak, czy nasi jeszcze dziś pójdą naprzód, bo przyznać trzeba, że żołnierze pomęczeni. Odchodzi nasz

dywizjoner¹⁰⁶, obejmujący komendę nad 42. kroacką Dywizją. Żałujemy wszyscy tego ogólnie lubianego człowieka; pożegnania oficjalnego dokonuje mój brygadier¹⁰⁷, wieczorem przy stole; ze strapienia moczymy twarze w szampańskim, po czym około północy spać.

2 Wstajemy przed 5.00 i zaraz o tym czasie otwieramy ogień. Przyszły do nas 12 cm kanony, poustawiały się nam tuż pod nosem i robią piekło, tłukąc się strzałami niesamowicie. Nie zdołałem się dowiedzieć, dlaczego nie poszliśmy naprzód, nie wiem też, jaka sytuacja. To wiem natomiast, że mam chwilę spokoju, że sobie sięść i pisać mogę. Przyjechał Zygmunt, zły, że mu kazali nocować gdzieś w tyle, bo powiada, że mu się przykrzyło; pokazałem mu na pociechę flaszki po wczorajszym picciu, on zaś pokazał mi język; nie obrażam się atoli wspinałomyślnie.

Około południa rozwija się bitwa zupełnie i trwa przez cały dzień, z coraz większym zacięciem; chodzi głównie o zdobycie punktu oparcia, [wzgórza] 290, na południowy wschód od Kraśnika. Przygotowanie ataku przez artylerię trwa przez cały dzień, w tempie strasznie szybkim. Do godz[iny] 6.00 wieczór oddaje sama nasza brygada 3626 strzałów, pomimo tego ponowione ataki piechoty nie mogą nic wskórać, tak że nawet powstaje małe zamieszanie. Okazuje się, że to, co mówiono o zdemoralizowaniu wśród Moskali nie ma poważnego uzasadnienia. Ogień trwa jednak bez przerwy, wzmacnia się około 9.00 wieczorem, przy ponownym bezskutecznym ataku. Luzujemy się, pomęczeni wszyscy, po północy kładę się ubrany spać. Szkoda, że nie ma dosyć czasu na opisanie wszystkich zajmujących szczegółów i momentów.

3 Całą noc trwała strzelanina, w następstwie czego prawie że nic nie spaliśmy. Położyłem się na chwilę, ale nie na długo, bo nas pobudzono już o 4.30, dlatego że ma przyjechać komendant korpusu. Podobno piechota nie osiągnęła tych punktów, których osiągnięcie meldowała, i coś niecoś z humorem u panów nie bardzo dobrze. Przez noc przyprowadzili 150 jeńców, których zaraz rano odsyłają dalej. Po 5.00 przyjeżdża korpus z całym sztabem, długim jak ogon. Niektóre figury naprawdę takie śmieszne, że aż oryginalne swą śmiesznością; większość stanowią automobiliści itp. indywidualnie, nic z wojną nie mające wspólnego – wprowadzić mało robią, ale za to dobrze i dużo jadają. Przyprowadzili znowu paczkę jeńców, z których jeden nauczyciel, Polak, opowiada dosyć ciekawe rzeczy, między innymi o skutkach wczorajszego ognia artylerii, który ponad 500 ludzi zmiotł z powierzchni ziemi; nic dziwnego, bo strzelali „galanto”. Zmęczony jestem taki, że ani ustać, ani usiedzieć nie mogę; nie zważając na to, co się dzieje ani na to, co się dzieć będzie, kładę się w namiocie telefonistów, na gołej ziemi, i śpię jak kamień, aż do obiadu.

Dywizjoner, pomimo dokonanego pożegnania, nie odchodzi jeszcze, nie chcąc oddawać dywizji przed ustaleniem sytuacji. Po południu kładą się prawie wszyscy spać, po męczarni, zostają prawie że sam czuwający. Strzały karabinowe trwają ciągle, przy miernym towarzyszeniu artylerii. Sytuacja ciągle ta sama, zmienia się zaledwie w drobnych szczegółach. Za to 24. Dywizja donosi wieczorem, że wzięła Kraśnik, prawie równocześnie z nią 14. Korpus, że dokonał przerwy w rosyjskim froncie, niemożliwe więc, by się jeszcze długo trzymali. Uspokojony, kładę się spać.

4 ^aPrzez całą noc nie budzili ani razu, chociaż małe utarczki trwały prawie bez przerwy. Jestem nawet poniekąd wyspany, za to zakatarzony i z bolącą głową. Moskale, jak było do przewidzenia, cofnęli się, częścią wyparci ostatnim atakiem, częścią zmuszeni ogólną swą sytuacją. Nakazany jest pościg, jednak nie natychmiastowy, bo wojsko zmęczone, ale dopiero po 2–3 godzinach wypoczynku. Prawdopodobnie natrafimy niedługo na nowy opór, ale na razie idziemy na przód, sukces jest. Zygmunt doliczył [się] ponad 400 jeńców; jak na tę szerokość frontu wystarczy. Czasu jest chwila na wysłanie, a raczej na napisanie kartek, bo nie wiem, kiedy odejdą. Chwalę Boga, że się nareszcie wydostaniemy z tego lasu, gdzie widać tylko drzewa i kawałek nieba; kiedy odmarsz, nie wiemy jeszcze, ale dziś na pewno.

Około 11.00 oficjalne pożegnanie dywizjonera, który odchodzi definitywnie. Jeden z tych rzadkich momentów serdeczności wśród ustawicznej walki o samego siebie; spłakali się znowu żołnierze – i tyle. Niedługo potem przyjechał komendant korpusu, celem osobistego pożegnania naszego starego. Żal nam, że odchodzi, i co tu więcej mówić. Po zjedzeniu obiadu naprędce, odjeżdżamy wśród kurzu i skwaru. Byłem ostatnim odjeżdżającym, i nie zapomnę tego Lipowi, że się ze mną osobno pożegnał. Maszerujemy przez Słodków–Stróżę–Rudki–Polankowice^b. Tu spoczynek i wydanie dyspozycji na noc. W trakcie tego zaczyna się strzelanina w pobliskim lesie; Moskale stawiają opór 24. Dywizji. Sytuacja tak korzystna, jak rzadko, nasza dywizja zostaje natychmiast przesunięta w kierunku północno-zachodnim, niedługo potem cały rosyjski pułk w niewoli. Wracamy na noc do Pułankowic. Kwaterujemy w opuszczonych domach, z których mieszkańcy, przez kozaków wypędzeni,

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

^b *Pułankowice? Różna
pisownia
w oryginale.*

dopiero pod wieczór wracają. Zdrów dziś przez cały dzień nie jestem. Mieszkam z sympatyczną mi branżą z komendy trenu. Długo wieczorem gwarzymy, przepijając na fraszunek spirytualia Neumana. Boję się o Zygmunta, bo mu gęba spuchła, że aż wstyd. Przed północą idziemy spać.

5 Wstajemy o 3.00 i niedługo potem odmarsz. Dzień zapowiada się ładny – ze względu na pogodę. Jedziemy przy skwaszonych humorach do Wilkołaza. Przed wsią zatrzymujemy się na wzgórzu, skąd [jest możliwy] doskonały przegląd całego frontu. Słońce zaczyna wschodzić i równocześnie rozwija się z błyskawiczną szybkością bitwa, tak że zaledwie zdążyłem ustawić lunetę, a już dostaliśmy parę kul karabinowych. Moskalom udaje się pewną część frontu przerwać, co przyplącają wielkimi stratami od ognia artylerii, my zaś konsternacją przy komendzie i ucieczką w galopie dywizji majora Krima. Niedługo ochłonęli jednak jedni i drudzy [...], i zadali Moskalom takiego pieprzu, że w popłochu musieli się cofnąć do lasu. Za to sąsiednia 24. Dywizja ucierpiała trochę, nie osłoniwszy należycie swojego prawego skrzydła. Artylerii nieprzyjacielskiej bardzo mało, strzela jednak bardzo celnie. Przez resztę dnia wahają się obie strony, jakby chciały swoje siły obliczyć. Moskale dostali posiłki złożone z dwóch dywizji, do nas przychodzi pod wieczór 21. i 42., obie zajmują pozycje na naszym prawym skrzydle, przez co zyskujemy większą swobodę ruchów i możliwość zabezpieczenia się przed ewentualnym kontratakiem rosyjskim. Nieznośny upał daje się wszystkim we znaki, nie wyłączając nawet mojego konia. Zgoniony jestem jak pies myśliwski. O dobrym już zmroku odjeżdża dywizja na noc do [Pol]ankowic, mnie wysyłają jeszcze do

pułku z dyspozycją na noc, po czym wracam i ja „do domu”. Po obiedzie zaraz [idę] spać.

6 Trzymano w nocy za mnie służbę, wyspałem się też dobrze, aż do godz[iny] 6.00. W przypuszczeniu, że wyjedziemy znowu w pole, tak jak wczoraj, zbieram się prędko, po to, by się przekonać, że niepotrzebnie się spieszyłem. Dziś dopiero dowiaduję się o naszych wielkich stratach. Zwłaszcza 90. Pułk odniósł ich najwięcej, bo zostało nieco ponad 200 ludzi; sześciu oficerów zabitych, między nimi kapitan Papée, którego kap[itan] J. kazał pochować w Kraśniku; paru rannych lub zabranych. O ile się sytuacja dziś polepszyła, nie wiem jeszcze, dowiedziałem się natomiast, że mamy dziś znowu atakować, wnoszę więc, że chyba muszą być widoki na powodzenie. Około 10.00 wyjeżdżamy w pole na wczorajsze stanowisko. Upał nie do opisania; nie wiem jak-byśmy go znieśli, gdyby nam saperzy nie wybudowali prowizorycznego schroniska. Nie uchroniło to [nas] od dusznego powietrza, ale przynajmniej dało trochę cienia.

W tych warunkach każą ludziom atakować – pominąwszy to, że już od przeszło 30. godzin są bez spoczynku. Nakazany atak trzeba jednak przeprowadzić; to samo robi 24. i 21. Dywizja, ta ostatnia przysłana jako posiłek. Nie wiedzie się jednak, pomimo świetnego przygotowania przez artylerię; nic dziwnego, że nie idzie. Poniewczasie dowiadujemy się, że część Moskali na naszym froncie jest posiłkowana przez ich cały korpus. Z trudem też udało się później załatać dziurę, powstałą po przerwaniu własnego frontu, z trudem uchronić się można od konsternacji i zdeprimowania. Brak starego dywizjonera daje się kolosalnie odczuwać. Dywizja rozrzucona, zaledwie zdołała się częściowo uporząd-

kować. Nie wiem, czy to błąd kierownictwa, czy rozmyślne forsowanie, nie mogę się tylko pozbyć nie milego uczucia, którego doznają zresztą wszyscy. O 9.00 odjeżdża komenda do Pułankowic, zostawiając mnie z kap[itanem] P. na posterunku, w razie gdyby coś zaszło. W godzinę później jedziemy i my. Zmęczony jestem więcej jak bardzo, coraz wyraźniej czuję, że nie jestem z żelaza. Po obiedzie dowiaduję się, że mi wpakowano nocną służbę. Wprawdzie mi wolno podczas niej spać, ale to znaczy, że właśnie spać nie będzie można. O 12.30 kładę się jednak, bo lepszy rydz jak nic.

7 Jak przewidywałem, nie można było w nocy wypocząć. Od samego rana dolatują nieprzyjemne wiadomości, że tu i ówdzie nasi się cofają. W jakiś czas potem nakazany [był] odjazd dla wszystkich trenów – dobrze więc nie jest. Dyspozycja wydana dla artylerii traci ważność po skonstatowaniu, że piechota się cofa. Trzy baterie otrzymują rozkaz trzymania pozycji do ostatniego momentu. Z doświadczenia wiem, co to znaczy! Rzeczywiście, około 8.00 cofa się także i komenda, na stanowisko w lesie. Wiadomości złych coraz więcej – na naszym froncie nie najgorzej, 3. Brygada zwłaszcza trzyma się dzielnie, nie na długo jednak, bo na prawo przy 106. przerwa, na lewo 24. się chwieje. Nie pomogli Bośniacy, bijący się dziś nadzwyczaj dzielnie – nie pomógł nawet 40., urządzający prawdziwą rzeź wokoło siebie. Przyciśnięci z boków, musieli otrzymać rozkaz do odwrotu.

I znowu ten jeden z najprzykrzejszych dla żołnierza momentów – odwrot – tym razem, na szczęście, dosyć uporządkowany. Idziemy drogą na Kraśnik i na wzgórzu, na południe od miasta, zatrzymujemy się w szczerym polu na noc. Gościńiec wypełniony gorączkowo uciekającymi ludźmi, woza-

mi, końmi itd., przykre i przygnębiające robi wrażenie. Nie brak pesymistów, z uwagami, że zdołamy się w tym odwrocie zatrzymać może dopiero za Sanem. Po pewnym czasie opróżniła się droga, zostaliśmy my tylko przy niej, niepewni, czy piechota zdoła powstrzymać ewentualny napór Moskali. Piękny, ale groźny obraz wojny, dopełniony pożarem miasta. Niejedno przesunie się przez myśl, gdy się ma taki widok. Minęła północ, przy względnym spokoju. Że Moskale nie napierają, tłumaczą sobie stratami, które u nich mają być wielkie. I tym razem jednak zwyciężyli masą. Czy przypadkiem nie ma racji ten wzięty do niewoli kapitan, twierdzący, że Moskale wojnę wygrają, bo ją potrafią prowadzić jeszcze dwa lata, czego my w żadnym razie nie докаżemy? Na razie myśleć się nawet nie chce ze zmęczenia. Kładę się w wykopanym grobie, dla uchronienia się przed chłodem, bo o ile w dzień diabelnie gorąco, o tyle w nocy chłód. Głodni jesteśmy sobie mniej więcej, na równi z końmi, które dziś nawet pojone nie były.

8 O 2.30 wstajemy, celem dalszego prowadzenia wojny. Chłodek, że aż sobie ząbkami dla rozgrzania dzwonię, przyznając najzupełniejszą rację bytu pogardzanej przeze mnie zwykle herbacie, która teraz, gdyby była, mogłaby się przekonać, jakim jej zwolennikiem jestem właściwie. Ponieważ [...] ani Salomon z próżnego nie nalał, ani o ile mi się zdaje nie nalać nie zamyślał, nie pozostaje nic innego, jak iść za ogólnym przykładem i dla rozgrzania się na bojowego rumaka, któremu teraz milsza byłaby porcja owsa, niż cała wojna, razem ze sposobnościami dokonywania dzielnych czynów. Tak sobie myśli koń, a ja, człowiek, podzielam jego zdanie, co razem wzięte, bardzo rzadko nam się zdarza.

Widocznie się obawiano, że po drodze może się zdarzyć sposobność zjedzenia śniadania, bo po przebyciu paru kilometrów posłano mnie z powrotem do Kraśnika, dla zbadania, o ile pozycje są zajęte, lub czy w ogóle są zajęte. Trochę mi się na to zarządzenie wzburzyła krew i żołądek, ale ostatecznie nawrócić musiałem.

Czuję w tej chwili bratnią duszę w Zagłobie, któremu kazali wojować z pustym brzuchem. Koniec końcem, około 10.00 byłem gotów, i pędzę do Słodkowa (postój komendy) z wiadomością, że między nami i 24. istnieje niezapełniona luka, wynosząca około 2,5 km. Narobiono gwałtu w korpusie, i na szczęście znalazło się pod ręką dosyć kawalerii, tak że w braku laku, dziurę nią zatkali. W sąsiedztwie 24. Dywizji jest brygada polskich Legionów, jedno przynajmniej wojsko, na które się zdać można. Jestem też co nieco uspokojony. Pomimo że upał tropikalny, kładę się na ziemi z zamiarem zaśnięcia, obojętny nawet na to, czy się obudzę panem Filarem, czy człowiekiem spalonym na węgiel lub [temu podobny] przetwór. Po południu przyjeżdża autem nowy dywizjoner: ekscelencja Sellner¹⁰⁸, marszałek polny porucznik. Dobre wrażenie robi z wyglądu – może się dywizji lepiej będzie wiodło, jak w ostatnich dniach. Moskale na razie nie zaczepiają, ograniczając się na puszczaniu lotnika rzucającego bomby. My budujemy tu linię obronną i dostajemy podobno 18. Dywizję na pomoc. Komenda zostaje na noc w Słodkowie, na noc mam nadzieję spokojną. Zygmunt, wsławiony nowymi czynami wojennymi, opowiada niestworzone rzeczy, czym zyskuje sobie u mnie opinię zawodowego lakiernika, oraz życzenia dobrej nocy, po czym około 11.00 rozchodzimy się na legowiska.

9 Spokojnie noc minęła, spokojniej, niż przypuszczano. Ekselencja wyjeżdża z moim starym w pole dla oglądnięcia stanowisk. Jak dotychczas Moskale nie napierają zupełnie, ograniczając się tylko na wysyłaniu patroli, które wyłapujemy tu i ówdzie. Właściwie nie rozumiem tego postępowania; dostali takie posiłki, że nam zdołali dać łupnia i nagle stanęli, nie wyzyskując korzystnego przecież dla nich położenia. Chyba że znowu odciągnęli siły ku północy, bo tam się podobno na coś zanoszą. Może się to niedługo wyjaśni, na razie mamy spokój, można odpocząć albo przynajmniej ochłonać, dziękujmyż za to P[anu] Bogu. Kap[itani] J. buduje linię obronną – i obiecuje, że pod wieczór będzie z nią gotów – wyczynia to przy pomocy płatnych „cywilów” i odebranego Moskalom drutu. Nudna wieś ten Słodków, w którym stoimy. Przykrzyłoby mi się nawet dosyć, gdyby nie to, że zdrów nie jestem i większą część dnia przepędzam na leżeniu.

Dopiero pod wieczór znajduje się naraz tyle roboty, że nawet nie ma czasu zjeść kolacji. Skończyło się atoli i to, tak że można pogawędzić co nieco przy stole. Zygmunt dostał kartkę od brata, będącego w niewoli w Pietropawłowsku. Nie wiem dlaczego, ale uśmialiśmy [się] obydwaj z nieszczęśnika, bo się zgłosił dobrowolnie na wojnę. Zygmunt się wybiera na urlop do Lwowa, czekamy tylko, kiedy Sandig wróci. Po 10.00 rozchodzimy się spać – o 11.00 budzą mnie rozkazem trzymania nocnej służby do godz[iny] 3.00. Trzeba mieć faktycznie brak wychowania, by coś podobnego w ogóle rozkazać. Spokojnie i bez wypadku minął czas do 3.00, budzę Króla, a sam się kładę, owijając głowę kożuchem przed zimnem.

10 Mieszkamy ciągle w tym samym miejscu. Ani się nikomu śni wojować, ale tylko na razie, bo zresztą wiele rzeczy wskazuje na jakieś podejrzone zamiary. Zjeżdża się od rana już jakaś dywizja huzarów, jakaś honwedzka artyleria, której, nawiasem mówiąc, już amunicji brakuje i od nas pożycza. Oprócz tego ma przybyć niemiecka dywizja, widoki więc są, że długo na miejscu nie usiedzimy. I słusznie, bo lepiej kończyć tak czy tak, byle raz już Moskałom zalać sadła za skórę. Opowiadano mi, że wczoraj po poł[udniu] przejeżdżał tędy arcyks[iążę] Eugeniusz¹⁰⁹, czy może jaki inny, okazuje się, że przespałem sposobność zobaczenia dostojnej osoby.

Dałem krawcowi do zrobienia bluzkę, sam zaś kibicuję szachistom, wybijającym sobie zażarcie figury i o mało co zęby. Zastała nas przy tym pora obiadowa – bardzo w życiu człowieka ważna – nie ignorujemy jej też bynajmniej, ale idziemy do stołu. Po obiedzie naturalnie, jak na czas pokojowy przystało, kładziemy się spać, udręczeni przez roje niczym nie dających się wytępić much. Pomimo że sam własnoręcznie zabiłem ich około siedmiu, całe inne miliony brzęczą nad uszema i urządzają sobie promenady właśnie po tych częściach ciała, które nie są zakryte. Przykryć się razem z głową nie wypada, bo znowuż tak duszno, że umrzeć by można z braku przeciągu. Nie pozostaje też nic innego, jak wstać, iść do ogrodu, i zabrać się do roboty właśnie się nawijającej, tj. rysowania szkiców. Siedzi przy mnie Zygmunt i skrzeczy nad uchem, że mu sumienie puchnie, bo mu kazali rozstrzelać człowieka, jak twierdzi, niewinnego. Daję mu wiele rozmaitych rad, aż poszedł prosić o ułaskawienie; coś mu serce mięknie, bo już dziś jednego wywinął od stryczka, a teraz się o drugiego stara. Pod wie-



Patrol huzarów węgierskich w Karpatach,
zima z 1914 na 1915 r.

czór przychodzi słaby batalion honwedów. Dzień na ogół mija spokojnie.

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

11 ^aNiczym nieprzerwany sen aż do 8.00 rano; świadczy to o dobrym zdrowiu z jednej strony (o zdrowiu właściwie z obu stron), i panującym na froncie spokoju, z drugiej. Coś przebąkują o mającej się niedługo rozpocząć akcji pod Warszawą, o ruszeniu się flegmatycznego, ale pewnego Hindenburga; co prawda, to i czas już, by i on czegoś dokazał, bo myśmy się już dosyć naspacerowali i wytchnąć by trochę należało. Podobno Moskale mają zamiar cofać się sprzed naszego frontu, co już by chyba ogromnie śmieszne było, bo nikt ich do tego nie zmusza.

Zauważyłem w ogóle, że kiedy się bijemy, to musimy się cofać; bić się przestaniemy, i przybieramy pozycję obronną, Moskale uciekają. Wynika więc [z tego]: nie bijmyż się, przybierając tylko ustawicznie obronną postawę, a niedługo będzie nieprzyjaciół gdzie za Petersburgiem, czy – jak oni to teraz nazywają – Petrogradem. Z muchami taka sama przykra sprawa, jak zwykle. Porównać je można do Moskali, których się tępi i tępi po to, by ich coraz więcej było. Zarówno jednak na jednych, jak i na drugie przyjdzie jesień, tak że wyginą naturalnym sposobem. Doktor dostaje pacjenta w osobie postrzelonego w obydwie nogi chłopca, który się nieostrożnie po wojnie plątał, ale mu niewiele pomógł, odesłał tylko do szpitala. Przykrzy się na ogół; nie pomogła nawet paczka gazet, którą dziś dostałem. Dziwię się sam sobie, że się tak do pisania dziennika przyzwyczaiłem, chociaż nie zawsze jest co notować. Reszta dnia schodzi jak zwykle, bez żadnych wydarzeń ani urozmaiceń. Około 10.00 [idę] spać.

12 Pogoda się zmieniła na pochmurną. Razem z nią opuścił mnie jakoś humor, tak że mi się nawet rozmawiać z nikim nie chce. Ciężki przy tym jestem „jak nie bywa” i uczuwam ustawiczną inklinację do leżenia. Wmawiają we mnie, że jestem słaby, i źle wyglądam. Wywołuje to nawet u przełożenia refleksję zupełnie przeze mnie nieoczekiwaną, by mnie przenieść do parku amunicyjnego, dla lżejszej służby. Diabli nadali z opiekunami, czy co? Spróbuję jeszcze wydebić możliwość dostania się do baterii, gdzie przynajmniej życie [będzie] bardziej urozmaicone. Nie dostałbym się bowiem z deszczu pod rynnę, z nudów do jeszcze większych nudów. Na razie siedzę jednak i przypatruję się grającym w karty dla zabicia mokrego czasu, bo deszcz pada. Mam dziś dyżur nocny, nie spieszy mi się też ze wstawaniem od stołu, ale w końcu wymieniona ociążałość zwyczajna, i wolę się położyć.

13 Spokojnie noc minęła, nie budzono ani razu. Odejście moje do brygady już postanowione, decyduję się więc na poproszenie o urlop. Nie wiecie się atoli, bo od wczoraj zatrzymano urlopy chorążym. Czekaj więc bracie, aż zostaniesz oficerem. Stary mi wypisał taki *Belohnungsantrag*^a podając mnie do odznaczenia, że aż się zdziwiłem jego pamięcią i faktem samym. Höul odchodzi dziś definitywnie – żegna się ze wszystkimi – z wesołą gębą, jak zawsze. Próbowaliśmy przedstawić prośbę o urlop przy pomocy świadectwa lekarskiego, ale ostatecznie przyszedłem do przekonania, że się to nie opłaci. Porządkuję tymczasem rzeczy pozostałe jeszcze po odjeździe Dittricha i czekam, co się dalej stanie. Dzień pochmurny; ma się już chwilami nieprzyjemny przedsmak jesieni, do której się jakoś nie spieszy, chociażby

^a Wniosek o nadanie odznaczenia (niem.).

^a Honved-
-Infanterie
Truppen-
-Division
(niem.)
Węgierska
Dywizja
Piechoty
Landwery.
^b 8. Pułk
Piechoty
Landwery.

się chciało czas jak najprędzej upchnąć. Na froncie spokój. Nic nie słyhać, prócz wiadomości o okopywaniu się Moskali; my robimy to samo, przy pomocy boskiej, kpt. J. i cywilnego narodu. Przyszły posiłki w formie 8. Brygady (HITD)^a, części 1. Korpusu, którego reszta powędrowała na wschód; szkoda, że nie zostały z nami jakie krakowskie dzieci albo [tym podobne] bitne wojsko. Wczorajszy przemarsz 8. LIR^b wywołał sensację, ze względu na udział w nim orkiestry.

Grali sobie tak wesoło, jakby jeszcze żaden z nich nie umarł, a parę dni temu stracili 1,5 tysiąca ludzi. No! Ale w różny sposób nadrabiać trzeba – raz miną, raz muzyką, raz naprawdę wojskiem, aby wojna szła. Ciekawym na ostateczną decyzję co do mojej osoby, która już chyba dziś musi zapaść. Niesamowita wesołość u obozującego tu wojska znajduje wyraz w „plac-muzyce”, urządzonej w jednym z tutejszych ogrodów; słuchacze i spacerowicze bynajmniej nie wystrojeni, liczni atoli, co razem wygląda na nonszalancję ze względu na bliskość Moskali. A przecież czuć w powietrzu, że się zanosi na szereg bitew, i to niemałych; ale cóż żołnierzowi pozostaje innego, jak śmiać się i urządzać koncerty przed niepewnym jutrem? Szczęśliwy, że ma parę spokojnych godzin. Nie dane mi było długo raczyć się duchową strawą, bo mnie odwołano do roboty. Wynikiem dzisiejszej wywiadówki jest dokładne zestawienie rosyjskich pozycji na papierze, co ułatwia ogromnie orientowanie się w tym panów starszych. Naglony, spieszę się jak wariat, nie mając czasu nawet na zjedzenie kolacji. Zrobiło się w końcu, ba! nawet się znalazła ochota na partię szachów, zakończoną porażką nadpor[ucznika] H.

14 Noc spędzona w towarzystwie przysłanego za ordynansa Julka G. mija bez szczególnych wydarzeń. Wstaję z myślą przepędzenia ostatniego dnia przy brygadzie, jak się okazało, z myślą nieprawdziwą. Sypie się cała góra roboty, tak że naraz staje się znowu nieodzowny. Brygadier wyjeżdża w pole dla wyznaczenia stanowisk na jutro. Kr. do Pułankowic, dla przygotowania kwater, nowy kapitan także się wybrał błędzić gdzieś po polu. Zostawili mnie samego, nawaliwszy poprzednio roboty do diabła i jeszcze trochę. Ładna się to parada zacznie jutro lub pojutrze! Dość powiedzieć, że naszej dywizji wyznaczono odcinek frontu wynoszący zaledwie 1,5 km, to samo i sąsiedniej 24. Na tej samej szerokości musi się zmieścić cała brygada artylerii (9 baterii różnego kalibru). Można sobie wyobrazić, na jaką bitkę się zanosi i równocześnie nabrać przekonania o powodzeniu. Przez cały dzisiejszy dzień schodzi się i schodzi wojsko – jeszcze rano przyszły cztery pułki piechoty i jeden artylerii – później 20. Honwedów, nareszcie 8., 7., 28. Obrony Krajowej. Powietrze zaczyna być duszne, bardzo możliwe, że od natłoku wojska.

Kiedy się akcja zacznie, nie wiem, czuję tylko, że będzie prowadzona na wielką skalę. Sztab dywizji ma się dziś jeszcze przenieść do Pułankowic: odmarsz naznaczony na 7.00 wieczór. Nie mogę się dowiedzieć, co postanowiono zrobić z moją osobą. Nazywa się, że mam nadal tu pozostać, nie chciałbym się atoli znajdować w roli zawieszonego między niebem a ziemią, a pewnego nic się nie mogę dowiedzieć. Leżę więc, domysłów pełen, na słomie; w spaniu przeszkadzają mi muchy, w ogóle zaś przeszkadza mi leżący koło mnie Julek, jeszcze od nich natrętniejszy. Nie pozostaje mi nic innego, jak odśpiewać przez nos arię ze *Strasznego dwo-*

ru przy nieludzkim akompaniamencie Julka, skłąć go za ten akompaniament, wygwizdać parę jeszcze innych oper, w rodzaju *Moja Małgorzatko*, i po tym wszystkim dopiero wyjść na świeże powietrze. Od chorego Zygmunta dowiedziałem się, że dostał list ze Lwowa, co go uspokoiło co do rodziców, po czym w dalszej wędrówce natknąłem [się] na ceremonię dekorowania kucharza krzyżem zdobytym przed nieprzyjacielem za sznycle i wyrabianie [tym podobnych] naboń. Nikt teraz zaprzeczyć nie może, że nam na dzielnych ludziach zbywa. Czekam na odmarsz już w nowej bluzce, parno jak diabli. Zmieniła się decyzja – zostajemy dziś tutaj jeszcze – odmarsz naznaczony jutro rano. Gramy po kolarci w karty z panami od trenu przeważnie, przy czym zabawa pyszna (chodzi głównie o zapalki, zastosowane zamiast drobnej monety).

15 Opuszczamy Słodków, udając się już raz przebywaną drogą przez Rudki do Pułankowic. Do samej wsi nie dojeżdżamy jednak, ale zatrzymujemy się przed nią na kraju lasu, gdzie urządzono stanowisko obserwacyjne. Tym razem wyraźne zastosowanie powiedzenia „ostrożność nie zawadzi”, bo jesteśmy tak od nieprzyjaciela oddaleni, że ani oni nas, ani my jego zobaczyć nie jesteśmy w stanie. Pierwszy dzień w polu z nowym dywizjonerem, jak się okazuje, ostrożnym. Dlaczego atoli zostaliśmy tutaj i nie poszli do wsi, tego jeszcze nie wiem, jak również żaden z nas, bo się na żadną wojnę nie zanosz. Moskale dziękują Bogu, że ich zostawiono w spokoju, my zaś dotychczas nie mamy żadnego rozkazu do rozpoczynania dziś jakichkolwiek zaczepnych kroków. Ma się to dopiero stać jutro, wobec czego na dziś moglibyśmy się świetnie obejść bez lasu i las bez nas.

Przesiedzieliśmy mniej więcej beczynnie cały dzień; dopiero pod wieczór dokonuje się zgrupowanie do jutrzejszego ataku i także przygotowania. O zmroku wracamy do wsi, gdzie [następuje] wydanie dyspozycji. Rozkaz zapowiada rozpoczęcie akcji dla piechoty o 2.00, dla artylerii o świcie. Marszbataliony, które po siedmiodniowym marszu do nas nadeszły, zostają natychmiast wstawione na front; zbytnio sobie nie wypoczną. O północy idziemy spać z zamiarem wczesnego zerwania się na wojnę, bo na godz[inę] 3.00 zapowiedziana gotowość do odmarszu.

16 Powstawaliśmy o świcie i wynosimy się zaraz do lasu na wczorajsze stanowisko. Przed nami opróżnione okopy; piechota poszła naprzód i zniknęła za pagórkim. Dostaję rozkaz obserwowania, co uskuteczniam przy pomocy naszego przyrządu. Nie widać jednak nic, ani u swoich, ani u nieprzyjaciół; front częściowo zasłonięty lasem, częściowo wsią Pułankowice, zresztą utworzony w dolinie staje się niewidoczny. Artyleria ostrzeliwa rosyjskie baterie. Od 8.00 godziny zaczyna działać w przydzielonych sobie odcinkach z szybkością, jak swego czasu pod Gorlicami. Równocześnie ukazują się nad doliną rosyjskie szrapnele, wywiązuje się ogień, kontynuowany do 10.00 nadzwyczaj intensywnie, wśród którego zbliża się piechota do rosyjskich pozycji. Ogólny szturm rozkazany na 11.00. Ma się wrażenie, że rosyjski punkt oparcia na [wzgórzu] 248 jest ze swoimi drucianymi przeszkodami zdemolowany zupełnie. Jak się okazuje, pozycje te są nadzwyczaj słabo obsadzone lub miejscami całkiem puste, natomiast gros rosyjskiej siły znajduje się w niewielkiej odległości na północ od wzgórza. Potwierdza to jeńcy. Dywizjoner zastosowuje sztuczkę, mającą wido-

ki powodzenia: zatrzymuje ogień artyleryjski, by Moskali wyciągnąć z lasu na pozycje i pobłogosławić potem z ciężkich haubic.

^a Tu w znaczeniu: przedsięwzięcie.

Przedsiębiorstwo^a udaje się zaledwie częściowo. O godzinie 11.00 zapowiadzanego szturm nie przeprowadzono – dlaczego, nie wiem. Rozpoczyna więc artyleria strzelać na nowo, co robi na mnie wrażenie bezsilnej wściekłości; ogień ten, słabnący lub wzmagający się, trwa do wieczora. Około 6.00 wieczór przyłącza się do ataku także 24. Dywizja, z lewego skrzydła; niedaleko i oni się posunęli, gdy zapadł zmierzch. Rozkaz korpuśny nakazuje zatrzymanie na dziś ataku i czujność w nocy. Wracamy do Pułankowic. Mokra mam nogi, bo przez roztargnienie spałem po południu na deszczu. Zanim porzuciliśmy się na spoczynek, rozpoczął się tak szybki i głośny ogień piechoty, że aż uspokajał swoją nerwowością. Rzeczywiście, w niespełna godzinę ucichło, po poprzednim wmieszeniu się artylerii do tego koncertu. W nocy powtarzały się jeszcze dwa razy rosyjskie kontrataki, odparte za każdym razem.

17 Wstaliśmy nie tak ordynarnie wcześniej, jak wczoraj, bo dopiero po 5.00. Wyjeżdża stary, zostawiając mnie przy telefonie. W godzinę za nim jedzie sztab dywizji, do którego się i ja przyłączam. Po przybyciu do lasu, gdzie się dziś mieścić mamy, odsyłają mnie z powrotem do Pułankowic, ze względu na telefon, jak pan kapitan powiada. Diabli nadali taką kombinację? Ale co mnie to wreszcie obchodzi? Wykorzystuję tę okoliczność, poddając się operacji strzyżenia i golenia, po czym nudzę się w ogrodzie. Rozmyślam nad możliwymi następstwami przedarcia rosyjskiego frontu, którego dokonał wczoraj Mackensen pod Tarnogórą i Ol-



Tablica upamiętniająca bitwę pod Gorlicami
przy wjeździe do miasta. Fot. z 2009 r.

chowcem; kombinacja wypada naturalnie niekorzystnie dla Moskali. Szkoda naprawdę, że się nie wojuje wyłącznie kombinacjami, boby Moskałe byli do tego czasu zupełnie już załatwieni. Zygmunt urządził się dowcipniej ode mnie, bo zaopatrzywszy się w jakąś starą lupę^a poszedł obserwować wojnę; wprowadzie dotychczas jeszcze nic nie zaobserwował, ale wyobraża sobie, że się to stanie.

^a Tu w znaczeniu: lunetę.

Zjedliśmy sobie w zgodzie i skromności obiadek, po czym naturalnie trzeba będzie się położyć dla wypoczynku. Dziwnie usposobiony dziś jestem, a tego dziwnego najbardziej nie lubię. Co się na froncie dzieje, nie mam zielonego pojęcia, i zastanawiające, nic mnie to w tej chwili ani ciekawi, ani obchodzi. Powrócił sztab wieczorem, nadając sobie pozoru spracowanego. W ogóle jednak przepędziła dywizja prawie beczynny dzień, nie posunąwszy się ani kroku naprzód. Wczorajsze straty wynoszą 500 rannych. Spodziewamy się z Zygmuntem lada chwila powrotu Sandiga i reszty urlopników; przygotowujemy się już na jego przyjęcie ostrząc języki.

^b *Dopisek autora:*
Niedziela.

18 ^b Dostałem rozkaz wytransportowania dziś rzeczy, które jeszcze pozostały po Dittrichu. Jadą w pole, ja zaś z kap[itanem] P. do Kraśnika, do trenu i parku amunicyjnego. Dzień piękny, zupełnie się na niedzielę nadający; przyjemna przejażdżka, bo wybraliśmy drogę przez las. Kolej, którą zbudowali Moskałe, a później podczas swego odwrotu częściowo zniszczyli, naprawia austriackie wojsko, i jest z robotą na ukończeniu; jutro lub pojutrze ma być otwarta stacja w Kraśniku, co ma naturalnie kolosalne znaczenie. Zamierzają nią oprócz tego wywozić stąd drzewo i zboże, którego koszenie na wielkich obszarach już się odbywa. Prawo

wojenne, czyli żadne prawo, nie oszczędza nikogo. W Kraśniku rozjechaliśmy się z kapitanem – poszedłem do trzeciaków. Naturalnie towarzystwo spało jeszcze, musiałem je dopiero budzić i upominać się o kawę.

Narobiliśmy śmiechu zaraz z rana, po czym poszliśmy z Neumanem do Kraśnika „zwiedzić miasto”. Dziura zakazana, szkoda nawet, że o niej tyle w gazetach piszą; pełno Żydów brudnych jak smoła i wyzyskujących do niemożliwości. Tabliczka czekolady 2 k.! Byliśmy w kościele, który się dość ładnie prezentuje, i to było wszystko godne widzenia. Po załatwieniu wszystkich rzeczy z końmi i bagażem, zjedzeniu obiadu dosyć mądrego, wracamy do Pułankowic w największy upał. W lesie naturalnie Zygmunt na swoim stanowisku, a koło niego... Sandig! Z takim pyskiem i wrócił z urlopu naprzywoziwszy przeróżnych rzeczy, między innymi obstalowane przeze mnie spodnie. Opowiada rzeczy, że włosy stają na głowie i kładą się dopiero gdy mówić przestaje. Wrócił także z urlopu kap[itan] Kr. i lekarz sztabowy. Wojna dzisiejsza podobna zupełnie do wczorajszej – żadnej zmiany. Depesza o przerwaniu frontu rosyjskiego pod Przasnyszem i na wschodzie wywołuje zarządzenia na wypadek cofnięcia się Moskali przed naszym frontem.

19 Deszcz padał całą noc, pada i rano, byłoby nudno, gdyby nie fakt, że Moskale nam rzeczywiście nikną sprzed nosa. Przewidywany więc odmarsz, nie bardzo ze względu na pogodę zachęcający. Godz[ina] 7.00 rano, jeszcze nie ma żadnego rozkazu w tym względzie. Antek zamiata kwaterę, jak za spokojnych czasów, ja czekam, co się dalej stanie.

Rzeczywiście, niedługo zaczęto fabrykować dyspozycję i o 10.00 marsz w kierunku przez Ostrów–[wzgórze] 248–

–Ewunin–Baławoda–Kazimierów^a. Na wzgórzu 248 zatrzymujemy się niedługo, dla uporządkowania maszerującej kolumny. Wykorzystuję tę chwilę i oglądam skutki strzelania z ciężkich haubic; stosunkowo mało było celnych strzałów, trafiających w same rowy, ale pomimo tego nie bardzo zapraszające to mieszkania. Pozycja wybudowana świetnie, i nie dziw, że się tu tak długo trzymali. Spotkałem się z pułkowymi kolegami, porozmawialiśmy trochę, bo niedługo pojechali dalej. O Moskalu ani słychu, pomimo tego zachowane są wszelkie ostrożności podczas marszu. W pewnej odległości od Kazimierowa dochodzi wiadomość o przygotowanych poprzednio i obsadzonych przez Moskali pozycjach na północ od Borzechowa. W następstwie tego wydanie dyspozycji, i po upływie dwóch godzin wywiązują się tu i ówdzie mniejsze potyczki, trwające do zmierzchu. Widać, że doświadczenie uczy, bo pod wieczór nakazuje korpus wstrzymanie dalszego parcia naprzód, okopanie się i zabezpieczenie przez noc; i słusznie, bo po co się pchać w niepewne, podczas gdy po dniu można i raźniej iść naprzód, i żołnierz wypoczęty.

Sztab zatrzymał się na wzgórzu obok Kazimierowa; stąd wysyłają mnie z rozkazem do zaledwie zgrupowanej artylerii, która jednak znalazła już dość czasu na wstrzelanie się bateriami w swoje odcinki frontu. Po długich debatach decyduje się dywizja na kwaterę w Kępie; wieś spalona i wypełniona trenem i szpitalami. Zaledwie we „dworze” znajdujemy dwa użyteczne pokoje i zaczynamy się mieścić na rodzaj owych przysłowiowych śledzi. Ja mieszkam na werandzie, która brak drzwi uzupełnia porozbijanymi oknami; życie w niej atoli wre, bo się aż roi od wchodzących i wychodzących. Pewną jej część odgrodziłem niepodlewany mi

kwiatkami w wazonikach, i w ten sposób uzyskałem efekt niespodziewany, bo przechodzący mimowolnie cichli, biorąc mnie widocznie za nieboszczyka, obstawionego kwiatami i palącą się świeczką. Okoliczność, że towarzystwo przycichło, a głównie zmęczenie, spowodowało, że zasnąłem jak kamień.

20 Narobili takiego rumoru już o 4.00 rano, że by się nawet umarłemu spać odechciało. Wstaję dokładnie nie wiedząc, po co, dlaczego to robię, i czuję przy tym, że nie jestem należyście wyspany. Ostatecznie jednak, zwłaszcza po kawie, oprzytomniałem, i akurat czas było odjeżdżać, bowiem już wszyscy nabrali należytego rozmachu do wojny. Brygadier jedzie na stanowisko obserwacyjne artylerii, ja jadę z dywizją, jako połączenie z nim, do Kazimierowa. Kiepska pogoda nie usposabia wesoło i nie pozwala na dobrą obserwację. Wolne chwile i kwadransy wypełniamy grą w szachy, wożone z sobą wszędzie przez oficerów telefonistów. Prowadzony atak posuwa się wolno i ostrożnie, ale dokładnie. Po obiedzie, przy którym się znalazł Hackbeil, wracający z urlopu, spędziła nas burza do stodoły, jedynego mieszkalnego w pobliżu budynku. Tu czas schodzi jeszcze bardziej nudnie, aż do 4.00, tj. do chwili, kiedy się zaczęła bitwa na dobre. I opłaciło się danie wczoraj żołnierzom wypoczynku, opłaciło się ostrożne posuwanie ataku naprzód, bo wynik był wspólny.

Chłopaki wzięły na taki animusz, że ignorując pionierów z nożycami, kolbami porozbijali druciane przeszkody i wdarli się w rosyjskie okopy. Pierwszymi, którzy to zrobili, byli naturalnie czterdziestacy, za nimi Bośniacy, wreszcie zawięli z flanki 89. i 90. Nie potrafię opisać, jak serce rośnie

na taki widok! Duża zasługa artylerii, która przygotowała atak tak bajecznie, że uzyskała zupełne uznanie brygadiera, co zaraz ogłoszono w dzisiejszym rozkazie. A uznanie mojego starego, to jest dużo! Ostateczny sukces dzisiejszego dnia jest złapanych 24 oficerów, 2676 gemajnych^a Moskali, 4 karabiny maszynowe i 4 wozy amunicyjne. Sąsiednie dywizje wzięły do 5000 jeńców, szczegółów nie znam^b. Niechże sobie teraz Zygmunt żałuje, że przedwczoraj pojechał na urlop – dla lepszego zepsucia krwi napiszę mu o tym do Lwowa. Sandig za to aż cały mokry z deszczu i nadmiaru pracy, ale dobrze mu tak, bo się wyurlopował. I znowu bajecznie brzmiąca dyspozycja, by w nocy nie posuwać się za daleko i zachować ostrożność. Około 11.00 próbowali Moskale kontrataku, ale im to pożytku nie przyniosło. Po uporządkowaniu wszystkiego, idę po północy spać.

^a Tu:
zwykłych
szerego-
wych.

^b W oryginalnej:
nie
wiem.

21 Powtórzenie wczorajszego rannego wstawania, ale deszcz nie pada. Według zamiaru wczorajszego, mamy się poruszać całym frontem. Skutkiem jednak nadeszłych rosyjskich posiłków, zmienia się decyzja i poprzestajemy na wyzyskaniu słabego rosyjskiego miejsca, w które ma ugodzić nadesłana nam 37. Dywizja Honwedów. Nie wiem, co się dzieje z legionistami, którzy tu są w pobliżu. Podobno w Kazimierowie jest ich jeden pułk – szkoda, że tam nie idziemy, bo ich jeszcze nie widziałem dużo naraz. Brygadier tak jak wczoraj wyjeżdża na punkt obserwacyjny, zostawiając mnie znowu dla połączenia z dywizją. Nudzę się, bo niewiele do roboty, a pomimo bólu głowy, położyć się nie można. Spaceruję z rozpaczy przed domem, wystrojony w nowe spodnie, w których mi zapewne do twarzy, bo się wszystkim podobają. Dzień mija bez prowadzenia żywszej akcji z naszej stro-



Pole bitwy na froncie wschodnim, fotografia lotnicza



Jeńcy rosyjscy pilnowani przez żołnierza węgierskiej
obrony krajowej, czyli honweda, lato 1915 r.

ny; zaledwie lewym skrzydłem (40.) przyłączamy się do ataku honwedów, uwieńczonego ostatecznie pod wieczór wzięciem nieprzyjacielskich pozycji.

Głowa mnie rozboleła jeszcze bardziej, zwłaszcza gdy mi ją zaczęli zawracać przybyli z urlopu nadpor[ucznik] Kr. i Hoink. Roi się teraz od urlopowanych, tylko mi się na nich patrzeć wolno! A jakbym chętnie parę dni odpoczął! I co by to była za rozkosz! No, ale chyba może nie umrę bez urlopu, bo to przecież żaden powód do śmierci. Nie wiem, jakie są zamiary na jutro, bo jeszcze żadnych rozkazów w tym względzie nie ma. Pokolacyjna (tym razem pokojowa, nie polowa, jak wczoraj) partia szachów przysparza mi uznania jako zwycięzcy. Noc się zapowiada niespokojnie, bo się Moskałe coś pod wieczór niesamowicie grupowali – może znowu mają jakie posiłki.

22 Z takim spaniem do bani. Budzili ze 20 razy w nocy, spodziewając się rosyjskiego ataku, tymczasem stało się wręcz przeciwnie, bo się Moskałe spalili. Ignoruję ich do tego stopnia, że sobie nawet zasnęłam, i to tak dokładnie, że mnie sztab odjechał. Na szczęście, stary polecił kapitanowi, by mnie zostawił przy telefonie, dopóki nie przyjadą na stanowisko dzienne, i w ten sposób moja nieobecność nie została zauważona. Około 8.00 jadę i ja za nimi w pole, przyjmowana tam owacyjnie z racji przyprowadzenia za sobą Chrzana ze śniadaniem. Ożywiło się towarzystwo, częścią śpiące, częścią prażące się na słońcu. Nadpor[ucznik] Martynowicz prezentuje swoje zdjęcia fotograficzne, naprawdę dobre. Niektóre z nich wzbudzają żywe zainteresowanie, nawet u żonatych, ba! i tak poważnych, jak mój stary i eksce-lencja. Urozmaicenie poważnego nastroju.

Tymczasem atak posuwa się ciągle naprzód; Moskale się wprawdzie w nocy cofnęli, ale niedaleko, tak że niedługo ich trzeba było szukać. Powtórzenie przedwczorajszego działania artylerii; skoncentrowano ogień ze wszystkich prawie baterii na las przy Egersdorfie, i zaczęła się kanonada z taką siłą, jakbyśmy jedni mieli zadecydować o losie wojny. W międzyczasie zeszedli czterdziestacy z flanki, honwedzi (37. Dywizja) z prawej [strony] i – noga z Moskali nie uszła, bo czego nie wybili, to zabrali. Obserwowaliśmy z daleka transporty jeńców, jak owego czasu pod Izbugyabéla. Sytuację wykorzystano naturalnie natychmiast; 24. i 27. Dywizja posunęły się zaraz naprzód, uzyskując stracony kontakt z nieprzyjacielem. 40. zwinął się tak gracko, że w komendzie korpusu zostali zaskoczeni tym niespodziewanym powrotem. Dostaliśmy też parę dyspozycji mniej więcej bez nóg i bez głowy, ale ostatecznie nakazano umocnić uzyskaną linię, i nic w nocy nie przedsiębrać, oprócz zwykłych środków ostrożności.

Wysłani jesteśmy z kap[itanem] P. do Majdanu Skrzywieckiego na przygotowanie kwater, ale nie mieliśmy szczęścia, bo we wsi nic godnego znaleźć nie można było. Wróciliśmy tedy do Kępy na noc, wypoczynek i obiad. Łeb mnie rozboleł, sam nie wiem, z jakiej przyczyny, ale na szczęście nie ma nadzwyczajnego ruchu i będę się mógł wcześniej położyć. Ciemno już, a Sandig jeszcze ciągle liczy i porządkuje Moskali; naliczył do 1022 i 3 oficerów. Jeśli tak wszędzie dobrze idzie, jak nam w ostatnich dniach, to te „hufce” się przersedzają. Około 9.00, nie czekając ani na dyspozycję, ani na to, co się stanie, kładę się spać i długo usnąć nie mogę.

23 Ranne raporty donoszą o ponownym cofnięciu się Moskali, i tym razem zaledwie parę kilometrów tylko, znowu na przygotowane pozycje. Korpus nakazuje pościg, aż do zderzenia się z nową linią. W następstwie tego, wydana natychmiast dyspozycja i dywizja posuwa się naprzód. Komenda nie zdecydowana jeszcze, gdzie się uda, poleca mi przeglądnięcie wsi Skrzyńca, Egersdorfu i Wierzchowisk. O 6.00 jestem już tym sposobem w drodze, razem z technicznym referentem kap[itanem] J. Skrzyniec, spalony, nie istnieje; Egersdorf spalony także, posiada zaledwie parę nędznych i wyniszczonych chałup; pozostały więc tylko Wierzchowiska. Przed udaniem się do wsi, skręciliśmy do lasu, w którym się wczorajsza akcja rozegrała; natknąwszy z ciekawości nosem na przednią linię Bośniaków, i porozmawiawszy trochę z ich komendantem majorem K., zostaliśmy grzecznie pożegnani i zawracamy.

Na każdym kroku widać, jak tu artyleria strasznie działała, zarówno austriacka przed zdobyciem, jak rosyjska po zdobyciu lasu. Na każdym miejscu prawie dziura wyrwana granatem, szczątki żelaza, naboí, karabinów i rysz-tunków, trupy rosyjskie i austriackie, połamane pociskami drzewa i gałęzie, wszystko to daje pojęcie o sile artyleryjskiego ognia. Co prawda, to na mały stosunkowo ten obszar same działa polne oddały ponad 4100 strzałów! Jeśli się do tego doda haubice polne i ciężkie, to się przyznać musi, że ludzie tu się znajdujący mieli przedsmak piekła. Najwymowniej jednak mówi ilość poległych, których grzebią we wspólnych grobach koledzy. Grupki tych pracowników spotykamy ciągle. Na brzegu lasu znajduje się ogromny cmentarz, datujący się, jak przypuszczam, z zeszłorocznych walk, a mieszczący, jak pobieżnie z napisów zliczyłem,

około 400 poległych. P. zrobił nawet zdjęcie, bo takiej ilości wielkich grobów nigdzieśmy jeszcze nie spotkali.

Ostatecznie przybyliśmy do Wierchowisk. Wieś duża i niewyniszczona, nie ma tylko mieszkańców, których jak zwykle cofający się Moskale wyrzucili. Za to prawie w każdym domu leży nieboszczyk, na przemian to austriacki, to rosyjski; niektóre zwłoki psują się już dobrze i zanieczyszczają powietrze. Ostatecznie trzeba było postąpić według etyki, jaką się wyznaje na wojnie, i jeśliś sobie umarł bracie, to cię zagrzebiemy pod ładnym krzyżykiem, i to możliwie najprędzej, bo my tu chcemy mieszkać. Tak się też stało, my zaś w międzyczasie wyjechaliśmy naprzeciw komendzie, na umówione wzgórze 224. I znowu po drodze trupy. Tym razem najwięcej czterdziestaków, leżących tu od przedwczoraj po przeprowadzonym ich ataku. Gdyby nie to, że człowiek naprawdę zobojętniał na widok poległych, byłoby mi ich żal. Nie smutki mi jednak w głowie, bo i po co? Co im z tego przyjdzie? Czekamy tu dość długo, że nawet zdrzemnąć się miałem czas, aż przysłano nam ordynansa, że sztab przyjeżdża prosto do Wierchowisk. Jazda więc znowu z powrotem i zagospodarowywanie się na dobre.

Równocześnie przyjeżdża kwatermistrz 1. Pułku Legionów Polskich¹¹⁰, por. Dąbrowa^a. Aż mnie podniosło z uciechy, że ich zobaczę, pomagam też porucznikowi, co mogę, i jak mogę. Niedługo potem przychodzi ich cały pułk i dwie baterie. Oglądam się za znajomymi i na wstępie spotykam Felka Kamińskiego; jest podporucznikiem artylerii i trzyma się zdrowo. Rozstaliśmy się niedługo, z zamiarem zobaczenia się później, ale jakoś już do tego nie przyszło. Przeważnie młodzi chłopcy wszędzie, ale dobre wrażenie

^a Por. int.
Kazimierz
Młodzia-
nowski.

robią swoją fantazją. Dziwnego uczucia doznaję, widząc te prawie dzieci, mówiące o sobie „wiara”, podtrzymujące tradycję. Oficerów mają równie młodych. Komendantem 1. Pułku jest ppłk Śmigły, którego miałem sposobność poznać, skutkiem polecenia służbowego, z jakim mnie do niego wysłano. Człowiek inteligentny, jak zresztą wszyscy oficerowie. Drugi pułk biwakuje w lesie za wsią. Wieczorem można zauważyć beztróskę i wesołość legionistów. W każdej części wsi, gdzie obozują, zaczyna się koncert – wyśpiewują wszystkie możliwe pieśni i piosenki – posiada to urok, którego opisać nie potrafię. O pewnym czasie wszczynają się u nich wiwatowanie i krzyki. Ekscelencja wysyła mnie dla dowiedzenia się, co za powód, walę więc prosto do komendanta batalionu, [z prośbą] o wyjaśnienie. Tu poznałem znowu kilku oficerów gotujących się do drogi, bo dostali awizo do odmarszu. Pogawędziłem dobrą chwilę, aż ordynans zameldował, że krzyczeli, bo się dowiedziano jakoby patrol Mackensena miał dotrzeć do Piasków – przedmieścia Lublina. Z żalem ich pożegnałem i poszedłem z tą wiadomością, która się atoli nie potwierdziła. Cały dzień dzisiejszy mija mi pod wrażeniem legionistów.

24 Wypaliśmy się pod tym drzewem, pomimo że nas porobiadały gąsienice i inne chrabąszcze, setnie. Wyświeżony wstaję i zaraz na wstępie zauważam brak legionistów; spalili się gdzieś w nocy, zostawiając tylko nieco trenu artyleryjskiego. Ano, szkoda psiapara, że ich nie ma, ale przecież dla mojej przyjemności tu nie będą siedzieć. Nie mam czasu myśleć zresztą o nich wiele, bo sami się wybieramy w pole, mianowicie na przyjemny spacer do przednich linii. Inaczej jak spacerkiem nie można tego wyjazdu nazwać, bo na

naszym froncie zupełny spokój. Moskale strzelają w obręb 106. Dywizji, niezbyt silnie jednak, tak że w ogóle ma się prawie pewność, że zaczepka z ich strony nie będzie miała miejsca. Dywizja nasza znajduje się jakby w rezerwie, tj. mamy zakaz nie zaczepiania żadnych wrogów, za to umacniania własnej linii; tylko jedna artyleria hałasuje trochę przy wypośrodkowaniu elementów na poszczególne cele.

Coś mi się wydaje to całe zachowanie się dywizji niesamowitym, bo w innych miesiącach o tym czasie zaczynały się zwykle jakieś większe akcje, albo musiało się coś stać, co nas pozbawiło spokoju. Około południa wróciliśmy z powrotem do wsi, niczego szczególnego nie dokazawszy, oprócz nabrania apetytów. Po obiedzie posłałem Antka z kobyłą do przekucia (kobyły, nie Antka), wrócił zadowolony ze siebie, z niej i jej kopyt. Kobyła ale coś mizernieje, chociaż żre dobrze, pewnie i u niej starość nie radość. Po załatwieniu codziennych czynności i kolacji, nie odsiaduję zwykłej porcji przy stole, bo mi jakoś trochę dziś nie do ludzi. Kładę się za to pod naszym drzewem, patrzę przez gałęzie na księżyc i przemysłiwam sobie na różne sposoby, czego wynikiem, że niech diabli wezmą takie nudne usposobienie, jak moje obecne.

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

25 ^aSpaliśmy tak smacznie, że aż na galop się trzeba było ubierać, by się nie spóźnić na zapowiedzianą mszę polową. Pułkownik atoli ignoruje pobożność, wyjeżdża z Kralem w pole, Pfaff idzie z przypiętym pałaszem na mszę, skutkiem czego ja musiałem zostać jako jedyny przedstawiciel brygady. Zapiłem zmartwienie podwójną kawą i sterczę beczynnie przy stole, mogąc bowiem tylko z daleka Pana Boga chwalić, nie chcę Go obrażać zabraniam się do jakiej-

kolwiek czynności. Muzyka gra pobożnie i wywołuje ze wsi resztki spóźnionych wiernych.

Po mszy odbyło się uroczyste dekorowanie generała Prus[sa], kapitana P. i Pasternaka. Ekselenc palnął nieodzowną naturalnie w takich razach mowę, przypinał na przeważnie brudne bluzy na walecznych piersiach mentale^a, muzyka poszła do domu, więc nie grała, gratulacje od obecnych, duma na obliczach dekorowanych, ...moje uszanowanie, towarzystwo się rozchodzi, i po przedstawieniu. Nikt się dziś robotą nie przeciąża, taka dziwnie spokojna niedziela. Co prawda, tośmy się już całkiem przyzwyczaili do tego, że o ile sami nie szukamy zaczepki, to nie potrzebujemy się jej obawiać ze strony Moskali. Gdyby tylko tak zechciało trwać do końca wojny, bo na ewentualną zamianę ról nie bardzo się godzę. Zapewne z racji dzisiejszej uroczystości dostaliśmy specjalnych papierosów, co w naszej dywizji jest prawdziwą rzadkością. Zabieram się już od paru dni do wysłania listu Zygmuntowi i ostatecznie poszłoby to łatwo, tylko chodzi o jego napisanie, na co nie ma czasu, gdy jest ochota, i nie ma ochoty, kiedy jest czas.

^a Medale.

26 Ha! Niewieściejemy, psia pies! Godz[ina] 7.00, jeszcze człowiek leży w łóżku i, oglądając palce swoich własnych nóg przez pół godziny, przyznaje w duchu owej czynności najzupełniejszą rację bytu, jako że nie ma potrzeby spieszyc się ze wstawaniem. A wstawać rzeczywiście nie ma po co; dywizja zostaje na miejscu i „umacnia” się w dalszym ciągu, przy czym naturalnie żołnierze więcej wypoczywają, aniżeli się fatygują. Sztab też nieprzeciążony robotą, tak że się chwilami nie wie, czego się imać. Na szczęście, zaczął po południu padać deszcz – najoczywistszy i powód i pretekst

^a Rzucił
(gwara
lwowska).

do spania, i to aż do zmroku, o którym [to] czasie budzi nas pan inżynier, po długiej nieobecności znowu do dywizji przybyły. Opowiada swoje przeżycia w Krakowie – niby to niezadowolony – w rzeczywistości jednak, mam wrażenie, żeby sobie tam znowu szpurnął^a. Ogromnie miły człowiek, wszyscy go tu lubimy, dlatego też była ogólna uciecha, gdy mu zakomunikowano awans na porucznika w landszturmie; tym sposobem pozbędziemy się ostatecznie „cywila”, rażącego dotychczas właśnie tą swoją cywilnością.

Waltuch i ksiądz kapelan pojechali przedwczoraj na urlop – ten ostatni z uciechą, że jak twierdzi, będzie sobie chodził z panienkami po ulicy, a oprócz tego pojedzie sobie do mamy. Zazdrość mu owych przyjemności, ale się też i na zazdrości skończyć musi. Ponieważ padający deszcz nie pozwala na spożywanie wieczerzy na polu, przenosimy się z całym kramem do stodoły, ciasnej, aczkolwiek pustej. Pokolacyjna partia kart przeciąga się do późna w noc, jako że na spanie jutro dosyć czasu będzie.

27 Rzeczywiście, minęła reszta nocy spokojnie, niezakłócona ani przez własne, ani nieprzyjacielskie siły zbrojne. Wykorzystujemy ten spokój do ostatecznych granic, mianowicie śpiąc tak długo, jak tylko przyzwoitość na to pozwala. Wypogodziło się co nieco, ale ostatecznie pogoda się nie odznacza nadzwyczajną pięknnością. Pułkownik wyjeżdża w pole, zostawiając mnie z kapitanem na miejscu, dla uporania się z kancelaryjnymi zaległościami, tj. dla należytego wynudzenia się, bo właściwie niewiele jest do roboty.

Ratuję się od śmierci, skutkiem nudów, grą w szachy z P., która zabiera nam lwią część drogiego, bezczynnego czasu. Zresztą powtarza się dokładnie poprzedni dzień.

Na ogół żadnej zmiany w sytuacji, żadnego nadzwyczajnego wypadku, żadnego nadzwyczajnego przeciążania się pracą. Po obiedzie zwykła drzemka, przerywana tylko od czasu do czasu polowaniem na muchy, których obfitość dosyć dotkliwie odczuwać się daje. Wieczór ponowna partia karciana, zakończona dalszą moją klęską, co najlepiej wskazuje na to, że mnie „kochają”.

28 Coś się niespokojnie dzień zaczyna. Widocznie knują się jakieś zamiary, o których nie miałem sposobności jeszcze się dowiedzieć. Brygadier i dziś znowu wyjeżdża na stanowisko artylerii, jakkolwiek nie widzę powodu do tego, by miał tam być nieodzownie potrzebny. Sztab generalny zapręga mnie do roboty nad rysowaniem, i to wszystko daje mi co nieco do myślenia. Niedługo potem wyjaśniło się, że mamy zamiar podjąć zaniedbaną od paru dni ofensywę, skutkiem czego pożegnać się trzeba będzie z błogim spokojem, przynajmniej na jakiś czas. I rzeczywiście, niedługo rozpoczyna się kuźnia. Stary po powrocie zaczyna dysponować, rozkazywać, dyktować etc. Zaczyna się pisanie, rysowanie, jeżdżenie z rozkazami i inne [temu podobne] diabły, które w takich wypadkach są na porządku dziennym.

Do dokładnego odkrywania pozycji nieprzyjacielskich wielce się przyczyniają lotnicy, dostarczający cennych wiadomości; buja też dosyć tych ananasów w powietrzu i naprawdę nie na darmo, bo dokładnie ich meldunki pozwalają na wykrycie najsłabszego miejsca frontu nieprzyjacielskiego. Cały dzień schodzi na robocie i przygotowaniach do jutrzejszego ataku, zapowiedzianego przez dwie dywizje, naszą i sąsiednią, na lewo 37. węgierskich Honwedów. Pomimo wielkiej stosunkowo roboty dzisiaj, i nakazanego

wczesnego wstania jutro, nie wyrzekamy się codziennej partii, przeciągającej się dosyć długo, a zakończonej dla mnie zupełnym triumfem, z czego wróżę także powodzenie na dzień jutrzejszy, oraz konstatuję, że czego się jest najtrudniej na wojnie wyzbyć, to lekkomyślności.

29 Wstajemy o godz[inie] 3.30 rano; ponieważ niedługo przedtem poszliśmy spać, nie uznajemy, by wypoczynek był wystarczający, pomimo że według postanowienia spaliśmy „bardzo prędko”. Lepszy jednak sen krótki, aniżeli żaden, więc bądźmy i z tego zadowoleni, żeśmy spali godzinę. Bez śniadania zatem i zbytniego humoru wyjeżdżamy na wojnę. Z drogi wracają mnie jako połączenie z korpusem, mającym przybyć do Wierzchowisk, co mi bynajmniej nie konweniuje, bo tego towarzystwa nie uwielbiam zbytnio. Przyjechali ci panowie około 6.00 dopiero i nazywają Wierzchowiska „stanowiskiem dziennym”, chociaż z nich widać tyle, ile z każdej wsi innej, oddalonej o kilkanaście [kilometrów] od frontu.

Wiadomości jednak nadchodzą dobre. Około 10.00 wzięty rosyjski punkt oparcia: folwark Ignatów^a, bez szczególnego nawet współdziałania artylerii. Obydwie dywizje, w ścisłym kontakcie, przeprowadzają atak wzorowo. Moskałom zaczyna już być coraz ciasniej. Około południa uspokaja się i bitka przycicha. Czuję zmęczenie, i nie mogę się powstrzymać od położenia się na łożu, co mi się na niewiele przydaje, bo mnie co chwilę zrywają. Na ostrożnym podchodzeniu nieprzyjaciela schodzi do wieczora, aż wreszcie atak zatrzymano. Nie dane mi było jednak zażyć spokoju, bo ciągle mną manipulują, nie zważając na to, że mam dziś służbę nocną.

^a Prawdopodobnie Ignaców.

30 Budzili w nocy co chwilę. Raz z powodu zmiany dyspozycji, mianowicie odwołanie kontynuowania ataku naszej dywizji o brzasku dziennym, jak było nakazane, parę razy dla paru rozmaitych głupstw, jak to zwykle w użyciu bywa. Ostatnio o godzinie 4.00 rano dowiaduję się, że przed frontem 37. nie ma Moskali; musiało się znowu coś z boku stać, że się cofają. Zapewne robią to samo przed nami, czyli że trzeba przewidzieć marsz. O 6.00 rozkaz gotowości, o 10.00 obiad i maszerujemy; z Wierzchowisk przez Bełżyce, kol[onię] Podole do Palikijów. Tu początkowy zamiar pozostania na noc zmienia się, skutkiem doniesień kawalerii o cofnięciu się nieprzyjaciela aż poza linię błot Ożarów^a – Moszan-ki^b. Czas wolny od pisania dyspozycji obracam na zwiedzenie pałacyku, urządzonego cudownie, w połowie wyrobowanego przez mieszkańców wsi.

Około 3.00 jedziemy dalej, mając za cel Miłocin. Tu przygotowujemy kwatery w nadzwyczaj czystym mieszkaniu siostry właściciela Palikij, p[ana] Popławskiego. Staruszka sama jedna została w domu, jak twierdzi, cudem ocalałym przed spalaniem. W ogóle w okolicy tej przeważają wielkie własności, uprawiane wszędzie bez zarzutu. Sztab zatrzymuje się przy drodze i dysponuje niemal każdym przechodzącym żołnierzem. Ostatecznie zaprowadzono porządek w ugrupowaniu, i w ślad za tym przychodzi rozkaz korpusu zatrzymania dywizji i przenocowania w obecnej sytuacji. Niedługo potem zabieramy się i my do dworu, oprócz lekarza, udającego się do półżywej położnicy. Przychodzą niepotwierdzone wiadomości, jakoby polskie legiony zajęły, a nawet przeszły Lublin. Dosyć zmęczeni kładziemy się spać, z zamiarem walczenia jutro w dalszym ciągu.

^a W gminie Jastków.

^b Moszenki.

31 Rażni wstajemy, wyspani, i na razie zostajemy na miejscu. Od 6.00 jesteśmy według rozkazu gotowi do odmarszu. Na razie czekamy na dokonąć się mające zbliżenie dywizji na możliwie najbliższą odległość od nieprzyjaciela; co się potem ma stać, nie wiemy jeszcze. Zwiedzam mieszkanie Popera i Neumana, urządzone z przepychem najzupełniej nowoczesnym, do tego stopnia, że na przykład śpiąc można się bez otwierania oczu przekonać, czy pada deszcz, czy też na świecie pogoda. Ci, co jak zwykle „mają dużo do roboty” grają na fortepianie, jednym z dwóch znajdujących się na naszej kwaterze. Tymczasem stoimy ciągle w miejscu i prawdopodobnie zostaniemy tu jeszcze cały dzień. Z wielką trudnością mianowicie przychodzi stwierdzenie położenia nieprzyjacielskiej linii. Co prawda, teren zaczyna być coraz bardziej uciążliwy, skutkiem bagien, stawów i parowów. Około 10.00 przyjeżdża do wsi komenda 24. Dywizji, znajdującej się od pewnego czasu w tyle, jako rezerwa armii. Zaroilo się od generałów wzajemnie się admirujących na wielkim gazonie przed pałacykiem. Mili goście życzą nam jak najświetniejszego zwycięstwa, byśmy poszli naprzód, a oni mogli się na nasze miejsce zakwaterować.

Nasza staruszka – gospodyni – nie pokazuje się zupełnie, na krok nie opuszczając swego pokoju; pytanie, czy nam nie ufa, czy nami gardzi. Koncert na fortepianie trwa bez przerwy, bo artystów jest paru, znęcają się więc nad Bogu ducha winnym instrumentem. Równocześnie nakazany atak kroczy dalej, napotykając co chwilę na nieprzewidziane trudności. Południe minęło, a sytuacja jeszcze nie jest dokładnie wyświetlona, mianowicie, jak jest ukształtowana nieprzyjacielska linia. Doniesienie jakoby 40. Pułk poniósł do 50% strat, przez dostanie się pod niespodziewany

ogień flankowy, okazało się, na szczęście, nieprawdziwym. Chwiał się zaczyna jednak miejscami, do tego stopnia, że okazała się potrzeba wstawienia dywizyjnej rezerwy, 30. Pułku Obr[ony] Kraj[owej].

Niepewność trwa do wieczora; wybawiają z niej tym razem czterdziestacy, donosząc, że dotarli do Grabowa, po poprzednim wzięciu rosyjskich pozycji. Jak Boga kocham, chyba zacznę twierdzić, że to jedyny pułk na świecie! Nie dość, że przerwali front, ale usunęli tym samym niepewność, czy flanką 4. Brygady będzie dosyć zabezpieczona. Ładnie zakończyli pierwszy rok wojny. W jednej chwili uspokoiły się umysły i przyjemna zapanowała atmosfera. Z gazety dowiedziałem się, że Loma zdała maturę z odznaczeniem. Cieszę się, że będę mógł według przyrzeczenia pogratulować jej tego z Lublina, a raczej po jego wzięciu, bowiem wczorajsza wiadomość o zajęciu miasta została potwierdzona oficjalnie. Czekam na powrót Zygmunta, bo się już psia pies nie mam z kim kłócić, skutkiem czego się obawiam wyjścia z wprawy. Ale w końcu – dobranoc roku stary!

Sierpień [1915]

¹ ^aSytuacja nic się przez noc nie zmieniła. Wyspałem się spokojnie, aż do godz[iny] 7.00, znalazł się czas na ogolenie twarzy (zwykle się tę część ciała goli, ale już chcę być dokładnym), umycie się i uczesanie dokładne, wypada bowiem przystojnie wyglądać przy nowym roku. A nowy rok dobrze mi się jakoś zaczyna. Pogodny słoneczny dzień wesoło usposabia i przywodzi na myśl chwile, kiedyśmy zeszłego roku o tym czasie równie wesoło wybierali [się] na wojnę. I przetrwało się cały rok – tylko biedny Janek nie zdzierzył –

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*



C.k. armia wkracza do Lublina, sierpień 1915 r.

a z takim śmiechem szedł w pole! Szkoda dobrego serca! Podobnie jak wczoraj przeprowadzono dziś nieregularne ataki poszczególnych grup, które miejscami odniosły małe rezultaty, miejscami żadnych. Dysponowanie ustawienia artylerią, wobec zmieniających się wciąż momentów, przebiera nawet miarę. Wyrazem tego zapewnienie kapitana, że się jeszcze nigdy w życiu tyle nie otelefonował, co dziś; uwagę moją, że zapewne niedługo żyje, przyjmuje z zastrzeżeniem. Z tej samej telefonicznej racji zjadam obiad ze znacznym opóźnieniem, wobec czego każdy snadnie przekonać się może, że Polak, kiedy głodny, to zły. Po obiedzie za to, wewnątrz Pasternakowi dwa maty, mam chwilę odpoczynku na przeczytanie właśnie otrzymanej poczty. Jak wygląda wieczorna sytuacja, nie zdołałem się dowiedzieć. Przyszła natomiast wiadomość o zajęciu Chełma^a. Sąsiadująca z nami komenda 24. Dywizji urządza sobie koncert. Słuchając muzyki, chodzę sam po parku i jakoś dziwnie jestem nastroiony, brakuje mi kogoś! Zasnąć długo nie mogę.

^a W oryginale: Chełmu.

2 Pogodny dzień się znaczy. Wstajemy bez zbytniego pośpiechu. Atak prowadzony dalej, przy pomocy wstawionej na front dotychczasowej rezerwy, 24. Dywizji. Po przeprowadzonym ugrupowaniu artylerii, okazuje się, że na przestrzeni 1,5 km działać będzie 78 dział, w tym 45 ośmiocentymetrowych, reszta większego kalibru; chodzi tylko o to, by pracować w porozumieniu, co się nie całkiem udaje. Dlatego szwankuje atak chwilami, korzystne momenty niewyzyskane. Trwa tak cały dzień. Przyznać trzeba, że warunki terenowe ciężkie, bo np. 89. nie mógł się długo utrzymać w zdobytych pozycjach rosyjskich, otrzymawszy ogień z flanki. Ale z drugiej strony brak jakiejś jedności w dzia-

łaniu (takie przynajmniej odnoszę wrażenie) uniemożliwia odniesienie sukcesu, nawet niezbyt trudnego po poprzednim dobrym przygotowaniu ataku przez artylerię. Przed południem wyjeżdża brygadier w pole, mam wrażenie, więcej dla formy, jak dla potrzeby, zostawiając nas na pastwę telefonistów. „Jasna pani” zaczyna ze mną rozmowę, trwającą niestety niedługo, bowiem pomimo „wrodzonej” grzeczności dla dam nie mam wiele czasu na pogawędkę. Zameldował mi ordynans, że „jasna pani” pytała się o moje nazwisko i adres, co wskazuje, że się mną zainteresowała. Szkoda psiakręć, że ma już około 80. lat, jakkolwiek lilijną jeszcze dziewiczość, bo diabli wiedzą, co by z tego było!

Wieczorem dowiadujemy się o wzięciu ośmiu punktów oparcia przy Iwanogrodzie i to przez austriacki 12. Korpus; nabrali przy tym naturalnie rozmaitego materiału do diabła i jeszcze trochę. O ile ten wypadek naszego ducha podniósł, o tyle nie obniżył go u Moskali, którzy się przed nami trzymają nadzwyczaj dzielnie. Noc już, a tu strzelanina jeszcze, i końca jej nie widać. Pułkownik wraca dopiero około 10.00, i zaraz na wstępie żądają od niego przesunięcia jednej baterii naprzód, co naturalnie jest bezcelowe, ze względu na niemożliwość wstrzelania się w nocy. Około 11.00 ucisza się nareszcie. Na ogół sytuacja ta sama, co wczoraj wieczór, czyli że się zamiary nie powiodły. Ponieważ mam dziś nocny dyżur, nie mogę się położyć, pomimo że na dziś mam dość, ale muszę jeszcze pozatratować wszystko, co dziś musi być zrobione. O 12.30 wydawanie dyspozycji – muszę siodłać konia i zażywać nocnej przejażdżki. Reszta nocy mija spokojnie.

3 Zrywają rano wcześniej, bo znowu świeża dyspozycja z korpusu. Dywizja ma się mianowicie zebrać, celem przesunięcia jej na zachód. Tymczasem jednak Moskale się tak beczelnie zachowują, że się okazuje potrzeba użycia dywizji haubic. Reszta artylerii, gotowa do odmarszu, oczekuje dalszych rozkazów. Dokąd pójdziemy i kiedy, nie wiadomo jeszcze. Faktem jest tylko, że na naszym froncie i części 37. Moskale się cofnęli. Powrócił baciś z urlopu i narobił zaraz na wstępie naturalnie krzyku i opowiadania, bezładnego, jak to leży w jego zwyczaju. Opowiada więc, że podróżować jest strasznie niewygodnie, że żona jego taka gruba, że ją zaledwie poznał, że na wojnie o wiele lepiej niż w *Hinterlandzie*, że jego syn już potrafi mówić „apam” i wiele innych osobliwości. Po chwili okazała się partia szachów bardziej zajmującą od jego opowieści, za czym łapiemy kilka matów po kolei, nie narażając się na miano beczynnych, bo przecież tym samym ćwiczymy się w strategii. Tymczasem na froncie 106. Dywizji wywiązuje się coraz poważniejsza bitka, i to, jak przypuszczam, jest powodem, że po południu udaje się komenda do Ługowa, nie zaś, jak było rano awizowane, w kierunku dokładnie zachodnim.

Przenosiny odbywają się na raty, a więc część samochodami, których trzy właśnie przed południem przyszły dla pełnienia służby przy dywizji, druga część konno lub też pieszo. Ja należę do całkiem innej grupy, bo pozostawiony przy telefonie namawiam się z inżynierem, by autem jeszcze raz nawrócił, co też uczyni. W gotowości czekam odjazdu. Czekałem sobie tak dosyć długo, bo się widocznie inżynierkowi nie spieszyło; wszyscy co do jednego już odjechali, miałem czas oglądnąć parową młocarnię, jako też pożegnać się czule i długo z „jasną panią”, i dopiero po tym

wszystkim wrócił wehikuł. Za chwilę opuściliśmy gościnny Miłocin i przebywszy po zakurzonej drodze Ożarów przybliżyliśmy do Ługowa.

Po drodze trzy ważne osobliwości: 1) moja jazda w nowych okularach automobilowych, przez które wprawdzie nic nie widać, ale za to zyskuje się pełno prochu w oczach, co także coś znaczy; 2) 1,5 miliona Żydów w Ożarowie, w wieku 1–132 lat i; 3) ostrzeliwanie rosyjskiego aeroplanu przez artylerię, które jakkolwiek bezskuteczne, przyznać muszę, było najbardziej interesujące z wyżej wymienionych osobliwości. Dwór w Ługowie jest opróżniony z właściciela i częściowo z mebli. Zajmują go dwa sztaby, nasz i 24. Początkowo byłem skazany na nocleg pod gołym niebem, później atoli poobrażali się panowie na sobie, skutkiem czego stał się jeden pokój wolny, za czym go zająłem. Antek upamiętnił tu swój pobyt rozbiciem bardzo ładnej lampy i wyłaniem na siennik bardzo dużej ilości nafty. Neuman pojechał na urlop via Lublin. Noc mija spokojnie, bez przeszkód i wypadków.

4 Około 7.00, poprzedzając sztab, jedziemy z kap[ita-nem] P. przez Gutanów–Góry–Zabłocie–Łany–Kalenie do Kurowa, gdzie w pałacu mamy pomieścić komendę. Dywizja nasza luzuje 47. niemiecką, udającą się do grupy Woyrscha¹¹¹, wступujemy tym samym w związek 8. Korpusu. Zamek zastajemy zajęty przez komendę 219. niemieckiego pułku i jakieś części lazaretu; wynoszą się dopiero około południa, zaś niedługo potem przyjeżdża nasz sztab. Pomieszczeń 1000, tylko umeblowanie wywiezione i dziwne; brudno wszędzie, jakby tu nie mieszkali Niemcy. Popołudnie spokojne, można po dzisiejszym marszu chwilę wypocząć. Na-

stępnie zabawa z psami – później kolacja z przerwami, później rozpoczęta partia preferansa¹¹², także z przerwami, bo trzeba było pisać dyspozycję, jako że wbrew wszelkim oczekiwaniom idziemy stąd jutro dalej. Ostatecznie o 1.30 spać.

5 Cały sztab razem, co się już dawno nie zdarzyło, opuszcza o 6.30 Kurów, kierując się przez Kłodę–Barłogi–Choszczów na Dębiny. Okazało się jednak, żeśmy za wielki rozmach wzięli, bo już w Kotlinach stawiają Moskałe opór. Użyliśmy przynajmniej jazdy, galopując szmat drogi, dopóki właśnie ta wiadomość o Moskalach nie nadeszła. Czego zwyczaj, pierwszy rozkaz skierowany do artylerii. Odrywa się też brygada od reszty i drałuje razem z komendantami poszczególnych grup naprzód. Następnie odrywa się sam brygadier, zostawiając mnie jako połączenie w lasku za Choszczowem. Siedzę, nudząc się lub uspokajając kwiczącą kobyłą, aż nareszcie przyjeżdża Stefan, zwiastujący, że tu zajeżdża z baterią, skutkiem czego muszę się przenieść w inną okolicę.

W sąsiedni lasek wali już Moch ciężkimi granatami, jakby przeczuł, że się zbliżamy i chciał ostrzec o swojej obecności. Kobyła robi się za każdym strzałem bardziej nerwowa, mnie się zaś przykrzy w dalszym ciągu, bo mi już ręka ścierpła i nie mogę pisać. Po pewnym czasie bateria zajmuje stanowisko, i zaczyna sobie naturalnie w pierwszym momencie „urządzać mieszkanie” od wycięcia trzech potężnych grusz, rosnących przed laskiem, rzekomo dla „artyszülü”^a, w rzeczy samej dla zaopatrzenia się w budulec i materiał opałowy. Przyjemne chłopaki przy tej mojej baterii, i tak jakoś się lubimy, bez różnicy rang. Zagadałem się też z nimi dosyć długo, bo strzelać nie zaczynają, aż mnie odwo-

^a Wyraz trudny do odczytania.

łano do brygadiera. Obawiam się, że mój stary jest chory, czy co, bo się umieścił z całym swoim sztabem w przedniej linii piechoty i wysłał nas z Kralem, każdego w inną stronę świata, dla wywiadów, czego wynikiem było przyniesienie wiadomości identycznych z dostarczonymi pod naszą nieobecność przez kawalerię, następnie że mi przestrzelili wrogi torbę na mapy, zaś Krala, jak powiada, o mało co całego razem z torbą. Najokropniejsze zaś, żeśmy wrócili głodni jak psi. Na szczęście, zdecydował się brygadier na przeniesienie swej osoby na stanowisko dywizji – nie wiem, czy też z głodu, czy że zaczął padać deszcz, a my jesteśmy bez płaszczy. Komenda znajduje się nieco na południowy wschód od wsi Choszczów; podjedliśmy co nieco zaraz na wstępie po przybyciu do niej, za czym schodzi nam czas na miernym wysilaniu się nad wojną, bowiem nie mając rozkazu atakowania, ograniczamy się na utrzymaniu pozycji, zresztą zupełnie nienapadanych.

Około 4.00 lakoniczna depesza: „Warszawa wzięta”¹¹³ powoduje anormalny wesoło-podniecony nastrój; naturalnie, rozchodzi się wiadomość błyskawicznie, aż doarów strzeleckich, i zyskuje aplauz należyty, bo po chwili słyszymy tak strasznie odryczane hurra!, że Moskałe chyba musieli poprzysiąść na zadach z alteracji, lub też [tym podobnych] owładających słabą duszę ludzką uczuć. Równocześnie w którejś z sąsiednich wsi zaczyna jakaś orkiestra różnąć marsza, haubice walą dwie salwy na wiwat a pohybel Mochom, my każemy przechodzącej orkiestrze z 89. grać również, jednym słowem robi się atmosfera, w jakiej się jeszcze nie znajdowałem. Komentarzom, opowiadaniom, przypuszczeniom itp. objawom onanii duchowej nie ma końca, no ale w końcu prawda, że bardzo dobrze jest, że się



Pamiętka zdobycia Warszawy, druk ulotny, 1915 r.

tak stało. O zmroku ukazują się dymy pożarów, tak nam znany znak bezsilnej wściekłości rosyjskiej – niewykluczone, że ich jutro przed frontem nie zastaniemy.

Wracamy na noc do Barłogów, na niepewne kwatery – jeśli mają być jednak takie jak nazwa wsi wskazuje, to upadam do nóżek, sługa uniżona. Kolację dostałem zimną, bo się naturalnie przed nią musiałem aż do przesady wytelefonować. Oprócz tego złamał pan inżynier oś u auta. Oba więc wypadki nie usposabiają nas prześwietnie. Heca za to z tymi małymi psami, bo wyczyniają takie przedstawienia, że wszyscy naokoło mają prima zabawę. Kwatera nadspodziewanie dobra, w chałupie z pałacowym urządzeniem, pochodzącym najprawdopodobniej z kradzieży. Ale nic to, główna rzecz, że się na spokojną noc zanosi, co po dzisiejszym ruchliwym dniu najzupełniej mi konweniuje. Przypuszczam wprawdzie, że zanim zasnę dosyć jeszcze roboty będzie z różnego rodzaju owadami, jako to stonogami, szczympawicami itp. towarzystwem, ale w końcu to wszystko da się jeszcze przeżyć! Za to mam satysfakcję, że mieszkam w domu, w którym przedwczoraj granat uśmiercił dwóch rosyjskich oficerów.

6 Jeszcze nie zdołałem wypić do końca kawy, gdy gruchnęła wieść – Iwanogród wzięty! Tak jestem tym zaskoczony, że sobie na razie nie mogę dobrze zdać sprawy z doniosłości tego wypadku i przypuszczam, że któraś ze stron wojujących musiała chyba zwariować, bo przecież nie sposób odnieść takie sukcesy dzień po dniu, by do reszty woj-ska nie zdeprymować. Ochłonałem później trochę z tego przyjemnego przerażenia, bo jak się okazało, Moskałe oddali zarówno Warszawę, jak i Dęblin bez walki, a więc pla-

nowo, czyli że jeszcze niejeden orzech zgryźć z nimi przyjdzie. Że się taki stan u nich nie przyczynia bardzo do podniesienia ducha, w to bardzo wierzę, i dlatego dobrze im tak, bo się mogli nie zaczepiać. W każdym razie, lepiej się jest cieszyć wesołym dziś, niżeli przypuszczać niewesołe jutro; kradniemy dnie życiu, kradnijmy dniom wesołe momenty. Również zaraz z rana zaczyna się niewyraźnie przebąkiwać o zamierzonym przeniesieniu naszej dywizji, a może i całego korpusu, na inny front. Zaczyna się ogólne pukanie palcem w czoło, przy rosnącym w duszy pytaniu: dokąd? Stało na tym, że albo nas przesuną na front włoski, albo na wschodnio-galicyski – przypuszczenie tym bardziej słuszne, że na dwoje babka wróżyła.

Przedsmakiem potwierdzenia owej pogłoski jest wysłanie mnie i bacsiego do Kurowa, dla oglądnięcia przybytków. Mieścina mała i – czego zwyczaj – brudna, posiada zaledwie dwa możliwe obiekty, tj. opuszczony budynek urzędu gminnego i plebanię. Ta ostatnia, wyrabowana przez honwedów, pod nieobecność przymusowo wyewakuowanego księdza, przypomina gospodarkę kozaków w Galicji. Ostatecznie zajęliśmy ową gminę, wyrzucając mający się właśnie urządzić szpital, który i tak musi gdzie indziej odmaszerować, o ile i my pójdziemy. Po powierzchownym oglądnięciu reszty miasteczka i zezowatej panny aptekarzówny (również powierzchownym), wróciliśmy do Barłogów, skąd się nikomu dotychczas ani śni wyjeżdżać. Dywizja nasza nie bierze udziału w dzisiejszym ataku naszych sąsiadów, dlatego dzień spokojnie mija. Po obiedzie zabierają się wszyscy do kart, jak to już dawno nie bywało; po kolacji również aż do późnej nocy. Tymczasem nie widać jeszcze ciągle spodziewanego rozkazu do odmarszu albo przynajmniej do

podjęcia jakichkolwiek przygotowań. Po wydaniu dyspozycji kładę się o 12.30 spać, po czym tuż przed zaśnięciem wskakuje mi kot na głowę, na co reaguję zrzućeniem stojącego obok mnie jakiegoś kuferka, ale w pośpiechu w tak fatalnym kierunku, że zamiast kota wyleciało okno razem z ramą. Przebudzonych z przerażenia towarzyszy uspokajam, że to strzela tylko własna artyleria, mogą więc spać spokojnie, co też niedługo czynimy.

7 Budzą mnie o kwadrans na czwartą do telefonu. Myślałem, że mnie nie znajdą, bo dosyć daleko od tej instytucji mieszkam, i nikomu nie mówiłem, że mam nocny dyżur, ale mnie jucha ordynans wyszukał i wyciągnął z łóża. Zalepione jeszcze oczy mając, dowiaduję się o niedyspozycji żołądkowej pana pułkownika A., o czym zawiadamia, jak również o przelaniu komendy na kap[itana] W. Mógłby się też pan (myślę sobie) ze dwie godziny spóźnić ze swoją zakichaną – przepraszam – chorobą, i dać ludziom spać. Niedługo potem mój władca żąda zawiadomienia go o sytuacji, następnie przenoszenie 2. Baterii na nowe pozycje, jednym słowem, nie mogłem się już na drugi zawód położyć. O ile zamiar przeniesienia dywizji jest prawdziwy, nie można skonstatować; mamy, tak jak wczoraj, rozkaz trzymania swoich pozycji i nieatakowania.

Z zarządzonego szczepienia przeciw cholerze, któremu się wszyscy poddajemy, wnosić należy, że przyszłość nasza – na galicyjskim froncie. Oczekujemy zresztą beczynn timer swego losu grając w szachy, inni w karty. Po obiedzie postanawiam się przespać, bo czuję tego ogromną potrzebę. Uda je mi się to jednak tylko częściowo, resztę uniemożliwiają muchy, będące zresztą plagą na każdym kroku. Co wieczór

przyniesie, zobaczmy. Brygadier pojechał w pole, ale nie wiem, po jakie 100 diabłów. Tymczasem przyjechał w odwiedziny Poperego, i przywozi ze sobą Zygmunta z Hasem, obydwu urlopników. Wrócili z humorem, Zygmunt jeszcze grubszy, niż wyjechał. Wprawdzie mi nie przywiózł płaszcza gumowego, o który prosiłem, ale za to powiada, że puścił 100 K., które mu nań dałem – no i radźcież, kto może, co ja mam z nim zrobić? Opowiadają wiele ciekawych rzeczy, na ogół jednak niewesołych ani zbyt pocieszających; moralność moją razi i martwi upadek obyczajów i tak już przed wojną nadwerężonych. Wynika bowiem z opowiadań Zygmunta, że próżno byś we Lwowie szukał cnoty niewieściej, nawet ze świecą. Pocieszam się tylko, że jeśli kto, to już najmniej Zygmunt ma co do mówienia o cnocie! Sytuacja wieczorna niezmieniona. Obydwie strony siedzą cicho – nie słysząc żadnego strzału. Po zwykłym wieczornym natelefonowaniu się, idę spać, jak zresztą i większość towarzyszy.

8 ^aObudziłem się z rana na wiadomość, że się Moskale znowu cofnęli. Przeczuwając tedy odmarsz, obracam się na drugi bok, dla tym dokładniejszego wyspania się, co przeprowadzam tak dokładnie, że popatrzwszy później na zegarek, z przerażeniem konstatuję godzinę 8.30! Ubieram się przeraźliwie szybko, częścią ze wstydu, częścią z obawy, by nie dostać całkiem zimnej kawy. Pędzę na miejsce naszych ogólnych zebrań, gdzie zastaję większość panów już zatrudnionych... kartami; łupią wszyscy, aż się stoły trzęsą, nie wyłączając nawet mojego brygadiera. A no! Nie pozostaje mi nic innego, jak kibicować, co też i robię. Boli mnie przy tym waleczna pierś od wczorajszego szczepienia. Około południa wydana dyspozycja nakazuje zebranie się i od-

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

marsz dywizji do Kurowa i w jego okolice; komenda zostaje jeszcze przez dziś w Barłogach.

Do roboty nie ma nic a nic. Oprócz tego zaczyna padać deszcz, tak żebyśmy się byli chyba pourywali z nudów, gdyby nie okoliczność, że P[an] Bóg stworzył sen, którym się pokrzepiamy aż do nieprzyzwoitości długo. Zaciekawia mnie fakt, że pomimo mojej choroby na bezsenność śpię bez przerwy, ignorując nawet napaści much, aż do 6.00 wieczór. Ba! Po przebudzeniu się mam nawet ochotę dalej spać, czego jednak zaniechuję, na wiadomość, że mamy rzekomo jutro iść do Lublina. Bardzo bym się ucieszył, gdyby to miała być prawda, na razie jednak nie ma innego powodu do śmiechu, jak zwyczajne wzajemne naciąganie się. Wczorzem dowiadujemy się, że jutrzejszy dzień przeznaczony jest na spoczynek, zostajemy na miejscu. Dywizja kwateruje w obrębie Kurów–Brzozowa.

9 Dość długo graliśmy wczoraj w karty i nie bardzo się chciało wstawać. Zaraz po śniadaniu proponuje kapitan wykorzystanie *Rasttagu*^a i odbycie spaceru konno. Aprobuję ów pomysł i po półgodzinie jedziemy do Kurowa, urozmaicając drogę różnym tempem jazdy. W Kurowie zwiedzamy niemiecki park samolotów, wzorowo urządzone, następnie składamy wizytę choremu koniowi pana kapitana, pozostającego w kuracji u Popera, następnie nie dostajemy spodziewanego drugiego śniadania, za czym dopiero wracamy do domu, gdzie przybywamy około południa. Zastaliśmy tu już pana pułkownika Wolffa, obejmującego komendę brygady w miejsce wyjeżdżającego na urlop mojego brygadiera. Znamy się już od początku wojny, w różnych okolicznościach widzieliśmy się; ciekawym, jaki się okaże jako

^a Dzień wypoczynku (niem.).

bezpośredni przełożony. Za chwilę dostajemy z Zygmuntem rozkaz przygotowania kwater w Sławinku pod Lublinem, dokąd ma się jutro komenda udać. Po co czekać do jutra, kiedy dzisiejszy wieczór można by spędzić w Lublinie? – myślę sobie, za czym przedstawiamy sprawę tak, że otrzymujemy pozwolenie wyjechania natychmiast. Zaraz też po zjedzeniu obiadu siadamy na Zygmuntownó wózek (Panie Boże spraw, bym już nigdy nie miał do czynienia z tym meblem!) i jedziemy!

Po drodze przysiadł się i Sandig w Olempinie, tak że dalszą drogę, przy wzajemnym gnieceniu się, odbywamy w trójkę. Tura przez Markuszów–Garbów–Bogucin–Jastków–Sławinek wynosi ponad 30 km. Sławinek próżny, po powierzchownym oglądnięciu opuszczony, postanawiamy rano tu wrócić dla zrobienia kwater. Na razie Lublin! Lublin! Lublin! Dostajemy się do miasta. Zygmunt dryndą, ja z Sandigiem nadarżonym automobilem z korpusu; wjechaliśmy sobie jak hrabiowie około 7.00 wieczorem w samą promenadę. Naturalnie, żaden nie myśli o oglądaniu miasta, bo i tak już ciemno, zostają więc do oglądania ludzie, którzy nam się zresztą całkiem podobają. Jakie tu miliony kobiet! A ładnych, i ładnie ubranych! Mam wrażenie, jakbym pierwszy raz w życiu był w mieście, tak ten ruch jakoś oszałamia! W rezultacie gubię towarzyszy, znajduję za to Staszka H., razem znajdujemy jeszcze dwie osoby – ostatecznie cała noc mija w towarzystwie.

10 Ponieważ dowiedzieliśmy się jeszcze wczoraj od kap[ita]na S., że sztab najprawdopodobniej zmieni zamiar i przyjedzie do samego Lublina, zabieramy się przeto do zrobienia kwater w mieście. Ale niech diabli wezmą taką robotę!

Dość powiedzieć, że zaczawszy o 6.00 rano byliśmy dopiero w południe gotowi, tzn. w czasie, gdy nam sztab prawie na pięty nastąpił. A ile przy tym biegania po komendach, magistratach, schodach i innych diabłach, to aż się żółądek wywracał, i co chwilę zapowiadałem Zygmuntowi, że jeżeli mnie za pół godziny szlak nie trafi, to za trzy kwadranse na pewno. Tymczasem maszeruje przez miasto 24. Dywizja w całej swojej okazałości, i przyznać trzeba, prezentuje się dobrze. Wywołuje naturalne w takich razach zbiegowisko, ale na twarzach [obserwujących] zauważa się raczej zainteresowanie i radość, aniżeli gapiowatość. Bo też nie potrzeba zapewniać, że tutejsi czekali na nas niecierpliwie – czuje się to na każdym kroku, w stosunku do wszystkich. Obiad zjedliśmy w hotelu „Wiktoria” i... co za traf! Siedziałem obok stołu zajętego przez rodzonego syna cesarza Wilhelma!¹¹⁴ Byłby mi ten wypadek może zawrócił w głowie, gdyby nie to, że nie jestem zbyt wrażliwy, bowiem np. własna wielkość nie zdołała mi zawrócić w głowie, więc cóż dopiero mówić o cudzej.

Zamierzanego zwiedzania miasta nie mogę skutecznie, bo łatwo zrozumiałe, że jestem zmęczony jak dwa psy. Pożegnałem się czule z brygadierem odjeżdżającym na urlop, poszedłem do fryzjera, po czym – by przecież nie tracić czasu na spaniu – powlokłem się do parku i tu studiuję promenujące typy. Gra przy tym muzyka, ale naprawdę tak bajecznie, że gdyby mnie nie zapewniano, że to tutejsza miejska „harmonia”, przysięgłbym, że to orkiestra strażacka z Pipidówki. Miło jednak spędziłem tych kilka kwadransów na samej obserwacji bawiących się dzieci i w ogóle życia innego, niż to nasze – polowe. Wyszedłszy z parku, rozmyślałem nad własną moją walecznością, zapomniałem

Die wolhynische Jungfrau.

(Zeichnung von Willy Stieborzky)



„Na, Maruichka, wer ist dir lieber: wir oder die Russen?“
 »Ihr nicht. Ihr immer verlangen, soll mich waschen.«

Żołnierze i dziewczyna z Wołynia.

„Wołyńska dziewczyna.

– No, Marusia, kogo bardziej lubisz: nas czy Rosjan?

– Was nie. Ciągłe chcecie, abym się myła”.

Karykatura z wiedeńskiego czasopisma humorystycznego

„Muskette“ z listopada 1916 r.

bowiem nadmienić, że mi brygadier gratulował odznaczenia brązowym medalem waleczności. Podziękowałem mu tak serdecznie, że aż był zmieszany poniekąd tą serdecznością, bo... komentarzy nie trzeba!

Najważniejszym jednak wypadkiem dnia jest spotkanie Albina C. i Bolka P.! Pierwszy [jest] podporucznikiem przy legionach, drugi chorążym, odznaczonym Złotym Krzyżem Zasługi. Obydwaj wyglądają dobrze, i przy dobrych usposobieniach; nie potrzeba dodawać, co za uciecha była Jasiu, proszę cię! Widziałem się również z Mietkiem Rozborskim, reperującym sobie tu, jak powiada, zęby. Wygląda również dobrze i... zawsze taki sam. Rozeszliśmy się wkrótce, bo postanowiłem być w teatrze, gdzie się zresztą mamy znowu zobaczyć. W łóży znalazłem się w towarzystwie dwóch pań, raczej dwóch panienek. Wesołe dzierlatki, i bardzo przyjemne w towarzystwie, o czym się namacalnie przekonałem, ale tak się przejmują tym grany *Dobrze skrojonym frakiem*¹¹⁵, że niedługo zaczyna mi się nudzić. Za czym po drugim akcie, według wyrażenia Zygmunta, „spalam się jak smród”. Zjadłem kolację i idę do przeznaczanego mi Wersalu pod N^o 4. I dzisiejszego wieczora obraza boska, przekroczenie 6. przykazania, chociaż przyznałby mi każdy, że ta kapitańska żona (czy naprawdę kapitańska, tego nie wiem, ale że kapitalna, na to przysięgam), to jednak istota warta grzechu. Nie widzę też powodu, dla którego miałbym właśnie nie grzeszyć, tym bardziej, że sposobność do pobożnego życia nadarza mi się w normalnych warunkach przez 7 dni w tygodniu. A zresztą – mszczę się przy tym na wrogu – rosyjskim kapitanie.

11 Całkiem zrozumiałe, że się wstawać nie chciało, i to wstawać po to, by opuścić to bajeczne miasto. No, ale nie ma rady. O 5.00 jesteśmy gotowi do odmarszu, oglądamy się tylko za sposobnością zjedzenia śniadania, ale pomimo szczerych wysiłków nie nadarza się żadna. Śpi całe miasto jeszcze, i ani mu w głowie śniadanie, i to jeszcze cudze. Z pustymi żołądkami zatem, a duszami pełnymi wrażeń, odjeżdżamy, kierując się na Piaski. Szosa dobra, a nawet bajeczna, pogoda dopisuje, a jednak – jednak nam się jechać nie chce – czuje się w kościach to miłe zmęczenie, o które zwykle tak trudno. Parę kilometrów przed miasteczkiem przesiedliśmy się na ciężarowy automobil i, zawaławszy sobie w ten sposób całkowicie spodnie, dostaliśmy się do Piasków; do połowy spalone miasteczko, bez żadnych osobliwości.

Po małej hecy w pruskiej komendzie stacji etapowej, pozałatwiliśmy sprawę mieszkań i zaczynamy się nudzić, bo nic do roboty, oprócz czekania, nie ma. Ostatecznie przyjechał sztab dopiero około 6.00 wieczorem, jak się okazało bowiem, po odbytej rano zapowiedzianej defiladzie przed Mackensenem, zostali sobie wszyscy w Lublinie na obiad. Kłamię na daremne moje wczesne wstanie i opuszczenie miasta, ale w końcu mieli rację, że tak zrobili, jak zrobili, bo i po cóż mieli się spieszyć? Przed kolacją dokonuje ekscelecja operacji dekorowania mnie; wyrzekł przy tym parę słów, coś o „kiełkującym nasieniu” etc., no, ale od pewnego rodzaju przedstawień nie można się uchronić. Przyjemniejsza była ale sama kolacja, bom głodny jak początkujący artysta rzeźbiarz.

12 Krótki marsz dzisiejszy będzie, bo zaledwie 12 km; idziemy do Siedlisk Wielkich, wczorajszej siedziby komendy

korpusu. Miejsca w pałacu dużo, jak twierdzi administrator, wyrobowanego przez Niemców. Że to milionowy majątek, widać na każdym miejscu po fabryce, destylarni spirytusu, hodowli bydła itd., i jeżeli go rzeczywiście Niemcy tak przyrzadzili, to gratuluję sobie koleżeństwa. Właściciel, p[an] Krasieński, wyjechał do miasta po rosyjskich niewolników, dla dokonania zbiorów. Oprawdza mnie wszędzie jego administrator, p[an] Morawski, chełpiący się ustawicznie z wielkości i urzędnika majątku, chociaż, co prawda, jest z czego. Dywizja przybyła i rozsiadła się wygodnie, jak już dawno nie miała do tego sposobności. Zepsuło nam tylko humor rozporządzenie komendy armii, nakazujące wszystkim oficerom aktywnym, przydzielonym przy komendzie, powrót do swoich pułków.

W ten sposób muszą odejść kapitanowie Krämer, Prchal, a co najważniejsze, Zygmunt. Robi się nam tak przyjemnie, jakby nagle któregoś z nas brakło na zawsze. Wprawdzie Zygmunt rezonuje jak zawsze, dowodząc, że wykluczone jest przegranie wojny, jeśli on będzie na froncie, ale czuję, że i jemu nieswojo. Bo i sprawiedliwie rzecz biorąc, to po 13. miesiącach wojny nie to mu się należy. Zły jestem taki, że mnie nie może zająć nawet rozmowa z właścicielem majątku, a naszym gospodarzem, człowiekiem bardzo inteligentnym i miłym. Diabli nadali rozporządzenia!

^a Surchów. 13 Marsz Siedliska Wielkie–Surhów^a przez Krasnostaw^b.

^b Krasnostaw. Z Zygmuntem jak zwykle rozpoczynamy podróż. Wczorajszy wieczorny nastrój udziela nam się i teraz; nie mówimy wprawdzie o tym, ale przekonany jestem, że myśli o tym samym, co i ja, że się rozejdziemy. Tłumię w sobie złość, bo i nie wiem, dlaczego nagle ma mi go braknąć. Przyzwyczaj-

ilem się do tego pyska, bodaj czy nie bardziej jak do siebie samego, i nie wiem, co zrobię, gdy mi go nagle przy sobie braknie. Przygaduję mu też ze złości po drodze na różne sposoby, bo naprawdę wściekły jestem, ale cóż, kiedy bestii nie można z równowagi wyprowadzić, co mnie jeszcze bardziej irytuje. Rezultat ten, że długi czas jedziemy w milczeniu i ożywiamy się dopiero na widok trzech pielęgniarek, maszerujących za przenośnym szpitalem, z których jedna tak nieszczęśliwie, a raczej tak wdzięcznie wskoczyła na wóz, że jej przy tym aż majtki zobaczyliśmy, co razem ze ślicznymi nóżkami tak bajecznie się zaprezentowało, żeśmy się w tej chwili chcieli zgłosić jako chorzy, by się dać onym delicjom pielęgnować. Odstąpiliśmy od tego zamiaru dopiero na skutek refleksji, że choremu wypada właściwie nie ruszać ani rączką, ani nóżką, czy to swoją, czy jakąkolwiek inną.

Jedziemy więc zamyśleni dalej, wydając z siebie od czasu do czasu jakieś siarczyste słowo pod adresem upału, aż przybywamy do Krasnostawu. Miasteczko mało zniszczone, robi wrażenie czystego, w normalnych warunkach. Na razie wyludnione z mieszkańców, a raczej zaludnione przez Niemców i tychże szpitale. Zatrzymujemy się tu dla przesiodłania koni i kilkunastominutowego oddechu; przybywa również wózkiem p[an] kap[itani] J., co naturalnie wykorzystuje Zygmunt, i zaprasza się na wehikuł do dalszej jazdy. Pojechali, a ja pozbierawszy ułanów potryndałem niedługo za nimi. 3 km za miastem zboczyliśmy z szosy na piaszczystą drogę, która w swojej jakości nie zmienia się już do samego Suchorowa.

We wsi znajdujemy już pilnego Hasa, sortującego wczoraj otrzymaną pocztę. Dostaje się i mnie przy tym parę gazet, od kilku już dni wyczekiwaných. Kwaterujemy na plebanii,

gdzie wprawdzie ciasno, ale za to zdrowo, bo zarówno we dworze, jak i na wsi leżą chorzy na cholerę oraz zmarli na takąż przypadłość. Stoły ustawiamy na cmentarzu kościelnym, w towarzystwie pięciu świeżych rosyjskich grobów, co jednak apetytu nie psuje. Mój kapitan urządza koncert na organach kościelnych, ku zbudowaniu proboszcza, dziwiącego się tak pięknej muzyce. Wieczorem po kolacji wychodzę na spacer, bo powietrze bajeczne. Postanawiam jednak po powrocie nigdy tego sam nie robić, bo człowieka napada tyle rozmaitych przykrych myśli, tyle jakiegoś smutku, że się nie opłaci zażywać uroków pięknego wieczoru. Jakiś na poły przygnębiony kładę się w namiocie spać.

14 Dalszy ciąg włóczęgi, czego zwyczaj, jesteśmy z Zygmuntem już o 5.00 godz[inie] w drodze, mając dwie wytyczne: Wojsławice i Uchanie. Podróż jak zwykle przyjemna, zasadzająca się na dokładnym wytrzęsieniu żołądka. Za to dopisuje nam szczęście w Wojsławicach, przybyliśmy bowiem do tutejszego zamku w momencie opróżniania go przez niemiecką komendę armii Linsingena¹¹⁶. Zajmujemy naturalnie pałac natychmiast, i to z uciechą, bo pomieszczenie tu znakomite. Własność hr. Poletyły odznacza się przede wszystkim mnogością nadzwyczaj obszernych pokoi, następnie pięknym, do połowy przez Niemców wyrabowanym, urządzeniem tychże. W każdym razie życie byłoby tu znośne, gdybyśmy dłużej zostać mieli. Omal że w każdym pokoju jest fortepian albo pianino, tak że koncerty trwają do późnego wieczora.

Dokąd będą trwały jeszcze te marsze? Idziemy już parę dni, jakby wojna wyłącznie na tym polegała, i nie widać końca tego spaceru, owszem, podostawaliśmy nawet świe-

że mapy na dalszą podróż. Jakoś mi coraz bardziej brakuje zapału do dalszej wojny – chodzę w ogóle bez humoru, tak że mi się nawet ogólna wesołość nie udziela. Uciekamy po kolacji z inżynierem do swego pokoju na górze, gramy w kradzione (czyt[aj] rekwirowane) szachy, przypijając sprawę znakomitym starym winem, które „się gdzieś znalazło”. Posnęli już wszyscy, ja zaś do późna ze swoimi myślami dosiedziałem. Jutro mamy wcześniej niż zwykle wyjechać.

15 ^aO 4.00 powstawaliśmy, bo droga dosyć daleka. Tak się nam chce jechać, jak psom tańcować! Mamy przy tym taki humor, że parę kilometrów przebywamy w milczeniu, co nigdy się nam dotychczas jeszcze nie zdarzało. Marsz Wojsławice–Uchanie–Mojśławice–Hrubieszów trwa do 10.30, bez spoczynku po drodze. O tym czasie przybywamy na miejsce i zaczyna się u komendy etapowej zebranie o kwatery, trwające dosyć długo, bo panowie jak zwykle wygodni. Uporaliśmy się jednak z tą sprawą jeszcze na czas, tak że przybyły około 1.00 sztab znalazł od razu pomieszczenie. Uderzyła mnie czystość panująca w mieście, przy równoczesnej obecności mnóstwa Żydów; otóż, jak się okazało, powodem jest cholera grasująca tu nie na żarty. Dziennie grzebią 100–120 kandydatów, jest więc ono choróbsko w poszanowaniu, za czym i czysto w mieście.

Samo miasteczko nic szczególnego w sobie nie posiada. Kościół przy niedzieli był nabity, nie wiem, czy z nadmiaru pobożności, czy znowu cholery, bo to jak trwoga, to do Boga. Cerkiew ma być podobno wewnątrz nadzwyczaj ładna, o czym z braku czasu nie mogłem się przekonać. Dopiero wolną chwilę wieczorem obróciłem na spacer po mieście, ale i tego zaprzestałem wnet, bo prawie na każdym kroku

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

spotykałem albo cholerycznego umrzyka, albo też podobnego kandydata. Resztę wieczoru przesiedzieliśmy przy herbacie – po otrzymaniu dyspozycji idziemy wcześniej spać.

^a Izow. 16 Dalszy marsz Hrubieszów–Izuw^a–Rusów–Chotjaczów–Uściług. Nie konweniujecie nam dzisiejszy rozkaz przygotowania kwater albo [w] Izowie, albo Rusowie, albo itd., szkoda, że jeszcze innych 15. miejscowości nie wyliczono. Przebywamy granicę guberni chełmskiej i wołyńskiej, przeprawiamy się przez most na Bugu, wyczyniającym tu mnóstwo misternych zakrętów, i dostajemy się wreszcie do Izowa. Wsie tu wszędzie opuszczone, mieszkańcy przeważnie Rusini lub zgoła prawosławni – częścią dobrowolnie, częścią zmuszeni powędrowali z Moskalami. Pozostałe resztki gospodarzą przeważnie na cudzych polach, przy współudziale diabli wiedzą skąd przybyłych Żydów. Trochę przeskadzamy tej bandzie w grabieży, ale ostatecznie za mało jest czasu, by zupełny porządek móc przywrócić. Zarówno w Izowie, jak Rusowie i w Chotjaczowie nie ma takich kwater, jak byśmy sobie życzyli. Wybieramy w końcu z trojga złego najlepsze i zamieszczamy się w Izowie.

Gdy już wszystko było gotowe, dostajemy rozkaz zrobić to samo w Uściługu, bowiem w ostatniej chwili tam się zdecydowano zamieszkać. Klęcie jak Bóg przykazał, ale jedziemy dalej, i jakoś szczęśliwie znajdujemy jeszcze dosyć pomieszczenia, pomimo że tu już dosyć komend mieszka. W mieście panuje również cholera, chociaż nie tak silna, jak w Hrubieszowie, bo zaledwie trzy umrzyki spotkałem przez resztę dnia. Mieścimy się na cerkiewnej plebanii, czystej i dosyć obszernej. Wieczorem robimy spacer do zamku, zajętego przez 18. K[onną] Bryg[adę]. Po kolacji zaś

nawet za Bug, dla oglądnięcia z bliska pożaru. Po powrocie, niezarażeni na cholerę, pomimo opchania się owocami, popełniamy grzech śmiertelny (gruby jak noga u nasady, według twierdzenia ks. kapelana), kładąc się na nocleg w kaplicy cerkiewnej.

17 Nareszcie dzień bez marszu – śpimy jak wariaty albo przynajmniej półgłówki, co nam się też i należy po tyłodniowym marszu. W drodze na śniadanie zaczęły mnie Żydy, chcące się dać szczepić przeciw cholerze, dowód, że muszę mieć wygląd albo poważny, albo doktorski, kiedy się z tym do mnie zwrócili. Lepiej się zwiedzieli ode mnie, że się dziś ma szczepienie odbyć, bo rzeczywiście ten zamiar istnieje, a nawet niedługo zjawia się miły doktor S., który tej operacji dokonuje. Z braku zajęcia odgrywam rolę asystentki, co się o tyle opłaciło, że miałem sposobność napatrzenia się rozmaitego rodzaju piersiom, zarówno męskim, jak i... niemęskim, z których parę było naprawdę godnych uwagi. Odwołuje mnie od tego miłego zajęcia tajemniczym ruchem Zygmunt. Przeczuwałem, że o coś głupiego chodzi, i nie omyliłem się, bo sprowadził mnie do podkościelnych piwnic, gdzie, jak twierdzi, muszą się znajdować jakieś tajemnicze krużganki lub groby, bo... dudni. Nie mogłem się powstrzymać od zapytania, czy mu przypadkiem w tym głupim łbie nie dudni, co dowodziłoby zresztą o normalnej pustce w tym narzędziu, ale w końcu dają się i ja powodować ciekawości, tym bardziej, że uzbrojeni w łopaty i motyki jego żołnierze rozpoczynają pracę. Po godzinie wzajemnego udowadniania sobie, że wykopią złoto, i że wykopią... nie złoto; doczekaliśmy się wydobywania czaszki owiniętej w jakiś dobrze zachowany bisior. W następnym kwadransie wydo-

byto znowu czaszkę i trochę kości, a ponieważ ciągle jeszcze dudni, nie zaprzestaje Zygmunt roboty, wobec czego, prosząc go, by mnie zawołał, gdy będzie miał ze 20 czaszek, idę na obiad. Po południu zarządzono przenosiny z obecnych kwater do zamku, opróżnionego już przez komendę 18. Brygady Kawalerii. Pomieszczenie naturalnie o całe niebo lepsze od dotychczasowego. Zły jestem wieczorem jak 100 diabłów – sam nie wiem, dlaczego – zapewne skutkiem złej pogody.

18 Powstawaliśmy wcześniej, by się godnie na uroczystość przygotować; kosztowało mnie to przygotowanie dosyć bieganina i wyklinania, bo nie ma ani szabli, ani Antka, a tu tymczasem oba te meble potrzebne. Koniec efektu był, że nie poszedłem do kościoła, musząc zostać jako zastępca brygady. Odbijam sobie zawód na p[anu] inżynierze, łupiąc z nim w szachy, co się wlezie. W południe, uczesawszy się i przypięwszy medal na waleczną pierś, poszedłem na obiad z uroczystymi mowami i uroczystym zacinaniu się przy nich, a z których każdy bardzo łatwo mógł wyrozumieć, że dziś są cesarskie urodziny¹¹⁷, powtarzające się już od 85 lat, i wiele tym podobnych zbawiennych mógł wynieść korzyści. Grająca przy obiedzie orkiestra tak towarzystwo do reszty rozochociła, że nawet nikt nie zauważył, że marka na szampanie nie była zbyt wyświeczonego pochodzenia, albo też możliwe, że nikt nie był już w stanie [tego] zauważyć. Rezultatem był ogólny „wypoczynek” po obiedzie, trwający aż do kolacji, w którym to czasie, połknąwszy jakiegoś sznycła, dowiedziałem się o zdobyciu Kowna z 400. armatami, za czym zaraz potem poszedłem spać na nowo, tym razem mniej dla „wypoczynku”, a więcej „z uciechy”.

19 Budzą o 6.00 rozkazem gotowania się na 7.00 do drogi. O tym też czasie jesteśmy z Zygmuntem na koniach, zaopatrzywszy się według rozkazu w paru huzarów, bo sytuacja podobno nie całkiem jasna. Główki nam ciężą, psia pies – jakby zawarte w nich siano przybrało w ostatnich godzinach ciężar gatunkowy ołowiu – pomimo tego jedziemy z animuszem, bo zresztą o to u pijaków najłatwiej. Zapuszczamy się coraz bardziej w bagna, teren, w jakim jeszcze nie praktykowaliśmy. Od spotykanych tu i ówdzie rzadkich mieszkańców opuszczonych wsi, dowiadujemy się, że Moskali tu już od poniedziałku nie ma, co nas tak uspokoiło, żeśmy o mało co nie zaniedbali najkardynalniejszych środków ostrożności, jak się okazało, niestuszenie.

Około 10.00, po przebyciu Edwardopola, przybyliśmy do celu, tj. wsi Worczyn, natykając się na samym wstępie na patrol kawalerii zatrzymujący nas, bo jak komendant twierdzi, w lesie jest cała sotnia kozaków. Przeczekaliśmy chwilę, czy nas nie zechcą napaść, ale w końcu trzeba się było przekonać, czy przypadkiem nie zamierzają Moskale zaaranżować jakiego ataku kawalerią, bo jak z meldunków widać, kręci się ich tu w okolicy ze cztery pułki. Najpierw oglądnęliśmy sobie z Zygmuntem drogę, którą trzeba będzie ewentualnie uciekać, następnie porozstawialiśmy jeźdźców na każdym przejściu, po czym zabrawszy każdy po dwóch huzarów postanowiliśmy las przeszukać, on z prawej, ja z lewej strony zajeżdżając. Nie wiem, co Zygmunt wyczyniał, ale ja nie zapuściłem się od razu między drzewa, tylko pomyślawszy, że jeśli mnie mają dostać, to mnie tak czy tak dostaną, zacząłem las okrążyć i zaszedłem wreszcie z przeciwnej strony. Nie ujechałem zbyt daleko, gdy padło parę strzałów. Oho! Zygmunt ich ma, a musi ich być niedużo, jeśli

strzela. Przyspieszyłem tempa, ale za późno, bo mi się pięciu wymknęło, że już ich z pistoletu dostać nie było sposób, jakkolwiek oddałem 10 strzałów. Ale bestie kozunie zmywać umiej! Ostatecznym wynikiem wyprawy było skonstatowanie, że las jest czysty, i sprowadzenie do niewoli czterech piechurów, zbłąkanych z własnej pilności, a z których trzech należy do mnie, jeden do Zygmunta.

Po zredagowaniu meldunku i wysłaniu go do dywizji, zjedliśmy zasłużone śniadanie i osiedlili się na stałe w Kolonii Worczyn. Dworek tu chędogi i ubogi. Ubogi do tego stopnia, że oprócz połamanego fortepianu nie ma żadnego mebla, nie wyłączając właściciela. Pogoda bynajmniej nie dodaje uroku rozsiadłej na moczarach wsi. Wrażliwi panowie już odczuwają nawet niebezpieczeństwo malarii, choroby, od której można się świetnie uchronić malowaniem, a raczej lakierowaniem gęby, co też i w przyzwoitym stopniu czynimy. Sytuacja nieprzyjacielska jeszcze nie jest dokładnie zbadana, ale możemy spać spokojnie, bo przed nami stoi cały kombinowany korpus kawalerii, z zamiarem parcia na Kowel.

20 Zostajemy na miejscu, ograniczając się na wysłaniu dwu grup piechoty z artylerią dla ewentualnej pomocy, gdyby się kawalerii nie powiodło. Zresztą pozostawionym jest pole do popisów ułanom, dragonom i kirasjerom, których nawet 4. Dywizja (5 КТД.д.)^a zostaje na front wstawiona. Prawie cała dywizja obozuje i kwateruje w Worczynie. Pogoda pod psem! Odczuwamy ją w różnym stopniu wszyscy, najbardziej jednak Zygmunt, któremu spuchło gardło i здаje się głowa, bo leży cały dzień, nie wystawiając nawet nosa na dwór. Zaszedłem do niego na chwilę i przekonałem

^a 5. Kaval-
lerie Trup-
pendivision
(niem.)

5. Dywizja
Kawalerii.

się z rozczarowaniem, że bestia niestety nawet żyje i daleko mu jeszcze do śmierci. Mam jednak nadzieję, że ta cała choroba nie będzie miała poważniejszych następstw, choć pacjent gorączkuje jak samowar.

Chyba musi być coś prawdy w twierdzeniu, że tutejsza bagnista okolica wpływa na zdrowie, bo równocześnie z Zygmuntem rozchorował się nadpor[ucznik] I., kap[itan] Pr[chal], Kaufmann, Kral, Lederer; reszta zaś raczej udaje zdrowych, niż nią jest rzeczywiście, bo towarzystwo chodzi osowiałe jak rzadko. Nic do roboty nie mając, błąkałem się po wsi i odwiedzałem równie beczynnych znajomych; w ten sposób zaszedłem do 6. Baterii i natrafiłem na moment raczenia się koncertem gramofonowym oraz wódką, która według słów Budrego jest znakomita, bo „miszowana”. Nie uchylam się bynajmniej od miłego ze wszech miar towarzystwa i spędzam z nim parę miłych chwil. Przybyło dziś do pułku trzech oficerów z kadry, po raz pierwszy na front; jeden z nich twierdzi, że jest tak przekonany o rychłym zawarciu pokoju, że się dobrowolnie na front zgłosił. Chciałbym bardzo w to jego przekonanie wierzyć. Naśmialiśmy się, co tylko wlaźło, i pożegnałem pasażerów.

Za powrotem do dywizji wysłuchuję półgodzinnych lamentów darzącego mnie swoim zaufaniem kapitana K[rala], po czym dopiero zabraliśmy się do kolacji, zakończonej wzorowo, bo wiadomością o wzięciu Modlina, 87 000 jeńców, w czym 6 generałów, oraz 700 dział – tylko więcej takich wiadomości, a niedługo nie będzie z kim ani z czym wojować. Kral się tak cieszy, że wypija miliony herbat z rumem, które jak się okazało mają ogromny wpływ na zachowanie nocnego spokoju, o czym się każdy ze śpiących z nim namacalnie przekonać może.



C.k. ułani we wschodniej Galicji podczas przeprawy przez rzekę

21 Od rana jesteśmy gotowi do zapowiedzianego odmarszu w kierunku północno-wschodnim, a więc na Kowel. Dziś już za to na pewno natkniemy [się] na Moskali. Zabieram się do drogi w dobrym humorze, zapewne dlatego, że deszcz pada już od dwóch godzin bez przerwy i zmokniemy sobie jak należy. Po błocie, jakiego już dawno nie było, maszerujemy przez Ochnówkę–Błażenik–Mokrec–Duliby. Kilkakrotny postój po drodze, w żadnym atoli wypadku dla zjedzenia czegokolwiek, za czym trzeba o słowie Bożym podróżować. Trapię się trochę o Zygmunta, którego wiozą z nami w szpitalnym wozie, bo nie był jeszcze zdolny na konia, no ale chyba tam długo nie poleży. Około 6.00 wiecz[orem] rżniemy z kapitanem do Kustycz, później do Dulib, bo się dyspozycja zmieniła, na skutek, że Rus rypał do wsi granatami. Ciekawe jest, że każda z wsi, które mijamy jest akurat całkiem spalona albo całkiem wyewakuowana; literalnie żywej duszy w całej osadzie nie znaleźć. W Dulibach, gdzie przybyliśmy już późnym wieczorem, znajdujemy niezłe kwatery, ale za to żadnego spokoju, bo przygotowania do zapowiedzianego na jutro ataku zajmują tyle czasu, że się zaledwie chwila znalazła na przełknięcie zupy. Opisać nie potrafię, jak tęsknię chwilami za przeżyciem paru dni spokojnych, w których nic bym nie znalazł z wojną wspólnego!

22 ^aSztab wyjeżdża na stanowisko dzienne. Mamy zabić znajdujących się przed nami Moskali i spieszymy się skutkiem tego tak bardzo, że nawet nie zdążyłem zjeść śniadania. Wzięliśmy kierunek na Mirowicze, z postanowieniem usadowienia się na północ od tej wsi, ale z chwilą gdy Rus zaczął prać szrapnelami, nic z tego postanowienia nie zostało i zatrzymało się towarzystwo. Ponieważ ale i tu nie

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

bardzo bezpiecznie, decyduje wyższy rozkaz cofnięcia się, aż pod cmentarz duliński. Ważne to atoli dla innych, brygadier bowiem z nami dostaje polecenie co do rozmieszczenia baterii, zabiera nas ze sobą, i w ten sposób odłączywszy od reszty wparantowaliśmy się w sam ogień. Teraz dopiero miałem sposobność się przekonać, że stary W. to jeden z tych dawnej daty spokojnych ludzi; nic się jegomość nie skonfudował, chociaż było ciasno! Umieściwszy konie w bezpiecznym miejscu, poszliśmy oglądnąć zamierzone stanowiska baterii z bliska, ale sprawa ciężko pójdzie, bo teren równy jak stół, a oprócz tego Moskał wali bez przerwy, tak że zniósłby baterię, zanim by na pozycję przyjechała. Umieściliśmy się przy Bośniakach, mających już gotowe połączenie telefoniczne, chociaż kiepsko funkcjonujące, co na własnych kościach odczuwam, musząc co chwilę jeździć z rozkazami, które by się mogły przejechać na drucie; do tego sam jestem, bo Kral, twierdząc, że chory, został przy trenie. Zastanawiam się ustawicznie, skąd Moskale nabrali naraz takiego rozmachu do strzelania. Czy im amunicja nadeszła, czy też chcą tylko zamanifestować, że im jej nie brak; dość, że nie dali spokoju do południa, i musieliśmy siedzieć nie wystawiając nosa ani w ogóle żadnego członka poza okopy. Ostatecznie zgoda i na to, ale psia pies żółdyczek opowiada romanse, nie mogąc zapomnieć niespożytego śniadania. Wojna dzisiejsza dobry koniec jednak zapowiada, bo przecież nie mógł Rus nawet ze swoim niesamowitym strzelaniem nadażyć, i już go niemiecka dywizja kawalerii prze z lewej strony. Nasze wojaki okopali się jak przystało i ani ich ruszyć stamtąd, więc i kontrataki rosyjskie powodzenia nie mają. Pod wieczór wysłano mnie jeszcze do Kulczyzna, bo się namawiamy na jutro z przybyłą 26. Dywi-

zją (14. Kps)^{a118}. Spotkałem po drodze nieszczęśliwego jak zwykle Julka, po czym wróciwszy stanęła mi kobyła na nogę, ale tak jakoś zręcznie, że mnie nie boli. Atak na dziś zatrzymany, ma się prowadzić jutro dalej. O mało nie gorączkuję na temat zjedzenia czegokolwiek, choćby to miało być coś lekkiego, jak z osiem jaj na twardo lub kilo surowych karpieli. Spuchła mi przy tym zakatarzona trąba – chciałem powiedzieć, nos – tak że kicham i parskam ustawicznie, ku ucieście kobyły, zadowolonej ze skonstatowania u mnie końskich manier. W nocy dostajemy się nareszcie do Dulib, gdzie po nafutrowaniu^b się, i pozałatwianiu zwykłych hec z dyspozycją, można nareszcie wyciągnąć spokojnie kości.

^a 14. Korpus.

^b Nakarmieniu.

23 Jak przypuszczałem, Moskale demonstrowali tylko, bo wystrzelawszy się w dzień, zniknęli w nocy, cofając się kilka [kilometrów]. Bierzymy rozmach do pościgu, na czym nam schodzi do 10.00 blisko. W międzyczasie przysłała poczta i przyniosła nieoczekiwane kartki od I[reny] – raczej nie spodziewane, niż nieoczekiwane, bo się przed samym sobą przyznać muszę, że mi ich czasem było brak, chociaż sam się o to postarałem. Hej! Wionęło znowu jakimś na poły zapomnianym smutkiem, i długo myśli oderwać nie było można od tych chwil dawnych! Na szczęście, złapał mnie kapitanisko, prosząc na zalewanie robaka, o którego obecności u siebie twierdzi, pomimo że mu się fizjonomia aż śmieje z zadowolenia. Ruszyliśmy w drogę pod pewnym kątem do poziomu, z najpiękniejszymi horoskopami na powodzenie, z uciechą ze świata i nadzieją, że końca wojny tylko co nie widać.

Kierujemy się na Mirowicze–Kulczyn (spalony oprócz cerkwi do szczętu), na wzgórze 200. Po drodze dowiaduje-

my się z Pr[chalem], że mamy jechać do Turyjska, dla obej-
rzenia miasta. Podczas gdy się panowie rozsiedli do śniada-
nia, odbywamy tę podróż, wiedząc z góry, że tam nie zano-
cujemy, bo wszystkie dane przemawiają za dalszym mar-
szem. Jedna tylko korzyść, że się zobaczy to i owo, podczas
gdy inni beczynnie siedzą. Tym razem (bez rozczarowania)
nie bardzo się było czym zachwycać, bo Turyjsk jest prze-
ciętnie brudnym miasteczkiem, a tysiące jeszcze brudniej-
szych Żydów nie są mi nowością. Oglądnąwszy więc pobież-
nie plebańię i aptekę, jedyne mające możliwy wygląd objek-
ty, przejechaliśmy przez miasteczko, kierując się na wzgó-
rze zoo. Stąd, po pobieżnym pożywieniu się, ruszyliśmy nie-
długo dalej, błogosławieni, nie wiem za co, przez niemiec-
kich kolonistów, którym dziwnym sposobem domy ocalały.

Jednokrotnie tylko zbłądziwszy w moczarach, dostali-
śmy się już bez wypadków do Rużyna, majątku obszernego,
choć nie wiem czy zbyt wartościowego, ze względu na bagni-
stą okolicę. We dworze, własności p[ana] Siemiątkowskie-
go, nie zastajemy żywej duszy, ale za to ślady dość dokład-
nego plądrowania. Pomieszczenia w dwóch domach huk,
rozjaśniają się więc oblicza, tym bardziej, co z przykrością
skonstatować muszę, że się zdarza okazja do zabrania róż-
nych drobnostek, co się dzieje. Moskale uciekają ciągle, ści-
gani przez obydwie kawalerie; są dane, że jutro będziemy
w Kowlu. Zwykłe w takich jak dzisiejszy dniach czynności
zabierają mi czas do 1.00 w nocy.

24 Niemiecka dywizja kawalerii zdobyła w nocy zachod-
nią część Kowla. Wydana w nocy dla nas dyspozycja staje
się nieważną, bo tym samym opróżnione już są te pozycje,
któreśmy mieli zamiar zdobywać. Naturalnie odmarsz. Mo-

czarzynska i topiele na całej drodze, aż do przebycia toru kolejowego za Lublińcem; daj Boże, byśmy w tym terenie nie robili odwrotu, bo chyba potopimy połowę ludzi i bydła. Od Lublińca już niedaleko na wzgórze 192, zamierza-
ne stanowisko dzienne komendy. W sąsiedztwie stoją dwie baterie mojego pułku i jedna haubic; oczywiście, że nic nam się stać nie może przy takiej, dotychczas jeszcze niestrzelającej, obronie. Niedługo zmienia się sytuacja, bo podobno Kowel już całkiem wzięty. Okazuje się potrzeba ponownej zmiany dyspozycji, a co za tym idzie wyszukanie zaginionej dywizji dział polowych, co mnie się dostaje w zadaniu. Na tym szukaniu zeszło mi do 2.00 po poł[udniu], chociaż dokonywałem go przy pomocy dodanego mi całego patrolu konnego. I mógłbym tak szukać ze siedem dni, gdyby nie wykombinowanie, że dywizja już musi być w Kowlu, co się też sprawdziło w zupełności, skutkiem czego dostałem rozkaz udania się tamże i odszukania komendy, która mnie już w tym kierunku wyprzedziła.

Dziękuję Bogu, że się to szukanie skończyło, bo to nic przyjemnego, a i kobyliśko ledwie nogi wlecze. Kowel, na pierwszy rzut oka, robi wrażenie wymarłego. Miasto duże, raczej lepiej powiedzieć – szerokie – bo się rozsiało po obu brzegach Turii^a, na przestrzeni około 8. km kwadratowych, [zabudowane] przeważnie parterowymi domami, nie posiada w sobie nic charakterystycznego; posiada inny typ, niż np. miasta galicyjskie, aspirujące lub posiadające przynajmniej pretensje nowoczesnych, i to wszystko. Może by inaczej wyglądało w normalnych warunkach, przy zwykłym ruchu, ale na razie nic szczególnego nie przedstawia. Zamieszkaliśmy wygodnie, w czystych lub brudnych hotelach, o ile możliwości każdy w osobnym pokoju,

^a Dopływ Prypeci.

ja z inżynierkiem, jak zwykle razem. Zygmunt dziś wrócił do szpitala.

25 Zamierzamy się tu urządzić na czas dłuższy, chodzą bowiem pogłoski, jakobyśmy mieli być przeznaczeni na załogę Kowla. Zygmunt odszedł dziś rano do pułku, nie pożegnawszy się, bo jak przy spotkaniu mówi, nie chciał nas budzić. Trochę skwaszony, bo i nie dziwno, ale głębia nadrabia. Tymczasem Moskale uciekają coraz dalej; goni ich kawaleria, skutkiem czego mamy spokój, i o mało co nic do roboty, gdyby nie zręczność dyplomatów, zaprzęgających mnie do rysowania, na czym mi schodzi cały dzień. Ale nic to, bo z wydanej wieczór dyspozycji dowiaduję się, że zostajemy tu, i to diabli wiedzą, jak długo, bo mamy się zabrać do budowania przyczółka mostowego, uregulować rekonesanse i ubezpieczenia, w ogóle rozpocząć żywot, jakiegośmy jeszcze nie mieli, rajski. Całodzienną robotę wynagradzam sobie grą w szachy z inżynierkiem, przeciągającą się do późna w noc, bo się przecież jutro wyśpimy jak królowie lub cesarze państw nie prowadzących wojny. Dziwny to jakiś objaw, ale nie okazuję żadnej „ciekawości do kobiet”, przenosząc nad nią spokój domowy w miłym towarzystwie kochanego inżynierka. Diabli wiedzą? Może się i ja kiedy w życiu ustatkuję?

26 Zażywam błógiego spokoju zaraz w jego początkach, leżąc przede wszystkim do 8.00, następnie wypijając kawę w łóżku, w końcu przybieram niepospolity (!) wygląd po namydleniu paszczy i stępieniu na niej brzytwy. W poczuć swobody wychodzę na miasto, celem sprawienia sobie butów i gumowego płaszcza (na deszcz). Wszędzie po uli-

cach pełno zamiatających Żydów i jeszcze więcej powstającego stąd kurzu; to dzieło kap[itana] P., któremu oddano komendę nad miastem. Sklepy pozamykane prawie wszystkie, w każdym razie te, w których by coś kupić można; widocznie ci kupcy, którzy nie uciekli, nie mają jeszcze dość zaufania do nowych klientów. Wróciłem więc do domu bez sprawunków, ale za to z posuchą w gardle, które na gwałt odświeżać trzeba było. Przy tym do roboty nic, co gdyby się dłużej przeciągnęło byłoby niezłe, ze względu na prawdziwy w takim razie wypoczynek. Rzniemy znowu przed obiadem w szachy, rzniemy i po obiedzie, do czasu kiedy zaczęła rznąć muzyka, a nawet na przemiany dwie, popisujące się przed publicznością obok komendy 14. Korpusu. Wyszliśmy też przysłuchać się rzewnym jak kulawy koń melodiom, ale dobre usposobienie, spowodowane zarówno muzyką, jak i zaludnioną przez rozlażłe Żydówki promenadą, zepsuła nam wiadomość o jutrzejszym odmarszu. Zły taki jestem z tego powodu, że nawet się nie ożywiam na depeszę o wzięciu Brześcia Litewskiego, na dobitek zapręgam mnie do pisania dyspozycji nakazującej jutrzejszy odmarsz. Diabli nadali! Zdążyłem kupić wieczorem gumową pelerynę i skłąć Antka nic niewinnego temu, że oddana do prania bielizna nie wyschła.

27 Zaspany zabieram się do drogi. O 6.30 opuszczamy miasto, żegnani przez wybałuszających ślepia Żydów, kierując się wzdłuż szosy na Hołoby (Gołoby). Upał zaczyna się zaraz rano i towarzyszy razem z tumanami kurzu przez całą drogę. Porządną przestrzeń około 30 km, aż do samych Hołobów, odbywamy jednym ciągiem, podczas gdy dywizja spoczywa w Wólce Lubaczewskiej. Hołoby, ogromna

wieś, niezniszczona, posiadająca podobno piękny dworzec kolejowy, którego nie miałem jednak czasu oglądnąć. Mieścimy się w opuszczonym sądzie i szkole, dosyć wygodnie, bo ubikacje przestronne. Pod wieczór nie mogę wytrzymać, z powodu bólu głowy, kładę się więc wcześniej spać, po przegraniu poprzednio parti w szachy. Obiecane mam, że muszę w nocy wstać, jak przyjdzie dyspozycja – pomimo tego zasnąć nie mogę.

28 Dalszy marsz Hołoby–Perespa, z zamiarem zatrzymania się przez dziś w tej ostatniej. Po odbyciu jednak tego marszu, znowu wśród upału i kurzu, otrzymujemy rozkaz udania się do Rudek Kozickich^a, skąd po zupełnym załadowaniu wszystkiego zostajemy odwołani z powrotem do Perespy, i następnie wysłani do Czebenia^b. Nazywa się, że skutkiem manewru w tę stronę mamy odnieść jakiś ważny sukces; w co ośmielałam się w duchu powątpiewać, jeżeli ma się powtórzyć tylokrotnie nieraz zapowiadane zwycięstwo – bez rezultatu.

Czuję tylko, że mnie już diabli biorą na te ustawiczne marsze; od początku miesiąca prawie jesteśmy ciągle w marszu, i to nie po parę, ale więcej kilometrów. Obecnie zboczyliśmy ze szosy wiodącej do Łucka i okalamy w ten sposób miasto z północnego wschodu. O zmroku przybywamy do Czebenia, witani przez mieszkańców, dziwiących się zarazem mnogości wojska, czego jeszcze nigdy nie widzieli. Pomęczeni jesteśmy okrutnie, bo przez cały dzień nie było chwili odpoczynku ani żadnego jadła. Cały ratunek w gruszkach, którymi nas podejmują. Mieszkamy w stodołę z przeciągami, na jutro zapowiadana dalsza wędrówka.

^a Może chodzi o Rudkę Koziańską.

^b Czebenie.

29 Niedaleko za wsią przepławiamy się przez most pontonowy, w czym Moskale bynajmniej nie przeszkadzają, tak że cała dywizja przechodzi rzekę^a bez żadnego ryzyka. Dal-
szy marsz ciągnie się aż do Bodiaczewa^b, chroniony przez kolumny boczne, ale pomimo tej ochrony, chwała Bogu, że Moskale uciekają bez głowy, bo mogliby nas atakiem z północy tak ładnie odciąć, żebyśmy się z trudnością pozeszywali. Szkoda, że korzystnej dla nas sytuacji nie wyzyskano jak należy. Moskale są zaskoczeni, tak że na gwałt opróżniają Łuck, z którego jak meldunek powiada 20 pociągów zdołało ujść, zanim się patrolowi pionierów udało część toru wysadzić w powietrze; na ogół jednak nie wie dzie się jak by należało 4. КТД; brygada tejże zgubiła się w terenie, tracąc blisko trzy godziny najlepszego czasu, nasza dywizja siedzi w następstwie tego także na miejscu, i dopiero około 6.00 wieczór zostaje pchnięta naprzód, w kierunku Siki-
ryczy^c – Kol[onia] Wertepy. Komenda przybywa późnym wieczorem do Sikiryczy, na którą Moskale przestali przed chwilą strzelać. Posłana do Wertep[ów] piechota natknęła [się] na nieprzyjaciela, nacierając z niezwykłą werwą, jak-
by chciała odbić wszystkie trudy długich marszów. Bardzo ożywiona strzelanina, za współudziałem artylerii 21. LITD przeciąga się za północ. Głowa mnie znowu boli, że nawet jeść nie poszedłem i usnąć długo nie mogę; starzeję się, czy kiego diabła.

^a Styr –
dopływ
Prypeci.

^b Bodja-
czów.

^c Zapewne
Siekierzyce.

30 Stary odjechał w pole zaraz z rana, nic nikomu o tym nie mówiąc, tak że mu Kral ledwie nadażył. Skupiło się na mnie, bo biegać muszę, celem wyświetlenia sytuacji artylerii, i dość się napociłem, zanim się nareszcie sprawa uporządkowała. Dywizja od rana w ogniu, spotyka się na wstępie

z kontratakami rosyjskim, na szczęście nieudałym. Artyleria obrabia linię kolejową, następnie cofających się po południu Moskali. Są dane, że Łuck będzie dziś zajęty. Około 5.00 po poł[udniu] przyprowadzają 372 jeńców i 4 oficerów; mnóstwo rannych jeńców wzięto na stacji kolejowej Kiwercy. W chwili gdy to piszę, donoszą o 500 świeżo wziętych jeńcach, dzień więc kończy się ładnie. Maszyn i wagonów nabrali też dość, nie ze wszystkim więc z Łucka uciekli.

Wyłania się mała awantura z powodu amunicji, której wysłuchiwać muszę jako jedyny obecny z brygady. Zdrow w dalszym ciągu nie jestem. Pogoda ze słonecznej stała się po burzy pochmurna. Czekam na powrót mojego starego z urlopu, po czym sam proszę o urlop, a następnie zgłaszam się powtórnie do baterii – takem to sobie psiakrew umyślił – bo mi się już przykrzy jak 100 diabłów. *Die Kuh ist mein – Der Zettel dein*¹¹⁹ – *Lieb Vaterland magst ruhig sein!*¹²⁰. Zdaje mi się, że zgłupieję do reszty, co mi nietrudno zresztą przyjdzie. O Zygmuncie nic nie słyszę ani go widzę, wiem tylko, że na drugi dzień po odejściu od nas dostał jakieś zadanie, które rozwiązał, przy czym miał dwóch zabitych i złapał jednego jeńca. Zresztą słuch o nim zaginął.

89. Pułk zwariował dziś, nie może inaczej być; dowód w tym, że przysyłają coraz to nowych jeńców, z których obecnie jest naliczonych 1179 i 10 oficerów, w tym jeden pułkownik. Oprócz tego coraz to nowe awizo o świeżych złapanych; że się świat kończy, można wnioskować z tego, że nawet kompania sztabowa bierze do niewoli 32 ludzi i jednego oficera. Sandig promienieje! W ogóle poprawia się humor u wszystkich, bo nie ma końca dobrym wiadomościom. Ostatecznie dotychczasowe zestawienie zdobyczy wykazuje ponad 1700 jeńców, 5 lokomotyw, 165 wagonów z materia-

łem saniteckim, telefonicznym i żywnością, 4 karabiny masynowe, 1 wóz z amunicją, 4 konie, i wiele t[ym] p[odobnych] owoców południowych. Zdobycz w karabinach jest o tyle nowa, że są one pochodzenia japońskiego, z napisami nawet w tymże języku. Zaopatruję się na pamiątkę dnia w japoński bagnet, o bardzo ponętym kształcie. W ogóle po dzisiejszym zdenerwowaniu dzień kończy się dobrze i... oby więcej do niego podobnych było. Znaczy mi się nocna służba, wobec czego około 10.00 już idę spać, dziwnym zbiegiem nieprześladowany nawet bólem głowy.

Mój Boże, gdyby tylko można zeprać Moskali tak na sieczkę! Ale w to nikt nie wierzy, bo i niemożliwe. Ciekawy wypadek spotkania się dwóch braci zaszedł dzisiaj; nie wiedzieli nic o sobie przez cały czas wojny i spotkali się dopiero... w niewoli. Jeden z nich, ranny, został przez drugiego zaopatrzony w pieniądze i do czasu w rozłące dokończą wojny. Znowuż jakiś stary cieszył się, że jest u Austrijców w niewoli, bo się może spotka z synem, którego też Austrijcy wzięli. Oj, kiepsko Moskałom idzie! Byle tak do końca! A może bym się tak z łaski swojej zdecydował na załatwienie korespondencji? Nie pisałem nigdzie przez cały miesiąc, a należałoby przecież! Do Irusi nie wiem znowu adresu pewnego, i to tak! No, może się za to niedługo zobaczymy?

31 Deszcz się rozpadał na dobre i niebo chmurami zaciągnięte – prowadźże w takich warunkach wojnę, jak chcesz. Niedługo atoli zeszło, jak siedzimy na koniach gotowi do odjazdu, zatykając wszystkie istniejące strony, by się w nie woda nie dostała. Owijam się w nabytą w Kowlu pelerynę, i coraz to w innym miejscu mi kawałek brakuje, bo psiakrew, za wąska. W końcu jednak odmarsz, z humorami skwaszo-

nymi, przez piaszczystą, prowadzącą lasem drogę. Widać na niej ślady przedwczorajszego ataku kawalerii – dużo świeżych mogił i mnóstwo trupów konskich. Nie mieści mi się w głowie ten atak kawalerii na wąskiej drodze, zabarykadowanej okopami rosyjskimi! Stracili też przy nim 60 jeźdźców, pomściliśmy wprawdzie tę stratę, ale tamci zginęli na darmo. Dzielni lwowscy ułani! (1. Pułk)^a. Wśród ustawicznego deszczu dostajemy się do Kiwercy. Stacja kolejowa została się niezniszczona, dzięki umieszczonemu w niej szpitalowi rosyjskiemu, który tu wczoraj zabrano.

Ucieszyli się będący w nim ranni Austriacy, że przechodzą pod opiekę swoich! Przyprowadzono w tej chwili zbłąkaną kompanię piechurów rosyjskich, która buszowała całą noc za naszym frontem. Komendant jej, starszy człowiek, kapitan, nie może się uspokoić, zdenerwowanie jego przechodzi dopiero po jakichś dwóch godzinach przyjaznej z nami rozmowy. Opowiada o wczorajszym dniu, nadmieniając o ogromnych stratach w zabitych i rannych, z czego wiadać, że dobrze pokrwawili. Zginęło dużo oficerów, między nimi podpułkownik. Wiadomości nie dostają żadnych, nic nie wiedzieli o upadku Kowna, Modlina i Brześcia. [Następuje] ogólne narzekanie na brak karabinów i armat, bo ludzi jest pod dostatkiem, jak twierdzi z przesadą: 6 000 000.

Około południa jedziemy dalej do Boruchowa. Zaledwieśmy się atoli rozsiedli we dworze, gdy padł z jasnego nieba piorun, że Bośniacy się cofają, napierani ogromnym atakiem rosyjskim. Nie ich wina w tym, za słabi byli, a za śmiało szli naprzód. Na szczęście, za nimi stał ze swoimi bateriami major K., obeznany już niejednokrotnie z tego rodzaju sytuacjami. Nie przeraził się bynajmniej, tylko zaczął pracować kartaczami, aż zatrzymał Moskali w odległości

300 m od siebie; zerwali się znowu, lecz dobrze celowany ogień zatrzymał ich ponownie po zmniejszeniu się odległości o 100 m. Szczęśliwym trafem znalazł się pod ręką maszerujący właśnie przez wieś 6. Pułk Obrony Krajowej, który wstawiony na front przywrócił niedługo porządek, odrzuciwszy Moskali na ich pierwotne pozycje. Używała też artyleria, gdy byli na powrotnej drodze. Podziwiałem spokój starego pułkownika W. Z najzimniejszą krwią zaprowadził nas w największy ogień, chcąc się, jak powiadał, „rozpatrzeć w sytuacji”.

Ostatecznie pod wieczór uspokoiło się i uporządkowało na froncie i tylko przesuwanie się nieprzyjacielskich linii wskazuje na przypuszczalny nocny atak. Ale obawy nie ma! Na froncie 6. Pułk, firma pewna! Znam ich jeszcze z Karpat. O zmroku wracamy do Boruchowa, dokąd już i dywizja wróciła, i zabieramy się do spoczynku. Zeszło mi do północy, zanim gotów byłem z amunicją i zwykłymi mel-dunkami. Śpimy ubrani, niepewni o lewe skrzydło, wiszące w powietrzu i chronione zaledwie przez trochę kawalerii.

Wrzesień [1915]

¹ Moskali nie ma – znikli w nocy, nie pozostawiając za sobą nawet zapachu dziegciu, tak im właściwego. Również w nocy zajęto Łuck. 14. miesiąc wojny, a 5. ofensywy dobrze rozpoczynamy. Odwrotem Rosjan jesteśmy tak zaskoczeni, że długi czas zostajemy bez żadnej dyspozycji. Około 10.00 wysyłają mnie z Bacsim i nadp[orucznikiem] H. do Wierszowa^a i Poddubiec^b, dla oglądnięcia ewent[ualnych] mieszkań. Czuję, że robota daremna, bo nonsensem byłoby wynoszenie się z dobrego mieszkania po to, by się po-

^a Wiszniów.

^b Poddębce.

sunąć o 3 km dalej. Pogoda jednak znośna, słoneczna przy silnym wietrze, więc i spacer nie zaszkodzi. Po powrocie do Boruchowa, zjedzeniu obiadu i otrzymaniu pensji, czekamy na mającą nadejść dyspozycję, by być znowu naprzód wysłanymi, bo jak przewidywałem, nie idziemy już do rano przeznaczonych wsi. Podobno ma tu przybyć 10. Korpus, do którego należymy, pożegnalibyśmy więc 14., obecnie nam rozkazujący. Zdążyłem się jeszcze po obiedzie chwilę zdrzemnąć, po czym maszerujemy „w niepewną dal” przez Poddubce–Zwierzów^a, kierując się na Palcze. Droga dość przyjemna, bitą szosą, przy miernym wietrze. Za Zwierzowem zatrzymuje się cała kolumna, na wiadomość, że Palcze zajęte przez sotnię kozaków. Zarządzono ewentualny atak kawalerii, obronę artylerią, i czekamy. Czekają komenda, czeka i wojsko, z którego najdowcipniejsi saperzy zabawiają się niewinnym chwytem bezpańskich gęsi i świń, błakających się masami. Wszystko odbywa się jednak z godnością i w porządku, bo na poprzednio wydane pozwolenie komendanta, Janka Hackbeila.

^a Zwierzów.

Czuć już w powietrzu zbliżającą się jesień; ten i ów zaczyna na chłód narzekać, wywołując tym samym samarytańskie odruchy u posiadaczy manierek. Ja, psiakrew, jestem za wygodny, by nosić flaszkę ze sobą, ale mam na szczęście dosyć przyjaciół, tak że mogę się od czasu do czasu znaleźć w roli ptaszka nie siejącego, ni orzącego. Pokrzepiamy się dla odmiany, to rumem bacsiego, to winem od saperów, i to dosyć długo, bo i stoimy długo. Ale w końcu wysyłają nas z kap[itanem] P. do leśniczówki za Zwierzowem. Jedziemy, napotykając po drodze zabitych Moskali i jednego austriackiego ułana. Dziwnego uczucia doznałem, ujrawszy te zwłoki, i nie wiem, czym sobie to tłumaczyć. Pierw-



Austro-węgierska kolumna zaopatrzeniowa

szy raz przeszło mi przez myśl, że i mnie może to spotkać, że i ja mogę tak leżeć w rowie przydrożnym, niepogrzebany, zanim się kto zakopać zlituje. Ciekawa refleksja u mnie!

Palcze, wolne od kozaków, zajmujemy późnym wieczorem, i całe dramaty rozgrywają się przy podziale kwater po ciemku. Po kolacji dowiaduję się o zamierzonym jutro dalszym pościgu uchodzącego nieprzyjaciela, wobec czego prędko należy spać. Sandig jednak usnąć nie daje opowiadaniem o chwytaniu po drodze gęsi i świń, których rzeczywiście przygonił około 100 sztuk, tak że kwiku we wsi, aż uszy puchną. Zaszczytna działalność. Ten cały odwrót Rosjan coś mi się jednak trochę nie podoba, bo za prędko postępuje, tak że nam ani mostów nie niszczą, ani żadnych wstrętów nie czynią. Żeby się to tylko nie zechciało na dywizji zemścić! Ale nie moja w tym głowa, a zresztą przyrzekamy sobie z Sand[igiem] kwaterować w Archangielsku wspólnie. Zygmunt mnie dziś pozdrowił przez Kraka – jak mu też tam idzie? Sam go spotkać nie mogę.

2 Rano rozpoczynamy dalszy marsz, niepewni wroga przed sobą, jakkolwiek Starpunce zapewnia, że tenże znajduje się w najzupełniejszym odwrocie. Według dyspozycji, mamy przybyć do Klewania, ale już po przebyciu paru kilometrów dowodzą Moskale, jak mało mają przed naszymi dyspozycjami respektu, bowiem stawiają nieprzewidziany (!) opór. Pierwszym słowem dywizjonera jest naturalnie artyleria, nie wiem więc ani patrząc, co komenda z sobą robi, bo już muszę drałować ze starym, wyrywającym naprzód. W godzinę potem wszystkie baterie porozmieszczane i walą na okopanego za rzeką Putiłówką nieprzyjaciela. U naszej piechoty, zwłaszcza u Bośniaków, znać rozmach, jakiego na-

brali po długich marszach, bo rwą naprzód, jakby chodziło im głównie o spacer. Nie minęło południe, gdy byli już na brzegu rzeki okopani, małe stosunkowo poniósłszy straty. Za to nas dziś wziął Moch w obroty i bardzo sobie chwaliłmy, że się nam nie oberwało, a bzykały kulki niesamowicie.

Cały dzień spędzamy niedaleko od rzeki, przy budce kolejowej, dziwiąc się ostrożności rosyjskiej artylerii, nie chcącej nas zapewne trafić. Pod wieczór sytuacja zaczyna przybierać dla nas pomyślny obrót. Moskale się cofają, i o tym samym czasie dostaję rozkaz zbadania przejazdu przez rzekę, na wypadek, gdyby artyleria miała być za rzekę podciągnięta. Byłoby to całkiem zwyczajne, gdyby nie wypadek, że wpadłem razem z koniem w bagno, pomimo własnej i końskiej ostrożności; dobre pół godziny trwało, zanim wyciągnęliśmy bydlę z trzęsawiska, przy pomocy piechociarzy. Jak na dziś, fatygowałem się niepotrzebnie, bo ostatecznie zostajemy w obecnej sytuacji przez noc. Głodni, bo przez cały dzień nieodżywiani, wracamy późnym wieczorem do dywizji, kwaterującej w opuszczonej stacji pocztowej, przy szosie do Palczy. Tu przynajmniej można dostać wina i wody lepszej, niż ta z wapnem, którą w polu pić trzeba było. Zmęczony jak pies, kładę się zaraz po jedzeniu spać.

3 Wstaliśmy dość późno i zrazu siedzimy w miejscu. Nakazane kontynuowanie wczorajszego ataku utyka na wstępie w znajdującym się tuż za rzeką lesie.

Około 9.00 jedziemy z brygadierem na stanowiska baterii, przede wszystkim po to, by się zaraz zgniewać, że nie ma żadnych punktów obserwacyjnych. Jeden jedyny po drugiej stronie lasu, gdzie się usadowił major K., tzn. w przedniej linii tyralierskiej. Idziemy tam ostrzegani przez wszyst-

kich napotykanych żołnierzy, że Rus strzela ciągle szrapnelami, o czym się zresztą przekonujemy oczywiście. Konie ze sztabu kap[itana] W. i dwóch ludzi rannych. Konie zaprzęgowe z 4. Baterii zabite lub poranione. W oddziale karabinów maszynowych cała załoga zabita, komendanta przenoszą z urwaną nogą, a my się pchamy ciągle dalej. Nie wiem, po kiego diabła, chyba żeby także co oberwać. Obustronny ogień nie milknie ani na chwilę. Po przebyciu linii rezerw, wpada na nas blady Baudi, szukając lekarza, bo kap[itana] W. ranny – nie można się od niego niczego dowiedzieć, tak zdenerwowany. Po przybyciu na stanowisko podpułk[ownika] R. dowiedzieliśmy się, że kap[itana] W. nie żyje. W głowie mi się nie może pomieścić, że on nie żyje, i pod tym wrażeniem pozostaję cały dzień. Walka trwa bez przerwy przez cały dzień, z różnym szczęściem. Ogromna zasługa majora K., który artylerią zatrzymał parokrotnie ponawiane ros[yjskie] ataki. Lewe skrzydło wisi w powietrzu – sytuacja na pewien czas uratowana przez wstawienie Brygady 24. Dywizji.

Ale Moskale dostają pociągami coraz świeższe posiłki, front miejscami zaczyna się łamać, w końcu nie można wytrzymać naporu przeważających sił, i następuje nienakazany odwrót. Na szczęście, zdołały się jeszcze uratować baterie broniące do ostatniego momentu, wycofując się za rzekę. Z Bośniaków szczątki – z 89. tak samo – pociecha jedynie w tym, że Moskale mają trzykrotnie większe straty. Nie piszę, jak się dziś urobiłem – mogę sobie tylko gratulować, że wyszedłem z tego balu cały. Nie cieszy mnie nawet wiadomość, że zostałem podporucznikiem, czego mi wszyscy gratulują wieczorem. Mój pułkownik R. wrócił dziś z urlopu i objął komendę brygady. Dwa opancerzone automobile,

zawierające każdy cztery karabiny maszynowe, tak ładnie moja bateria urządziła, że zostały z nich tylko strzepy. Pi-szę bez związku, bo mi się porządek nie trzyma głowy. Na noc jedziemy do stacji kolejowej Ołyka^a – o północy śpię.

^a Stara
Ołyka.

4 Pogoda pod psem. Od samego rana wiadomości o zbliżaniu się coraz to nowych sił rosyjskich. Mamy wyjechać na stanowiska, a tu deszcz leje jak diabli. Nie wiem, czy zdążę na pogrzeb kap[itana] W., bo się z amunicją odrobić nie mogę. Czuć w powietrzu jakby przedsmak odwrotu – obym był złym prorokiem! Obydwie dywizje na południe od nas podjęły zaraz z rana atak, ale Bóg wie, czy co z tego będzie. Do tego wszystkiego ta pogoda wściekła deprymuje do reszty. Około 9.00 odbył się pogrzeb kpt. Weinera. Pospieszyli wszyscy wolni od służby za smutnym konduktem. Grób wybrano za stacją kolejową, pod dwoma dębami. Przykre pożegnanie cenionego kolegi przełożonego. Przejmować się nim nie ma jednak czasu, bo już grzmiały armaty po nowe ofiary i wrócić trzeba do codziennego zajęcia. Biedna żona!

Niedługo potem jedziemy w pole wśród ulewnego deszczu; stanowiska prawie te same, co przedwczoraj, tylko pogoda gorsza przeszkadza w obserwacji. Moskale jakoś nie atakują, tak że panuje względna cisza. Kap[itan] K. odznaczony ponownie Signum Laudis. Straty wczorajsze wynoszą około 1400 ludzi. Ucierpiała także artyleria, tracąc żołnierzy w zabitych, rannych i złapanych; między ostatnimi ma się znajdować fkr Furman, zabity, w najlepszym razie ranny i zabrany. Por[ucznik] Singler odesłany do szpitala, skutkiem bicia serca po dniu wczorajszym. Jednym słowem, smutna statystyka. Jak o tym myślę, to mi się zdaje, że wczor-

rajszy dzień to tylko przykry sen, bo się to w głowie mieścić nie chce.

Około południa wracamy przemoczeni całkowicie. Przywozi mi M. ze Lwowa ładną bluzę, ale mi nie w głowie nawet przebierać się, chociaż każdy zaczepia, pytając o awans. Popołudnie mija dość spokojnie. Zygmunt gdzieś zginął. Szukają go od wczoraj przez całą noc i dotychczas bezskutecznie; nikt nie wie, co się z nim stało. Rany boskie, jeszcze by tego brakło, żeby jemu co zrobili! Wściec się przyjdzie z tą całą wojną, czy jak?

Dowiadujemy się wieczorem od jeńców, że Rosjanie otrzymali nowe transporty karabinów maszynowych, dowodzonych przez oficerów japońskich. Znak, że albo im się wiedzie źle, albo coraz lepiej, bo rzeczywiście niewiele z tego wywnioskować można. Parokrotnie jednak przeprowadzane przy ich pomocy ataki zostały odparte, czyli że Japończycy też nie diabły tylko ludzie, których można jak każdego innych wystrzelać. Doniesienie, jakoby Moskałe dostali już artyleryjski materiał armatni japoński, zdaje się być prawdziwe, bo i strzelają dużo, i pociski posiadają pewne odmienne właściwości. Nakazano surowo linię obecną bez względu na wszystko trzymać. Równocześnie [dały się słyszeć] pogłoski, że nasza dywizja ma się przesunąć na błota rokitniańskie. Już nie wiem nawet, co o tym myśleć. Z rozpaczry rżniemy przed spoczynkiem partię szachów z inżynierem.

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

5 ^{a121}Wypogodziło się zupełnie po wczorajszym pochmurnym dniu; odżyłem cały, skutkiem tego aż zebrałem na ochotę wystrojenia się w nową bluzę. Z rana zwykłe porządkowanie amunicji, w którym to celu udaję się do sta-

flu^a, z trudem go w lesie odszukawszy. Mają tu jednak komendanci jego całą idyllę, bo wygodne namioty, piękną pogodę w jeszcze piękniejszym lesie, w pobliżu ćwiczącą się muzykę, dobre zaprowiantowanie, *Mein Liebchen was willst Du noch mehr?!¹²²* Do stacji kolejowej, przy której mieszkamy, dochodzą już pociągi z Łucka. Prowizorycznie uregulowany naturalnie ruch i bardzo ograniczony, ale o kolosalnej doniosłości, choćby ze względu na rannych, których można natychmiast i z większą dla nich wygodą transportować. Korpus obiecał nam jutro dostarczyć amunicji tymże pociągiem, co także coś znaczy. W ogóle rozwesela mnie ta „pociągowa” beczelność, mająca miejsce niespełna 4 km za okopami. Przed 10.00 wyjeżdżam ze starym w pole na stanowiska baterii, po poprzednim podziwianiu zapału, z jakim wszyscy posiadający karabiny, nie wyłączając służących oficerskich, strzelali do aeroplanu, czego zwyczaj, nic nie trafiający. Jedziemy do tego samego lasu, gdzie 2 bm. było stanowisko obserwacyjne; po drodze stary nadzwyczaj rozmowny, co mu się rzadko w stosunku ze mną zdarza. Czyżby mu miała przemówić do duszy nowa moja szarża i powstać w dobrze skrojonej bluzie? Diabli nadali! Psia, psia! Równie wymowny był także z oburzenia, po przekonaniu się, że baterie są jeszcze na starych stanowiskach, zamiast na nakazanych rano nowych. Wyjaśniło się atoli wkrótce, że z powodu bagien dopiero teraz jest gotowy wynik rekonensansu, baterie już maszerują i... jakoś to [będzie]^b.

Chodzi o przygotowanie i poparcie ataku 24. Dywizji, mającej zamiar zacząć wojnę parciem na południowy wschód od naszego lewego skrzydła; przedsięwzięcie dość ciężkie. Około południa wracamy do domu około grobu kapitana W. Ładny grób mu zrobili, okolony brzoźową barie-

^a *Die Staffel*
(niem.)
kolumna.

^b W oryginalnej: jakoś to „b”.

rą, przybrany kwiatami, ale choćby był najładniejszy, szkoda dobrego towarzysza. Po powrocie odbieram gratulacje od ekselencja i idziemy na obiad; po obiedzie spać, aż do zmroku, tj. czasu, kiedy się zaczęła burza. Biedne piechury znowu pomokną. Sandig się wybrał wieczorem służbowo do Zygmunta, który zdrowo przebył ostatnie dni, ale go nie znalazł, bo podobno bardzo strzelali. Po kolacji kładziemy się wcześniej. Jutro już wezmę na heroizm i powysyłam pocztę.

6 Nazywa się, że spokój, ale diabli nadali z nudnymi depeszami. Kręczę na rozmaite sposoby, i choćbyś się człowiecze na głowie postawił, nie doprowadzisz z tymi ludźmi do porządku; czekam z utęsknieniem już na chwilę, kiedy się z tym 14. Korpusem rozejdziemy. Na froncie cicho. Okopano się obustronnie i rzadko strzelają, co się zresztą chwali. Wyzyskujemy wolny czas na pozałatwianie zaległych kancelaryjnych rzeczy, na czym schodzi do południa. Po obiedzie poruszyły się umysły, na skutek dyspozycji korpusnej, że jutro mamy rozpocząć atak. Nie jestem zbyt zorientowany w sytuacji, nie mogę więc nic o powodzeniu sądzić, a zresztą nie moja w tym głowa. W następstwie wydanej dyspozycji, zaczyna się dla mnie robota z rysowaniem, potem znowu jak zwykle z amunicją, i chwała Bogu, że się tak dzieje, bo w innym razie można by się zanudzić przy dzisiejszej pogodzie.

Przyjacioły grają na zmianę przez cały dzień w szachy, zawadzając w ciasnej bez tego izbie. Pocztę przecież nie miałem czasu ponapisywać, pomimo postanowienia, że to zrobić. Pan brygadier obiecuje, że po kolacji zabierzemy się znowu do roboty i nieprędko ją skończymy; pociesza mnie

to nie bardzo. Posępna pogoda tak jakoś smutnie nastraja, że się za swoimi strasznie przykrzy. Mój Boże, gdyby się to dziś można znaleźć w Krakowie! To już niedaleko byłoby do wszystkich, by ich poodwiedzać! I jak długo czekać trzeba jeszcze będzie!

7 Z okazji dzisiejszego zamierzanego ataku, budzili w nocy dla zwykłej w takich razach fabryki. Zimno było jak należy, toteż dzwoniąc ze wzruszenia ząbkami biegam w pantoflach, przypominając swoim niekompletnym wyglądem człowieka, który przed kwadransem zwariował. Ale nic to! Chodzi o jak najszybsze wypchnięcie dyspozycji i szkieców; spieszymy się, aż trzeszczy, i wreszcie o 3.30 rano jesteśmy gotowi. Prędko więc należy spać, bo o 7.00 mamy być na koniach, tak bowiem pan brygadier przykazał. Jakież więc było moje zdumienie, gdy się zastałem o kwadrans na 8.00 jeszcze w łóżku! Okazało się, że rozkaz zmieniono, i ostatecznie wyjeżdża tylko stary z Kralcem o 9.00, po to, by o 11.00 być już z powrotem. Zapowiedziany atak 24. Dywizji, nie wiem dla jakich powodów, odwołany czy odłożony. Przypominają mi się koszarne czasy, kiedy to nieraz było ćwiczenie z powodu pogody odwołane.

Cały prawie dzień schodzi mi na przyjemnym próżnowaniu, kibicowaniu szachistom, czytaniu książek i gazet oraz (o potęgę woli!) wysłaniu korespondencji. Wieczorem wyszedłem na spacer i odwiedziłem po drodze grób kapitana. Naradzamy się z Kralcem nad wzięciem urlopów, ale postanawiamy jeszcze trochę poczekać, może się tymczasem wojna skończy. Chwilami mi strasznie dziwno, że tak długo (już 3 dni) siedzimy na miejscu; pomału trzeba się przyzwyczaić do długich nocy, bo jesień na karku. Jednak jak ten czas

szybko mija, psiakręć! Niedawno była zima, już tylko co następnej nie widać – dopiero był obiad, już niedługo trzeba iść na kolację. I to wszystko na kupę, to jest życie! Przy kolacji taka się jakaś gadanina wytworzyła przy obecności księdza, że się tego nawet przerwać nie chciało, aż dopiero obietnica, że muszę o 3.00 wstać zmusiła mnie do opuszczenia miłego towarzystwa. Ciekawym, jak się też wyśpię dziś.

8 Po 2.00 obudzony, ubieram się bez zapału, bo mi się bynajmniej nie uśmiecha włączyć na piechotę, po nocy i deszczu. Zabieram podoficera i sypię na oną stację kolejową, którą tylko po szynach rozeznac można, bowiem zresztą zupełnie spalona. Wypatruję jakiegokolwiek miejsca, gdzie by się można przed deszczem schronić, ale wysiłek daremny; jest wprawdzie parę wagonów, ale wszystkie wypełnione rannymi. Nie ma rady, muszę stanąć przed jednym z nich i wysłuchiwać, jak ludzie na różne sposoby jęczą, nie mogąc im nic na boleści poradzić. I stałem tak dość długo. Pociąg z haubicami miał przyjść o 3.00, teraz 5.00, a tu niczego nie widać. Podziela mój los porucznik, który przybył z zaprzęgami dla tychże haubic – wyklinamy więc na spółkę, co dosyć rażno idzie. Pocięcha mała w tym, że możemy się trochę ogrzać przy ogniu, bo sanitety gotują kawę.

Wreszcie około 6.00 zajeżdża upragniony pociąg. Komentem ciężkich haubic jest pułkownik Radel, dosyć ciekawy człowiek w ruchach i powiedzeniach. Wywagonowanie poszło dosyć prędko, tak że ostatecznie przed 8.00 była bateria na stanowisku, które jej wskazałem. Pędzę teraz całą długością nóg na śniadanie. Nie zastałem już brygady, bowiem wyjechała w pole, jest tylko Kral, którego mam złuzować przy telefonie. I niech to diabli wezmą! Przez cały dzień

chwili spokoju nie było. 24. Dywizja atakuje, nasza przyłączyła się do niej, do naszej 4. – i rzeźnia cały dzień. Artylerii chwili spokoju nie dają, chociaż skutkiem pogody obserwacja pod psem. Różnie się waha ten cały atak – raz dobrze, to znowu źle, potem znów lepiej i tak ciągle. Ostatecznie pod wieczór Moskale zostali ze swoich stanowisk wyparci, przy czym ich coś około 300 nałapano; sukces więc jest. Jeśli się w nocy cofną, to zapewne jutro odmarsz.

Przed wieczorem zaczął ostrzeliwać stację kolejową, przy czym się i naszej chatynie oberwało, na szczęście bez wielkich strat, bo tylko jeden żołnierz ranny i dwa konie zabite. Dziwnym trafem padły dwa szrapnele na grób kapita-
na W. – nawet mu po śmierci spokoju nie dają. Amunicji nie mamy nadmiaru, z czego panowie niezadowoleni, jakby to moja wina była. Była dziś u nas komenda 13. Dywizji, ale pod wieczór cofnęli się do Palczy. Przed północą idę spać, zmęczony jak pies.

9 Rus się cofnął. Prawdopodobnie pójdziemy za nim, bo już artylerii nakazano gotować się do drogi. Dżdżysto i mokro w dalszym ciągu, że się żyć przykrzy. Inżynier pojechał wczoraj do Łucka, naprawiać maszynę, i pomimo obietnicy, że zaraz wróci, dotychczas go nie ma. Pójdziemy zapewne na Równe, ale Moskale postawią się ewidentnie jeszcze parę razy po drodze, bo teren do obrony bajeczny. Czekamy, co powie Rumunia, to zbiorowisko głupich szewców, mogących bez trudu przyjść w posiadanie Besarabii. Omawiamy to z kap[itanem] P., przy czym robi taką minę, jakby się rzeczywiście znał na polityce, ja zaś nie widzę powodu, dla czego nie miałbym go naśladować. W krótkiej zatem, ale treściwej rozmowie przypieczętowaliśmy los Rosji, tak że



Inscenizacja ataku piechoty austro-węgierskiej
przy zasiekach z drutu kolczastego

aż dziwno, że się wojna w tym samym kwadransie nie skończyła, tak mądrze wywieśliśmy całą jej bezpodstawność, przynajmniej u Rosjan. Ot, bałwanieje się z wolna, ale systematycznie.

W południe dostajemy rozkaz udania się do Ołyki¹²³, a więc skręcamy na południowy wschód. Około 2.00 jedziemy tam z kap[itanem] P. i por[ucznikiem] H. po dobrej bitej drodze. Deszcz nie pada, a oprócz tego humor mam bajeczny, bo mnie Zygmunt niespodziewanie ucieszył. Gdy wczoraj Moskale na niego napierali, podjął na własną rękę przeciwwatak, który przeprowadził ze skutkiem, przebył rzekę, i ani mu się śniło dać się stamtąd wykurzyć, sąsiednie kompanie wyrwały za jego przykładem, dostał metrową pochwałę z pułku i natychmiast go podano do odznaczenia Krzyżem Zasługi. To mi się bestia spisało! Mam kolosalną satysfakcję, ale on chyba ze sześć razy większą. W Ołyce zajmujemy wschodnią część miasta (!?), po przebyciu kolosalnie błotnistej drogi. Dla komendy regulujemy kwatery w szkole i na plebanii. Wszystkie prawie pułki nocują w naszym pobliżu, tylko akurat 90. został na pozycji, a z nim Zygmunt, który by nas na pewno odwiedził. Ha, no trudno! Nie ma go, psiakrew z tym pyskiem!

Pałałem za to dwa kielichy gorzały, za jego zdrowie też. Pomimo że na jutro zapowiedziany dalszy marsz, panuje przekonanie, że niedaleko zajdziemy i posiedzimy tu z parę dni, zanim Moskale Równe oddadzą. Ładny podobnoż zamek Radziwiłłów postanawiam jutro po dniu zwiedzić, jutro również proszę o urlop, bo się już strasznie przykrzy. Do Rysieńki sobie pojadę, i już! Uszanowanie swoje złożę lejtnancik. Hej! Starzejemy się pomału, tylko patrzeć, jak jeszcze na wojnie jakim majorem zostanę! (minorem już

jestem). Uczę się na pamięć rad i wskazówek dotyczących urlopu, od tych, którzy już onych delicji zażywali, przydać się to może. Śpimy sześciu w jednym pokoju, i tyle śmiechu, że aż uszy puchną. Ratujemy się od tej przypadłości, zakrywając głowy kocami, i dopiero w ten sposób zasypiamy.

10 Ciągnie tak przez powybijane okna, jakby przeciąg był, psia pies, główną osobą w tym pokoju. Nic dziwnego, że po wystawieniu nosa spod przykrycia nikt nie zdradza ochoty wystawienia czegokolwiek innego, i temu zawdzięczyć należy, że leżymy do 7.00 jak konie. Za oknem pułkownik, otoczony oficerami różnej artylerii, już się z nimi naradza, w jaki sposób należy Moskali zastrzelić. Ubieram się też, zawstydzony, na gwałt, by mnie nie wzięto przypadkiem za osobnika mało się wojną interesującego. I rzeczywiście, po otrzymaniu rozkazu zostania w Ołyce, celem objęcia służby telefonicznej (psiakrew, przyjemność!), idę... na kawę. W międzyczasie wyjeżdżają prawie wszyscy na „stanowisko dzienne”. Ci, którzy nie pojechali sypią zwiedzać miasta i zamek, a ja, nieboraczek, najmniej może z całego towarzystwa winien, sterczę jak kołek w próżnej szkole, nie mogąc nawet, ku rozpacz, przyjść w posiadanie arkusza papieru dla zrobienia podania o urlop.

Wzruszony jestem pamięcią pułkownika U., który mi przysłał kartkę z gratulacjami awansu; zaiste doniosły wypadek! Co tylko należałoby uważać za beczelną ironię, to fakt, że kartka pisana z Krakowa, z widokiem Sukiennic. Uspokajam się atoli, że sam tam niedługo będę. Wczorajsza moja prośba o przydzielenie do baterii została przychylnie załatwiona, mam nadzieję, że z prośbą o urlop stanie się to samo. Towarzystwo po powrocie z miasta zabiera się do

szachów i rozgrywają się światowe turnieje w cenie 5–20 ct; pogratulować sobie mogą znowu sukcesu.

Dywizja wraca po południu, skutkiem czego możemy dostać pożywienia niezaznawanego dotychczas przez cały dzień. Nagromadziło się dosyć kancelaryjnych rzeczy, nad którymi schodzi mi do wieczora. O tym czasie wraca i brygada do domu, po czym poobracawszy znaleziony globus, celem odczytania, ile dni potrwa jeszcze wojna, udajemy się na kolację z przerwami, bowiem pobiegłem do kap[itana] D. z pożywieniem, jako że on jest dziś od kuchni odcięty. Sandig znowuż zajęty udowadnianiem jakiegoś idiocie, że jest szpiegiem, i że go trzeba zastrzelić, na co tenże w żaden sposób nie chce się zgodzić. W łóżku, zachęcony ogólnym przykładem, urządzam czytelną, trwającą blisko do północy, co się rzadko zdarza. Hej! Żeby to, psia pies, już można na urlop! Doczekać już trudno. Wyściskam ale Rychnę, choćby się gniewała, jak mi Bóg miły, nie przepuszczę!

11 Jeśli mi kto udowodni, że mam ochotę wstawać, to się nazywam Feitel, bowiem takie nazwisko sobie na ten wypadek umyśliłem. Nikomu się atoli na żadne dowodzenie nie zbiera, a ja się ubierać muszę, bo konie nasiodłane, i w pole jedziemy. Brygada osobno, dywizja osobno. Ja, przeznaczony jechać z tą ostatnią, niewiele zdradzam w ogóle ochoty do przejażdżek, a tu jak na złość ekselenc, jak powiada „w zamyśleniu”, pobłądził drogę, i nałożyliśmy parę kilometrów niepotrzebnie. Stanowisko dzienne urządzone w lesie z całym komfortem. Rozsiadamy się po to, by się zaraz na wstępie przekonać, że nie mamy nic do roboty, to się nazywa prowadzenie wojny! Jedynym zajęciem jest pieczenie ziemniaków, od którego odrywamy się chwilami, dla obser-

wowania dość licznych rosyjskich latawców. Niewiele jednak, jak widać, wyświetliły ich wywiady, bo Moskal w dalszym ciągu szuka tylko strzałami stanowisk baterii, nic jednak nie znajduje i żadnych strat nie przynosząc.

W południe dają nam wzorowy obiad, przywieziony z narażeniem się na bomby samolotowe. Aliści zaledwieśmy się nażarli, gdy przyszła depesza z korpusu, nakazująca wycofanie dywizji z frontu i zastąpienie jej inną. Mamy stanowić rezerwę korpuśną. Co prawda, to wojny dziś wielkiej nie było, ale co znowu za zamiary? Artyleria powyszukiwała z trudem stanowiska, a potem cele, zabiera się na dobre do roboty, a tu tymczasem zwijaj firmę, i marsz do Ołyki, z takim bowiem rozkazem mnie do niej wysłano. Być w rezerwie nie znaczy, by się wtedy źle powodziło. Gdyby tylko taki stan dłużej trwał. Tymczasem nikt nie ma pewności, czy już w najbliższych paru godzinach nas gdzie nie pchną, dla roboty najniewdzięczniejszej, łatania dziury we froncie. No, ale w końcu o tym potem.

Na razie, zawiadomiwszy wszystkie baterie, co im czynić przystoi, jadę sobie wesoło do domu, i spotykam ku jeszcze większej wesołości Zygmunta. Brodę zapuścił, bo powiada, że od dziewięciu dni nie tylko golić, ale nawet myć [się] nie miał sposobności. [Jest] przy dobrym humorze, wyklina tylko, że zaledwie skończono mu budować „dekunek”^a już jest nakazany odmarsz; wygląda i trzyma się dobrze. Rozstaliśmy się za chwilę, bo i mnie w inną stronę, i jemu do drogi zabierać się trzeba było. Wieczorem nie mogę przyjść do porządku z robotą, bo baterie nie wszystkie się zjechały, tylko kapią po jednej. Ciężkie haubice przydzielone od nas do 3. Dywizji. Moja prośba o urlop już podpisana, chodzi tylko o to, kiedy przyjdzie pozwolenie z komendy armii, bo

^a *Deckung*
(niem.)
schronie-
nie, ukry-
cie. Tu:
kwatery.

aż tam prosić trzeba. Mam atoli nadzieję, że za jaki tydzień może puszczyć się z Antkiem w podróż poślubną!

12 ^aNo i jesteśmy ciągle jeszcze w rezerwie. Budzili w nocy tylko raz, wstawać zbyt raźnie nie trzeba, zażywać więc możemy mniej więcej niezakłóconego spokoju. Po sprawiedliwości, to się nam to i należy, jako że dziś niedziela, co łatwo rozeznąć można po kapelanie, odgrzającym się, że odprawi nabożeństwo. Następuje też skutkiem tego generalne golenie, strzyżenie włosów, mycie itp. zmienianie bielizny. Można też sobie wyobrazić, jak wyglądała podłoga po przeprowadzeniu onych transakcji przez siedmiu mieszkańców naszego pokoju, nadmienię tylko, że jeden z przybyłych gości, zobaczywszy zalaną podłogę, żałował, że nie przyszedł z wędką, tak do sadzawki była podobna. Ale nic to, bylebyśmy tylko zawsze humor mieli, to się nawet to przeżyć da.

Sam, skutkiem pilnowania telefonu i sprawy wymiany koni, do kościoła iść nie mogę, wypycham więc tylko swoich chłopaków, co mi chyba także za zasługę poczytany będzie. Uporawszy się z robotą, już miałem się zatonąć w kontemplacji (bezmysłne patrzeć w sufit leżąc na łóżku), gdy mi doniesiono, że Zygmunt przyjechał. Wpaliłem mu naturalnie porcję, że się u mnie od razu nie zameldował, ale ostatecznie poszliśmy do menaży i palnęli sobie po dwie kminkówki, aż oko zbiełało. Nie zazdroścę mu, psia pies, tego, co opowiada, ale za dumna sztuka, by się chcieć z obecnej sytuacji wywinąć. Lubię go za to, i da Bóg, że przetrwa ten czas, dla mojej pociechy, a niezadowolenia fałszywców. Zjadł śniadanie, na obiedzie nie chce zostać – i spalił się – tak jak przyjechał.

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

Wyspawszy się po obiedzie, zostawiam urząd Królówi na głowie, sam zaś sypię do miasta oglądać kościół i zamek, o których opowiadają, że ładne. Idziemy z kapit[anem] G., i nie żałuję fatygi. Kościół rzeczywiście piękny, zarówno [na] zewnątrz, jak wewnątrz, gdzie [są] stare malowidła z Radziwiłłowskich czasów. Czysty barok nic nie zatracił ze swoich cech, pomimo parokrotnych odnawień. Moskale zdarli miedziany dach, co o tyle psuje harmonię, że przywodzi na myśl ich bezwzględny wandalizm. Cerkiew mała, drewniana, ma w sobie tyle od swoich koleżanek odrębnego, że posiada ciemnozielony dach, zamiast krzycząco papuziozielonego. Zamek nieodnawiany zupełnie (przynajmniej na zewnątrz, bo w nim nie byłem), posiada wszystkie cechy średniowiecznej wielkopańskiej siedziby. Budynek duży, okolony moczarami i fosą, z wielkim dziedzińcem do turniejów, na którym obecnie gra muzyka austriacka, zaludniony wojskiem wszelakiego gatunku. Atrakcję stanowi para niedźwiedzi, pędząca błogi małżeński żywot razem z potomkiem, w jednej z narożnych baszt. Odwiedzana [jest] ustawicznie przez niedźwiedzi ludzkiego rodzaju, gapiących się na wzorowe pożycie małżeńskie, zasadzające się na ogryzaniu kości przez męża, ustawicznym kręceniu się z miejsca na miejsce przez żonę i przypatrywaniu się obu tym czynnościom przez dziecko. Aliści do domu czas, więc i miły spacer przy muzyce zakończyć trzeba. Wyzyskuje wojsko niedzielę, wałęsając się po mieście, nadając mu tym samym świątecznego wyglądu. W pobliżu naszej siedziby urządzili znowu Bośniacy placmuzykę, tak więc na każdym kroku pociesza się każdy, jak może. Spokój panujący na froncie uspokaja do reszty i pozwala zapomnieć na chwilę o wojnie. Przychodzą tym samym

na myśl inne, pokojowe czasy i... bodaj tylko na ten urlop można jak najprędzej!

13 Zaalarmowali dywizję około 5.30 rano, powodem Moskale, usiłujący przerwać front pod Klewaniem. Zostaje natychmiast wstawiona jedna brygada dla posiłku, za czym się i uspokoiło na chwilę. Dowiaduję się, że dywizja nasza ma być przeniesiona gdzieś pod Brody, bo nawet z tych okolic mapy kazano przygotować, aliści w międzyczasie Moskale front przerwali i idą na Derewniane, skutkiem czego okazuje się potrzeba wstawienia i drugiej brygady. Artyleria ma zająć stanowiska, ale nie wiem, jak to będzie ze strzelaniem, bo mgła zasłania świat, że na kilkadziesiąt kroków zaledwie widać. Umiejętne rozmieszczenie piechoty może spowodować, że się tych przedartych Moskali złapie; polecam też przejeżdżającemu w tej chwili Zygmuntowi, by się nie spóźnił, na co on odpowiada wprawdzie, że wolałby się lepiej spóźnić, ale się bestii przy tym oczy świecą. Strzałów nie słyhać żadnych, nie wiem, jak sobie to tłumaczyć. Komenda zostaje na miejscu, ja przy niej jako połączenie.

Jeśli się sprawa na froncie uporządkuje, pójdziemy zapewne w zamierzonym rano kierunku, co w żadnym razie przed jutrem nie nastąpi. Kap[itan] K. odjechał dziś chory do trenu. Czekam, co się dalej stanie, opędzając się od much, przy równoczesnym gwarzeniu z księdzem i Szymanowiczem. Höul i Ichöper wrócili dziś z urlopu, na wesoły akurat moment trafiwszy. Ponoć coś naszym koło Tarnopola kiepsko poszło. Inne wiadomości znowu głoszą, jakoby cały austriacki front w Galicji cofnął się o 30 km wstecz; pocieszające to nie bardzo. Na naszym froncie nie brakuje też niepokojących wiadomości. Moskale się zbierają koło

Dikowa, by się [do] Gołyszowa przeprawić, to znowu przesuwają się całymi kolumnami ku północy, by przeszkodzić posuwaniu się brygadam. Artyleria pracuje na ogół niewiele. Sztab zamierza po obiedzie wyjechać w pole, porzuca jednak ten zamiar na skutek jakiejś tajemniczej depeszy, która nadeszła, tak że konie stoją nasiodłane do wieczora. Mnie się wiedzie nieźle, bo co się na 5 minut położę, wołają mnie natychmiast do telefonu, i w ten błogi sposób całe popołudnie mija. Nie wiem, dlaczego się robię coraz bardziej nerwowo z powodu urlopu, choć wiem, że przynajmniej jeszcze z tydzień na niego czekać trzeba. Już by się chciało, psia pies, jechać! Cała pociecha z kozy, wychowanej w kuchni, dzielącej z nami trudy wojenne, rozweselając chwilami swoimi figlami. Głupieję już całkiem czy co, że mnie nawet kozy obchodzą? Sytuacja zmieniła się dopiero wieczorem, i to na dobre, bo wszystkie prawie pułki przeszły do szturm i powyrzucały Moskali za Stubłę. Są więc widoki, że noc minie spokojnie, bo się zapewne atakować nie odważą. Przed północą uspokaja się zupełnie – idziemy spać.

14 Luzuje nas 21. Dywizja. Od 5.00 rano ściąganie baterii i pułków z pozycji i gromadzenie całego towarzystwa w Ołyce. Wytyczna: na południowy zachód, a więc we wczoraj zamierzonym kierunku, na Brody. Dywizja po wczorajszym dniu przerzedzona znacznie. Bo też i walki zacięte, jak rzadko. Moskal bronią pozycji strasznie, ataki nie są słabsze, przychodzi więc do takich rzezi, że się o nich wierzyć nie chce. Oprócz tego Moskal ma już teraz więcej artylerii, i strzela gęsto; mszczą się za to żołnierze, przeprowadzając zapamiętałe szturmy, po których dość ich na polu pozostaje. Całe przedpołudnie mija na gorączkowych przygotowaniach

do drogi, dyspozycjach, zaopatrywaniu się w amunicję etc. W południe mamy z kap[itanem] P. jechać naprzód, więc tylko pospieszny obiad, i jesteśmy gotowi do drogi. Marsz Ołyka–Czemieryn–Borbin–Wilbicy–Tereszów staje się chwilami nieprzyjemny, z powodu gorącego dnia, i co za tym idzie pragnienia, którego nie ma czym ugasić. Wszystkie wsie, jak tyle innych po drodze, zupełnie opuszczone przez mieszkańców. Krajobraz zmienia się na pagórkowaty, ziemia mniej obfituje w moczary i malaryczne środowiska. W Borbinie ślady walki sprzed kilku dni, na drodze do Tereszowa tak samo. Zryte całe pola okopami, leje powstałe od pocisków armatnich, nieopgrzebane tu i ówdzie zwłoki, a nade wszystko wspólna mogiła 150 Austriaków dowodzą, że się tu bito naprawdę, że Moskale nie folgowali tak łatwo, jak zwykle. Po przybyciu do Tereszowa gaszę pragnienie jabłkami, nie wiem, jakim cudem jeszcze rosnącymi na drzewie koło szkoły, w której się kwaterujemy.

Szkoła atoli okazuje się za ciasna, dlatego na skutek propozycji zrobionej ekselencowi, przenosimy się do dworu w Konstantynówce (wł[asność] pani Wierzbickiej). Tu już więcej pomieszczenia w wyrabowanych pokojach. Ładny park, skopany rowami strzeleckimi, zyskuje na wyglądzie dopiero o zmroku, gdy się zapatrzyć w wierzchołki drzew. Zapatruję się też z przyjemnością, bo się człowiek w takich chwilach jakiś inny, jakby lepszy robi. Śmiechu i gwaru w pokojach pełno – na rozbitym klawikordzie grają bez przerwy – i chociaż to życie, to nic nowego, przecież mnie dziś jakoś razi. Może to przypomnienie na tyle grobów dziś po drodze spotkanych? Poeta? Mazgaj? Czy zgoła wariat ze mnie? Gdyby to już na ten urlop można?

15 Na bajeczną ideę wpadł szef generalnego sztabu, wysyłając nas naprzód autem. Maszerujemy bowiem dziś dalej, co także jutro i pojutrze kontynuować będziemy. Droga dziś porządna, więc sobie zaoszczędzimy trzęsienia istot swych na siodłach, chociaż ta Richterowa drynda nie bardzo jest zapraszająca. Częścią szosą, częścią złą, a nawet bardzo złą drogą przebywamy sztrekę^a Konstantynówka–Wilbierzy–Pośników^b–Murawica–Młynów–Bokujma. Tu mamy się rozmieścić, ale połowa wsi spalona, zaś reszta zajęta szpitalami. Wskazują nam Smordwę, z pałacem hr. Ledochowskiego, dokąd się udajemy po to, aby się przekonać, że wieś przydzielona węgierskim formacjom marszowym, które właśnie nadchodzą. A szkoda, bo pałac rzeczywiście ładny, urządzony, i pomieszczenia dużo. Wynosimy się z żalem, i zwiedzamy parę innych miejscowości, jak Wojnicę z przyległościami, nigdzie nic odpowiedniego nie znalazłszy. Nie pozostaje nic innego, jak wrócić do Bokujmy, i tam się urządzić, co też i czynimy.

Zaczyna padać deszcz, a z nim spada ekselenc, zmuszony siedzieć teraz samotnie i beczynn timer pokoju. Trzy pokoje dla całej dywizji okazuje się za mało, dlatego przychodzi aż do scysji kapitana z lekarzem, nie chcącym nam oddać szkoły. Ułagodziło się jednak na tyle, żeśmy się mogli, acz z trudem, porozmieszczać. Mnie przypadło pomieszczenie w sali jadalnej, muszę też po kolacji wyczekiwać, aż się panowie powynoszą. Jak na złość, zaczynają partię wiata przeciągającą się dosyć długo, aż wreszcie koło północy rzucamy się na spoczynek, celem zaopatrzenia się w siły na jutrzejszy marsz.

^a Trasę, po galicyjsku – tor kolejowy.

^b Pośników (Postnyków).

16 O 4.00 rano dochodzi nas rozkaz armii, nakazujący zatrzymanie dywizji. Zdziwieni tym jesteśmy, nie wiedząc, co o tej nagłej zmianie sądzić, ale ostatecznie godzimy się ze wszystkim, bo na razie stoimy. Zjawiają się szachy, i trwa nieprzerwany turniej, aż do obiadu. Po jedzeniu nagle nakazany odmarsz, i to w kierunku Ołyki. Już teraz dla każdego stało się jasne, że pod Równem musiało się coś popsuć, kiedy nas nagle z drogi nawracają. Nie ma jednak czasu, by debatować, bo za kwadrans wszystko już w drodze. Pogoda na szczęście dopisuje, tak że czas dosyć szybko przechodzi. Około 7.00 wieczorem jesteśmy znowu w Konstantynówce – naszej przedwczorajszej kwaterze – pomęczeni i bez widoków na kolację. Nic mnie nie interesuje, i dlatego dopadłszy fotela redukuję swoją długość do $\frac{1}{2}$ i śpię, a przynajmniej mam ten pobożny zamiar. Tren przybył dopiero o 2.00 w nocy, za czym mogłem dokończyć wypoczynku na sienniku.

17 Zarządzony dalszy marsz do Ołyki. Odnoszę wrażenie, jakoby tam w górze byli całkiem bez głowy, bo zaledwie dywizja marsz rozpoczęła, gdy przyszedł rozkaz dla zatrzymania jej na miejscu. Nic innego, tylko musiał któryś z dowodzących zwariować, albo w najlepszym razie jest od kilku dni pijany. Dyspozycja zmienia się w końcu o tyle, że jedna brygada pozostaje, druga zaś idzie na Palcze–Kotów. Komenda wyjeżdża rano, przy paskudnej pogodzie, do Palczy. Plaguję się^a przez całą drogę z za wąską peleryną, aż ją narreszcie rzucam, zezłoszczony, wołąc raczej moknąć na deszczu. Po krótkim spoczynku w Chorłupach, podczas którego zabawia się towarzystwo szukaniem czterolistnych koniczyn (także idea!), jedziemy do Palczy.

^a W sensie: użeram się.

Deszcz ustał i tylko silny wiatr harcuje. W Palczy zatrzymujemy się przy komendzie 10. Korpusu, i postój ten trwa do 23.00. W międzyczasie dochodzą przeróżne wiadomości, mianowicie w miarę świeżości coraz gorsze. Chwile się front [Dywizji] 62., kiepsko przed 24., nie lepiej i 45.; a więc całe lewe skrzydło zachwiane nieoczekiwanym naporem świeżego rosyjskiego korpusu. Dokładnych szczegółów nie mogę się dowiedzieć, jestem tylko ciekawy, co się teraz z naszą dywizją, a raczej brygadą stanie, bo trzeba dobrze puknąć palcem w czoło, w które miejsce ją wstawić przyjdzie. Rozwiązanie tego pytania niedługo nadchodzi, mianowicie zarządzony jest ogólny odwrót, na linię na wschód od Łucka. Zaczyna się zwykły w takich razach sądny dzień, w którym główną rolę odgrywają treny. Wszystkie drogi do Łucka zabite kompletnie wozami wszystkich naraz dywizji, porządek między nimi względnie utrzymany.

Znam już takie dni „odwrotowe”, ale zawsze robią jednak przygnębiające wrażenie. Dzisiejszy o tyle inny, że mnie brygadier zabrał do auta i wyminęliśmy dosyć prędko to całe piekło. Komenda ma kwaterować w Łucku, gdzie przygotowuję mieszkania. Późnym wieczorem przyjechali dopiero, trenu jednak nie widać. Aż osłabłem od nadmiaru biegania. Cały dzień nie jedząc, rzucam się zgłodniały na kolację, którą dostaliśmy jeszcze z kapitanem w komendzie etapowej. Północ – wozy jadą jeszcze ciągle nieprzerwanie – naszego trenu nie widać, do tego nie mam jeszcze własnego mieszkania. Klnę więc, na czym świat stoi, że spocząć nie ma gdzie. Zmachany jednak do ostateczności, kładę się u W. na podłodze, zwinąwszy kożuch pod głowę. Godz[ina] 2.00, wozy jeszcze nie przyszły.

18 Budzę się z bólem w kościach, bo podłoga była twarda; pociecha jednak w tym, że nie maszerujemy dziś dalej, można więc będzie trochę wypocząć. Zamiarem jest wybudować tu przyczółek mostowy, broniony od wschodu przez trzy dywizje. Następnym tego jest rysowanie pozycji, szkiców, i diabli wiedzą czego, głównie dlatego, żebym przez cały dzień nie miał chwili wolnej, bo rzeczywiście roboty jest tyle, że dopiero o zmroku jestem z nią gotów. Po południu przeprowadzamy się w inną część miasta, zajmując kwatery komendy etapowej, zmieniającej swą siedzibę. Nie mam nawet czasu przypatrzeć się dobrze miastu, robiącemu dobre wrażenie na pierwszy rzut oka. Na razie główną uwagę zajmują treny, ciągnące się od przeszło 26. godzin nieprzerwanie, co obserwują z przerażeniem Żydzi, obawiający się powrotu Moskali. Sądny dzień dziś u nich, nie wolno im nic robić, mają więc zajęcie wygapiając się na nieprzerwane kolumny.

Wieczór już dobry był, gdy gruchnęła wiadomość, że cała nasza brygada została z lewego skrzydła otoczona pułkiem kozaków. Równocześnie połączenie telefoniczne z nią zostaje przerwane, tak że nie można się dokładnie dowiedzieć, ile w tym prawdy. Major Krimm rozpoczyna kano nadę przy łunie pożaru wsi Kiwercy. Przy komendzie powstaje zamieszanie trudne do opisanego, większość jest tak zdenerwowana, że ich nie poznaję. Na łeb na szyję wszystko w jednej chwili spakowane, konie posiodłane, i tylko czekają wszyscy na rozkaz do odmarszu. Siadłem sobie na krzesło i przede wszystkim jestem zły na prawdopodobny odmarsz, w chwili kiedy sobie wyszukałem porządną pokój i miałem zamiar wypocząć. Następnie kombinuję, ile taki pułk kozacki może liczyć teraz jeźdźców, oraz że Kozak

to także nie diabeł, ale człowiek, którego jak dobrze walczyć w łeb, to się wywróci. Wykoncypowawszy sobie sprawę w ten sposób, opieram głowę o ścianę, przysmykam oczy i zaczynam drzemać, w czym mi przeszkadzają biegający tam i z powrotem, jak w ukropie, sztabowcy i niesztabowcy.

Niech ochłoną troszkę – myślę se, to się tu zaraz uspokoi – w żadnym bowiem razie nie mogę sobie tego uzmysłwić, aby kozacy już całkiem rozumy potracili i zechcieli nas teraz napadać. I rzeczywiście, po godzinie wyjaśniło się jak powietrze po burzy. Nieprawdą było jakoby kozacy całą brygadę obeszl, natomiast prawdą jest, że próbowali ataku, oraz że się dostali pod taki ogień działowy mjr. Krimma, że sieczka z nich leciała. Tym więc sposobem, artyleria uratowała sytuację, przynosząc zarazem uspokojenie umysłów. Zarządzono od razu środki ostrożności i ugrupowanie rezerw, wszystko przemawia więc za tym, że noc spokojnie minie. Zanim atoli poszedłem spać, musiałem jeszcze do pół do drugiej sterczeć, bo w tym rozgardiaszu pogubiły się kolony amunicyjne, i zanim się sprawę przyprowadziło do porządku, było z tym roboty do diabła i trochę.

Zygmunt odjechał dziś do *Hinterlandu* jako chory; mówił mi przed odjazdem, że się szacuje na 4–5 miesięcy pobytu tamże. Dobrze mu tak, niech sobie bestia wypocznie, bo niebezpiecznie chory nie jest bynajmniej. Położywszy się do łóżka (prawdziwy materac), rozkoszuję się potokami światła (!) zalewającymi pokój, jako że w hotelu grandzie, w którym mieszkamy, jest elektryka – wynalazek przestarzały, bo jeszcze tam gdzieś kiedyś przed wojną używano. Czytam książkę do [godziny] pierwszej, nie mogąc się równocześnie przyzwyczaić do miękkości łoża. Tak się na tych sprężynach huśtam, że przed zaśnięciem mam chwi-

lami wrażenie, jakobyśmy odbywał wojnę morską. Na szczęście, obyło się bez tegoż rodzaju choroby, zanadto też jestem zmęczony, by nie spać do rana jak kamień albo dwa.

19 ^aNa froncie spokój celujący. Uzupełniamy na wszystkie sposoby zapasy amunicji, przygotowując się do zamierzonej jeszcze wczoraj wojny. Piechota kopie rowy i zakrywki, ciągnie drut kolczasty, w ogóle więcej przygotowań, jak samej wojny. Ale to tylko na razie, bowiem zapewne Moskal długo spokoju nie da. Nic to! Czekamy na niego. Stary jedzie rano w pole, polecając mi całą masę roboty do załatwienia, z którą jednakże do południa jestem gotów. Przykrą pogodę, na poły z wiatrem i deszczem, osładza „fasung” papierosów w ilości 1000 sztuk, mamy więc co palić, aż do listopada. Przy obiedzie H. dekorowany, po obiedzie zaś pan Filar położony na łóżku i uśnięty, i to aż do godz[iny] 4.00, bo mu się zmęczyło. Można sobie na odpoczynek pozwolić, bo spokój wszędzie.

Sandig obiecał zrobić gdzieś kąpiel, ale się jucha gdzieś tymczasem spalił. Rżniemy z inżynierem w szachy, aż stół trzeszczy, aż do zmroku, to znaczy do czasu, kiedy poszedłem do telefonu. Nic, psia pies, nie poznać, że dziś niedziela, taka do niczego paskuda na polu. O moim urlopie ani słychu, tak jakby się komenda armii przeniosła przynajmniej do Wiednia. Czekam atoli dalej cierpliwie albo niecierpliwie, a zresztą już mi, psiakrew, wszystko jedno, za dużo prosił się nie będę, bom do tego nieprzyzwyczajony. Diabli nadali nocną służbę znowu; trzeba skutkiem tego spać w telefonicznym pokoju, parnym i zakurczonym cygarami, jak szynk. Próbuję wydębic na starym zarzucenie pomysłu z nocną służbą, ale nie folguje.

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

Ostatecznie po kolacji, i po długo za nią przeciągniętej rozmowie z inżynierem, lokuję się w pokoju kapitana, przy czym tracę pół godziny nad wyszukaniem sposobu pomieszczenia się na dwa razy ode mnie krótszej kanapie, co naturalnie jest bezowocne. Nie pozostało nic innego, jak wmówiwszy w siebie, że to „po angielsku” umieścić nogi na ścianie, ku oburzeniu Antka, przerażonego niebywałą ich długością, i próbować zasnąć. Dobrze to, ale powiedzieć – próbować zasnąć, trudniej wykonać, bo kapitan nawet po zgaszeniu światła fafrocze i opowiada, co by on to teraz zrobił Moskalom, gdyby był komendantem armii. Jak by ich zaszedł jedną dywizją z boku, drugą z przodu, trzecią już diabli wiedzą, z jakiej strony – co wszystko naturalnie musiałoby spowodować zagładę przynajmniej połowy rosyjskiej armii. Nic się nie odzywam, udając, że śpię, ale nie pomaga, bo zaczął znowu zajeżdżać z bateriami, potem gdzieś z kawalerią galopuje, i tak bez końca. Teraz mam ja ochotę powiedzieć, co bym zrobił, gdybym był komendantem armii – mianowicie, żebym go przede wszystkim z pokoju wyrzucił, aby spać nie przeszkadzał. Powstrzymuję się jednak, bo... subordynacja. Dobre pół godziny trwało to dowodzenie armią, aż zmęczony przeprowadzoną batalią kapitanisko zasnął. Szczęść mu Boże, w tym przedsięwzięciu! Nie! Ta kanapa jest bezczelnie krótka! Klnę całkiem zwyczajnie, po polsku, nie zważając nawet na „angielską” pozycję.

20 Wyobrazić sobie nie mogę, jakim się to sposobem stało, że mnie w nocy nie zbudzono. Jak się dowiaduję bowiem rano, Moskałe przeprowadzili w nocy atak przy współudziale artylerii; atakowali zaś z brawurą, 15 razy szturmując pozycje 7. Pułku Obrony Kraj[owej]. Jak zeznają jeńcy, mieli roz-

kaz wziąć Łuck za każdą cenę. Noc więc była niespokojna, jak rzadko; wszyscy byli na nogach i spakowani do drogi, z wyjątkiem kapitana i mnie, dwóch ananasów, śpiących jak „niewinne aniołki”. I rzeczywiście, nie wiem, czemu zawdzięczam, że nas nie budzono. Trwało to zamieszanie coś do 3.00 rano, aż pokrwawieni Moskale dali spokój.

Niespokojna noc pozwala przypuszczać, że będzie spokojny dzień, więc aby mi się przypadkiem nie przykrzyło, każę siodłać konia, wyszukuję pozór i odbywam spacer do parku amunicyjnego w Borgołubach^a. Mieszkają sobie tam w zgodzie i miłości, jak u Boga za piecem, narzekając tylko, że konie nie mają stajen, i muszą stać na wietrze. Dosiedziałem u nich do południa i wróciłem do Łucka prawie na obiad. Po południu nieodzowne w wolnej chwili szachy, aż do zmroku. Potem zwykła codzienna robota z sytuacją i amunicją, kolacja, znowu szachy, w ogóle błogosławiony żywot. Wojna w tym tempie podobałaby mi się w zupełności. Śmieszne to, ale nie zdążyłem dotychczas oglądnąć miasta ani spróbować kupić cokolwiek. Kręci się człowiek między mieszkaniem a kancelarią, w wolnych chwilach rznie w szachy, tak że właściwie sposobności do włóczenia się po mieście nie ma. Ale już ja się powłóczę, niech mi tylko urlop dadzą! Past[ernak] już dziś pojechał.

^a Bogoluby.

21 Powywracawszy się kilka razy leniwie na łóżku, zdecydowałem się nareszcie około 7.00 otworzyć oczy i niedługo potem zacząć się ubierać. Nie nagli nikt ani nic. Spokój na froncie, prawie jakby zapewniony ostatnim pokrwawieniem Moskali, trwa rzeczywiście w dalszym ciągu. Wstawszy, raczej udaję, że coś robię, aniżeli robię w rzeczywistości, bo zajęcia niewiele. Przykrzy się za to coraz bardziej i wyczeku-

je urlopu. Dzielne rosyjskie wojsko zamiata ulice i zgarnuje błoto. Myślę o pracujących jeńcach, na których się przez okno wygapiam nie zazdroszcząc im losu, choćby z tego samego względu, że żaden z nich nie może dostać urlopu, podczas gdy ja go mogę dostać, jakkolwiek ulic nie zamiatam. Otóż i wykazałem różnicę między sobą a żołnierzem rosyjskim – dowód, że posiadam umysł „wielostronny” albo, że baranieję, co też i serdeczni przyjaciele skwapliwie potwierdzają. Ale to z nudów, jak Boga kocham, z nudów, bo przecież znający mnie wiedzą, że niczym barana nie przypominam, choćby ze względu na brak rogów, a obecność łysiny.

Przespawszy się po południu przyzwoicie, wyszedłem na miasto, ale zaczyna deszcz padać, spłukując mnie z powrotem do domu. Inżynier gdzieś się z całym samochodem zatracił i nie ma z kim nawet partii szachów uciąć. Siadłem więc przy oknie, a ponieważ do czytania już za ciemno, zaś do robienia światła za widno, przeto urządziwszy szarówkę puszczam wodzę myślom onanizując ducha, jak ja też to sobie naużywam na urlopie. Pojadę naturalnie do Lwowa, Krakowa, Trzebini, Jaworzna, no chyba z połowę świata zjeżdżę. Najdłużej się jednak zatrzymam w Krakowie, bo tak mi się będzie podobało, i już. A pozwolenie na urlop powinno już chyba niedługo przyjść? 10 dni, jak wniosłem podanie! Nocny dyżur czynię dziś znowu na krótkiej kanapie u kapitana. Nauczony jednak doświadczeniem, wiem już jak sobie mam z nią radzić, a ponieważ i kapitan niewiele dziś fafrocze, więc też i zasypiam o wiele prędzej, niż przedwczoraj.

22 Noc minęła spokojnie; zaczynam wierzyć w swą szczęśliwą gwiazdę, bo mnie jakoś po nocach nie budzą. Wyspałem się też setnie, i zadowolony ze świata udaję się do swych apartamentów dla zrobienia toalety. Z radością ujrzałem na łożu uśpionego inżyniera, z rękami założonymi na brzuchu, i z takim wyrazem twarzy, jakby we śnie komuś dowodził, że brzuch to najważniejsza część ciała. Kto wie, czy nie ma racji? Zmęczony był atoli, bo jak się dowiedziałem, wrócił dopiero o 3.00 nad ranem, pomagając po drodze wyciągać tkwiący w błocie automobil Kuźniara. Tenże przybył robić znowu służbę przy dywizji. Spokój na froncie jest taki bajeczny, że nas wojna nic a nic nie obchodzi. Chodzimy sobie po mieście, usiłując kupić buty albo przynajmniej skóry na nie, ale oprócz cuchnącego dziegiem juchtu nic nie ma. Byłbym więc skazany na chodzenie przez zimę bez butów, gdyby nie ten urlop, który chyba dostanę. Nadeszła poczta dowodzi, jak się ludzie o mnie trapią, trzeba by więc ukazać tu i ówdzie swe oblicze. Na razie obiad, po obiedzie spać, po spaniu wstać i pisać list do kap[itana] H., domagającego się ode mnie najrozmaitszych rozmaitości. Po napisaniu listu ciemno, a więc czas nadać depeszę z sytuacją do korpusu. A więc do pracy! (Nareszcie!).

Przy telefonie dowiaduję się, że konfidenci donieśli o zamierzanym ogólnym rosyjskim ataku, mającym być przeprowadzonym w nocy; zgadza się to z prawdą o tyle, że już podczas kolacji słysząc pojedyncze strzały, padające do miasta. Postanawiam zatem pospieszyć się z jedzeniem, by móc się prędko położyć, jako że nas zapewne w nocy będą budzili. Sandig coś fafra, że nas podano do dekoracji, w co na żaden sposób uwierzyć nie mogę. Znowu rypnął granat, tym razem w naszym sąsiedztwie. Trzeba się prędko kłaseć.

Rzeczywiście, o 10.00 alarm. Tym razem wiedzieli Moskale, gdzie mają najpierw uderzyć, bo zaatakowali przede wszystkim 24. Dywizję, i to Pułk 77. Naturalnie od razu przerwali front, wobec czego nie pozostaje wiele, bo związać manatki i jazda za rzekę¹²⁴. O 11.00 jestem wysłany na stanowisko baterii dla prowadzenia ich nakazaną drogą, celem uniknięcia ścisku. Dotychczas nie wiem, jak by ta podróż była wypadła, gdyby nie pożar oświetlający okolicę. Około północy cała nasza artyleria szczęśliwie do miasta wmaszerowała.

23 Godz[ina] 1.00. Udaję się dopiero do mostu, pozostawiając opuszczone miasto. Pojęcia nie mam, co się z naszą piechotą dzieje. Mam rozkaz szukania dywizji w Bogolubach, przyłączam się atoli do będącej na końcu kolumny drugiej baterii haubic, by się osobiście przekonać, że cała artyleria za mostem i móc o tym starego zawiadomić. Moskał wali od czasu do czasu ciężkimi granatami, ale na ślepo, na podstawie mapy najwyżej, bo mostu widzieć nie może; nie trafił prawie nic, spowodowawszy tylko nieco popłochu. Drogę do Bogolubów znam na szczęście, w przeciwnym bowiem razie błdzić trzeba by niepotrzebnie. Przyjeżdżam tu około 3.00 i dowiaduję się, że dywizja została jeszcze w Łucku; od czterech godzin bez przerwy jestem na koniu, a tu jeszcze diabli nadali tyle drogi na darmo. Ogrzawszy się nieco przy ognisku, wracam do Łucka, popędzając niezadowoloną z tego kobyłę. Na moście spotykam sztab opuszczający miasto. Kierujemy się na Bogoluby, gdzie zamierzone nowe stanowiska. Piechoty nie widać żadnej, widocznie jeszcze jest za rzeką. Sprawdzają się moje przypuszczenia, wkrótce bowiem zostaję wysłany do pułku po jedną baterię, która podciągnięta na sam brzeg rzeki, ma bronić przeprawę

piechoty. Ofiarą pada bateria trzecia – funkcję ma chlubną, ale nie do pozazdroszczenia. Reszta artylerii zajmuje stanowiska na wschodnim kraju Bogolubów. Zostaje natychmiast wzięty pod ogień most pod Wyszkowem, tym samym udaremniony pościg rosyjski w tym miejscu przeprawy. Zza wzgórz ukazuje się powoli piechota, a raczej jej szczątki, wracające w nieładzie. Zaczyna się jej porządkowanie przy pomocy kawalerii.

Atmosfera przygnębiająca: 40. stracił 2300, 90. 1200 ludzi – o innych dywizjach nie mówię. Z tymi ludźmi ma być utrzymana linia! Na szczęście, Rus nie napiera. Artyleria pracuje przez cały dzień bez przerwy. Pod wieczór szczątki 40. zostają zaatakowane, przy czym tracą znowu pewną część żołnierzy. Nakazany odwrót – jadę z odnośnym rozkazem do ciężkich haubic, i po powrocie dowiaduję się o zarządzeniu komendy armii, nakazującej utrzymanie stanowiska artylerią wysłaną do przedniej linii. Dobrze jest – myślę sobie – zacznie się bal, jakiego jeszcze nie było. Zauważyć trzeba, że jesteśmy wszyscy od 24 godzin bez pośiłku i snu, przy równoczesnym zdeprymowaniu. Mimo to, zajeżdża artyleria do przednich stanowisk. Boga proszę, by Moskale nie atakowali, bo w takim razie ją stracimy na pewno. Sztab udaje się na noc do Boguszewki, gdzie śpiemy w jednej stodole, w dalszym ciągu nic nie jadłszy. Ze zmęczenia czuję wszystkie kości razem i każdą z osobna. Nic mnie już nie obchodzi, co się stanie, tylko się kładę, marznąc przez noc osobiście.

24 Strzelano trochę nad ranem, ale się wkrótce uspokoiło. Wyjeżdżamy na stanowisko dzienne w Bogolubach. Na razie spokój, ale około 9.00 zaczyna się zabawa. Wszystkie na-

sze baterie, widoczne jak na dłoni, zdaje się Moskal ignorować, wyjąwszy Baterię 6. Wali w nią tak granatami, że chwilami odnosi się wrażenie, że żywa noga z niej nie ujdzie. Komendant jej przycicha chwilami, odgrywa się jednak od czasu do czasu salwami, donosząc, że napierają nań z prawej strony. Odgryzanie się to spowodowało zniszczenie całej atakującej rosyjskiej linii. Dzięki dzielności komendanta tej baterii, spełził na niczym zamiar Moskali przełamania frontu, a co by za tym poszło, zabrania baterii. Po tym pokrwawieniu daje Rus spokój, i to już przez cały dzień. Wysłany jestem po południu do Berezówki, gdzie pozostaję do wieczora. Ogromnie czynnymi są rosyjskie samoloty, których po dwa lub trzy równocześnie uwijają się w powietrzu, ostrzeliwane bezskutecznie. Dziś mieszkamy znowu w stodole, tym razem lepiej pozawijani w koce.

25 Nie mogę wyjść z podziwu, że w nocy nie było ataku. Tak jakoś niesamowicie cicho i spokojnie, że jestem zdumiony. Około 9.00 wyjeżdżamy w pole, po to, by się ulokować w takim miejscu, z którego nic nie widać. Ustawiłem lunetę i obserwuję widoczny kawałek frontu, nie mogąc wyszukać ani jednego Moskala i dziwiąc się w dalszym ciągu, dlaczego oni właściwie nie atakują. Trwa ten spokój przez cały dzień. Zabawiam się wyszukiwaniem Moskali przy pomocy lunety, ale oprócz przekraczających właśnie zasieki druciane trzech jeńców nie widać żadnego. Telefonują natomiast, że w sąsiedniej południowej grupie wzięto 1280 jeńców, w tym 3 oficerów, oraz zestrzelono jeden samolot. Równocześnie donosi nasz obserwator na kościele o rosyjskich kolumnach z artylerią, maszerujących... w kierunku północno-wschodnim. Zwariowali, czy im gulasz nie

smakuje? Cofają się, względnie osłabiają swój front w chwili, kiedy my się zabezpieczamy budowaniem nowych linii obronnych poza sobą! Nie rozumiem tych zuchów. Chyba żeby już zapowiedziane niemieckie dywizje dawały pomalutku odczuwać swoją obecność na północ od Łucka? W każdym razie, zyskujemy na czasie, i pewną rękojmię spokoju przez noc; co prawda, to zdążyliśmy już co nieco ochłoniąć po ostatniej gorączce.

Nadintendent i kap[itan] P. odjechali sobie dziś na urlop; zazdroszczę im, wyczekując swojej kolei. Podobno będący od początku wojny w polu mogą dostać cztery tygodnie urlopu; jeśli to prawda, tom się ładnie orznął, prosząc tylko o dwa! Ale w końcu niech przynajmniej tyle dadzą!

Na noc wracamy do wczorajszych kwater. Dziwnie wesoły jestem, chociaż do tego najmniejszego powodu nie ma, ale to tak, psia pies, rozmaicie z tym humorem! Z równowagi nie wyprowadza mnie nawet głupia uwaga pewnego z panów, dotycząca Polaków, bo sobie tłumaczę, że chcąc nas sądzić, trzeba do nas przynajmniej dorósć. Mam znowu nocny dyżur.

26 ^aPogoda dopisuje już trzeci dzień. Chłodne noce, przy myciu dostaje się gęsiej skórki, ale ostatecznie dnie ładne na pożegnanie lata. Nie wzywają nas dziś wcześniej, bo skończone już nasze zadanie na tym odcinku frontu; luzuje nas 45. Dywizja, sami zaś mamy odejść w południowo-zachodnim kierunku, a więc prawdopodobnie do 9. Korpusu. Jest dosyć czasu na wymycie się i ogolenie, co się czyni z ochotą, zwłaszcza przy niedzieli. Mam z kapitanem odjechać około południa, wypoczywam więc na razie, zażywając rozkosznych wczasów, nie przerywanych przez nikogo. Co się zno-

^a *Dopisek
autora:
Niedziela.*

wu z nami stanie, i co Moskale robią, dając nam tu spokój? Dowiem się może później, na razie mądry jestem, jak tabaka w rogu albo zgoła w papierku.

Po napełnieniu żołądków, przy bajecznej pogodzie, wyjeżdżamy w południe, skracając drogę lasami i polami do Ratniewa^a. Krajobraz bajeczny, pomimo pewnej jednostajności, bo zaledwie tu i ówdzie mały laszek lub bagno, zresztą pole i pole, z lekka wzgórkami pofałdowane. Moskale cofnęli się na całym froncie, zmuszeni naporem Niemców, którzy się nagle a niespodziewanie zjawili w obszarze na północny wschód od Łucka (Kolki). Usposabia nas to dobrze, z humorem przebywamy długą dosyć drogę. W Ratniewie znajdujemy we dworze skromne, ale miłe pomieszczenie. W oczekiwaniu dywizji skracam sobie czas zabawą z psami, biegającymi tu w przerażająco wielkiej ilości sztuk i odmian, zyskując sobie w tym towarzystwie najzupełniejszą popularność. Na dobre zagospodarowani, zaczynamy się pakować na przysłany nam rozkaz udania się do Jałowicy^b, po drugiej stronie Styru. Radzi nieradzi jedziemy, odprowadzani przez całą plejadę moich nowych znajomych, kręcącą ogonami i wyszczekującą dla zadokumentowania swego dobrego wychowania. Spotkawszy po drodze 4. Brygadę, dowiadujemy się od niej o ponownej zmianie dyspozycji, za czym – rezygnując z udania się do Jałowicy – wracamy, celem odszukania dywizji. Mijając 40. Pułk, natknąłem się na Wacka Kalicińskiego – przybył z ostatnim marszbatalionem i powiada, że dobrze mu się wiedzie. Uciechę mam z tego powodu jak 100 diabłów.

Spotkawszy w dalszym ciągu kapitana K., wysłanego nam naprzeciw, skręcamy do Kol[onii] Płoszczy, po czym – po bezowocnym przeszukaniu Połonki – udajemy się do

^a Ratniów.

^b Jałowicze.

Korszewca, gdzie już zastajemy sztab. Wieczór już, ale ślicznie księżycem oświetlony. Mieścimy się po chłopskich chałupach, chcąc jak najprędzej wypocząć po dzisiejszym i na jutrzejszy zapowiedziany długi marsz.

27 Wyspani jak wariaty, wstajemy pomału, przygotowując się w tym samym tempie do drogi. Po zjedzeniu śniadania i przeczytaniu dostarczonej mi w nocy gazety, biorę udział w wesołym pożegnaniu pana kapitana, odjeżdżającego na urlop, po czym zaczynam się zabierać [do] wyjazdu, jak zwykle konno, w czym mi przeszkodzono udania się naprzód, jak niezwykle... automobilem. W to mi graj! Myśle se – nic głośno nie mówiąc – i w kwadrans później tyrczą dwa auta jak Bozia przykazał. Jedziemy na Łuck i zatrzymujemy się w mieście. Nie znać tu wielkich zmian, bo Moskałe nie mieli zbyt wiele czasu do pogospodarowania po swojemu; zauważyć się jednak przede wszystkim musi zadowolenie z powrotu Austrijców u Żydów, a nawet Żydówek, uśmiechających się przyjaźnie. Nie jestem zarozumiały, ale jedna z nich puściła takie oko pod moim adresem, że niech się każde perskie przed nim schowa! Okrasiła przy tym to spojrzenie takim anielskim uśmiechem, że go trudno będzie zapomnieć. Miała bestia ze 60 lat! Niech kto twierdzi, że nie mam szczęścia do kobiet!

Usiłowania Moskali spalenia mostu spełzły na niczym; za świeże drzewo trochę się tylko osmaliło. Niewiele zniszczenia widać, tylko zaświnione do niemożliwości place przypominają Moskali. Hotel, w którym mieszkałem, zrujnowany do niepoznania; dom, w którym się mieściła komenda, raniony granatem; zdemolowane całe piętro budynku, gdzie była komenda korpusu. Miejscami powyrywany bruk

przypomina o odwiedzinach granatów. To wszystko skutki naszego strzelania haubicami na miasto w ostatnich dwóch dniach. Podobno są od tych pocisków znaczne ofiary w ludziach, dochodzące 100 cywilów, ale nie wiem, ile w tym prawdy. Zaopatruję się w torbę gruszek oraz czerwono-niebieski ołówek – jedyne przedmioty, które kupić można – po czym odjeżdżamy. Po drodze, zatrzymani przez jakiegoś gburowatego generała, przekonujemy się na własne oczy i uszy, że jednak bałwanów między tą szarżą nie brak. Bez wypadku już dojeżdżamy potem do Ostrożca. Wieś-miasteczko dosyć przestronne, składające się przeważnie z chłopskich chałup. Po załatwieniu się z kwaterami, dowiaduję się z gazety, że Wilno wzięte, jako też, że trudno na świecie o większych półgłówków jak Moskale etc., etc. Że to oni jednak, pomimo całej swej nieudolności, dowiedzionej im w „Reformie”¹²⁵, prowadzą wojnę już 14 miesięcy! Coś to nie bardzo klapuje z tą całą ich „słabością”. Czekamy na sztab do samego wieczora, bo się zatrzymał na rynku i sterczy tam cały dzień. Połączyliśmy się z własną 3. Brygadą, wchodząc równocześnie w związek 9. Korpusu. Pogoda i usposobienie dobre. Stanowimy rezerwę armii.

28 Zostajemy dalej w rezerwie. Całą noc miałem przerywaną ciągłym wstawaniem do kancelarii, budzony dla drobnotek, więc niepotrzebnie. O 7.00 gotujemy się do marszu Ostrożce^a–Piany^b–Kol[onia] Malin. Wyjeżdżamy o 7.30 i spacerowym krokiem przybywamy na miejsce, zatrzymując się koło młyna dla wydania ostatecznych dyspozycji dla artylerii. Około południa zaczyna się strzelanina – natknęto [się] na Moskała w jego pierwotnych pozycjach z początku tego miesiąca. Ogień, niezbyt silny, nie absorbuje naszej

^a Ostrożec.

^b Pianie.

uwagi, bowiem jak się rzekło, jesteśmy w rezerwie. Spokój ducha ujawnia się w zaaranżowanej partii wista, urządzonej przez starszych panów. Sobie zapelniam czas pochłanianiem francuskich nowel, które już ze dwa tygodnie noszę w kieszeni, nie mogąc w tym czasie przyjść do ich przeczytania. Ze zdrowiem nieszczęśliwie, ale to nie tylko u mnie, skarży się bowiem większość na niemiłą przypadłość, spowodowaną nadmiarem wody (czy wina?).

Nie zmieniło się nic w sytuacji przez cały dzień, zostajemy przeto w Malinie, ograniczając się tylko do zajęcia innej części wsi. Mieszkania mamy wiejskie, ale w końcu każde dobre na dzisiejszą pogodę, bowiem deszcz leje przyzwoicie, choć mokry. Kształcę Antka w inżynierii, popierając praktycznymi wskazówkami wykłady budownictwa łózka przy użyciu dwóch ławek i deski, ale irytuję się tylko jego niepojętnością, skutkiem czego dostaje za karę do zeszczenia rozetrwane szelki; niech się bestia przynajmniej napoci, bo jestem przekonany, że i tak ich nie naprawi. Pfaff, wróciwszy z urlopu, opowiada o wojnie bułgarsko-serbskiej¹²⁶ i rumuńsko-rosyjskiej¹²⁷, jako mającej już mieć miejsce; szkoda, że nic oficjalnego o tym nie wiemy, czyli że jego nowiny to „opowiadania”! Przeniesiony jest do Granicy, czego mu zazdroszczę, ze względu na bliskość naszych stron. Doszła nas wieczorem poczta z 20. I[renka] taka kochana! Napisała Zocha, Ada, wspólna kartka z Trzebinii z tyloma dowodami dobrych dla mnie serc! Ot, przecież nie jestem tak całkiem sam na świecie. Cały wieczór myślę o nich, kochanych, ciesząc się na myśl rychłego znalezienia się w tym środowisku. Gdyby tylko w końcu ten urlop dostać!

29 Rezerwa, ale to taka prawdziwa, rezerwowa rezerwa! Żadnych ataków, żadnego marszu, żadnych strzelań ani dyspozycji, niczego jednym słowem nie ma, co by wojnę przypominało! Na śniadanie pobiegłem wyspany i swobodny jak ptaszek (ten z większego kalibru), i nic by nie potrafiło w tej chwili zamącić pogody mojego ducha. A wesoły sobie jakoś jestem niesamowicie. Cały świat do mnie należy! I aż się chwilami dziwię samemu sobie, że mi tak dobrze; coś się stać dobrego dla mnie musiało – nie może inaczej być! Ten i ów z zajętych, zachmurzonych lub zapracowanych panów zaczyna pod wpływem mojej pustoty tracić marso-we oblicze. Tu i ówdzie daje się słyszeć replika na moje zaczepki, aż w końcu lody przełamane – wszyscy się śmieją. I słońce, zdziwione ludźmi mającymi dziś jeszcze ochotę do wesołości, wyjrzało zza chmur, nieśmiałe z początku, roześmiane całą szerokością swej potężnej gęby na nasz widok. Eh!

Bodaj to wesołość! A tak o nią teraz rzadko! Żyć chciałoby się wtedy – przy równoczesnym nie zdawaniu sobie z życia sprawy. Szkoda, że Zygmunta ze mną nie ma, z tą bestią rozumiemy się należycie, czego od życia wymagać trzeba! Starsi panowie, chcąc ratować swą powagę, zabrali się do wista; pocą się też nad tą umiejętnością aż do obiadu, posilają nim wycieńczone tą pracą istoty, po czym z podwójną energią (potencjalną) zabierają się do tego samego zajęcia. Dobry przykład płynie z góry, więc też i ja nie tracę czasu na darmo, natomiast monetę przegrywając 29 ct do inżyniera w szachy. Dziwna zaiste cyfra, ale to już tak do osoby zastosowana. Kibicuję następnie przy partii preferansa i... myślę sobie przy tym, że nikt nas chyba o bezczynność pomówić nie może.

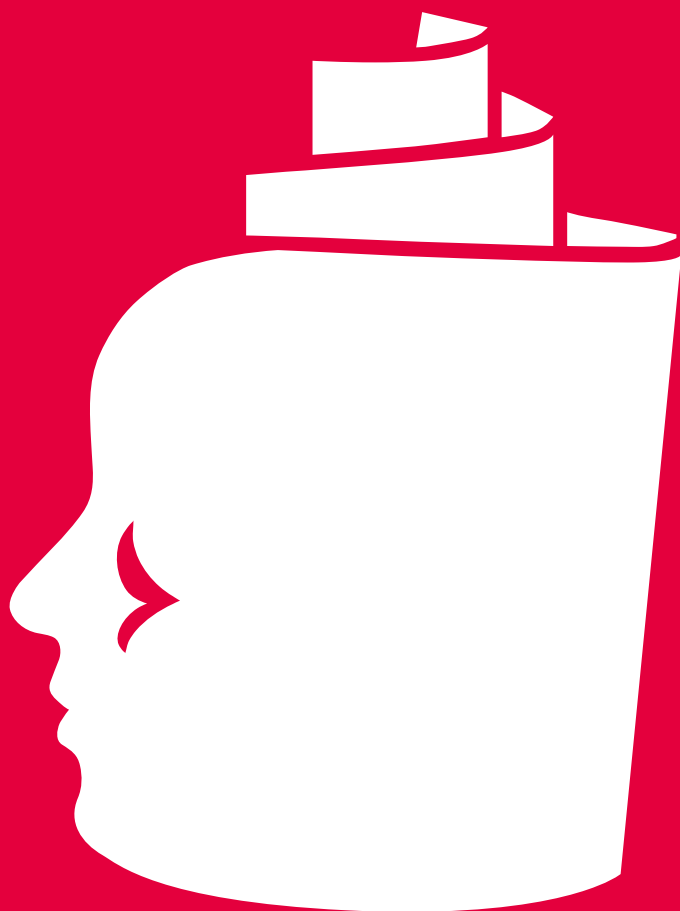
Grom z jasnego nieba, chociaż się nań zbierało! Oto dostałem urlop! Zwykłym swoim stentorowym głosem obwieścił mi to kapitan, a ja, ze wzruszenia, o mało że się nie rozlałem... we łzach, na podłodze. Zaiste wielki to dzień! Po 14. miesiącach wojny doszedłem nareszcie do tego, że mając dwa tygodnie wolne nie będę potrzebował zajmować się wojną, jechać tam, gdzie mi się nie chce, kląć na to, co mi się nie podoba (mogąc sobie zmienić na inne), robić to, czego mi się nie chce, natomiast to, co mi się chce – i tyle – tyle rozmaitych różności!

Stary mnie męczy z godzinę wskazówkami i radami (bo przecież już sam był na urlopie!), nie przypuszczając, że mi jest wszystko jedno i choćby piechotą podejmuję się rznąć do Krakowa. Dobry stary! I o służącego mi się troszczy, i o koniu pamiętać przyrzeka – dobry pan – dobrocią za dobroć płaci!

Antka postanawiam wziąć z sobą i wyekwipować, o ile można. Ucieszony i on pomaga mi wieczór w pakowaniu z gorliwością, jakby podróż miała się odbywać co najmniej na tamten świat. Cieszy się i on, chłopisko, że swoich starych zobaczy. Nie dorównać mu jednak w mojej uciechu! Hej! Bo też i ten wolny czas tak jak ongiś wolnym przebyć pragnę!

KONIEC ZESZYTU IV

III. Przypisy rzeczowe



- 1 29. Pułk Armat Polowych (*Feldkanonenregiment* Nr. 29). W ramach organizacji wojennej pułk wchodził w skład 2. Brygady Artylerii Polowej, 2. Dywizji Piechoty, x Korpusu. Jednostka składała się z komendy, czterech baterii po sześć ośmiocentymetrowych armat polowych, wzór 1905, i baterii zapasowej. Dowódcą był płk Johann Rosenzweig Edler von Powacht. Szerzej patrz: J. Błachnio, *Kraśnik 1914*, Warszawa 2018.
- 2 23–25 sierpnia 1914 r. bitwa pod Kraśnikiem. 1. Armia (korpusy I, V i X) pokonała 4. Armię rosyjską. Po bitwie dowódca 1. Armii gen. Victor Dankl otrzymał tytuł von Kraśnik.
- 3 Komendant 2. Brygady Artylerii Polowej – 2. FABrig. – Oberst (płk) Julius Kramář.
- 4 W skład 2. Dywizji Piechoty wchodziła III Brygada Piechoty (40. Pułk Piechoty), IV Brygada Piechoty (89. i 90. Pułk Piechoty) oraz 2. Brygada Artylerii Polowej (2. FABrig.).
- 5 Chrzanów, gmina Goraj, koło Janowa Lubelskiego.
- 6 Prawdopodobnie chodzi o brata ks. Bronisława Świeżkowskiego, bohaterskiego burmistrza Gorlic w okresie okupacji rosyjskiej.
- 7 Papież Pius X zmarł 20 sierpnia 1914 r.

- 8 W nocy z 2 na 3 września 1914 r. wojska austro-węgierskie wycofały się ze Lwowa.
- 9 Granica rosyjsko-galicyska na Tanwi.
- 10 Miny ekrazytowe: ekrazyt – kruszący materiał wybuchowy, zawierający kwas pikrynowy.
- 11 Tytuł ekscelencji przysługiwał generałowi dywizji – Feldmarschalleutnantowi. Komendantem 2. Dywizji Piechoty był FML Anton Lipošćak (Antoni Liposzczak).
- 12 Marsz na zachód, tj. okolic Sokołowa Małopolskiego.
- 13 Dywizjoner – Feldmarschalleutnant Anton Lipošćak.
- 14 Od łac. *supplicatio*: pokorne modły; w liczbie mnogiej suplikacje to religijna pieśń błagalna *Święty Boże*.
- 15 *Die Protze* (niem.) – przodek armatni. Niektóre przodki pełniły funkcję jaszczy amunicyjnych.
- 16 Rodzaj kary dyscyplinarnej.
- 17 Kawiarnia istniejąca od 1859 r. do dziś, cały czas w tym samym miejscu, na placu Sobieskiego, od 1938 r. nosi nazwę „Tatrzańska”.
- 18 Ludwik Zapalski (1866–1943), młodszy brat Józefy – matki Kazimierza Filara.
- 19 *Coi excellence* (fr.) – cichy ekscelencja, w tekście Autor używa jęz. fr. i niem. (*Exzellenz*).
- 20 Kalodent (colodent?): zapewne marka pasty do zębów.
- 21 Schlafkamrat, żartobliwe: kumpel od snu, *Kamerad* (niem.) kumpel, osoba, z którą dzieli się kwaterę.
- 22 Ciocia Zap. – żona Ludwika – Stanisława lub Michalina Lachman z domu Zapalska, czy też Maria Zapalska – siostry matki.
- 23 Bernardowie: siostra Zofia, późniejsza nauczycielka Karola Wojtyły, z mężem Władysławem Bernardem (Bernhardtem), późniejszym burmistrzem Wadowic.

- 24 Jednoroczny ochotnik po studiach zgłaszał się na roczną służbę w wojsku, która dawała mu możliwość zdobycia stopnia oficera rezerwy.
- 25 Od 14 października 1914 r. przez 4–5 dni 4. Armia usiłowała bezskutecznie sforsować rzekę San.
- 26 Zapewne komendant 29. Pułku Artylerii Polowej płk Johann Rosenzweig Edler von Powacht.
- 27 Iwangród (Iwangorod) – nazwa Dęblina w latach 1840–1915. Miasto przy ujściu Wieprza do Wisły, w drugiej połowie XIX w. twierdza rosyjska.
- 28 Honwedzi (węg. *honvéd*) – węgierska obrona krajowa. Część sił zbrojnych podporządkowana węgierskiemu Ministerstwu Obrony Narodowej.
- 29 89. Pułk Piechoty – Gródek Jagielloński (29% Polacy, 60% Rusini), 40. Pułk Piechoty – Rzeszów (97% Polaków).
- 30 W dniach 14–27 listopada 1914 r. miała miejsce „bitwa między Częstochową a Krakowem”. 17 listopada korpusy VI i X uderzyły na rosyjską 9. Armię w okolicach Skały. Atak rosyjski na lewym brzegu Wisły został odparty. Kilka tysięcy jeńców rosyjskich skierowano tymczasowo do koszar Franciszka Józefa I przy ul. Rajskiej.
- 31 Wojska austro-węgierskie na krótko opanowały Belgrad, jednak Serbowie szybko go odbili. Ostatecznie Serbia została pokonana w listopadzie 1915 r., a resztki serbskiej armii schroniły się na wyspie Korfu, a potem zostały przerzucone na front w rejonie Salonik.
- 32 90. Pułk Piechoty – Jarosław (75% Polacy, 25% różnej narodowości).
- 33 Osobista armia cara była w ramach rosyjskich sił zbrojnych odrębną formacją – Lejbgwardią. Korpus Gwar-

dyjski wchodził w skład 9. Armii gen. Płatona Leczyckiego. Korpus Grenadierów wchodził w skład 4. Armii gen. Aleksieja Ewerta.

- 34 Klęska Rosji w Mandżurii pod Mukdenem w marcu 1905 r. Do wybuchu I wojny światowej była największą bitwą w dziejach świata. Brało w niej bowiem udział łącznie ponad 600 tys. żołnierzy.
- 35 Pikieta (fr. *piquet*), gra karciana dla dwóch osób, której zasady ustalił Charles Picquet. Jedna z najstarszych gier, pochodząca z Francji, znana już w XIV w p.n. *ronflé i cent*. Od XVIII w. popularna w całej Europie. Rozgrywana talią złożoną z 32 kart, od siódemek do asów. Rozdanie: każdy z graczy otrzymuje po 12 kart, rozdawanych po 2 karty. Pozostałe 8 kart rozdziela się na dwa zakryte „talony”. O nich pisał Filar, że mu zardoszczono „talonów”.
- 36 Istvan Tisza – premier Węgier w latach 1903–1905 oraz 1913–1917.
- 37 Cesarski dzień, czyli rocznica objęcia tronu austriackiego w 1848 r. przez Franciszka Józefa.
- 38 Galicyjskie wyrażenie babrać się żmudną pracą, trudzić się, tu – zapewne mowa o pisaniu.
- 39 André Gide (1869 – 1951) – powieściopisarz francuski ze środowiska protestanckiego, o krytycznym podejściu do powszechnych wartości; twierdził, że istotna prawda tkwi w ludzkich instynktach. Powieść *L'Immoraliste* (1902 r.), krytykująca egotyzm człowieka miernego. Egotyzm (od ego) to nadmierne absorbowanie siebie i otoczenia własną osobą, samolubstwo.
- 40 Mowa o zwycięskiej bitwie pod Łodzią, stoczonej przez Niemców i Rosjan na przełomie listopada i grudnia

1914 r. Zwycięzca spod Tannenbergu Paul von Hindenburg w listopadzie 1914 r. został naczelnym dowódcą wojsk niemieckich na wschodzie (OberOst). Odnotowane przez Autora wycofanie się Rosjan (9. Armii Leńczyckiego) było jednak wynikiem zwycięstwa wojsk austro-węgierskich w bitwie pod Limanową, co spowodowało wycofanie się Rosjan spod Krakowa na linię rzek Nida–Dunajec–Biała.

- 41 Gra popularna w Europie od czasów średniowiecza – tarok – ma aż 52–40 lub 56 kart w talii; 22 kart atutowych używano do stawiania kabały.
- 42 Wedeta, właściwie – weduta – ogólny obraz, zespoły architektoniczne, tutaj w znaczeniu: posterunki.
- 43 Działa z prawdopodobnie 30. Pułku Artylerii Polowej.
- 44 W styczniu 1915 r. komendanta 2. ID FML Antona Lipošćaka zastąpił GM Karl Edler von Langer, a komendanta x Korpusu GDI Hugo Meixnera von Zweienstamma – FmLt Josef Ritter Krautwald von Annau. M. von Zweienstamm powrócił na swoje stanowisko w marcu 1915 r., a Anton Lipošćak na swoje w maju 1915 r. W 1918 r. Lipošćak pełnił funkcję ostatniego cesarsko-królewskiego wojskowego gubernatora w Lublinie.
- 45 Liebesgaby (niem.) – tu prezenty w formie niewielkich paczek otrzymywanych przez żołnierzy, z reguły z okazji świąt, a często przygotowywanych przez młodzież szkolną. Była to popularna metoda podtrzymywania morale wojska.
- 46 Genaralmajor (gen. brygady) Karl Edler von Langer.
- 47 Feldmarschalleutnant (gen. dywizji) Anton Lipošćak.
- 48 x Korpus (2. Dywizja Piechoty) walczył w Beskidach w składzie 3. Armii Boroevicia. Armia ta 23 stycznia

1915 r. rozpoczęła tzw. pierwszą bitwę karpacką. Celem x Korpusu było zdobycie Przełęczy Łupkowskiej.

- 49 Walcząca na prawym skrzydle 3. Armii Boroewicia grupa gen. Szurmaya 26 stycznia 1915 r. zdobyła i przekroczyła Przełęcz Użocką.
- 50 Moździerz Wz 30,5 cm, 1911, tzw. Chuda Emma, produkcji firmy Škoda. Masa pocisku przeciwbetonowego – 384 kg.
- 51 Wiktor Possinger był uprzednio ranny w nogę 17 listopada 1914 r.
- 52 Mowa o drugiej bitwie nad jeziorami mazurskimi, zwanej zimową, rozegranej w lutym 1915 r. (pierwsza 6–15 września 1914 r.). W wyniku niemieckiej ofensywy, rozpoczętej przy trzaskającym mrozie i zamieci śnieżnej, wyparto wojska rosyjskie ze wschodnich krańców Prus Wschodnich.
- 53 W Nadwórnej zaczynał się szlak bojowy II Brygady Legionów Polskich, zwanej Żelazną lub Karpacką Brygadą (dowódcą 3. Pułku tej brygady był Józef Haller, późniejszy generał). W zimie 1914 r. nowo sformowana polska brygada stawiała czoła armii carskiej, która po pokonaniu Austriaków planowała przełęczami karpackimi ruszyć na Węgry. Ramię w ramię z Polakami stanęli do walki także i Huculi – oddział kpt. Szerauca.
- 54 Mowa o decyzji dowództwa niemieckiego z 4 lutego, że z dniem 14 lutego wody wokół Wielkiej Brytanii traktuje się jako obszar działań wojennych, na którym brytyjskie statki handlowe będą torpedowane bez ostrzeżenia. Miała to być odpowiedź na blokadę morską Niemiec, ogłoszoną przez Brytyjczyków w sierpniu 1914 r.

- Podczas wojny Niemcy kilkakrotnie zaostrozali i potem łagodzili zasady prowadzenia wojny podwodnej. Ogłoszenie w lutym 1917 r. tzw. nieograniczonej wojny podwodnej przeciw statkom wszelkich bander (także państw neutralnych), zbliżającym się do wrogich portów, skutkowało przystąpieniem USA do wojny.
- 55 Feldmarschall-Leutnant (gen. dywizji) Krautwald von Annau.
- 56 Druga bitwa karpacka, stoczona na przełomie lutego i marca 1915 r., której celem było odblokowanie Przemyśla. Pomimo ogromnych strat, szacowanych na 100 000 ludzi, ofensywa się załamała, a Przemyśl skapitulował 23 marca.
- 57 45. *Landwehr Schützen-Division* – 45. Dywizja Strzelców Landwery.
- 58 LIR 6. – *Landwehr Infanterie Regiment* Nr. 6 – 6. Pułk Piechoty Landwery. *Landwehr* – obrona krajowa.
- 59 20 lutego 1915 r. Stanisławów został zdobyty przez oddziały niemieckie, jednak w połowie marca xxx korpus rosyjski ponownie go zajął.
- 60 Stwierdzenie, które ma być zabawnym paradoksem. Włochy, choć od 1882 r. były związane z Niemcami i Austro-Węgrami sojuszem obronnym, to latem 1914 r. ogłosiły neutralność. Po wielomiesięcznych negocjacjach, w zamian za obietnice zdobyczy terytorialnych, 23 V 1915 r. przystąpiły do wojny po stronie Ententy.
- 61 Order Franciszka Józefa: Cesarski Austriacki Order Franciszka Józefa (niem. *Kaiserlich-Österreichischer Franz Joseph-Orden*) – odznaczenie Cesarstwa Austriackiego za zasługi cywilne i wojenne, nadawane od 1849 do 1918 r.). Order mógł być w postaci krzyża, gwiazdy,

- medalu. Odmiany krzyża stały się wyróżnieniem przyznawanym przez kapitułę zgodnie z wolą monarchy.
- 62 Po podpisaniu porozumienia w Londynie 26 kwietnia 1915 r. między Włochami i państwami Ententy ustalono, że w przyszłym traktacie pokojowym Włochy otrzymają Trydent, Tyrol cisalpiński do przełęczy Brenner, Triest, miasta Gorycję i Gradisko, całą Istrię do Quarnero, Dalmację z wyspami przyległymi, wyspy Dodekanezu i in.
- 63 20 marca 1915 r. rozpoczęła się Trzecia Bitwa Karpacka (bitwa wielkanocna). Celem rosyjskiej ofensywy było wywalczenie przejścia na Górne Węgry. Walki skoncentrowały się wokół Sztropko i na południe od Mezölaborcz.
- 64 *Jagdschloss* – niem. pałacyk myśliwski (*Schloß* – zamek, pałac, *Jagd* – myśliwski, łowiecki).
- 65 Prawdopodobnie wzgórze na wschód od wsi Zbudská Bela (wzgórze nr 564).
- 66 *Zugskommandant* (niem.) – komendant decyzyjny, tu dowódca plutonu. *Zugsführer* – sierżant.
- 67 Akt kapitulacji Przemyśla przed armią rosyjską złożono 23 marca 1915 r., o godzinie 6.00 rano.
- 68 GdI Hugo Meixner von Zweienstamm.
- 69 *Feldgraue* (niem.) – żołnierz frontowy, czyli w mundurze w kolorze szarym; *feld* – polowy, *grau* – szary.
- 70 2 kwietnia 1915 r. (Wielki Piątek) w rejonie Mezölaborcz rozpoczęła się ofensywa rosyjska, nazwana bitwą wielkanocną. Na linii głównego natarcia znalazła się jarośławska 2. Dywizja Piechoty, walcząca wraz z niemieckim Beskiden Korps. 2. Dywizja „kosztem 85% strat w ludziach przeważała szalę bitwy”. J. Bator, *Wojna*

Galicyjska. Działania armii austro-węgierskiej na froncie północnym (galicyjskim) w latach 1914–1915, Kraków 2008.

- 71 Chodzi najprawdopodobniej o gen. Georga von der Marwitza, dowódcę niemieckiego Beskiden-Korps. W początkach kwietnia 1915 r. formacja Marwitza walczyła w pobliżu c.k. x Koprusu, i w toku walk niemieckiemu dowódcy mogły podlegać niektóre pododdziały z armii sojusznika.
- 72 *Die Retablierung* (niem.) – wycofanie jednostki z frontu w celu uzupełnienia strat, przegrupowania i pobrania potrzebnego sprzętu.
- 73 FML Anton Lipošćak, nazywany żartobliwie Lipo.
- 74 W 1914 r. x Korpus wchodził w skład I Armii, w miesiącach od stycznia do czerwca 1915 r. – w skład III Armii gen. piechoty von Boroewicia.
- 75 Feldmarschall (feldmarszałek) Fryderyk Habsburg był wodzem naczelnym wszystkich wojsk monarchii habsburskiej.
- 76 Egzerycka, egzecyrka (niem. *exerziren*) – musztra. Autor używa różnych spolszczeń.
- 77 Arcyksiążę Fryderyk (1856–1936), postrzegany przez autora jako osoba w starszym wieku, miał w 1915 r. 59 lat.
- 78 Władze austro-węgierskie podejrzewały Rusinów – w tym przypadku Łemków – o prorosyjskie sympatie. Tysiące z nich, uznanych za politycznie podejrzanych, zostało internowanych i wywiezionych w głąb kraju, do obozu Talerhof w pobliżu Grazu. Szerzej patrz: P. Szlanta, *Wielka Wojna Łemków*, [w:] *Bitwa pod Gorlicami. Studia z perspektywy stulecia*, red. J. Centek, S. Kułacz, K. Ruszała, Gorlice 2015, s. 15–172.

- 79 Komendant x Korpusu –FML (gen. dywizji) Hugo Martiny von Małastów; komendant 2. Dywizji Piechoty FML Anton Lipošćak.
- 80 Przygotowanie artyleryjskie trwało od 6.00 do 10.00 rano. 2. Dywizja Piechoty zdobyła Ostrą Górę, na wschód od wsi Bartne.
- 81 2 maja 1915 r. rozpoczęła się ofensywa pod Gorlicami, która doprowadziła do przełamania frontu rosyjskiego.
- 82 Komendantem III Armii był gen. piechoty Svetozar Boroević von Bojna.
- 83 Dosłownie „czyszczący” *Putzer* (niem.). Tu w znaczeniu ordynansa.
- 84 Działowa (757 m n.p.m.) – szczyt w Beskidzie Niskim, na południowy zachód od wsi Bartne.
- 85 Ksiądz greckokatolicki. Część duchownych tego obrządku sprzyjała promowanemu przez rosyjskich okupantów prawosławiu. W obawie przed represjami (austro-węgierskie sądy polowe na wyzwolonych terenach chętnie szafowały wyrokami śmierci za faktyczną lub wymagowaną kolaborację i zdradę) postanowili oni ewakuować się wraz z wycofującymi się oddziałami carskimi.
- 86 Feldmarszałek Paul von Hindenburg był wówczas głównodowodzącym frontu wschodniego armii niemieckiej.
- 87 Przemyśl został otoczony 18 maja, a zdobyty przez wojska austriackie 3 czerwca 1915 r. W wyniku przełamania frontu pod Gorlicami, od 2 maja 1915 r. trwał odwrót armii rosyjskiej z Galicji, Bukowiny i Podkarpacia.
- 88 *Tableau* (fr.) – tu w znaczeniu widok rozległego, płaskiego, pozbawionego kwater terenu.

- 89 Gen. August von Mackensen, dowódca 11. Armii niemieckiej, która dokonała przełamania frontu pod Gorlicami.
- 90 Fort VII Prałkowce, fort artyleryjski jednowałowy, zbudowany w latach 1882–1886 r. na wzgórzu 352 m n.p.m. Zamykał on pierścień zewnętrzny na południe od rzeki San. Miał za zadanie niedopuszczenie wroga do Przemyśla od strony Sanoka i Birczy.
- 91 Pleszowice – obecnie w granicach Przemyśla – gniazdo rodowe Fredrów.
- 92 Stieber's Grand Cafe w Przemyślu „był to jeden z najelegantszych i najdroższych lokali w całej Galicji”. A. Wójcik, *Spacerem po dawnym Przemyślu w roku 1900*.
- 93 Kawalerowie i Klasy – Wielkiego Krzyża – mieli prawo zwracać się do monarchy: „mój kuzynie”.
- 94 Hermann Kusmanek von Burgneustädten dowodził obroną Przemyśla do momentu poddania się 23 marca 1915 r.
- 95 Wspólna niemiecko-austro-węgierska armia feldmarszałka niemieckiego Augusta von Mackensena (1849–1945).
- 96 Plażyć – miłe uczucie sprawiać, np. zimna woda na oparzelinę plaży – słownik gwarowy, H.Karaś.
- 97 Fafrać, fafrotać – głupio mówić, głądzić. Także kilka innych znaczeń: *Słownik gwarowy Śląska Cieszyńskiego*, red. J. Wronicz, wyd. 2, Ustroń 2010.
- 98 Po zdobyciu twierdzy podejrzliwi wobec Żydów Rosjanie wypędzili ich z miasta.
- 99 Na obszarach Galicji wyzwolonych spod rosyjskiej okupacji wiosną 1915 r. bardzo skrupulatnie przeprowadzano pobór do wojska.

- 100 Rumunia przystąpiła do wojny 27 sierpnia 1916 r., ale po stronie państw Ententy.
- 101 Rzęsna Ruska, położona 8 km na północny zachód od centrum Lwowa.
- 102 *Signum Laudis* (łac.) – „znak zasługi”, wysokie odznaczenie wojskowe, wprowadzone w Austrii w 1890 r. za wybitną służbę wojskową.
- 103 *Stabsarzt* (niem.) – oficer sanitarny, dosłownie – kaptan lekarz.
- 104 28 czerwca 1914 r. zamach na austriackiego następcę tronu (od 1896 r.), Franciszka Ferdynanda (1863–1914) w Sarajewie, dokonany przez serbskiego studenta Gavrila Principa, stał się pretekstem do rozpoczęcia I wojny przez Niemcy.
- 105 Mowa o zjawisku bieżenstwa czyli dobrowolnej lub wymuszonej przez wojska carskie ewakuacji mieszkańców wschodnich terenów Królestwa Polskiego, w obliczu załamania się linii frontu latem 1915 r.
- 106 *Feldmarschalleutnant* Anton Lipošćak objął dowództwo nad 42. Dywizją Piechoty Honwedów.
- 107 Mój brygadier – *Oberst* (niem.) pułkownik Polak.
- 108 FML Edmund Edler von Sellner dowodził 2. Dywizją Piechoty w okresie lipiec 1915 r. – czerwiec 1916 r. (<http://www.austro-hungarian-army.co.uk/divcomd1.htm>).
- 109 Eugeniusz Ferdynand „Erzi” Habsburg (1863–1954), wysoki rangą dowódca austro-węgierski z okresu I wojny światowej, wielki mistrz zakonu krzyżackiego (1894–1918), zmarł w sanatorium w Merano.
- 110 1. Pułk Piechoty Legionów pod dowództwem ppłk. Edwarda Rydza (1886–1941) wchodził w skład I Brygady Legionów Polskich; Rydz-Śmigły 1917–1918 komen-

dant POW, 1920 r. dowódca armii, od 1935 r. inspektor sił zbrojnych, patron OZN, we wrześniu 1939 r. Naczelnny Wódz.

- 111 Gen. Remus von Woyrsch (1847–1920) dowodził Śląskim Korpusem Landwery (*Landwehrkorps Woyrsch*), który działał na froncie wschodnim pod komendą austriacką.
- 112 Preferans – odmiana winta, gra w karty dla trzech lub czterech osób talią z 32 kart, o zapisie punktowym. Popularna w XIX i na początku XX w. O wygranej decydowała liczba wziętych lew. Nazwa z *préférence* (fr.) pierwszeństwo.
- 113 Rosjanie ewakuowali się z Warszawy 4 sierpnia 1915 r., następnego dnia rano wysadzając w powietrze wszystkie mosty, podpalając dworce oraz niszcząc obiekty o znaczeniu strategicznym i wywożąc znaczną część wyposażenia komunikacji miejskiej oraz fabryk. Wywieziono też wiele zbiorów, m. in. Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.
- 114 Wilhelm II Hohenzollern (1859–1941), cesarz niemiecki w latach 1888–1918, miał sześciu synów i jedną córkę. Po wybuchu w Niemczech rewolucji listopadowej 1918 r. zbiegł do Holandii i abdykował.
- 115 Prawdopodobnie *Dobrze skrojony frak*, krotochwila w 4 aktach. Autor: Drégely Gábor.
- 116 Niemiecki gen.-płk Alexander von Linsingen – komendant Armii Bugu.
- 117 Cesarz Franciszek Józef I urodził się 18 sierpnia 1830 r. w pałacu Schönbrunn.
- 118 XIV Korpus (Innsbruck) – dowódca Josef Roth – zwycięzca bitwy Limanowa–Łapanów w grudniu 1914 r.

- 119 Ironiczne opisanie rekwizycji: „Krowa moja, kartka twoja, ojczyzna niech będzie spokojna”.
- 120 *Lieb Vaterland magst ruhig sein* – refren niemieckiej pieśni patriotycznej *Die Wacht am Rhein* (Straż na Renie).
- 121 5 IX 1915 r. dowodzenie armią rosyjską objął car jako naczelny dowódca.
- 122 *Kochanie, czego jeszcze możesz chcieć* – tytuł pieśni z leksykonu niemieckich pieśni *Deutsches Liederlexikon*, A. Härtel, 1865 r.
- 123 Ołyka należała do rodu Kisków, a od 1533 r. do Radziwiłłów. Od 1589 r. aż do 1939 r. była centralnym ośrodkiem ordynacji Radziwiłłów.
- 124 Styr, prawy dopływ Prypecy, żeglowna do Beresteczka, główne miasto w okolicy – Łuck (Wołyń).
- 125 Zapewne chodzi o propagandowy obraz Rosjan kreślony na łamach krakowskiej „Nowej Refomy”, którą czytywał Autor. Wychodząca w Krakowie w latach 1882–1928 „Nowa Reforma” była w okresie I wojny organem Naczelnego Komitetu Narodowego, organizacji dążącej do powstania monarchii Austro-Węgiersko-Polskiej.
- 126 W październiku 1915 r. Bułgaria przyłączyła się do wojny po stronie państw centralnych, atakując Serbię podczas ofensywy wojsk niemieckich i austro-węgierskich na ten kraj. W ten sposób Bułgarzy dążyli do wyrównania rachunków za porażkę w II wojnie bałkańskiej, podczas której utracili na rzecz Serbów większą część Macedonii.
- 127 Były to złudne pogłoski. Dopiero w sierpniu 1916 r. Rumunia przystąpiła do wojny i to przeciwko państwom centralnym.

Spis treści

I. Wstęp	5
<i>Leszek Boryczko</i>	
Kazimierz Filar – Polak w c.k. armii	7
<i>Piotr Szlanta</i>	
Pamiętnik wojenny Kazimierza Filara	27
II. <i>Śmieszne to życie! Ale go żal...</i>	
Dzienniki Kazimierza Filara	
Zeszyty I–IV	45
Zeszyt I	47
Zeszyt II	127
Zeszyt III	229
Zeszyt IV	383
III. Przypisy rzeczowe	543

Czytając literaturę dokumentu osobistego wskrzeszamy historię widzianą jako współczesność: tak jak postrzegał ją człowiek tamtego czasu, a więc inaczej, niż my, współcześni, bo bez dystansu, bez wiedzy o konsekwencjach, do których zdarzenia dziejowe doprowadziły. Dokumenty te przypominają owady zatopione w bursztynie: są zatrzymanym, ocalonym głosem z przeszłości, dzięki któremu możemy poznać przeżycia tych, którzy już dawno zamilkli, wsłuchać się w ich wyznanie, poznać ich prawdę o trudzie istnienia.

Rada Naukowa o serii wydawniczej
WIELKA WOJNA – CODZIENNOŚĆ NIECODZIENNOŚCI



NACZELNA DYREKCJA
ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH